

ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Jacek

SOBOTA WIECZÓR TRZECH PSÓW



Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

ŻONA CENZORA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

ANIOŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

1.

2.

3.

4.

5.

6.

PISARZ, DZIEWCZYNA I CENZOR

1. Pisarz

2. Dziewczyna.

3. ...i cenzor.

PADLINA

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

RZEKA

DWIE KROPLE DESZCZU

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

36,6

WIECZÓR TRZECH PSÓW

WIARA

NADZIEJA

MIŁOŚĆ

JEDNA TRZYDZIESTA SZÓSTA

1.

2.

NIEDOKOŃCZONA OPOWIEŚĆ DOLSILWY

3.

4.

HISTORIA SZLACHETNIE URODZONEGO MORATORA, PRZEZ NIEGO
SAMEGO OPOWIEDZIANA, CHOĆ WCIAŻ NIE ZWIEŃCZONA FINAŁEM.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

OPOWIEŚCI MORATORA CIĄG DALSZY

12.

NIEWIELKA IMPROWIZACJA ROZENKRONZA

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

JĄDRO ŚWIATŁOŚCI

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

DRUGA PRZEPOWIEDNIA

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

OPOWIEŚĆ REGRACA

OPOWIEŚĆ DOLSIWLY

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

OPOWIEŚĆ REGRACA

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

PAMIĘTNIK KARMABA

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Jacek Sobota

Wieczór trzech psów

opowiadania wybrane

SOLARIS
Stawiguda 2016

E-book kupiony w SOLARIS

Niniejsza książka elektroniczna ani żadna jej część nie może być kopiowana i odsprzedawana oraz w jakikolwiek inny sposób reprodukowana, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody sprzedawcy.

Wieczór trzech psów *Wieczór trzech psów* copyright ©
2016 by Jacek Sobota Wydanie pierwsze

Wszelkie prawa zastrzeżone All right reserved

ISBN 978-83-7590-252-5

Na okładce wykorzystano fragment obrazu Geertgena tot Sint Jansa
„Pokłon Trzech Króli”

Projekt i opracowanie graficzne okładki:
Żaba Rudnicka

Agencja „Solaris”
Małgorzata Piasecka
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A
tel./fax 89 5413117

e-mail: agencja@solarisnet.pl sprzedaż wysyłkowa:
solarisnet.pl



ŻONA CENZORA

Motto: *Na początku było Słowo*
(A na końcu cenzor)

1.

Pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie ów gołąb, który z nonszalancją srał sobie w najlepsze na parapet, i to w momencie, gdy okręgowy cenzor Kornel W. spożywał niskokaloryczne śniadanie, przeglądając jednocześnie trzecią z serii nadesłanych mu anonimowo fotografii, które budziły w nim największe zaniepokojenie. Widniała na nich postać jego ukochanej żony, uwięzionej na dorysowanej niewprawnie czarnym flamastrem smyczy – symbolika dość oczywista; Kornel W. aż się skrzywił na jej dosłowność.

Cenzor podszedł do okna, by przepędzić skrzydlatego intruza, i wtedy właśnie zauważył gigantycznego osobnika wolno przemierzającego zabłocone podwórze. Wprawne oko Kornela W. natychmiast wyłapało niewspółmierności tej postaci – fala nieprawdopodobieństwa podążała za nią nieubłagane. Zdawało się, że rzeczywistość pierzcha na sam widok obcego. Sprawiał wrażenie, jakby go przeniesiono żywcem z marnego i czarnego kryminału – poruszał się kaczym chodem, nosił standardowo (obowiązkowy prochowiec), a kapelusz na ogromnej czaszce wyglądał jak żuk na placu defilad.

Żuk na placu defilad?! Kiepska fraza – skarcił się w myślach cenzor.

– Kochanie – zwrócił się cenzor do żony; w jego głosie nie znać było strachu.

– Tak, kochanie? – uprzejme zainteresowanie żony.

– Mogłabyś z łaski swojej przynieść pieczętki? Wydaje mi się, że są w gabinecie.

– Już pędzę, kochanie.

Nadużywała tego „kochanie”, ale nie była to jej wina.

W tym samym momencie nieznajomy wyraźnie przyspieszył. Wiele wskazywało na to, że jest absolutnie niezniszczalny. Kornel W. – nieco automatycznie – recytował w myślach „Litanię cenzora”, co miało go uodpornić na cud kreacji. W takich razach jednak „Litania” miewała skuteczność szczepionki przeciw grypie aplikowanej umierającemu na dzumę.

Dzień od początku źle się zapowiadał – karaluch napotkany w wannie wprawił cenzora w podły nastrój. Kornel W. obsesyjnie nienawidził insektów i chyba w ogóle owadów; zastosował więc cenzurę prewencyjną. Potem było już tylko gorzej i gorzej.

W chwili, gdy drzwi wejściowe wyleciały z zawiasów, a próg mieszkania państwa cenzorstwa przekroczył nieproszony gość o szczęce jakby kutej w granicie (cenzor odnotował ten szczegół anatomiczny z niesmakiem), pieczętka, ciśnięta przez żonę – *Ona jest jednak nieoceniona*, pomyślał Kornel W. - już szybowały w powietrzu, łagodnym łukiem o perfekcyjnie obliczonej trajektorii. Na widok cenzora, nieznajomy uśmiechnął się oszczędnie; gdyby oszczędność uśmiechów przynosiła jakieś profity, niechybnie dorobiłby się fortuny.

Ponura postać brnęła przez przedpokój, zahaczając o zgromadzone tu sprzęty, tłukąc lustro, pamiątkowy wazon po matce (cenzor aż zadrżał), tymczasem Kornel W., kierując się wypróbowaną nie raz taktyką, jął wykonywać pozornie niezborne ruchy, by wprawić intruza w konfuzję. W lewej dłoni dzierżył etui z pieczętkami; jak zwykle czuł w palcach mrowienie od intensywności prawdy, a właściwie PRAWDY, w nich skondensowanej.

Intruz postępował w głąb mieszkania jak tornado; cenzor zaś, wykonując skomplikowane piruety, które były unikami (bo czyż nie jest taniec sztuką takiego unikania, by ostatecznie doszło do zbliżenia?), zastanawiał się intensywnie, czy nie zapomniał aby zapłacić ostatniej raty ubezpieczeniowej. Ale pod czaszką, jakby obok, jakby równoległe do tych ekonomicznych przemyśleń, rezonowała mu cenzorska litania albo mantra, nawet jąła chyba swoim życiem żyć, zautonomizowała się, osiągając samodzielność brzmienia, bo przecież nie istnienia.

– Skuję ci mordę, jakbym był mrozem – rzekł przybysz, jego głos nie brzmiał dobrze, Kornelowi W. zdawało się, że dobywa się z jakiejś głębi, może nawet otchłani. Zresztą od jakiegoś czasu rejestrował nieuchwytną

niewspółmierność zmysłowego odbioru świata z doświadczeniem, pamięcią. Jakby inaczej pamiętał dźwięki czy widoki od tych rejestrowanych w teraźniejszości. Zdawało się, że coś nieuchwytnego filtruje wrażenia zmysłowe, odmieniając je na gorsze.

– Czas na odwilż – odparł cenzor, niezbyt błyskotliwie, ale choć a propos.

Uniknął cudem zamachowego ciosu, zanurkował zręcznie pod prawą ręką obcego i już właściwie miał go na widelcu. Mimochodem zarejestrował szczegóły, które nie były dla niego niespodzianką – prochowiec intruza stanowił integralną część jego istoty – wyrastał wprost z ciała, jakby stanowił żywą tkankę ucharakteryzowaną na sztuczność.

Nieznajomy obrócił się niezdarnie (mobilność nie była mocną stroną tej kreacji), by kontynuować starcie, ale Kornel W. już dzierżył w zdrętwiałej od prawdy dłoni pieczętkę. Płynnym ruchem przytknął ją do czoła obcego, szerokiego jak paryskie trotuary. Teraz widniał tam napis: USTAWA O KONTROLI PUBLIKACJI I WIDOWISK Z DNIA... – tu następowała odpowiednia data.

Facet jął puchnąć, i nie wyglądało to na naturalną dolegliwość. W dziesięć sekund niemal podwoił swą objętość i zdawało się, że za chwilę eksploduje, gdy nagle natura procesu odwróciła się – nieoczekiwany gość skolapsował jak umierająca gwiazda, zapadł w sobie, odwrócił na nice, jeszcze sekunda, jeszcze okiem mrugnięcie, i już go właściwie nie było.

– Cholera... – mruknął Kornel W., rozejrzawszy się po mieszkaniu.

Jeśli nie chciał spóźnić się do pracy, a nie miał takiego zwyczaju, musiał w tej właśnie chwili wychodzić.

– Może uda ci się doprowadzić to do porządku – rzekł do żony na odchodnym. – I od tej pory niech gołębie srają wszędy i do woli. Mam wobec nich dług wdzięczności...

– Oczywiście, kochanie.

Żona Kornela W. była kobietą idealną.

2.

Po drodze do budynku PC – co było skrótem od Pogotowia Cenzorskiego – Kornelowi W. zdawało się, że miasto puchnie. Był

to normalny objaw zaburzenia epistemologicznego po kontakcie z fenomenem Postaci, ale cenzor i tak nie mógł przywyknąć. Często nocami śnili mu się opuchnięci ludzie, którym bezskutecznie przykładął pieczętkę do czoła – puchli z jakimiś ironicznymi uśmiezkami na ustach i nie zamierzali kolapsować. Innym razem pęczniały mu w snach całe budynki, a on próbował miasto ratować okładami z Sienkiewicza; rzecz jasna daremnie.

Nawet masywny budynek PC, wznoszący się, a raczej rozłożony w centrum miasta, opodal Prospektu Wsiewołoda D., wydawał się Kornelowi W. jakiś bardziej niż zwykle obły, by nie rzec obolały. Zresztą w istocie ogromny był; mieściło się w nim dziesięć tysięcy pracowników na piętrach i około półtora tysiąca w warstwach piwnicznych. Solidne ściany wzmocnione były dętą i drętą literaturą, opasłymi tomami (fundament stanowiły dzieła pozytywistów), które miały stanowić zapórę przeciw zalewom kreacji. Ściany ogromnego zaiste westybulu wyłożono frazą socrealistyczną. W podziemiach budynku zaś mieściła się tzw. „Ferma Grafomanów”, gdzie praca wre dzień i noc, a grupa wyselekcjonowanych literackich pustaków tworzy – na trzy zmiany – nicość. W tej aurze twardej rzeczywistości, gdzie Prawda intensyfikowała się nad miarę, „dojrzewały” sobie w najlepsze pieczętki. Nad wejściem do podziemi widniała sentencja: PISAĆ, BY NIE MYŚLEĆ.

Co ciekawe, werbowanie autorów o zwiędłej wyobraźni, dotkniętych atrofią talentu, największe pokłosie przyniosło pośród byłych pisarzy science fiction, choć na pierwszy rzut oka wydawało się, że powinno być zgoła inaczej. Badania wykazały, że zdolności kreacyjne odwrotnie są proporcjonalne do stopnia dziwności fabularnej – w myśl Prawa Horowitza (jednego z klasyków cenzorstwa): nieprawdopodobieństwa fabuł są unikiem pisarskim, kryjącym zwykle – choć nie zawsze - brak talentu autora. Być może zresztą powody twórczej bezpłodności fantastów kryły się raczej w „niepodległości” rzeczywistości? Otóż kreacje zachodziły wyłącznie w dość ściśle zakreślonych ramach – Postacie ludzkimi być miały; wszelakie maszkarony nie zyskiwały odpowiedniej konsystencji i rozpływały się wnet w niebycie. Jakby w całym tym nieprawdopodobieństwie jednak czały się – paradoksalnie – reguły prawdopodobieństwa.

Największą jednak tajemnicą grafomanów był ich rozczulający brak świadomości własnej ułomności. To znaczy wiedzieli, oczywiście, gdzie się znajdują, i do czego wykorzystywana jest ich *quasi*-twórczość, ale zarazem wciąż wierzyli w swe talenta – chwilowo rzekomo ukryte – które wyklują się jak motyle z kokonów niemożności. Konkurowali ze sobą na fabularne atrakcje; mierzyli swe możliwości twórcze w walucie akceptacji kolegów po piórze. Przy czym zarówno akceptację, jak i jej brak uznawali za dobry znak – wszystko dało się odczytywać pomyślnie – raz jako wyraz uznania, innym razem jako niską zawiść. Zawiści chyba nawet wyżej były cenione od entuzjasmów. Fundowali jakieś środowiskowe nagrody, co wiązało się z budowaniem licznych wewnętrznych frakcji, których skład zmienny był jak pogoda i równie przewidywalny. Kornelowi W. paradoksalnie zdawało się, że mimo wszystko skonstruowali jednak, jakby wbrew swej oczywistej ułomności, wewnętrzny świat, alternatywny, rządzony własnymi prawami, głównie stochastycznymi fluktuacjami, w którym zostali obsadzeni nie w roli bogów, czyli autorów, lecz tłumu podrzędnych postaci. Byli jak Morłokowie świata twórczości; byli rewersem kreacji; a ich żmudna dłubanina w materii słowa przynosiła antytwórczość, zatem najdoskonalszy niwelator tego, czemu się poświęcali z takim oddaniem. Na swój sposób tragiczne z nich były postaci.

Kornel W. często oddawał się retrospektywnym rozmyśleniom, rzadziej marzeniom, ponieważ nie przepadał za rzeczywistością zastaną i dolegającą mu ze wszystkich stron. A dolegała, oczywiście, i tym razem. Ledwo przekroczył próg budynku PC, już spostrzegł, że dzieje się tu coś niezwykłego. Senni zwykle o tej porze dnia strażnicy w twarzowych granatowych uniformach z emblematem przekreślonego pióra w okolicach lewej piersi, krzątali się bezładnie z niewątpliwą nerwowością, sprawdzając zakamarki westybulu, lustrując przestrzeń za donicami okazałych filodendronów, jakby spodziewali się stamtąd jakiejś napaści, albo choć eksplozji.

Wyjaśnienia owych dziwnych zachowań doczekał się cenzor dopiero, gdy dotarł na drugie piętro, gdzie mieścił się WIP, czyli Wydział Identyfikacji Postaci, będący komórką szerszej struktury DPK - Departamentu Przeciwdziałania Kreacjom. Spotkał tu spoconego bardziej niż zwykle Winisława P., młodszego referenta WIP (swoją drogą – dlaczego młodszego; wyglądał na człeka w średnim wieku), który sam swym

niekonwencjonalnym wyglądem przypominał zdeformowaną Postać literacką. Łączył w sobie nadmiary z niedomiarami – na przykład ogromne i odstające uszy z twarzą wąską jak ucho igielne.

Kiedyś odwiedził cenzora w pieleszach w sprawach służbowych wprawdzie, lecz dość nieistotnych, mogli to równie dobrze rozstrzygnąć w miejscu zatrudnienia. Rozglądał się po wnętrznościach domu z łapczywością poznawczą, jakby był pasożytem, który znalazł się w objęciach ulubionego organizmu. Cenzor nie znosił odwiedzin obcych, lecz Winisława P. zaakceptował z nieznanym sobie przyczyn. Może dlatego, że ten komplementował żonę cenzora? A może raczej z tego powodu, że uczynił to tak niezdarnie, z wypiekami na groteskowo uformowanej twarzy? Było to niedawno, chyba w trakcie miodowego miesiąca, spędzanego przez cenzora, rzecz jasna, głównie w pracy.

Referent relacjonował Kornelowi W. zaszłe wypadki. Okazało się oto, że poranna napaść na Kornela W. nie była wyjątkiem potwierdzającym regułę nietykalności cenzorów oraz niewymuszonego społecznego szacunku, jakim ich darzono. Była to część pełnej rozmachu akcji. Dziesięciu cenzorów zostało rozdartych na sztuki przez emanacje czyjejś kreacji; jedenaście Postaci jednak zniwelowano – Kornel W. ocenił starcie na remis, z lekkim wskazaniem na stronę cenzorską; i wiedział, że Departament Propagandy opisze zdarzenie z jeszcze większą dozą optymizmu.

Na trzecim piętrze, gdzie mieścił się WP (Wydział Prewencji), a zatem i gabinet Kornela W., aż wrzało od przypuszczeń. Jedni mniemali, że za terror odpowiada PSL (Polskie Stronnictwo Literackie), podziemna bojówka, której celem jest destabilizacja ładu społecznego. Wskazywać miała na to pobieżna analiza użytych do napaści Postaci – ich nikła mobilność połączona z pozorną niezniszczalnością. PSL-owcy stawiali bowiem na skuteczność kreacji literackiej, niejednokrotnie kosztem subtelności środków wyrazu. Postacie odznaczały się całkowitym brakiem mimiki twarzy, jakby przyobleczono je w stężale maski, nadto niechętnie się odzywały (niektóre miały zrośnięte usta) – wynikało to z ekonomii środków wyrazu. Kornel W. jednak zdyskredytował tę hipotezę, ponieważ intruz w jego domu posługiwał się „chandlerowszczyzną”, co wskazywało na, nikłe wprawdzie (może maskowane?), ale jednak wyrafinowanie twórcy, a to wykluczało autorów spod znaku PSL. Tym bardziej, że raporty

pozostałych przy życiu cenzorów wskazywały na pewną różnorodność stylistyczną – a to napastnikiem okazywał się wyrefinowany sadysta posługujący się nihilistyczną frazą a la markiz de Sade, to znów perwersyjna kobieta zabijająca ofiary zaciskiem ud.

Ktoś wysunął przypuszczenie, że może w takim razie idzie o Sojusz Literatów Destrukcyjnych; ale i to wydało się wątpliwe, ze względu na ich chroniczną niewydolność organizacyjną. Programowa destrukcyjność wyklucza bowiem działania społecznie użyteczne, choćby w ramach grupy tak społecznie nieużytecznej. Kornel W. posługiwał się w swych rozmyślaniach paradoksalną frazeologią, wręcz z tego słynął, był to jakby jego znak firmowy. W każdym razie, SLD nie wchodził w grę, bo podobno znów podzielił się na frakcje; członkowie zwalczali się wzajem słowem, które stawało się ciałem; i nie mieli czasu na – jakże z ich punktu widzenia nieistotne – społeczne obstrukcje.

Wreszcie podjęto kolegialnie decyzję o rozpoczęciu śledztwa. Działania Kornela W. miały objąć środowisko tak zwanych „exów”, czyli eks-pisarzy, których (czwarte piętro – Wydział Demencji) w swoim czasie pozbawiono operacyjnie, bądź metodą tzw. „perswazji totalnej” zdolności kreatywnych, dla ich dobra rzecz jasna, choć być może w większym stopniu chodziło tu o dobro ogółu. Wciąż mogli pamiętać jakieś dawne kontakty, jakieś pożyteczne dla śledztwa szczegóły.

Kornel W. skierował się, a poruszał się z nawyku krokiem niekonwencjonalnym, to skakał na jednej nodze, to znów przechodził na krok łyżwowy, posuwiście płynny, do Sanatorium Pod Klepsydrą, gdzie rezydowali pacjenci Wydziału Demencji. Chciał uciąć sobie pogawędkę z Żorzem (prawdziwych personaliów nigdy nie ustalono), legendą pisarskiego cechu; jego łączność z kreowaną postacią (przed lobotomią, oczywiście) sięgała odległości około dwóch kilometrów, co było dotąd niepobitym rekordem.

Cenzora nieustannie kręciło w nosie, na skutek wiosennego oddziaływania pyłków traw oraz poezji miłosnej. Emanacja twórczości poetów okazywała się zwykle dość nieszkodliwa, ale z pewnością uciążliwa – były to drobiny o regularnym kształcie, już to gwiazdek, już spiral, (niektórzy naukowcy dostrzegali w nich podobieństwo do fraktali), które unosiły się w powietrzu. Przez jakiś czas obawiano się ich wpływu na płuca

i inne narządy wewnętrzne; szybko jednak potwierdzono obojętny wpływ poezji na ludzką kondycję.

Po drodze, gdzieś w okolicach Prospektu Prawdy Absolutnej, a może ulicy Twardej?, znów zebrało się Kornelowi W. na wspomnienia. Wciąż świetnie pamiętał, jak się to wszystko zaczęło. Zjawisko urealnienia Postaci dotknęło równocześnie kilku, niekoniecznie znanych pisarzy krajowych. Co u zarania swego musiało wyglądać komicznie, wkrótce – ze względu na skalę zjawiska – przemieniło się w tragedię. Przyczyn niezwykłości na dobrą sprawę nigdy nie ustalono. Może szło o magiczną barierę ilości (autorów), która nagle i nieoczekiwanie przeszła w jakość. Ale dlaczego wyłącznie na tym, ściśle określonym, skrawku globu? Osobliwość zdawała się szanować granice – nie wykraczała nawet o milimetr poza.

Znaleźli się natychmiast naukowcy ferujący mętne dość i ryzykowne, bo niemożliwe do zweryfikowania, hipotezy o natężeniu obserwacji, która przeszła w kreację – parafrazowano tu pseudo-teorie rodem z kwantowej fizyki, różne antropiczne nadinterpretacje, wedle których Wszechświat po to powstał, by być obserwowanym (w dużym uproszczeniu, rzecz jasna); co się ongiś dokonało na skalę najszerszą z możliwych, teraz powtarzało się na skalę węższą znacznie, tu i teraz, za sprawą pisarzy, którzy, jak wiadomo, intensywnie obserwują rzeczywistość. Ale i to nie tłumaczyło wąskiej reprezentacji geograficznej zjawiska. Przedstawiciele wszystkich religii, wyjątkowo zgodnie, potępili akty niespodziewanych kreacji, jako cud bluźnierczy i pozorny. Kreacja wszak, prawdziwa Kreacja, dokonać się mogła za sprawą Jedynego i ściśle określonego Podmiotu; masowość zjawiska urągała świętości. Posypały się ekskomuniki na Bogu ducha winnych pisarzy. Pojawiły się herezje sugerujące, jakoby Bóg był Pisarzem Ostatecznym; szatan jawił się w tych odstępstwach od ortodoksji jako Cenzor lub Krytyk Literacki. Z nieuchronnością klęsk żywiołowych objawili się prorocy dopatrujący się w niezwykłych zdarzeniach mesjanistycznych akcentów – kraj znów miał coś do zaoferowania światu. Cóż to jednak miało być – nie bardzo wiadomo.

Ukłucie niepokoju, przesywające jak błąd ortograficzny w dziele genialnym, na moment przerwało jego rozmyślania. Te fotografie żony... Przy okazji zorientował się przestrzennie – był jakiś kilometr od domu.

Pewien znany historyk literatury wypowiedział słynne zdanie, pod którym i teraz podpisałby się chętnie Kornel W.: „Papier stracił

cierpliwość”. Być może był najbliższy prawdy.

Głowę podnieśli nawet marksściści, którzy przypomnieli starą maksymę o świadomości będącej przecie niczym innym jak przejawem wysoce zorganizowanej materii. Materialny charakter ducha (o paradoksie!) nie mógł już ich zdaniem ulegać wątpliwości.

Pojedyncze przypadki zwiastowały niestety prawdziwą pandemię. Natychmiast doszło do – bolesnej dla niektórych twórców – weryfikacji skali talentów, ponieważ Postaci kreowane przez autorów zdolnych odznaczały się większą trwałością, aż do niezniszczalności niemal, a – co gorsza – przejawiały pewną, ograniczoną co prawda, ale jednak autonomię poczyznań. Skale talentu zaraz zyskały oczywisty przelicznik ilościowy – stanowiły iloraz trwałości postaci przez dopuszczalną odległość oddalenia od twórcy (jeśli postać przekraczała barierę, dziś nazywaną „barierą prawdopodobieństwa” albo po prostu „smyczą”, natychmiast dochodziło do znanego „efektu obrzęku”, a następnie kolapsowania). Wielu laureatów nagród literackich okazało się grafomanami w istocie; mnożyły się samobójstwa oraz przypadki obłędu – tzw. „syndrom jałowości”. Co gorsza, wpływ na jakość Postaci miały przyjęte mody czy też strategie pisarskie. Kreacje neoromantyków puchły od nadmiaru emocji autorów; w rezultacie mobilność ich była żadna; Postacie postmodernistów charakteryzowały się wewnętrzną sprzecznością motywacyjną – będącą przedłużeniem eklektyzmu autorów. Krążyły bezładnie w kółko, powtarzając jakąś charakterystyczną dla danego autora frazę, zwykle dość nonsensowną.

Natychmiast pojawiły się zadziwiające precedensy obyczajowe i prawne. Oto mąż, będący akurat pisarzem, mordował żonę swą z pomocą bohatera literackiego (specjalnie w celach morderczych powołanego; choć niczego autorowi nie udowodniono – prawo autorskie było wówczas w powijakach). Bohaterowie nadali się również nadzwyczajnie do realizowania zamachów terrorystycznych, na przykład na głowy państw – silne kreacje były praktycznie nie do zatrzymania. Istniało wprawdzie praktyczne ograniczenie – poruszali się bowiem zgodnie z narzuconym uprzednio przez autora programem; tu wyjściem mogły być niekonwencjonalne zachowania polityków, które zbijały Postacie z pantałyku: a to wizyty polityczne nie były zapowiadane, a to program ulegał twórczej dezorganizacji, co prowadziło do politycznej komedii

pomyłek oraz wystosowywania licznych not protestacyjnych. W istocie były to półśrodki; zamęt społeczny narastał. W rezultacie Ojczyzna Postaci, jak ironicznie nazywano kraj, poddana została izolacji, zarówno migracyjnej, jak i politycznej; kreacyjnych zdolności miejscowych pisarzy obawiano się wszędy jak najgroźniejszej z możliwych epidemii.

Równolegle prowadzono gorączkowe badania nad fenomenami – okazały się one całkowicie bezowocne. „Materia” składająca się na kreacje była oporna na jakiegokolwiek próby obserwacji; nawet przy pomocy promieniowania przenikliwego; nie mówiąc o konwencjonalnych przyrządach optycznych. Musiał to być budulec niesłuchanie „ściśnięty” na poziomie cząsteczkowym; albo też szło o immaterialny charakter postaci – było to „utwardzone” nieistnienie, byt paradoksalny, bo tak mocno nieobecny, że aż nadobecny.

Wszelkie konwencjonalne, a więc materialne, próby niszczenia Postaci zawodziły ze zdumiewającą konsekwencją, przyprawiając przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego oraz wojskowych o permanentne załamania nerwowe. I w tej populacji jęły się szerzyć samobójstwa, spektakularne pomieszania zmysłów; natomiast statystycznie rzecz biorąc – wyraźnie malały wskaźniki zatrudnienia.

Diabli wiedzą czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie nagłe olśnienie Wsiewołoda D., emerytowanego – z historycznej konieczności - cenzora, który sformułował zasady zwalczania immaterialistycznych herezji z pomocą konsekwentnie materialistycznego podejścia – i to na skalę przemysłową, rzecz by można (to jemu przypisywane jest autorstwo słów „Cenzorskiej litanii”, choć nie istnieją na to materialne dowody). I pomyśleć, że Wsiewołod żył i pracował tu, w tym mieście. Gdyby duma rzeczywiście mogła rozpierać, Korneliusz W. rozpuchłby się niechybnie, niczym Postać tuż przed ostateczną kolapsacją. Cenzorzy, owi twardo stąpający po ziemi sceptycy, okazali się nad wyraz skuteczną bronią. Pisarski proceder został – jako działalność antypaństwowa – zabroniony pod groźbą kary głównej. Na wszelki wypadek spalono większość zasobów światowej literatury w krajowych bibliotekach; słupy dymu bijące w niebo omal nie spowodowały katastrofy ekologicznej; sąsiednie kraje wystosowały noty protestacyjne.

Kornel W. sam uczestniczył w Procesji Palenia; był wówczas ośmioletnim dzieckiem. Wspomnienia wciąż budziły w nim żywe emocje –

pamiętał podniecenie i namaszczenie, z jakim paradował z „Akademią pana Kleksa” pod pachą do wznoszącego się ku niebiosom (zapewne słup ognia mniejszy był w istocie, niż się to zdawało małemu Kornelowi; dziecięca wyobraźnia wszystko wyolbrzymia) płomieniom; a zarazem trudny do zamaskowania żal – bo uwielbiał czytać bajki. Nawet rodziło się w nim czasem takie głupie podejrzenie, że został cenzorem z tego powodu, by móc czytać – była to część, wcale nie najprzyjemniejsza, rzecz jasna, cenzorskiej profesji – studiowanie stylów pisarskich, przegłądanie twórczych strategii.

Rozrzewnienie, uczucie jakże obce cenzorskiej mentalności, otrzeźwiło go natychmiast; wrócił do rzeczywistości w samą porę – cel był wszak blisko.

3.

Sanatorium Pod Klepsydrą mieściło się na przedmieściach, co mogło mieć swój urok – secesyjne domostwo, tonące w zieleni (ratunek nadchodził jesienią, gdy zieleń rzedła w oczach; zima oznaczała tymczasowe ocalenie). Podobno kiedyś, przed Procesjami Palenia, znajdowała się tu Biblioteka Wojewódzka, co miało w sobie – rozkoszną dla cenzora – aurę ironicznej absurdalności. Akurat kwitły jabłonie – w powietrzu roznosił się zapach lawendy; wszystko to wydawało się Kornelowi W. jakieś tandetne, jakby rodem z kiepskiej powieści. Ocenzurowałby te jabłonie, albo choć kwiecie, zmienił styl architektoniczny. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy nie był tu wiosną. Co więcej, chyba bywał tu wyłącznie jesienią; gdy park wokół Sanatorium tchnął jakąś adekwatną pustką, drzewa pospiesznie łyśiały, by dostosować się do ogólnego nastroju – wtedy wszystko było na swoim miejscu, świat nie wychodził z formy. Nawet obłoki leniwie wędrujące po mdlącym lazurze nieba budziły w cenzorze odrzę.

Drzwi ogromnych rozmiarów, można by powiedzieć wierzeje, rozwarły się z potępięcym zgrzytem i znalazł się w mrocznym wnętrzu. Wszystkie okna przesłonięte były kotarami, które filtrowały zewnętrzny blask, zmieniając jego radosną naturę w coś innego, coś przeciwnego. Ale wrażenie to złożył Kornel W. na karb epistemologicznych zakłóceń. Cisza

tu panująca zwiastowała nieobecność istot ludzkich; cenzor wiedział, że to nie może być prawdą.

Przechadzał się pustymi korytarzami, których ściany upstrzone były malowidłami różnej wielkości, utrzymanymi w różnych stylach, lecz o dość jednostajnej tematyce. Tryptyk „Piekło pisarzy” przywodził na myśl koszmarną poetykę Boscha – dusze artystów symbolicznie przedstawione w postaci obłych (*ech, ta obłość* – pomyślał Kornel W.) języków, ukrzyżowane były na gigantycznych wiecznych piórach – a „wieczność” piór symbolizować miała permanentny charakter męki. W mrocznej przestrzeni wiły się liczne demony reprezentowane przez odpowiednie akapity wyrwane wprost z kart dantejskiego „Piekła”.

Na innej reprodukcji książki zwisały „do góry nogami” (sądząc po tytułach), a z nacięć poczynionych na obwolutach sączyła się – jak krew – literatura. Dzieło nosiło tytuł „Strumień świadomości”.

– Dlaczego nikogo nie ma? – mruknął do siebie cenzor. I ku swojemu zdumieniu, doczekał się odpowiedzi.

– W sanatorium zwykle niemal wszyscy śpią – powiedziała pielęgniarka, która jak kwiat nocy wykwitła z półmroku za plecami cenzora; ten aż się wzdrygnął. Była ładna i młoda. Ale dominującą cechą jej oblicza okazała się bladość.

Jakby opalała się w mroku – pomyślał Kornel W.

– Z wyjątkiem personelu, oczywiście.

– Przecież jest środek dnia.

– Tu jest inaczej – odparła i zamilkła, jakby wytłumaczyła wszystko i nie spodziewała się dalszych pytań.

Cenzor nie przebywał w tym miejscu pierwszy raz; nawet bywał w sanatorium częściej niż ktokolwiek inny. Tłumaczył sobie ten fakt zdrową i profesjonalną gorliwością – wsłuchiwał się w majaczenia „exów”, usiłował łowić w nich sens (nazwiska, adresy), badał sposób ich „myślenia”, krótko mówiąc – nabierał doświadczenia. Ale było to wszystko podszyte niezdrową ciekawością – napawał się widokiem tych produktów Wydziału Demencji, wchłaniał atmosferę degeneracji, jakby ich słabością żył, jakby ich niemoc była jego mocą. Jakby byli – i on sam, i „pensjonariusze” sanatorium - jakościami wprawdzie krańcowymi, lecz mimo wszystko umieszczonymi na skali tej samej wartości.

Ale nigdy – dotąd – nie było tu tak cicho. Owszem, dostrzegął rzędącą aktywność stałych bywalców (uśmiechnął się na myśl o tym określeniu, jakże uroczo ironicznym); zdawało się, że z wolna zapadają się w siebie – może wewnętrzny świat zdawał im się od rzeczywistości bardziej interesujący, realny bardziej? Gdzież ten jednostajny szum informacji wypływający źródłem z ich zdemolowanych umysłów?

Jego uwagę przykuł widok drzwi, niepozornych, niemal zawłaszczonych przez ścianę, przez co ledwo dostrzegalnych. Coś pchało go do naciśnięcia na klamkę – poczucie, że za nimi kryło się jego przeznaczenie? Miał przy tym obezwładniające wrażenie, że wie, co się tam znajduje, że już tam kiedyś był (choć doskonale wiedział, że nie był); że zna rozkład pomieszczenia, każdy jego szczegół. Oczywiście, gdy próbował się skoncentrować na domniemanym wyglądzie pokoju, nic konkretnego nie pojawiało się w jego pamięci. Tylko to silne wrażenie pewności, że już się tam kiedyś znajdował.

– Chciałbym zobaczyć się z pacjentem numer siedemnaście – ocenzurował ciszę Kornel W. – Moje uprawnienia...

– Są nam znane, cenzorze. Nie gwarantujemy jednak komunikatywności ze strony naszych pacjentów... – Nie dałby za to głowy, ale odczytał w jej głosie lekką drwinę. – W naszym fachu niewiele można zagwarantować. Wszyscy, którzy akurat nie śpią, są w świetlicy. Tam oddają się ulubionym rozrywkom.

– A więc jednak coś gwarantujecie – mruknął cenzor.

Wciąż stali przed tajemniczymi drzwiami.

– To Śmiertelnia – wyjaśniła w końcu pielęgniarka.

Ruszyli. Szli w milczeniu.

Na ścianach malowidła o wymowie jednoznacznej; i półmrok sączący się przez kotary.

Wreszcie świetlica – cenzor był tu kiedyś. Pamiętał ten stół pingpongowy, zakurzony, bo nikt nigdy z niego nie korzystał. W innym miejscu, na chwiejnym stoliku rozłożona plansza do „Chińczyka”; Kornelowi W. zdawało się, że położenie pionów nie zmieniło się od dwudziestu lat, i tak mogło być naprawdę. Cztery krzesła zajęte; trzy osoby przechadzały się po sali pod baczny spojrzeniem barczystego sanitariusza. Z żarówki pod sufitem płynęło światło. Blask tu wydał się

cenzorowi czymś nie na miejscu, czymś niezgodnym z duchem tegoż wnętrza. Jakby nie włączano tu światła, a raczej wyłączano ciemność.

Pielęgniarka podeszła do sanitariusza i przez chwilę szeptali ze sobą, a ich szept harmonijnie włączył się w nurt wygłaszanych tu bełkotów; wszyscy mieli wciąż coś do powiedzenia; każdy tu rozmawiał głównie z sobą samym. Ten przenikliwy szept brzmiał dla Kornela W. jak symfonia sfer – sam nie wiedział z jakiego powodu. Może po to tu przychodził, by wsłuchiwać się w ich głosy; i to raczej w ich melodię, nie sens?

– Ma pan trzydzieści dwie minuty – rzekła pielęgniarka. Jeśli miał u niej kiedykolwiek jakiś kredyt życzliwości, to już go utracił. – Potem zabieramy ich na obiad.

– Czy moglibyście nam zapewnić jakieś osobne pomieszczenie?

– Trzydzieści jeden minut.

Ledwo rozpoznawał Żorża – okazał się jednym z siedzących. Zmienił się od ostatniego ich spotkania – schudł, oczy mu zmatowiały. Przez jego czaszkę biegła regularna blizna; przynajmniej ten szczegół nie uległ zmianie.

Żorż wpatrywał się w planszę „Chińczyka” z natężeniem, jakby spodziewał się tam odnaleźć co najmniej sens istnienia. Był jednym z nielicznych tu milczących; reszta gadała nieustannie; on milczał. Cenzorzy nazwali go Żorż, bo wymawiał gardłowo „r” – była to naturalna wada wymowy. Kornel W. pamiętał, że miał kiedyś przyjaciela z podobną skazą – ale to jego „r” było wynikiem głębokich studiów lingwistycznych i żmudnej roboty nad sobą. Pracował w pewnej francuskiej firmie oponiarskiej i w końcu okazał się pospolitym szpiegiem przemysłowym – jego obsesją było wykorzystanie „budulca” postaci jako komponentu opon samochodowych. Niezniszczalne opony... Cenzor uśmiechnął się do siebie. Iluż takich szpiegów, pachółków obcych mocarstw postradało lekkomyślnie żywota.

– Witaj, Żorż – powiedział.

Ale Żorż wciąż milczał. Z kącika ust sączyła mu się ślina. Trudno uwierzyć, że ten człowiek był kiedyś najbardziej kreatywnym ze znanych pisarzy – nikt inny, jeno Kornel W. go zneutralizował, i to po błyskotliwym śledztwie. W pewnym sensie Żorż zapewnił cenzorowi nieśmiertelność – zapisy w annałach; wykłady na metodologii rozpoznania stylu. Kornel W.

był sławny. A jego przeciwnik gnił. *Przemijał* – poprawił się w myślach cenzor.

Przysunął krzesło i usiadł obok Żorza. Przez jakiś czas stosował konwencjonalną metodę wolnych skojarzeń – rzucał hasła, nie spodziewając się jednak odpowiedzi. Czasem umysły Exów nieoczekiwanie „zaskakiwały”, jak stare maszyny, w których wciąż tli się energia. Wreszcie dał spokój i po prostu siedział w milczeniu. Wokół snuli się pensjonariusze – wraz ze zbliżaniem się pory obiadowej, ich liczba wyraźnie rosła, a szept narastał. Każdy jakby odgrywał jakąś rolę; wydawało się, że są Postaciami – i może w istocie realizowali tłące się w ich umysłach strzępy fabuł?

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że Żorz włączył się w kaskadę słów; coś mówił, zrazu niewyraźnie. Cenzor nachylił się nad nim i próbował wyłowić jakiś sens. Nie było to nieskładne mamrotanie; teraz żałował, że nie zabrał ze sobą magnetofonu, mógłby to nagrać, a potem spokojnie odsłuchać. Głos Żorza to zanikał, to wzrastał się, chwilami wybijając się ponad szmer. Reszta mówców zdawała się tworzyć dla niego akustyczne tło, był w tym jakiś niepojęty rytm; cenzor czuł się coraz bardziej nieswój. Z wolna jał rozumieć sedno wypowiedzianych zdań – była to niemal opowieść! Po chwili jednak zdumienie jemu z kolei odebrało głos: otóż Żorz relacjonował wydarzenia dnia dzisiejszego! Gołąb srający, Postać napadająca, Pogotowie Cenzorskie, Sanatorium Pod Klepsydrą, no i wreszcie ukłucia lęku ściśle związane z dostarczonymi cenzorowi fotografiami żony. Wszystko zmierzało jak po sznurku, linearnie, jedność czasu, miejsca i akcji... W cenzorze narastał strach. W tej atmosferze paranoi wydawało mu się, że dominującym słowem w chórze głosów wokół była „smycz”. Smycz, smycz, smycz – powtarzano z różną intonacją. Kornel W. poczuł gęsią skórkę.

– ... cenzor zerwał się i krzyknął – „skąd o tym wszystkim wiesz?!” – wymamrotał Żorz.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?! – krzyknął cenzor.

W zapadłej nagle ciszy rozległ się głos sanitariusza:

– Pora na obiad.

Kornel W. próbował skoncentrować swe myśli na czymś, co pomogłoby mu zapomnieć o myślach. Śledztwo zmierzało w dziwnym kierunku, rzecz by można, że właściwie metafizycznym. Nie bywał zachwycony, gdy mu coś rozsądzało poukładaną rzeczywistość, nawet rzeczywistość, która już wcześniej zupełnie nieźle eksplodowała. Z cudownością za oknem dawał sobie radę, wrosła wszak w otoczenie, nadto on sam wrosł w nią. Niecodzienność była mu już codziennością. Na domiar złego, nie mógł się z nikim dzielić swymi spostrzeżeniami, bo oznaczałoby to niechybną utratę stanowiska, może nawet uznano by cenzora za człeka niespełna rozumu, na co nie mógł sobie pozwolić.

Tymczasem, dla nerwów ukojenia, jął czytać zakurzone raporty regularnie produkowane przez SeN (Sekcję Nauki). Oto były entomolog Romuald K., zajął się kwestią, może niezbyt teraz palącą, świadomości Postaci. Choć problem sam w sobie był ciekawy – czy Postacie same są świadome, czy cokolwiek czują, czy myślą, czy – w związku z tym – należałoby mimo wszystko czuć coś na kształt wyrzutów sumienia w momencie ich dekapitacji?

Autor raportu porównywał Postacie do owadów, co było zrozumiałe, zważywszy na jego wcześniejsze zainteresowania naukowe. Kornel W. pomyślał z przekąsem, że to dobrze, iż Romuald K. nie jest z wykształcenia ornitologiem. Czytał jednak dalej, choć musiał przemóc swą naturalną awersję do owadów.

Owady, jak wiadomo, utworzyły społeczeństwa tylko trochę mniej skomplikowane od ludzkich, lecz uczyniły to metodami dla ludzi niedostępnymi. Wykształciły monstrualnie swe instynkta kosztem zdolności uczenia się, a przede wszystkim - wynalazczości. Ich ewolucja zmierzała ku wytworzeniu skomplikowanych żyjących automatów przystosowanych do stałego środowiska. Są to zatem istoty, u których maksymalna sprawność łączy się z minimalnym zindywidualizowaniem.

Owady uczą się z trudnością i szybko zapominają, ale w większości wypadków mogą w swym krótkim cyklu życiowym („Cykl życiowy Postaci też nie jest zbyt długi” – pomyślał cenzor i pierwszy raz tego dnia zarechotał, bezgłośnie co prawda) w ogóle uniknąć konieczności uczenia się, a tym bardziej

rozwiązywania nowych problemów. Każda mrówka czy pszczoła dopasowuje się do swego miejsca w społeczności dzięki połączeniu specjalizacji strukturalnej i instynktów. Organizacja fizyczna i psychiczna czyni z niej robotnicę lub żołnierza i nie pozwala funkcjonować w jakimkolwiek innym charakterze. Jej potrzeby indywidualne są minimalne i żadna z nich nie prowadzi do konfliktu z innymi członkami tej samej społeczności. Krótko mówiąc, społeczeństwo owadów składają się nie tyle z indywidualności, ile ze standardowych, wymiennych jednostek. Walka klasowa nigdy nie rozgorzała w mrowisku. (cenzor znów zarechotał). Mrówka przychodzi na świat wyposażona we wszystkie cechy, które najbardziej wymagający dyktator pragnąłby znajdować u swych poddanych.

Dalej uczony mąż zajmował się już raczej ludzkimi społecznościami – przy czym porównanie z owadami skonstruowane było, oczywiście, na zasadzie kontrastu. Człowiek miał być – w opozycji do owadów – produktem końcowym procesu ewolucyjnego, który zmierzał do wzrostu indywidualizacji. Cenzor pomyślał o swych kolegach, dzielnych funkcjonariuszach Wydziału Prewencji i wiara w owe „indywidualistyczne” mechanizmy ewolucyjne rzekomo „lepiące” człeka podległa zwątpieniu.

Ssaki wyspecjalizowały się w zdolności uczenia; z chwilą, gdy przodkowie współczesnego człowieka osiągnęli poziom ludzki, utracili większość automatycznych reakcji. Autor podkreślał na przykład ludzką zdolność do zapominania zbędności, jak również rozpoznawania nowych sytuacji.

Romuald K. konkludował, jakoby porównanie Postaci do owadów było w pewnym („powierzchownym”) stopniu uprawnione. Przy czym zastrzegł, że z powodu braku materiału badawczego, bardziej opierał się na domniemaniach, niż na empirii – wszak nie przeprowadzono, z oczywistych powodów, doświadczeń na społecznościach Postaci, bo takowych nie ma. Gdyby jednak były – zważywszy na ograniczoną autonomię poczynań kreacji, na nikłe zdolności adaptacyjne oraz na wpisany w nie z góry „program” postępowania (na wzór instynktów rządzących owadami) – społeczności takie mogłyby być konstruowane na wzór mrowisk czy kopców termitów.

– Czyli jednak cenzurować bez litości... – samodzielnie doszedł do wniosku Kornel W.

Następnie, kontynuując dzieło autoimpregnacji mentalnej na ukłucia niepokoju, jał przeglądać albumy ze zdjęciami autorów oraz kreowanych przez nich Postaci – mimo oczywistych różnic, wprawne oko mogło dostrzec pewne podobieństwa. W zależności od kondycji emocjonalnej czy też usposobienia autora, cechy bohatera okazywały się zwykle albo wzmocnieniem, albo osłabieniem cech kreatora. Oczywiście dawało się to ustalić wyłącznie *post factum*. Przy analizach porównawczych wzorowano się na technikach św. Tomasza z Akwinu, który tak właśnie ustalał właściwości Boga – metodą negacji (czyli likwidacji znanych w przyrodzie cech niepożądanych, nieprzystających do boskości) albo też eminencji (wzmaganie tychże cech). Podobnie, choć zazwyczaj był to proces nieuświadomiony, postępowali pisarze – wzmagając lub całkowicie negując własne cechy w bohaterach.

Kornel W. przyglądał się Postaciom z niesmakiem – wydawały mu się niedorobione, niedoskonałe, autorzy nie potrafili ukryć parodystycznego wydzźwięku własnych kreacji; garby świadomości ciągnęły kreacje w dół, ku kłoce śmieszności. Przez co nie okazywali należnego szacunku jemu, cenzorowi z powołania, jego świętej profesji. A gdyby tak, rozmarzył się cenzor, pod tą przekłętą szerokością geograficzną, tu i teraz, żył sobie niejaki Dostojewski? Czy byłby zadowolony ze swego Raskolnikowa, nihilisty z duszą, mordującego lichwiarkę w domu przy ulicy W-wej? A Flaubert, niestrudzenie, paranoicznie cyzelujący frazę? Pewnie zajrzałyby, stary świntuch, do owej tajemnej karety, która – z Emmą i Leonem – niby to przypadkiem, przemierzała paryskie zaułki... ulicę Elbeuf, bulwar Cauchoise, i tak dalej, i tak dalej.

Oto przeciwnicy godni Kornela W.!

Jeszcze tego samego dnia DAL (Dział Analiz Literackich), zwany niekiedy złośliwie „siną dalą” zawyrokował, że wszystkie Postacie uczestniczące w aktach terroru mają jednego autora. Jego przewidywane zdolności kreacyjne wprawiły wszystkich, nie wyłączając z tego grona Kornela W., w popłoch.

Od jakiegoś czasu rzadko przebywał w domu. Niepokojące myśli, przerywane rutynowymi czynnościami śledczymi, pochłoneły go jak niezmierna przestrzeń pochłania cokolwiek. Czuł się samotny w świecie swych rozmyślań.

Poza tym było tu spokojniej. Jakby antytwórczość powstająca w konwulsjach antytalentów pod jego stopami utwardzała cienki lód, po którym przyszło mu stąpać. Pośród cenzorów szerzyła się nerwowość – liczba przypadkowych osób (listonoszów, pracowników gazowni itp.) ugodzonych omyłkowo pieczętkami rosła w postępie geometrycznym.

A Korneliusz W. myślał.

Czy fotografie jego żony (dziś przysłano kolejną) nie łączyły się jakoś ze sprawą terrorystycznych napaści? Był jak pionek na zakurzonej planszy „Chińczyka”, nie swą wolą pchany. Skąd Żorż tyle wiedział o cenzora poczynaniach? Czy był przedmiotem, czy podmiotem manipulacji? Można było oczywiście, nieco wysilając imaginację, rzecz całą przedstawić racjonalnie – oto ktoś pilnie obserwował Kornela W. dnia feralnego, a ściśle przez owego kogoś określonego, znał każdy krok jego, każde jego posunięcie. Wcześniej też nie mogło się obyć bez obserwacji. Jeśli potraktować świat jako deterministyczną maszynkę, można – znając dobrze mechanizmy rzeczywistości – przewidywać ze znacznym prawdopodobieństwem zachodzące wydarzenia. Jeśli kto dobrze znał metody działania cenzora, ten mógł wiedzieć, że – śledztwo prowadząc – uda się Kornel W. do Sanatorium Pod Klepsydrą, bo tak często czynił w kryzysowych sytuacjach. Żorża oczywiście dałoby się wcześniej „zaprogramować” na taki właśnie przekaz; znany był fakt, iż niektórzy „nawróceńcy”, mimo swych umysłowych upośledzeń, posiadali znaczne mnemiczne umiejętności; wiernie powtarzali zasłyszane wieści, nawet naśladowując intonację wypowiedzi.

Były to jednak nadinterpretacje, i cenzor zdawał sobie z tego sprawę. Męczyło go przecucie, że porusza się po nakreślonych przez kogoś (czy może raczej Kogoś) horyzontach czasoprzestrzennych, fundamentalnie nieprzekraczalnych. Jakby sam był Postacią, być może nawet udaną, ale mimo wszystko ograniczoną w oczywistym zakresie. Właściwie dlaczego nie? Dlaczego miałby przypuszczać, że zakres Kreacji jest ograniczony; i że on sam i miliardy równych mu w ontologicznym statusie, miałby akurat stanowić granicę w tej piramidzie tworzenia?

Cenzor zostawił pielęgniarzowi z Sanatorium (pielęgniarcie nie ufał) dwa magnetofony, dla pewności kazał uruchamiać oba, jeśli tylko Żorz przemówi.

Sam zaś jął się doposażać, jakby szedł na wojnę z całą metafizyką świata. Gdzie mógł, tam poupychał pieczętki, a to pod pachami, a to u pasa, nawet w specjalnie spreparowanym obcasie buta. Lewym, bo był praworęczny. Aż cały zdrętwiał od przenikającej go na wskroś Prawdy. I czekał w gabinecie swym – już to na sygnał do działania, już na wieści z Sanatorium Pod Klepsydrą. Przechadzał się nerwowo – i nie były to rozległe przechadzki; dwa metry w lewo, trzy w prawo. Na parapecie spoczywał posąg Wsiewołoda D. odlany w brązie, ciężki, aż odkształcał parapet. Wsiewołod łypał również surowo na cenzora z taniej reprodukcji na ścianie.

– Co ty byś uczynił na mym miejscu? – szepnął cenzor.

– Nie wiem.

Kornel W. zmartwiał, bo był przekonany, że to Wsiewołod przemówił, ale to był tylko Winisław P., młodszy referent Wydziału Identyfikacji Postaci, ten o obliczu naznaczonym fundamentalnymi sprzecznościami.

Referent dostarczył analizę Postaci, która zaatakowała cenzora w jego własnym domu. Analiza była o tyle interesująca, że sugerowała, jakoby owa kreacja, tak zjadliwie napastliwa, nie okazała się wystarczająco spójna ontologicznie, w porównaniu z innymi „sprawcami” terrorystycznych napaści. Kornel W. spojrział, zdziwiony, na Winisława P., ten – jak zwykle – wydawał się pożerać cenzora wzrokiem.

– Czy to oznacza – zapytał cenzor – że akurat „moją” Postać napisał... hm... lewą ręką?

– Wskazywałyby na to liczne niespójności – mówił gorączkowo Winisław P. – niedbałości o detale... Płaszcz wrośnięty w ciało... Przykłady można by mnożyć.

– Ale dłącz... – Cenzor nie dokończył; przerwał mu dźwięk telefonu. Dzwonił konfident z Sanatorium Pod Klepsydrą: coś nagrał!

Cenzor odtwarzał oba nagrania po raz któryś – obaj, wraz z masywnym sanitariuszem, słuchali w osłupieniu. Stupor sanitariusza osiągnął takie rozmiary, że sam wyglądał jak pacjent, nad którym ktoś winien roztoczyć opiekę. Oba przekazy werbalne zupełnie się między sobą różniły; nagranie z pierwszego magnetofonu (choć numeracja była tu umowna) okazało się bełkotem; Korneliusz W. rozpoznawał głos Żorża, i to jego charakterystyczne „r”; natomiast rozszyfrować się tego nijak nie dało. Natomiast na drugi magnetofon nagrał się ni mniej ni więcej, jeno chór pensjonariuszy Sanatorium Pod Klepsydrą – śpiewali starą dysydencką pieśń, zakazaną oficjalnym edyktem.

– *Życie, życie jest nowelą...* – niosło się po pomieszczeniu.

– Nie wiedziałem, że oni potrafią śpiewać... razem. – Sanitariusz rzeczywiście wyglądał na zdumionego.

Ale daleko bardziej zdumiewające było, że jakoby oba magnetofony sanitariusz uruchomił równocześnie, w tym samym pomieszczeniu – świetlicy, rzecz jasna. Przy nagrywaniu zaś asystował osobiście. Nie przypominał sobie żadnych śpiewów. Żorż miał natomiast wypowiadać się jasno, a nawet precyzyjnie. Niestety, sanitariusz nie pamiętał treści przekazu, cierpiał bowiem na chroniczne kłopoty z koncentracją.

– Dlatego właśnie jestem tylko sanitariuszem – rzekł ze smutkiem.

Cenzor mu uwierzył, choć nie pozostawało to w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Zdrowy rozsądek jednak od jakiegoś czasu przestał być narzędziem przydatnym do opisywania rzeczywistości. Podobnie magnetofony, jak się okazało.

Jakby te cholerne magnetofony – myślał rozgoryczony cenzor – rejestrowały alternatywne – akustycznie – światy; jakby były istnym „kotem Schrödingera” dźwięczności. Właściwie to dobrze, że nie było trzech magnetofonów. Albo ośmiu.

Można było – znów – próbować jakoś tłumaczyć te wszystkie niespójności. Może sanitariusz został przekupiony przez jakiegoś osobnika o makiawelicznej osobowości? A może był po prostu złośliwy i naigrywał się z cenzora? Może wreszcie postradał na jakiś czas przytomność umysłu; w tym czasie zaś pensjonariusze cudownie odzyskali w jednej chwili świadomość i na poczekaniu utkali misterną intrygę?

Przez jakiś czas cenzor posiedział jeszcze przy Żorżu, lecz ten nucił tylko cichutko pod nosem znaną powszechnie pieśń. Już wychodził, gdy

Żorż nagle przemówił.

– Epitasis.

- Ep... – jęknął sanitariusz.

– Proszę nadal nagrywać – zadysponował cenzor. Ponieważ sanitariusz minę miał nietęgą, dodał: – Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

7.

– Epitasis, epitasis, epitasis ... – powtarzał gorączkowo Korneliusz W., natężając jednocześnie pamięć. Wiedział, że termin coś oznacza, że nie jest mu całkiem nieznany. Że słyszał już gdzieś, kiedyś to słowo.

Kasety dostarczył znajomemu inżynierowi dźwięków – by ten je na wszelki sposób zanalizował, oczywiście żadnych szczegółów sprawy nie ujawnił. Ciągłe stosował konwencjonalne, a zarazem racjonalne metody śledztwa, czyli badania wycinka świata podległego jakiejś deformacji (śledztwo było bezpośrednim skutkiem tejże deformacji; znów myślenie w kategoriach skutek – przyczyna). Potem zabrał się za przeglądanie słowników. Pomyślał, że to musiało się w końcu sprowadzić do wertowania jakichś ksiąg.

Znalazł w „Słowniku terminów literackich”. Rzecz jasna.

Epitasis – czytał – *(gr.) moment szczególnego zawikłania się akcji dramatycznej, zawężenie konfliktów między postaciami poprzedzające perypetię. Por. punkt kulminacyjny.*

– Punkt kulminacyjny... – mruknął.

Na razie brzmiało to neutralnie. Punkt kulminacyjny oznaczał jakieś rozwiązanie akcji. Ale jakie? W gruncie rzeczy spodziewał się czegoś więcej po wskazówce Żorża. Jakiegoś konkretnego. W chwili, w której nawiedziła go ta myśl – tak jakby los zsynchronizował zegarek z jego myślami – budynek PC aż zadrżał od przenikającego go na wskroś sygnału alarmowego.

W myślach litania, w czynach precyzja. Szybko, szybko. Wyćwiczone ruchy. Przyodziewek, ekwipunek. Schody. Funkcjonariusze w czarnych mundurach, większość to cenzorzy. Wszyscy płasają z przyzwyczajenia, wygląda to na chocholi taniec; niekonwencjonalne ruchy wszak warunkiem przetrwania... Czarne, obcisłe mundury; przedmiot marzeń ambitnych

chłopców. Za mundurem panny... Litania! Skoncentrować się na litanii... Korneliusz W. strofuje się w duchu. Nie są to piękne strofy. Na dole pobierają tarcze, lekkie jak puch, wzmocnione drętwą literaturą produkowaną w podziemiach.

Na ulicy już czekały radiowozy, obłożone warstwą antykreacyjną; trudno je zliczyć. Cenzor zdołał zapytać o miejsce akcji; młody, lecz widać dobrze poinformowany kolega po fachu wręcz krzyczy, by przebić się przez tumult:

– Świetlista!!!

Ulica Świetlista. Cenzor w myślach dokonał obliczeń i wychodzi mu, że nie może. No, nie może! Pięknie zasymulował kontuzję kostki, co przejawiało się arytmia posuwistego kroku. Kilku funkcjonariuszy spojrzało na niego współczująco. Radiowozy odjechały; wkrótce znikły za zakrętem. Taki korowód samochodów na sygnale to jednak wspaniały widok.

Olśnienie dopadło go nagle, z tak wielką intensywnością nieoczekiwanej, może też niechcianej?, wiedzy, aż poczuł się obezwładniony. Tak musi czuć się Bóg, tyle, że bez ustanku, o ile oczywiście istnieje.

To przy ulicy Świetlistej (która wówczas nazywała się inaczej, mniej uroczyście), na przedmieściach, mieścił się budynek czynszowy, w którym ongiś mieszkał legendarny Wsiewołod D. Tam objawić się miały światu jego genialne koncepty twórczej antykoncepcji.

Cenzorzy, nieco może sarkastycznie, nazywali to miejsce Punktem Kulminacyjnym.

8.

Gdy coś idzie nie po myśli cenzora, na przykład śledztwo, gdy rzeczywistość staje się niezrozumiała, wówczas – jak głosi „Kredo” Wsiewołoda D. – winien on niejako „zatrzymać” pęd świata, by mu się przyjrzeć, jakby rzeczywistość znaczkami była, albo choć motylem z kolekcji. Oczywiście relacje są odwrotne – to cenzor jest najczęściej przyszpilonym motylem, lecz złudzenie panowania nad sytuacją, chłodnego

namysłu, buduje każdego, a raczej odbudowuje. Bo bywa i tak, że nawet cenzorzy ni z tego ni z owego okazują się ruinami.

Kornel W. czuł się tego dnia mniej więcej jak zgliszcza, więc jął się przyglądać rzeczywistości, stosując powszechnie znane w branży techniki kontemplacyjne Wsiewołoda D. Proces subiektywnego „zwalniania” biegu rzeczy był stopniowy; najpierw dźwięki jęły dochodzić do niego jak gdyby z trudnej do precyzyjnego określenia dali; nabierały przy tym głuchego pogłosu, by wreszcie całkiem zczesznać. Wreszcie, nie tylko dźwięki, ale i cała reszta zdała się cenzorowi odległa, jakby nieistotna, wręcz zabawna. Z dezynwolturą pokawałkował pamięć ostatnich dni niczym tort urodzinowy, by przyglądać się kolejnym „porcjom” rzeczywistości z uwagą badacza. Gdzieś na marginesie świadomości właściwej odnotował heretycką myśl, że to bodaj Schopenhauer utrzymywał, iż powstrzymać pęd świata można poprzez sztukę jeno, która ma właściwości dla rzeczywistości „usztyniające”.

Obrazem, który początkowo wszystko zdominował była fotografia jego żony z dorysowaną smyczą. „Jakiż dysonans, jakiż despekt” – odzywał się w nim uczestnik otoczenia, lecz szybko wygasił te emocje; teraz był wszak obserwatorem, a nie uczestnikiem. Przekaz był, niestety, jasny. Ktoś wiedział.

Postać pisana „lewą ręką” – Kornel W. bynajmniej nie miał zginąć, przynajmniej nie w tym momencie; jego sprawności powszechnie były znane. Czym zatem był w istocie zamach? Ostrzeżeniem? Alibi? Przed kim i w celu jakim? Przed innymi cenzorami – że podlega niebezpieczeństwu w tej samej, co i oni mierze. W takim razie zamach byłby nie tyle czynnikiem destabilizującym życiorys Kornela W., ale wręcz odwrotnie – stabilizującym, sprzyjającym raczej. Ale dlaczego? Niejasności.

Punkt kulminacyjny znajdował się, z oczywistych powodów, poza jego zasięgiem. Poza zasięgiem.

Żorż i jego predykcje, które stawały się zrozumiałe zbyt późno; po fakcie. Żorż-Pytia. Kim naprawdę był Żorż?

Czy te wszystkie „ścinki” da się złożyć w jakieś „puzzle” sensu?

I znów alarm przenikający wszystko na wskroś.

Cenzor wyjrzał przez okno – radiowozy wracały. Nie wszystkie jednak. Ledwie trzy. Koniec akcji.

9.

Zieleń i biel, szpitalne kolory, były dla cenzora barwami „flagi kapitulacji”. Patrzył na Mikołaja Z. umieszczonego w bezpiecznym kokonie bandażów i gipsu – wyglądał jak pisklę, które nigdy się nie wykluje. Jeden z nielicznych ocalałych w hekatombie przy ulicy Świetlistej. Jego opowieść była rwana i chaotyczna. Ale przede wszystkim przerażająca.

Od początku stosowali standardowe procedury – po anonimowym donosie, dyskretna inwigilacja, która potwierdziła zasadność użycia cenzury istnienia. Rozpoznanie jednak okazało się niewystarczające.

– Gdy tam wkroczyliśmy... – mówił Mikołaj Z. łamiącym się głosem – ...od razu wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Powietrze aż falowało od nieprawdopodobieństwa... czegoś takiego... nigdy nie widziałem...

W budynku mieściło się od dawna Muzeum Cenzury; pieczołowicie dbano o zachowanie realiów z czasów, gdy mieszkał tam Wsiewołod D. Tymczasem, zdębiali od ogarniającego ich nieprawdopodobieństwa cenzorzy ujrzeli daleko idące ingerencje w kształt wewnętrzny budowli, co samo w sobie było już świętokradztwem. Pierwsze co zobaczyli, to postacie kustosza muzeum i kilku pracowników – jakby zastygłych w bezruchu; wyeksponowanych jak manekiny, zresztą ich ciała wydawały się mieć konsystencję plastiku. Byli martwi co najmniej od kilku dni, proces rozkładu ciał jednak został w tajemny sposób powstrzymany.

Jeszcze dziwniejsze było, że budowla zdawała się teraz być większą niż przedtem. To znaczy na zewnątrz się nie zmieniła, ale jakby roztyła się w środku, co mogło być subiektywnym, więc błędnym wrażeniem uczestników akcji. W każdym razie Mikołaj Z. zarzekał się, że objętość Muzeum wzrosła niepomniernie. Zmienił się też rozkład korytarzy – budynek przeistoczył się w istną płataninę przejść; labirynt; któremuś z cenzorów nasunęło się porównanie z mrowiskiem, którego model obserwował w dzieciństwie w Muzeum Naturalnym (Kornelowi W. przypomniał się nagle „entomologiczny” raport Romualda K., lecz odrzucił skojarzenie jako absurdalne). Dominowało wrażenie mroczności – nawet, jeśli akurat przez okno wpadało światło, to wydawało się jakby przefiltrowane przez mrok – choć niby wszystko było w normie – i szkło

okienne, i poziom jasności. Mikołaj Z. nie potrafił wytłumaczyć tego optycznego fenomenu. W ogóle, jego opis wydarzeń był niezborny; często szukał słów adekwatnych do wydarzeń i rzadko je znajdował.

Znów ukłucie niepokoju – tym razem zareagował tak cenzor na uwagę o tej dominującej mroczności. Miał wrażenie, że mrok towarzyszy mu od jakiegoś czasu – jak tło obrazu; wyciszone, ale zarazem konieczne – trudno wyobrazić sobie obraz bez tła.

– Czuję się obco... – kontynuował ranny. – Jak nigdy przedtem... A przecież mój współczynnik normy jest w normie... – Chyba nie dostrzegł tej jawnej tautologii. – Jestem elementem świetnie poukładanej struktury... – prawie płakał. – Ale tam... tam wszystko było... inaczej. Na odwrót...

Kornel W. rozumiał jego rozpacz, do pewnego stopnia oczywiście. Sam miał niski współczynnik normy; ale w jego profesji bywało to akceptowane. Czuł się źle w tym mieście. Czuł, że miasto go nie chce, a on nie chce miasta. Nienawidził ludzi z wzajemnością. Nie było w tym niczego patetycznego czy pretensjonalnego, nie była to poza. Była za to wściekłość i poczucie, że jest się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze. Że gdyby przyszedł na świat wcześniej lub później, i może trochę bardziej na północny zachód, to mogło być trochę lepiej. Ale było jak było – pech. Z drugiej strony to poczucie niespełnienia stare było jak ludzkość. Realizowane marzenia rychło stawały się koszmarami; nierealizowane – doskwierały palącą tęsknotą, ot, paradoks istnienia. Brał to wszystko z dobrodziejstwem inwentarza; złość wzmagala skuteczność; wszechogarniające wyobcowanie oznaczało brak przywiązania do czegokolwiek. A zatem brak sentymentów. Naraz przyszło mu do głowy, że może w tym przeobrażonym monstrualnie budynku było właśnie jego miejsce? Tymczasem Mikołaj Z. rwał nadal swą opowieść.

Pierwszy atak Postaci został szybko odparty, bez strat własnych, więc – mimo oczywistej aury nieoczywistości otoczenia – cenzorzy nabrali, zgubnego jak się miało okazać, poczucia pewności siebie. Im bardziej zagłębiali się w przepastne korytarze budynku, tym mocniej potęgowało się wrażenie, że są pochłaniani przez monstrualny organizm.

– Ten budynek żył... – szepnął Mikołaj Z.

Kornel W. wymienił znaczące spojrzenia z innymi obecnymi na sali cenzorami.

Ataki były jak przyływy – następowały jeden po drugim, w ściśle określonych odstępach czasu, można by na podstawie periodyczności tych przyływów, przepływ czasu regulować; pojawiły się pierwsze ofiary. Zdecydowali się wycofać dopiero na trzecim piętrze (mieszkanie Wsiewołoda D. mieściło się na piętrze szóstym; i tam spodziewano się tutejszego „jądra ciemności”). Powrót okazał się jednak znacznie trudniejszy.

Gdy ranny cenzor o tym opowiadał, zdawało się, że błędnie wprost proporcjonalnie do postępującej opowieści, jakby fabuła była mu krwią, a jej upływy miały żywotne znaczenie.

Przeszkody, które objawiły się podczas ucieczki, były czymś do tej pory nigdzie nie zarejestrowanym, czymś nowym, obcym, jedynym w swoim rodzaju. Ich występowania nic nie zwiastowało; żadna regularność nie zapowiadała, że pojawią się akurat „tu i teraz”. Mikołaj Z. naliczył dwa rodzaje pułapek, ale mogło ich być więcej. Po pierwsze, cenzorzy znajdujący się w sferze oddziaływania zasadzek tężeli – w sensie dosłownym – jak wcześniej personel Muzeum. Spotkało to bliskiego przyjaciela Mikołaja Z., ramię przy ramieniu uczestniczyli w niejednej akcji; ta jednak okazała się ich ostatnim wspólnym występem. Ten rodzaj zasadzek ochrzczono rychło jako „miny wieczności” – bo „uwieczniały” one ofiary; czyniły z nich pomniki; jednak była w tym niewątpliwa drwina, ponieważ wieczność dopadała swe ofiary w pozach niewystudiowanych, bywało, że komicznych (semantyczna dwuznaczność terminu „mina” okazała się podwójnie adekwatna, bo pułapki przyprawiały swym ofiarom gombrowiczowskie „gęby”).

– Skamieniał... – rannemu nie było do śmiechu. – Próbowałem go pociągnąć za sobą... Poruszyć choć... Ale nie mogłem...

Inni ni z tego ni z owego przeobrażali się w znanych bohaterów literackich – wygłaszali fundamentalne dla literatury frazy i przechadzali się po korytarzach, niepomni, gdzie są. Nie rejestrowali rzeczywistości, ich sytuacja była chyba gorsza od kondycji ślepców, bo ci ostatni choć mieli świadomość własnych ograniczeń.

– Najwięcej było Martinów Edenów – rzekł Mikołaj Z.

Mutacją tego zagrożenia okazała się reorganizacja cenzorów w podmioty liryczne – recytowane wiersze były prawdopodobnie przez nich wizualizowane wewnątrz (a może sielskie obrazki w niepojęty

sposób „pompowano” im wprost do umysłu; jakby byli mamieni przez kartezyjańskiego „demoną”); oni naprawdę widzieli akermiańskie stopy, czy ojczyźniane Litwy.

Wtedy dopiero Mikołaj Z., a pewnie i inni pozostali przy życiu (i zdrowych zmysłach), pojęli całą grozę sytuacji. Do tej pory Postacie stanowiły niezbyt trwałą anomalię, osobliwość w realności. Tu natomiast znaleźli się w autonomicznej przestrzeni, gdzie rządziły nie prawa fizyki, lecz literatury. Tu oni sami byli anomalią o cechach pewnej nietrwałości.

– To coś nas trawiło – powiedział dramatycznie Mikołaj Z.

On sam okazał się jednym z nielicznych „niestrawnych”. Nim jednak, poturbowany, opuścił budynek, przeżył dziwną, o ile jeszcze cokolwiek mogło go zdziwić, przygodę. Mianowicie ujrzał nadbiegającą Postać, o niezbyt imponujących parametrach, przy tym wyraźnie „niedopisaną”, naprędcie skleconą – konstytutywną jej cechą było fundamentalne niedopasowanie poszczególnych elementów, jakaś wewnętrzna sprzeczność, dialektyka bez syntez. (Opis ów poruszył jakąś strunę w duszy Kornela W.; wiedział, że właśnie usłyszał coś istotnego, ale skąd brała się ta pewność – nie miał zielonego pojęcia). Mimo licznych kontuzji, Mikołaj Z. bez trudu podszedł napastnika i płynnym sztychem zapieczętował go na amen. Jakież było jego zdumienie, gdy spostrzegł, że Postać nie puchnie, by następnie naturalną kolejną rzeczy kolapsować, lecz istnieje sobie w najlepsze!

– To był człowiek – powiedział z jakimś nienaturalnym spokojem. – Być może ten, którego szukamy. Autor. Sądziłyśmy, że znajdziemy go w epicentrum kreacji, a on obsadził siebie sam w roli podrzędnej postaci, i w ten sposób nas zwiódł.

Napastnik wraził osłupiałemu cenzorowi nóż w bok, i umknął.

Po wycofaniu tego, co pozostało z zasobów ludzkich, natychmiast zastosowano ciężki sprzęt – tarany sensu oraz naloty z powietrza pigułami prawdy. Długie zmagania zwieńczono sukcesem, ale i tak długo jeszcze nawożono skażony teren ekstraktem z grafomanii, by w okolicy – Boże broń - nie doszło do odrodzenia fikcji.

Wiadomość zastała go jeszcze w pracy: rozszyfrowano zapis magnetofonowy! Pędził na spodziewane słuchowisko z nadzieją – może jest na tej nieszczęsnej taśmie cudowne rozwiązanie wszystkich zagadek mnożących się ostatnio przez pączkowanie? Wszystkie elementy poukładają się, a lepiszczem trzymającym wszystko w ryzach jakiegokolwiek bądź sensu okaże się głos Żorża z tym jego gardłowym „r”.

Inżynier dźwięku zakomunikował mu, że rozszyfrowanie przekazu było banalnie proste, a trwało tyle, bo spodziewano się zadania skomplikowanego; i zastosowano najnowocześniejsze metody oczyszczania dźwięku. Tymczasem okazało się, że Żorż wypowiada sensowne zdania, tyle, że na odwrót, czyli do przodu tyłem – stąd wrażenie bełkotu.

Cenzor zamknął się w pomieszczeniu nazywanym przez dźwiękowców przewrotnie „ciemnią dźwięków”, by tam usłyszeć kwintesencję wszelkich znaczeń; by go oświeciło słowo, by się nawrócić na żorżyzm, jeśli taka zajdzie potrzeba.

Żorż powtarzał jedno zdanie: „Narratorem jest Winisław P. Narratorem jest Winisław P. Narratorem jest...”. Wyglądało na to, że ciągnie się tak w nieskończoność, a cenzor mimo wszystko nie był bogiem, nie mógł sobie pozwolić na taką stratę czasu.

– Winisław P. – mruknął cenzor. – Ale dlaczego narrator, a nie autor. I to jaki autor...

Iluminacji ciągle nie było. Ale kulminacja zbliżała się nieuchronnie, cenzor, przecież wytrawny znawca dobrych opowieści, przeczuwał to nieomylnie.

11.

Winisław P. mieszkał skromnie, jak przystało na młodszego referenta WIP. Cenzor minął wejście do piwnicy, nad którym wisiało ostrzeżenie o trutce używanej tu, jak wszędzie, przeciw szczerom. Na schodach ktoś rozlał ciecz, która mogła być wszystkim (światło, rzecz jasna, nie działało i cenzor nie rozpoznawał barw). Przy wysiłku wyobraźni plamy układały się w znajome kształty – ta właściwość, wyłącznie ta, upodabniała je trochę do obłoków na niebie. I przypominała cenzorowi cechę człeczego rozumu – poszukiwanie we wszystkim regularności, choćby w całkowitej

niezborności, przypadkowości; doszukiwanie się wszędy sensu, jakby to on był zasadą regulującą przyrodę i wszystko inne.

W zastałym powietrzu wznosił się ponad wszystkim innym fetor, udzielny władca okolicy, który był złączeniem zapachów różnej maści – od przypalanych obiadów po fekalia wyprowadzanych wprawdzie regularnie, ale i tak za późno zwierzątek.

– Ojczyzna, dom, rodzina – mruknął szyderczo cenzor, ale nawet jego głos nie brzmiał tu lepiej od szumu wiatru w rynnie czy bulgotu cieczy w kanale ściekowym; tak akustyka drwiła sobie z cenzora.

Kiedy stanął przed drzwiami mieszkania Winisława P., sądził, że jest przygotowany na wszystko. W cholewie pieczętka, za pazuchą nóż – nic i nikt, bez względu na ontologiczny status, mu się nie wywinie. Ale bardziej od sprawiedliwości, łaknął wiedzy. Zrozumienia.

– Niech pan tam nie wchodzi – kobiecy głos powstrzymał cenzora w ostatniej chwili; problemat metodologiczny – raczej zapukać czy drzwi wyważyć – zdążył rozstrzygnąć na rzecz drugiej opcji. Przez uchylone drzwi obok sączyło się światło. Ujrzał również nalaną twarz właścicielki głosu. – Tam straszy...

Zignorował ją.

Naparł na drzwi ramieniem, te ustąpiły z jakąś niespodziewaną lekkością, jak na drzwi była to wręcz zwiewność. Jakby wcale ich nie było. Jakby zapraszały.

Winisław P. czekał. Poza tym czytał książkę.

– „Przeze mnie droga w miasto utrapienia – recytował – *przeze mnie droga w wiekuiste męki*. Ble, ble, ble...Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją”[*].

– Wątpła aluzja – rzekł cenzor.

– Trafna. Nie wyważa się otwartych drzwi. Ani uchylonych bram. Witaj w Piekle.

Milczeli, wpatrując się w siebie. Winisław P. odłożył księgę. Wyglądał na zmęczonego, a raczej na śmiertelnie znużonego.

– Kim jesteś? Kim naprawdę jesteś? – zapytał Kornel W.

– Uspokoję cię. Nie mam praw autorskich do tej rzeczywistości. Jestem tylko narratorem.

– Narratorem?

– I jestem zmęczony. – Winisław P. zapalił papierosa. – Szczerze mówiąc, mam dość. Nie panuję już nad tym. Ale to naturalna kolej rzeczy.

– Naturalna kolej rzeczy?

– Nie sądzisz chyba, że jestem pierwszym narratorem?

– Kim jest narrator? – przerzucali się pytaniami.

– Narrator... dobry narrator... rozumie postaci. Nie ocenia ich, lecz opisuje. Z definicji wiadomo, że jest nadawcą wypowiedzi, w której rodzi się i kształtuje świat przedstawiony utworu...

– Narrator to postać fikcyjna... – rzekł cenzor. – To konstrukt autora...

– Wiesz o tym... – szepnął Winisław P. – Albo przynajmniej to przeczuwasz... Borges pisał, że jest coś niepokojącego w don Kichocie, który czyta książkę o sobie samym. Albo w Hamlecie, który w trakcie opowieści ogląda sztukę o sobie. Dlaczego tak nas to niepokoi? Może dlatego, że istniejemy w niewiele większym stopniu niż te nieszczęsne Postacie...

– Jesteś szaleńcem – stwierdził cenzor.

– Nie oceniaj. Spróbuj zrozumieć. Przez ten pokój codziennie galopują Jeźdźcy Apokalipsy. Sąsiedzi są lekko zniecierpliwieni. Niektórzy trochę się boją...

Rzeczywiście była w nim sprzeczność – Kornel W. widział to teraz wyraźnie: rozpacz kolidowała z szyderstwem, zmęczenie z nagłymi przybojami energii. W rogu pokoju coś jęło się formować. „Coś” to dobre określenie; takiej kwintesencji bezkształtu cenzor jeszcze nie widział. Kłęby bezmaterialnej materii wiły się jakby w paroksyzmach bólu. Mógł to być ból narodzin.

– A gdybyś ty mógł codziennie przyjrzeć się swej duszy... – szeptał młodszy referent – poprzyglądać się jej bebechom... Kuszące? Znów się formują. Kończmy z tym!

– Kim jest narrator?

– Kim jest narrator, kim jest narrator! – zirytował się Winisław P. – Tym, kim być musi. Istotą przeklętą i uprzywilejowaną. Dialektyczna sprzeczność. Narrator musi być zarazem twórczy i destrukcyjny – taka jest natura tego świata. Może każdego ze światów. Ja jestem tą Siłą... i tak dalej. On zrozumiał to pierwszy...

– On... Kto? – wzrok cenzora powędrował za spojrzeniem Winisława P. I teraz obaj spoglądali na portret. – Nie... To ... nieprawda...

12.

Nóż oczyścił po drodze. Do domu. Wciąż miał w pamięci uśmiech umierającego Winisława P. Jak można się uśmiechać w chwili śmierci? No jak tak można? Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie ma światła”. Jakby oczekiwał spełnienia tych konwencjonalnych oczekiwań ludu – tuneli, światłości. Tymczasem cenzorzy powinni umierać w mroku i zapomnieniu. Przede wszystkim w mroku. Mrok.

Mrok.

Roześmiał się. Po raz pierwszy wiedział, co ma robić, miał jakiś plan.

– Sztafeta pokoleń, psia ich mać! – *Co za słownictwo* – ocenzurował się w myślach.

Wsiewołod D. pierwszy zadbał o równowagę. Tacy jak on zdarzali się rzadko, raz na kilka dziesiątków lat. Wybrani... Przez Kogo? Łączyli w sobie potencjał ujemny z dodatnim – zdolności kreacji i niszczenia Postaci. Kornel W. był jakoby jednym z takich ludzi. Jednym na miliard. No, w każdym razie jednym na trzydzieści osiem milionów. Narratorem.

Winisław P. odgadł to szybko. Obserwował cenzora; wiedział o wszystkim. O wszystkim. Na swój sposób nim manipulował. *Hodował mnie* – pomyślał Kornel W. – *Troskliwie hodował*.

Nie wiedział tylko o jednym – nie wiedział nic o Żorzu, o jego zdolnościach przewidywania zdarzeń. Nie wiedział z całą pewnością, bo zapytany o to w minucie, a właściwie sekundzie śmierci, wyraził gasnącym wzrokiem zdziwienie. To się cenzorowi nie zgadzało; o jedną niewiadomą za wiele w równaniu jego życia.

Żona cenzora rzecz jasna nie spała, ale nie była to jej wina.

Przywitała go z kaptami w dłoniach, tą samą co zawsze banalną formułką. Ale i za to jej nie mógł jej winić.

Była piękna jak dzieło sztuki i tyleż miała w sobie życia. Choć odpowiedzialność za taki stan rzeczy nie była po jej stronie.

Gdy przytknął pieczętkę do jej czoła, zdawało mu się, że coś czuje. Tkliwość?

Lecz kiedy kolapsowała, i w nim wszelkie uczucia zapadły się gdzieś bardzo głęboko.

Stopniowo zatarł większość śladów - pielęgniarza aresztowano za współudział w akcji Kreacji; wkrótce zresztą został pensjonariuszem w byłym miejscu pracy.

Nigdy więcej nie odwiedził Żorża, choć co jakiś czas troskliwie dowiadywał się o jego zdrowie – jakby miało ono znaczenie dla ciągłości świata.

I jeszcze jedno. Kiedy po raz ostatni, tuż po akcji zatrzymania pielęgniarza, opuszczał mury Sanatorium Pod Klepsydrą, znów przystanął przed drzwiami Śmiertelni. Powróciło poczucie *déjà vu*, myśl prześladowcza, że już tam kiedyś był.

Wiedział, że to niemożliwe.

Stamtąd przecież się nie wraca.

.....

[*] Dante, „Boska Komedja. Piekło”, Warszawa 1975, przekład Edwarda Porębowicza.

ANIOŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

1.

Od dwóch lat Jakuba S. nękały sny, które nie zostawiały w pamięci żadnych szczegółów. Tylko silne poczucie wewnętrznego obrastania czymś lepkiem i krępującym; jakby knącza wirtualnej acz odczuwalnej rośliny splatały się w gęsty wzór kaftana bezpieczeństwa dla duszy. Czasem myślał o sobie jak o nurku, któremu na znacznej głębokości zabrakło powietrza; i nie pozostało mu już nic prócz umierania.

Tak właśnie czuł się Jakub każdego ranka: nurek po psychicznej chorobie kesonowej, pensjonariusz wewnętrznego domu wariatów, niebezpieczny, lecz wyłącznie dla swych myśli, które umykały w popłochu. Na szczęście nie trwało to długo, wnet wchodził we właściwy mu rytm życia. Nie inaczej było i tym razem.

Od razu po przebudzeniu zerknął w stronę starego budzika odmierzającego czas z leniwą precyzją. Gdyby nie ta precyzja, Jakub dawno pozbyłby się zegara. Spał pięć godzin i czterdzieści trzy minuty; o dwanaście minut dłużej niż wczoraj. Wciąż nie potrafił zmusić organizmu do większej regularności.

Do łazienki siedem kroków, co daje około 490 centymetrów.

Nabrał w dłoń (ileż to mililitrów?) zimnej wody i zanurzył twarz; na moment stracił oddech i atmosfera nocy powróciła. Był przekonany, że na dnie snu czai się przeszłość.

Piętnaście minut na śniadanie, potem spacer po ulicach miasta.

Niedawno wyczytał w „Notatnikach” Alberta Camus słowa, które autor kazał wypowiedzieć don Kichote’owi: „Tak, walczyłem z wiatrakami. Jest bowiem rzeczą głęboko obojętną, czy walczy się z wiatrakami, czy z olbrzymami. Tak bardzo obojętną, że można się pomylić. Mam metafizykę krótkowidza”.

Jakub S. lubił tę sentencję, choć w gruncie rzeczy kolidowała z jego filozofią życiową.

Metafizyka Jakuba S. była metafizyką pedanta.

Choć nie można było wykluczyć ewentualności, że jego maniakalna dbałość o detal była rodzajem ucieczki. Ucieczki od pamięci.

Nieco ponad dwa lata temu (Jakub mógł przeliczyć ten czas na godziny, a nawet sekundy) coś się stało. Coś na tyle strasznego, że stracił pamięć. Lekarze mgliście mówili o amnezji powstrząsowej, której skutki powinny stopniowo ustępować. Jakub nie chciał wiedzieć, czym był spowodowany wstrząs. Nie chciał również widzieć nikogo ze swej rodziny, żadnych znajomych. Wyraził dobitnie i kategorycznie życzenie, by nikt nie odwiedzał go w szpitalu. Lekarze przystali na to, pewien neurolog orzekł z aseptycznym współczuciem, że spokój będzie dla Jakuba najlepszym lekarstwem. Jakub doszukał się w tym pod każdym względem banalnym stwierdzeniu drugiego dna - oto stara jak świat strategia postępowania z trudnymi pacjentami: pozorne i nikłe ustępstwa oraz nieustanna obserwacja.

Uznał, że jest inwigilowany; może lustro w izolatce było z weneckiego szkła? Może jego rodzina, której nie pamiętał, obserwuje jego reakcje, porównując go z tym dawnym Jakubem, sprzed utraty tożsamości?

Na ciele nie miał śladów obrażeń; charakter katastrofy był zatem czysto mentalny. Ujrzał coś, co mu odjęło pamięć?

Nie rozpoznawał swej twarzy; przeglądając się w lustrze patrzył w oczy obcego człowieka – wrażenie fascynowało go. Nie odbierał swej amnezji w kategoriach klęski; nie, wręcz przeciwnie – uznał ją za szansę na wolność. Wolność od siebie samego i od wszelkich możliwych balastów. Mógł budować się od nowa, nie każdy dostaje w prezencie taką ewentualność. Był jak gmach niezadowolony z architekta.

Kim był? Ta banalna twarz, gładkie rysy świadczące o... No właśnie, o czym? Maska nietknięta dłutem losu. Do diabła, czyż straszne zdarzenia nie powinny czynić naszych oblicz ciekawszymi? Zadbane dłonie... Urzędnik? Pianista?

Nazwisko, jakim się do niego zwracano brzmiało pusto.

Przeszłość miała wagę mgły.

Kiedy zjawił się w szpitalu gliniarz w czarnym garniturze sugerującym pokrewną wprawdzie, lecz jednak trochę inną profesję, by porozmawiać z Jakubem o szczegółach, jak się wyraził, „wypadku”, ten wrzasnął jak zarzynane zwierzę. Krzyczał nie z powodu trawiącego go cierpienia, ale po to, by nie rozmawiać o przeszłości. Policjant umknął, przerażony.

Wyszedł ze szpitala po dwóch tygodniach, bez żadnych oznak poprawy stanu pamięci. Miał zgłaszać się co tydzień na badania kontrolne. Nie zgłosił się już nigdy.

Dowiedział się, że ma w banku znaczne oszczędności – natychmiast je podjął, korzystając z karty do bankomatu. Musiał poprosić przechodnia, by ten go poinstruował, jak korzystać z cudownego urządzenia rozdającego pieniądze; akurat była to jedna z tych rzeczy, o których zapomniał. Przy okazji dowiedział się, że limit dziennego poboru gotówki w ten sposób jest ograniczony. Tego samego dnia zrezygnował – w trybie natychmiastowym – z pracy. Okazało się, że pracował w branży reklamowej, co tylko utwierdziło go w postanowieniu ucieczki od dotychczasowego życia. Perspektywa sprzedawania rzeczy nikomu do niczego niepotrzebnych napawała go wstrętem.

Rezygnację złożył za pośrednictwem telefonu; rozmówca ją wyrażać ubolewanie, a zaraz potem – kondolencje, lecz Jakub natychmiast przerwał rozmowę.

Postanowił uciec z miasta, zostawić wszystko za sobą.

Chyba w pociągu jął po raz pierwszy, bezwiednie, zliczać mijane miasta. Ich nazwy odciskały mu się w pamięci z niezwykłą wyrazistością. Rejestrował częstotliwość stukotu kół, obliczał prawdopodobieństwo zaistnienia idiotycznych zdarzeń. Mimo niewątpliwej jałowości, czynności te niosły Jakubowi ukojenie; nadto odniósł silne wrażenie, że mimo wszystko czemuś służą, mają swą wagę. Metafizyka pedanta.

Zamieszkał w wynajętym mieszkaniu peryferyjnej dzielnicy zapyziałego miasta na północnym wschodzie kraju. Póki regularnie płacił czynsz, nikt go o nic nie pytał.

2.

Minuty stawały się latami. Jakub poddał się rytmowi życia: długie spaceru, podczas których obserwował innych ludzi i snuł na ich temat subtelne rozważania. Próbował dociec ich przeszłości, budował alternatywne życiorysy, układał symfonie losów. Dwie godziny dziennie trawił na czytaniu; cudze myśli nic nie ważyły. Sypiał niewiele ponad pięć

godzin na dobę. Miewał sny, których nie pamiętał. I wciąż obsesyjnie baczył na detale.

Nie zastanawiał się, czy ktoś go szuka. A jeśli nawet, to myśl ta jawiła mu się tak odpychającą, że natychmiast kierował umysł w inną stronę. Pragnął być nikim, rozpląnąć się w nicości, bo w nicości tkwiła oczywista, jak najbardziej znośna lekkość bytu.

Prawie mu się udało; sąsiedzi traktowali go jak powietrze, którym nie da się oddychać. Przemykał po schodach (44 do przebycia) jak cień; cienie nie zostawiają śladów, także w pamięci.

Czasem Jakubowi wydawało się, że jest niemal szczęśliwy, bo pozbawiony balastu wszystkich złych i dobrych chwil. Sądził, że dobre momenty ważą w pamięci tyle samo, co złe; niepotrzebnie obciążają duszę w takim samym stopniu. Z tego punktu widzenia były złe same w sobie, bez względu na ich pozytywny czy negatywny wydźwięk.

Nie tęsknił również za miłością. Regularnie, o ściśle określonej porze, zapraszał do siebie dziwki, których lekkość obyczajów znakomicie korespondowała ze zwiewnością życia wewnętrznego Jakuba S.

Któregoś jesiennego dnia, gdy z nieba spadł zimny deszcz, zaczęła go sąsiadka z pierwszego piętra. Była w średnim wieku, chyba samotna, kiedyś ładna, teraz zadbana. Miała uroczy nos, zadarty, śmieszny – nieco kolidował ze smutkiem jej brązowych oczu.

– Może wstąpiłby pan na herbatę? – zapytała drżącym głosem. Z jej mieszkania, zza uchylonych drzwi dobywał się zapach starych mebli i książek; Jakub określił go w myślach mianem „woni melancholii”. Pewnie odziedziczyła mieszkanie po matce. Może po babce.

Nie odpowiedział, stał tylko i mierzył ją wzrokiem. W myślach szacował jej wzrost i wagę – przeliczał w pamięci centymetry na cale i kilogramy na funty.

– Pan dużo czyta – powiedziała, wyraźnie speszona. – Widziałam, że nosi pan siatki wyładowane książkami, raz nawet rozerwała się panu i... – zachichotała nerwowo. – Ja też sporo czytam. Wieczorami. Ale nie mam z kim o tym porozmawiać...

I tym razem nie odezwał się. Rozmawiać z nią? O Grocholi czy o Dostojewskim? Co za różnica? Przyszłość zawsze staje się przeszłością. Balastem. Zostawił ją tak – wyglądała jak rzecz nie na swoim miejscu. Niepotrzebna, zbędna, ciężka.

Lecz od trzech miesięcy i czternastu dni zakres jego działalności poszerzył się. Już wcześniej przyglądał się ludziom i ich zachowaniom z niechęcią. Naznaczeni byli ciężarem, brakło im lekkości, na skutek licznych złudzeń upakowanych w ich umysłach. Przyglądał się ich bezsensownej krzątaninie i nie widział ludzi. Atomy. Poruszające się w przestrzeni atomy. Nie dostrzegające bezkresu, zajęte sobą i skrawkiem rzeczywistości, który ich dotyczy.

To skojarzenie przywiodło mu na myśl starożytną teorię atomistyczną Demokryta, o której czytał niedawno. Owóż według owego materialisty atomy poruszały się po stałych i nigdy niezmiennych torach, co czyniło – w dużym skrócie – przyrodę zdeterminowaną; w dobrze funkcjonującym mechanizmie nie ma miejsca na wolność. Może rzeczywiście z ludźmi jest podobnie? Może chaos ich poczynań jest pozorny, robią to, co muszą robić? Zaraz przyszła Jakubowi na myśl drobna poprawka, jaką wniósł do wizji Demokryta niejaki Epikur. Tak zwana teoria parenklizy, czyli częściowego odchylenia toru atomów. Niby nic wielkiego, a jednak rewolucja – odchylenie daje bowiem margines dowolności, a dowolność – niesie spłachetek wolności.

Właśnie wtedy Jakub S. powziął postanowienie – będzie parenklizą ludzkości, oczywiście na niewielką skalę, ze względu na nikłość środków.

Zabrał się do dzieła z ochotą; wcześniej musiał zmodyfikować jednak swój drobiazgowo skomponowany rozkład dnia: do sennej męki, spacerów i czytania dodał trzy godziny poświęcone odchylaniu losów ludzkich. Jego działania mogły uchodzić za nieszkodliwe dziwactwa – ot, potrącił kogoś, przechodząc mimo, a to podstawił komuś nogę, kopnął kogoś w tyłek, albo ni z tego ni z owego dał jakiejś osobie pewną sumę pieniędzy. Nie były to jednak posunięcia całkiem przypadkowe; poprzedzała je żmudna obserwacja, jaką prowadził podczas długich spacerów, wykorzystując cały arsenał swej pedantycznej spostrzegawczości.

Te drobne (choć ich konsekwencji nie da się przecenić) korekty losu, jakie nanosił na mapę bytu Jakub S. jakoś nie spodobały się samym „atomom”. Spotykały go przykre restrykcje - przekleństwa, a nawet pościgi. Jakub jął działać ostrożniej – podnajmował za drobne sumy bezdomnych, którzy o nic nie pytali. Nie miał stałego teatru działań, byłoby to zbyt ryzykowne; często zmieniał terytorium. Nie bez wzoru jednak –

podzielił plan miasta na pola gigantycznej szachownicy i poruszał się po niej ruchem skoczka.

Krył się w misyjnej działalności Jakuba S. niewątpliwy paradoks – oto apostoł regularności zabrał się za deregulację ludzkich losów; czynił to jednak z zegarmistrzowską regularnością.

Wreszcie ogarnęło go zniechęcenie. Nie miał pewności, czy w istocie wpływa na ludzkie losy, czy fakt, że ktoś za sprawą Jakuba spóźnił się na pociąg (jak w tym filmie Kiesłowskiego) wpłynie jakoś na dalsze losy spóźnialskiego? Miał Jakub za mało danych, nie było wcale pewne, czy ingeruje w węzłowym momencie czyichś losów. Czy rzeczywiście łopot skrzydeł motyla w Giżycku wznieca tornado w Kalifornii? Rosło w nim zwątpienie. Nad wymiarem etycznym swego postępowania nie zastanawiał się wcale – nie było istotne, czy wykolejenie losów odbędzie się z pożytkiem czy szkodą dla wykolejénca; ważna była sama zmiana.

3.

Któregoś dnia, podczas spaceru obserwacyjnego, Jakub zrozumiał, że sam jest obserwowany. Było to tak nieoczekiwane, że aż zamarł. Uporczywość spojrzenia nieznanego mężczyzny (180 cm wzrostu, nadwaga) kojarzyła się Jakubowi z wbijaniem gwoźdźca w plecy; i to jego plecy. Przez jakiś czas usiłował zgubić to spojrzenie, ale nie udawało się; wówczas nabrał pewności – jest śledzony. Policja? Za mało dyskrecji, za dużo ostentacji. Jakub był niemal przekonany, że obcy pragnie być dostrzeżony.

Dopadli mnie, myślał Jakub, rodzina, przyjaciele, przeszłość, żony, kochanki, dzieci na utrzymaniu.

Poczuł ciężar, jakby nagle grawitacja się wzmożła.

– Kuuubaaa? – Jakub aż się wzdrygnął, tak blisko podszedł go mężczyzna wykorzystując jego zamyślenie.

– Nazywam się... nazywam się... – stękał, przerażenie zalało go niepowstrzymaną falą.

– Wiem jak się nazywasz. Ale ja zawsze mówiłem do ciebie Kuba, a ty nigdy nie protestowałeś. – Mężczyzna zaśmiał się jowialnie. Jakubowi

ta agresywna serdeczność wydała się sztuczna. – Nie udawaj, że mnie nie pamiętasz! No... Marcin! No przecież, że Marcin...

Z grubych, jakby nabrzmiących od nadmiaru słów ust nieznanego wylewały się kaskady zdań, które nie miały dla Jakuba żadnego znaczenia. Marcin otoczył go ramieniem, a Jakub poczuł się jak oblężone miasto. Był oszołomiony, bezwolny, dał się prowadzić jak dziecko.

W końcu trafili do piwnicznego pubu. Marcin rozlewał do kufli piwo i słowa – wokół siebie. Był jak żywioł, jak kara Boska – na początku było Słowo, a na końcu powieść. Trylogia.

Wspominał niedwuznacznie o ich wspólnych wyprawach, „łowach”, jak to określał mrużąc znacząco mętne oko. Potem spoważniał, nawet uronił łzę, i jął coś mówić o dojmującym smutku i współczuciu. Dopiero wówczas Jakub ocknął się z odrętwienia.

– Ja pana nie znam – rzekł.

– Jak to: nie znam? – głos mężczyzny stał się nieprzyjemny. – Widzisz, mój drogi, ja nigdy nie uwierzyłem w tę twoją rzekomą amnezję

– Pan mnie nie rozumie! – krzyknął Jakub. – Ja pana NIE CHCĘ znać. Nie chcę wiedzieć, ani pamiętać. Mam do tego prawo.

– Prawo! – fuknął Marcin. – W dupie mam prawa. Co z obowiązkami? Moja siostra, a twoja...

Wtedy Jakub zaczął krzyczeć. Krzyczał i krzyczał; dźwięk był aż wibrujący. Już kiedyś wypróbował ten sposób na policjancie w szpitalu. I tym razem poskutkowało – Marcin odszedł, a właściwie uciekł.

Dopiero gdy dotarł do mieszkania (przez całą drogę biegł), spojrzał na serdeczny palec prawej dłoni. Wciąż był na nim ślad po obrączce, którą wyrzucił jeszcze w szpitalu.

4.

Następnego dnia, przypadkiem, zobaczył w skrzynce list. Pomyślał, że ktoś napisał do właściciela mieszkania, nie wiedząc, że ten już tu nie mieszka. Ale nie, list był adresowany do Jakuba. Poczuł zimne dreszcze; w głowie tłukło mu się, że go znaleźli, że namierzyli, że już nie ucieknie. Zaniósł list do mieszkania i położył na stole, ostrożnie, jakby epistoła

mogła być bombą. Z kokonu minut wykluwały się ćmy godzin, a on wciąż patrzył na przesyłkę. Bał się.

Była to jedna z tych magicznych chwil, które z rzadka nawiedzały go po utracie pamięci. Łapał się na jakichś preferencjach, choćby kulinarnych, ot, lubił wątróbkę. I myślał potem godzinami – czy to przedłużenie jego poprzedniego życia, czy tablica zapisywana jest na nowo? Zadawał sobie wiele trudu, by odmienić gusta, by zerwanie z przeszłością, w ogóle z czasem, było całkowite. Lubiał wątróbkę, więc jej konsekwentnie nie jadał. Nie cierpiał ruskich pierogów, zatem opychał się nimi bez opamiętania.

Teraz nagle pojawił się, że właściwie uwielbia otrzymywać listy (pisać pewnie też). W listach było jakieś dostojenie – oto zamrożona chwila, stan czyjejś duszy przekazywany na odległość. Nijak miało się to do szybkich kanałów informacyjnych – owe SMS-y, internety. Bezosobowe, natychmiastowe, jak rozmowa tu i teraz toczona. Zrozumiał też nagle, że nienawidzi rozmów telefonicznych. Takie momenty przerażały Jakuba. Nie musiały, lecz mogły być drabiną do przeszłości. Wyzwalaczem pamięci.

Wreszcie zdecydował się: rozdarł kopertę i przeczytał. Krótka, bezosobowa informacja. Dwadzieścia dwa słowa, zapisane równym charakterem pisma. Sto sześćdziesiąt dziewięć liter. Treść przynajmniej zagadkowa – ma znaleźć się w autobusie tej i tej linii, na ściśle określonym przystanku o nieprzypadkowej porze. Już w pojeździe musi zachowywać się według niezwykle precyzyjnej instrukcji. Brak podpisu.

Co robić? Iść? Nie iść? Działać? Nie działać? Ktoś zastawił na niego pułapkę? Po co jednak? Nagle zrozumiał, że pójdzie. Coś go pociągało w tym lakonicznym przekazie, choć zrazu nie wiedział co. Może chodziło o tę precyzję? Metafizyka pedanta, pomyślał. Pedantyczna metafizyka.

Przed wyjściem zestroił zegarek z czasem podawanym w radio. Od dwóch dni ćwiczył precyzję poruszeń, płynność kroku. O wyznaczonej porze wsiadł do autobusu i stanął przy tylnej szybie, dokładnie tak, jak określała to instrukcja. Instrukcja obsługi Jakuba S., pomyślał nie bez ironii. Kto to napisał? Któryś z poddawanych jakubowej obróbce „atomów” postanowił wziąć rewanż? Mało prawdopodobne. Jednak prawdopodobieństwo innych możliwości wydawało się jeszcze mniejsze.

Jakub rozejrzył się – autobus był wypełniony mniej więcej w połowie, szybko policzył pasażerów, a z wyniku dodawania wyciągnął pierwiastek trzeciego stopnia – dla treningu. Była to pora rozrzedzenia rzeczywistości –

większość „atomów” gnieździła się na zawężonych obszarach – praca, szkoła, przedszkole.

Spojrzał na zegarek – siedemnaście sekund.

Dziesięć.

Pięć.

Już.

Gdyby ktoś przyjrzał się zachowaniu Jakuba S. z boku, chłodnym okiem, pewnie by się zdumiał. Nikt go jednak nie obserwował. Jakub płynnym, posuwistym krokiem (biorąc poprawkę na fakt, że jest praworęczny, a zatem i prawonożny; przez co krok wykonywany prawą nogą jest o trzy centymetry dłuższy niż ten zaczynany lewą) rusza w kierunku dwójki młodych ludzi, nastolatków, dziewczyny i chłopca, którzy o coś się kłócą. „W takim razie idź!”, mówi gniewnie dziewczyna; Jakub zarejestrował wyraźnie słowo „idź”. Cztery kroki naprzód. „Jutro – mówi pewna urocza staruszka do równie sędziwego męża – będzie znowu padać”; lecz Jakub słyszy tylko owe „jutro” – i znów rusza dalej. Kolejna rozmowa, z której usłyszał godzinę; wreszcie ostatnia wymiana zdań – nazwa ulicy. Pojedyncze, wyrwane z kontekstu rozmów słowa układają się w logiczne zdanie. Idź jutro o ściśle określonej porze w pewne miejsce. Po co? Instrukcja w instrukcji. Nie prościej byłoby od razu zawrzeć tę drugą, tę ostateczną w liście? Jakub dochodzi do wniosku, że nie – być może właśnie przeszedł test na precyzję; nagrodą było rozwiązanie zagadki. Jutro.

Jak to możliwe, że ktoś (KTOŚ?) z góry wiedział, jakie słowa zostaną wypowiedziane przez pasażerów autobusu? Czy była to jakaś monstrualna inscenizacja? Dowcip na znaczną skalę, z wynajętymi aktorami?

Chciał uciekać. Ale nie da się uciec od samego siebie. To tak, jakby się chciało uciec przed własnym cieniem. Tożsamość zawsze nas dopada, jak wściekły pies.

Jakub przechadzał się po ulicach miasta i z wolna ogarniało go znużenie. Tysiąc pięćdziesiąty szósty krok – rejestrował umysł, gdzieś na krawędzi świadomości. Ale już nie przynosiło to ulgi.

Jakub S. stracił lekkość.

Ołowiane chmury pluły deszczem; ulice lśniły. Ludzie wokół usiłowali nie patrzeć na siebie wzajem, jakby w obawie, że ujrzą własne, po tysiącokrotnie zwielokrotnione odbicia.

Atomy.

Znów zastosował się do instrukcji. Był na TEJ ulicy. Jeszcze dwie minuty.

Samochody wyglądały jak zabawki poruszane dłonią gigantycznego dziecka.

Nieoczekiwanie opanowało go uczucie *déjà vu*, co już samo w sobie jest zastanawiające u człowieka, którego pamięć jest ruiną. Jakub rozejrzał się wokół siebie; był niemal pewien, że bliski jest iluminacji. Wiedział, co ma robić.

Zawahał się; szczątkowy instynkt trwania walczył w nim o lepsze z powołaniem. Tak, powołaniem. Oto chwila, dla której się żyje.

Jakub ocenił sytuację. Wziął pod uwagę każdą okoliczność – mokrą nawierzchnię szosy, potencjalną prędkość pojazdu, któremu za chwilę wejdzie w drogę. Już wiedział, w którym miejscu musi wyjść na ulicę i zaczekać na przeznaczenie. Nie swoje przeznaczenie.

Biegł, by zdążyć. Deszcz zacinał coraz mocniej. Już blisko. Zrozumiał wreszcie po co te wszystkie pedantyczne idiotyzmy, ta dokładność granicząca z manią – po prostu sposobili się do tej jednej jedynej chwili. Przynajmniej przez ostatnie dwa lata. A może przez całe życie?

Zobaczył samochód wychodzący z zakrętu; wiedział, że to ten. Skąd wiedział?

Chyba nowy model Opla.

Wahał się, wciąż się wahał. Co jasne, dostrzegał idiotyzm całej sytuacji – ryzykować życiem dla przeczucia?

A jednak, na drewnianych nogach, pokonując rosnący opór środowiska (jakby powietrze nagle zgęstniało), krok za krokiem...

Był na jezdni. Idealny punkt; kierowca nie ma żadnej możliwości manewru.

Podniósł dłonie, być może pragnąc tym irracjonalnym gestem powstrzymać tonę żelastwa. Gest daje się jednak odczytać inaczej – Jakub wygląda niczym dyrygent bez orkiestry.

Pisk opon, klakson. Zobaczył wreszcie wykrzywioną przerażeniem twarz kierowcy, przecinaną – jakby zmienną, pulsującą szramą – poruszającymi się jednostajnie wycieraczkami. Odruchowo próbuje obliczyć częstotliwość wychyłów i powrotów. Nie uspokaja go to. Już nic nie może go uspokoić.

Jeśli zjechałby na boczny pas – zostałby zmiażdżony przez nadjeżdżającego TIRa. Mógł jechać prosto – i przejechać Jakuba. Albo zjechać na pobocze, co oznaczało kolizję z barierką okalającą szosę i, w dalszej konsekwencji, upadek z pięciometrowej skarpy.

Jakub zamknął oczy; wciąż trwał w idiotycznej pozie dyrygenta, którego zignorowała orkiestra. Poczul na twarzy pęd powietrza.

Kierowca wybrał barierkę. Cudem zmieścił się między Jakubem a metalowym otokiem jezdnii. Bok samochodu był zarysowany, prawy reflektor stłuczony. barierka wygięła się, ale nie poddała. To cud.

Z auta wypadł jak pocisk mężczyzna, biegł w stronę Jakuba miotając przekleństwa. Za nim wysiadła jeszcze kobieta z dzieckiem.

Jakub milczał; nie potrafił wyjaśnić swego zachowania.

Policja.

Pytania – dlaczego, dlaczego, dlaczego. Kierowca nieustannie groził sądem.

No właśnie – dlaczego?

Impuls? Niektórzy ludzie nagle, całkiem bez powodu wstępują do jakiegoś sklepu, by kupić tam coś niedorzecznego. Inni znów wsiadają do autobusu i jadą gdziekolwiek. Być może chcą zerwać, choć na krótką chwilę, łańcuch przyczyn i skutków, którym stało się ich życie? Wyrwać się z dręczącego rytmu, zaprzeczyć dławiącej oczywistości.

Jakub jednak kochał rytm. Nie chciał zmieniać życia.

Często zastanawiał się nad atrybutami człowieczeństwa. Co takiego nas konstytuuje? Inteligencja? Życie w społecznościach? Kultura? Altruizm? Egoizm?

Pamięć?

Nie. Raczej bezradność. Niemoc. Strach.

Czy wyszedł na ulicę po to, by pokonać strach? Nie. A w każdym razie nie tylko po to.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

5.

Życie Jakuba zmieniło się na gorsze. Sądził, że zna powody swego dziwnego zachowania, ale z każdą upływającą minutą rosły w nim

wątpliwości. Następnego dnia gotów był założyć, że jest szaleńcem o samobójczych ochotach. Nie wyszedł na spacer. Przestał liczyć schody i ptaki. Perspektywa snu przerażała go.

Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, pomyślał, że to policja. Ale była to tylko znajoma dziwka, która przyszła na umówione spotkanie. Jak mógł o tym zapomnieć? Odprawił ją pewną sumą pieniędzy. Spojrzał na kobietę krytycznie – lekkość obyczajów nie korespondowała jednak z lotnością umysłu. Dawniej nawet by o tym nie pomyślał. Wszystko było nie tak.

Nie spał dwie doby, aż w końcu dopadł go sen.

We śnie Jakub wie, kim jest. Jest sobą.

Wie teraz tyle różnych, potrzebnych, lecz głównie niepotrzebnych rzeczy.

Ma piękną żonę, którą regularnie zdradza, ale nie przywiązuje do tego znaczenia. Ma też syna. Kocha życie, kocha rodzinę. Ale akurat o tym nie wie.

Jak zwykle umysł Jakuba wraca obsesyjnie do ściśle określonej chwili w jego życiu.

Jadą we trójkę na wakacje. Nad morze. Czekali na to cały rok. Zatrzymują się na poboczu; żona z synem idą do lasu. Chłopiec jest jeszcze za mały, by samodzielnie sikać.

Jakub wysiada z wozu; przechadza się, oddycha głęboko świeżym powietrzem. Po chwili zapala papierosa, bo powietrze wydaje mu się zbyt świeże. Czuje się odprężony.

Dostrzega nadjeżdżający samochód; jest jeszcze daleko, lecz szybko się zbliża. Jakub nie wie dlaczego, ale ten widok budzi w nim niepokój. Jego rodzina wychodzi z lasu; wracają powoli poboczem. Jakub jest dokładnie pośrodku – z jednej strony samochód; z drugiej – żona z synem. W nagłym przebłysku intuicji wie, co się za chwilę stanie. I wie, że może temu zapobiec. Wie tyle potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy... Musi stanąć na drodze tej rozpędzonej kupie żelastwa. Musi zmienić tor losu. Teraz, natychmiast. Najwyżej zginie. Ale uratuje rodzinę. Wezmą go za samobójcę – co z tego?

Nie wierzy do końca. Bzdury. Oszalał czy co? Samochód mija go; za późno na idiotyczne gesty desperata. Jakub widzi głowę

kierowcy opadającą na kierownicę – jakby nagle zasłabł albo zasnął...

– Neeee! – krzyczy. – Neeee!!!!

Z tym okrzykiem budzi się. Nic nie pamięta; tylko ten osad, który go dławi.

6.

Późne popołudnie; spał bardzo długo. Perspektywa powrotu do regularności już go nie podnieca. Nie bardzo chce mu się żyć. Był szaleńcem. Wariatem. Gumowe ściany – oto łagodna, bezkolizyjna przyszłość, jaka wyraźnie rysowała się przed Jakubem.

Dzwonek. Otwierać, nie otwierać? I tak w końcu wejść. Otworzył więc.

W drzwiach stał listonosz z paczką w dłoniach.

– Pan Jakub S.? – zapytał. W jego głosie było coś kojącego. A przecież zwykły listonosz. Listonosze nie przynoszą szczęścia.

– Jest pan pewien, że to do mnie? – zdziwił się Jakub. Nikt go tu nie znał. Nikt nie wiedział, że tu mieszka. Nikt z dawnych znajomych. Nowych nie miał.

– O ile jest pan Jakubem S. Proszę o dowód tożsamości.

Dowód tożsamości.

– Czy to pan wrzucił do skrzynki... – Jakub zawahał się – ... tamten list?

– Jaki list? Gdybym pamiętał wszystkie dostarczane listy... – listonosz machnął ręką.

Jakub zważył w dłoniach paczkę. Książka?

– Brak adresu nadawcy – zauważył.

– Boi się pan, że to bomba? – zadrwił łagodnie listonosz.

Jakub rozpakował. Kasetę wideo.

– Nie mam nawet telewizora, co dopiero mówić o magnetowidzie...

– To dobry film – rzekł z naciskiem doręczyciel.

– A skąd pan może to wiedzieć? – zdziwił się Jakub.

– Bardzo długo pracuję w tej branży. Proszę mi zaufać. Do zobaczenia, panie Jakubie.

– Żegnam.

Przez całą noc Jakub rozważał dylemat – skończyć ze sobą czy też kupić magnetowid? Zdecydował się na rozwiązanie kompromisowe – najpierw magnetowid, potem zejście. Rozpacz powoli ustępowała w nim miejsca ciekawości.

Od bardzo dawna nie był niczego ciekaw.

Kupił sprzęt; sprzedawca zdziwił się, że nie na raty.

Najpierw włączył telewizję; przez chwilę skakał po programach. Jego uwagę przykuły reklamy proszków do tkanin, ponieważ obiecywały lekkość i puszystość. Wciąż tęsknił za bezpowrotnie utraconą lekkością. Może to on był autorem tych reklamówek?

Wreszcie uruchomił magnetowid. Od razu akcja; bez listy płac, bez żadnych napisów. W kadrze samochód, nowy model Opla; ulica mokra od deszczu. Młody mężczyzna za kierownicą; na tylnych siedzeniach – ładna kobieta i dziewczynka. Śmieją się.

Jakub dopiero teraz zrozumiał – przecież to TEN samochód i TEN dzień. A za chwilę nastąpi TA chwila. Zobaczy siebie wychodzącego na ulicę. Ktoś go sfilmował! Ktoś go śledził! Ktoś robił z niego idiotę! Chciał wyłączyć telewizor, ale nie mógł. Cały czas oglądał, nie potrafił oderwać wzroku. Skrzyżowanie, jeszcze moment...

Teraz.

Nikt nie wyszedł na ulicę.

Nie było go tam!

Może to inny dzień. Inny samochód?

Znów wewnątrz wozu. Dziewczynka śmieje się coraz bardziej, Jakub nie wie z czego; film jest kręcony bez dźwięku. Mężczyzna obraca się i patrzy na małą, zniecierpliwiony. Odrywa wzrok od jezdni w złym momencie. Bardzo złym.

Jakub zamknął oczy. Po policzku płynie mu łza. Mój Boże, jak dawno nie płakał. Jak dawno.

Dopiero po jakimś czasie cofnął kasetę. Długo myślał, czy ją odtworzyć raz jeszcze. W końcu zdecydował.

Ale na ekranie był tylko śnieg.

Mówią, że listonosze nie roznoszą szczęścia.

Kilka dni później listonosz przyniósł mu wezwanie do sądu.

Inny listonosz.

PISARZ, DZIEWCZYNA I CENZOR

1. PISARZ

Ołowiane chmury wściekle pluły deszczem. Kadec był przekonany, że to manifestacja niebiańskiej pogardy do niego. W tak parszywe dni osobiście odbierał nawet zjawiska atmosferyczne. Parasole rozkwitły niczym ogromne, czarne kwiaty. Ulice z wolna pustoszały; wkrótce po mokrych trotuarach snuły się tylko samotne i zwiewne postaci fantomów reklamowych, nieodmiennie chwalaących produkty, których znakomitego działania same nigdy nie zaznają. Kadec pomyślał, że mimo bezdyskusyjnej bezcielesności, i one wyglądają na przemoknięte.

Josef Kadec, pisarz z zawodu, a niegdyś nawet z powołania, czuł się źle w ociekającym wodą prochowcu. Na domiar złego, był przekonany, że jego lotna dusza zamknięta jest w okowach zbyt ciężkiego organizmu. Wrażenie potęgował sezonowy katar oraz ból głowy napływający regularnymi falami. Pisarzowi wydawało się, że jego umysł też jest mokry od tych fal.

Dom. Klatka schodowa zachowywała się tego zbyt wieczoru głośno; każdy krok Kadeca wprawiał ściany w niemilknący rezonans. Minęła dłuższa chwila (dłonie nieco mu drżały) nim włożył klucz do zamka. Kiedy wszedł do mieszkania, zaraz pozapalał wszystkie światła: od jakiegoś czasu nie lubił ciemności. W jedynym pokoju, na namiastce perskiego dywanu walały się skorupki po fistaszkach.

Znowu tu był – pomyślał Kadec.

Z trudem ściągnął z siebie przemoczone łachy i zagłębił się rozległym fotelu. Przez chwilę patrzył na krople deszczu spływające po szybie. Bezskutecznie poszukiwał jakiegoś sensu w ich poplątanej trajektorii. Na stoliku, pod oknem stała stara maszyna do pisania. Na nią próbował nie patrzeć. Nawet nie wiedział kiedy zapadł w płytką drzemkę, z której wyrwał go brutalnie sygnał telefonu. Wciąż bolała go głowa.

Dzwonił cenzor. Pozbawiony twarzy i nazwiska, lecz niepozbawiony głosu. Czasem Kadec sądził, że cenzor jest po prostu głosem, że gnaty i ściągnięta na nic nie mogą mu się przydać. Jowialny, dobrodusznie brzmiący

głos śmiertelnego wroga i zarazem jedyne przyjaciela. Kiedy indziej (w dużej mierze zależało to od samopoczucia oraz atmosfery chwili) brał pisarz cenzora za biologiczną maszynę obdarzoną superpamięcią i fenomenalną zdolnością natychmiastowego zapomnienia o wszystkim, co mogłoby okazać się czymś istotnym. Być może był tym wszystkim na raz. I czymś jeszcze.

– Dobry wieczór, Josefie.

– Deszczowy wieczór – mruknął Kadec z egzystencjalną zadumą nieustannie zatroskanego pisarza, który musi wymierzać sprawiedliwość widzialnemu i niewidzialnemu światu, choć cholernie mu się nie chce nawet wymierzać policzków legionom niegodziwców. W tej liczbie: cenzorowi. – Znowu tu byłeś.

– Niestety, nikogo nie zastałem. To orzeszki, prawda? Orzeszki mnie zdradziły... – cenzor mówił tak, jakby fistaszki były jakimiś złośliwymi istotami obdarzonymi wysoką autonomią poczynać.

To była taka ich dziwaczna gra – cenzor odwiedzał pisarza co jakiś czas, zawsze pod nieobecność Kadeca, i zaglądał do szuflady, w której spoczywało nieukończone opowiadanie, życiowe dzieło pisarza; oczywiście bez szans na publikację. Sobie tylko znanym sposobem dostawał się do mieszkania i – niby to przypadkiem – zostawiał po sobie skorupki po orzeszkach, zapewne po to, by pisarz dowiedział się o jego przybyciu, o tym, że cenzor czytał i – być może – docenił.

– Pisz tak, byśmy mogli cię publikować. Czytelników martwi twe przedłużające się milczenie, no i te plotki o chorobie alkoholowej... – w głosie cenzora pobrzmiwała przygana, wprawdzie łagodna (była w tym nawet jakaś melodia; Kadec podejrzewał, że cenzor może być niespełnionym tenorem operowym), lecz pisarz odczytywał to po swojemu: *nie opublikujesz niczego w najbliższym czasie – koniec z dotacjami, a co za tym idzie i pijaństwami za państwowe pieniądze*. Uśmiechnął się zatem szeroko (ciężko pracował nad szerokością uśmiechu) i rzekł:

– Pracuję nad lekkim opowiadankiem z gatunku młodzieżowej awantury przygodowej. Nic zdrożnego...

– Nic z tego, Josefie. O młodzieży nie pójdzie. Nie w tej chwili.

– Ale...

– Wiesz dlaczego, prawda?

Kadec wprawdzie nie wiedział, ale domyślał się: niesprzyjająca koniunktura, młodzieżowe ruchawki, wzrost liczby samobójstw wśród młodych nadwrażliwców, demonstracje przeciw cenzurze i światopoglądomierzom. I tak dalej, i tak dalej.

– Słyszałeś o jakimś Eryku Kandelabrze? – zapytał cenzor.

– A powinienem?

– Do usłyszenia, Josefie.

Ich rozmowy nieodmiennie kończyły się nagle; pisarz wyczuwał w cenzorze jakąś melodramatyczną nutę – w takich chwilach brał go za niespełnionego aktora.

Nie mając nic lepszego do roboty, Kadec ponownie zapadł w niespokojną drzemkę. Męczyły go koszmary – jego własna maszyna do pisania czyniła mu wyrzuty tłustą czcionką. Ucieszył się zatem, gdy dzwonek u drzwi wyrwał go ze snu „Symfonią Paryską” Mozarta. Wydał masę pieniędzy na ów „dzwonek” w lepszych finansowo czasach. Potem usiłował go odsprzedać, jednak bezskutecznie. Dzwonek był irytujący – miał jakoby dobierać dźwięki losowo, lecz Kadec podejrzewał go o złośliwe knowania i hołdowanie efekciarskim gustom. Wczoraj, kiedy nawiedził pisarza stary znajomy, notoryczny poeta Rwetes, dzwonek czystym i grzmiącym głosem wyrecytował „Padlinę” Baudelaire’a.

Kadec zerknął na zegarek – była niemal północ.

Nie dość, że dzwonek wygrywał ogłuszająco Mozarta, to ktoś rozpaczliwie dobijał się do drzwi.

– Zaraz! – warknął Kadec i otworzył. Spodziewał się przynajmniej najazdu funkcjonariuszy tajnej policji literackiej (śnił niegdyś o opozycyjnych chwałach), ale to była tylko dziewczyna. Przemoczony do ostatniej nitki sweter sięgał jej niemal do kolan. Jej czarne włosy spływały deszczówką, a błyszczące z podekscytowania lewe oko otaczała fioletowa obwódka. Ponadto lekko pociągała nosem i oddychała nierówno, jakby przed momentem biegła.

Była bardzo piękna.

2. DZIEWCZYNA.

Kiedy była dzieckiem, nie wiedziała, czym trudni się jej ojciec. Rzadko wychodził z domu, przesiadywał godzinami w gabinecie; potem matka narzekała na wysokość rachunków telefonicznych. Musiał jednak dużo zarabiać, bo nie narzekała długo. Kiedy trochę dorosła, postanowił wyjaśnić córce, na czym polega jego zawód. Godzinami przesiadywała w gabinecie ojca i słuchała jego rozmów z pisarzami. Nie mogła go nie podziwiać – w nieuchwytny sposób władczy, a jednocześnie dystyngowany i uprzejmy. Uwielbiała go aż do czasu, gdy przeczytała opowiadania i powieści, które za sprawą cenzora nie miały nigdy się ukazać (przechowywał kopie ich wszystkich – jakby były jakimiś trofeami). Były wspaniałe; nie wszystkie oczywiście.

Związała się z kontestującymi ugrupowaniami młodzieżowymi. Był to dla cenzora cios z najmniej oczekiwanej strony.

Tego wieczoru weszła do jego gabinetu, by zakomunikować mu wyprowadzkę. Cenzor akurat rozmawiał z Josefem Kadecem. Dziewczyna wiedziała o tym jedynym opowiadaniu, od lat spoczywającym w szufladzie; o ich dziwnej, niszczącej grze. Cenzor opowiadał jej (gdy jeszcze z sobą rozmawiali) z uniesieniem. On chyba kochał pisarzy, których niszczył, był jak femme fatale, modliszka szukająca zarazem spełnienia i mordy. To była dziwna miłość.

Gdy poinformowała ojca o swej decyzji, ten uderzył ją. Ale jego twarz była nienaturalnie spokojna, nieruchoma – jak maska.

Sama nie wiedziała z jakiego powodu skierowała swe kroki do Kadeca. Być może chciała się zemścić?

Kiedy pisarz otworzył drzwi, ujrzała zmiętego i skacowanego mężczyznę po czterdziestce. Bez słowa wyjaśnienia prześlizgnęła się obok i znalazła się w jego mieszkaniu.

– Dobry wieczór – powiedział ironicznie.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Ciemnozielony Brak Perspektyw? – zapytał.

– Czarna Alternatywa – odezwała się wreszcie.

Pisarz pomyślał wtedy, że gdyby jego dzwonek recytował Baudelaire'a głosem tej dziewczyny, to sam spraszałby do siebie gości, żeby nieustannie dzwoniли, a on oczywiście by nie otwierał. I tylko siedziałby w swoim fotelu i przeżywał estetyczne rozkosze.

– Jakaś akcja? – zapytał Kadec, modląc się jednocześnie w duchu, by odezwała się choć raz jeszcze.

– Pokojowa demonstracja – skłamała. – To dziwne, że pan się mnie nie boi. Dlaczego nie dzwoni pan na policję? Mogę być terrorystką, prowokatorką...

– Terrorystów rozbijam moim szczerym uśmiechem. Rzeczywiście, jest pani dość... prowokująca...

Pisarz roześmiał się, a dziewczyna lekko uśmiechnęła.

- Pani jest przemoczona...

Podał jej swój ulubiony, nieco szmatławy szlafrok. Zamknęła się w łazience; on tymczasem zrobił herbatę i wyjął z lodówki na wpeł opróżnioną butelkę wódki.

Siedzieli w kuchni, milcząc i pochłaniając mrożone kanapki popijane herbatą i wódką. W pewnym momencie sięgnęli po tę samą kanapkę i ich dłonie zetknęły się. Miała zimne ręce. Po chwili całowali się z zachłannością ludzi głodnych uczuć. Jakichkolwiek uczuć.

Potem opowiadał jej o Platonie, o poszukujących się połówkach, które miały tworzyć harmonijną całość. Sugerował przy tym, że to oni właśnie są takimi połówkami. Lecz dziewczyna chciała się tylko całować, a nie dyskutować, więc przerywała jego wywody w pół słowa.

Leżeli na skrzypiącej kanapie; za oknem lśniły gwiazdy i było naprawdę kiczowato. Kiedy się kochali, pisarz zastanawiał się równocześnie (podzielność uwagi była jego przekleństwem) – dlaczego, u licha, nie zapytał jej, skąd właściwie się wzięła w jego przesiąkniętym samotnością mieszkaniu? Być może bał się, że przepłoszy swą niewczesną dociekliwością tę chwilę, zapewne jedną z ostatnich szczęśliwych chwil w jego życiu.

Potem dziewczyna opowiedziała o sobie – opowieść, jak profesjonalnie, lecz w duchu ocenił Kadec, była długa, detaliczna, szmirowata, ale zarazem – piękna i surowa. Dziewczyna nie powiedziała, kim był jej ojciec i miała w tym swój ukryty cel. Mówiła za to o swych ucieczkach z domu, o związku z pewnym awangardowym muzykiem. O pobycie w burdelu, którego właścicielka znalazła dziewczynę śpiącą na ławce w parku. Co noc budziły ją odgłosy miłości uprawianej w sąsiednim pokoju, którego lokatorka dysponowała solidnym falsetem.

Była już trzecia nad ranem, kiedy zapytał o jej imię.

– Joanna – powiedziała.

Pisarz wstał z łóżka – była bodaj trzecia nad ranem – z zamiarem napicia się wódki. Ale kiedy przechodził obok biurka, tknęła go nagła myśl. Zajrzał do szuflady i dobył swe nieukończone opowiadanie. Dopisał zakończenie w niecałe pół godziny. Dziewczyna stała za jego plecami i czytała w miarę pisania. Jej oczy lśniły jakimś mistycznym blaskiem w półmroku przedświt. Czuła, że zakochała się w pisarzu, ale równocześnie kiełkował w niej plan zemsty na ojcu.

– Powinieneś to opublikować. Moja organizacja...

Zamknął jej usta długim pocałunkiem.

Obudził się tuż przed południem. W mieszkaniu nie było już dziewczyny. Co gorsza, nie było też jego opowiadania.

3. ...I CENZOR.

Gdyby nie unosząca się wokół aura jej niedawnej obecności, pisarz pomyślałby, że wszystko było tylko snem. Jego opowiadanie zniknęło. Kiedy w pełni uświadomił sobie wszystkie wynikające z tego faktu konsekwencje, pociemniało mu przed oczami. Cenzor mógł go przecież odwiedzić każdego dnia. Gdyby nie znalazł w szufladzie opowiadania...

Pisarz wyszedł z domu i udał się do pobliskiego parku. Musiał uporządkować myśli, a te wciąż krążyły wokół tej złodziejki z podbitym okiem. Jej włosów, ust, ciała...

Na pobliskiej ławce siedziało dwoje młodych ludzi – piękna dziewczyna i niezbyt urodziwy młodzieniec, oboje ubrani na czarno. Młody człowiek płakał, dziewczyna próbowała go pocieszyć. Głaskała go po dwudniowym zaroście, szeptała czule słówka w odstające ucho – wszystko na nic. Wreszcie dziewczyna wyczerpała pokłady cierpliwości i szybkim, tanecznym ruchem poderwała się z ławki. Młodzieniec zareagował błyskawicznie i – choć przed chwilą kazał jej się wynosić do wszystkich diabłów – złapał ją za rękę i przyciągnął ku sobie. Spoliczkowała go; teraz płakali oboje. Ludzie zatrzymywali się, by choć na moment poobserwować neurotyczną parę.

– Dzień dobry – wyrwał pisarza z zamyślenia głos przystojnego mężczyzny w marynarce w angielską kratę.

– Znamy się? – zapytał pisarz.

– Idę sobie ulicą, słoneczną i znajomą. Wie pan, że dziś słońce wyrzało zza chmur bodaj pierwszy raz od tygodnia? Patrząc, a na ławce siedzi facet i pytam siebie: dlaczego taki smętny? Świat jest piękny, drogi panie. Człowiek może zrobić wszystko. Chcesz pan zostać kolarzem? Idziesz pan do banku przeszczepów i zamawiasz nogi kolarza, serce kolarza, mózg kolarza. No i jesteś pan kolarzem!

Głos faceta zdawał się Kadecowi znajomy.

– Kolarz to człowiek, który trudni się robieniem kolaży? – upewnił się Kadec.

Nieznajomy machnął ręką z rezygnacją.

– Mniejsza o kolarzy. Pan ma poważne problemy.

– Wyczytał to pan z wyrazu mojej twarzy?

– Joanna jest narkomanką, panie Kadec. Jest uzależniona od metakokainy. Pan wie, co to znaczy, prawda? Głód nieustannych emocji – to specyficzny rodzaj uzależnienia. Syndrom Królowy Śnieżki. Mogą ją uratować tylko prawdziwe emocje, nieustanne napięcie lub...

– ...lub prawdziwa miłość – dokończył Kadec. – Nigdy w to nie wierzyłem. To baśniowa opowieść. Odczaruje cię pocałunek, miłość stopi twego serca lód... Ale, ale, skąd pan właściwie to wszystko wie? Joanna panu powiedziała?

– Niech pan o nią zapyta niejakiego Steinera. To handlarz metakokainą. Pracuje w „Zielonej Twarzy”. Może jeszcze się zobaczymy, panie Kadec.

– Chwileczkę...

– Szkoda zachodu – powiedział nieznajomy. – Jestem fantomem reklamowym. Co powiedziawszy, jał zachwalać pod niebiosa nietłukące się filiżanki firmy „Skorupa za Młodu”.

Pisarz nigdy dotąd nie słyszał o wykorzystywaniu fantomów w celach innych, niż reklamowe; rzadziej – propagandowe. Był to niezwykle kosztowny sposób przekazywania informacji.

– Kto pana tu zogniskował?! – krzyknął za fantomem; ten jednak wciąż recytował zaprogramowany tekst.

A może to wszystko jest snem?, pomyślał pisarz, leżę w jakiejś dziurze, zapluty i zapijaczony, a moja wyobraźnia zajęta jest produkowaniem nonsensów.

„Zielona Twarz” była knajpą „artystyczną”, ponieważ odznaczała się specyficzną klientelą. Spotykali się tu młodzi ludzie poszukujący sensu życia we wszelkiego rodzaju używkach. Nieoficjalne statystyki mówiły o ponad 70% uzależnionych młodych artystów; przede wszystkim od metakokainy. *Uciekinierzy, dezercerzy z duchowego pola bitwy*, jak powiadał o nich cenzor.

Nieznany szerszej publiczności malarz szkicował na pobrużdżonej ścianie onanizującą się kobietę. Młodzi poeci pojedynkowali się bezkrwawo na cytaty z własnych wierszy. Wokół tej zgrai uwijała się postać z innej bajki – niewielki wzrostem, drobny człowieczek o żywym spojrzeniu. Kadec od razu pomyślał, że to musi być Steiner.

– Panie Steiner! – krzyknął. Mężczyzna zareagował: spojrzał na pisarza nieprzychylnie.

– Jesteś za stary, koleś – powiedział. – Metka nie dla ciebie. Ja w każdym razie nie gwarantuję wizji w twoim wieku.

– Pan się myli, nie chcę kupować metakokainy.

– Tajniak, co? – Steiner uśmiechnął się gorzko. – Jaka jest twoja cena, koleś?

– Nie chcę od pana pieniędzy. Wręcz przeciwnie, mogę zapłacić. Szukam dziewczyny...

– To nie moja branża.

– Ma na imię Joanna. Pan ją zna. Młoda, piękna, ciemnowłosa. Była pańską...

– Może była, może nie była.

– Martwię się o nią.

– Martwi się nie martwią...

– Muszę ją odnaleźć.

Steiner przez chwilę wpatrywał się w Kadeca badawczo.

– Chyba nie jesteś łapsem, co koleś? Gdybyś nim był, dawno gryzłbym parkiet. Dobrze, niech będzie to mój charytatywny dzień. Jest taki burdel przy ulicy Ballarda...

– Czym jest metakokaina? – zapytał Kadec pod wpływem nagłego impulsu.

– Bramą do rajów i wrotami piekieł. Dla każdego – co innego. W jednych wyzwala głód uczuć i emocji, innych czyni roślinami. Jednym daje wizje, innych pozbawia pamięci. Albo też czyni jedno i drugie naraz.

– Można wy dostać się z tego... gówna?

– Myślisz o Syndromie Śnieżki, o pocałunku, oczywiście symbolicznym, który zmienia królową w żabę albo odwrotnie? Dla mnie to bzdura, koleś.

Pisarz wypił dwie kolejki i opuścił nieszczęsny przybytek awangardy. Na zewnątrz dzieci grały w piłkę, za bramki robiły śmietniki. Właśnie wtedy Kadec uświadomił sobie, że nie pamięta własnego dzieciństwa. Przez chwilę natężył pamięć – i nic. *Muszę poszukać w domu fotografii. Był taki stary album.* Miał przed oczami album z pożółkłymi zdjęciami; tak, jak powinien wyglądać stary album. Ale tak naprawdę nie pamiętał, jak wygląda – wyobraził go sobie tylko.

Z nieba sypał się śnieg ulotek. Kadec szybko porwał jedną i skrzył w małą poprzeczną uliczkę.

Obywatele! – głosiła ulotka. – *Nie wierzcie propagandzie. Światopoglądomierze to mit. Nikt i nic prócz was samych nie jest stanie zmierzyć i wypróbować waszej lojalności wobec systemu i ludzi sprawujących nad nim kontrolę. Za swe poglądy odpowiadacie wyłącznie przed sobą.* **Czarna Alternatywa.**

Ulica Ballarda. Czysta i schludna niczym obóz koncentracyjny. Wokół aseptyczne budynki, śmieci codziennie wywożone. Ludzie jak figury z porcelany. Idealne miejsce dla prężnie (i dyskretnie) działającego burdelu. Budynek nie był olśniewający, lecz może nie miał być.

Kadec zastukał styłowo podrdzewiałą kołatką. Otworzył człowiek pełniący chyba funkcje odźwiernego i bez zbędnych słów zaprowadził pisarza do salonu. Wszystko było tu pomarańczowe: ściany, obicia mebli, zasłony na oknach, nawet światło dyskretnie i oszczędnie sączące się spod (pomarańczowego) sufitu. Pisarz gdzieś o tym czytał – pomarańczowy kolor wzmagął potencję. Przez chwilę obawiał się irracjonalnie, że pomarańczowość jest zaraźliwa, że się udziela, że on stanie się pomarańczowy i będzie wzmagał potencję u wszystkich, tylko nie u siebie.

Usiadł na pomarańczowej kanapie, tak miękkiej, że przez moment zdawało mu się, że lewituje. Jakaś kobieta o mile zaokrąglonych pośladkach myła szyby octem; w powietrzu rozchodził się ostry zapach.

– Dzień dobry – odezwała się od progu pani wyglądająca jak archetyp burdel-mamy: tłusta i uprzedzająco uprzejma.

– Dzień dobry.

– Pan u nas po raz pierwszy, prawda? Może chciałby pan przejrzeć album...

Album, przemknęło przez myśl Kadecowi.

– Nie, nie... tu, w tym bur... – ugryzł się w język – ... miejscu mieszka podobno pewna dziewczyna. Joanna... czarnowłosa, z podbitym okiem... Bardzo chciałbym się z nią spotkać.

– Jej ojciec pana przysłał? A może pan jest jej ojcem? – patrzyła na Kadeca podejrzliwie. – Trochę pan za młody. Nie było jej od dwóch dni. Widzi pan, mam za miękkie serce. Dziewczyna zajmuje pokój, a nie chce pracować. Nie potrafię jej wyrzucić. Ona przypomina trochę mnie, kiedy byłam młoda... Proszę tak na mnie nie patrzeć, kiedyś byłam naprawdę piękna. Mogę panu pokazać fotografie...

Fotografie, pomyślał Kadec. Czuł, że musi się napić.

– Gdyby się zjawiała, proszę jej powiedzieć, że szuka jej Josef... pisarz. I że koniecznie musimy się spotkać.

Wyszedł odprowadzany lubieżnym spojrzeniem dziewczyny myjącej okna.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył wyklócającą się o coś parę młodych ludzi. On krzyczał coś o samobójstwie; ona – groziła mu mordem. Widać, że byli w sobie zakochani. Nagle Kadec zorientował się, że była to owa neurotyczna para, którą już dzisiaj widział w parku.

Wezwanie do światopoglądomierza czekało na niego wsunięte w szparę między drzwiami a framugą. Przeczytał raz, drugi, potem trzeci, jakby nie dowierzał rzeczywistości. Na godzinę dwudziestą. Przeszyła go igła strachu. Zrobiło się chłodniej i nie był to chłód wynikający z pogorszenia warunków atmosferycznych.

*Komu podpadłem?! –*myślał gorączkowo. Czyżby cenzor dowiedział się o zniknięciu opowiadania? Rozejrzał się wokół: nigdzie nie było widać skorupki po fistaszkach. Może po prostu rutynowa kontrola. Napił się wódki – to zawsze go uspokajało. Zapomniał o albumie, już nie potrzebował sygnałów z przeszłości. Przyszłość stawała się istotniejsza.

Punktualnie o godzinie 20 stawił się przed niepozornie wyglądającą budką dzielnicowego światopoglądomierza. Budka bardzo przypominała telefoniczną. Kadec przypomniał sobie wszystkie makabryczne opowieści związane ze światopoglądomierzami. Jedni powiadali, że dokonuje się tu faktyczne wtargnięcie w człeczczą świadomość i ocena przydatności

do systemu; inni powiadali, że to jeden wielki blef i instrument zastraszania. Opowiadano również – niepotwierdzone – historie o podsuwanych do podpisu donosach; jeśli delikwent odmawiał – drzwi zatrzaskiwały się na dobre, ściany matowiały i badany był brany na przetrzymanie. Krążyły legendy o pewnym krytyku literackim, który nie chciał podpisać spreparowanej recenzji i umarł w światopoglądomierzu z wycieńczenia, jednak takie poświęcenie jakoś nie godziło się wewnątrz pisarzowi z profesją krytyka.

Josef Kadec włożył do dekodera kartę tożsamości; drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Wszedł. Czekał na pierwsze pytanie lub na sondę świdrującą mu przenikliwie umysł; nic takiego jednak nie nastąpiło. Zamiast tego drzwi rozsunęły się ponownie i stanął w nich znajomy fantom reklamowy.

– Przepraszam za spóźnienie.

I znów głos wydał się Kadecowi znajomy.

Tym razem fantom występował w twarzowych okularach w oprawie wyglądającą na złotą. Okulary były bez szkieł, o ile w ogóle w fantomatyce można mówić o jakichkolwiek brakach; chyba tylko o brakach w pustce.

– Wiesz dlaczego najlepsze są okulary bez szkieł?

Pisarz nie odpowiedział.

– Nie trzeba ich wycierać chusteczką do nosa. Nie martw się. Martwi się nie martwią...

– Skąd...

– Zostałeś tu wezwany wyłącznie na rendez-vous ze mną. Nie odnalazłeś Joanny?

– Nie, ale...

– Idź do biblioteki przy ulicy Dicka i poproś tam o zbiór opowiadań Kollera. Zapamiętaj – Kollera. I odszukaj Joannę. Znajdź ją, Josefie.

– To wszystko jest... – Kadec szukał odpowiedniego słowa.

– Dziwne? – podpowiedział mu fantom. – Nierzeczywiste? – Uszczyptał się. – Jak sądzisz, Josefie, czy fantom może się uszczyptać w celu sprawdzenia realności własnego istnienia? Idź już. Szkoda czasu.

Niebo zaszło chmurami i znów zaczął siąpić deszcz. Wszystko zdawało się powtarzać: rozkwitające parasole, dygot, pragnienie ukojenia, snu, spokoju. Mrok i wilgoć. Kadec sam nie wiedział kiedy, ale w końcu odnalazł bibliotekę przy ulicy Dicka. Biblioteka była całodobowa, co samo w sobie zdało się pisarzowi zdumiewające. Wyobraził sobie czytelniczek

maniaków przewracających się po północy z boku na bok z powodu głodu lektury. W końcu łaknienie duchowe zwycięża i udają się do biblioteki.

Bibliotekarka okazała się młodą i ładną dziewczyną. Czytała z emocjonalnymi wypiekami na twarzy jakiś maszynopis. Kadec wpatrywał się w nią przez chwilę – wydawała mu się znajoma. przypomniał sobie – to była żeńska połówka neurotycznej pary o skłonnościach morderczo-samobójczych.

Świat jest dziwny, pomyślał, I mały.

– Chciałbym wypożyczyć zbiór opowiadań Kollera – powiedział na głos. Bibliotekarka przygryzła wydatne wargi i nerwowo rozejrzała się wokół.

– Nareszcie! Myślałam, że już nigdy się nie pojawisz.

– Ale...

– Dobrze, dobrze... Zaczekaj.

Zniknęła na zapleczu i przez dłuższą chwilę nie wracała. Pisarz niczego już nie pojmował. Przypomniał sobie zdanie dawno temu wypowiedziane przez cenzora – *Pisarze to idioci. Ich zadaniem nie jest rozumienie świata, lecz dziwienie się światu.*

– To dla ciebie – powiedziała bibliotekarka, która tymczasem zjawiła się z widmową bezszelstnością i położyła przed pisarzem spory pakunek.

– Przecież ja chciałem wypożyczyć zbiór opowiadań Kollera...

– O co ci chodzi?! – syknęła wściekle dziewczyna. – Podałeś hasło, a ja oddałam ci pakunek.

Biblioteka była zatem punktem kontaktowym; może Czarnej Alternatywy?

– W porządku – powiedział pisarz. – Ja tylko myślałem, że biblioteka to miejsce, gdzie wypożycza się książki, a nie teczka do noszenia Biblii...

Dziewczyna uśmiechnęła się, lecz nie było w tym uśmiechu radości życia. Na zapleczu rozdzwonił się telefon.

– Zaraz przyjdę – powiedziała.

Pisarz zamierzał już wyjść, lecz jego uwagę przykuły kartki maszynopisu rozsypane po biurku. Cóż to za literatura przyprawiała panią bibliotekarkę o wypieki?

Z zaplecza dochodził podniesiony głos dziewczyny.

Maszynopis firmowany był nazwiskiem Eryka Kandelabra.

– Eryk Kandelabr... – mruknął Kadec. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie też mógł słyszeć to znajomo mu brzmiące nazwisko. Przypomniał sobie; właśnie to nazwisko wymienił cenzor podczas ich ostatniej rozmowy. Pisarz szybko przeczytał pierwsze, pozbawione tytułu opowiadanko. Grafomania.

Bibliotekarka wróciła z zaplecza roztrzęsiona i zapłakana.

– Co się stało? – zapytał Kadec bez ciekawości; sądził, że jest świadkiem kolejnego etapu miłosnych zapasów.

– Eryk. On... powiesił się.

Zatem neurotyk miał imię. Nie spodobał się pisarzowi od pierwszego, a może nawet i od drugiego spojrzenia. Mimo to jakoś żal było kolejnego zmarnowanego życiorysu. Nagle Kadeca olśniło.

– Eryk... Kandelabr? – zapytał.

– To cenzor... – mówiła dziewczyna. – Miły, mądry, współczujący, czarujący, szarmancki cenzor. Telefonował często i rozmawiał z Erykiem. O wszystkim: o pogodzie, o sytuacji międzynarodowej, ale nie o opowiadaniach. Nigdy o cholernych opowiadaniach!!!

Przypadkowym gestem dziewczyna wytrąciła pisarzowi pakunek z dłoni – po podłodze rozsypały się kartki maszynopisu.

Było to zaginione opowiadanie Josefa Kadeca.

Wracał do burdelu, pełen irracjonalnych obaw o życie Joanny. Kiedy stukał w drzwi podrdzewiałą kołatką, wiedział skądś, że się spóźnił. Tym razem burdel-mama otworzyła osobiście. Miała przestraszone i stare oczy.

– Joanna... – wychrypiała. – Metakokaina...

Hol szpitalny rozświetlało zimne światło. Na białej posadzce wały się skorupki po fistaszkach. Reklamowy fantom siedział na ławie.

Głos, pomyślał pisarz, *Głos*...

– To ty – stwierdził Kadec.

– To ja – odparł cenzor.

Pisarz odkorkował butelkę z wódką i zdrowo pociągnął. Nie poczuł się lepiej.

– Nie powinieneś tyle pić, Josefie – z głosu cenzora przebijała, absurdałna w tych okolicznościach, troska.

– Co z Joanną?

– Moja córka umiera.

– Muszę ją zobaczyć. Natychmiast.

– Syndrom Śnieżki – szepnął cenzor, a jego wąskie usta wykrzywił grymas ni to rozpaczy, ni szyderstwa. Mogła to jednak być gra światła z cieniem.

Kiedy weszli do izolatki, lekarz przecząco pokiwał głową. Joanna leżała nieruchomo, aparatura była już odłączona. Nienaturalna bladość cery ostro kontrastowała z czernią jej włosów. Pisarz zebrał się w sobie i pochylił nad dziewczyną. Kiedy składał pocałunek na jej zimnych ustach, próbował wierzyć. W cokolwiek.

Potem obaj, pisarz i cenzor – śmiertelni wrogowie i jedyni prawdziwi przyjaciele – podeszli do okna i jęli wpatrywać się w deszcz.

Dwa dni później zuchwała prowokacja (wezwania do światopoglądomierzy dostali najwięksi notable) zapoczątkowała bezkrwawą rewolucję, zakończoną umiarkowanym sukcesem.

Po kilku latach pisarz i cenzor spotkali się ponownie, a stało się to w Urzędzie Cenzorskim przy ulicy Eryka Kandelabra. Nie przywitali się – od razu usiedli w fotelach. Fotel cenzora był odrobinę wyższy.

– *Pisarz winien być zawsze w opozycji wobec władzy, dopóki władza będzie w opozycji wobec kultury i wartości ogólnoludzkich.* Michał Bułhakow. – Pisarz rozpoczął ich starą grę w cytaty.

– *Nikt dzisiaj nie ceni wartości słowa pisanego równie wysoko, jak cenią ją państwa policyjne.* Italo Calvino – skontrolował cenzor.

– Myślisz, że mogliśmy ją uratować? – zapytał pisarz.

– Nie wiem. Ale nie ma dnia, bym o tym nie myślał.

Pisarz uśmiechnął się gorzko. Postanowił zmienić temat.

– Słyszałem zabawną historię o pisarzu, który był utalentowany, lecz blokowała go cenzura. Pisał dobrze, ale do szuflady. By utrzymać się przy życiu, pisał również dęte szmiry, które mu bezlitośnie publikowano. Po przewrocie jego status materialny mocno się poprawił, awansował, dostał eksponowane stanowisko państwowe. Ale bynajmniej nie w nagrodę za swoje najlepsze teksty. Jedno z jego kiepskich opowiadań młodzieżowych czytane wspak i zgodnie z ruchem konika szachowego okazało się ostrą krytyką systemu. Moim zdaniem, to potworna bzdura i przypadek. Słyszałeś o takim pisarzu?

Cenzor nalał do szklanki wódkę.

– Nie. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Za dużo pijesz, Josefie – zauważył pisarz. W jego głosie znać było absurdalną – w każdych okolicznościach – troskę.

– W ten sposób cenzuruję świadomość – mruknął cenzor.

Ich śmiech brzmiał smutno i pusto.

Pisarz wyszedł bez pożegnania.

Zostały po nim skorupki po orzeszkach.

1992

PADLINA

*Forma świata stawała się nierzeczywista,
Jak szkic, co przestał nęcić
Na płótnie zapomnianym, który artysta
Kończy już tylko z pamięci*
Charles Baudelaire, *Padlina*[*]

1.

Ulica. Jaka to ulica? Wokół mrok. To chyba ulica P-kiego, słynąca z notorycznie rozbijanych latarni. Najciemniej bowiem jest pod rozbitą latarnią.

Przypominam sobie - jestem tu z powodów prozaicznych. Mianowicie, pewna dziewczka o uroczym imieniu Joanna odmówiła mi spłacenia długu wdzięczności i wystawiła do wiatru. A wiatr jest zimny, z gatunku „wyciskaczy łez”. Na taki afront ze strony kobiety lekkich obyczajów, jako stróż porządku publicznego (dwadzieścia trzy lata czynnej służby), nie powinienem pozwolić. Takie wypadki podważają prestiż zawodowy (w badaniach sondażowych policja znajduje się na trzecim miejscu pośród instytucji cieszących się społecznym zaufaniem, wiadomo po kim). A jednak pozwoliłem. Joanna, mimo że lekko się prowadzi, jest kobietą z moich snów.

Miauczenie kota. Jest w lepszej ode mnie sytuacji – widzi w ciemnościach.

– Widzę cię! – słyszę znajomy męski głos.

Nie mogę sobie przypomnieć, skąd go znam, ale znam na pewno.

Sen wydał mi się dziwny. Niepokojąco realny, prawie „na wyciągnięcie ręki”. Obudził mnie chłód, przenikliwy jak igła. Jesień objęła świat w swe tymczasowe posiadanie. Żółkły liście, powietrze nasiąkało wilgocią, starzała się trawa, nie wspominając już o mnie. Zaczął się coroczny, nabierający z dnia na dzień rozpędu proces rozkładu. Taka już jest kolej rzeczy.

Spojrzałem na swoje lustrzane odbicie: wory pod oczami, które boksowała starość, siwiejące skronie, zatoki wżerające się zwycięsko w czuprynę.

– Cholera z taką koleją rzeczy! – powiedziałem na głos.

Zjadłem wysokokaloryczne i przepełnione cholesterolem śniadanie, po czym udałem się do pracy.

Ludzie powiadają, że O. to jedno z piękniejszych miast na świecie. Osobiście lubiłem je z powodów sentymentalnych: pierwsza kobieta, pierwsza wódka, ostatni przyjaciel, ostatnia kobieta.

Po drodze kupiłem w kiosku „Wyborczą”. Gość stojący za mną w niewielkiej kolejce popatrzył na mnie z dezaprobatą. Pewnie kupi „Gazetę Polską”. Diabła tam. „Wyborcza” ma świetną rubrykę sportową.

Było cholernie zimno, nawet jak na tę porę roku. Opatuliłem się prochowcem, równie dobrze mógłbym się ocieplać folią.

W komendzie wojewódzkiej panowała senna atmosfera, tylko jakiś facet usiłował dyskutować z werdyktem alkometru. Granatowe mundurki snuły się bez sensu po korytarzach, czekając na porę patrolu.

Dotarłem do mego pokoju. Na wyposażeniu znajdowało się – krzesło obrotowe, białe, lecz lakier złuszczone, nadto niewygodne jak diabli; biurko z telefonem i zakurzonym komputerem, który nie był bynajmniej zakurzony z powodu jakiegoś nadmiernego zapylenia powietrza. Do tej pory nie miałem czasu, by przeczytać instrukcję obsługi. Okno wychodziło na policyjny parking.

Przerzuciłem „Wyborczą”. Znany pisarz palnął sobie w łeb, potwierdzając mą starą tezę o rabunkowej gospodarce szarymi komórkami, jaką uprawia gatunek *homo* (rzekomo) *sapiens*.

Jednak gdzieś na granicy świadomości wciąż pamiętam o śnie. Tak. Skądś znam ten głos. Czuję na plecach gorący oddech natręctwa; myśl o śnie zagnieżdżyła się we mnie chyba na stałe.

Na szczęście ktoś zapukał do drzwi. Może jakiś mord? – odzywała się we mnie nadzieja.

Nie oderwałem wzroku od gazety, by nie sprawiać wrażenia człeka złąknionego pracy. Pukającym był listonosz – nie było u drzwi dzwonka, więc zapukał dwa razy, jak na listonosza przystało. Zostawił przesyłkę, ja ze swej strony dałem mu autograf. Nie przyjrzałem mu się i już za chwilę miałem tego żałować.

Nawet rozpakowując paczkę, myślałem o znajomym głosie rezonującym pod czaszką. Sny nigdy na dobre nas nie opuszczają.

W tekturowym pudełku, owinięta starannie folią, znajdowała się ludzka dłoń pozbawiona palców.

Zrobiło się jakby jeszcze chłodniej, przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz, który nazywałem chichotem organizmu. Na paczce nie było adresu. Ani nadawcy, ani też odbiorcy.

Wybiegłem na korytarz z odbezpieczonym pistoletem służbowym.

– Widział ktoś listonosza?! – krzyknąłem. – Brać go!

Z zewnątrz musiało to wyglądać surrealistycznie – gliniarz z odbezpieczonym gnatem nawołuje do nagonki na listonosza.

Sierżant Sawicki wychodzący akurat z Działu Kadr spojrział na mnie z jawnym przestachem. Poczułem chwilową i szybko wędnącą satysfakcję – trudno go było wyprowadzić z równowagi. Jakiś mundurowy, na widok broni rzucił się na podłogę. Pewnie pomyślał, że nie biorę łapówek od miejscowych biznesmenów i głód odebrał zdrowie mym zmysłom.

Pobiegłem korytarzem w stronę schodów. Zbiegłem na dół, pokonując po trzy, cztery stopnie naraz.

– Listonosz! – krzyczałem wciąż. – Gdzie jest listonosz?!

Wypadłem na ulicę. Za mną gromadził się tłum funkcjonariuszy gotowych do natychmiastowej interwencji, gdybym na przykład ni z tego, ni z owego otworzył ogień do przechodniów.

Rozglądałem się wokół, niepotrzebnie rejestrując szczegóły. Przejeżdżał tramwaj numer 666 i autobus numer 704. Uliczna kwiaciarka sprzedawała astry. Niebieskie. Facet w czarnym berecie obserwował mnie z uwagą. Trudno było nie zwrócić na mnie uwagi. Listonosz, niech go diabli, rozplynął się jak mgła.

– Inspektorze Opierunek! – władczy głos szefa, nawykły do wydawania poleceń służbowych. Anegdota mówiła, że komisarz próbował wydawać polecenia służbowe aurze, ale ta nie zawsze go słuchała.

Komisarz Józef Napierało, trzydzieści sześć lat nieposzlakowanej służby.

– Co pan wyprawia? - Zabezpieczyłem i schowałem broń.

– Ścigam osobnika podającego się za listonosza, panie komisarzu. - Napierało spojrział na mnie tym swoim ciężkim wzrokiem. Jego oczy to dwa szare głązy.

– To jeszcze nie zbrodnia, inspektorze.

– Moje działania mają charakter prewencyjny. Sądzę, że powinien pan coś zobaczyć, panie komisarzu.

W moim pokoju milczeliśmy jakiś czas.

– Cóż... – westchnął ciężko Napierało – myślę, że powinni na to rzucić okiem specjaliści.

W takich chwilach człowiek powinien zrobić coś dla zdrowia. Ja zwykle wsiadałem do pociągu i wysiadałem w N. Jechało się tam, przez lasy i pola, jakieś piętnaście minut. Wracałem z powrotem pieszo, co zajmowało około dwóch godzin. Po drodze można było zbierać grzyby, o ile akurat nie była to zima. Nie skorzystałem jednak z tej jakże kuszącej ewentualności.

Na przesyłce znaleziono wyłącznie moje odciski palców.

Lekarz sądowy, szpakowaty starszy pan o zielonych oczach, patrzył na dłoń bez zainteresowania.

– Proszę nie oczekiwać jakichś rewelacji – mruknął. – Być może Amerykanie odczytaliby DNA, ale nie my. Nie widzę tu żadnych wskazówek, które.

– Dobrze by było, gdyby morderca zostawił ofierze choć wskazujący palec, tak? – przerwałem mu. Sarkazm był tutaj jak najbardziej nie na miejscu, jednak technik od zbierania odcisków natychmiast podjął: – Gdyby zaczął od głowy, zaoszczędziłby nam mnóstwa pracy...

– Najlepiej, gdyby zaczął od swojej – dorzucił fotograf.

– A może to jakiś żartowniś? – zapytał retorycznie technik. – Obciął sobie dłoń, podesłał nam, a teraz siedzi w domu, pije herbatę i zaśmiewa się do łez.

– Wystarczy – warknął Napierało.

Lekarz nie przejął się naszą wymianą zdań i, nie wykazując w głosie namiętności, kontynuował, bardziej w kierunku dyktafonu niż zgromadzonych: – To prawa dłoń, najpewniej odpłowana. Rasa biała. Sądząc po owłosieniu i rozmiarach, mamy tu do czynienia z kończyną męzczyzny.

Wyszedłem na korytarz. Kiedy zapalałem papierosa, lekko trzęsły mi się dłonie.

Do paczki przyczepiona była kartka z odręcznym napisem następującej treści:

*Przypomnij sobie, cośmy widzieli, jedyna,
W ten letni tak piękny poranek:
U zakrętu leżała plugawa padlina
Na ścieżce żwirem zasłanej.*

2.

– I co ty właściwie o tym myślisz, Czesiu? – zapytał Napierało, gdy już zostaliśmy sami. Siedzieliśmy w jego gabinecie, przestronnym jak hala widowiskowo-sportowa wzniesiona w O. z okazji którychś tam z kolei Dożynek.

– Wariat, socjopata, ciężkie dzieciństwo, kompleks Edypa. I tak dalej – odparłem.

Komisarz westchnął ciężko.

– Jest nadzieja, że nie będzie likwidował kolejnych ofiar, tylko podeśle nam w kawałkach tę jedną.

W jego głosie naprawdę pobrzmiwała nadzieja.

– Nie sądzi pan, że robi się coraz chłodniej? – zmieniłem temat.

– No a ten cytat? Co to niby ma znaczyć?

– Poeta i rzeźnik w jednej osobie. Rzadkie, lecz nie niemożliwe. To świadczy o jego bujnej osobowości. Pewnie kocha przyrodę, lecz ludzi nie uznaje za jej immanentną część, wręcz przeciwnie.

– Jak sądzisz... – urwał i przyjrzał mi się uważnie, jakby widział mnie po raz pierwszy. – Dlaczego wybrał akurat ciebie?

– Może słyszał o mojej reputacji.

W pewnych kręgach rzeczywiście byłem znany. Uchodziłem mianowicie za wybitnego specjalistę od zamykania spraw nie do rozwikłania. Jeśli śledztwo nie rokowało szans na sukces, natychmiast je przejmowałem i wykazywałem dobitnie, że wykrycie przestępcy jest niepodobieństwem. Śledztwo zamykano, a wszyscy zainteresowani – nie wyłączając z tego grona zbrodniarza – oddychali z ulgą. Byłem zatem człowiekiem użytecznym i pocziwym, nikomu służbowo nie zagrażałem i dlatego nikt nie usiłował mnie wygryźć z zajmowanego stanowiska. Zresztą, z czego tu wygryzać?

– Sprawa jest twoja, Czesiu.

Spodziewałem się tego.

– I jeszcze jedno – zatrzymał mnie w drzwiach. – Przydzielam ci asystenta. Jest młody, zielony i nadmiernie rozgarnięty. Przytnij go do obowiązujących standardów, żeby mnie nie wygryzł ze stanowiska przed emeryturą. Nazywa się Kipiel i jest świeżo po szkółce w Sz. Okaż radość.

Cieszyłem się. Może nie było tego po mnie widać – jestem w końcu skrytym człowiekiem – ale cieszyłem się jak diabli.

Dłoń należała do męzczyzny lat około czterdziestu pięciu. Grupa krwi zero Rh+. Znaków szczególnych brak, nie licząc oczywiście odpiłowanych palców. Palce najprawdopodobniej zostały odpiłowane już po zgonie. Na temat przyczyn śmierci nie można było powiedzieć nic konkretnego. Poza tym okazało się, że morderca nie był autorem wiersza, chyba, że za zbrodniarza uznać Charlesa Baudelaire'a, XIX-wiecznego poetę francuskiego. Wiersz nosił tytuł *Padlina*, co nasuwało dość jednoznaczne skojarzenia.

Nie mogłem sobie przypomnieć *fizys* dostarczyciela przesyłki. Listonosz w ogóle był niepokojącą postacią. Prócz mnie nikt go nie zaobserwował, co wydawało się niemożliwe. Dyżurny zarzekał się, że nie wpuszczał żadnego listonosza, że w ogóle nikt nie wchodził do komendy w tym czasie. Więc jak właściwie się tu dostał i dlaczego nikt go nie zauważył?

3.

Siedziałem w zaciszu mego pokoju i zastanawiałem się nad przesłaniem tych fraz z Baudelairowskiej *Padliny*, kiedy drzwi rozwarły się bez pukania, a przede mną stanął młody człowiek o twarzy pozbawionej zarostu. Albo natura mu zaoszczędziła, albo był geniuszem golarstwa.

– Melduję się na rozkaz, panie inspektorze – rzekł tonem zdecydowanym.

– A kto się właściwie melduje?

– Stażysta Kipiel.

– Niech pan siada i spróbuje okazywać mniejszy entuzjazm do wykonywanych czynności służbowych. Entuzjaści budzą we mnie nieufność.

– Dziękuję, postoję, panie inspektorze.

I stał, w postawie zasadniczej, co gorsza. Tymczasem ja przeglądałem w milczeniu akta sprawy. Wyglądał na człowieka samotnego jak odpiłowany palec, niepewnego swej pozycji w hierarchii służbowej i pozasłużbowej. Był to jednak pozór, o czym natychmiast boleśnie się przekonałem.

– Wiele o panu słyszałem, inspektorze – odezwał się niepytany. Zraził mnie do siebie tą odzywką, bo albo kłamał w żywe oczy, albo też mówił prawdę.

– Co pan o mnie słyszał?

– Przez wielu jest pan uznawany za najgorszego policjanta w powojennej historii O.

Mówił prawdę.

– Jest pan niewątpliwym posiadaczem jaj, panie Kipiel. Nikt ich panu raczej nie odbierze, ale na wszelki wypadek niech pan ich pilnuje. Jak pan widzi, mamy w mieście hobbystów zainteresowanych szczegółami anatomii mieszkańców O. To rada starszego kolegi po gumowej pałce i ma pan obowiązek się do niej zastosować. Przejdźmy jednak do konkretów. Zna pan fakty?

– Ze słyszenia.

– Rozumiem, że jest pan tak zwanym wzrokowcem. Niech pan to przejrzy – podałem mu teczkę z aktami – i podzieli się ze mną swoimi cennymi spostrzeżeniami.

Przeglądał ekspertyzy i naturalistyczne fotki niemal przez trzy minuty.

– Zemsta? – odezwał się. – Zapuszkował pan kogoś, a teraz on panu przysyła dziwną paczuszkę.

– Błyskotliwa dedukcja. Ja pójdę tym tropem. Pan natomiast... – udałem namysł.

– Tak? – zniecierpliwiał się.

– Pan sprawdzi w bibliotekach, kto ostatnio trawił czas na lekturze Baudelaire'a.

– Przecież morderca mógł czytać *Padlinę* przed laty i teraz cytować z pamięci. Mógł mieć *Kwiaty zła* w swojej biblioteczce domowej. Albo po prostu korzystał z czytelnicy, tam nie prowadzi się rejestru wypożyczanych książek.

– Trudno. Liczymy na szczęście. Ma pan dwadzieścia cztery godziny na sporządzenie listy. Żegnam.

– Pańskie metody śledcze są szczególne, inspektorze.

– Nie istnieje odpowiednia kategoria, do której dałoby się zakwalifikować moją metodę śledczą. To by oznaczało ograniczenie naturalnej inwencji, należy być elastycznym w postępowaniu, stażysto Kipiel. Jak to kiedyś ładnie określiła Agatha Christie: „Przypadek jest ślepym detektywem”.

– Prawdopodobnie chodziło jej o to, że w dochodzeniu nie należy się zdawać na przypadek.

– Inaczej to interpretuję. Dokładnie odwrotnie, mówiąc szczerze.

– Nie wierzę w przypadek jako metodę, panie inspektorze. W ogóle nie wierzę w przypadek.

– Wie pan... Prowadziłem kiedyś śledztwo w sprawie kilku mordów powiązanych ze sobą wyłącznie narzędziem zbrodni. Był to nóż kuchenny, nieco podrasowany. Śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów, ofiary nie miały ze sobą nic wspólnego, w żaden sposób nie dawało się ująć zbrodniarza w jakieś oczywiste schematy.

– I? – zainteresował się Kipiel.

– Któregoś dnia facet powiesił się we własnym mieszkaniu, zostawiając list, który z kolei nie zostawił żadnych wątpliwości – to on był mordercą. Okazało się, że cierpiał na syndrom „ramienia ślepego losu”. Wychodził na ulicę i zabijał przypadkowo dobraną ofiarę. Przypadkowo dobraną – podkreśliłem.

– Przypomniał mi się zgrabny aforyzm na temat przypadku.

– Umieram z ciekawości.

– Anatole France to wymyślił. „Przypadek jest być może pseudonimem Boga, kiedy On nie chce się podpisać”.

– Przypominam, że ma pan dużo pracy, Kipiel.

Wyszedł, a ja zostałem wreszcie sam na sam ze swoimi myślami. Było ich tyle, że nie mogłem narzekać na samotność.

4.

Skąd ja znam ten głos?

– **Z kim mam przyjemność? – pytam.**

– **Śmierć nie należy do przyjemności, inspektorze...**

A więc sen okazał się cholernym serialem. Oto ekwiwalent, jaki otrzymałem od losu w ramach rekompensaty za zniszczony po ostatnich mistrzostwach świata w piłce nożnej telewizor. Spojrzałem na zegarek – zdrzemnąłem się ledwo; spałem niespełna pół godziny.

Zasnąłem nad aktami spraw, które – z pomocą przypadku – udało mi się doprowadzić do szczęśliwego końca. Nie było tego wiele, zatem moja reputacja była usprawiedliwiona. Czesław Opierunek, inspektor, specjalista od zamykania spraw nierokujących nadziei na spektakularny sukces, nieudacznik bliższy emerytury niż awansu społecznego.

Patrzyłem na fotografie ludzi, którzy mogli nie darzyć mnie sympatią. To już taka specyfika zawodowa – podobnie jest z kanarami, komornikami i mordercami. Chorobą zawodową gliniarzy jest poczucie braku społecznej akceptacji (mimo że zajmujemy trzecie miejsce w wiadomym rankingu).

Wiesław Zimoch nie dawał mi spokoju. Zamknąłem go siedemnaście lat temu, u progu nieźle zapowiadającej się kariery. Niedawno wyszedł, skrócono mu odsiadkę za dobre sprawowanie. Z Zimochem była podobna historia, jak ze słynnym w swoim czasie Łomiarzem. Podczas odsiadywania wyroku za rozbój, na przepustce zamordował kobietę. Sprawa była problematyczna, nie wszystkie dowody znalazły swoje potwierdzenie, sam Zimoch nigdy nie przyznał się do winy. Oczywiście, ja znałem prawdę. Obaj ją znaleźliśmy. Dostał dwadzieścia pięć lat, osiem mu umorzono. Mogłem go zdenerwować. Przecież kochaliśmy tę samą kobietę. Miłość do jednej kobiety łączy mężczyzn; oznacza, że są do siebie podobni. Jest to więc bezkompromisowej nienawiści.

Czy Zimoch nienawidził mnie do tego stopnia, by podsyłać w kawałkach czyjeś zwłoki? Był w każdym razie numerem jeden na liście podejrzanych i musiałem, chcąc nie chcąc, podjąć pewne środki ostrożności.

Rano, kiedy myłem zęby, przytrafiła mi się zabawna historia. Z tuby, miast pasty, posypał się biały proszek.

Na ulicy dał mi się we znaki chłód jesienny. W komendzie stażysta Kipiel czekał na mnie z listą bibliotecznym użytkowników Baudelaire'a.

Dopiero teraz przyjrzałem się Kipielowi uważniej. Pomyślałem, że kolczastość jego charakteru to tylko pozór, wcale nie był złośliwym

skurwysynem, na którego pozował. Cynizm właściwy jego pokoleniu był maską, pod którą zapewne kryła się nieśmiałość, nadwrażliwość i – być może – brak powodzenia u kobiet. Podejrzewałem, że gdyby miał wyznać miłość jakiejś dziewczynie, uczyniłby to za pomocą listu umieszczonego w butelce, wysłanego drogą morską i podpisanego inicjałami. Albo – co bardziej prawdopodobne – internetu. Parszywe czasy – łatwiej dziś przespać się z kobietą niż z nią porozmawiać. Z drugiej strony – miało to i swoje dobre strony.

Rzucił na stolik plik gęsto zapisanego papieru. W odpowiedzi pokazałem mu inną, znacznie mniej obszerną listę ludzi, którzy nie darzyli mnie sentymentem.

– Proszę porównać obie listy – zadysponowałem. – Jeśli któreś nazwisko powtórzy się, proszę mnie natychmiast zawiadomić.

5.

Targowisko przy stadionie było ucieleśnieniem idei chaosu, istnym wrzodem na dupie naszego wspaniałego miasta. Wieczorami opustoszały teren przypominał krajobraz po eksplozji jądrowej. Nędza oraz rozpacz, góry śmieci i zwały opakowań po wszelkiego rodzaju towarach. Wówczas do akcji wkraczali niechętnie rycerze zmierzchu, czyli bezrobotni na tymczasowym nędznym etacie. Ich czynności porządkowe niosły z sobą nutę tragizmu i absurdu – chaos zawsze wygrywał. I wszystko wskazywało na to, że kiedyś wreszcie wygra ostatecznie.

Denerwowały mnie ruskie odzywki, ale próbowałem tego nie okazywać. Byłem wszak profesjonalnym, co zobowiązywało mnie do unikania zachowań ksenofobicznych, nawet usprawiedliwionych.

Pośród zwałów wszystkiego poszukiwałem człowieka – przestępcy – który wiele mi zawdzięczał. Zabrało mi to jakieś piętnaście minut. Podszedłem i lekko trąciłem go w ramię, na co zareagował nerwowo.

– Czto? – zapytał.

– Nie poznajesz mnie?

– Izwie... tfu! Siła przyzwyczajenia... Niech to diabli, na tym przeklętym targowisku co drugi człowiek jest pierdolonym Ruskiem. Dzień dobry, panie inspektorze. Szuka pan czegoś? Mogę tanio załatwić.

– Szukam waltera – przerwałem mu.
– Waltera? Nie znam.
– Nie wygłupiaj się. I żeby nie był trefny. Mam ci może przypomnieć o...

– Nie trzeba. Będzie pan wieczorem w domu?
– Będę.

Pod więzienie pojechałem taksówką. Więzienie w O. było ponurym świadectwem osiągnięć estetyki architektonicznej realnego socjalizmu. Mieściło się w samym centrum miasta, opodal ratusza, co mogło być wynikiem specyficznego poczucia humoru planisty. W razie korupcyjnych nadużyć władz miasta, droga do mamra nie była długa.

Naczelnik Koper, jowialny pan po sześćdziesiątce, był moim dobrym znajomym. W lepszych czasach grywaliśmy w pokera. Rzadko wygrywałem, więc przyjął mnie bez zbędnych ceregieli.

– Chodzi o Zimocha – powiedziałem po wymianie uwag na temat czasu, który dla nas nie płynie.

– Ponury skurwysyn – mruknął niechętnie Koper.
– Kiedy wyszedł?
– Niedawno. Zaraz sprawdzę.

Podszedł do stalowej szafy z oznaczonymi alfabetycznie przegrodami. Przypominało to katalog biblioteczny. Nad szafą wisiał portret pierwszego wybranego demokratycznie prezydenta III (lub IV) RP.

Koper wysunął przegrodę oznaczoną literą Z i przez jakiś czas wertował karty.

– Moglibyście wpisać dane do systemu, byłoby szybciej – zauważyłem. Popatrzył na mnie dziwnie i powrócił do przerwanej czynności.
– Wyszedł na wiosnę. Tego roku. Dokładnie siedemnastego kwietnia.
– Macie tu więzienną bibliotekę, prawda?
– Owszem.

– Dałoby się zorganizować listę lektur Zimocha?

– Wykaz lektur? Zimocha? – zdziwił się. – Nie wiem, czy on potrafił czytać. Podobno przeglądał Catsa, czasem zaglądał do NIE...

– Znasz na pamięć lektury wszystkich swoich więźniów? – zapytałem ironicznie.

– O swoich więźniach wiem wszystko – odparł z pełną powagą.
– Jesteś pewien, że nie czytał żadnych książek?

- Tak.
- Dzięki. Trzymaj krótko tych drani.
- Nic z tego, cholera. Sam wiesz, Czesiu. Ta pierdolona liberalizacja przepisów. W następnych wyborach głosuję na prawicę. Nie wykonaliśmy tu wyroku śmierci od...
Wyszedłem.

6.

Na wycieracze pod drzwiami mojego mieszkania leżała starannie opakowana przesyłka, uderzająco podobna do tej z komendy. Bez adresu.

Zapukałem do sąsiadki, która miała zwyczaj obserwować świat przez judasza.

– Dzień dobry. Może pani widziała, kto tu zostawił tę paczkę? – zapytałem.

– Dlaczego pan myśli, że mogłam zobaczyć? Co to ja nie mam według pana nic innego do roboty?! – Była oburzona, co akurat nie objawiało się u niej w jakiś spektakularny sposób. Był to bowiem naturalny stan jej organizmu.

– Jest pani pewna? To ważne.

Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Wizjer błyskawicznie zaczernił się, co było spowodowane odcięciem dopływu światła po tamtej stronie drzwi.

Wszedłem do mieszkania po jakąś ścierkę. Wizjer sąsiadki wciąż był zaciemniony. Miałem ogromną ochotę przestrzelić go na wylot, by utorować drogę światłu. Wizjery, niczym kwiaty, bardzo potrzebują światła.

Wniosłem pakunek do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Potem zatelefonowałem na policję.

W środku było ucho oraz kolejna porcja poezji Baudelaire'a.

7.

- Forma świata stawała się nierzeczywista

Jak szkic, co przestał nęcić

Na płótnie zapomnianym i który artysta

Kończy już tylko z pamięci. – Kipiel odczytał na głos.

Był zaspany i zdenerwowany, wezwanie zastało go najpewniej w łóżku.

– Co to ma właściwie znaczyć?

– Cholera. Robi się coraz zimniej – mruknąłem, raczej do siebie niż do kogokolwiek z ekipy.

Napierało ani myślał o zdejmowaniu zabłoconych buciorów, co fatalnie odbiło się na estetyce imitacji perskich dywanów w obu pokojach.

– Proszę się czuć jak u siebie w domu, szefie – odezwałem się sarkastycznie. Sarkazm mój nie został jednak należycie odczytany.

– Co nowego, inspektorze? – zapytał Napierało; był bardzo zdenerwowany.

– Chyba będziemy musieli zaczekać, aż przyśle wszystkie elementy tej układanki. Wtedy zbierzemy do kupy i zamkniemy śledztwo.

– Po co obcinał palce u dłoni? – zastanawiał się na głos Kipiel.

– Prawdopodobnie chodzi o odciski. – Zamyśliłem się. – A to by oznaczało, że...

– Że trup mógł być notowany! Możemy go mieć w kartotece! – podekscytował się nadmiernie Kipiel.

– Tak. Trzeba by sprawdzić, który z notowanych zaginął ostatnio w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie tylko u nas – w całym kraju. I tak nie powinna to być astronomiczna liczba. Pan się tym zajmie, Kipiel.

Ekipa opuściła mieszkanie, unosząc ze sobą ucho.

Za cholerę nie mogłem zasnąć. Moje myśli krążyły wokół tajemniczego Kuby Rozpruwacza, seryjnego snu i, jakżeby inaczej, Joanny Anielskiej, najważniejszej miłości z mego życiorysu.

Około jedenastej w nocy mój znajomy dostarczył waltera. Po jego wyjściu dyskretnie puściłem *Requiem* Mozarta, które nieźle korespondowało ze stanem mych emocji, i wziąłem się za lekturę obowiązkową – *Kwiaty zła* Charlesa Baudelaire'a.

8.

Joanna Anielska mieszkała w jedenastopiętrowym wieżowcu. Ściany windy pokryte były graffiti o treści i formie erotycznej. Joanna mieszkała na ostatnim piętrze. Winda wznosiła się z postępowaniem stalowych lin.

Na drugim piętrze przysiadł się jakiś mocno pijany facet w podniszczonym płaszczu.

– Bywali chuze wremiena, no nie było podlej – rzekł. Trzeba pecha, że trafił mi się akurat Rosjanin. – Eto Niekrasow. Citata, ponimajesz?

Nie odpowiedziałem.

– Ja chocz na B-ma – zadysponował, jakby znajdował się w taksówce.

Wreszcie dojechaliśmy na ostatnie piętro i tam go opuściłem.

Zapukałem do drzwi jej mieszkania. Drzwi uchyliły się ledwo na długość łańcuszka. To jednak wystarczyło, bym ujrzał jej twarz, wciąż piękną, ale zmęczoną. Coś mnie zawsze pociągało w tej upadłej Anielskiej. Była blondynką, i to taką, której nie zawarł w swej – zdawać by się mogło – kompletnej klasyfikacji Chandler w *Długim pożegnaniu* ani nawet Dostojewski w *Paskudnej historii*. Oni po prostu nie widzieli nigdy takiej blondynki jak Joanna. Kiedy ją poznałem – nie była jeszcze wtedy dziwką – czułem się jak odkrywca nowego gatunku, jak ten gość, który odkrył okapi.

Na mój widok zaniemówiła. Następnie zatrzęsnęła drzwi. Może w ten sposób próbowała odciąć się od przeszłości? Ale przeszłość ma swoje konstytucyjne prawa. A prawa mają swoich egzekutorów. Napałem ramieniem, łańcuch ustąpił natychmiast, a ja siłą impetu wpadłem do mieszkania.

– Policję wezwę! – zagroziła jakaś kobieta, chyba sąsiadka Joanny.

– Ja jestem policją – powiedziałem chłodno.

Joanna pobiegła do niewielkiego pokoju, jednego z trzech. Zachowywała się jak wystraszone zwierzątko.

– Mam u ciebie dług, Joanno – powiedziałem. Próbowała wcisnąć się we wnękę między ścianą a szafą.

– Nie jestem ci nic winna! – krzyknęła. – Jemu tak, ale nie tobie!

– Spokojnie... – zbliżałem się do niej powoli. Już wiedziałem, że Zimocha nie ma w mieszkaniu.

– To niemożliwe. Niemożliwe – szeptała.

– Co jest niemożliwe? Nie spodziewałaś się mnie, prawda? W końcu minęło tyle lat. – Podbiegłem i chwyciłem ją za ramiona.

– Twoje ręce... – szepnęła. – Są zimne...

– Nie spodziewałem się aż tak chłodnego przyjęcia. Nawet nie zaproponowałaś mi herbaty. – Nigdy nie potrafiłem z nią rozmawiać. Choćbym nie wiem jak długo układał sobie w myślach odpowiednie słowa,

ostatecznie i tak zawsze wychodziłem albo na idiotę, albo na cynika. – O co chodzi? O Wieśka? Gdzie on jest? Już nie kibluje, prawda? Wyszedł. Na wiosnę. Odwiedzał cię? Odwiedził kobietę, która złożyła pod przysięgą obciążające go zeznanie w sądzie?! Fałszywe zeznanie, pamiętasz?!

– Zmusiłeś mnie. Zmusiłeś mnie do tego.

– Do niczego cię nie zmuszałem! Miałaś go dość! Zapomniałaś, jak się nad tobą znęcał?!

– Kochałam go.

– Kłamstwo! Jesteś mi coś winna! – Trząsałem jej drobnym ciałem coraz mocniej. – Czas na spłatę długu.

Pocałowałem ją, ale nie oddała pocałunku.

– Ciebie... nie ma – powiedziała.

9.

Oczywiście nie kupiłem pasty do zębów. Byłem rozdygotany, spotkanie z Joanną nie nastroiło mnie życzliwie do rzeczywistości, więc zamiast do pracy, udałem się do piwiarni Blaszaną Bębenek. Knajpa mieściła się w przytulnej piwniczce przy ulicy W-skiej naprzeciw szpitala garnizonowego. Knajpa nie miała nic wspólnego z Grassem, nazwa pochodziła od obrazu przedstawiającego pokracznego faceta wybijającego na (blaszanym) bębenku jakiś rytm.

Lokalizacja piwiarni decydowała o nadprogramowych atrakcjach. Żołnierze z pobliskiego szpitala mieli bowiem w zwyczaju urywać się na kufelek nawet pozbawieni garderoby. Fałszywy wstyd nie był im przeszkodą.

Ledwo zdążyłem przysiąść na dębowej ławie, a natychmiast dołączył do mnie pijany mężczyzna w wieku popoborowym. Na głowie nosił czarny beret, który budził we mnie jakieś odległe skojarzenia, na tyle jednak odległe, że nie poświęcałem im należytej uwagi. Okazał się odporny na moje milczenie, co gorsza – sam gadał jak najęty.

– Jechałem, nie powiem, w niezłym towarzystwie. Ja za kierownicą, no to się oszczędzałem. Miałem w czubie nie więcej niż ćwiartkę Stolicznej. Ale dziewczyny! Dziewczyny były kompletnie rozebrane! Alkoholem i w dosłownym tego słowa znaczeniu, że się tak, kurwa,

wyrażę. – Delektował się przez chwilę wykwintem swej frazy. Nie trwało to długo. – Nagle zobaczyłem gliny. Zasuwali za nami, bez dwóch zdań! Nie wiem, kurwa, jak nas namierzeli. Jechałem przepisowo, pięćdziesiątką, przepisowo, lewą stroną. Lewą czy prawą? Nie pamiętam. Nawet na światłach się zatrzymywałem, choć jestem daltonistą i prawko załatwiłem na lewiznę, mówię panu, ubaw był po pachy! Ale o czym to ja. Skręciłem w M-ską, wiesz pan, taka ciemna uliczka, po której od czasu do czasu kręcą się babuszki... No, ruskie dziewczynki znaczy. No i tam rąbnąłem prosto w płot! Jakiś stary dom remontowali. Dobrze, że nam się rusztowanie na łeb nie zważyło. Co tu dużo gadać, dorwali nas, psie syny! Zadowoleni byli jak cholera. Wzięli mnie na izbę, nie mam pojęcia, co zrobili z dziewczynami, ale jakoś tam sobie poradziły. Obyło się bez prysznic, pospałem sobie. Rano przyszedł jakiś łaps w cywilu i trochę sobie pogadaliśmy. Zapytał, czy aby czego nie potrzebuję, troskliwy był. Na to ja mu prosto z mostu, że chętnie bym wypił piwo! A co! Wiesz pan, jak to jest na kacu. Wygląda pan na takiego, co wie. Nie uwierzy pan, ale oni to piwo przynieśli! Potem domyśliłem się, że hipotetycznie założyli, że jestem z mafii samochodowej. – Tu urwał ku mojej uldze, chwilowej, jak się okazało. – Hipoteza... ten wyraz kojarzy mi się z innym, nie bliskoznacznym, ale blisko brzmiącym. Hipostaza. Słyszał pan o hipostazie?

Zaniepokoił mnie. Hipostaza była terminem filozoficznym, skąd zatem ta wiedza u knajpianego bywalca?

– A jest pan czy nie jest z mafii samochodowej? – zapytałem.

– A pan myśli, że gdybym był, to tłukłbym się maluchem z dwoma starymi dziwkami na tylnym siedzeniu?

– Won – powiedziałem. Byłem znużony, a dzień właściwie dopiero się rozpoczął.

– Taki z ciebie kozak? – podniósł się chwiejnie na nogi z czytelnym zamiarem naruszenia mej nietykalności osobistej.

– Chcesz, żebym cię zastrzelił, czy wystarczy zatrzymanie na czterdzieści osiem?

Wyszedł bez słowa. Ciągle zdawało mi się, że skądś go znam. Gdyby *déjà vu* było zaraźliwe, siedziabym w izolatce.

Barman obrzucił mnie leniwym spojrzeniem i nic nie powiedział. Uznałem go za inteligentnego człowieka.

Na zewnątrz padał deszcz i było zimno. Wszędzie było zimno. Chwilami wydawało mi się, że noszę to zimno ze sobą. Jak parasol, portfel albo pistolet.

Świat rozpuszczał się w kroplach deszczu. *Forma świata stawała się nierzeczywista* – chodziła mi po łbie fraza Baudelaire'a.

Na ulicach było jakby mniej krzykliwie niż zwykle, wydawały się jakieś wyblakłe. Reklamy zwiędły, neony zniknęły, dominowała szarzyzna fasad.

– „Wyborczą” proszę – powiedziałem do znajomej kioskarki.

– „Wyborczą?” – zdziwiła się.

– Już wyszła? W takim razie wezmę pastę do zębów.

– Nie ma.

10.

W komendzie na portierni czekała na mnie kolejna paczka.

– Leżała na schodach przed bramą. Wziąłem, bo jest na niej pańskie nazwisko, panie inspektorze. O co chodzi? – tłumaczył błady ze zdenerwowania oficer dyżurny.

– Nie słyszał pan o bombach przekazywanych w taki sposób?

– Bombach? – zdziwił się. – Panie inspektorze, tu nie redakcja ruskich gazet. Kto by tam nas chciał wysadzać w powietrze?

Nasunąłem na dłonie gumowe rękawiczki, z którymi od jakiegoś czasu właściwie się nie rozstawałem. Paczkę zaniósłem do siebie; była cięższa niż zwykle, co nie nastrajało mnie optymistycznie.

Przed drzwiami czekał na mnie Kipiel, miętoląc w przepoconych dłoniach jakieś papierzyska. Był zdenerwowany, a na widok paczki zdenerwował się bardziej.

– Gdzie mój komputer? – zapytałem, gdy weszliśmy do pokoju. Na miejscu komputera stała mocno spalcowana maszyna do pisania marki Łuczniczka.

– Co jest w środku? – wykrztusił Kipiel.

– Zakładam z pewną dozą prawdopodobieństwa, że jakiś fragment trupa. Może wreszcie głowa i wszyscy, kurwa mać, odetchniemy z ulgą.

Traciłem panowanie nad sobą. Kiedy człowiek traci panowanie nad sobą, nie dba o maniery, dobór słów czy krawatów. Człowiek staje się

niedbały.

Paczka została otwarta komisyjnie. Bez udziału saperów.

– Wygląda na... – lekarz zawahał się – kolano.

– I znów fragment *Padliny*, co? – Napierało pod wpływem powtarzających się związków przyczynowo-skutkowych objawiał zdolności prekognicji.

– Co z ekspertyzą grafologiczną? – zapytałem Kipiel.

– Obawiam się, że nie będzie pan zachwycony.

– Gdyby mi na tym zależało, pracowałbym gdzie indziej. Teraz wymagam od pana konkretów.

– Chodzi o to... – Kipiel był zmieszany. – Chodzi o to, że konkretów nie ma.

– Jak to? – kolejne ukłucie niepokoju. Jeszcze trochę i niepokój przekłuje nie na wylot.

– Grafolog stwierdził, że na podstawie dostarczonych mu próbek pisma, nie jest w stanie, nawet w ogólnym zarysie, stwierdzić czegokolwiek na temat cech psychofizycznych piszącego.

– Co to, u diabła, znaczy?! – wrzasnął Napierało. Wyraźnie tracił coś, co ja utraciłem jakiś czas temu – panowanie nad sobą. Sprawa go przerastała. Nie tylko jego. Przerastała o niebo nas wszystkich.

– Nie sądzi pan, szefie, że już najwyższy czas wezwać stołecznych specjalistów? – zapytałem.

– Nie, panie inspektorze. Nie czas. Rozwiążemy tę zagadkę we własnym zakresie. A konkretnie – to pan ją rozwiąże. Dobrze by było, gdyby jeszcze w tym tygodniu.

Był piątek. Napierało wyszedł.

– Żadne nazwisko nie powtarza się na liście czytelników Baudelaire'a i tej dostarczonej przez pana – relacjonował dalej Kipiel. – Ale mam jeszcze to.

Podał mi kartkę z siedmioma nazwiskami.

– Co to jest?

– Lista notowanych, którzy zaginęli w ciągu ostatnich trzech tygodni.

– Dlaczego akurat trzech?

– To przypuszczalny czas zgonu pokawałkowanego trupa.

– Chyba trzyma go w lodówce.

– Wysoce prawdopodobne.

Rzuciłem okiem na listę. Grzesiak, Sikora... te nazwiska nic mi nie mówiły.

- Jest ktoś z O. albo najbliższych okolic? – zapytałem.
- Nie.
- Cholera.
- Może syndrom ramienia ślepego losu? – zapytał Kipiel, nie bez ironii.
- Może. Niech pan przeczyta nowy fragment.

*A jednak upodobnisz się do tego błota,
Co tchem zaraźliwym zieje,
Gwiazdo mych oczu, słońce mojego żywota,
Pasjo moja i mój aniele!*

Wciąż nic nie rozumiałem.

– Niech pan spróbuje odnaleźć niejakiego Zimocha – odezwałem się po dłuższym milczeniu. – Wiesława Zimocha. I niech pan jeszcze kogoś do tego zatrudni, to niebezpieczny facet.

- Pamiętam, był na pańskiej liście. Pan go chyba kiedyś przymknął.
- Zgadza się.

– Dlaczego akurat on? Facet nie należy do gatunku nałogowych czytelników XIX-wiecznej poezji francuskiej.

– Powiedzmy, że oto nagle odezwała się moja intuicja. Proszę też skombinować grupy krwi tych siedmiu zaginionych. I porównać je z naszą... padliną.

– Rozumiem. Chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę, panie inspektorze. – Kipiel wwiercił się we mnie wzrokiem. – Studiowałem z uwagą prowadzone przez pana w całej pańskiej... hm... karierze śledztwa i...

– Niech pan skończy z tą ironią, Kipiel. Jest dziecinna.

– I zaobserwowałem dziwną prawidłowość. W roku 1985 prowadził pan śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa Katarzyny Torturskiej, dwudziestoletniej blondynki o niebieskich, rzecz jasna, oczach. Śledztwo zostało zamknięte po pięciu miesiącach. Siedem lat później zamordowano Wiesławę Szymańską, dwudziestoczteroletnią blondynkę o... niebieskich oczach.

– Zimnych jak stal – wszedłem mu w słowo. – Zabił pięć kobiet o podobnych parametrach fizycznych. Morduje co jakiś czas, interwały są

nieregularne, ale jest bardzo cierpliwy. Stale zmienia sposób zabijania, by nie rozszyfrowano serii.

– Kto, na miłość boską?!

– Nie wiem. Odkryłem to przypadkiem, bo miałem kiedyś dziewczynę. Blondynkę. O stalowych oczach, oczywiście.

– Dlaczego nikomu pan o tym nie powiedział?!

- Bo to moja sprawa! – warknąłem.

– To niezgodne z...

– Niech pan się zajmie Zimochem. Obiecuję, że po zakończeniu sprawy podam się do dymisji.

– Ale...

– Zimoch, panie Kipiel. W aktach znajdzie pan adresy prawdopodobnych melin. Proszę się postarać o stałą obserwację mieszkania Joanny Anielskiej. Była kiedyś kobietą Zimocha. Jeśli pan go odnajdzie, proszę natychmiast się ze mną skontaktować. Cześć pracy!

11.

Wszystko wskazywało na to, że spędzę kolejną bezsenłą noc. Tak, jakbym obawiał się tego cholernego snu. Na domiar złego prześladowały mnie natręctwa. Pierwszym był ów wyjątek z *Padliny: Forma świata stawała się nierzeczywista* i tak dalej. Drugą – owa hipostaza, której użył w rozmowie, a raczej monologu pijaka z *Blaszanego bębenka*. Termin występował w systemie ontologicznym Plotyna, spadkobiercy myśli platońskiej. Oznaczał kolejne, coraz mniej doskonałe emanacje Jedni (czyli bytu najdoskonalszego). Porządek powstawania bytów był zatem „porządkiem zmniejszającej się doskonałości”. I tak odpowiednio – od doskonałego Boga aż do świata materii, który według Plotyna odznaczał się wyjątkowo podłą kondycją i miał być pono hipostazą ostatnią. Przyszło mi na myśl, że może ów proces emanacji ciągnie się dalej, ku coraz mniej doskonałym i nietwórczym postaciom bytu. Może aż do samego piekła?

Wreszcie ten komputer. Dlaczego go zabrali? Fakt, że nigdy nie używałem tego szmelcu, ale żeby zaraz podmieniać go na maszynę do pisania? Wtedy zrozumiałem, co mnie niepokoiło w komputerze, a raczej jego braku. Kurz. W moim pokoju na meblach osadzał się kurz.

Komputer to monitor, drukarka, głośniki – w sumie kupa sprzętu. Maszyna do pisania zajmuje mniej miejsca. Gdy z długo nieodkurzanego mebla zabiera się jakiś sprzęt, zostaje zwykle jakiś ślad. Ale nie było śladu. Kurz był nienaruszony. Nienaruszony.

Było mi cholernie zimno, szczególnie w stopy. Druga zasada termodynamiki działała bez zarzutu. Ciepło nie może samorzutnie przechodzić z ciała zimniejszego do cieplejszego. I jak tu się ogrzać? Entropia. Kurwa, trzeba działać, żyć, by przegnać chłód, by zapełnić pustkę, by rozgrzać absolutne zero. Zawsze wydawało mi się, że ludzie zostali powołani do istnienia po to, by przeciwdziałać entropii, poprzez organizację, przez dobywanie z materii energii, poprzez działanie. Jednak to entropia była zasadą rządzącą Wszechświatem. Jako czynnik przeciwdziałający entropii, ludzie są w gruncie rzeczy anachronizmem. A jak to ładnie ujął Philip Dick w *Valis*: „Do obyczajów Wszechświata należy likwidacja anachronizmów”.

Glina-filozof. Oto czynnik pogłębiający lokalnie entropię. Tak, entropii należy sprzyjać, wolność to uświadomiona konieczność. Konieczność to powinność.

Zapaliłem lampkę. Za cholerę nie dało się spać. Postanowiłem poczytać coś, co nie było *Kwiatami zła*. Może *666 upadków Bunga Witkacego*? Zaraz... na pewno 666? Nie 622? Nie pamiętam.

Czy fragmenty *Padliny* były rzeczywiście jakimś przesłaniem? Przypuśćmy, że pierwszy fragment to preludium, wstęp, zaproszenie do gry. Oczywista analogia tytułu wiersza i pokawałkowanego ciała. Drugi fragment, bardziej niepokojący, to owa forma świata, co stawała się nierzeczywista. I ten tekst doprawdy utkwiał mi w mózgu jak ćwiek. Zagadkowy był fragment trzeci. Czy dobrał go przypadkowo? Nie, to nie mógł być Zimoch, za wielka komplikacja intrygi. Zimoch, nawet gdyby żywił wciąż do mnie urazę, załatwiłby to inaczej, szybciej, prościej.

Trzeci fragment.

W powietrzu, jakby nagle zgęstniałym, snuło się *Requiem*.

Zaraz, zaraz... *Upodobnisz się do tego błota...* Sugeruje, że zginę, że sam będę padliną? Czułem, że jestem o krok od ważnej myśli, kiedy rozdzwonił się telefon.

– Tu Kipiel, panie inspektorze. Dzwonię z budki. Namierzyłem Zimocha.

– Gdzie?

– Ulica O-na. W melinie pijackiej.

– Niech pan czeka na mnie. Nie podejmować żadnych działań. Zadzwońię po wsparcie.

Odłożyłem słuchawkę. Wyjąłem z szuflady waltera i sprawdziłem zawartość magazynka. Postanowiłem na razie nie dzwonić po wsparcie. Na razie nie.

Na zewnątrz temperatura spadła sporo poniżej zera; kałuże ściał mróz.

Z otwartego okna mojego własnego mieszkania ścigało mnie *Requiem*. Zapomniałem wyłączyć adapter. Ulica tonęła w ciemności. Wszystko to wzięte razem wydawało się takie... nierzeczywiste.

12.

– Chciałbym obejrzeć pańską broń, obywatelu inspektorze – powiedział sierżant Sawicki.

Kipiel leżał na kamiennej posadce. Jego czaszka była roztrzaskana kulą dość znacznego kalibru. Zastrzelili go na klatce schodowej starej czynszowej kamienicy przy ulicy O-na.

– Czyś pan oszalał, Sawicki?! – zirytowałem się. – To robota niejakiego Zimocha. Gdyby, może i dość niefortunnie, porównać mord do wyścigów konnych, miałbyś pan szansę obstawić pewniaka. Kiedy tu przyjechałem, stażysta Kipiel był martwy. A mówiłem gówniarzowi, żeby zaczekał na wsparcie.

– Chciałbym po prostu obejrzeć broń służbową obywatela inspektora.

Dałem mu pistolet.

Powąchał lufę i oddał bez słowa. Niewierny Tomasz.

Nie myślałem już o Kipielu. Nie polubiłem drania. Natomiast we łbie brzęczał mi nieustannie trzeci fragment *Padliny*. Upodobnisz się do tego błota.

Poszedłem do parku dotkniętego jesienią jak trądem.

Wszedłem na most i stamtąd wrzuciłem do rzeki waltera. Czuję się tak, jakbym żegnał najlepszego przyjaciela. Bywaj, walterze!

Upodobnisz się do tego błota. upodobnisz się. mój aniele. gwiazdo mojego żywota... Mój aniele?!

Dopiero wtedy zrozumiałem. Dlaczego tak późno?

Pobiegłem do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniłem na komendę. Podałem dyżurnemu adres Joanny Anielskiej; sam puściłem się biegiem. Gdy dotarłem na miejsce, policyjna warszawa już tam stała. Była mniej więcej dwunasta w nocy. Funkcjonariusz mnie nie poznał, więc zamigotałem mu przed oczami legitymacją.

– W mieszkaniu nikogo nie ma, obywatelu poruczniku – zameldował Sawicki.

– Niech pan przestanie się zgrywać, Sawicki! - Mundurowy stojący przed drzwiami mieszkania Joanny czytał „Trybunę Ludu”. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się niezobowiązująco.

– Mają dobrą rubrykę sportową.

Wszedłem.

– Są ślady walki – usłyszałem zza pleców głos Sawickiego. – Przewrócony stolik, rozbita lampa. Chyba. broniła się.

– Won! – ryknąłem.

Potrzebowałem jakiejś śladowej intymności; za wszelką cenę. Samotność. Spokój.

I zostałem sam. Wokół unosiła się aura niedawnej obecności „mego anioła” – Joanny Anielskiej.

Wyjrzałem przez okno. Padał śnieg. Przy sklepie mięsnym formowała się kolejka. Ludzie przytupywali dla rozgrzewki nogami. Forma świata stawała się.

– Kurwa!

Trzeba wziąć się w garść. Na dobrą sprawę nie było alternatywy. Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

– Obywatelu poruczniku, jest ekipa.

13.

Coś niedobrego działo się albo ze światem, albo ze mną. Nie wiem, która z tych ewentualności była bardziej, a która mniej kusząca. Może te wszystkie fenomeny z niewyspania? Nie spałem od trzech dni. Byłem bardzo zmęczony.

Sąsiadka Joanny usłyszała wprawdzie dźwięk tłukącego się szkła i stłumiony okrzyk. Oglądała jednak akurat batalistyczne sceny z monumentalnego filmu radzieckiego, przy którym wszystko traciło znaczenie. Mało to rzeczy ludziom się tłucze? Szczególnie po łbach? Mało ludzi krzyczy? Właściwie bez powodu? Albo gada za dużo?

Tym bardziej że Joanna cierpiała na tzw. Zespół Uporczywej Ofiary. Z dużym talentem wynajdywała sobie brutalnych facetów, którzy traktowali ją obcesowo, eufemistycznie rzecz ujmując. Czasem byli to nawet normalni ludzie, lecz całkowita uległość Joanny doprowadzała ich do ostateczności. Może nawet Zimoch właśnie tym sposobem stał się zbrodniarzem? Badając syndromy wspomnianego zespołu, często zastanawiałem się, kto w istocie jest tu ofiarą? Ofiara właściwa czy też ofiary wtórne, odpryski jej obezwładniającej bezradności wyzwalającej w innych potworność?

W mieszkaniu wreszcie zasnąłem.

Śmierć nie należy do przyjemności, zatem usiłuję przeżyć. Nie mam już żadnych wątpliwości – to głos Zimocha. Mój wzrok przebija się wreszcie przez ciemności i widzę niewyraźny zarys jego sylwetki. Jest oddalony o jakieś dziesięć metrów.

– Porozmawiajmy – proponuję.

Diabli nadali, że nie mam przy sobie broni. Ale kto udaje się na randkę z gnatem pod pachą? Zimoch milczy.

– Przyszedłem w te okolice, by spotkać się z kobietą – mówię, by zabić ciszę; jednocześnie gorączkowo myślę nad sposobem ewakuacji. – Błyskawiczny skok w wąską uliczkę? Nie mogę sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie kończy się ślepo...

– Widzi pan... – udaję, że go nie rozpoznałem. – Właściwie jestem typem samotnika. Cholernie czasem potrzebuję kobiety.

W chwili gdy wypowiadam tę banalną kwestię, natychmiast nachodzi mnie gorzka refleksja – przecież Joanna Anielska była kiedyś kobietą Zimocha!

A może... Może to ona mnie wystawiła...

– Śmierć też jest kobietą – zauważa Zimoch.

Obudził mnie telefon. Podjąłem słuchawkę, rozmowy jednak podjąć nie mogłem.

– Rozmowa jest kontrolowana, rozmowa jest kontrolowana, rozmowa...
– dobywał się ze słuchawki beznamiętny głos.

– Co za brednie! – krzyknąłem.

Wyrwałem kabel telefonu. Żeby w taki prosty sposób można było oderwać się od rzeczywistości.

– Do cholery, obywatelu poruczniku! Szukamy was od trzech godzin! – darł się Sawicki.

– Nas?! Co tu się, kurwa, dzieje?! Jaki porucznik?! Jaki obywatel?! I gdzie jest mój pierdolony komputer?! – krzychałem, konwencjonalne bowiem sposoby komunikowania się wydały mi się nie na miejscu.

Ku memu zaskoczeniu komputer stał się dla mnie niezwykle istotnym elementem świata. Był jak kotwica trzymająca mnie u brzegów – niezbyt, jak się okazało, rozległego – lądu rzeczywistości. Gdzie jest moja kotwica?!

– Mamy go, obywatelu poruczniku!

– Komputer! Znalazł się?!

– Co wy z tym komputerem, jak pragnę zdrowia! Zimocha mamy! Właśnie go przesłuchujemy!

– Gdzie? – zapytałem.

Ruszyliśmy: Sawicki przodem, ja za nim. W korytarzu na ścianie samotnie wisiał portret Dzierżyńskiego. Wtedy pomyślałem, że to czas się cofa. W pewnym stopniu tłumaczyło to choć niektóre fenomeny mnożące się wykładniczo wokół mnie. Z drugiej strony, ja nie stawałem się młodszy, nie traciłem świadomości zdarzeń zachodzących w rzekomej przyszłości. Sawicki też nie wydawał się młodszy. Więc to nie to. Co dziwne, tylko ja dostrzegałem ów trąd degenerujący świat. Porównanie było jak najbardziej na miejscu – coraz to inne części rzeczywistości jakby odpadały, usychały, były wymazywane. Świat upraszczał się chwalebnie. Solipsyzm? To ja stwarzam świat we własnej świadomości; cała reszta zaś to marionetki i dekoracje o różnym stopniu umowności, „tekturowości”?

Pokój przesłuchań był przytulnym pomieszczeniem o ścianach tak nagich, że niemal wywoływały u zdrowego mężczyzny erekcję. Jedynym meblem było krzesło, w tej chwili akurat zajęte przez Zimocha. Z sufitu spuszczone na kablu żarówkę dwustuwatową, która miała za zadanie rozjaśniać myśli przesłuchiwanemu. Zimoch był już dotkliwie poobijany,

co wyglądało na wyłączną zasługę Marczaka, dawniej specjalisty od twardych przesłuchań. Od czasu słynnej trylogii Pasikowskiego nazywano Marczaka Psem, ponieważ był jednym z pozytywnie zweryfikowanych ubeków. Nigdy nie słyszał o prawach człowieka i do niedawna wierzył, że O. to stolica Polski.

– Wypierdalać – rzekłem z jakąś zimną zaciekłością w głosie. Wyrzucanie ludzi z różnych pomieszczeń weszło mi ostatnio w krew.

– Co? – Marczak patrzył na mnie bez zrozumienia.

– Chcę zostać z podejrzanym sam.

– To niezgodne z... – Sawicki urwał nagle pod moim spojrzeniem. Gdyby spojrzenia miały moc zabijania, trup Sawickiego byłby trudny do zidentyfikowania.

Zimoch był półprzytomny, diabli wiedzą jak długo go poszturchiwali. Podałem mu blaszany kubek z wodą. Była zimna jak lód; właściwie trudno powiedzieć, dlaczego nie była lodem. Podniósł niechętnie głowę i spojrzał na mnie.

– Cholera – powiedział i uśmiechnął się podpuchniętymi wargami. – Albo się starzeję, albo wariuję.

– Mam bardzo podobne odczucia – zapewniłem go. – Odwiedziłem Joannę...

– Odpierdol się od niej! – wyraźnie się ożywił. – Zostaw ją w spokoju, śmieciu!

– Kogo zarznąłeś tym razem? – zapytałem. – Kogo mi, kurwa, podsyłasz w paczuszkach?! Mów! Kim jest ten trup?!

– Zgadnij. – Znów się uśmiechnął.

– Co to ma być, do kurwy nędzy, zgadywanka jakaś?! Mów, kim jest ten pokawałkowany trup!

– Nie pokroiłem... ciała – wyznał nieoczekiwanie.

– Ale to ty go zabiłeś.

– Ja... Nie kroilem ciała.

– A Baudelaire?

– Bod... co?

Wierzyłem mu. Od samego początku wiedziałem, że nie miał nic wspólnego z tym cholernym Baudelairem. Więc był ktoś jeszcze. Kto?

– Zastrzeliłem go. Zabiłem jak psa, bez litości, bo to był wyrok, a nie morderstwo. Wyrok, rozumiesz? Powinieneś rozumieć. Ciało zakopałem

w parku. Nad rzeką. Nie wiem, kto odkopał to ścierwo.

– Kim był trup, Zimoch? Kogo zabiłeś? Na kim wykonałeś wyrok? I za co?

Zimoch wciąż się uśmiechał.

– Po cholere porwałeś Joannę?

To go ruszyło.

– Joannę?! O czym ty mówisz?! Co jej zrobiłeś, śmieciu?!

Uderzyłem go. Mocno. Przewrócił się razem z krzesłem. Żarówka rozkołysała się, a wraz z nią cienie. Był ktoś jeszcze. Taaaak. Ktoś jeszcze.

– Kto mógł to zrobić? – zapytałem.

– Tylko ty przychodzisz mi na myśl.

– Kogo zamordowałeś? – spróbowałem raz jeszcze.

– Nie spodobałaby ci się moja odpowiedź.

Na korytarzu czekał na mnie płonący z niecierpliwości Marczak.

– Dać skurwielowi wycisk! – zadysponowałem.

– Zrobi się, towarzyszu poruczniku.

15.

Ciebie nie ma, pobrzmiwały w pamięci słowa Joanny. *Nie spodobałaby ci się moja odpowiedź* – to z kolei fraza Zimocha. Co się dzieje? Co to za gra? Jakie są reguły? Są jakieś?

Entropia zagnieździła się we mnie. Rozkład, hipostazy, porządek zmniejszającej się doskonałości – łąziło mi pokrętnie po głowie. Gdzie była Joanna, kto pokroił trupa, kim był trup, no i gdzie mój cholerny komputer?

Zabarykadowałem się w mieszkaniu i zażyłem trzy tabletki nasenne. Czekałem na sen, jak czeka się na coś ostatecznego. Na przykład na śmierć.

– Poczekaj, Zimoch! – gram w otwarte karty. – Nie postępuj pochopnie!

Mówię spokojnie, dobitnie, nie dobór argumentów jest ważny, lecz sposób ich wypowiedzenia – to stara prawda.

– Zmusiłeś ją do tego. Zmusiłeś, by składała fałszywe zeznania, żeby kłamała.

– To nieprawda, przecież wiesz, że to nieprawda. Nie musiałem jej zmuszać. Po prostu chciała się ciebie pozbyć. Nie byłeś ideałem

kochającego mężczyzny, ona też odległa była od doskonałości... – urywam w pół zdania, bo nagle uświadamiam sobie, że przyjęta przeze mnie taktyka jest samobójcza. – Zimoch, przecież ty dopiero co wyszedłeś z pierdła. Po co ci to?

– Milcz, śmieciu. Odrobinę godności w obliczu śmierci. To już jest koniec.

– Nie. To jeszcze nie koniec – odzywa się ktoś trzeci, ktoś, kogo nie widać.

Nie mam jednak czasu na namysły, bo właśnie w tym momencie decyduję się jednak na ucieczkę.

A więc biegnę. Biegnę. Biegnę. Jak nigdy w życiu.

Pada strzał. Suchy jak jesienny liść. Padam i ja. Jak jesienny liść.

Ból. Ale to tylko moment, krótka chwila. Potem robi się zimno. Jest coraz chłodniej. To chodnik taki zimny. Nie. To nie chodnik.

16.

– Wie pan, inspektorze. – Na krześle siedzi mężczyzna, którego nie znałem, ale nie wyglądał obco. – W powszechnym mniemaniu piekło jest miejscem rozgrzanym do czerwoności, potępione dusze zasię przypiekają się na piekielnych rusztach przez okres wieczności.

– Jak pan tu wszedł?

Zignorował moje pytanie.

– Tymczasem – kontynuował – piekło jest w swojej istocie śmiertelnym mrozem, bezruchem totalnym, bezsensem absolutnym, chaosem okrutnym, realnym komunizmem nawet. Tak. Teoria hipostaz bliska była prawdy. No i druga zasada termodynamiki. Ciepło nigdy nie przechodzi z ciał wychłodzonych do obdarzonych łaską ciepła. Taaak... Z piekła nie ma ucieczki, inspektorze Opierunek.

Rozpoznałem go. To był ten facet w berecie, co mnie obserwował z uwagą przed komisariatem, to ten typ odrażający z knajpy!

– Znakomity warsztat aktorski. Szkoda marnować takie zdolności... – powiedziałem. Zastanawiałem się, gdzie, u diabła, pozostawiłem broń.

– Broń jest tutaj – rzekł on. Podniósł ze stołu swój nieodłączny берет, a pod beretem był pistolet.

Dopiero teraz dotarło do mnie, jak piekielnie zimno jest w mieszkaniu. Piekielnie zimno.

Na stole leżała także kolejna paczka.

– Co pan zrobił z Joanną Anielską? – zapytałem.

– Szlachetna troska! Pan mnie zdumiewa, inspektorze. Nic nie zrobiłem z panią Joanną. Co nie znaczy, że nigdy nie zrobię. Pani Anielska, nazwisko jakby nieadekwatne, ale mniejsza. Otóż pani Anielska żyje sobie, czego o panu w żaden sposób powiedzieć się nie da, nie rozmijając się przy tym z prawdą. Czy kiedy mordował pan te wszystkie dziewczyny, myślał pan o pięknej Joannie? Dlaczego nie interesował się pan jej losem, kiedy staczała się na dno? Gdy zignorowała pańskie zainteresowanie, pan zignorował jej istnienie?

– Milczeć.

– Pan jest padliną, Opierunek, co stało się oczywiście za sprawą pana Zimocha. Zamordował pana z powodu osobistej zemsty, bo to jednak nie on popełnił tę zbrodnię, za którą go skazano. Sprawili to pańskie matactwa i fałszywe świadectwo Joanny Anielskiej. Biedak, też tu trafi. Za jakiś czas. Wszystko jest tylko kwestią czasu.

Sen to nie sen, myślałem. Rzeczywistość to nie rzeczywistość.

– Jeżeli ma pan jeszcze jakieś wątpliwości, zawsze może pan rozpakować ostatnią przesyłkę. I spojrzeć, że się tak wyrażę, prawdzie prosto w twarz.

– Sugeruje pan, że trup. I że to miejsce to...

– Piekło. Na które solidnie pan sobie zapracował. Specjalista od spraw nie do rozwiązania, co? Ładnie to pan wymyślił, nie powiem. Wielokrotny morderca, który prowadzi śledztwa w sprawie popełnianych przez siebie mordów. Majstersztyk. Zamordował pan z zimną krwią, zimną jak lód, że pozwolę sobie na tę niezbyt subtelną aluzję, siedem osób, w tej liczbie cztery blondynki nieco przypominające Joannę Anielską. Nawet w piekle kontynuuje pan, wprawdzie wirtualnie, lecz liczą się intencje, którymi brukujemy tu drogi. Kipiel.

– Jest pan świetnie poinformowany. Ale to nie ja jestem padliną, lecz świat cały... Rzeczywistość to ścierwo przepełnione słabeuszami! Rozkładają świat, to obłe cielsko, jak czerwie trupa. Ja tylko chciałem być ponad tym. decydować o sobie. Ponad tak zwanym społecznym ładem,

ponad konwencjonalną moralnością, bez etycznych kagańców. Chciałem być wolny...

– Niczym Raskolnikow – wtrącił nieznajomy.

– Raskolnikow miewał wyrzuty sumienia i mnóstwo innych niepotrzebnych balastów. Dostojewski był moralistą. Ale widzę, że pan odczytany.

– Pochlebiam sobie, że znam całą literaturę światową do XX wieku. Literatura XX-wieczna wymyka się nieco mojej percepcji; natomiast poinformuję pana w głębokiej konfidencji, że w wieku XXI literatury w ogóle nie będzie. Ale powróćmy do pańskiego upadku. Czy też, jak pan woli, wzlotu.

– Ja właściwie od zawsze wiedziałem, że jedynymi prawdziwie wolnymi ludźmi są zbrodniarze. A to dlatego, że z łamania społecznych uwarunkowań uczynili profesję! Bo czymże w istocie są owe warunkowania, kodeksy, prawa, umowy? To prosta funkcja ludzkiego egoizmu. Nie chcemy być zamordowani, zatem wymyślamy „uniwersalne” prawo: nie zabijaj.

– Pan się uważa za utilitarystę?

– Nic podobnego! Utylityści nie mieli złudzeń co do naszej natury, ale godzili się z takim porządkiem rzeczy. Ja – nigdy! Wie pan, pewnego dnia, miałem wtedy może siedemnaście lat, na pewno było to przed maturą... przechodziłem obok kiosku zamkniętego z jakiegoś powodu na kłódkę i złapałem się na niepokojącej myśli, że właściwie nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym nie rozłupać tej nieszczęsnej kłódki i nie zabrać czegokolwiek z kiosku. Dalej zapytałem siebie, dlaczego tak niewielu ludziom podobne myśli goszczą we łbie? Pominąwszy przewidzianą za podobny czyn karę, co wynika z egoistycznego w swych korzeniach prawa, winę za taki stan rzeczy ponosi nieustanne pranie mózgu, owe pozornie oczywiste prawdy wciskane nam od kołyski. Właśnie z tego powodu nie forsujemy kłódek. Takie sobie małe ograniczenia, uwarunkowanie w mikroskali, które w rezultacie prowadzą do absolutnego zniewolenia umysłu! Nie uwierzy pan, ale wszystkie moje późniejsze zbrodnie, które popełniałem w majestacie prawa, były prostą konsekwencją tej szczeniackiej, pozornie banalnej myśli! – urwałem, bo aż mi w gardle zaschło od nadmiaru wypowiedzianych słów, którymi od tylu lat chciałem podzielić się z kimkolwiek. I nie mogłem.

– A gdyby Joanna pana pokochała? – zapytał diabeł. Nie odpowiedziałem.

Diabeł patrzył na mnie ze smutkiem w swoich czarnych jak moja dusza oczach. Nałożył beret. Czarny. Potem wstał od stołu.

– Wie pan, inspektorze – rzekł na odchodnym – czasem, kiedy zdarza mi się wysłuchiwać zwierzeń potworów pańskiego pokroju, myślę sobie, że wykonuję swoją pracę aż za dobrze.

Wyszedł.

Piekło nie jest dobrym miejscem na wyrzuty sumienia. Postanowiłem trwać. Na przekór entropii, w samym sercu piekła!

Ubrałem się najcieplej jak tylko mogłem i wyszedłem z domu. Ustawiłem się na końcu półkilometrowej kolejki przed sklepem mięsnym. Myślałem o paczce, która wciąż czekała na mnie w mieszkaniu. Zawsze uwielbiałem otrzymywać korespondencję, paczki, przesyłki, listy. A potem przez długi, długi czas ich nie otwierałem i wyobrażałem sobie, co też jest w środku.

Zawartość.

Wiedziałem, co było w tej paczce.

Przytupywałem nogami i rozcierałem zgrabiałe dłonie.

Było zimno.

Coraz zimniej.

.....

[*] Wszystkie fragmenty Padliny Charlesa Baudelaire'a w przekładzie Mieczysława Jastruna.

RZEKA

*Tak oto dążymy naprzód,
kierując łodzie pod prąd,
który nieustannie znosi nas
w przeszłość.*

F. S. Fitzgerald, „Wielki Gatsby”

Wszystko się zaczyna i wszystko kończy. Ciemność. Ciemność przechodząca w pustkę. Nagły, krótki błysk. Przeszywający, wyzwalający... obrazy?

NOBODY!!! NOBODY, PROSZĘ SIĘ ODEZWAĆ!!!

Dlaczego tak głośno?

UMARŁ...?

JESZCZE NIE. TWARDY, BYDLAK.

MOŻE BY GO POPIEŚCIĆ? PRADEM OCZYWIŚCIE.

JEST TO JAKIŚ POMYSŁ.

NOBODY!

Nobody?

NIE DRZYJ SIĘ TAK.

SERCE SIADA.

CHOLERA! STATYSTYKI ZGONÓW...

Cisza zapada nagle, jak kopuła, która odgradza mnie od świata, jak całun dźwiękoszczelny, kokon błogosławionego spokoju. Zagłębam się w poszukiwaniu utraconej tożsamości. Wszystko się oddala, choć nie istnieje żaden punkt odniesienia.

Stara kobieta o twarzy pomarszczonej jak wyschnięty owoc. Ma mądre oczy. Uśmiecha się, spoglądając na mnie, więc i moje usta rozciągają się w niechcianym uśmiechu.

– Dlaczego zdecydowała się pani właśnie na to dziecko? – pyta Pani. – Proszę mu się dobrze przyjrzeć. Jego nadgarstki...

– Mój Boże!

A jednak mnie wzięła.

Deszcz leje jak z cebra. Mokre ulice. Nagły chłód przenika ciało i wszystko się kurczy. Podnoszę wysoki kołnierzą płaszcz, który niewątpliwie przeżyje swego właściciela, nasuwam kapelusz jak najgłębiej na oczy, by stać się nikim, wtopić się, scalić w jedno z tłumem. Przechodzę przez jezdnię. Ryk klaksonów wwierca się w mózg, rozrywa delikatne rusztowanie nerwów. Kapelusz opada na mokrą jezdnię powoli, niczym groteskowy, ogromny liść. Wściekła twarz kierowcy za szybą, przecinana nerwowym ruchem wycieraczek.

Mijam stare zaułki Wschodniej Dzielnicy, nazywanej też Doliną. Inne dzielnice biją w niebo swą koszmarną architekturą, urągając dobremu smakowi. Dolina jest inna. Stara i nostalgiczna jak przebrzmiałe wspomnienia.

Wreszcie zatrzymuję się przed budynkiem wznoszącym się opodal cuchnącego rybolu. Wydaje się bardziej odrapany z tynku niż inne. To miejsce pracy – dzielnicowy posterunek policji.

Więc wchodzę, cóż innego mi pozostaje. Stary hol, ściany we wściekłych odcieniach czerwieni. Barwy wojenne policji. Ten kolor – to tradycja. O tak, to tradycja.

Kiwam na powitanie głową starzejącym się od lat twarzom, witam z pozorami wylewności, która dziś akurat sporo mnie kosztuje, sekretarkę szefa, wreszcie wchodzę do własnego gabinetu, którego dorobiłem się nie tak dawno. Powietrze jest tu przesiąknięte wonią papierosów – to bezpieczny zapach; wyznacza granice mego terytorium.

Siadam na obrotowym krześle i obracam się z wolna, wbrew ruchom wskazówek zegara, jakbym chciał czas oszukać albo choć trochę cofnąć. Niespiesznie przeglądam przedwczorajszą gazetę. Jej treść nie dociera jednak do świadomości, zatrzymuje się gdzieś po drodze, diabli wiedzą gdzie. Odpoczywam po nocnych koszmarach i oczekuję koszmarów jasnego dnia. Nie czekam długo.

Drzwi otwierają się bez pukania. Wchodzi szef, więc przestaję się kręcić na krześle, porzucam gazetę jak niechcianą kochankę. Krótko mówiąc, przestaję się czuć swobodnie. Chwilowe odprężenie znika; boję się, że bezpowrotnie.

Na razie nic nie mówi, tylko patrzy na mnie, jakby miał pretensje. Wreszcie siada ciężko na stacjonarnym krześle, które wydaje się pod nim

kruche i wiotkie, jakby ktoś utkał je ze słomy. Szef to ogromny facet. Posiada solidną masywność planety.

– Co słyhać? – odzywa się wreszcie.

– Nic szczególnego.

– Taaa... – zapala papierosa. Dym cienką strużką wędruje ku sufitowi, gdzie zbiera się w bezkształtny w swym kształcie kłęb.

– Jest sprawa.

Milczę.

– Jest sprawa, Jos – powtarza z naciskiem. Jest to nacisk zwału papierów, dokumentów spraw, archiwów, informacji.

– Yhm.

– Znikają ludzie.

– Niebawale.

– Nie szarżuj! – głos szefa nabiera ostrości. Nie jest to ostrość jego intelektu.

– Porwania to nie moja działka. Niech pan to zleci Dvoyatchny'emu.

– Podejrzewamy morderstwa. Dvoyatchny męczy się ze sprawą wrózek. Cholera, są nieuchwytni.

– *Corpus delicti* jest? Ciała są? Dowody zbrodni?

– Pozwól, że jako twój bezpośredni przełożony, sam zdecyduję, co należy, a co nie należy do twoich obowiązków.

Pozwalam.

– Prezydent miasta naciska... Wybory... Fonował do mnie, wściekły bydlak, o piątej rano...

– Co na to pańska żona, szefie?

Jest zły.

Wściekłość rozsadza Łazowi nos. Patrę na ten jego nos z pobłażliwą ciekawością, ale tak naprawdę boję się. Ten człowiek bywa nieobliczalny.

– Czeka, Łaz. Czeka... – Mam nadzieję, że moje słowa brzmią spokojnie, ale i tak wiem, że na nic nie będzie czekał, a już z całą pewnością nie na mnie. Bo i po co?

– Skurwłłłłł... – ślina ścieka z jego rozchylnych ust. Tonące w wódzie oczy odbywają pielgrzymkę po sprzętach tego nieszczęsnego domostwa. Wreszcie zatrzymują się na glinianym wazonie. Znów pragnienie niszczenia bierze górę nad wszystkim innym. Nawet nie próbuję

go powstrzymać. Jest wąły jak trzcina, ale to pozory – takie trzciny gaszą wiatry.

– Posłuchaj, Łaz... Zarobiliśmy ostatnio sporo forsy...

– Forsła! – Wąła iskra świadomość zatliła się na moment w jego spojrzeniu.

– Tak, forsa. Przyszedłem po swoją działkę.

– Forsła?! – Iskra gaśnie jak zdmuchnięta.

Podchodzi do okna. Otwiera. Przeciąg rozwiewa jego rzadkie, przyprószone siwizną włosy. Przypomina mi teraz szalonego, zbuntowanego anioła z wąłą aureolą. Powoli, jak na zwolnionym filmie, sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki po portfel – na pierwszy rzut oka wypchany jak diabli. Łaz wytrząsa jego zawartość jak strząsa się przez okno zakurzoną szmatkę. Banknoty wirują w powietrzu niczym stado zielonych motyli. Łaz śmieje się. A ja mu wtóruję. Co mi tam, jutro zdaję do Akademii.

Mój wzrok zatrzymuje się na szyldzie obskurnej knajpy. U BOBY'EGO ZDROWIEJ I TANIEJ – głosi napis. Zaciekawia mnie – wszak „zdrowiej” i „taniej” nie chadzają parami.

Więc wchodzę. Przy podwyższeniu imitującym bufet stoi rozmarzony barman o psych oczach. To jeden z tych barmanów, którym nie warto się zwierzać, ponieważ jedynym pragnieniem rozsadzającym ich duszę jest opowiedzenie własnej, jakże smutnej, historii. Nie wolno wszczynać z nimi rozmowy, bo ta nieodmiennie przeistacza się w monolog, ale ja podejmuję ryzyko.

– Bobby... to pańskie imię?

Obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem.

– Tylko dla przyjaciół.

– Nalej mi wódki, Bobby. Właśnie się zaprzyjaźniliśmy.

– Z wodą?

– Za dużo dziś wody na świecie...

Ulewa. Deszczowe nitki na szybie układają się w bezsensowny wzór. Fajnie jest siedzieć w mieszkaniu w taką pogodę. Nawet jeśli jest ono śmierdzącą, zagraconą, zapajęczoną, zawilgoconą dziurą.

Śmierdząca wilgocią klatka schodowa. Pod nogami chlupią kałuże jakiejś cieczy – nie chcę znać jej pochodzenia, a tym bardziej składu chemicznego. Moryc stuka w odrapane drzwi właścicielki budynku. Wrota

uchylają się z potępieńczym zgrzytem. Przed nami poskręcana artretyzmem postać starej kobiety.

– Panowie do mnie... – Słaby głos, sprawiający wrażenie, że za chwilę zaniknie na dobre.

– Jeżeli to pani chce wynająć mieszkanie – upewnia się Moryc.

– Proszę za mną.

Wiedzie nas na poddasze, sam nie wiem, jak udaje jej się wspinać po owych schodach stromych jak ściana Everestu. Wreszcie jesteśmy. Otwiera drzwi – te skrzypią; widać jest to stała cecha wrót tego domu. Wnętrze nastraja mnie nostalgicznie – wygląda, jakbyśmy byli pierwszymi ludźmi, którzy tu wchodzi. Księżyc przed Armstrongiem bardziej był ludny. Pajęczyny zasnuwają pokój jak opary mlecznej mgły. Farba odkleja się od ściany. Wilgoć wydaje się wszechobecna. Jakby mieszkanie żyło, jakby było jakimś organizmem, który nas pochłonał.

– Mam nadzieję, że panowie są porządnymi młodymi ludźmi. Ten dom od lat ma dobrą reputację... – mówi staruszka.

– Taaak. Ma dobrą reputację i odpadający tynk – zauważa Moryc.

Ja wolę milczeć. W końcu będę tu mieszkał.

– Nie zniosę tu panienek lekkich obyczajów.

– Pełno tu pajęczyn – nie zraża się Moryc.

– Pająki przynoszą szczęście... – próbuję rozładować atmosferę, lecz niezbyt chyba szczęśliwie, bo Moryc patrzy na mnie niechętnie.

– Jeśli panowie zawiodą moje zaufanie, wyrzucę bez litości.

– I wilgoć. Wprost nie do zniesienia. Jos?

Potakuję, mamrocząc coś niewyraźnie o reumatyzmie.

– Pięćdziesiąt tysięcy za rok. Płatne z góry – staruszka nieoczekiwanie przechodzi do ofensywy.

– Za tę klitkę?! – ryczy Moryc, głosem zboląłym.

– To nie klitka. To mieszkanie w centrum miasta – cedzi zimno właścicielka, urażona.

– W najbardziej podejrzanej części miasta, w dzielnicy kolorowych i łajdaków.

– Pan jest rasistą? – zainteresowała się nagle staruszka.

– Dwadzieścia tysięcy. Jestem Żydem.

– Czterdzieści dziewięć tysięcy. To się daje odczuć.

– Dwadzieścia jeden. Co pani miała na myśli?

- Czterdzieści pięć. Nic szczególnego.
- Dwadzieścia pięć. To moje ostatnie słowo.

Ale stanęło na trzydziestu pięciu.

Po dokonaniu transakcji Moryc nachyla się ku mnie i rzecze konfidencjonalnie:

- Nic się nie martw, Jos. Ta baba długo nie pociągnie...

Chyba nie doczekam jej zgonu. Nie życzę jej źle, ale ten głos dobywający się jakby zewsząd. Ten babsztyl jest kwintesencją, esencją budynku, wypełnia go, jest jego formą, duszą. Jej przekleństwa, modlitwy, suchy kaszel – najpewniej spowodowany wilgocią; słyszę nawet szepty, nawet chrapliwy oddech. Nie lubię tych spotkań na klatce schodowej, więc czekam, aż wpełźnie do swej nory – by tam popaść w letarg pomiędzy stanowczym żądaniem wypłaty komornego, a skargą na zbyt głośną muzykę. Dopiero, gdy jestem pewien, że jednak wpełzła, wymykam się cichcem. Znowu się spóźnię.

Na dole wsiadam do mego volkswagena, pojazdu muzealnego, obiektu drwin miłośników nowinek oraz westchnień fanów staroci.

Wreszcie docieram do komisariatu. W gabinecie czeka na mnie niemiała niespodzianka – szef kręci się wokół swej osi na mym ulubionym obrotowym krześle. Teraz przypomina planetę bardziej niż zwykle.

– Nie wyglądasz dobrze – stwierdza łaskawie w momencie, gdy akurat obrócony jest w moją stronę półkulą twarzy.

- Za mało zarabiam.

– I w ogóle burdel tu. Wiesz dobrze, że nie toleruję burdeli. Chyba, że mają koncesję – błysnął wątlwym dowcipem. – O, ta tu szklanka stoi na tym biurku od bodaj roku. Dlaczego nie wylejesz fusów?

- Czekam, aż wykiełkuje z nich drzewko herbaciane.

– Szarżujesz. Czas nas goni. Zapoznałeś się ze sprawą? Trzeba znaleźć tych porywaczy czy morderców. A co trzeba zrobić, by tego dokonać. Należy ich szukać, inspektorze.

- Cenne wskazówki, szefie.

Wychodzę. Mój gabinet, a wychodzę. A on zostaje.

Sierżant. Jak on się nazywa? Lewis? W każdym razie zaczepia mnie na korytarzu.

- Znalazłem ten adres, inspektorze.

- Adres... Jaki adres, sierżancie? A tak. Rzeczywiście. Dziękuję.

– 14 ulica, 5 dom. Taka stara buda poharatana przez czas i Redheadów. To ich rewir.

– W porządku.

Ulice Miasta-Molocha. Jak ze złego snu lub kiepskiego filmu. Wąskie, kręte, wypełnione ludźmi, jak arterie krwią. Zanieczyszczoną krwią. Wszędzie holograficzne reklamy, aseptycznie czyste i świetliste – zapowiedź rajy, którego nie ma. Obrazu dopełniają śmierdzące rynsztoki, zanieczyszczone trotuary, anachroniczne pojazdy. Miasto jest jak monstualny, umierający, gnijący organizm. Cud, że żyje.

Woda leje się strugami z ołowianego nieba, mój kapelusz staje się w związku z tym coraz cięższy, w końcu opada na oczy.

Chińczyk sprzedający warzywa w prowizorycznej budzie poskładanej z plastikowych płyt, obdarza świat, a przy okazji i mnie jowialnym uśmiechem. Biorę z jego stoiska banana i odchodzę bez słowa.

– Money? – rzuca za mną niepewnie.

– Made in China? – pytam wskazując na owoc.

Nie lubię bananów.

Holograficzna reklama widowiska sex-jitsu wciąż jarzy się blado, choć jest już południe. Reklamowe fantomy z wolna dematerializują się w chłodnym powietrzu, by zmartwychwstać wieczorem.

14 ulica. Slums? To za dużo powiedziane – jak zauważył prezydent Miasta-Molocha, Joseph Prokurat. Ulica cieni przesuwających się z pozorną logiką. Ulica bezpostaciowych postaci.

Ukradkowe spojrzenia, ukradkowe myśli. Filozofia życia? I to za dużo powiedziane. A przecież to właśnie tu, dokładnie w miejscu, w którym teraz stoję, popełniono przed laty najgłośniejszą zbrodnię w dziejach miasta – zastrzelono samego Prezydenta Federacji. Kula roztrzaskała mu czaszkę, ale na wszelki wypadek ciało zawieszono do kliniki i poddano natychmiastowej reanimacji. Ta, oczywiście, nie przyniosła niespodziewanych rezultatów. Mordercą był młody sprzedawca pieczywa. Motywów nigdy nie ustalono. Gdybyż był choć Redheadem, czyli anarchistycznym, komunizującym chuliganem. Ale żadnych powiązań nie potwierdzono.

Jak to powiedział sierżant? Buda regularnie rujnowana przez Redheadów? Ściany pokryte graffiti z Che. Tu i ówdzie błysnie łysina Lenina. No i Soso o surowym wejściu. Twarze oddane z niezwykłym

realizmem – rośnie jakość szablonów i farb. Kto wie, czy nie jest to jedyny obszar postępu w Dolinie?

Żeby oni mieli jeszcze jakieś ideały, jakiś program pozytywny. A tu tylko czupryny unurzane w lakierach – stopniowalność czerwoności. Im bardziej jadowita, im intensywniejsza, tym wyżej w hierarchii obwieś. Ich aktywność ogranicza się do napadów rabunkowych, które usprawiedliwiają ideałami walki klasowej i nierówności społecznej. No i tłuką się nieustannie z Białymi Łbami – neonazistami.

Na ścianach klatki schodowej propagandowe hasła fosforyzują czerwienią. PRECZ Z WŁASNOŚCIĄ PRYWATNĄ! WOLNOŚĆ – RÓWNOŚĆ – BRATERSTWO. W tym ostatnim napisie ktoś przytomnie przekreślił skrajne człony, pozostawiając RÓWNOŚĆ.

Trzecie piętro. Zgniłozielone drzwi, a na nich tabliczka z napisem: *T. i A. Sterenkovs*. Pukam, dzwonek bowiem jest wyrwany i zwisa smętnie na przewodach. Drzwi wydają z siebie głuchy pogłos pękającej skorupy. Wokół roznosi się przykry zapach zsypu na śmieci, jakby od lat nie czyszczonego. Brudne okna filtrują blask dnia, i tak przecież niezbyt dziś promiennego.

Wizjer zaczernia się. Ktoś mnie obserwuje.

Wciąż cisza. Dopiero po jakimś czasie:

– Kim pan jest? – zdecydowanie kobiecy głos.

– Jestem z policji. Pani mąż...

Drzwi otwierają się niespodziewanie. Młoda dziewczyna. Nie, nie może, nie powinna być żoną zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach Toma Sterenkova – czterdziestoletniego pracownika podmiejskiej elektrowni jądrowej. Zbyt młoda. Zbyt świeża. Niesforne kosmyki włosów opadają jej na oczy, co musi utrudniać widoczność. Odgarnia je niecierpliwym gestem. I ten gest. Tak, ten gest zapada mi w pamięć. Za takie drobiazgi kocha się kobiety. Może nie jest piękna. Ale jest w niej jakiś zwierzęcy wdzięk.

Co ona, u diabła, robi w takim miejscu?!

– Tom Sterenkov nie wrócił do domu po pracy w dniu 17 listopada tego roku. Kiedy widziała pani ojca po raz ostatni?

– Męża – poprawia mnie z uśmiechem, który jest smutny. – Niechże pan wejdzie. Może napije się pan herbaty...

– Nie, dziękuję.

– Cóż... – usta drżą jej lekko. Nerwowym ruchem zapala papierosa. – Nie mieliśmy z mężem dzieci...

Rozglądam się po pokoju pełnym cieni i półcieni. Nie mówiąc o brudnych ćwierćcieniach filtrowanych przez szyby. Wszystkie one czają się po kątach niczym zapomniane istoty, wędrują bezszelestnie, jak to tylko cienie potrafią, nie dotykając przy tym podłogi.

– Tom wyszedł do pracy... Rano, jak zwykle... Chyba nie był zdenerwowany, czy gwałtowny... Ale... on... bał się... czegoś.

– Bał się? – słyszę swój drewniany głos, jakby dochodził z wielkiej dali. W tamtych stronach nawet echa nie znają.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć! Ten strach nie był u niego czymś niezwykłym... To należał po prostu do kategorii osób wiecznie czegoś się bojących. Nie był tchórzem... – zaplątała się. Znowu gest, tym razem zniecierpliwienia. Kocham te jej gesty. – Bał się czegoś bliżej nieokreślonego. Był jak... zwierzątko przed katastrofą, zamknięte w klatce. Wie pan, zwierzęta wyczuwają kataklizmy jakimś dodatkowym zmysłem. Bał się czegoś nieuniknionego jak...

– Śmierć?

– Nie wiem. Być może... Wyszedł i nie wrócił... po prostu wyszedł... – Wzburzenie gra na jej twarzy. Emocje płyną głęboką falą przez jej zielone oczy, wąski nosek, przez drżącą linię ust. – Jest niezwykła.

– Czy miał jakichś wrogów? – Moja rutyna nie daje łatwo za wygraną.

– Wrogów? Jakich wrogów mógłby mieć podrzędny pracownik elektrowni, który połowę życia spędził na uważaniu, by komuś przypadkiem nie nadebrać na odcisk? – Rezygnacja przelewa się przez jej głos, jakby werbalne ramy były zbyt wąskie.

– Tom był dobrym człowiekiem – dodaje po chwili.

Był?

Patrzę na ich ślubne zdjęcie wiszące na ścianie, tuż nad holowizorem. Nagle przechodzi mnie dreszcz – znam tego człowieka! Widziałem go... W snach?

– Mógłbym obejrzeć pokój pani męża? – Rutyna.

Waha się. I nawet to wahanie jest urocze. Po chwili:

– Proszę.

Zostawia mnie samego. Słyszę dźwięk wody tłukącej o powierzchnię umywalki. Pozorowane działania.

Rozglądam się. Pokój tonie w mroku, więc włączam lampkę na biurku. Pokój bez okien. Uroczy facet. Czuję smród starych książek. Miałem kiedyś dziewczynę, bibliofilkę – od tej pory słabo znoszę takie wonie. Po chwili dostrzegam to, co jest źródłem stęchlizny: książki z zaznaczonymi fragmentami. Biblia. Pierwsza Księga Mojżeszowa. I ustęp wzięty w czerwone kółko okraszone wykrzyknikiem.

– *I rzekł: Niechaj nie gniewa się Pan, proszę, gdy jeszcze raz mówić będę: Może znajdzie się tam dziesięciu. I odpowiedział Pan: Nie zniszczę miasta ze względu na tych dziesięciu.* – czytam na głos. I przez moment dzieje się ze mną coś dziwnego. Jakbym utracił świadomość. Trwa to minutę, może dwie. Dochodzę do siebie. Pani Sterenkov chyba niczego nie dostrzegła. Chyba jest w kuchni. Brzęk naczyń.

Abraham targuje się z surowym Bogiem o życie sprawiedliwych, mieszkańców pewnego miasta. Reszta nie zasługuje na życie.

Są też cytaty z Apokalipsy. Zwracam baczną uwagę, sam nie wiem dlaczego, na zakładki, którymi Sterenkov oznaczał miejsce istotnych, jego zdaniem, fragmentów. Strzępy jakiejś ulotki reklamowej drukowanej na lśniącym niebieskim papierze. Układanka. Brakujących części szukam w innych księgach. Dwie znalazłem w „Historii Piekła” Alice K. Turner. Składałem strzępy do kupy. To reklama wróżki. „WRÓŻBY TANIO, ALE NIE ZA DARMO!”. Brak jakichkolwiek namiarów, co nie dziwi, gdyż proceder predykcji był na terenie Federacji surowo zakazany. Oczywiście nieoficjalnie korzysta się z ich usług – potężne korporacje nie potrafią się jakoby obyć bez porad Obdarzonych. Charlie Dvoyatchny prowadził, bez przekonania, śledztwo w tej sprawie. Będę musiał z nim pogadać.

Opuszczam dom Sterenków z żalem. Idę przez podwórze i czuję na plecach wzrok niezwyklej Angeliki Sterenkov, najprawdopodobniej wdowy. Choć wiem, że okna jej mieszkania wychodzą na ulicę.

W głowie szumi mi stado komarów. Czuję podniosły nastrój, nabrzmiewa we mnie poetycki wrzód, który należy, rzecz jasna, niezwłocznie przeciąć.

Kiedyś, pamiętam, napisałem wiersz. W końcu każdemu to się zdarza. Pierwszego dnia wiersz spodobał mi się. Drugiego dostrzegłem wulgarność rymów, trzeciego liryczną miałość. Szóstego dnia postanowiłem wiersz spalić, ale coś mnie powstrzymało. Siódmego odpoczywałem od poezji i bierność liryczna trwa po dziś dzień. Doskonałość stworzenia widzi się

tylko pierwszego dnia. Teraz, ilekroć nachodzi mnie nieprzeparta chęć poddania się poetyckim nastrojom, natychmiast wyjmuję z szuflady ów jeden jedyny wiersz i czytam. Na głos, niestety. Działa jak szczepionka. Okrutne, lecz skuteczne. Dziś też przeczytam.

Okrucieństwo maluje się na mordzie Skurbyka. Pozostałych nie znam.

– Cześć – mówię.

Księżycowa noc i pustka na ulicach.

– Cześć – odpowiada za wszystkich obecnych i nieobecnych Skurbyk. Stanął w cieniu i jego twarz jest teraz ciemną plamą. – Słyszałem, że chodzisz z Joanną.

– Na spacer.

– Zabawne – zauważa jeden z towarzyszy Skurbyka. Ale jakoś nikt się nie śmieje. Nawet ja posmutniałem.

– Przestań z nią chodzić, Jos – cedzi Skurbyk.

– Na spacer? – zawieszam głos. Nie za wysoko, nie za nisko. Dla Skurbyka w sam raz.

Pierwszy cios rzuca mnie na chodnikowe płyty. Są zimne.

– No?

– Nic... z tego... oboje lubimy spacer...

Dopiero drugi cios topi mnie w sadzawce ciszy.

Cisza wydaje się absolutna. Nie licząc oczywiście wentylatora pracującego na pół gwizdka – w końcu jesień. Ale tu zawsze jest duszno.

Szef patrzy na mnie jak na robaka zżerającego ostatnie jabłko na świecie. Na domiar złego owoc pochodzi z Drzewa Wiadomości.

– Wyniki?

– Zero. Brak punktu zaczepienia. Tych ludzi prawie nic nie łączy. Czterdziestoletni listonosz. Jakiś windziarz, urzędas, młoda siksa. To wszystko nie trzyma się kupy. Znikają ludzie – może działa prawo wielkich liczb? Znikają, bo mieli zniknąć. Akurat nastąpiło spiętrzenie zniknięć, a my doszukujemy się w tym wszystkim jakichś głębokodupnych prawidłowości...

– Widzę, że próbujesz sobie ułatwić robotę, Jos. Ślepy traf, co? Kurwa, może i poszedłbym na to, gdyby nie wybory. Bierność oznacza brak kompetencji. Brak kompetencji – emeryturę. Nie będę głodował za siedemdziesiąt procent pensji, bez dodatków, bo ty nie chciałeś wziąć dupy w troki!

Więc ją biorę i udaję się do Jajogłowego, informatycznego geniusza, a poza tym, jak to często bywa, kompletnego imbecyla. Pokój przypomina swego właściciela – sterylny do granic aseptyczności. Na biurku spoczywa niepozorny komputer, przedmiot dumy Jajogłowego. Powiadano, że prędzej powiesi się Jajogłowy niż zawiesi się jego komputer. Nawet przyjmowano zakłady, choć w to akurat nie wierzyłem.

– Kiepsko? – pyta lakonicznie na powitanie. Uśmiecha się paskudnie – jakby podzielić piłeczkę pingpongową na dwie równe części czerwoną krechą. Cienka czerwona linia – tak nazywali jego uśmiech.

– Rozeszło się?

Potakuje, wciąż rozbawiony.

– Rzuć to na komputer.

– Co to jest?

– Dane o zaginionych. Wiem, że masz odpowiednie programy.

– Analiza porównawcza?

– Tak to chyba nazywają.

– Jak tylko wyliczę szefowi szacunkową kwotę emerytury, a to wyjątkowo skomplikowane algorytmy, zajmę się tym – obiecuje.

Wychodzę. Deszczowy wieczór. Gwiazd zatem nie widać, a i księżyc w odwrocie. Świat odbija się, zdeformowany, jakby po jakimś kosmicznym kataklizmie, w kroplach deszczu. W powietrzu śmigają latające limuzyny z Zachodnich Dzielnic – zapewne śpieszą na nocne widowisko sex-jitsu. Potem będą mówić o specyfice Wschodniej Dzielnicy.

Dom. Otwieram drzwi jak najciszej, by nie obudzić starej raszpli. Światło chyba nie działa.

Latarnie nie działają. Ulice zalegają w ciemnościach.

Przed moim domem stoi dziewczyna. Niezła.

– Dobry wieczór, Josefie.

To Joanna. Tylko ona zwraca się do mnie pełnym imieniem.

– Dlaczego nie wchodzisz? – pytam.

– Twoja ciotka...

Jej włosy rozwiewa wiatr. Ciepły, wiosenny. Jej oczy... jej oczy dziwią się światu. Świat dziwi się jej oczom. Jej ciało...

– Boisz się jej? To dobra kobieta. Adoptowała mnie kiedyś. Wyrwała ze szponów sierocińca. Miałem wtedy siedem lat... Ktoś mnie porzucił, gdy byłem dwuletnim brzdącem... Zresztą, nie mówiłem ci już o tym?

Podchodzę do niej na tyle blisko, by czuć zapach jej włosów. Nie wiem, czym pachną, ale podoba mi się. Obejmuję ją. Nasze wargi odnajdują się w ciemnościach. Pocałunki są gorące.

Gorączka z wolna udziela się mieszkańcom, choć gazety – na mocy informacyjnego embarga policji – tylko spekulują.

Siedzę w anachronicznym volkswagenie (jeśli go za coś lubię, to właśnie za anachronizm) zaparkowanym na rogu 12 i 17 ulicy. Właściwie to nawet nie wiem, dlaczego zatrzymałem się w tym akurat miejscu.

Jakiś blondyn o bokserkim nosie stuka w szybę. Niechętnie ją uchylam.

– Dobry wieczór – mówi.

– Późny – ja na to.

– Aluzja? – pyta. Patrzy na mnie z niechęcią. Niechęć to u byłego boksera niemal broń biała.

– Aluzja.

– Będę mówił krótko. Jestem Vancouver. Jean Vancouver. Od jakiegoś czasu handluję antykami. Chętnie kupiłbym pański samochód.

– Nie jest na sprzedaż.

– Wszystko jest kwestią ceny.

– Gdyby tak było, nie byłoby rzeczy bezcennych.

– Pan wierzy w ich istnienie? – przez chwilę patrzy na mnie z zainteresowaniem.

Nie odpowiadam na wszelki wypadek. Powiem, że bezcenne jest zdrowie, to mnie go pozbawi. Że szczęście, to unieszczęśliwi. Więc milczę.

– Jestem gotów sporo zapłacić. Nawet przepłacić...

– Widzi pan, Vancouver. Dla mnie to nie jest muzealny eksponat. Ja tym jeżdżę do pracy.

– Brzmi to fantastycznie, ale dla dobra transakcji uwierzę panu. Oferuję w zamian najnowszy model limuzyny latającej firmy nieodżałowanego Forda.

– Mam lęk wysokości.

– Pokryję koszty terapii.

– Strasznie się pan uparł.

– A z pana nielichy handlarz, panie...

– Nobody.

– Nobody. Jasne. Dwie limuzyny.

Pozostaje mi już tylko czekać, aż zaproponuje mi posiadłość w East Village z basenem, kortem tenisowym i palarnią opium.

– Nie dojdzie do tej transakcji, Vancouver. Ten samochód to pamiątka po... – Przez dłuższą chwilę zastanawiam się, kogo by tu wymienić, nikt jednak nie przychodzi mi na myśl. Nagle Vancouver wypowiada jakieś słowa, których znaczenie mi umyka. Zamykam oczy i kiedy je otwieram faceta już nie ma. Spoglądam na zegarek – umknęła mi niemal godzina! Zdrzemnąłem się czy co? Zaraz, jak on się nazywał...

– Co myślisz o jego nazwisku? – pyta Pani Pana. Pan siedzi przy ogromnym biurku i prowadzi jakieś notatki. Na moment przerywa pisanie i patrzy na mnie. Opuszczam wzrok.

– Jakby go nazwać?...

– Josef...

– Josef?

– To na twoją cześć.

– Aha...

– Josef Nobody.

– Nawet adekwatnie.

Śmieją się.

Roześmiana twarz Mary Scernick. Urodzona w East Village, niebieskie oczy. I tak dalej. Patrzę na jej fotografię i zastanawiam się, skąd, u licha, ją znam? John Bazyl, sprzedawca samobieżnych odkurzaczy, urodzony... I tak dalej. Po coś ty na świat przyszedł Johnie Bazyl? By zaginać 28 października.

Wszystko się rozplywa, odlatuję w niedaleką dal snu. Budzi mnie deszcz, znowu się odezwał. Pojedyncze krople wystukują jakiś rytm na blaszanym parapecie. Czuję lęk, narastający lęk. Jest jak nagły chłód, który wtargnął do nieźle ogrzanego mieszkanka. Jest dysonansem, niestosownością, obcością. Ale jest. Boję się. Czegoś.

Od tej wilgoci rwą mnie stare rany. Nadgarstki i nogi powyżej stóp. Bolą jak diabli – zawsze na deszcz.

Podchodzę do okna. Świt jest blady. Mój płaszcz sprawia wrażenie bardziej wymiętego niż zwykle. Nic dziwnego – w końcu w nim spałem. Kapelusz spoczywa na podłodze.

Odwiedzam Jajogłowego. Kawa, którą mnie raczy, jest lodowato zimna.

– Twój ekspres można by nazwać polarnym – mówię.

Jajogłowy uśmiecha się wąsko i złośliwie.

– Co słyhać u twego ulubieńca? – mam na myśli komputer.

– Coś jeszcze działa w tym cholernym komisariacie. – Jajogłowy od jakiegoś czasu nosi się z zamiarem zmiany miejsca pracy.

– No?

– Wszyscy zaginieni mają coś wspólnego z East Village.

– A co to znaczy: „coś wspólnego”?

– Jest tam sierociniec. Od jakiegoś czasu zamknięty. Wszyscy są jego wychowankami.

– To już coś.

– Coś – powtarza bez sensu.

– Co wiemy o tym sierocińcu? Nazwiska wychowawców? Jakies afery?

– Pracuję nad tym.

– Złożę wniosek o nagrodę dla ciebie – obiecuję.

Patrzy na mnie dziwnie.

Dopiero co opuściłem łóżko, a już marzę, by tam powrócić.

Łóżko skrzypnęło pod niewidzialnym ciężarem, drgnęły drzwi, targnięte podmuchem niewidomego, lodówka warknęła ostrzegawczo. Mieszkanie żyje. I nieustannie śmierdzi jakby gnijącą pleśnią.

– Przytulnie tu – zauważa Joanna. Jest bardzo uprzejma. A może drwi?

– Tylko, że nie ma się do kogo przytulić...

– Czyżby? – jednak drwi.

– Co postanowiłaś? – pytam melodramatycznie. Nienawidzę siebie za ten ton, ale nie potrafię inaczej z nią rozmawiać. Jest w tym ironia – tylko z nią pragnę rozmawiać, ale akurat za cholerę mi nie wychodzi. – Znasz mnie trochę. Wiesz, kim jestem. Nikim.

Czuję się jak aktor, który ma do odegrania tragedię istnienia, ale obsadzono go w holograficznej telenoweli.

A ona śmieje się. Nie jest to rechot, raczej chichot. Delikatny. Śmierć też bywa delikatna.

Czuję, że muszę zdusić, zmazać ten uśmiech.

– Wynos się – słyszę swój głos.

Ja to mówię? To naprawdę ja?

Tak to się skończyło.

Strach. Przed czym? Przed końcem? Sterenkov bał się. Podobno Mary Scernick też, tak zeznała jej koleżanka. Może ma to związek z sieroctwem?

Strach przed samotnością, coś, co tkwi immanentnie w każdym porzuconym? W pamięci rezonują mi słowa Angeliki Sterenkov o zwierzętach przeczuwających instynktownie nadciągającą katastrofę.

East Village. Niewielka miejscowość opodal Miasta-Molocha. Niecka przechodząca w łagodną dolinę. Oaza ciszy i raczej starych ludzi. Domki, które wyglądają jak zabawki – tak ładne, tak funkcjonalne.

Z wolna zapada zmierzch. Deszcz wreszcie ustaje. Wyobrażam sobie slogany reklamujące miejscowość: „East Village omijają nawet jesienne deszcze”.

Zatrzymuję się obok niewielkiego sklepu z obuwem, który jest zamknięty bez powodu. A w każdym razie bez sygnalizowanego powodu. Tak to już bywa w małych miejscowościach – sprzedawca wyszedł sobie na pogawędkę do sąsiada i nie widzi potrzeby informowania siebie kogokolwiek, bo i tak wszyscy wiedzą. Nikomu tu się nie spieszy. Nie ma go teraz? Może będzie po południu. Nie ma po południu? Może zimą? Ale po co mi zimą obuwie jesienne?

Spoglądam na tabliczkę z nazwą ulicy – Brzozowa. W pobliżu ani jednej brzozy.

Jakaś staruszka z wolna wędruje po chodniku. Mam złe doświadczenia ze staruszkami.

- Przepraszam – zagajam.
- A?
- Szukam ulicy Wierzbowej.
- Wiśniowej?! – krzyczy ona.
- Wierzbowej!
- Proszę na mnie nie krzyczeć!!! – obraża się.
- Przepraszam – rzucam za nią szeptem.
- Nie szkodzi – odpowiada.

Wreszcie odnajduję ulicę Wierzbową. Wierzby tu nawet nie płaczą. Jednak deszcz nie omija East Village. Krople znów siekają z nieodzowną chaotycznością, która obejmuje swym zasięgiem wszystko.

Wierzbowa 14. Jeden z tych ładnych domków. Czerwona dachówka i tak dalej. Po posesji biega „zły pies” – jakiś burek. Przyciskam guzik domofonu przy furtce. Jękliwy, szarpiący dźwięk. Pies wtóruje – jakby wył do księżycy.

Z domu wychodzi mężczyzna w podeszłym wieku i ponurym nastroju. Pies wciąż wyje, mimo, że ja już nie dzwonię.

– Zamknij się – mówi gospodarz ze złością.

Pies wyje.

– Pan Townsend? – pytam.

– A kto pyta?

– Josef Nobody. Jestem z policji.

– Wejdz pan. – Uchyła furtkę.

Wchodzimy do domu. W środku nie jest taki ładny. Czarny korytarz, mroczne pieczary pokoi. Na ścianach reprodukcje obrazów ze scenami biblijnymi. Tu potop, ówdzie z raju wygnanie. Jeden z pokoi jest jaśniejszy – tam zmierzamy. Na bujanym fotelu siedzi kobieta wpatrzona w holowizor.

– Kto to był? – pyta, nie spuszczając wzroku z widowiska estradowego.

– Gość z policji – odpowiada Townsend.

– Czego chciał?

– Zapytaj go o to.

Kobieta odwraca się wreszcie. Jej rozlana twarz przypomina worek bokserski na emeryturze.

Nie wydaje się zdziwiona moją wizytą.

– Czego pan chcesz? – pyta.

– Prowadzę śledztwo w pewnej sprawie... Państwo, zdaje się, pracowali w tutejszym sierocińcu?

– Ano pracowaliśmy.

– Moglibyście opowiedzieć coś o swojej pracy? Jakies tajemnice? Pikantne szczegóły?

– Żartowałem – mówię, widząc ich ponure wejrzenia. – Czy w domu dziecka działy się jakieś dziwne rzeczy? Nie wiem... ktoś zniknął, uciekł.

– Nigdy nie skierowano przeciw nam żadnych oskarżeń – wtrącił milczący od jakiegoś czasu Townsend. – Byliśmy dla dzieci sprawiedliwi...

– Tak. Sprawiedliwi – wtrąca jego żona. – Placówkę zamknęli dwanaście lat temu. Z tak zwanych powodów obiektywnych. Dzieci przeniesiono do sierocińców w Mieście-Molochu.

Wymieniam nazwiska dzieci, które już od dawna nie są dziećmi. Sterenkova, Scernick, innych zaginionych. Nie pamiętają. Nikogo. Niczego. Dyrektor sierocińca zmarł przed kilku laty.

– Gdybyście sobie państwo coś przypomnieli, proszę się odezwać.
Zostawiam im wizytówkę. Patrzą na mnie jak na wybryk natury.

Sierociniec mieścił się w okazałym budynku wzniesionym w pewnym oddaleniu od miejscowości. Droga tam prowadząca jest błotnista. W końcu, klnąc, zostawiam volkswagena i brnę przez błoto. Deszcz, jak na złość, wzmagą się. I znów czuję się przemoczony aż do samej duszy.

Budynek z czerwonej cegły okolony murem. Brama jest otwarta. Przechodzę przez zapuszczony ogród. Drzewa – głównie klony – pozbywają się gwałtownie liści, jakby te były dowodami obciążającymi. Kiedyś lubiłem chodzić po liściach. Teraz jakby mniej. Znów to przekłete uczucie – że już tu kiedyś byłem, choć wiem, że nie byłem. Już widziałem ów ponury gmach.

Drzwi są otwarte, trzaskają targane przeciągiem. Nie mogę wejść. Nie mogę tam wejść. Strach?

Nie czuję strachu przed szefem. Ten urządził sobie obozowisko w moim pokoju. Półzartem proponuję, że może w takim razie ja przeniosę się do niego.

Patrzy na mnie z niesmakiem.

– Który to już dzień? – pyta.

– Pada chyba od tygodnia.

– Pytam, ile trwa śledztwo.

– Też coś koło tego.

– Rezultaty?

– Trudno na razie mówić o jakichkolwiek rezultatach...

– Zaginęło piętnaście osób, a tobie trudno mówić o rezultatach!

Więc udaję się do Jajogłowego. Pływa w oceanie samosatysfakcji – dostał pracę w przemyśle gier komputerowych. Będzie odpowiadał za graficzny obraz trupów ścielących się gęsto w grach - jako osoba nad wyraz kompetentna. Producent uznał, że należy trupy zindywidualizować, obdarzyć jakąś pośmiertną specyfiką. Każdy winien wyglądać inaczej, stężenie pośmiertne utrwałać winno inny wyraz twarzy. Obwód ran musi odpowiadać kalibrowi pocisku. I tak dalej, i tak dalej.

– Zakładam spółkę z Mizerskim. Wiesz, tym koronerem. Chłop napatrzył się na śmierć.

– Gratuluję – mówię.

Przez chwilę wpatruje się w mą dłoń, jakby wahał się, czy należy uścisnąć coś równie obrzydliwego.

– Ale jeszcze jesteś na etacie u nas. Obliczyłeś już te emerytalne algorytmy szefa?

– A co? Chcesz, bym się zajął twoimi?

– Może później. Zerknąłeś do archiwów tego domu dziecka z East Village?

– Wszystkie pliki zostały skasowane. Może archiwum miejskie?

– Nic z tego, sprawdzałem. Cholera. Ale potrzebuję innych informacji.

– Niestety, obawiam się, że komputer nie zdradzi ci nazwiska porywacza...

– Zabawne – kłamię. – Potrzebuję informacji o wychowankach wiadomego sierocińca, którzy aktualnie przebywają w Dolinie.

– To trochę potrwa.

– Wpadnę za godzinę.

Po drodze zaglądam do podinspektora Dvoyatchny'ego. Jego klitka wydaje się nawet nieco mniejsza od mojej. Wiele nas zatem łączy. Skromność. Inteligencja. Profesjonalizm. Obaj jesteśmy sierotami, nigdy nie poznaliśmy swoich rodziców.

Dvoyatchny, mimo tych licznych pokrewieństw, patrzy na mnie z dystansem. Delikatnie rzecz ujmując.

– Kurwa – mówi – ciśnienie skacze. Łeb mi pęka.

Pewnie ma kaca. Słynie z tego, że pija wódkę jak herbatę. Ta niewspółmierność w picciu z resztą populacji skazuje biedaka na samotność.

Wydobywam z wewnętrznej kieszeni płaszcza piersiówkę. Wyraz jego twarzy stopniowo zmienia się. Oto nastąpiła odwilż pośród mrozów niechęci. Zza skutego dotąd lodem złości oblicza wyłania się wiosna niczym nieskrępowanej sympatii. Teraz patrzy na mnie jak na mesjasza. Bez słowa wstaje, zamyka drzwi na zasuwkę i rozlewa wódkę do mętnych szklanek.

– Co cię sprowadza? – pyta. – Pracujemy na tym samym piętrze, a nie widziałem cię od czasów oświecenia.

– Słyszałem, że pracujesz nad sprawą wrózek...

– No. Pracuję.

– Opowiadaj.

Przełykam wódkę bez radości. Z racji długotrwałego kontaktu z mym ciałem, jej temperatura wzrosła. Cholera, chyba mam gorączkę. Charliemu nie sprawia to różnicy. Przecież pije wódkę jak herbatę.

– Właściwie zajmuję się tylko pewnym aspektem tego... gówna – mówi. – Wyjątkowo śmierdząca sprawa.

Zamilkł. Nie chcę go ponaglać. W końcu chrząkam znacząco. Działa to na niego jak wyzwalacz. Znowu gada.

– Manipulacje genetyczne, Jos. Gen prekognicji. Słyszałeś pewnie. Nie jest do końca stwierdzone, czy gen rzeczywiście uruchamia jakieś pozazmysłowe kanały informacji, czy też tylko umiejętność nadzwyczajnie sprawnego odczytywania łańcuchów deterministycznych skuwających naszą rzeczywistość...

– Gadaj po ludzku, Charles.

– Może są tylko nieco od nas bystrzejsi. A właściwie bystrzejsze, bo dar dotyczy wyłącznie kobiet. Potrafią spojrzeć na świat z dystansu. Jak ów słynny Demon Laplace'a. Widzisz, inspektorze, jeśli świat jest zdeterminowaną machiną, nie dostrzegamy prawideł nim rządzących tylko z jednego powodu – brak nam dystansu, a zatem i wiedzy. Wydaje nam się, że rzeczywistość jest chaotyczna, a my spontaniczni. Ale tak nie jest.

– Kurwa, Charles. Co z tobą? Przecież prowadzisz śledztwo...

– Po co, Jos? Po co? Prowadzę śledztwo, bo tak musi być. Nie prowadzę, bo tak musi być. Co zrobię, nie ma znaczenia, bo zrobię to, co muszę.

– A Widzące? Co z tymi wrózkami? Skąd się wzięły?

– Kolejne draństwo, Jos. Manipulacje genetyczne. Hodowano je. To jest przedsięwzięcie na niewyobrażalną skalę. To gorsze niż sprawa Boha. Dzieci z sierocińców, Jos. Jak my. Jak my...

– Weź się w garść, Dvoyatchny. Gadaj. Znasz jakieś szczegóły?

– Po co ci to, Jos? Po co ci ta wiedza?

– Jestem policjantem.

– Też tak kiedyś o sobie myślałem.

– Szczegóły, Charlie. Szczegóły.

– Jakie szczegóły? A, tak. Szczegóły. Rzecz w tym, że dostrzegamy tylko szczegóły. Istota rzeczy zawsze nam się wymyka. Coż... – Dvoyatchny z wyraźnym żalem odstawia szklanę. Rzuca na stół plik

fotografii. – Namierzyłem kilka płótek. Obserwujemy ich. To naganiacze, sprzątacze. Wiesz, co mam na myśli...

Przeglądam fotografie.

– Co się dzieje z tymi wrózkami?

– Do tej pory trafiliśmy tylko na odrzuty. Egzemplarze felerne. Być może tak się im w głowach miesza po jakimś czasie. Wykorzystywane przez różnego rodzaju... parapsychicznych sutenerów. Podziemie prekognicyjne. Wieszczą, zakamuflowane po trefnych lokalach. Ich bełkot daje się odczytywać na różne sposoby. Te, do których udało nam się dotrzeć niczego nie pamiętają. Albo są to uboczne skutki daru prekognicji – wizje przyszłości stopniowo wypierają wydarzenia realne... Albo mamy do czynienia z jakimiś technikami hipnotycznymi; bardzo zaawansowanymi, prawdopodobnie wspomaganymi farmakologicznie. Widzą tylko wydarzenia z przyszłości, zagmatwane, splątane. Te, które udało nam się wyłowić umieszczono w jakiejś klinice psychiatrycznej, czy instytucie badawczym... w każdym razie pod ścisłym nadzorem. Są chronione jak broń najnowszej generacji. Badają ich kod genetyczny, nagrywają każde słowo. Ale niczego to nie przyniesie, moim zdaniem.

– Kto za tym wszystkim stoi? – Nagle wyławiam pośród fotografii znajomą twarz.

– Nie wiem, Jos. Jakaś cholerna korporacja. Albo spisek. Masoni. Żydzi. Wszyscy. Jakie to ma znaczenie? Tęsknota za kontrolą rzeczywistości jest stara jak Bóg.

– Chciałbym zobaczyć jedną z nich. Możesz to załatwić, Charlie?

– Przychodzisz tu do mnie po wiekach z flaszką ciepłej wódki i oczekujesz odruchów serdeczności? Dzielenia się tym, co mam? Po co ci to, Jos?

– Załatwisz?

– Będzie trudno. Służby specjalne stopniowo zawłaszczają sprawę. Na mnie nie zwracają uwagi, bo przestałem się ruszać, skutym poczuciem fatalizmu.

– Spróbujesz?

– Spróbuję.

– Kto to? – pytam, wskazując na zdjęcie faceta w średnim wieku. Ma nos boksera.

– To? Jean Vancouver. Były sutener, cyngiel Boha, od jakiegoś czasu, jak podejrzewam, naganiacz. Rozprowadza odrzuty. Rozumiesz, co mam na myśli? Paskudny typ. Znasz go?

– Trochę.

– Uważaj na niego.

*

Moją uwagę przykuwają na moment niepokojące dźwięki dochodzące z silnika volkswagena – coś tam zgrzyta, coś terkocze. Jakby łamiącym się głosem dopominał się przeglądu.

Zostawiam za sobą mokre ulice – są jak przykre wspomnienia. Dźwięki dochodzą mnie przytłumione, miękkie jak wosk.

Wreszcie zatrzymuję się przed brzydkiem, jak wszystko wokół, budynkiem. Tu ma mieszkać niejaki Brower. I mieszka.

– Pan Brower?

– Tak.

– Nobody z komisariatu dzielnicowego.

Macham mu przed oczami skorodowaną odznaką.

– Pańscy koledzy już mnie odwiedzili.

– A imię nasze: Legion.

– Niech pan wejdzie.

– Przyszedłem w sprawie zaginięcia pańskiej żony.

– Doprawdy? – Wprowadza mnie do niewielkiego pokoju obwieszzonego starymi zegarami. Żaden nie chodzi.

– Pan jest hobbystą? – pytam, by rozładować nieco atmosferę.

– Nie.

– Zastanawiają mnie okoliczności zaginięcia pańskiej żony.

– Już o tym mówiłem. Nie raz. – Zapala papierosa. Wyraźnie trzęsą mu się ręce.

– Nie mnie.

– Dobrze więc. Siedziałem w tym pokoju i usiłowałem zapomnieć o tykaniu tych cholernych zegarów. Monika robiła coś w kuchni. Śpiewała coś przy tym. Nie wiem... Chyba *Do You Believe?* Miała przeciętny głos, ale lepsze to niż zegary... I nagle przestała śpiewać.

Brower blednie. Jakby raz jeszcze przeżywał te wydarzenia. Pewnie tak było. Mnie natomiast tyka w umyśle: cholerne zegary, przeciętny głos. Nie darzył jej nadmierną atencją. Zegary to wprawdzie jeszcze nie powód do uprowadzenia, ale...

– Nie było jej w kuchni... Nie mogę tego zrozumieć... Musiałaby albo przejść przez pokój, albo wyskoczyć przez okno w kuchni. W pokoju siedziałem ja, z pierwszego piętra nigdy by nie skoczyła... Zresztą po co?

– Zawsze jest ten pierwszy raz. – Nie lubię go. Nic nie mogę na to poradzić. – Zatem jak by pan to wszystko wytłumaczył?

– Pan tu jest od tłumaczenia.

Ma cholerną rację.

– Był pan może kiedyś w East Village? – pytam bez jasno sprecyzowanego celu.

– Tak. Dość ponure miejsce. Jej... mojej żony rodzice stamtąd pochodzili. Przybrani rodzice.

– Czy pańska żona... bała się czegoś?

Przez dłuższy czas milczy.

– Dziwne pytanie. Czy to standardowe metody śledztwa? Ale... tak. Chyba tak. Miała takie wystraszone oczy.

Zaglądam jeszcze do tej nieszczęsnej kuchni. Kuchnia jak kuchnia, lecz znów męczy mnie to nieuchwytnie uczucie *déjà vu*. Byłem tu już. Pozostałe pomieszczenia nie budzą tego odczucia.

Wychodzę bez pożegnania.

W domu zasypiam na stojąco. Pajęczynę ciszy rozrywa dźwięk fonu.

Mój rozmówca nie włączył wizji.

– Słucham. Ale nie widzę.

– Jos? – Rzecz jasna i ja nie ukazałem się rozmówcy, w ramach restrykcji wizyjnych. Nie rozpoznaję jego głosu. Za oknami nic nie rozświetla ciemności. Z wyjątkiem ludzi i ich nieudanych dzieł.

– Owszem, noszę takie imię. O co chodzi?

– Miałeś do mnie wpaść po południu.

– Czyżby? – Wciąż nie wiem, kto zacz.

– Nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Powiadają, że pozbyłeś się pagera. Mam te dane.

– To ty, Jajogłowy?

– Nie poznałeś mnie?

– Zmieniłeś się od wczoraj.
– Na lepsze?
– Gadaj.
– Udało mi się zlokalizować dwoje wychowanków tego domu dziecka, którzy zarazem mieszkają obecnie na terenie Doliny...

– Szef wie?
– Nie pytał mnie o to...

Cały Jajogłowy.

– Zaraz tam będę. Fonujesz z Komisariatu?
– Z domu. Jestem wprawdzie w piżamie, ale jeśli koniecznie chcesz, to wpadaj. – Tłumiony chichot.

– Kto ma teraz dyżur?
– Chciałbym się mylić, ale chyba Twardogłowy.
– Niedobrze. Podaj nazwiska i adresy tych wychowanków.

– Jean Vancouver, 17 ulica, dom 6, mieszkanie 9. Deborah Veverka, znana jako Debbie China – 12 ulica, dom 7, mieszkanie 15.

– Debbie China... ta piosenkarka?
– Ta sama.

Wyłączam Jajogłowego i wystukuję numer mego zaufanego – Bobby'ego Ventury. W głowie kołaczą mi się słowa wypowiedziane przez Dvoyatchny'ego – Vancouver, cyngiel Boha, sutener parapsychiczny. On też? Dlaczego, kurwa, Vancouver?

Zaspana, wymięta twarz Bobby'ego.

– Wal do komisariatu i wypieprz stamtąd Twardogłowego. Zajmij się dyskretną ochroną i inwigilacją niejakiego Vancouvera i Deborah Veverki – podaję adresy. – Są następni na liście. W razie problemów powołaj się na szefa. Zaraz będę w komisariacie.

Fonuję do szefa. Kiedy wystukuję numer jego mieszkania mój wzrok wyławia z półmroku jakiś jasny przedmiot spoczywający na podłodze opodal łóżka. Nie mogę jednak stwierdzić, co to.

Odbiera żona. Profilaktycznie mam wyłączoną wizję.

– Witam – mówię odpowiednio oficjalnym tonem. – Wie pani oczywiście, z kim rozmawia?

– Tak, panie prezydencie. Już proszę męża.
– Słucham – szef walczy ze snem.

– Tu Nobody. Chyba udało nam się ustalić nazwiska potencjalnych ofiar. Potrzebuję ludzi i autoryzacji moich decyzji.

– Skąd fonujesz?

– Z domu.

– No to co tam, kurwa, jeszcze robisz?

– Właściwie to nic.

Pochyliam się nad owym przedmiotem mającym w półmroku jasnością. To blond peruka. Skąd tu peruka?! Zamawiałem jakąś roztargnioną dziwkę – zastanawiam się przez chwilę. Ale nie. Na pewno nie.

Przypominam sobie Debbie China śpiewającą obsesyjne ballady o strachu. Azjatyckie rysy twarzy wydobyte subtelnie przez jakiegoś geniusza chirurgii plastycznej. I lekko skośne oczy, z których spoziera lęk.

Patrzemy na młodą dziewczynę wykonującą brudny strip-tease. Spazmy podniecenia, które nie może być udawane, więc musi być wspomagane farmakologicznie. Dziewczyna jest na prochach. Nie ma więcej niż szesnaście lat i jest artystką w swoim fachu – budzi odrazę.

– Idziemy? – pyta poblady nagle Mix.

– Dokąd?

– Do Jolette – mówi Mix. – Powinna być teraz w domu.

– To dobry pomysł. Tego dnia nawet bardzo dobry. - Chłopcy uśmiechają się, myśli odbijają się na płycznach ich twarzy. Głupie twarze. Jolette to nasza koleżanka z ogólniaka przy 5 ulicy. Poza tym dorabia jako dziwka, co nie przeszkadza jej absolutnie w byciu wzorową uczennicą.

Wchodzimy do anachronicznie czystej i gustownie urządzonej klatki schodowej. Na ścianach reprodukcje Boscha. Pukam, co ma chyba świadczyć o wysokim statusie społecznym mieszkańców. Nic. Albo jej nie ma, albo jest „zajęta”. Spoglądam na Moryca. Jest rozczarowany.

Rozczarowanie zalewa mnie falą nie do odparcia. Falochrony mej psychiki są zdemolowane. Szef jest w komisariacie. To jego ford z turbodoładowaniem. Na latającą limuzynę jeszcze go nie stać.

– Ich mieszkania sprawdzone?! – krzyczę od drzwi.

Żandarmi patrzą na mnie jak na faceta z innego – może nawet lepszego? – świata.

– Vancouver jest od dawna obserwowany z innego powodu. Jest teraz u siebie. Veverka powinna być w East Show. Nasi ludzie są już w drodze –

relacjonuje Boby. Stary dobry Boby o oczach poczciwego psa.

– Świetnie, Boby. Nie kontaktujcie się z nimi, nie ostrzegajcie. Ograniczcie się do obserwacji. I dyskretnej ochrony.

– Wiesz, co robisz, Jos? – to szef. Stoi za moimi plecami z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wielki i majestatyczny. Jak własny pomnik. Nagrobek.

– Mam nadzieję.

– Zawiadomiliśmy ich!

– Kogo?

– Naszych ludzi.

– Dobra, Boby. Spieprzyliśmy w życiu wiele spraw. Niech z tą będzie inaczej. Ty nadzorujesz grupę Vancouvera. Ja biorę Veverkę.

Jedziemy. Neony przeistaczają się w smugi, wycieraczki pracują chyba tylko siłą inercji. Jakbym jechał naprzeciw przeznaczeniu.

Żadna knajpa w Dolinie nie jest tak znana jak East Show. Wygląda niepozornie – buda okolona błotnistym podjazdem. No i odźwierny, wieczny jak skała i niezmienny. Ma twarz zmasakrowanego pekińczyka. Z majestatyczną aprobatą kiwa ciężką głową na widok okazywanych zaproszeń. Macham mu przed oczami odznaką. Kiwa głową z dezaprobatą. Lecz przepuszcza.

Strach narasta wprost proporcjonalnie do kurczącej się odległości – jakby działała jakaś zależność, prawo fizyki.

Tymczasem tłum dyszy podnieceniem. Na niewielkim wyniesieniu mieści się równie mały ring, a na nim odbywa się walka sex-jitsu. Kobieta ma wyraźną przewagę.

Wyczuwam w powietrzu coś obcego, jednocześnie namacalnie rzeczywistego, elektryzującego atmosferę. Coś się wydarzy...

Rozochociona dziewczyna, z gatunku neonowych blondynek, pakuje mi rękę w krocze. Odpycham ją – może i nieco zbyt brutalnie. Przyskakują do mnie jacyś ludzie, to jeszcze dzieci. I oni są płomienistymi blondynami, na czołach mają wytatuowane swastyki. Pierwszego ciosu prawie nie czuję.

Tłum rozstępuje się, rozerwany rozterką – co też gwarantuje większe emocje: sex-jitsu czy nasza bójka? Uzyskujemy niezłą frekwencję.

Chcę wyjąć odznakę, ale drugi cios wyłącza mnie na jakiś czas, bliżej nieokreślony. Kiedy wreszcie otwieram oczy, pochyla się nade mną jeden z białowłosych. Odrzucam go ciosem niespodziewanym, także i dla mnie

samego. Jego ciało wiotczeje, opada na kolana. W tym samym momencie widzę moich chłopców. Przeciskają się przez falujący tłum, by mnie wspomóc.

– Biegnijcie do garderoby! – krzyczę. – Pilnujcie Debbie!

Zatrzymują się niezdecydowani, a ja przeklinam to ich niezdecydowanie.

Spada na mnie grad ciosów. Wreszcie ktoś litościwie pozbawia mnie przytomności. Błogosławiony stan nieświadomości. Kim jestem? Nie wiem. Po co istnieję? Nie pamiętam.

Po pewnym czasie odzyskuję przytomność, pamięć i, niestety, świadomość. Głowę mam dużo cięższą niż zazwyczaj o tej porze.

Nade mną majaczy planeta twarzy szefa – mógłby zaćmić słońce. Wciąż jestem w East Show. Leżę na dwóch połączonych stolikach. Ile czasu minęło?

– Ile czasu? – pytam i nie rozpoznaję swego głosu.

– Pół godziny.

– A nie wieczność?

– Pół godziny wystarczyło. Pokpiłeś sprawę, Jos.

– Ona...

– Zniknęła, nie opuszczając garderoby, z której jest tylko jedno wyjście. A ty się tu zabawiałeś w mordobicia...

– To nie była zabawna zabawa. Macie tych gówniarzy?

– Owszem. To Whiteheadzi.

Jason Rutheford, homoseksualista i barman z East Show, był ostatnim człowiekiem, który widział Debbie China. Zeznał, że zjawiła się na godzinę przed występem. Zdziwiło go, że nie podeszła do baru, jak czyniła to zwykle, by zamówić whisky z wodą i pogawędzić. Od razu udała się do garderoby, skąd już nie wyszła. Wyszedł za to stamtąd drobny, niski facet w płaszczu przeciwdeszczowym, z wysoko postawionym kołnierzem, jego twarz ginęła w cieniu.

– Z postawy przypominał pana – rzekł Rutheford do mnie.

Głowę rozsadza mi tępy, dojmujący ból. Wsiadam do samochodu, ruszam. To kierownica steruje dłońmi. Prosto na 17 ulicę.

Boby siedzi w swoim samochodzie.

– Wciąż jest u siebie? – pytam.

– Tak. Przed chwilą sprawdzaliśmy. Jeden z chłopców był u niego.
W przebraniu pracownika gazowni.

Pracownik gazowni. Standard.

– Dobra. Idziemy.

– Do niego?

– Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że wyparował. Musimy to sprawdzić.

Trzecie piętro. Dzwonię. Drzwi uchylają się lekko. Ulga.

– Pan Vancouver? – pytam.

– Tak.

Wysoki, barczysty blondyn o złamanym nosie.

– Policja.

– Co się...

– Pozwoli pan, że wejdziemy.

– Mają panowie nakaz?

– Sto nakazów. Nie kradnij. Nie zabijaj. Nie kłam... – wymieniam jednym tchem.

– Wystarczyłby jeden. Chciałbym go jednak zobaczyć...

– Powiedzmy, że nasza wizyta ma charakter towarzyski.

Vancouver uśmiechnął się chłodno. Ale wpuścił nas.

– Będę mówił krótko. Jest pan wychowankiem sierocińca w East Village?

– Tak. Czy my się aby skądś nie znamy?

– Może pan mieć kłopoty, Vancouver. Chyba, że pan jest ich sprawcą. Pańska przeszłość nie jest dla nas tajemnicą.

– Czy powinienem wezwać adwokata?

– Wymuszenia, stręczycielstwo. Współpraca z panem Bohem.

– Pan Boh był szanowanym obywatelem Miasta-Mołocha. Poza tym nigdy niczego mi nie udowodniono. Jestem handlarzem starzyzną. Płacę podatki. I bardzo chciałbym wiedzieć, jaki cel ma wizyta panów.

– Wychowankowie sierocińca w East Village od jakiegoś czasu giną w dziwnych okolicznościach. Czy ma pan coś wspólnego z tymi wydarzeniami, panie Vancouver?

– Pan... chyba oszalał.

– Jeszcze nie. Bob, zostajesz tu. Weź kogoś do pomocy. Macie nie spuszczać z oczu pana Vancouvera. Bez względu na okoliczności.

Nie mogę go zamknąć i poddać permanentnej obserwacji, by zarejestrować, jak rozpływa się w powietrzu. Nie mam dowodów, które by go obciążały. Poza tym nie miał nic wspólnego z porwaniem Veverki. Cały czas był pod obserwacją.

– Czy pan się czegoś boi, Vancouver? – pytam na odchodnym.

– Owszem, panie Nobody. Boję się, że pan mi nie sprzeda tego cholernego volkswagena.

Trzeba iść do knajpy na kilka głębszych.

Moja ciotka, którą kocham jak rodzoną matkę, ma chyba najgłębsze oczy na świecie. Na początek pytała mnie o przeszłość. Ale nic nie pamiętałem. A może chciałem nie pamiętać?

Pamięć płata figle – o mały włos nie przejechałem obok wskazanego przez Dvoyatchny'ego adresu. Budynek nie jest okazały – wygląda jak inne. Płytki, które kiedyś miały imitować schludną czerwoną cegłę jęły się odklejać, czyniąc bure wyrwy w elewacji. To na pewno tu?

Wysiadam z wozu i podchodzę do drzwi, te okazują się obrotowe. Niewielka tabliczka głosi: *Instytut Badań Parapsychicznych*. Wchodzę. Facet w granatowym garniturze przygląda mi się bacznie zza kontuaru. Ma schludne ręce, zadbane paznokcie. Butów nie widzę, ale muszą być nieskazitelne.

– Pan inspektor Nobody, jak mniemam?

Natura spłatała mu figła – piskliwy głos skutecznie niweczy monument nieskazitelności.

– Tak.

– Inspektor Dvoyatchny nas uprzedził. Oczywiście muszę potwierdzić pańską tożsamość.

Bada skanerem me odciski palców. Porównuje oryginał mej mordy z jakimś komputerowym odwzorowaniem. Jego wymuskane palce śmigają po klawiaturze laptopa z biegłością urodzonego pianisty. Pyta o wzrost i wagę. Mam nadzieję, że nie zaordynuje badań kodu DNA.

– Jest pan zobowiązany do zachowania absolutnej dyskrecji pod groźbą sankcji karnych – rzecze tonem najwyższej powagi. W jego wykonaniu brzmi to jak sopran porywający się na partie basowe. – Cokolwiek pan zobaczy lub usłyszy, musi pan zachować dla siebie. Czy to jasne?

– Tak.

Jak spod ziemi wyłania się kolejny pracownik Instytutu – równie nieskazitelny. Ten z kolei pielęgnuje idiotyczny wąsik. Nie dałbym głowy, ale wygląda, jakby go woskował. To mój przewodnik.

– Ile... – waham się - ... wrózek tu przebywa?

- To poufne informacje – odpowiada „wąsik”.

Gołe ściany. Zielone. Jest to zieleń rozkładu. Zgnilizny. Korytarze pozbawione jakichkolwiek szczegółów, sprzętów, dywanów. Na podłodze linoleum. Nie potrafię określić jego barwy. Przewodnik tłumaczy mi, że ów brak szczegółów ma znaczenie funkcjonalne. W ten sposób ogranicza się do minimum zakłócenia percepcji obiektów. Tak właśnie się wyraził – „obektów”. Daje to jakoby gwarancję „czystości” ewentualnych prekognicji.

– W takim razie – mówię – powinien pan zgolić wąsik.

Patrzy na mnie dziwnie.

Wreszcie docieramy do celi.

– Zostawiam tu pana – mówi „wąsik”. – Proszę jednak nie spodziewać się wielkich rewelacji. Ich wizje są zanieczyszczone, przypadkowe, chaotyczne.

Wchodzę. W celi znajdują się tylko podstawowe sprzęty. Na łóżku siedzi kobieta w średnim wieku, dość zaniedbana. Włosy, tu i ówdzie przyprószone siwizną, w nieładzie. Wokół rozchodzi się nieprzyjemny fetor dawno niemytego ciała. Toaleta też zakłóca jasnowidzenie? Patrzy na mnie, lecz jakby nie widzi. Co zatem widzi?

– Nobody. Josef Nobody – przedstawiam się. Po czym zadaję cały szereg pytań dotyczących zniknięć. Na co liczę? Medium milczy; jej wzrok wciąż wędruje za mną.

– Kim pani jest? Co pani pamięta? – dopytuję.

Wreszcie rezygnuję. Stukam w drzwi, ale mój przewodnik akurat zrobił sobie przerwę w obowiązkach. Stukam mocniej. Wtedy słyszę coś zza pleców. Obracam się gwałtownie. Kobieta wstała. Patrzy na mnie, ale inaczej niż przedtem. Chyba mnie dostrzega.

– Tak – mówi, głośno i wyraźnie.

– Co: tak? – pytam.

Ale widzę, jak jej uwaga słabnie, oddala się jak echo przebrzmiałego głosu. W końcu niknie. Co oznacza owo „tak”? Jestem przekonany, że była

odpowiedź na zadane przeze mnie pytanie. Ale które? I – co być może istotniejsze – kiedy zadane? Może było/będzie to pytanie z przyszłości?

„Wąsik” wreszcie się zjawia. Ciekawe, czy mają podgląd celi? Nagrywają wszystko? Na pewno.

Na pewno jest już w Spowiedni. Zatem od razu tam się udaję. Po drodze natykam się na szefa, który krąży po korytarzach jak duch tego miejsca. Jest zatroskany. Duchy zwykle są takie.

– Pomysły? – pyta.

– Nie mam. Białe Łby? Ci gówniarze są zdolni do wszystkiego.

– Wątpię. No i ten facet, który wyszedł z garderoby Veverki...

– Taaa. Zagmatwana sprawa.

Wchodzę do sali przesłuchań, zwanej Spowiednią bądź Konfesjonalem. Siedzi tam jeden z Whiteheadów.

– Blisko się poznaliśmy... – masuję znacząco szczękę.

– Nic nie powiem – cedzi spokojnie aresztant. Jest młody. Bardzo młody. – Dopóki nie pojawi się tu mój adwokat.

– Powiesz.

– Nie powie...

Uderzam na odlew w twarz. Dźwięk jest dziwny. Jakiś nierzeczywisty. Żandarm, który wprowadził gówniarza, patrzy na mnie dziwnie. Aha, no tak. Przecież jeszcze nawet nie zadałem pytania.

– Pan nie ma prawa – mówi, wciąż spokojnie.

Jego spokój jest niepokojący.

– W Dolinie giną ludzie, synu. W mojej dzielnicy giną ludzie. Zniknęła piosenkarka Debbie China, przy twojej wydatnej pomocy. Giną kolorowi i czarno-biali. Można by to podciągnąć pod tę waszą zafajdaną ideologię. Prezydent miasta wpadnie w furję i wreszcie przestanie zwracać uwagę na delikatne sugestie konserwatywnych radnych. Straciecie ochronę. I to was zniszczy. Co wiesz o zniknięciu Debbie? Co zrobiliście z innymi?!

– To nie my... – odrobina naturalnego niepokoju.

– Więc kto?

– Taki jeden gość kazał nam się panem zająć. Podpuścił nas, że jest pan gejem. Nie wiedzieliśmy, że jest pan gliną...

– Nazwisko.

– Co?

– Jego nazwisko.

– Nie przedstawił się. Handlował podobno antykami. Dużo gadał o starych samochodach.

– Trzeba by sporządzić rysopis – mówię do żandarma i wychodzę.

Na korytarzu przenika mnie olśnienie. Jest jak ostrze wystawione na śmiertelny mróz – nie może być niczego bardziej już przenikliwego. Wracam.

Chłopiec patrzy na mnie z obawą.

– Wysoki? – pytam. – Blondyn? Złamany nos?

Potakuje. Za każdym razem potakuje. Jak kościelny aniołek kiwający łbem za każdym razem, gdy się wrzuci monetę.

– Vancouver... – mówię. I już głośniej, dużo głośniej: - Vancouver!!!

Więc fonuję, szybko, myślę przyciski. Wszystko wiruje mi przed oczami, jakby świat został poproszony do tańca.

Sygnał. Ekran czarny. Czarny.

– Wóz!!! – krzyczę.

Jedziemy na sygnale ulicami przeklętej dzielnicy przeklętego miasta. Deszcz zacina. Sierżant siedzący z tyłu bredzi coś o Jajogłowym. Nie słucham go.

Zatrzymujemy się z piskiem opon. Przerażony staruszek gubi laskę. Po chwili wyjmuję notes i zapisuje numery naszego wozu.

Przeskakuję po dwa, trzy schody. Czuję pulsowanie krwi w skroniach. Za mną, gdzieś z tyłu, posapuje ciężko sierżant. Jak on się nazywa? Lewis. Drzwi. Uchylone. Przez szparę sączy się poszarpane światło. Wchodzę do środka powoli, jakby z trudem. Przedpokój czysty. Brnę przez gęstniejącą breję powietrza. Coś mnie powstrzymuje przed tym, by zajrzeć do tego pokoju. Dwa martwe ciała policjantów. Boby siedzący na krześle. Dłoń oparta na klawiaturze wideofonu. W plecach nóż.

Przez dłuższą chwilę szarpię się z kaburą schowanego pod pachą gnatą. Wreszcie wyjmuję broń. Jej chłód przywraca mnie do rzeczywistości.

Jak to powiadają poeci, oczy Boby'ego zasnuwa mgła, której nic już nie może rozwiać. Boby był zawodowcem. Był twardzielem. Był...

Kuchnia. Otwarta szuflada nieco staroświeckiego kredensu. Zapewne brakuje tam noża. Okno otwarte na oścież. Okno z widokiem na Dolinę.

Do mieszkania wpada spocony sierżant Lewis i dwóch mundurowych.

– Boże... – szepce jeden.

Więc to Vancouver. Tylko po co? Pragnie pozostać jedynym żyjącym w Dolinie wychowankiem domu dziecka w East Village? Szaleństwo...

Dlaczego go nie przymknąłem? – pytam sam siebie. Boby żyłby teraz. A ja miałbym skurwysyna pod kluczem.

– Wezwijcie pogotowie – to chyba mój głos.

– Tak jest. Dobrze pan się czuje, inspektorze?

Świat wiruje, traci formę i sens. Przedmioty zlewają się. Prawa stają się bezprawne. Czy tak właśnie wygląda śmierć?

– Panie inspektorze! – to ten Lewis. – Jajogłowy chciał pana koniecznie zobaczyć.

Opuszczam oazę śmierci na pustyni bezprawia. Coś mnie prowadzi przez ulice ciemnej Doliny. Coś mnie wiedzie jak po sznurku. Nagle znajduję się na jakiejś klatce schodowej. Gdzie jestem? Nie wiem. A może jednak wiem? Staję przed zielonymi drzwiami. Ta barwa jest wyrazem inwencji twórczej mieszkańców – pozostałe drzwi są wyprane z barw. Pukam. Dźwięk pękającej skorupy. Skądś znam ten odgłos...

– Kto tam? – kobiecy głos. Aksamitny. Nie moherowy. Są głosy mile i niemiłe znajome. Ten zdecydowanie zalicza się do tych pierwszych. Odczytuję tabliczkę na drzwiach. *T. i A. Sterenkovs*. Tak. Byłem tu.

– Policja! – wrzeszczę i zanoszę się dzikim śmiechem.

Drzwi uchylają się lekko.

– To pan...

– Dobry wieczór, Angeliko. Musi mi pani wybaczyć. Jestem pijany.

– Proszę wejść.

– Czy już mówiłem, że masz aksamitny głos?

Ponurość tego miejsca jest przytłaczająca.

– Miłe mieszkanko.

– Czy są jakieś nowe wiadomości w sprawie mojego męża?

– Niestety.

Milczenie.

– Wiem, że jest pani subtelną kobietą, i że jak większość mieszkańców tej dzielnicy nie przepada pani za gliniarzami... To oznaka normalności. Sam siebie nie lubię – bełkoczę i mam tego świadomość. Ale nie potrafię przestać. – A tym bardziej nie ma pani powodów darzyć sympatią pijanego gliniarza, który prawie przemocą wdziera się do pani mieszkania. To jest tak, Angeliko: czujesz się na tym świecie samotnie i źle, więc wchodzisz

do knajpy bez nazwy. Zamawiasz wódkę u barmana bez nazwiska. Potem jeszcze kilka. Taki mechanizm. Zapomnieć o parszywości. Zapomnieć! Można ewentualnie sprać kogoś po pysku i to już jest katharsis. Tylko dla kogo? Dla piorącego czy spranego?

Patrzy na mnie z lekkim uśmiechem. Smutnym chyba.

Sięgam do wewnętrznej kieszeni. Jest? Jest!

Wyciągam ją, cudownie płaską, jakby dostosowaną do kroju mego nieśmiertelnego płaszcza, butelkę whisky.

– Ja nie piję.

– Ja też. Jestem na służbie.

Rozlewam alkohol do szklanek.

Pijemy. Dzieli nas tylko stół.

Na stole piętrzą się tony makulatury. To tylko wydruki nieukończonych raportów.

– Weź się w garść, Jos – mówi szef.

Nie odpowiadam. Podpieram diabło ciężką głowę, czym się da. Daremnie – wciąż opada jak jesienny liść.

– Wiem, że Bob...

– Ja też wiem, że Bob!

Wychodzę.

– Jos! Jos!

To Jajogłowy. Jest zaaferowany.

– Czego chcesz?

– Lewis ci nie mówił? Miałeś do mnie fonować. Znalazłem coś.

Próbuję wykrzesać z siebie zainteresowanie. Jakoś nie mogę.

– Jest jeszcze jeden wychowanek sierocińca w East Village, który aktualnie przebywa w Dolinie.

– No?

– Ty nim jesteś, Jos.

– Ja nim... Jak to? Co ty pierdolisz, Jajogłowy?! Owszem, nie znam moich rodziców. Ale wczesne dzieciństwo spędziłem w sierocińcu tu, w Dolinie. Gdy miałem siedem lat...

– Tak, wiem. Zostałeś adoptowany przez samotną kobietę. Rzecz w tym, że tego nie pamiętasz, Jos. Pierwsze trzy lata życia spędziłeś w East Village. W tamtejszym domu dziecka. Potem dokonano... transferu. Przenieśli cię. Rzadki wypadek. Nie wiadomo, z jakiego powodu.

– Kurwa...

– Potrzebujesz ochrony, Jos. Możesz być następny.

– Przestań pieprzyć, Jajogłowy. Posłuchaj... Przez pamięć naszej długoletniej znajomości, zachowaj te sensacje dla siebie. Zachowaj je dla siebie, a ja zapomnę o tym, co kryje się w twym komputerze w pliku zatytułowanym niewinnie „Serdeczność”.

Jajogłowy blednie.

– Jak...

Nie słucham go.

Jadę. Mijam bardziej i mniej znane zakątki. Wciąż pada deszcz, ale jakby inaczej. Inny jest jego rytm – usypiający...

Przesilenie. Ostatnie akordy jesieni. Dezintegracja świeżości. I deszcz. Wszechobecny poprzez swych przedstawicieli – krople. Rozpuszczający świat. Rozpuszczający też świadomość. Czy tylko ja to tak odczuwam?

Strach.

Zawracam. Znow zapomniane przez Boga miasto.

Angelika uśmiecha się. I nie jest to już ten dawny uśmiech pełen niepewności i tłumionego lęku.

– Jos?

– Tak?

– O czym myślisz?

– Hm. O życiu.

– Życiu?

– Życie jest pytaniem bez odpowiedzi, Angeliko.

I przypomina mi się odpowiedź wróżki. Tak. Tak. Tak. Na jakie pytanie odpowiedziała twierdząco? Na jakie?

Nie teraz. Przyglądam się Angelice. Nie jest piękna. Ale te jej delikatne gesty, pozbawione jakiegokolwiek zamaszystości, ekspansji. To, jak przechyla głowę. Jak udaje zainteresowanie moim bełkotem – poprzez nieznaczące uniesienie brwi. Jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, co rozciąga się wokół. Świat staje się przy niej nic nieznaczącym płaskim tłem o barwach jak najbardziej pastelowych.

– Idziemy – mówię i narzucam ten swój nieśmiertelny płaszcz.

– Dokąd?

– Tam, gdzie jeszcze jest ruch. Tam, gdzie pamięć nie ma żadnego znaczenia.

– Znasz takie miejsce?

– Jest taka knajpa...

Garbus z trudem przebija się przez równą ścianę deszczu. Trzymam w dłoni jej dłoń – zdolną do delikatnych gestów. Lekko drży. Jak liść w podmuchach wiatru.

– Świat stał się jedną wielką kałużą – mówię.

Podjeżdżamy pod starą budę, nad którą jarzy się trójwymiarowy napis: *Dancing*. *Dancing* pozbawiony nazwy.

Ponury bramkarz lustruje nas wzrokiem.

– Zaproszenia? – głos jego głębszy jest od oceanów tego świata; oczy jego płytsze są od kałuży.

Wręcam mu dwudziestkę i nasze płaszcze.

– Tu pierwszy raz wyruszyliśmy na podryw...

– Z jakim skutkiem?

– Co: z jakim skutkiem?

– No, podryw.

– Aaaa... Skutki już dawno zostały oplakane.

Śmiejemy się.

Ludzi jest mało. Obojętne twarze.

Nikt nie tańczy. Muzyka snuje się smętnie między stolikami.

– Zamówić coś? – pytam.

– Nie.

– Zatańczymy?

– Zatańczymy.

Właściwie, to nie potrafię tańczyć. Angelika robi to jednak wspaniale. Bez ostentacji, jakże dyskretnie, jednocześnie z wyczuciem rytmu. Jakby melodię skomponowano po to, by ona mogła ją zatańczyć. I ja poddaję się temu rytmowi, przestaję myśleć o czymkolwiek, toniemy w muzyce. Twarze ludzi zlewają się, stoliki wirują, a my tańczymy, tańczymy, tańczymy...

Przez krótką chwilę nie czuję nawet strachu. Zamykam oczy.

Otwieram oczy. Ciszę przerywa tylko deszcz. Siedzę w samochodzie. Zastanawiam się nad kupnem hamburgera, ale tylko przez krótki moment; potem myślę już o czymś zupełnie innym.

Niby wszystko już wiem. To Vancouver. Porywacz i prawdopodobnie morderca. Listy gończe już rozesłane, gończe psy spuszczone ze smyczy.

Moja rola skończona. Powinienem czuć ulgę. Ale nie czuję. Wiem, że jest jeszcze jedno miejsce, które muszę odwiedzić. I wtedy wszystko się skończy. Dopiero wtedy.

Znana mi już droga. Czuję, jakbym podróżował wbrew rytmowi czasu. Jakbym wiosłował pod prąd rwącej rzeki. Nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki. Nie da się?

Mijam East Village. Sierociniec. Czerwona cegła. Żadne tam płytki ją imitujące. Ogród. Drzewa. Idę po liściach. Wolę jak są suche. Zapada zmrok. Zimno. Mokra. Znow zatrzymuję się przed drzwiami. Są otwarte, zapraszające. Jeszcze chcę uciec przed nedorzecznnością moich podejrzeń. Ale wchodzę.

Ciemno. Zapalam zapalniczkę, a przy okazji i papierosa. Niewiele widać. Może to i dobrze, myślę sobie bezwiednie. Czuję, że tu byłem. Kiedyś.

Przez szparę pod jakimiś drzwiami sączy się światło. Przez chwilę nasłuchuję. Cisza. Broń już mam w dłoni. Kopię w drzwi i wpadam jak burza do środka. Pokój. Kiedyś wydawał się większy, dużo większy. Wydawał się? Kiedyś?

Jakiś ruch za plecami, ktoś się skrada. Ale jest wolny, niezgrabny. Zamach długi jak wieczność. Unikam ciosu pałką. Sam uderzam – kolbą gnata w potylicę. Chyba będzie żył. Obracam bezwładne ciało nogą na wznak. To stary Townsend, były pracownik sierocińca. Jego żona byłaby groźniejszym przeciwnikiem.

Na biurku, niegdyś ogromnym, teraz niezbyt, walają się jakieś papiery. Źródłem blasku jest nocna lampka. Przeglądam – są tu owe ulotki propagujące skuteczność wróżenia. Jakieś profetyczne kawałki. Fragmenty Apokalipsy z wyjątkami podkreślonymi na czerwono i żółto. Na ścianie natomiast wisi fotografia za szkłem – grupa cztero-, pięcioletnich dzieciaków z wychowawcą, nobliwie wyglądający facet po czterdziestce. Przyglądam się tej twarzy – znam, nie znam?

Twarze niektórych dzieci wzięte są w czarne obwódki – czy jest tu Veverka? Może Vancouver? Ja?

– Pan Nobody.

Włos jeży mi się na karku. Obracam się powoli.

Stoi przede mną starzec. Widzę pewne podobieństwo do tego gościa z fotografii. Tak, to on. Niewątpliwie.

– Szuka pan wyjaśnień, prawda? Gna pana ciekawość. Pan jest z gatunku tych, którzy chcą wiedzieć. Nawet, jeśli ta wiedza ich zniszczy. Chcą wiedzieć. Jakie to ludzkie...

– Kim pan jest? – pytam.

– Moje nazwisko niewiele panu powie. Jestem trybikiem pewnego mechanizmu. Znaczą niewiele więcej niż pan. Ale wiem więcej. Dużo więcej.

– Więc pewnie pan dostrzegł, że dzierzę w dłoni pewien... atut.

– Broń? To tylko narzędzie, panie Nobody. Pan również jest tylko narzędziem...

Do pokoju wchodzi Vancouver.

– Ty skurwysynu – cedzę. – Nie musiałeś ich zabijać.

– *I rzekł: Niechaj nie gniewa się Pan, proszę, gdy jeszcze raz mówić będę: Może znajdzie się tam dziesięciu. I odpowiedział Pan: Nie zniszczę miasta ze względu na tych dziesięciu* – starzec recytuje tę frazę z podniosłą intonacją. A ja czuję, jak w miarę wypowiedzianych słów, tracę świadomość.

Kiedy ją odzyskuję, czuję, że cholernie trzęsie. Jestem w jakimś samochodzie, związany, na tylnym siedzeniu. Obok siedzi Vancouver. Prowadzi chyba starzec.

– Dochodzi do siebie – odzywa się Vancouver.

– Proszę się nie martwić, Nobody, za chwilę wszystko się dla pana skończy – mówi starzec. – Pan Vancouver wstrzyknął panu pewien niewykrywalny specyfik. Za jakiś czas ciśnienie pańskiej krwi bardzo się podniesie. Umrze pan na wylew albo zawał serca.

– Dlaczego? – pytam.

– Gotów pan umrzeć, ale najważniejsze, to wiedzieć – po co? Dlaczego? Żałosne. Ale taki już pan jest. Żal mi pana, Nobody. Żal.

– Gadaj, starcze.

– Pan zacierał ślady, Nobody. Ślady pewnego... przedsięwzięcia. Do tego był nam pan potrzebny. Wykorzystaliśmy pana. Takie było pana przeznaczenie. Dlatego torturowano pana w dzieciństwie, zostawiając te wszystkie blizny. Miał się pan czuć kimś niezwykłym, kimś przeznaczonym do wielkich celów. Widzi pan, to była sugestia hipnotyczna. Był pan tak uwarunkowany, że za każdym razem, gdy czytaliśmy panu fragment Pierwszej Księgi Mojżeszowej, wpadał pan w trans i wykonywał nasze polecenia. To był jakby... wyzwalacz. Problem polega na tym, że

uwarunkowanie nie może być całkowicie sprzeczne z poglądami czy odczuciami warunkowanego. Dlatego wszczepiliśmy panu, dawno temu, poczucie religijnej misji i głęboko ukryte, lecz bardzo mocne przekonanie o Bożej Sprawiedliwości. O tak, był pan przekonany, że porywając tych wszystkich ludzi, ratuje pan Sprawiedliwych z miasta, którego przeznaczeniem jest zagłada. De facto działał więc pan w dobrej wierze. To my jesteśmy ci źli. To my ich wszystkich zabiliśmy...

– To nieprawda...

– Lepiej nie wiedzieć, co?

– Ale dlaczego? Jak?

– Jak? To pan porwał Debbie Chinę z jej mieszkania, a potem zjawił się w East Show, przebrany za nią. Było ciemno, nikt pana nie rozpoznał. Blond peruka, pamięta pan? To pan wykradł panią Brower z kuchni na pierwszym piętrze...

– Przy mojej drobnej pomocy – wtrąca Vancouver.

– Nie zdążyłem panu podziękować – nie kryję złości. Gdybym mógł, kropnąłbym ich obu.

– Tak. Wszedł pan przez okno, po przystawionej drabinie. I tak dalej, i tak dalej. Oczywiście nie dokonałby pan tego bez pomocy Widzących. Widzących najwyższej klasy. Tych, co przenikają łańcuchy przyczynowo-skutkowe. Mieliśmy dokładne informacje na temat rozkładu dnia ofiar. Nie mogliśmy się mylić. Takich jak pan, uśpionych pensjonariuszy domów dziecka, jest wielu. Niektórzy umrą spokojnie w nieświadomości. Lecz pan miał pecha, Nobody. Pana musieliśmy wybudzić. Użyć. Idealne rozwiązanie – sprawca prowadzi śledztwo w sprawie popełnionych przez siebie czynów.

– Dlaczego?

– Byli zagrożeniem. Nieudane egzemplarze. O krok od wykrycia prawdy na temat sensu swego istnienia. Prawdy o własnej tożsamości. Prawdy groźnej i dla nas, i dla nich. Byli narzędziami, jak pan. Zepsutymi narzędziami.

– A więc przewidzieliście wszystko? – pytam.

– Wszystko. Jesteśmy profesjonalistami, Nobody.

Nagle wszystko urywa się bez ostrzeżenia.

Moryc ostrzegał mnie, że Skurbyk mnie nie lubi. A jak Skurbyk za kimś nie przepada... Jednak zjawiam się na jego dwudziestych urodzinach.

Większość gości porusza się na rżęsach, jestem więc spóźniony. Sam Skurbyk wpatruje się w sufit, można by go podejrzewać o filozoficzną zadumę, gdyby się go nie znało. Podchodzi do mnie Moryc. Przez chwilę rozmawiamy o polityce.

Nagle spostrzegam piękną dziewczynę. Ma kasztanowe włosy i bardzo niebieskie oczy. Siedzi sobie przy oknie i być może liczy liście na drzewach.

– Kto to? – pytam Moryca. Chyba widzi w moich oczach coś dziwnego, bo jest wyraźnie zaniepokojony.

– Nie radzę, Jos. To dziewczyna Skurbyka.

– A o czym ona z nim rozmawia?

I podchodzę do niej, nie zważając na nieme protesty Moryca.

– Cześć. Mam na imię Josef. Przyjaciele mówią do mnie Jos.

Przez dłuższą chwilę mierzy mnie wzrokiem i nic nie mówi.

– A ja będę do ciebie mówiła Josef – odzywa się wreszcie.

– Ja już się przedstawiłem... – zawieszam głos. Moje serce to dziurawa łódź na środku rzeki. Więc tak wygląda miłość?

– Joanna – przedstawia się dziewczyna, którą kocham.

– To moje ulubione imię.

Tak to się zaczęło.

Natłok obrazów, głosów, twarzy, sytuacji, wrażeń przerasta zdolność percepcji. Wszystko naraz. Ale wciąż wiosłuję. Wiosłuję pod prąd. Ból rozsadza mi czaszkę. Wylew czy zawał?

Aż wreszcie wszystko znika i pozostaje tylko jeden, do bólu bliski obraz...

Znów ten dancing pozbawiony nazwy i smaku. Znów tańczę z Angeliką... Znów wszystko wiruje i staje się odległe i nieważne...

NIEDOBRZE!!!

WIDZĘ.

Widzę tylko jej twarz... jej twarz...

ZAKRYJCIE MU TWARZ. ZAWIADOMCIE RODZINĘ.

ON NIE MIAŁ RODZINY. TO SAMOTNY GLINIARZ.

Odpowiedź! – przypominam sobie gwałtownie. Tak, trzeba zadać pytanie. Jakie pytanie? Jasnowidząca odpowiedziała: tak. Jakie pytanie? Jakie?

ONI WSZYSCY TAK KOŃCZĄ.

CI Z DROGÓWKI TEŻ?

Co po mnie zostanie? Co? Płaszcz, odpowiadam sobie. Nieśmiertelny płaszcz. Płaszcz mnie przeżyje. A w płaszczu mała niespodzianka. Wszystkiego nie da się przewidzieć.

CO TO JEST? CO ON TU MA?

WYGLĄDA NA MAŁY DYKTAFON, DOŚĆ SPRYTNIE UKRYTY. CAŁA TAŚMA NAGRANA. CIEKAWIE, CO TAM NAGRAŁ?

Pytanie. Szybko. Zaraz koniec. O co zapytać? O sens? O Boga?

O KURWA! SPÓJRZ NA JEGO NADGARSTKI!

TO WYGLĄDA JAK...

STYGMATY?

Wiem. Zapytam. Czy Angelika mnie kocha? Czy mnie kocha?

Tak.

Jej twarz. Tylko jej twarz. Aż jej twarz. Wszystko inne spęzło jak zużyty makijaż z oblicza mej pamięci.

Jej twarz jest absolutem.

DWIE KROPLE DESZCZU

1.

Podinspektor policji Charles Dvoyatchny śnił, że popełnia zbrodnię. Sny podobnej treści miewał regularnie. Wszystkie niezwykle realistyczne, dopracowane w szczegółach niczym intrygi sensacyjnych fabuł. Dvoyatchny nikomu o tym nie wspominał. Bał się, że utraci prawo wykonywania zawodu, ewentualnie trafi do Dzielnicowego Domu Wariatów im. Philipa K. Dicka. Stróż porządku publicznego winien śnić wyłącznie o publicznym porządku i jego przestrzeganiu. A mokre sny mogą mu się kojarzyć co najwyżej z deszczem.

Dvoyatchny dorobił się nawet teorii na temat swych nocnych majaków. Sądził, że są odreagowaniem wrodzonej praworządności, którą zawsze i wszędzie kierował się w codziennym życiu.

Tej nocy zamordował uroczego staruszka strzałem w głowę. Wyjrzał przez okno mieszkania ofiary; wychodziło na stary ogród, więc z całą pewnością „realia” jego snu nie pokrywały się z realiami Miasta-Molocha, a tym bardziej Wschodniej Dzielnicy, zwanej również Doliną.

Z objęć snu wyrwał Dvoyatchnego deszcz. Z bliżej nieokreślonego powodu źle znosił opady atmosferyczne. Katherine Oziemblo, wychowawczyni z domu dziecka, opowiadała, że gdy go znaleziono, za sprawą głębokiego ukłonu losu w kubie na śmieci, też padał deszcz. „To była istna ulewa” – dodawała zwykle. Być może stąd wzięła się radykalna awersja Dvoyatchnego. Nie przepadał za „Deszczową piosenką”, zupą nazywaną kapuśniakiem oraz za wierszem polskiego poety, w którym obsesyjnie powtarza się fraza *o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny*. Polską poezję oraz prozę czytał powodowany kryzysem tożsamości, a także przymusem patriotycznym, ponieważ powiedziano mu kiedyś, że jego nazwisko ma polski rodowód. Z tego samego powodu pił polską wódkę. Jednak nikt nigdy nie zdradził Charlesowi, dlaczego nazywa się Dvoyatchny, a nie na przykład Rolls-Royce.

O szyby deszcz dzwonił jesienny, zatem inspektor udał się do knajpy „U Boby’ego”. Dvoyatchny był wdzięczny losowi za dwutygodniowy urlop, jaki otrzymał po schwytaniu wielokrotnego mordercy na tle religijnym, Boba Sublokatora. Jak się miało okazać, wdzięczność była przedwczesna.

Lokal nie grzeszył komfortem, jednak szyld nad wejściem głosił wszem i wobec, że *u Boby’ego zdrowiej i taniej*. Z niezrozumiałych względów Dvoyatchny wierzył w te zapewnienia.

Boby na przywitanie posłał Dvoyatchnemu jeden ze swoich słynnych drewnianych uśmiechów. Inspektorowi wydawało się, że słyszy odgłos pękających sęków. Jedynym klientem była pijana kobieta, która zabawiała się dogadywaniem Boby’emu. W końcu barman nie wytrzymał i stwierdził, że kobiety są odważne tylko dlatego, że za rzadko dostają po mordzie. Następnie dodał, że to pewnie z tego powodu świat przepełniony jest facetami, którym się zdaje, że są dżentelmenami.

– Ja tak o sobie nie myślę – dodał Boby.

Kobieta umilkła. Zdaniem Dvoyatchnego brakowało jej finezji, urody oraz trzeźwości spojrzenia.

– To, co zwykle – zadysponował inspektor. – Boby, dopilnuj, żeby nikt nie próbował dziś wymieniać ze mną poglądów na jakikolwiek temat. Nie lubię tego.

Dvoyatchny zasiadł przy stoliku w głębi sali. Pił wódkę jak herbatę. Rażąca niezgodność w rytmie z ogółem pijących skazywała go na samotność. Wyrok losu przyjmował z całą pokorą i pełnym zrozumieniem.

Na zewnątrz miliony deszczowych kropel popełniało samobójstwo skacząc z wysokości nieba, tymczasem przez głowę Dvoyatchnego leniwym krokiem przechadzały się myśli o charakterze egzystencjalnym. Poza tym niepokojąco nasiliło się przecucie istnienia kogoś obdarzonego pokrewną Dvoyatchnemu duszą. To dziwne wrażenie towarzyszyło mu od dawna, jednak nigdy nie odczuwał go tak silnie jak teraz. Inspektor Dvoyatchny, nie po raz pierwszy w życiu, jał obawiać się o zdrowie swych zmysłów.

Lokal zapełniał się niespiesznie, a Dvoyatchny stopniowo i wprost proporcjonalnie do zwiększającego się stężenia alkoholu we krwi, nabierał przekonania, że świat pozbawiony jest sensu. Dokładnie w momencie, w którym sformułował tak radykalną tezę, w knajpie pojawił się człowiek

o twarzy szarej jak popiół. Zupełnie jakby niebiosa postanowiły odpowiedzieć Dvoyatchnemu na wyrażone przed chwilą wątpliwości.

Widok był tak niesamowity, że w lokalu zaległa cisza, maćona tylko odgłosami deszczu, który jak zawsze wygrywał swoje melodie na wszystkim.

Nieznajomy rozglądał się, jakby kogoś poszukując.

– Mam nadzieję, że dobrze pan się czuje – wyraził troskę Boby.

– Nie narzekam – odparł nieznajomy.

– Bo... jakoś tak gwałtownie poszarzał pan na twarzy...

Ktoś nerwowo zachichotał, po chwili wszyscy zaśmiewali się do łez. Napięcie opadło jak płatki z więdnącego kwiatu, zewsząd posypały się niewybredne komentarze.

– To czarnuch, tyle że szary!

– Facet musi palić dowcipy na popiół...

– Mutant jakiś.

Człowiek o szarym obliczu nie zwracał na to uwagi. Jego spojrzenie zatrzymało się na Dvoyatchnym. Inspektor poczuł się nieswojo. Oczy nieznajomego również były szare.

– Mogę się dosiąść? – zapytał.

Dvoyatchny był zaintrygowany, zatem po krótkim wahaniu wyraził zgodę. Jednocześnie zastanawiał się, czy szarzyzna nieznajomego może być zaraźliwa.

– Podinspektor Charles Dvoyatchny, nie mylę się?

– Rozumiem, że pan mnie zna. Ja sobie pana nie przypominam, a sądzę, że zapamiętałbym pańską twarz...

– Rzeczywiście, wiem o panu sporo. Charles Dvoyatchny; podinspektor policji w dzielnicowym komisariacie Miasta-Molocha. Pomimo młodego wieku szereg spektakularnych sukcesów zawodowych. Wiek – dwadzieścia dziewięć lat. Wzrost: metr siedemdziesiąt osiem. Waga: siedemdziesiąt trzy kilogramy. Sierota i najda wychowany w domu dziecka. Introwertyk cierpiący skrycie na monofobię, czyli lęk przed samotnością. Ulubiony kolor: czarny. Ulubiony film: „Nierozłączni” w reżyserii Davida Cronenberga. Znak zodiaku: Bliźnięta. Nawiasem mówiąc, bliźnięta to symbol dualizmu ludzkiej natury. Symbolizują również rodzeństwo, z których jedno jest dobre, drugie zaś złe; jedno pomocne w dziele budowania cywilizacji, drugie destrukcyjne. Chaos i ład...

– Nie mam zielonego pojęcia, do czego pan zmierza, panie...

– Nazywam się Grey – nieznajomy uchylił kapelusza.

Dvoyatchny wolałby, żeby uchylił rąbka tajemnicy.

– Taaa... Nie wiem też, skąd czerpie pan informacje na mój temat. Moje dane, jako funkcjonariusza służb porządku publicznego, objęte są dość ścisłą tajemnicą. Mógłbym pana aresztować, panie... Grey.

– Posiadam odpowiednie pełnomocnictwa, inspektorze. Jestem oficerem Interpolu. Myślę, że słyszał pan o tej instytucji. Mamy bogate tradycje.

– Ale...

– Lubię wiedzieć wszystko o ludziach, z którymi przyjdzie mi współpracować.

– Nie rozumiem.

– Potrzebuję pańskiej pomocy, Dvoyatchny. Potrzebuję pomocy człowieka, która zna Wschodnią Dzielnicę jak własną kieszeń.

– Jestem w tej chwili na zasłużonym urlopie. Mój bezpośredni przełożony...

– Pański bezpośredni przełożony inspektor Josef Nobody został już poinformowany. Tworzy pan wraz ze mną dwuosobową grupę operacyjną o specjalnych uprawnieniach.

– Ma pan na wszystko gotową odpowiedź.

– Szczycę się swoim profesjonalizmem.

Dvoyatchnemu krew uderzyła do głowy. Był wściekły.

– Pan jest profesjonalistą! – krzyknął, czuł bowiem realne zagrożenie ciągłości urlopu. – Tu jest Dolina, mój panie! Dolina, rozumie pan?! Tu żyje ponad trzy miliony ludzi!!! Różnokolorowych, choć szarego pośród tego mrowia nie uświadczysz! Stłoczeni na stosunkowo niewielkim obszarze! Tu co trzy minuty ginie człowiek, a co dwie przychodzi na świat kolejny, który najprawdopodobniej również niebawem będzie truposzem! A wykrywalność sprawców waha się w granicach czternastu procent!!! Pan mi mówi o profesjonalizmie?... No i jeszcze ten deszcz.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że znajdujemy się w tak zwanej Dolinie, inspektorze Dvoyatchny. *A propos*, czy wie pan, że dolina symbolizuje, między innymi, kobiece łono? – Grey nie przejął się dramatyczną przemową Dvoyatchnego.

– Nie sądziłem, że profesjonaliści pozwalają sobie na takie frywolności... – rzekł Dvoyatchny z bezsilnym przekąsem.

– Deszcz z kolei to symbol boskiej płodności. Taka boska sperma. Zabawne skojarzenie, prawda?

– Rzeczywiście. Jeśli ma pan pod ręką jeszcze jakieś, to proszę mi go nie zdradzać. Mógłbym pęknąć ze śmiechu. Ale chodźmy stąd w jakieś spokojniejsze miejsce. Jestem ciekaw pańskiej historii.

Wyszli na deszcz. I znowu Dvoyatchny doznał przeczucia, że istnieje na świecie ktoś niezmiernie mu bliski. I nie chodziło bynajmniej o Monikę Zangwill, nauczycielkę, lat dwadzieścia osiem, z którą nie łączyło go nic prócz nieodwzajemnionej miłości.

2.

Mieszkanie Dvoyatchnego zawalone było stertami książek, w większości nieprzeczytanych. Inspektor łudził się, że kiedyś uda mu się nadrobić dotkliwe braki w kulturze słowa.

Grey potknął się o „Robinsona Crusoe”, Dvoyatchny pośliznął na „Długim pożegnaniu” Chandlera. Kiedy zajaśniało światło, mogli unikać podobnych pułapek.

Rozsiedli się w fotelach. Głosem dystyngowanym i pełnym oszczędnego dystansu Grey zrelacjonował historię pewnego śledztwa. Bohaterem opowieści był niejaki Jonathan Twinson, bezduszny i sprawny morderca, którego oblicze stanowiło nieodgadnioną tajemnicę. Podążając tropem Twinsona, Grey znalazł się w Mieście-Molochu. Do tej pory morderca działał wyłącznie na terenie Europy. Początkowo jego osobę wiązano ze zbrodniczą organizacją faszystowską Organisation Secrete d’Action Revolutionnaire et Nationale, finansowaną ongiś przez Mussoliniego, a reaktywowaną niedawno. Jednak Twinson był człkiem niezależnym, a dla wspomnianej organizacji wykonał tylko kilka zleceń.

– Psychopata? – zapytał Dvoyatchny bez cienia ciekawości w głosie.

– Nie mamy co do tego całkowitej pewności.

– A skąd pewność, że znajdziemy go na terenie Doliny?

– Moje informacje są ścisłe, a ich źródło musi pozostać tajemnicą.

– Z tego, co do tej pory usłyszałem na temat pana Twinsona, żadna informacja o nim nie może być ścisła. Facet to współczesny pod każdym względem Zorro, przy czym współczesność rozumiem jako pewien brak. Brak sentymentów. Brak pretensji do szlachetności. Można by te braki mnożyć, aż uzyskalibyśmy pustynię mentalną. Co to, do diabła, znaczy, że jego twarz jest nikomu nieznana?

Dvoyatchny podszedł do okna. Oczywiście wciąż padało. Patrzył na Czternastą Ulicę, dokładnie na miejsce, gdzie przed laty zamordowano Prezydenta Federacji. Oto jedno z nielicznych historycznych miejsc w Dolinie.

– Znaczenie moich słów jest dość oczywiste, inspektorze – odparł Grey.
– Rysopis pana Twinsona jest nam nieznany.

– Dziwi mnie, że w ogóle znacie jego nazwisko.

– Zapewne fałszywe. Tak przedstawiał się swoim zleceniodawcom.

– Czy owi zleceniodawcy nie mogliby podać rysopisu pana Twinsona?

– Rozmawiał z nimi telefonicznie.

– Sądzi pan zatem, że kolejne zlecenie wykona na terenie Doliny.
Dlaczego?

– Moje informacje są ścisłe.

– To już słyszałem. Mógłby pan podać nazwisko kolejnej ofiary Twinsona?

– Nie.

– W jaki sposób mamy go pojmać?

– Jest zbrodnia, zatem musi być i kara.

– Pan pije do Dostojewskiego. – Dvoyatchny odszukał wzrokiem półkę z książkami rosyjskiego pisarza. Postanowił kontynuować grę w tytuły, mimowolnie rozpoczętą przez Greya. – Jest pan idiotą, Grey.

– A pan, w gruncie rzeczy, młodzikem.

– Odbył pan swoją... odyseję nadaremnie. Dolina to nie Itaka, Grey, a pan zachowuje się jak... prostaczek za granicą.

– Proszę tak nie mitologizować swojej Doliny. To żaden tam zaginiony świat. Owszem, przewiduję pewne problemy ze znalezieniem Twinsona. Ale kłopoty to moja specjalność.

– Poddaję się. – Dvoyatchny nie miał innego wyjścia. W zasięgu jego wzroku znajdował się bowiem już tylko „Słownik filozofii” Didiera Julii i nie bardzo wiedział, jak wkomponować ten tytuł w rozmowę. Bardziej

oczytany Grey czerpał tytuły z pamięci. Dvoyatchny postanowił zmienić temat.

– Skąd ta nietypowa karnacja pańskiej skóry? Eksperyment genetyczny? Olejek do opalania? Jest pan nieudanym prototypem supermana?

– Dlaczego nieudanym? – po raz pierwszy, odkąd się poznali, Dvoyatchny ujrzał na twarzy Greya coś, co niemal spełniało definicję uśmiechu. – Kolor szary ma oczywiście swoje znaczenie symboliczne. W tej chwili jednak nie zdradzę panu, jakie. Napiłbym się gorącej herbaty.

Dvoyatchny udał się do kuchni i wydał stosowne dyspozycje czajnikowi. W drodze powrotnej sięgnął po swój żelazny zapas wódki.

– Musiał pan mieć cholernie ciężkie dzieciństwo – postawił wódkę na stole.

– Nie cięższe niż pan, inspektorze. Pozwoli pan, że pozostanę przy herbacie?

Dvoyatchny pozwolił.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego właśnie ja? Ktoś mnie panu polecił? Uważam, że Nobody jest lepszy.

– Proszę mi powiedzieć, Dvoyatchny, dlaczego właściwie zdecydował się pan na zawód policjanta?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Z całą pewnością nie było to zrządzenie czuwającej nade mną Opatrzności. Przekonuję się o tym, ilekroć widzę stan mojego konta. Prędzej był to traf, który, jak wiadomo, bywa ślepy i trafia jak kulą w płot.

– To nie był przypadek, Dvoyatchny. W pańskiej naturze jest nadawanie światu sensu, porządkowanie, przeciwdziałanie chaosowi. A Twinson jest ucieleśnieniem chaosu...

– Z tego powodu wybrał pan mnie?

– Między innymi.

– Sądzi pan, Grey, że świat nie jest pozbawiony sensu?

– Myślę, że będąc na moim miejscu, myślałby pan podobnie.

Zapadło milczenie. Do okien dobijał się deszcz jesienny. Grey pił herbatę, Dvoyatchny wódkę. Pili w tym samym tempie.

Hol komisariatu Wschodniej Dzielnicy od dziesięcioleci utrzymywany był w barwie krwistoczerwonej, co nie miało racjonalnych przesłanek. Tradycja rzadko rości sobie prawo do racjonalności.

Na ścianach wisiały starannie opracowane w ramki wycinki z gazet wieszczące o spektakularnych sukcesach funkcjonariuszy komisariatu. Wycinków donoszących o klęskach nie wywieszano. Dvoyatchny pomyślał, że pewnie niedługo zawiśnie tu wycięty z „Moloch News” artykuł o aresztowaniu Bobby’ego Sublokatora. Sprawa Bobby’ego znajdowała się właśnie na wokandzie i wszystko wskazywało na to, że Sublokator niebawem po raz ostatni w życiu zasiądzie na krześle.

Dvoyatchny wspiął się na drugie piętro. Wszedł bez pukania do gabinetu inspektora Josefa Nobody’ego.

Nobody, jak miał to w zwyczaju, siedział z nogami zarzuconymi na stół i wertował przedwczorajszą gazetę. Poza tym bez przyjemności palił papierosa. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka, któremu bardzo niewiele czynności sprawia przyjemność. Obrzucił Dvoyatchnego krótkim spojrzeniem i wrócił do lektury.

– Sądziłem, że jestem na urlopie – rzekł Dvoyatchny z wyrzutem w głosie.

– Sądy są od sądenia – Nobody nie oderwał się od gazety.

– O co chodzi, Jos? – Dvoyatchny był poirytowany i nie krył się z tym.

– Nie mamy co robić?! Wykrywalność...

– Wiem, wiem. Czternaście procent i tak dalej. Przyszedełś tu zapewne w sprawie pana Greya?

– Tak.

– Wiem o nim tyle, co kot napłakał, a koty nie płaczą. Wiem, że jego nazwisko jest dowcipem, a wygląd – wyglądem szarego obywatela tego świata. Bez wątpienia jest również szczęśliwym posiadaczem szarych komórek. Podaje się za oficera Interpolu i życzy sobie współpracować z tobą, z nikiem innym. Nie mam szarego pojęcia, skąd ciebie zna i dlaczego wie o tobie tak dużo. Nie widzę jednak między wami żadnego podobieństwa, również w kolorze skóry. Przypuszczam zatem, że nie łączy was pokrewieństwo, ani też inne koneksje. Dodam, że tak zwane czynniki oficjalne zwróciły się do mnie z prośbą, bym traktował życzenia pana Greya jak polecenia służbowe. Trochę mnie to wszystko irytuje, myślę jednak, że nie bardziej niż ciebie.

W czasie tej przemowy Dvoyatchny rozglądał się za miejscem nadającym się do siedzenia. Daremnie. Pokój Nobody'ego przypominał skup makulatury nie nadążający z przerobem surowców wtórnych. Stosy dalekich od ukończenia raportów i kurz podnoszący swój bezkształtny łeb przy każdym gwałtowniejszym poruszeniu. Dvoyatchny nie miał wyjścia – musiał stać.

– Może usiądziesz? – zapytał Nobody bez śladu ironii w głosie.

– Słyszałeś o Jonathanie Twinsonie?

– Grey coś o nim wspominał. Jakiś trupiarz zawodowy.

– Zastanawiające, że nie słyszeliśmy do tej pory o takim wyczynowcu... – Dvoyatchny zawiesił głos.

– Nigdy nie wieszaj głosu w mojej obecności, Charlie – zdenerwował się nieoczekiwanie Nobody. – Nie znoszę tego. Tani i teatralny chwyt. Nikt nikogo nie wieszka od ponad stu lat, bo to podobno niehumanitarne. Jeśli już musisz eksterminować swój cholerny głos, to raczej sadzaj go na krześle elektrycznym. Być może Twinson nie dba o reklamę. Chyba za mocno przejąłeś się tą sprawą, Charlie. W końcu nawet nie mamy pewności, że Twinson istotnie jest w Dolinie. A jeśli nawet, to może tylko w celach rekreacyjnych. Pokaż panu Greyowi Dolinę, jeżeli jest złakniony sennych koszmarów na jawie. Traktuj to jak urlop. I rozluźnij się, chłopcze. Wiem, nerwy. Sublokator o mało cię nie dostał, ale przecież to my dostaliśmy skurwysyna. Cześć. Muszę ukończyć raport.

– Byłby to biały kruk.

– Później ustalę cenę wywoławczą. Zmiataj.

– Jeszcze jedna prośba, Jos. Niech Jajogłowy dowie się czegoś o panu Greyu. Wiesz, jak to jest...

– Wiem. Czternaście procent i tak dalej. Wynoś się, Charlie. Mam potwornego kaca, a gdzieś pośród stosu tych akt znajduje się przemyślnie ukryta buteleczka, nie pamiętam tylko, w jakim stopniu pełna, a w jakim pusta. Od jutra rzucam picie, ale dziś... - Nobody zgilotynował własny głos.

Umówili się z Greyem w East Show, knajpie, która niezasłużenie cieszyła się w Dolinie estymą. Główną atrakcją były tu cotygodniowe brutalne widowiska *sex-jitsu*, czyli wojna płci przeniesiona na ring.

Z zewnątrz lokal nie prezentował się efektownie. Tania buda otoczona błotnistym podjazdem. Latające limuzyny pojawiały się jak stado sępów,

które szóstym zmysłem wyczuwaj padlinę. Padał deszcz. Szare niebo kojarzyło się Dvoyatchnemu z fizjonomią Greya.

Grey był już w środku. Zasiadł przy stoliku maksymalnie oddalonym od centralnie ulokowanego ringu i oszczędnymi łykami popijał parującą herbatę. Wzbudzał swoim wyglądem umiarkowaną sensację, bowiem wszyscy czekali na walkę.

– Nie uważa pan, że nasze śledztwo ma jak dotąd dość szczególny przebieg? – zapytał Dvoyatchny. – Spotykamy się w różnych lokalach, rozmawiamy o domniemanym sensie świata, jego wymiarze symbolicznym, o literaturze... O wszystkim, tylko nie o panu Twinsonie i jego potencjalnych ofiarach. Trochę to odległe od zwyczajowej procedury. Czy tam u was, w Europie...

– My nie prowadzimy śledztwa, inspektorze – przerwał Dvoyatchnemu Grey.

– Nie rozumiem.

– Czekamy na pierwszy ślad, czyli pierwszy mord, jakiego bez wątpienia dopuści się Twinson.

– Trochę to cyniczne...

– Więc zmieńmy temat. Widzę na sali kilka znakomitości Miasta-Mołocha.

– Myślałem, że to ja mam być pańskim przewodnikiem.

– Tak, ale po rysztozach, nie po salonach. Założę się, że nie ma pan pojęcia, kim jest ten dwumetrowy bez mała dżentelmen przechadzający się po sali groteskowym krokiem?

– Rzeczywiście.

– To Derek Kinoll, malarz. Słynny, a co ważniejsze – kupowany. Słynie z niesłychanego rozmachu wizji. Złośliwi powiadają, że zawdzięcza rozmach imponującemu zasięgowi ramion i długim pędzłom. Albo ten postawny, siwiejący blondyn...

– Tego znam – przerwał Greyowi wywód Dvoyatchny. – To Thomas Voytulevitch. Zaczynał od sieci sklepów warzywniczych, a teraz jest właścicielem sieci przedszkoli i niewielkich burdeli.

– Pan zna tylko jeden aspekt jego działalności. Tymczasem Voytulevitch jest także wielkim miłośnikiem i mecenasem sztuki, dawniej – również sponsorem Kinolla...

– Do czego pan zmierza, Grey?

– Do tego, że świat jest w istocie wieloaspektowy, pluralistyczny, wymykający się prostym analogiom, nie do objęcia jedną definicją. Ale jednak sensowny.

– Nie zgadzam się. Sensy nadają światu ludzie. Tyle sensów, ilu ludzi – oto koronny dowód na bezsens świata. Religijne systemy, filozoficzne teorie, prawne kodeksy... wszystko to jest protezą sensu. Co więcej, ludzie tworzą to wszystko z wyrachowania i egoizmu, choć czasem także z powodu zagubienia. Świat trzeba sobie jakoś „ustawić” we łbie, co oczywiście nie ma nic wspólnego z tak zwaną „obiektywną prawdą”; inaczej nie da się w nim żyć. Nie wierzę w sens. Nie wierzę w altruizm. Nie wierzę w sens altruizmu.

– Nic nowego. Wpadło na to przed kilku filozofów, choćby Thomas Hobbes i jego słynna „umowa społeczna”.

– To tylko mnie utwierdza w moim...

– Jest pan człowiekiem zgorzkniałym. No a miłość? Co z miłością?

– To sprawa hormonów.

– A Monika Zangwill?

– Skąd... – Dvoyatchny posadził głos na krześle elektrycznym.

– Moje informacje...

– ...są ściśle. Irytuje mnie pan, Grey.

– Czy wie pan, co powiedział o miłości Albert Camus? Czytał pan „Dzume”? Pan jest nieukiem, Dvoyatchny. Camus ujął to tak: *Nie jest ważne, czy ktoś nas kocha, ale czy my sami zdolni jesteśmy do miłości.* Piękne, prawda?

– Ale...

– Pozwoli pan, że powiem coś jeszcze. Potem rozejdziemy się, by mógł pan spokojnie spędzić bezsenną noc na bezproduktywnych rozmyślaniach. Pan jest sceptykiem, Dvoyatchny. Sądzi pan, że świat jest chaosem bez początku i bez końca, a jednocześnie próbuje pan przeciwdziałać aspektom tegoż chaosu, co – zgodnie z wyznawanym przez pana światopoglądem - jest zajęciem idiotycznym, bo beznadziejnym. Filozoficzne rozdwojenie... to charakterystyczne dla zodiakalnych Bliźniąt.

Na ringu rozpoczęła się walka. Atmosfera gęstniała jak stara zupa.

– To się nie opłaca – powiedział Grey.

– Co się nie opłaca?

– Sceptycyzm. Słyszał pan o Zakładzie Pascala? Blaise Pascal, filozof. Udowodnił, że opłaca się wierzyć w Boga. Jeśli bowiem Bóg nie istnieje, to zarówno nasze niedowiarstwo, jak i wiara nie przynoszą żadnych korzyści. Natomiast jeśli istnieje, to wiara przynosi nam, bagatela, życie wieczne. Odpowiednio – niewiara w tym wypadku oznacza całkowitą klęskę. Niech pan sobie wyobrazi, że za ładem świata stoi Bóg. Opłaca się wierzyć, zapewniam pana.

– A jednak sceptycyzm bywa postawą obronną – powiedział Dvoyatchny. – Pozwala uniknąć dotkliwych rozczarowań.

– Często bywa tych rozczarowań przyczyną, panie Dvoyatchny.

4.

Zgodnie z przewidywaniami Greya, Dvoyatchny spędził noc na jałowych dywagacjach. Cała ta historia o Twinsonie wydała się inspektorowi naciągana. Oto oficer Interpolu, obdarzony przez macochę naturę skórą o barwie popiołu, zjawia się w Dolinie, by schwycić niebezpiecznego przestępcę. Nie zna jego twarzy, na dobrą sprawę nic o nim nie wie. Z tajemniczych powodów jest jednak przekonany, że kolejny mord zostanie popełniony właśnie na terenie Doliny. Wniosek: Grey wie więcej niż mówi. Ale dlaczego ukrywa przed Dvoyatchnym ważne dla śledztwa informacje? I jaki cudem wiedział tyle na temat samego Dvoyatchnego? Skąd mógł się dowiedzieć o preferencjach filmowych Dvoyatchnego? Inspektor właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę, że istotnie, z jakichś powodów to właśnie „Nierozłączni” Cronenberga, z genialną podwójną rolą Jeremy Ironsa wydawali mu się niesłychanie dobrym obrazem. Zagadka w zagadce...

Przecucie bliskiej obecności pokrewnej Dvoyatchnemu duszy nasilało się niepokojąco.

Próbował czytać „Panią Bovary”, ale treść książki umykała przed jego świadomością, a nie miał ochoty na pościgi.

W ten sposób doczekał świtu. Szarego świtu.

Od śniadania oderwał go śpiew telefonu. Dziś śpiewał basem, wczoraj – falsetem. Przez krótką chwilę żywił irracjonalną nadzieję, że rozmówczynią

okaże się Monika Zangwill, nauczycielka, lat dwadzieścia osiem. Podobno wciąż samotna.

Ale to tylko Nobody.

– Mamy trupa – rzekł.

– Twój trup nie robi na mnie wrażenia. W Dolinie co trzy minuty...

– A wykrywalność sięga czternastu procent. Dzwonię, bo jeszcze jesteś policjantem i powinieneś poczynić pewne kroki w celu schwytania przestępcy. To twoja praca. Tego oczekuje od ciebie społeczeństwo. Poza tym Grey jest przekonany, że mordercą jest pan Twinson. Nie wiem, skąd czerpie pewność, ale widzę, że posiada głębokie jej pokłady. Dzwonię z miejsca zbrodni. Jest tu także pan Grey. Stoi sobie przy oknie i z nieodgadzionym wyrazem szarej twarzy czyni użytek z szarych komórek. Ten facet mnie niepokoi. Przyjeżdżaj. Sto Piętnasta Ulica. Budynek numer siedem.

– Będę.

Sto Piętnastą Ulicę zamieszkiwała różnokolorowa ludność będąca stałym obiektem napaści neonazistowskich, whitepowerowskich ugrupowań w stylu Whiteheadów. Ci ostatni z kolei bywali regularnie atakowani przez bojówki neokomunistycznych Redheadów i *vice versa*. Wszyscy byli wytworem miasta. Miasto było wytworem ludzi. Dvoyatchny pomyślał, że w świetle tych faktów wywody Greya na temat sensu świata traciły sens.

Wokół budynku numer siedem kłębił się tłumek ciekawskich. Kordon umundurowanych przepuszczał nielicznych, w tej liczbie i Dvoyatchnego. Z tłumy posypały się niewybredne komentarze. Mimo nieustannego zagrożenia największą niechęcią społeczności lokalnej cieszyli się policjanci.

Dvoyatchny wszedł na klatkę schodową. W nozdrza bił ostry jak brzytwa smród uryny i piwnicznej wilgoci. Odgłosy wydawane przez ekipę śledczą dochodziły gdzieś z góry, a windy nie było. Dvoyatchny podjął wspinaczkę po stromych schodach. Na trzecim piętrze spotkał Nobody'ego.

– I co my tu mamy?

– Sito, bracie. Siedemnaście strzałów i wszystkie celne.

– Sporo...

– W okolicach dwunastego wystrzału sąsiedzi zapewne pomyśleli, że co za dużo, to niezdrowo i postanowili zawiadomić policję. Gdyby

morderca nie był aż tak ekstrawagancki i przestał na standardowym strzale w łeb, dowiedzielibyśmy się o tym za jakieś dwa tygodnie...

– Rysopis?

– Nic. Mamy bardzo powściągliwych świadków. Nikt nie podszedł do judasza, jakby w obawie przed jego pocałunkami. Nikt nie chce się znaleźć w sądzie. Nawet w charakterze świadka. To Dolina, Charlie.

– Taaa... czternaście procent – powiedział Dvoyatchny i uśmiechnął się. Nobody odpowiedział mu tym samym.

Weszli do mieszkania. Laborant zdejmował odciski palców z framugi drzwi wejściowych, policyjny fotograf robił zdjęcia.

Trup spoczywał w spokoju w kuchni i sprawiał wrażenie zimniejszego od lodówki. Nad ciałem, w zadumie, pochylał się koroner.

Przy oknie stał zadumany Grey. Robił na członkach ekipy daleko większe wrażenie niż kuchenny trup.

– Jeden z pocisków zmasakrował twarz, pozostałe utkwily w korpusie – powiedział Nobody do Dvoyatchnego.

– A co z *corpus delicti*? – zainteresował się Dvoyatchny. – Znalezione narzędzie?

– Nie.

– Piętnaście z siedemnastu strzałów było śmiertelnych – stwierdził koroner.

– To po co aż siedemnaście? – Dvoyatchny wyszedł z kuchni.

– Wariat. Jeśli mamy do czynienia z psychopatą na miarę Sublokatora, będą kłopoty. – Nobody zapalił papierosa. – Trzeba będzie skonsultować się z jakimś psychiatrą.

– Zgon nastąpił przed godziną – znów odezwał się koroner.

– To Jonathan Twinson – przerwał milczenie Grey.

Nobody spojrział na niego niechętnie. Postanowił kontynuować wywód.

– Zabójca nie posłużył się tłumikiem. Większość mieszkańców słyszała strzały, nikt jednak nie zaobserwował sprawcy. Co wymagało z ich strony pewnego wysiłku.

– Dlaczego pan myśli, że to Twinson? – zapytał Dvoyatchny Greya.

– Intuicja.

– Pan coś wie, prawda Grey? – wtrącił się Nobody. – Może zechciałby pan łaskawie zaoszczędzić nam wszystkim nieco czasu?

– Obawiam się, że nie mogę panu niczego oszczędzić, Nobody. Nawet rozczarowań.

Ofiarą był niejaki James Gainsborough, emerytowany naukowiec, genetyk, siedemdziesiąt dwa lata, kawaler. Sąsiedzi określali go jako odludka, człowieka samotnego. Całkowity brak przyjaciół, wrogów i ludzi nastawionych do niego neutralnie. Denerwujący bywał jedynie jego zwyczaj grywania na skrzypcach. Grywał jednak wyłącznie pod wpływem alkoholu. Sąsiedzi dziękowali Bogu, że Gainsborough nie gra na saksofonie i że nie jest alkoholikiem. Nikt oczywiście nie wiedział, komu mogłoby zależeć na śmierci uczonego.

Nawet Jajogłowy nie dodał żadnych rewelacji do portretu Gainsborougha.

– Właściwie nie mamy nic konkretnego – powiedział Dvoyatchny do Greya po przejrzeniu raportów.

Siedzieli w gabinecie Dvoyatchnego. Grey niedbale wertował akta.

– Może jednak coś mamy, ale nie potrafimy tego dostrzec. Rzeczywistość z natury jest bardzo skryta.

– Od jakiegoś czasu, właściwie od początku naszej znajomości, mam nieodparte wrażenie, że wie pan znacznie więcej niż mówi.

– Obawiam się, że musimy poczekać na kolejny ruch Twinsona.

– Czyli na morderstwo? Myśli pan, że te zabójstwa ułożą się w jakiś czytelny wzór. Tylko skąd pewność, że będą jeszcze jakiegokolwiek morderstwa i że mordercą Gainsborougha był Twinson? A może pan wie, kim ma być kolejna ofiara, Grey? Jaką grę pan prowadzi?

Dvoyatchny podszedł do Greya i złapał go za kłapy nienagannie skrojonej (szarej) marynarki. Grey bez wysiłku uwolnił się z uchwytu. W jego delikatnych na pierwszy rzut oka dłoniach drzemała niesłychana siła.

Nagle wtargnięcie Jajogłowego zapobiegło konfrontacji. Jajogłowy przypominał kreta; był porównywalnego wzrostu i miał podobnej jakości wzrok wspomagany implantem. Uchodził za komputerowego geniusza, najwyższej klasy hakera. Powszechnie uznawano go również za ordynusa. Budził u swych bliskich znajomych uczucia litości, sympatii, nienawiści, antypatii, mściwości, skrajnej irytacji i niekłamanego podziwu. Jak każdy zdrowy człowiek.

– Facet związany był z korporacją Boha – powiedział Jajogłowy.

– Tego Boha? – zainteresował się Dvoyatchny.

– Jaki facet? – spytał Grey.

– Tego Boha. Jak to: jaki facet? Nie mówcie mi, chłopcy, że zdążyliście już zapomnieć o tym świeżym jak zimne bułeczki nieboszczyku. Choć niektórzy ludzie nie pozostawiają po sobie nic prócz grobów...

– Czy chodzi panu o Williama Wilhelma Boha? – spytał Grey.

– W.W. Boh – recytował Jajogłowy – biznesmen, człowiek niewątpliwie zamożny. Działał w najróżniejszych branżach, zatem możemy go uznać za człowieka wszechstronnie uzdolnionego. Około trzydziestu lat temu w Dolinie funkcjonowało znakomicie wyposażone laboratorium genetyczne, którym kierował – uwaga! – nasz znajomy nieboszczyk pan doktor Gainsborough. Trudno było to ustalić, ale głównym sponsorem badań była bez wątpienia korporacja Boha. Jakieś ciemne sprawy. Handel organami otrzymywanymi techniką klonowania i tym podobne afery. Oczywiście nikomu nic nie udowodniono. A jednak laboratorium zlikwidowano. Sprawa stała się głośna za sprawą internetowej nagonki. Wszelkie powiązania laboratorium z korporacją Boha usiłowano starannie zatrzeć, ale od czego ma się mózg i palce...

– Bez wątpienia jest pan posiadaczem wymienionych organów – zauważył uprzejmie Grey. – Wolałbym jednak usłyszeć od pana konkretne informacje.

– Minęło trzydzieści lat, szara gębo – zirytował się Jajogłowy. – Oczekujesz pan ode mnie cudów. Rzucę wam jeszcze jedno hasło i wracam do domu. Ostatni projekt Gainsborougha nosił nazwę „Kain i Abel”. Nazwa projektu jest na razie wszystkim, co wiem na jego temat.

5.

Przebijali się przez równą ścianę deszczu. Dvoyatchny prowadził służbowego forda. A pasażerem był Grey, któżby inny.

– Proszę mi wybaczyć ten... nieprzyjemny incydent – Dvoyatchny pierwszy przerwał ciszę, jaka między nimi zaległa. – Straciłem panowanie nad sobą.

– Niech pan o tym zapomni – mruknął Grey.

– Nienawidzę tej dzielnicy. Przypomina monstrualny, gnijący za życia organizm.

– Rzeczywiście. Dolina nie jest pięknym miejscem. Koszmarna architektura, przeludnienie, stresy, morderstwa, gwałty, samobójstwa, konflikty na tle wyznaniowym i etnicznym. Czy coś pomiąłem?

– Deszcz.

– O deszczu wspominałem wcześniej. Jednak Dolina ma swoje dobre strony. Symbolika jest ambiwalentna – z jednej strony oznacza duchową stratę, a z drugiej – pogłębienie przeżycia i wiedzy...

– Sądziłem, że jest symbolem kobiecego łona...

– Tak. Ciemna dolina...

Przez dalszą drogę milczeli. Dvoyatchny odwiózł Greya pod sam hotel przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy.

Sam wrócił do komisariatu. Nie chciał wracać do domu. Bał się samotnych nocy. I ... snów.

Raz jeszcze przejrzał dane dostarczone przez Jajogłowego.

William Wilhelm Boh. Tak zwana gruba ryba, co jest eufemistycznym określeniem przestępcy, którego skala wykroczeń osiągnęła taki pułap, że stała się biznesem. Zamieszany w szereg afer korupcyjnych, podejrzany o zleceniodawstwo kilku morderstw; nigdy niczego mu nie udowodniono. Od jakiegoś czasu wzorowy obywatel Miasta-Mołocha, organizator wielu akcji charytatywnych. Bardzo niejasne powiązania z laboratorium genetycznym, którego działalność kontynuowana była również po podpisaniu słynnej Konwencji Genewskiej zabraniającej między innymi klonowania ludzkich organizmów. Ostatni projekt badawczy nosił nazwę „Kain i Abel”; cel projektu – nieznan. Tajemnica było również, czy jego założenia zostały kiedykolwiek zrealizowane.

– Kain i Abel... – powtarzał Dvoyatchny – Abel i Kain... Dobro i zło... Bratobójstwo...

Czuł, że jest o włos od zadania właściwego pytania. I być może zadałby je, gdyby nie Jajogłowy.

– Wszędzie cię szukałem...

– Tylko nie w moim pokoju – przerwał mu Dvoyatchny.

– Od kiedy to spędzasz noce na komisariacie? Nieważne. Odnalazłem ludzi związanych z projektem „Kain i Abel”.

– No i? – ożywił się Dvoyatchny.

– Nie było ich wielu. Razem z Gainsboroughem – czterech. Losy Gainsborougha już znasz, pozostali przed laty wyemigrowali do Europy. Tam też zupełnie niedawno mieli niespodziewane *rendez-vous* ze śmiercią. Doktor George Przywarty zamordowany w niewielkiej polskiej miejscowości, której nazwy nie zamierzam kaleczyć. Henry Holdstock – Wiedeń. Carl Denius – Manchester.

– Okoliczności śmierci?

– Masz oczywiście na myśli liczbę trafień? Nic z tego. Żaden nie zainkasował siedemnastu kul. Przywarty i Holdstock po jednym trafieniu w czaszkę. Deniusa ktoś precyzyjnie zasztyletował w łaźni tureckiej.

– Dlaczego Grey nic o tym nie wspomniał... To niemożliwe, by nie wiedział. Sprawdź naszego przyjaciela o szarym obliczu. Coś mi mówi...

– Nobody już mnie o to prosił. Na razie bez rezultatów. Faceci z Interpolu kryją się za pseudonimami, czego Grey jest najlepszym przykładem. Poza tym ich dane są utajnione. Ciężka sprawa, Charlie.

– Pracuj nad tym.

6.

Nad ranem Dvoyatchny poczuł, że mimo hektolitrów pochłoniętej kawy, morzy go sen. Postanowił zastosować terapię wstrząsową i zatelefonował do Moniki Zangwill.

– Dzień dobry – powiedział Dvoyatchny, gdy odebrała.

– Zaczął się fatalnie... – mruknęła sennie Monika.

– Może byśmy się spotkali – zaproponował nieśmiało.

– Zajmij się czymś pożytecznym, Charlie. Posadź na krześle elektrycznym jakiegoś gwałciciela dziewczyc. – Była urocza.

– Dla ciebie wszystko. – Był żaloszny.

– Jesteś zabawny.

– Mam więcej zalet.

– Wymień pozostałe. Masz na to trzy minuty bez paru sekund.

– Jestem błyskotliwy, znam dwa języki. Wadą jest idiotyczne nazwisko, ale nie zgłoszę pretensji, jeśli pozostaniesz przy panińskim... – W tym momencie jednak zachichotała. – Byłbym całkowicie samowystarczalny, gdyby nie pewna kobieta, która znalazła się w posiadaniu mego serca...

– Jestem nauczycielką. Tobie potrzebny jest kardiolog.
– Czemu jesteś samotna?
Przerwała połączenie.
Dvoyatchnemu przeszła ochota na sen.

7.

Nagły zgon Katheriny Oziemblo, wychowawczyni Charlesa Dvoyatchnego z domu dziecka, zrazu zdawał się nie mieć żadnego związku ze sprawą Twinsona. Jednak Jajogłowy znajdował przyczyny nawet tam, gdzie nie widać było skutków. Wyszperał dane, według których dom dziecka od lat znajdował się pod dyskretnym patronatem korporacji Boha. Rzekomo dla podatkowych ulg.

Dvoyatchny wspominał panią Oziemblo bez sentymentu. Była kobietą, której (matka) natura nie uznała za stosowne wyposażyc w instynkt macierzyński.

Zamordowano ją w jej własnym mieszkaniu przy Siedemnastej Ulicy.

Dvoyatchny zjawił się na miejscu zbrodni wraz z ekipą śledczą. Nobody i Grey przyjechali nieco później i niemal równocześnie.

Mieszkanie było otwarte, już z klatki schodowej można było zobaczyć ciało Katheriny Oziemblo leżące na podłodze. W przedpokoju, z rozrzuconymi rękami, w jakimś teatralnym geście, jakby śmierć spotkała ją w trakcie zamaszystej gestykulacji.

Dvoyatchny rozejrzał się po mieszkaniu. Było schludne jak obóz koncentracyjny. Brakowało mu rzuconego w pośpiechu na krzesło szlafroka albo choć popielniczki przepełnionej petami. Doskonała bezosobowość. Domek zamieszkały przez lalkę. Znów dopadły inspektora zodiakalne sprzeczności jego natury. Z jednej strony niby orędownik ładu, z drugiej – wolał mimo wszystko mieszkania w nieładzie.

Nobody palił jednego papierosa za drugim, Grey patrzył przez okno na rozległą panoramę Doliny. Z tego miejsca można było nawet zaobserwować bijące w szare niebo wysokościowce zachodnich dzielnic.

- Tym razem dwa strzały. Obie kule utkwily w czaszce – referował Nobody'emu koroner.

– Tylko dwa strzały – powtórzył Nobody. – Może jednak to morderstwo nie ma nic wspólnego ze sprawą Twinsona. Może powiązanie korporacji Boha z sierocińcem jest dziełem przypadku.

– Niech pan poczeka z wnioskami na ekspertyzę balistyczną – poradził Grey.

Dvoyatchny nie po raz pierwszy poczuł, że ma serdecznie dość tej sprawy, a szczególnie atmosfery tajemniczości z nią związanej. Niebagatelną rolę w nagłej depresji inspektora odegrała również nieprzespana noc, rozmowa z Moniką Zangwill oraz przecucie niejasnego powinowactwa z kimś, kto najpewniej nie istniał. Wszystko to wzięte razem i każde z osobna sprawiało, że stalowe nerwy Dvoyatchnego rdzewiały. Stawał się w ten sposób człowiekiem nerwowym. Pociły mu się dłonie. Miał ochotę udać się na Trzydziestą Ulicę słynącą z dziwek o bogatym asortymencie sprawności. I przestać myśleć, bo to czynność szkodliwa.

Inspektor opuścił zatem koncentracyjne mieszkanie zamordowanej Katheriny Oziemblo. Nobody coś za nim krzychał, ale Dvoyatchny był teraz szybszy od dźwięku.

Z nieba spadały na Dolinę krople spermy bogów.

8.

Dvoyatchny nie sprawdził skuteczności wymyślonej na własny użytek kuracji odprężającej. Za wysoko cenił sobie dyscyplinę.

Po raz setny przeglądał dane ludzi związanych z projektem „Kain i Abel”. Henry Holdstock, w chwili śmierci – lat siedemdziesiąt. Dyplom uzyskał na uniwersytecie w...

Ta twarz... Skądś znał fizys z fotografii. Twarz jowialnego starszego pana, którego... zamordował we śnie!!! Gorączkowo wertował akta w poszukiwaniu zdjęć innych ofiar. Znał te twarze! Wszystkich zabił we własnych snach!

Urlop, odpocząć, wyjechać stąd, wcześniejsza emerytura - kłębiło mu się pod czaszką.

– Spokój! – uciał. – Głęboki spokój.

Usiłował to wszystko zracjonalizować. Był zmęczony, nie spał od trzech dni. Musiał wcześniej widzieć te zdjęcia i...

I co dalej? Sytuacja nie dawała się logicznie dopiąć na ostatni guzik. Próbował myśleć o czymś innym. Poprzedniego dnia posprzeczał się z Nobodym, który nie chciał się zgodzić na przesłuchanie Boha.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Grey.

– Ekspertyza balistyczna wykazała, że zarówno pana Gainsborough, jak i panią Oziemblo zastrzelono z tej samej broni – powiedział.

– A więc Twinson przestaje być istotą mityczną.

– Zapewniam pana, że mamy do czynienia z osobnikiem boleśnie realnym.

– Wie pan, Grey, jeden szczegół w tej całej sprawie nie daje mi spokoju...

– Tak?

– Chodzi o liczbę strzałów. W Europie Twinson morduje z zawodową powściągliwością. Dwóch facetów, dwie kule. Trzeci przedziurawiony nożem. Brak tego rozmachu, nadmiaru, jaki pojawił się w jego taktyce działania na terenie Doliny. Twinson nie dba już o ekonomię mordu. Zabójstwo Gainsborougha jest wręcz brawurowe. Siedemnaście strzałów! Musiał dwukrotnie zmieniać magazynek! Potem jakby odzyskuje profesjonalną oszczędność. Dwa strzały w głowę pani Oziemblo. Już nie szarżuje. Ale, dlaczego akurat dwa? W co ten gość gra?

– To rzeczywiście interesujące – rzekł Grey. – Chyba nie idzie tu o rozrzutność czy oszczędność, a tym bardziej nie o brawurę. Myślę, że mamy tu do czynienia z...

– Znaki! – wrzasnął Dvoyatchny w nagłej iluminacji. – Kod!!! Liczba strzałów to zaszyfrowana informacja, chyba że Twinson oszalał...

– Siedemnaście strzałów, siedemnaście strzałów.. – powtarzał półgłosem Grey.

– Siedemnaście strzałów – wtórował bezwiednie inspektor. – Siedem... nasta ulica!!! Siedemnaście strzałów oznaczało Siedemnastą Ulicę! Na tej ulicy mieszkała Oziemblo!

Dvoyatchny wybiegł z pokoju. Na korytarzu zderzył się z Nobodym.

– Druga Ulica! – krzyknął.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Nobody.

– Następne morderstwo będzie na Drugiej Ulicy!!!

– Właśnie dostaliśmy wezwanie. Kogoś zamordowano. Na Drugiej Ulicy...

9.

Trzecią ofiarą był człowiek o nazwisku Kayus Toxidis, portier z laboratorium genetycznego, którym kierował Gainsborough. Jajogłowy pominął jego osobę, jako niezbyt spektakularną. Poszukiwał ludzi bezpośrednio związanych z wiadomym projektem; nie wziął pod uwagę portierów, sprzątaczek, laborantów niskiego szczebla i tak dalej. Teraz naprawiał swój błąd.

Kayus Toxidis, lat sześćdziesiąt siedem, zainkasował siedem strzałów. Dvoyatchny, Grey, Nobody i kilkunastu innych policjantów od razu udali się na Siódmą Ulicę. Wkrótce przerzucono tam cały skład osobowy komisariatu Wschodniej Dzielnicy. Wszyscy *incognito*. Znali numer ulicy, ale nie domu.

Grey, jako osobnik nazbyt rzucający się w oczy, został w samochodzie i utrzymywał stałą łączność z Jajogłowym serfującym po wirtualnych przestrzeniach w poszukiwaniu informacji o ludziach związanych z projektem „Kain i Abel”, a zarazem mieszkających na Siódmej Ulicy.

Dvoyatchny przechadzał się samotnie. Po raz pierwszy od kilku tygodni, od sprawy Sublokatora, był uzbrojony. Rewolwer uwierał go pod pachą, lecz traktował tę niedogodność jako mniejsze zło. Większym złem była w tym wypadku śmierć. Bardziej niż rewolwer uwierało go nieznośne uczucie czyjejś bliskości.

Miał na oku Greya. Rozwazał hipotezę zakładającą, jakoby Grey i Twinson to jedna i ta sama osoba. Teoretycznie mógł zdążyć zlikwidować Toxidisa, a następnie, jakby nigdy nic, zjawić się w komisariacie.

Dvoyatchny zatrzymał się przy samochodzie.

– Jakież wieści od Jajogłowego? – zapytał.

– Żadnych – odparł Grey.

Miał ruszyć w dalszy obchód, ale zatrzymał go Grey.

– Kolor szary symbolizuje pojednanie czerni i bieli. To barwa równowagi i sprawiedliwości. Teraz niech pan idzie. Przeznaczenie nie może czekać zbyt długo.

Dvoyatchny rozmyślał nad dziwacznymi słowami Greya. Myślałby zresztą o czymkolwiek, byleby tylko zapomnieć o morderczych snach, które znajdowały pokrycie w rzeczywistości. Czerń i biel. Kain i Abel. Szarość.

– Uprzejmie pana proszę o zachowanie zimnej krwi, inspektorze. Jeden nieostrożny ruch i jest pan kolejnym trupem w tej sprawie.

Dvoyatchny poczuł przez płaszcz, sweter i podkoszulek zimne dotknięcie śmierci.

– Tu aż roi się od moich ludzi – usiłował negocjować. Ale ze śmiercią się nie negocjuje.

– Nie odwracać się. Idziemy prosto. Powoli. Ooo... tak. Przypominam panu – wystarczy jeden strzał, by zabić człowieka. Idziemy, jakby okoliczności były naturalne. Starzy znajomi. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że to pan właśnie ma być kolejną ofiarą.

Deszcz.

Weszli do obskurnej klatki schodowej. Budynek był przeznaczony do rozbiórki, od dawna opustoszały.

Kroki eksplodujące głuchym echem.

– Pierwsze piętro. Powoli. Jesteśmy przecież profesjonalistami, prawda?

Na piętrze weszli do mieszkania pozbawionego sprzętów. Ściany porastała brunatna pleśń. Wilgoć można by kroić nożem.

Dvoyatchny próbował przypomnieć sobie nieocenione rady Charlesa Asquita, z którym na studiach miał zajęcia między innymi z Metodologii Przełamywania Strachu oraz Grania Na Nosie Śmierci. Na razie to śmierć igrała z nim strachem.

Na fotelu w pustym pokoju siedział starzec.

– Pan Boh, jak sądzę... – Dvoyatchny był właściwie pewien. Fotografie Boha regularnie gościły na łamach.

– Kain i Abel – zaskrzypiał Boh. Dvoyatchnemu wydawało się, że głos starca przepełniało wzruszenie.

– Teraz pana przeszukam – powiedział człowiek zza pleców Dvoyatchnego, najprawdopodobniej Twinson we własnej osobie. – Proszę powstrzymać się od jakichkolwiek sztuczek. To przeszkadza w pracy.

Wprawnymi ruchami wyłuskał rewolwer. Dvoyatchny był teraz bezbronny jak owca. Więc milczał.

Wreszcie stanęli z Twinsonem twarzą w twarz.

– Pozwoli pan, że się przedstawię – powiedział Twinson. – Jestem Jonathan Twinson. Nie dziwi pana nasze niespotykane podobieństwo?

– Miewam dziwne sny – rzekł Dvoyatchny. – Śni mi się, że jestem zawodowym mordercą i...

– To zabawne, bo ja miewam koszmary, że jestem obrońcą prawa... – Twinson urwał gwałtownie i zwrócił się do Boha. – Mógłby mi pan to wyjaśnić, Boh?

– Twój ulubiony film to „Nierozłączni”. I nieustannie prześladowa cię przeczucie istnienia kogoś obdarzonego pokrewną ci duszą... – mówił Dvoyatchny.

– Panie Boh?! – Twinson tracił na pewności siebie z każdym wypowiedzianym przez inspektora słowem.

– Efekt uboczny. Rodzaj empatycznej więzi. To zdarza się u bliźniąt jednojajowych. Kain i Abel... Jesteście oczywiście klonami i to moimi, panowie. Patrząc na mnie... – Boh uśmiechnął się gorzko – widzicie siebie samych za lat sześćdziesiąt. Jeśli oczywiście dożyjecie tak sędziwego wieku. Jeden z was, wszyscy wiemy który, z całą pewnością nie dożyje.

– Kain i Abel... – powtórzył Dvoyatchny.

– Dobro i zło. Czerń i biel. Zabawiłem się w Boga. To była moja obsesja, obsesja starzejącego się człowieka, który może wszystko. W jakim inny sposób można dowieść swej potęgi? Chciałem udowodnić, że osobowość człowieka można zaprogramować za pomocą odpowiednio zaaranżowanych życiorysów. – Boh mówił coraz szybciej, gorączkowo, jakby dokądś się spiesząc. – Święty Augustyn pisał o Łasce, którą Bóg jednych obdarowuje, innych nie. Łaska dlatego nazywana jest łaską, że nie jest darowana za zasługi. To widzimi się Boga. Jedni są z natury dobrzy, inni nie, jedni dostąpią zbawienia, inni nie. Więc i ja szafowałem łaską, ale po swojemu. I udało mi się! Szlachetny obrońca ładu i porządku publicznego i wielokrotny perfekcyjny morderca. Startowaliście z tego samego pułapu, a wylądowaliście w zupełnie innych miejscach. Nie ma wrodzonych właściwości, nie ma duszy, jest tylko niezapisana tablica, którą wypełnia doświadczenie, obcowanie ze środowiskiem. W waszym wypadku to ja byłem ukrytym belfrem zapisującym wasze tablice! To był mój zakład z Bogiem, którego zresztą nie ma. Kain zabija Abła raz jeszcze.

Dalej, Kainie! Wypełnij kontrakt! To jest twoje przeznaczenie, a być może zostaniesz moim następcą... Masz po temu odpowiednie kwalifikacje.

– Igrasz z potęgami, które cię przerastają, stary głupcze!

Dvoyatchny znał ten głos. Do mieszkania wszedł Grey. Był nieuzbrojony.

– Myślisz, że pociągasz za sznurki, co? Twoja megalomania jest irytująca.

– Kim jest ten szary pajac?! – krzyknął Boh. W jego oczach kiełkował strach, który mógł wydać obfite plony.

– No właśnie, Grey, kim ty właściwie jesteś? – spytał z ciekawości Dvoyatchny.

– Powiedzmy... że gwarantem *fair play*. Moim zadaniem było doprowadzenie do waszej konfrontacji. Co z niej wyniknie, to już nie moja sprawa. Jesteście istotami obdarzonymi wolną wolą. Czyńcie z niej użytek.

Spojrzał na Dvoyatchnego swymi szarymi oczami.

– Świat ma sens, Charles. Chyba już w to nie wątpisz?

– Zabij go! – krzyknął Boh.

– Nie! – Dvoyatchny był bezsilny.

Padł strzał. Jeden strzał.

Ciało Greya leżało na podłodze.

– Znakomicie. Teraz inspektor. Jest ostatnim świadkiem.

– Rzeczywiście, jesteś głupcem, Boh. On jest moim bratem.

– Sentymenty to w twoim fachu zbędny luksus, Twinson!

– Sentymenty? – zdziwił się Twinson i zastrzelił Boha.

Patrzyli na siebie. Ich spojrzenia spotkały się w połowie drogi. Obaj czuli łączącą ich więź. Jakby nagle stali się jednością.

– Nie potrafię cię zabić – powiedział Twinson. – Pierwszy raz mi się to zda...

Głuchy odgłos wystrzału. Twinson upadł na podłogę, do mieszkania wpadł Nobody – to on strzelał.

– Żyjesz, dzięki Bogu! – krzyknął. – Gdyby nie płaszcz, nie wiedziałbym który z was jest którym...

Dvoyatchny pochylił się nad ciałem swego brata. Jeszcze żył.

– Jesteśmy... tacy podobni... – szept Twinsona umierał. – Tacy cholernie podobni...

Jego spojrzenie zatrzymało się na oknie. Padał deszcz.

– Jak dwie krople deszczu... – po policzku Twinsona popłynęła łza, być może pierwsza i z całą pewnością ostatnia w jego życiu.

– Dwie krople spermy bogów – rzekł Dvoyatchny, ale już do siebie, bo Jonathan Twinson był martwy. Wraz z jego śmiercią, umarło coś w Dvoyatchnym.

10.

Dziwne to, ale ciała Greya nigdy nie odnaleziono. Zupełnie, jakby się rozplynęło. Nikt nie wypowiadał tego na głos, lecz podejrzewano, że śmierć Greya była tylko projekcją zestresowanego umysłu Dvoyatchnego.

Wiele razy zastanawiał się Dvoyatchny, kim był Grey. Gwarantem *fair play*? Między kim a kim ta gra? *Igrasz z potęgami, które cię przerastają* – powiedział Grey do Boha.

W życiu Charlesa Dvoyatchnego wiele się zmieniło. Awansował na inspektora. Opuściło go przecucie bliskiej obecności człowieka o pokrewnej mu duszy. Nocami śnił wyłącznie o publicznym porządku.

Któregoś dnia odebrał telefon. I nie był to inspektor Nobody. Telefonowała Monika Zangwill, skruszona swą samotnością.

Chaos przegrał tym razem, ale Charles Dvoyatchny nie widział w tym swojej zasługi. W końcu, to nie Kain pociągnął za spust.

Często zastanawiał się, czy jego światopogląd uległ zmianie. Czy uwierzył w sens świata? Flaubert powiedział kiedyś: *Cokolwiek jeszcze się zdarzy, pozostaniemy głupcami*. I to zdanie najlepiej oddawało stan umysłu Dvoyatchnego. A jednak wciąż nie mógł zapomnieć pierwszego spotkania z Greyem. Grey wszedł do knajpy dokładnie w momencie, w którym Dvoyatchny doszedł do wniosku, że świat nie ma sensu za grosz. To był znak. A może nie? Może tylko przypadek?

Pozostawała jeszcze tajemnica dziwnej przesyłki. Co roku, w rocznicę śmierci Greya i Twinsona, inspektor Charles Dvoyatchny otrzymywał dziwną przesyłkę. Była to pusta, szara koperta bez adresu nadawcy. Pusta, szara koperta. Szara koperta.

Szara.

36,6

– ...pani jest martwa – puentuje swój dowcip Anna.

Śmieją się. Dziwny to śmiech – Anna śmieje się smutno. Steffen próbuje śmiać się z jej żartu. To takie potworne parcie wewnętrznej empatii, życzliwości. Trzeba się uśmiechnąć, dać sygnał – tak, stary, rozumiem, to naprawdę zabawne. Bez względu na skalę śmieszności. Jest w Steffenie całe morze współczucia dla marnych żartownisiów. Właściwie woli śmiać się z dowcipów kiepskich – to budzi w nim poczucie misji. Śmiać się z oczywistej śmieszności to nie sztuka.

– Mógłbyś zapuścić brodę, Steffen – mówi Anna.

– Wiesz, że nie znoszę zarostu.

Anna. Smutna Anna. Nawet jej żarty są smutne. Patrzy na jej podkrążone oczy – pewnie znów w nocy płakała...

Wydaje mu się, że słyszy płacz Moniki, ale to niemożliwe. Widzi przez hotelowe okno, jak ten samochód, chyba czarny, w tym mroku wszystko wydaje się czarne albo granatowe, zatrzymuje się nagle przy niej. Pewnie z nieodzownym piskiem opon, ale i tego nie słyszy – jak w niemym filmie kręconym przez głuchego reżysera. Ze środka wyskakują jacyś dwaj faceci, wykręcają jej dłonie, Monika opiera się, Steffen krzyczy, nawet wybija łokciem szybę – dopiero wtedy wszystko słyszy; jej urwany krzyk, deszcz. Wciągają ją do auta, Horgath zbiega z drugiego piętra, choć wie – to się zawsze wie – że nie zdąży. Gdy jest na zewnątrz, wóz rusza. Widzi szamocące się cienie i nagły rozbłysk białego światła w środku – jakby ktoś strzelił... Szamotanina ustaje. Samochód odjeżdża.

Ktoś stoi po drugiej stronie ulicy. Jego sylwetka ginie w ciemności, ale Steffen rozpoznaje go, po tym skuleniu, dziwnym zgięciu wewnętrznym i zewnętrznym.

– Still! – krzyczy.

Z półmroku wypełza Jurgen Still, ślimak bez skorupki, chodzący płód poszukujący – bezskutecznie – matczyne ciepła. Wygląda gorzej niż ostatnio.

– Wóz! – krzyczy Steffen. – Masz jakiś samochód?! Jedźmy za nimi!

– Odprawiłem taksówkę... – mówi niepewnie Still.

– Czemu... – Chciał zapytać: „Czemu nic nie zrobiłeś?!”, ale przypomniał sobie status Jurgena. Jurgen był obserwatorem. Wyłącznie obserwatorem. Kiedyś Nobody wymyślił „małą zasadę antropiczną” dla Doliny: Dolina istnieje po to, by Still ją obserwował.

– To był on?

– On – potwierdził Still. – Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Po policzkach Steffena płyną krople deszczu.

Po starym policzku doktora Nagy’ego spływa młoda łza. Przez chwilę zachwyca Steffena ten dysonans, ten niestosowny alians. Ale zachwyty trwa krótko.

– Kto za tym wszystkim stoi? – pyta głosem wyciskającym szczerość. Taki ton to rzadkość, takiego tonu trzeba się dopracować, cyzelując, ale i uzupełniając niedomiary w tembrze, niwelując za to piskliwe nadmiary.

Nagy patrzy na Steffena jak na roślinę, która właśnie udowodniła swą inteligencję. Wygląda niczym kwintesencja skrzywdzonej niewinności.

– Za... czym?

– Nie lubię stosować przemocy. Stosowanie przemocy jest formą przyznania się do niemocy, doktorze Nagy... – obejmuje doktora delikatnie.

– Jak pan ma na imię?

– Peter...

– Ale cel uświęca środki, Peter – klepie go po policzku. Nienawidzi tego, ale zarazem kocha prawdę. Jest w tym wszystkim fundamentalna sprzeczność, która stoi za tymi wszystkimi bezsennymi nocami. – Rozumiesz? Cel uświęca środki... Co się stało z moją... – chciał powiedzieć „żoną” – ...kobietą? Co tak naprawdę się z nią stało? Wystawiłeś jej lipne papiery, tak? Skąd masz te... nekrofilmy? Co robią w twoim mieszkaniu te blankiety, karty chorobowe, zdjęcia rentgenowskie bez nazwisk...Gadaj...

I znów – jakby nic nie pojmował. Gość po doktoracie. A Steffen łaknie prawdy, mój Boże, on jest jak roślina pnąca się ku światłu, a tu zwarta przeszkoda; i co, kto jest tą przeszkodą, tą nieprzepuszczalną barierą – jakiś Peter Nagy! Więc pochyla się nad rozdygotanym doktorem, jak nad kwiatem gotowym do zerwania. I dopiero teraz dostrzega ten kolczyk w jego lewym uchu – znów niestosowność. Oto człowiek zbudowany z dysonansów. Niewielki, srebrny chyba. Przypatruje się – pomarszczone

ucho. Skąd on to... Ucho w uchu. Nawet zabawne – ucho w uchu, które jest w uchu. Ostatecznym uchem jest ucho środkowe – to jądro absolutnego słyszenia.

Chwyta mocno za ten kolczyk, jeden szybki ruch. Krew tryska na papiery, plami Steffenowi koszulę. Nagy wyje, jakoś tak zwierzęco.

– Przejdźcie! – krzyczy. – Przejdźcie!

Gdzie on chce jeszcze przechodzić?

Cel. Środki.

Wreszcie są w środku. Steffen jest przemoczony. Cholerny deszcz. Siada na fotelu, który pojękuje.

– Powinieneś zrzucić parę kilogramów – mówi Monika i zapala papierosa.

– Fotel ci to podpowiedział?

– Kiedyś ważyłam pięćdziesiąt siedem kilo. – Wydmuchuje dym, ten wznosi się, jakby chcąc pobić rekordy wysokości – leniwy skoczek wzwyż. – Wystarczy nie jeść pieczywa.

– Ile ważysz teraz? – pyta Steffen. I patrzy na nią – jak pali.

– Pięćdziesiąt pięć i pół.

Nie wszystkie kobiety potrafią palić. Niektóre palą nerwowo – zaciągając się gwałtownie; inne gestykują przy tym – jakby papieros był batutą sterującą nieistniejącą orkiestrą symfoniczną. Tymczasem palenie jest czynnością wymagającą. Tu trzeba lekkości i nie wystarczy ważyć pięćdziesiąt pięć i pół kilo. Tu jest wymagana lekkość wewnętrzna, przekładająca się na to, co widać. Immanencje delikatnie przechodząca w transcendencję. Metafizyka palenia petów. Monika ma w sobie to coś. Nie zaciąga się za mocno, trzyma papierosa delikatnie. Częstotliwość sztachnięć jest przypadkowa, ale zarazem wydaje się harmonijnie precyzyjna. Tylko na dnie chaosu czai się prawdziwa regularność. Wydmuchuje dym tak, jakby wydmuchiwała duszę. Palenie, prawdziwe palenie, ma w sobie coś z umierania.

Przypatruje się umieraniu. Ma tego całą kolekcję – płyty zarekwirowane Nagy'emu. Stary człowiek, niezbyt zniszczony, wyprostowany nawet, spogląda z ekranu wprost na Steffena. Jakby mierzył go spojrzeniem. Coś mówi, ale jego głos nie jest zarejestrowany. Z jego postaci przebija spokój – jest to, zgaduje Horgath, spokój rezygnacji, spokój pogodzenia się.

– Dlaczego to robisz? – jakby mógł go usłyszeć. – Rak. Ciężkie życie. Za długo się bywało tu i tam. Znużenie, zużycie. To właściwie normalne. Nor-mal-ne...

Ciska pustą puszkę po piwie do kosza, wcześniej miażdży ją, jakby była zmiją dybiącą na ciągłość jego cennego istnienia. To niestosowne – pić w takiej chwili. Piwo wyobraża sobie Steffen jako hydrę z wciąż odrastającymi głowami-puszkami. Miażdżysz jedną, w zasięgu wzroku materializują się natychmiast dwie kolejne. Tak jest i tym razem.

Przewija film – starzec traci cały swój majestat. Przyspieszone umieranie jest zabawne – każda nienaturalność wydaje się śmieszna; może to jakaś reakcja obronna? Jakby Charlie Chaplin wydawał ostatnie tchnienia w tym swoim komediowym rytmie. Starzec wypija swoją cykute; podobno niektórzy nazywają to koktajlem. Grdyka podskakuje mu groteskowo. Nagle w kadrze pojawia się ktoś jeszcze – postać w białym kitlu, mężczyzna. Steffen natychmiast wyłącza przewijanie, cofa, przesuwając film kadr po kadrze, by wyłowić każdy cholerny szczegół. Wyłania się jak anioł śmierci – stopniowo, niepostrzeżenie. Jakby wyszedł z tej nieskazitelnej, oślepiającej bieli ścian, jakby się z niej wyodrębnił, wyrwał, uwolnił, stając się czymś od białości osobnym, osobistym.

– Kim ty, kurwa, jesteś... – mamrocze Steffen. Ale widać go tylko od tyłu z jakiejś dziwnej perspektywy, z góry, jakby sam Pan Bóg chwycił za kamerę.

Podchodzi do starca, osłuchuje go, bada źrenice. Ciekawe czy coś mówi. Coś uspokajającego? Wszystko będzie dobrze? Steffen rechocze, rozlewając piwo. Starzec jest zresztą spokojny – wydaje się, że zasypia. Pielęgniarka (lekarz?) chwyta go za rękę i trzyma tak przez dłuższy czas. Na innych filmach było widać, że dopuszcza się bliskich krewnych; starzec widocznie był sam.

Horgath wpatruje się w te sceny z natężeniem – stał się przyrzędem obserwacyjnym. Każdy gest, każdy grymas (wyostrza, powiększa obraz), każde puste spojrzenie, zwężenie źrenic. Wszystko może być odpowiedzią. Ale tak naprawdę wszystko okazuje się pytaniem.

– Dlaczego?!

Ale Nobody jest jak skała. Skała, która pije herbatę i spogląda przez okno jakby Steffena nie było w pokoju. Może w ogóle go nie ma? Może

wszystko jest snem? Co jakiś czas dopada Horgatha takie poczucie nonsensu, nieistnienia. Jakby był powietrzem, którym oddycha.

– Nie mamy żadnych podstaw, Steffen – odzywa się w końcu. Jego niechęć jest namacalna, gdyby nagle się zmateriałizowała, byłaby pewnie galaretą, przez którą próbuje się przedrzeć idiota pokroju Steffena. Im bardziej brnie, tym gorzej, galareta gęstnieje, tężeje. Aż staje się nieregularną, pofałdowaną ścianą. A Steffen wzorkiem tapety na niej.

– Pracowaliśmy razem, Jos.

Nobody spojrział wreszcie na Steffena. Nie jest to dobre spojrzenie.

– Tego się nie da zapomnieć. Steffen Horgath – poszukiwacz sensu, Steffen – eksplorator prawdy. Nie przypominaj mi – cedzi inspektor Nobody. – A teraz, w imię dawnej znajomości, mała rada. Radunia. Odpierdol się. Bo znów będzie jak dawniej. Nie ma żadnej sprawy, żadnego złamania prawa. Nie mamy podstaw do podważenia diagnozy lekarskiej, nie możemy ekshumować ciała, bo go nie ma – zostało skremowane.

– Dla...

– Dlatego, że Anna nie była twoją rodziną! Nie udawaj idioty.

– Żyliśmy razem pięć lat. Pięć pierdolonych lat! Ona nie ma żadnej rodziny. Nikogo, rozumiesz, nikogo oprócz mnie! To nie jest normalne...

– Normalne! – podchwytuje Nobody. – A co jest normalne? Czy norma to jakieś uśrednienie ekstremów? Jakaś statystyczna stała? Steffen, kurwa, tu jest życie. I śmierć. Tu nie ma statystyki. Nic nie jest normalne i to jest właśnie normalne, nie rozumiesz? Spierdalaj stąd z tym swoim świętym graalem normy.

– Odpowiedz na jedno pytanie.

– Tak?

– Kto wydał diagnozę?

– Spierdalaj.

- I tak się dowiem.

– Nic o niej nie wiem – mówi Monika. – Opowiedz o niej.

Przez chwilę zastanawia się, co właściwie ma powiedzieć.

– Anna miała skłonności samobójcze. Tak się o tym mówi... – patrzy, jak Monika zapala papierosa. – Nikt nie wie, skąd się to bierze i czym jest. Niedobór litu lub magnezu, geny. A może jednak wybór. Nie wiedzieliśmy, dlaczego. Ona też nie wiedziała...

Stają mu przed oczami sceny, o których próbował zapomnieć. Wchodzi do mieszkania. Pali się światło, ale jest cicho...

– Po prostu chciała umrzeć, wiesz? Niektórzy tak mają...

...tak cicho. Słysząc tylko stłumione przez dźwiękoszczelne szyby odgłosy ulicy. I szum wody. W łazience. Nie wie, skąd to przekonanie, ta pewność, ale ona się nie kąpie. Nie kąpie się...

– Próbowałem ją powstrzymać... I nie chodziło o przeciwdziałanie skutkom... Nie tylko o to...

Otwiera drzwi, ostrożnie, jakby otwierał wrota piekieł. I poniekąd tak właśnie jest. Stoi po kostki w wodzie. Różowej wodzie.

– Chodziło o przyczyny. Chciałem wlać w nią przekonanie, że... wiem to banał, warto żyć, warto walczyć. Że to wszystko ma jakiś sens. Ale ona była już wcześniej wypełnionym naczyniem...

Anna unosi się na wodzie. Wydaje się tak lekka. Tak lekka tak ciężka...

– Pustka wszystko wypiera. Takie ma właściwości. Nic nie daje. Wszystko odbiera. Nie wiem, czy można być napełnionym pustką, ale w jej przypadku tak właśnie było. Wiesz, dwa razy uratowałem jej życie. Być może chciała, by tak się stało... – teraz to on zapala papierosa. – To nie mógł być przypadek, że za każdym razem przybywałem w samą porę. Dawała sygnały albo prowadziła jakąś grę. Jeśli tak, to dość ryzykowną...

Wydaje się, że wszystko robi naraz: krzyczy, trzyma jej głowę nad powierzchnią wody, zakręca kurki, spuszcza wodę z wanny. Ale przede wszystkim krzyczy. Jak on krzyczy. Podwiązuje jej ręcznikami ręce nad nadgarstkami. I krzyczy. Krzyczy. Krzyczy.

– Anna była aktorką – wydmuchuje dym. Monika patrzy na Horgatha z uwagą, rejestruje każdy jego gest, każde słowo. – Przez pewien czas chciała być dobra... Wiesz, co to znaczy – dobre aktorstwo? Obsesja. Wiarygodność. Nieustannie obserwowała ludzi, odgrywała w domu ich zachowania, mnie obsadzała w roli widza. Miałem reagować na jej kreacje. Szukała, cały czas szukała... sam nie wiem czego. Naturalności? Normalności? Ja zawsze uważałem, że w każdą sztukę wpisana jest sztuczność. To naturalne, że sztuka jest sztuczna – jest wyjaskrawieniem, wykoślawieniem rzeczywistości...

– Śmierć jest prawdziwa – odzywa się w końcu Monika. Patrzy na Steffena z przenikliwością doświadczonej kurwy. Jest piękna. I trochę podobna do Anny. Wcześniej tego nie dostrzegają, ale coś je łączy.

Więc krzyczy, choć nikt mnie nie słyszy. Podnosi ciało Anny, jest wiotkie jak trzcina czująca, jest niczym i wszystkim. Czuje, więc jest. Wciąż jest. Jej skóra jest śliska, nie może jej utrzymać. Wreszcie biegnie z nią, głowa Anny podskakuje śmiesznie w rytm tego biegu. Zbiega po schodach, na karetkę nie ma czasu w tym cholernym mieście. Ktoś na nich patrzy, ale ucieka wzrokiem, chyba dlatego, że Steffen wciąż krzyczy. Co krzyczy? Po chwili jadą, ona na tylnym siedzeniu, on za kierownicę. Naciska na klakson, ale go nie słyszy. No i krzyczy. Wie... nie, czuje, że ją uratuje. Uratuje ją. I to właśnie krzyczy: uratuję! Uratuję! Uratuję!

Ratuje go przypadek – odnajduje tę knajpkę na rogu siedemnastej i czterdziestej ulicy, wciśniętą między dwa okazałe apartamentowce. Jakby chciała się pomniejszyć, nawet zniknąć, a może schować się. To gdzieś w tych okolicach przebiega linia demarkacyjna między Wschodnią Dzielnicą, zwaną trafnie Doliną a Zachodnimi Dzielnicami. Oto granica dwu światów, które rzadko się przenikają – jakby były osłonięte jakimiś trudnymi do przeniknięcia błonami – do osmozy wprawdzie dochodzi, ale w drodze wyjątku, nie reguły. Drapacze chmur Zachodnich Dzielnic biją w niebo, jakby były szpikulcami wycelowanymi wprost w tyłek Pana Boga. Pierwszą taką szpilą była Wieża Babel. Dolina natomiast jest oazą gnicia. Wszystko tu się rozkłada, począwszy od zawilgoconych domów obłazących ze skóry, odbarwionych, głównie szarych, a skończywszy na ludziach, pomniejszonych, wymiętych. Ta zgnilizna ma swój smak, swój zapach. Gdyby można ją było dotknąć, byłaby czymś szorstkim i miękkim zarazem. Do tej zgnilizny można się przyzwyczać – nawet w niej zamieszkać, stając się częścią procesu bezustannego rozkładu.

Steffen miał nieszczęście funkcjonować w obu tych rzeczywistościach. I wydawało mu się, że od schizofrenii dzieliła go cienka warstwa zdrowego rozsądku, być może cieńsza niż myślał. Mieszkał z Anną w Zachodniej Dzielnicy, w domku ładnie wkomponowanym w otoczenie, z ogródkiem obsługiwanym automatycznie. Pracował w Dolinie. Codziennie przekraczał granicę. Czuł się tak, jakby za każdym razem wymieniał garb – do Doliny zabierał ze sobą rynsztunek uporządkowania – był jak rozpychający się bąbel ładu. Ale stopniowo nasiąkał brudem Doliny, smrodem, chaosem. I kiedy wracał, chętnie płynąłby tajemnymi nurtami rynsztoków niż bezkolizyjnymi traktami. W rezultacie czuł się niedopasowany wszędzie.

Znów, jak w dzieciństwie, jak w sierocińcu, usiłował budować własny świat, funkcjonujący wedle przewidywalnych reguł.

Granica między Doliną a zachodnią częścią miasta przebiega bowiem w umysłach – nie jest sformalizowana, nie przybiera postaci kordonu sanitarnego, nikt nie żąda tu paszportów. Oczywiście, jak to bywa ze wszystkim, sfera duchowości odciska się – zwykle w zdeformowany sposób – w materialności. Tak jest i tym razem. Pierwotną granicą są jak zawsze statusy majątkowe – w naturalny sposób tzw. klasa średnia gromadzi się wokół siebie, zagęszcza, tworzy środowisko zdatne do istnienia. Reszta jest w jakiś sposób odwirowywana – są jak wióry, odpadki wielkich społecznych procesów – ale i oni osiadają na dnie grubą warstwą – być może tak właśnie, z tych mułów i osadów powstała Dolina. Wydaje się, że stopniowo, po obu stronach barykady, charakterystyczne cechy obu rzeczywistości, ich mocne wyróżniki, ulegają zatarciu. Z każdym metrem oba światy zbliżają się do siebie i gdzieś w okolicach tej dziwnej knajpki dochodzi do płynnej kolizji.

Ludzie Doliny niechętnie opuszczają Wschodnią Dzielnicę. Czują się w ujednoliconej przestrzeni Zachodu nieswojo. Paradoksy rygorystycznie przestrzeganych zasad zdają im się wszechogarniającą sztuczną. Wszystko tryska tu zdrowiem – zdrowa jest żywność, której nie da się przełknąć, zdrowe tryby istnienia – uprawia się jogging do utraty tchu. Nigdzie już palić nie można, nawet płuć. Modne jest posiadanie zwierząt, które nigdzie – pod groźbą grzywny – nie mogą zostawiać odchodów. Wszelkiego rodzaju poprawności, które u zarania wręcz narzucały się swą oczywistą koniecznością, skutecznie rugują wszelkie obszary nieoznaczoności i spontaniczności w życiu społecznym. Każdy wie, jak ma się zachować w ściśle określonej sytuacji. W rezultacie dbałość o swobody obywatelskie okazuje się najskuteczniejszym z możliwych kagańców. Gmach tego swoistego więzienia wznoszą sami jego mieszkańcy – budowa zaczyna się z chwilą narodzin człeka, najpierw bez jego świadomego udziału; stopniowo jednak przeistacza się on w architekta własnych zniewoleń.

Ludzie z Zachodnich Dzielnic czasem odwiedzają Dolinę – ale raczej grupowo, turystycznie. Traktują te wypadki jak rodzaj odreagowania nienormalnej normalności. Zachowują się hałaśliwie, wdychają jak wonności zadymione powietrze wschodnich knajpek. Kradną nikomu

niepotrzebne przedmioty traktując je jak trofea z jakiegoś safari. Dolina ich toleruje. Dolina z nich żyje. Ale zawsze w końcu Dolina ich wypłuwa. Tymczasem Horgath stanął Dolinie w gardle.

Steffen odczytuje trójwymiarowy napis PRZEJŚCIE. To chyba nazwa. Zatem przechodzi.

Ból nie przechodzi. Jest jak istnienie. Steffen odruchowo poprawia kapelusz – od Garibaldiego, zawsze dbał nadmiernie o strój, jakby zaprzeczając swemu pochodzeniu, zaprzeczając temu, co rozciąga się wokół – chaosowi Doliny. Ciemność, ciemna dolina. Zła się nie ulękne. I tak dalej. Garnitur jest zbroją porządku. Gładko ogolone policzki orężem ładu. Były. Kiedyś.

Nawet nie wie, co go właściwie boli. Żeby choć ząb, żeby to dało się jakoś umiejscowić, a dzięki temu – usunąć.

Idzie tzw. Czerwonym Westybulem we wnętrznościach Komisariatu Wschodniej Dzielnicy – w kierunku prawdy. Dziś prawdę uosabia akurat inspektor Nobody. Wchodzi bez pukania – jak niegdyś. W sumie nie tak dawno. Jak na uosobienie prawdy przystało – wygląda nędznie.

Nobody patrzy na Horgatha niechętnie – jak lekarz na pacjenta ze zdiagnozowaną dżumą. Ale powstrzymuje się od kwaśnych komentarzy. Zły znak. Tak, zły znak.

– Czego nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon? – pyta Steffen bez zbędnych wstępów.

– Zgłosiłeś zaginięcie Anny... eee... – szuka przez chwilę w stercie wydruków. – Becker? Tak, Becker.

Horgath potwierdza skinieniem głowy. Jest spokojny.

– Coś was łączyło?

Horgath milczy. Łączyło? Czas przeszedł. Nobody przypatruje mu się z ciekawością badacza. Nie ma w nim współczucia ni litości. Od dawna już nie. Wygląda jak drewniany płot obłazły z farby i chylący się ku upadkowi – ale kto go kopnie, nadzieje się na zjadliwy, zardzewiały gwóźdź. Albo jak walący się budynek – kto pierwszy spróbuje go wyburzyć ostatecznie, temu cegła spadnie na głowę. Josef Nobody był jak Dolina – stary i wieczny, gnijący i nieśmiertelny, niszczący i niezmienny. On był Doliną.

– Nie była twoją... cioteczną siostrą? Żoną, która nie przyjęła nazwiska męża? To teraz modne.

Była...

– Kochanką? Konkubina?

– Dość, Jos. Dość.

– Nie żyje. Przykro mi. – Chyba naprawdę jest mu przykro.

– Jak?

– Legalnie i miło. Przyjemna śmierć. Dobra. Eutanazja. Podobno miała raka.

– To niemożliwe. Niemożliwe.

Oczy Nobody’ego są jak kamery – chciwie rejestrują każdy szczegół.

Kamera przechodzi w stronę umierającej, omiata coraz szerszą przestrzeń. Twarz kobiety wydaje się spokojna – jest jakaś maska pośmiertna. Tylko jej oczy żyją. Co czuje w tym momencie – strach? Spokój?

Znów dostrzega tę postać w kitlu; barczysty, szerokie plecy. Steffen wyostrza obraz. Co on robi? Zaraz... No tak. Filmuje. Filmuje umierającą. Horgath widzi niezwykłość tej sytuacji - obserwuje obserwatora; stary paradoks. Zaraz czuje dziwne mrowienie na plecach – jakby i jego ktoś obserwował. Nawet ogląda się za siebie – kompletny idiotyzm. Podmiot stający się przedmiotem.

Nagle dostrzega jakiś szczegół – sygnet na jego prawej dłoni. Wyostrza obraz. Tak. Sygnet. Natęży wzrok, wpatruje się, jakby miał wypatrzeć datę swej śmierci. Jakiś pomarszczony, nieregularny kształt. Ucho? Tak, trupioblade ucho.

Znów śmierć, znów umieranie. Jakież spokojnie – można by powiedzieć, że potworny. Horgath widział w życiu trochę umierania – zawsze jest z tym związany sprzeciw, niezgoda, strach, czepianie się ostatniego włosa istnienia. Obserwował kilka egzekucji, jeszcze przed wprowadzeniem moratorium. Dranie bez sumienia, których życie nie było warte rachunku za prąd zmarnowany na ich uśmiercenie, zdychali w przerażeniu, śmierdzielili strachem, za dwie minuty istnienia sprzedaliby duszę, która i tak dawno była wyprzedana... Ten spokój jest nienaturalny.

– Nie tak, kurwa, powinno się umierać! – krzyczy na głos.

To nienormalne.

Nie wygląda normalnie. Dobrze, że zapaścił brodę, nieco pokryła wyrwy w elewacji jego twarzy. Maca szczękę, wydaje się nienaruszona. Wypluwa krew do zlewu.

– Zwierciadełko, powiedz przecie... – zdobywa się na marny w tych okolicznościach dowcip.

Oko podbite, prawy policzek spuchnięty. Przybywa fiolet. Żółć jak zwykle nieco się spóźni.

Najbardziej poobijane ma chyba plecy. Żadnych złamań.

Po co ten szczur to zrobił? Zniechęcenie? Ostrzeżenie?

– Ostrzegam pana – mówi Wergiliusz.

– Przed czym pan mnie ostrzega? – pyta Steffen.

– Nie przed czym, lecz przed kim. Proszę się przyjrzyć tym dziewczętom – wskazuje na małe stadko dziwek zgromadzone przy barze jak antylopy u wodopoju. Porównanie do antylop jakoś samo mu się nasuwa – jest w tych młodych kobietach jakaś zwierzęcość, instynktowność.

– Cóż w nich nadzwyczajnego? – pyta jednak Steffen.

– Jak wszystko tu, są jedyne w swoim rodzaju.

– Ładne.

– Taaak, piękne. Ale tu idzie o coś innego. Widzi pan, one są specyficzne. Następuje tu jakby odwrócenie klasycznych ról i zachowań. To nie klienci dobierają sobie kobiety lekkich obyczajów, na podstawie swych... hm... upodobań...

– Jak to odwrócenie?

– To one wybierają – Wergiliusz uśmiecha się lekko. – I nie chodzi wyłącznie o prostą inwersję, odwrócenie obyczajowych rytmów. Choć o to też, pewnie daje im to złudzenie wolności, sterowania własnym losem. Ważniejsze jest to, że one stanowią elitę elit swej starej profesji...

Wergiliusz zawiesza głos, jakby oczekując pytań lub jakiegokolwiek innej formy emanacji zdziwienia, a może zachwyty? Steffen milczy.

– Widzi pan, to jest absolut kurewstwa.

– Ładnie pan to ujął...

– Usługi... – waha się – ...klasycznych prostytutek opiewają na zaspokajanie pewnych... ściśle określonych potrzeb... nazwijmy to fizjologicznych. Tymczasem potrzeby mogą być różne. Tak, one są jak kameleony – dostosowują się do potrzeb klientów, nawiązują specyficzną więź. Całkowita empatia. I nie idzie tu tylko o czynności fizyczne... o nie.

– Gejsze... – Horgath próbuje szukać analogii, lecz osadza go gniewne fuknięcie rozmówcy.

– Gejsze! Gejsze to dziewczynki z zapałkami! Ja panu mówię o nierządzie absolutnym, a pan mi o gejszach! Ale wracając do naszych rozważań, może właśnie dlatego to one wybierają, by wycenić stopień zgodności oczekiwań z możliwością ich spełnień? Może natura wyposażyła je w dodatkowy empatyczny zmysł? Rodzaj intuicji? Niektórzy powiadają, że są produktem inżynierii genetycznej, albo że skupowano je jako małe dziewczynki na internetowych targach niewolników i poddawano wyrafinowanym praktykom manipulacyjnym przez całe dekady, ale ja w to nie wierzę. Żadna inżynieria nie jest na tyle subtelna, by dopracować się efektu empatycznego dziwkarstwa. Wie pan, chodzą słuchy, jakoby czasem szukały nasze piękne kurwy wyzwania i klientów niedopasowanych. Powiada się o wysokich zakładach... A ostrzegam pana, drogi Steffenie, bo są to kobiety zwodnicze... Ich mimikra bywa doskonała...

Steffen dość ma tego gadulstwa; podnosi się z przepaszającym grymasem na twarzy i rusza w stronę wyjścia. Całkiem nieoczekiwanie zatrzymuje go kobiecy głos:

– Czy to normalne?

Jest piękna, a ich spojrzenia od razu spina węzeł. W ustach trzyma niezapalony papierosa. Podaje jej ogień. Dlaczego zapytała właśnie o to? Dlaczego?

– No, no, no – mówi Wergiliusz. – No, no, no...

– Uważasz, że to normalne? – Steffen podnosi głos. Nobody pali papierosa. – Siedemdziesiąt procent diagnoz choroby nowotworowej dla firmy eutanastycznej WYJŚCIE wydaje ten sam facet – niejaki doktor Peter Nagy. Nie widzisz, że to dęte, Jos?

– To znany onkolog...

– Ale nie jedyny.

– Czego ode mnie chcesz, Steffen? Mam otworzyć śledztwo na podstawie twoich snów? Pamiętasz jak było dawniej? To twoje poszukiwanie sensu w nonsensie? Regularność, normalność, piękne hipotezy tłumaczące wszystko... – Nobody dusi peta w ogromnej kryształowej popielnicy. – Jesteś jak ci fizycy poszukujący jednego równania... Śledztwo w sprawie sensu świata. Poszukiwany żywy lub umarły – Pan Bóg! – drwi. – Nie pamiętasz czym się to wszystko kończyło? Ile razy musiałem świecić za ciebie oczami, kryć cię? Dość tego! Mnie też

wkurwia, że eutanazja traktowana jest u nas na tyle liberalnie, by twoja dziewczyna mogła łyknąć sobie koktajlik. Ale miała do tego prawo...

– Nie, jeśli nie była chora na...

– Przestań pierdolić, Steffen! Jest papier. I nie będzie żadnej ekshumacji, dopóki nie zażąda tego któraś z rodzin. A tak między nami, ty naprawdę uważasz, że ma jakiegokolwiek znaczenie to, czy ona miała czy nie miała raka? Czytałeś „Cierpienia młodego Wertera”? Można zachorować na duszę, Steffen. Brak odporności mentalnej zabija równie skutecznie jak rak szyjki macicy...

Jego głos dochodzi jakby z oddali, stłumiony niewidzialnymi barierami, barykadami wznoszonymi gdzieś w umyśle Steffena Horgatha. Spogląda właśnie przez okno – niebo wygląda jak przefiltrowane przez wyżymaczkę barw – jest białe, oślepiająco białe. Ta biel przenika, kłuje prosto w mózg. Jest jak ostrze przypomnienia. O czym przypomina?

Czternasta Ulica jest jak bolesne przypomnienie. Horgath przechadza się, niby bez celu. Kiedyś spędzał tu sporo czasu w ciasnych samochodach, z podłą kawą w plastikowych kubkach. Tęsknił wtedy za Anną. Może nawet bardziej niż teraz – wtedy wiedział, że ona jest. Jest bez niego. Teraz jest tylko on.

Techniki obserwacyjne, udawanie, że cię nie ma, choć jesteś. A wszyscy wiedzą, że jesteś i kim jesteś. Lecz udają, że cię nie widzą, bo glina jest nie tylko nietykalny. On bywa również niewidzialny. W końcu nasiąka się tą białą niewidzialnością, staje się ona twą formą, a nawet treścią. To już nie jest technika operacyjna, to styl życia. Przestaje cię dostrzegać żona, kochanka, szef nie myśli o podwyżce dla niewidzialnego człowieka.

I ten świat za szybą samochodu. Czternasta Ulica była esencją Doliny – chaotyczna, wyzbyta sensu. Bóg nie mógł stworzyć Czternastej Ulicy. Clive Lewis napisał kiedyś, że kosz Pana Boga musi być pusty. Ale to nieprawda. Czternasta ulica jest koszem Pana Boga. Dużo tu śmieci – różnokolorowych, by nie powiedzieć pstrokatych. Ludzie z gett mieszają się z sobą. Miłość to grawitacja istnienia. Na szczęście jest też nienawiść. Niektórzy usiłują nadać sens sobie – łączą się w grupy lepione lokalnymi patriotyzmami – ryje pokryte skomplikowanymi tatuażami. Nie jestem sam – mówią te ideogramy. Ale to tylko oznacza mnożenie nonsensu przez nieskończoność.

Inni szukają ideologicznych nakrywek – anarchistyczni neokomuniści, Redheadzi, nazistowscy Whiteheadzi. Na Czternastej Ulicy panuje syndrom nadczynności zabijania.

Steffen przycupnął na schodach czteropiętrowca z czerwonej jak krew cegły. Znow obserwuje, jak dawniej. Już nie z samochodu, już nie ma bariery szyby. Zabrali mu prawo jazdy jakiś czas temu. Już bez wątpliwego błogosławieństwa niewidzialności. Patrzy na niewielką knajpę kryjącą się w piwnicy naprzeciwko. Czeka. Jak dawniej. Na ten moment zespala się z Doliną, znow staje się jej częścią.

Knajpa bez nazwy funkcjonuje całodobowo – klienci wymieniają się w locie. Są marki nocne, ćmy barowe; są też tacy, co potrzebują kilku głębszych w świetle dnia. Łączy ich pragnienie. Każdy pragnie czego innego – jeden kobiety, drugi odrobiny szczęścia, trzeci towarzystwa, czwarty samotności. Alkohol uzgadnia te tajemne, niewypowiedziane prośby. Jest rodzajem uniwersalnego tłumacza lub wymienialnej waluty. Przekazy indywidualnych smutków stawały się nagle uniwersalną smutą, jękiem wspólnym, łączącym – choćby na moment.

Całodobowo działa też właściciel lokalu – Roden, barman o gładkiej twarzy i miękkich jak wosk dłoniach. Steffen nie może sobie przypomnieć rysów jego twarzy – spływają po pamięci jak woda po szkle. Nigdy nie mógł zapamiętać jego wyglądu, lecz ilekroć go widział, tyle też razy go rozpoznawał. Niektórzy ze stałych bywalców uważali, że barman nigdy nie sypia, ale Horgath myślał inaczej – te chwile popadania w odrętwienie, to zastygnięcie w formie, nagła szklistość spojrzeń – to był rodzaj letargu. Świetnie wtedy słuchał wynurzeń klientów, bez zniecierpliwienia, ale zarazem nieprzenikliwie – nic nie zostawało mu w pamięci z tych bełkotów.

I nagle go widzi – charakterystyczna postać, skulona w sobie, embrionalna wręcz. Jakby ku sobie się skłaniał, w siebie wglądał, jakby implodował – taki wydawał się sens i ostateczny cel jego istnienia. Ale zarazem była to mimikra, pozór, zwodnicza taktyka – nikt bowiem bardziej nie był skierowany na zewnątrz, niż Jurgen Still, doskonały obserwator, kapuś totalny. Still był jak kwintesencja percepcji – miał niepohamowaną zdolność rejestracji i łączenia w logiczne ciągi myślowe odległych, zdać by się mogło, szczegółów. Wiedział prawie wszystko o prawie każdym. Steffen patrzy na niego z niechęcią. Na myśl o czekającym go dialogu

oponowują go mdłości. Zarazem rośnie w nim determinacja – wie już, że uczyni dużo, by rozwikłać tajemnicę Anny. Może nawet wszystko.

Odczekuje moment i rusza za Stille – schodzi po schodach do knajpy. Te wiją się – znów dawno zapomniane odczucie klaustrofobii, zapadania się w czeluść niewymowną. Ciemno tu. Blask niewielkich lampek jakiś rozrzedzony, brudna biel. W knajpie, na dnie piekła, jest dziś niewielu gości. Może idzie o porę – tuż przed wschodem słońca. Barman wyrwa się z odrętwienia i łypie niechętnie w kierunku Steffena. Horgath przypomniał sobie, że właściwie się nie lubili.

Nagły ruch, gdzieś na mrocznych tyłach sali – to Still szybkim krokiem kieruje się ku tylnemu wyjściu.

– Zablokuj tylne wyjście – mówi Horgath do barmana i siada przy najbliższym stoliku

Roden zastanawia się przez chwilę, jakby ważąc wszystkie za i przeciw. Chyba wie, że Steffen już nie jest w czynnej służbie. Decyduje – przyciska coś pod ladą. Zaraz potem zapada w swój letarg.

Jurgen Still wraca po chwili. Jest zrezygnowany.

– Nie wciągniesz mnie w gówno po raz drugi – mówi.

Drugi cios rezonuje w jego mózgu rozległą i zarazem ostrą bielą. Jakby nagle wszystko pojaśniało, nawet noc. Całe pola bieli, kiełkujące białymi wypustkami, penetrujące coraz to nowe obszary jaźni. Tu jeszcze nie byliście – myśli sobie Horgath i absurd tej myśli nieco go otrzeźwia. Teraz czerwona mgła – to krew zalewa mu oczy. Boi się, że trzeci cios spowoduje efekt błękitu bądź co gorsza czerni. Nagle rodzi się w nim ciekawość – kto też mnie katuje? Jest ich dwóch. Jeden duży, szeroki w barach. Drugi niższy od Steffena – czyżby był to Szczur? Ich twarze giną w cieniu.

– O co...

Ten mniejszy nawet nie czeka na dalszy ciąg pytania – od razu odpowiada kopniakiem. Celuje w kolano, trafia niżej. I tak boli. Dobra, nie musimy rozmawiać, myśli Steffen. Kiedyś trochę trenował boks, przyjmuje postawę, odwrotną, jest mańkutem. Wyższy śmieje się.

Steffen wyprowadza poprawny prawy prosty, śmiech gaśnie. Zastanawia się, czy nie popełnił błędu. W wieku Steffena raczej powinno się pertraktować, a nawet kapitulować bezwarunkowo.

Czuje, że traktują go z większym szacunkiem i nie wydaje mu się to pocieszające. Krążą wokół niego, poza zasięgiem ciosów. Trochę żałuje,

że nie ma spluwy. Z drugiej strony dobrze, że i oni nie mają. Nie ma tego złego... Atakują równocześnie, płynnie, bez żadnego sygnału, bez słowa – są dobrzy. Kiedy już leży, kopią, na zimno, bez zaciekleści. Zasłania twarz, łokciami żebra, zwija się. Nie trwa to długo. Przez cały czas próbuje zobaczyć ich twarze. Nie udaje mu się.

Mimo że odeszli, Steffen wciąż wyczuwa czyjąś obecność. Z głębokiego cienia wyłania się embrionalna postać Jurgena Stilla, mistrza obserwacji, „Chodzącego po trupach”. Kto go tak nazwał – zastanawia się przez chwilę Horgath. Chyba Dvoyatchny z okazji jakiegoś pechowego śledztwa. Informacje Stilla wiodły wówczas od trupa do trupa – łańcuszek nieszczęścia wydawał się nieskończony. Była nawet hipoteza, że to sam Jurgen Still wyprawia te wszystkie nieszczęsne istoty na tamten świat. Oczywiście, niepotwierdzona.

– Co ty tu... – nagle zrozumiał. – Więc to był on?

Still potwierdza bez słowa. Ta jego pierdolona zasada nieingerencji. Więc to był on. Ale dlaczego?

– Kończę z tym – mówi Jurgen Still.

– Wiesz, że mogę cię...

– Kończę z tym – powtarza.

– O co tu chodzi, Jurgen? Namierzyłeś Monikę?

– Handel płytami. Płyty ze śmiercią, Steffen. Widziałeś już takie. Opatrzone programem antykopiującym. Liczą się tylko oryginały. W Przejściu kwitnie handel. A nasz pan Mizersky jest być może źródłem wycieku.

– Mizersky?

– Bolo Mizersky. Szczurek. Kochanek tej twojej dziwki. Technik od monitoringu pracujący w WYJŚCIU.

– Co ma z tym wspólnego Peter Nagy?

– Wyglądasz jak gówno. Może rozprowadzał płytki? Nie wiem.

– A Monika?

– Rozpłynęła się jak mgła. Może wcale jej nie było?

– Dlaczego ja? – Steffen wstaje z trudem.

– Myślę, że to miałem być ja. Chłopcy wyczuli, że ktoś depcze im po piętach.

– A ty wyczułeś, że wyczuli. I po mordzie ja dostałem...

– Jest gorzej, Horgath.

– Dużo gorzej?
– Widziałem pana Schulza.
– Tego Schulza.
– Tego. Kręci się wokół handlarzy. Namierza ich. Te wycieki nie podobają się Małemu Buddzie.
– A czy pan Schulz widział ciebie? – Steffen pluje krwią.
– Mam nadzieję, że nie.
– Znasz adres tego gówniarza?
– Oficjalny tak. Ale on tam nie bywa. Mety nie namierzyłem.
– Masz zdjęcie tego Schulza?
– Nie. On mnie niepokoi. To twardy skurwysyn. I pamiętliwy. Kończę z tym.

– Płyta ci się zacięła.

– Kończę.

– Jeszcze tylko...

– Nic z tego.

Nic z tego, przemyka przez myśl Steffenowi. Nic z tego.

Nobody wciąż stoi przy tym śmietniku i patrzy na niego jakoś tak dziwnie. Jakby czegoś oczekiwał. W dłoni dzierży płytę, która jest oskarżeniem. Musiał ją ukraść, wtedy, w hotelu.

– Strasznie zarosłeś – mówi Nobody. – Myślałem, że nie lubisz brody.

Tajniacy przeszukują go płynnie. Wyłuskują portfel, jakieś klucze.

– A to co? – pyta nagle jeden z nich.

Trzyma niewielki przedmiot. Horgathowi przemyka przez myśl, że znów w coś go wrabiają, jak wtedy, z tymi trefnymi narkotykami. Ale nie, tym razem zrobił się sam.

– Wygląda jak kolczyk.

– Specyficzny.

– Są na nim ślady krwi...

Tak. Rzeczywistość składa się ze szczegółów. Jest jak impresjonistyczny obraz – gmatwanina barw, ciapki, kropki, niedbałe pociągnięcia pędzlem, ale gdzieś na dnie tego wszystkiego kryje się sens. Trzeba tylko uzyskać odpowiednią perspektywę.

– Pytałeś kiedyś, Steffen, kto cię zrobił w to gówno z narkotykami, pamiętasz? – mówi powoli Nobody.

To się nie może tak skończyć. Nie teraz, gdy był o krok od rozwiązania. Nie teraz.

– To byłem ja...

Steffen wyrywa się tajniakom. W rękach pozostaje im tylko płaszcz. I biegnie, biegnie jak maszyna. Będą strzelać. Nie. Nawet go nie ścigają. Dlaczego Nobody pozwala mu uciec? Dlaczego jest mu to na rękę? Ta stara historia z narkotykami...

– Zrobiłem to dla ciebie. I dla siebie. – Nobody gnie w dłoniach płytę, bierze od tajniaka kolczyk i wrzuca to wszystko do kosza na śmieci.

– Nie było tu nas? – pyta jeden z łapsów, spokojnie.

– Nie było – odpowiada Nobody. Patrzy za oddalającą się sylwetką Hogharta. Patrzy ze smutkiem.

Patrzy na zegarek. Umówili się ze Stillem na codzienne telefony w okolicach dwudziestej. Już czas. Wykręca numer na starym cyferblacie w budce telefonicznej. Przez dłuższy czas tylko cisza.

– To ty? – Głos Stilla nieco przytłumiony, w tle pobrzmiwa dziwna muzyka.

– Ja.

– Masz niezłe wyczucie czasu. Namierzyłem kolesia.

– Gdzie? Jest z nim dziewczyna?

– Nie. W tej knajpie, o której mówiłeś. W tym Przejściu.

– Zaraz tam będę.

Rzeczywiście, nie mija kwadrans, a już jest w Przejściu. Znow ta dziwna muzyka, atmosfera schyłkowości. Ludzi jest więcej niż zwykle – piątek. Rozgląda się wokół – nie ma Wergiliusza. Nie widzi też Szczura, ani Stilla. Zastanawia się, czy nie zadzwonić raz jeszcze. Póki co, zamawia drinka, którego nazwy woli nie znać. Ale nie było mu dane go wypić. Widzi nagle Stilla dyskretnie gestykulującego. Obraca się i dostrzega ruch przy wyjściu – dwóch facetów: jeden niski (mógłby być Szczurem), drugi znacznie wyższy wychodzą z knajpy. Widzi tylko ich plecy. Zwraca się znow ku Stillowi, szukając potwierdzenia, ale już go nie ma.

Rusza za mężczyznami. Kierują się w zaułki na zapleczu knajpy. Idzie za nimi. Robi się ciemno, ale wciąż słyszy ich kroki. Gdzie jest Still? Nagle kroki milkną. Steffen, jakby pchany siłą inercji, wciąż posuwa się naprzód. Pierwszy cios ląduje na jego twarzy, zahaczając o prawy policzek.

Przygląda się swojej twarzy w lustrze. Kiełkujące zmarszczki, wory pod oczami, zatoki łysiny wrzynające się ostro, może nawet brawurowo w terytorium włosów. Oczy, jakieś takie płytkie, wodniste, niebieskie. Rozwodniony błękit płynnie przechodzący w biel. Zaniedbany czterdziestolatek po przejściach. Przejściach?

Pociera się po szczęce – kilkuniedniowy zarost, gdzieś tam naznaczony siwizną. Nie znosi brody. Ale ją nosi.

– To dla ciebie, Aniu.

– To dla pana – facet, który przedstawił się jako Miller (doktor Miller – poprawił się zaraz) podaje Hoghartowi jakieś formularze. Wygląda dość idiotycznie – wszystko wydaje się w nim nie takie jak trzeba; napawa to Steffena irracjonalnym poczuciem wstrętu. Ma nieproporcjonalnie długie kończyny, a przy tym jest niski. Jest jak skoczek wzwyż skaczący regularnie pod poprzeczką. No i kitel olśniewający nieskazitelną bielą. Zęby równe jak blat stołu – i jeszcze iluminujące przy każdym szerszym uśmiechu. A uśmiecha się, niestety, często.

– To rodzaj psychologicznego testu. Ma pan sto dwadzieścia minut na udzielenie odpowiedzi. – Tak właśnie powiedział. „Sto dwadzieścia minut”. Nie dwie godziny. – Nie musi się pan spieszyć.

Więc nie spieszy się. Zna tego typu testy – przechodził jako policjant szkolenie z psychologii i psychiatrii klinicznej. Jediną nietypowością są elektrody podłączone do jego ciała – przypomina to trochę Niewiernego Tomasza (tak chrzcili aparaturę do wykrywania kłamstw). Działa pewnie na podobnej zasadzie – ma rejestrować jego reakcje emocjonalne, wzrost tętna itd. Kiedyś bawili się z Nobodým i Dvoyatchnym – kto zdoła oszukać Niewiernego Tomasza. Doszli nawet do pewnej wprawy.

Udziela konwencjonalnych odpowiedzi. Aż przechodzi do etapu pytań opisowych. Przedstawiona tu jest (hipotetyczna, jak zaznacza autor tekstu) sytuacja – Steffen ma natomiast określić swoją reakcję na nią. W miarę czytania, odczuwa coraz mocniejsze pulsowanie krwi. Jest to bowiem opis historii jego i Anny (oczywiście imiona są inne). Jej tendencje samobójcze i jego usiłowania ładotwórcze. Odtworzone jest to wszystko w miarę dokładnie, choć z chłodnym dystansem – jakby entomolog opisywał obyczaje panujące w mrowisku. Próbuje się opanować.

– Coś nie tak? – słyszy głos nad głową. – Zerknąłem w odczyty i... pańskie reakcje...

Doktor Miller pochyla się nad nim z troską. Horgath ma ogromną ochotę ukreć mu łeb.

– To pytanie...

– Tak?

– Ono jest...

– Słucham, słucham...

– Jest... – Steffen zaciska pięści.

– Ma charakter opisowy, otwarty. Interesuje nas pańska...

– Człowieku...

– Przyznam się panu do czegoś, panie Horgath. Widzi pan, ja jeszcze nie mam tego doktoratu... – Miller rumieni się ze wstydu. – To pytanie skonstruowałem na własną rękę. Podsuwam podobne niektórym badaniom, kierując się wiedzą zdobytą przez Pomocników podczas sesji z naszymi pacjentami... Wiem, że to drastyczne, ale zarazem bezcenne dla nauki. Pańskie reakcje psychosomatyczne...

– Człowieku...

– W porządku, pańskie reakcje są w normie, panie Horgath – mówi nagle Miller zupełnie innym tonem. – Oczywiście jestem doktorem. Zainscenizowana przed chwilą sytuacja była integralnym elementem testu. Proszę docenić jego złożoność, panie Horgath – Miller zaciera ręce. – Test w teście, który jest testem.

– Ja... Ja chciałbym... Nie, ja muszę spotkać się z Gordianem...

– Test w teście – powtarza Miller. Spodobała mu się ta fraza. – To mało prawdopodobne.

Miller przypatruje się Steffenowi, jakby ten był muchą, która próbuje wzlecieć mimo, że mały doktorek dawno poobrywał jej skrzydełka. Bowiem doktor Miller leczył muchy i ćmy z latania.

To utwór „Nauka latania”, ulubiona melodyjka Stilla. Więc musi być tam, za drzwiami. W każdym razie jest tam jego telefon. Steffen wchodzi do mieszkania Mizersky’ego. Żadnych oznak życia. Światło rozbłyska automatycznie dobywając szczegóły z ciemności. Przedpokój wąski jak gardło. Horgath zamiera na moment – ale to tylko lustro. Wygląda strasznie, siwiejąca broda okala mu twarz, zniszczoną, pooraną zwątpieniem.

Posuwa się dalej, ostrożnie. Kuchnia. Dwa pokoje.

Po co on, kurwa, tu wlaźł – myśli Steffen. Miał poczekać. Poczekać. Wchodzi do pierwszego pokoju. Jest splądrowany. Sprzęty, fotografie,

ciuchy walają się po podłodze. Wypatroszone szuflady zieją pustką. Jest coś dziwnego w tym mieszkaniu. Ta biel ścian, niemal oślepiająca. Oznajmiająca? Horgath był już w takich mieszkaniach. Drugi pokój.

Wychodzi na korytarz. Drugi pokój. Dzwoni raz jeszcze na komórkę Jurgena. Melodia dochodzi stamtąd. Drugi pokój. Kurwa. Drugi pokój.

Tu z kolei panuje porządek. Byłoby nawet całkiem normalnie (holowizor, kilka książek na półce, usychający filodendron albo fikus), gdyby nie Jurgen Still leżący na podłodze. Właściwie wpośsiedzi, oparty o łóżko i wpatrzony w okno bez firanek. Nic nie zasłania mu nieba, które jest białe. Białe.

Dłonie ma splecione na brzuchu. Dziś przypomina cholerny płód bardziej niż zwykle. Dużo bardziej. Steffen ma ochotę zapytać go, dlaczego do diabła nie odbiera, ale coś go powstrzymuje. Powoli zbliża się do Stilla. Widzi krew leniwie przesączającą się przez jego dłonie. Pochyliła się – wciąż żyje. Ale nie zostało mu wiele czasu.

Still coś mamrocze. Horgath pochyliła się jeszcze bardziej, czuje na policzku słaby oddech Jurgena.

- Ostatnie... życzenie... – szepce Still.
- Po co tu wchodziłeś? Po jakiego...
- Ostatnie życzenie.
- Kto cię tak...
- ... życzenie...
- Jakie masz ostatnie życzenie?

Ale Jurgen Still już nie odpowiada. Steffen wstaje i rozgląda się po mieszkaniu. Dokładnie splądrowane – ktoś znalazł, czego szukał. Najpewniej płyty. Pod stołem leżą jakieś kartki. Steffen podnosi je i przegląda. Jedną z nich jest wizytówka Petera Nagy'ego, onkologa. To by się zgadzało. Razem handlowali płytami. Albo Nagy był klientem.

Patrzy na trupa.

- Tak. Byłeś tylko kapusiem, Jurgen.

Nawiedza go idiotyczna myśl, by wymyślić jakieś epitafium. Tu leży Jurgen Still, Skarpetą zwany – zaczynałoby się. Skarpetą zwany...

Znów nachyla się nad ciałem, obmacuje nogę.

- No jak tam, Still? Zostawiłeś jakiś testament?

Znajduje dwa papierosy, niemiłosiernie wyjęte. Jednego przypala. Ale jest coś jeszcze. Fotografia. Przedstawia barczystego mężczyznę w średnim

wieku, o dość ponurym wejrzeniu.

– Pan Schulz, zdaje się? – I rozpoznaje go. Już się spotkali. Znacząco pociera szczękę. Horgath wraca do szacowania miejsca zbrodni. Jak za dawnych czasów.

Bramkarz bez szacunku szacuje wygląd Steffena. Wygląda jak gigantyczny pudel pozbawiony sierści. W jego spojrzeniu jest niechęć. Nie, to nie niechęć, to dopiero zapowiedź niechęci. Jakby udzielał kredytu – niechęć swą na razie wekslując. Ale ona może wrócić. One zawsze wracają. Przepuszcza bez słowa. Przejście – cóż to za nazwa dla lokalu. Może ma symbolizować graniczność położenia knajpy? Linia demarkacyjna między niebem a piekłem. Wejście do mrocznej Doliny istotnie ma w sobie coś z piekłożejścia. Stefen pomyślał, że za chwilę niechybnie spotka tutejszego Wergiliusza.

Rozgląda się – niewiele tu przestrzeni, ta co jest – tonie w półmroku. Steffen docenia subtelność środków wyrazu – dyskretność oświetlenia, dobre rozmieszczenie lamp i reflektorków, światło filtrowane na różne sposoby. Na ścianach wiszą obrazy, rozmieszczone dość symetrycznie, dużych rozmiarów, niemal przykrywające ściany. Giną jednak w mroku – niewiele widać, poza majaczącymi na nich cieniami. Przyjrzy im się – innym razem.

W skąpą przestrzeń pompowana jest muzyka – subtelna, lecz wszechobecna jak powietrze. Horgath nie zna się na muzyce – ale ta wydaje mu się transowa, jest jak bokser, który nauczył się wyłącznie sztuki uników; nie atakuje bezpośrednio, zawsze schodzi z linii ciosu. Sączy się gdzieś na granicy podświadomości, jej nieokreśloność nigdy nie przechodzi w określoność. Wydaje się Steffenowi trudna do zniesienia, choć prawie jej nie ma. Porównanie do powietrza wydaje mu się teraz podwójnie uzasadnione – wszak powietrze bywa smrodliwe: taka też jest ta muzyka.

Podchodzi do baru. Nad barem wisi witraż o dość skomplikowanej strukturze układający się w logo coca-coli. Jest w tym absurdalny dysonans – połączenie subtelności z kiczem.

Barmanka patrzy na niego bez zainteresowania, jej wzrok zdaje się mieć właściwości przenikliwe – jakby obserwowała nie Steffena, a, powiedzmy, stolik stojący za nim. Przypomina pekińczyka po nie do końca udanej operacji plastycznej – kynologiczne porównania jakoś narzucają się Horghatowi.

Nad jej głową na ścianie jarzy się seledynowo napis „Najlepsze WYJŚCIE”. Dlaczego nie wejście – zastanawia się przez chwilę Steffen. Owo WYJŚCIE jest seledynowo wytłuszczone. Pod napisem, jak jakieś makabryczne logo, widnieje gigantyczne ucho.

– Specyficzną muzykę tu serwujecie – zagaduje Horgath.

– To zespół „Zapach śmierci”. Nie słyszał pan? – barmanka odzywa się piskliwie – tak właśnie pekińczyk musi wyć w stronę obojętnego księżyca w przypiływie niewysłowionego żalu.

– Nie, ale kiedyś poczułem.

Ma na końcu języka wątle dowcipy o zespole „Widok na padlinę”, ale coś go powstrzymuje. Nie decyduje się też, by pokazać jej fotografię Anny. Zamiast tego zamawia drinka, decyzję o jego zawartości cedując na barmankę.

Przez chwilę zastanawia się nad nazwami tutejszych drinków – „Waniliowa Zgnilizna”, „Zmartwiona Martwica”, „Pocałunek śmierdzi”.

Czuje się niezręcznie przy barze, pod rentgenowskim spojrzeniem barmanki. Rozgląda się zatem bezradnie wokół – dopiero teraz dostrzega, że wszystkie stoliki są zajęte, co wydaje mu się dziwne, sprzeczne z nastrojem intymności, z tą sączącą się pustą muzyką wypełniającą przestrzeń.

Zarazem obserwuje klientów – wychodzi z tego specyficzna mieszanina; wschód miesza się z zachodem, dając zachodni wschód. Lub wschodni zachód. Da się odróżnić subtelności – ludzie z „lepszych” dzielnic upozorowani są tylko na mieszkańców Doliny. Próbują się, nieudolnie, wtopić, zlać w jedno z otoczeniem, co nie jest możliwe. Noszą się z nonszalancją, ale jest w nich jakaś jasność, biel wręcz, zdrowe cery, równe zęby. Genetyczne certyfikaty żywotności – nikt nie zejdzie przed osiemdziesiątką, chyba, że na własne życzenie. Są podekscytowani – palą papierosy z jakąś ostentacją. Ich głosy oscylują na pełnym spektrum skali – od gwałtownych wyniesień, po całkowite wyciszenia. Uciszą się nawzajem, jakby w gwarnym ożywieniu było coś niestosownego – jakby w ten sposób się demaskowali. Obserwowali otoczenie w oczekiwaniu na co najmniej trzęsienie ziemi. Tymczasem sami też byli poddani obserwacji – mieszkańcy Doliny, gorzej ubrani, wtopieni w tło, nawet pachnący inaczej (dochodziło tu do istnej batalii woni) jakby szacowali zasoby obcych. Przy kilku stolikach towarzystwo wymieszało się –

w celach towarzyskich lub biznesowych. Nieufność, zdawkowo wymieniane słowa – pierwszy kontakt obcych cywilizacji. Czy przerodzi się w zażyłość? No i czym tu właściwie handlowano?

I jaka jest moja rola w tym wszystkim? – zastanawia się Horgath. Kim jestem?

– Trzydzieści cztery, trzy – Steffen słyszy nagle wyraźnie, tuż przy uchu męski głos. Dźwięk ów wydaje się Horgathowi znacznie bardziej rzeczywisty niż rzeczywistość. Otoczenie jakby zmalowało, wyblakło w porównaniu z tymi trzema wypowiedzianymi słowami, jakby Bóg je wypowiedział, albo jakby w tych liczbach mieścił się co najmniej kod wszechświata.

– Przepraszam? – Steffen nachyla się ku mężczyźnie siedzącemu najbliżej. Ten patrzy na niego, nieco zdziwiony. – Pan przed chwilą coś powiedział?

– Milczałem jak grób – odpowiada tamten. – Może zechce się pan przysiąść?

Steffen pomyślał, że spotkał swojego Wergiliusza.

Przysiada się; w tym samym momencie kątem oka wyłapuje szczególnie jaskrawy błysk białego światła – to żarówka jednego z reflektorków rozbłysła nagle, zapewne tuż przed ostatecznym wypaleniem. Ta żarówka jest jak umierająca gwiazda. I to białe światło – jak błysk, jak erupcja przypomnienia.

– Mam ci przypomnieć? – Steffen patrzy na Stilla z obrzydzeniem. Barman, wciąż w letargu, zdaje się niczego nie słuchać, niczym nie interesować. Zresztą Horgath nie zamierza mówić o konkretach. Wystarczą delikatne sugestie.

– Zmieniłeś się – mówi Still. – Dolina w końcu cię dopadła. Każdego dopada. I mieli. Ale ty wytrzymałeś długo.

– Stałeś się sentymentalny.

– Tak – Still uśmiecha się. Uśmiech jak szrama przecinająca jego nienaturalnie dużą twarz starego dziecka niemal na dwie symetryczne połowy. – Zmieniłeś się. Gdzie ten nienaganny garnitur? Te lśniące buty, gładkie policzki? Dolina cię dopadła. W końcu cię dopadła. Kim teraz jesteś, Steffen?

– Co wiesz o firmie eutanastycznej WYJŚCIE?

– Kim jesteś?

– Mam u ciebie dług. Mógłbym ci zniszczyć reputację w Dolinie. A bez Doliny jesteś nikim, Still...

– Powiedz to Nobody’emu – śmieje się.

– Muszę ci przypominać, Jurgen? Naprawdę muszę?

– Zmieniłeś się... Niewiele wiem. Trudno tam się dostać. Można wejść, ale na dobre. No, rozumiesz – wejść, wychodząc. A raczej schodząc. Nie wiem, czy to jest czysty interes, ale nikt niczego nigdy im nie udowodnił. Konsumenci, o ile można tę klientelę tak nazwać, nie wnoszą skarg, więc Federacja Konsumentów nie interweniuje. Dowiem się więcej. Jak mam się z tobą kontaktować?

– Nie mam komórki. Nie jestem usieciowiony.

– I pewnie płacisz gotówką. I zmieniasz adresy hoteli. Ciężko cię namierzyć – Still uśmiecha się paskudnie. – Skąd ja to znam?

– Ja będę do ciebie dzwonił

– Zmieniłeś się. To Dolina. Dolina każdego zmienia.

Biel wydaje się zmienna, wielopostaciowa, wieloodcieniowa i oczywiście zarazem wszechogarniająca – jakby świat roztopił się nagle i stał gigantycznym białym kozuchem. Chłopiec wpatruje się w mgłę, która wszystko ujednolica, zaciera szczegóły, a więc i różnice. Mgła łączy niebo z ziemią. Na moment, ale jednak.

– Steffen! Steffen! – słyszy. Chyba pora na obiad.

Ale nie wraca. Żarcie w stołówce jest podłe. Znów podejmie próbę tłumaczenia dzieciakom, że może być inaczej, normalnie. I znów nikt go nie zrozumie.

Tu jest inaczej – mgła jest tak regularna, tak prosta. Tak biała. Wydaje się wszystko pochłaniać i przerabiać na swą białą prostotę. Nawet dom dziecka za plecami Stefana rozpływa się, niknie. Tak, świat bez domu dziecka byłby prostszy, lepszy.

– Gorzej nie mógł pan wybrać – mówi taksówkarz. Ale jadą – na Trzecią ulicę, na wschód. Jądro ciemności – myśli Steffen. Wycieraczki rozmazują krople brudnego deszczu po szybie – jak maść przeciw zgniliznie. Gangrena – nasuwa się Horgathowi, im bardziej posuwają się na wschód. Kierowca musi omijać zwały śmieci – plastikowe opakowania wypełzają z porozrywanych worów, jakby żyły. I ta woń zepsutego mięsa.

– Nikt nie wywozi śmieci – mówi taksówkarz. – Dobrze, że nie świeci słońce. Wtedy by pan poczuł...

Mijają szkołę – pustą o tej porze. Opodal budynku z czerwonej cegły leży kilkumetrowej wysokości zwałowisko.

– Dzieciaki bawią się tu w chowanego – mówi taksówkarz. Zachowuje się, jakby oprowadzał wycieczkę.

Horgath milczy. Myśli o Monice.

– Wie pan, ktoś czasem podpała te śmieci. Dym z palących się odpadów śmierdzi nawet gorzej od gnijącego mięsa.

– Pośpiesz się pan.

Wreszcie dojeżdżają na Trzecią. Taksówka rozpryskuje kałuże mętnej deszczówki. Po zainkasowaniu należności ucieka z piskiem opon. Steffen rozgląda się wokół. Zaczyna się wieczór. Deszcz zacina obrzydliwie. Przez jakiś czas szuka adresu wskazanego przez Stilla. Budynki ponumerowane są stochastycznie, bez ładu i składu. Żaden klucz nie wydaje się wystarczający – że niby parzyste po prawej stronie ulicy, a nieparzyste po lewej. W końcu jednak odnajduje starą kamienicę pozbawioną balkonów. W niektórych oknach powybijane szyby. Na murach rasistowskie odzywki typu „MURZYNI DO GAZU” – białym fosforyzującym sprejem. Pod spodem było dopisane polemicznie: BIALI DO PIACHU.

– Przyjemna okolica – mówi do siebie Steffen. Nic o Żydach. Mało Arabów w okolicy?

Szuka telefonu. W końcu znajduje starą budkę telefoniczną – z wytłuczonymi szybami oczywiście. Może ludzie dzwoniąc tu, potrzebują napływów świeżego powietrza? Wykręca numer, bez żadnego efektu. W końcu dostrzega, że słuchawka ma urwany kabel.

– Kurwa – klnie Horgath, ale jakoś bez złości, bez energii. Czuje się coraz bardziej zmęczony.

Niewielu ludzi na ulicy, przemykają jak cienie, które zaraz rozwieją się w niebycie.

Co robić? Iść tam? Nie iść?

Dostrzega jakiegoś gówniarza wystrojonego na Whiteheada – naga czaszka, w okolicach czoła wytatuowana swastyka. Ma komórkę, z której korzysta. Steffen zachodzi go od tyłu – gra w popularną w pewnych kręgach grę interaktywną „Kto Żyda wyda”.

– Mógłbym skorzystać? – pyta Horgath.

– Chcesz zagrać? – odpowiada pytaniem gówniarz, nie odrywając wzroku od ekranu komórki.

– Zadzwoń. Zapłacę.

Płaci. I dzwoni. Nic.

– Wiesz co, kupię od ciebie tę komórkę.

Sporo przepłaca. Zostały mu już tylko pieniądze na cel ostateczny. Cel ostateczny – sam to tak, nieco pompatycznie, nazywa w myślach.

Dzwoni raz po raz. Sygnał. W końcu idzie pod adres owego Mizersky'ego. Klatka schodowa śmierdzi wilgocią. Jego kroki rezonują, jakby znajdował się w pudle akustycznym. Drugie piętro. Wspina się powoli. Czy Mizersky jest u siebie? Dobrze, że zabrał ze sobą dekodery. Jest. Stare drzwi, kiedyś mogły być obłożone zieloną farbą – teraz są to wyspy pośród barw nieokreślonych, katalogami nieujętych.

Raz jeszcze dzwoni do Jurgena. I Zamiera. Słyszy sygnał jego komórki – dochodzi zza drzwi. Bez zastanowienia („dlaczego wciąż nie mam gnata?” – myśli) naciska na klamkę. Drzwi ustępują. Czuje się jak we śnie.

Nie wie, czy się budzi czy zasypia. Może śni, że się budzi? Wokół ruch, zgiełk, stłumiony, sączony przez watę ciszy. Dominuje sterylna biel, kłująca w oczy. Jakby pomieszczenie opanowała zima – pobieliała ściany, skuła wszystko ciepłym mrozem.

– Trzydzieści cztery stopnie – słyszy głos, nomen omen ciepły. – I opada...

Gdzie jest. Kim jest.

Jakiś człowiek pochyla się nad nim. Jego twarz jest rozmazana, nie da się rozpoznać rysów. Bada? Rozszerza źrenice? Lekarz? Ratuje życie. Czyżby umierał? Dlaczego nic nie czuje? Nic. Ciała, rąk, palców. Ale wciąż myśli, że jest. Wciąż jest. Z białego tła wyodrębnia się, jakby z trudem, jakby niechętnie, jeszcze jedna postać. Coś robi. Co to za czynność? Filmuje? W jakim celu.

Nagle odpływa. Czuje, jakby rzeczywiście płynął – mocarne zamachy zagarniają wodę... wodę? Nie, to chyba nie woda. To gęsta pamięć.

Śni mu się dzieciństwo – jakieś niepowiązane sceny z domu dziecka; szamotaniny, zabawy, bójki. Rozczarowania, pierwsza miłość, zaborcza i niespełniona. Był dzieckiem zawłaszczającym i porzucającym – był jak mała fabryka absolutu. Próbował wszystko zawłaszczyć i przerobić na swoją modłę; czego zaś nie potrafił strawić, rozpuścić i przekonstruować, to porzucał, zostawiał poza kręgiem swej percepcji. W jakimś sensie tak właśnie działa ludzki umysł – upraszcza, rekonstruuje

rzeczywistość, unieruchamia ją; a to, co zostaje – ekspediuje gdzieś poza obręb swego pojmowania; tego właściwie nie ma, znika, staje się niebytem, pustką. Dzięki temu, ludzie mogą w ogóle funkcjonować w świecie, lecz jest to świat kaleki, świat-garbus, świat w stop-klatce, świat sfalszowany. Ze Steffenem było podobnie, tylko mocniej – próbował zmienić magmę domu dziecka w świat uproszczony, „normalny”. Te dzieci, które poddawały się jego zabiegom, stawały się częścią jego rzeczywistości; innych nie dostrzegał, traktował jak powietrze. Był jak kaleki demiurg – kreował nieistniejącą rzeczywistość, rzeczywistość prywatną.

Nagle coś wyrывa Steffena ze snu – jakiś głuchy pogłos rwący watę ciszy na strzępy. Ktoś dobija się do drzwi – sądząc po nieregularnej niecierpliwości, czynił to od jakiegoś czasu. Horgath zrywa się z łóżka, za szybko jednak, ból głowy, ostry i – nie wiedzieć czemu – biały, przenikliwy jak mróz, wstrzymuje jego ciało w ruchu, Steffen nieruchomieje jak głaz, jak posąg. Kac to rzeźbiarz o poranku – myśli sobie Horgath.

Po podłodze toczą się puste puszki po piwie, ślady po wczorajszej walce z wiadomą hydrą, przegranej walce. Pukanie nasila się jeszcze – ktoś po drugiej stronie usłyszał Steffena. Ten powoli, jakby dostojnie, wprawia się w ruch. Jest pierwszym poruszycielem samego siebie. Po drodze mija lustro – dziesięciodniowy zarost poprzetykany siwizną zadomowił się na jego twarzy.

Zastanawia się przez chwilę, czy nie pochować płyt, rezygnuje jednak z tego pomysłu.

Otwiera.

Oto człowiek bardziej wymięty ode mnie – myśli na widok inspektora Josefa Nobody.

– Jak mnie tu znalazłeś?

Nobody, w tym swoim wiecznym prochowcu wyjętym z gardła jakiegoś owczarka alzackiego i kapeluszu nasuniętym na oczy, przechodzi bez słowa obok Steffena. Jest sam.

– Ale nora... – zapala papierosa, nie częstując Horgatha.

Przez dłuższą chwilę milczą, nie patrząc na siebie.

– Mówiłem, żebyś tego nie robił, Steffen – odzywa się wreszcie Nobody.

– Czego?

– Nie rób ze mnie dumia. Pamiętasz sprawę Morena?

Steffen krzywi się. Pamięta.

– Morderstwo żony, właściwie banał... Tyle, że w żaden sposób nie można było faceta z tym powiązać. W żaden... I nagle odnajdują się dowody. Cudownym sposobem, pamiętasz? Odciski palców... Facet był tęgim skurwysynem, miał intelekt jak pieprzony Dostojewski w momencie pisania „Zbrodni i kary”. I taki dumny błąd...

– On to zrobił, Jos. Wiesz o tym.

– Taaa... Albo ten drugi, ten od podtruwania... Sprawa o ubezpieczenia... nie pamiętam nazwiska. Jakoś na W... Podobna historia. Niepokalane poczęcie dowodów, cudowne odnalezienie, tuż przed definitywnym zamknięciem śledztwa... To właściwie zabawne. Wydział wewnętrzny zaczął nam patrzeć na ręce. Wiesz, Steffen, produkcja dowodów się zdarza. Ale chałupniczo, nie na skalę przemysłową! – Nobody traci na moment spokój. Na moment. – Ktoś stracił opanowanie, zachował się nerwowo, bo brał nadgodziny, no i odstrzelił komuś rzepkę kolanową albo głowę. W naszym fachu to się zdarza. Ma na utrzymaniu rodzinę, przygotowuje strzelaninę. To jestem w stanie zrozumieć. Ale tamte sprawy... to była produkcja sensu. Zabawa w Pana Boga. Zostały ci jakieś browary?

– Kac?

– Nie zmieniaj tematu! Kac, kurwa, kac. Porównywalny z twoim. Widzisz do czego mnie zmuszasz. Muszę się ruszać o tej porze, a nie powinienem. Każdy ruch to niewypowiedziane męki, to rwanie nerwów na strzępy... A monopolowy zamknięty z powodu choroby personelu.

– Jaka choroba mogła powalić personel monopolowego?

– Tak – wzdycha ciężko Nobody. – Tak, wszystko sprowadza się do kaca...

– Życie jest jak kac. Czyściec jest jak bardzo długi kac.

– Co ty pieprzysz, Steffen? – irytuje się nagle Nobody, ale irytacja okazuje się bolesna, krzywi się i macha, zrezygnowany, ręką.

– Kac jest częścią ekonomii istnienia – Nobody patrzy na Horgatha jak na stokrotkę kielkującą właśnie na Pustyni Gobi. – Kac jest konieczny. Bez kaca, pijaństwo nie miałyby sensu. To... rodzaj teodycei. Właśnie obroniłem pana Boga przed zarzutem istnienia kaca. Jestem św. Augustynem alkoholików.

– Masz to piwo, czy nie masz?

– Nie mam.

Nobody jest nieszczęśliwy i to nieszczęśliwy fundamentalnie.

– Słyszałem, że znów skumałeś się ze Skarpetą...

– Skarpetą?

– Jurgenem. No, Stille, nie udawaj idioty.

– Skąd te informacje?

– Nieważne. Jestem tu niemal służbowo.

– Niemal?

– No, prawie.

Nobody ciężko siada na hotelowym łóżku, wyciąga spod tyłka jedną z płyt i ogląda ją bezmyślnie.

– Gdzie tu mogą sprzedawać jakieś piwo... – nagle zmienia temat. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Peterze Nagym.

– Peter Nagy... Peter Nagy...

– Kiedyś byłeś lepszym aktorem.

– Dlaczego o niego pytasz?

– Patrz, jakie to wszystko dziwne, Steffen – Nobody strząsa popiół na podłogę. – Jakiś czas temu nie chciałem z tobą rozmawiać o Nagym. Teraz ty nie chcesz.

Zachowują się, jak aktorzy, którzy odgrywają starą, zapomnianą i w sumie nudną sztukę. Obaj uczestniczyli w takich sytuacjach dziesiątki razy i obaj o tym wiedzą. Mimo to brną w to bagno konwenansów i udawań, jakby coś ich zamknęło w pułapce nieustannej powtarzalności. Stanowią razem rodzaj obyczajowego perpetuum mobile – w każdej chwili samowzbudne i gotowe odgrywać scenę rutynowych podejrzliwych pytań, przetykanych zdziwionymi minami i kłopotliwym milczeniem. A refrenem do tego wszystkiego był im kac, czyniący to wszystko podwójnie nieznośnym.

– To masz to piwo?

– Co z tym Nagym?

– Cholera, gotów jestem za nie zapłacić... Nie żyje.

– I?

– Może źle zadałem pytanie? – Nobody rozdeptuje niedopałek na podłodze. – Może masz jakiś inny rodzaj alkoholu? Te puszki trochę mnie zasugerowały. Nawet koniak przełknę...

– Nic z tego.

– No i przypomniałem sobie, że mnie o niego pytałeś. Lodówka jest pusta? – upewnia się Nobody.

– Pusta.

– Pamiętasz, ten onkolog. To on wystawił, rzekomo lipną, diagnozę twojej dziewczynie... Suszy mnie jak diabli. Może jakiś soczek?

– Nic.

– Ta twoja legendarna gościnność... No więc odwiedzasz mnie, pytasz o gościa, a jakiś czas potem sąsiadka znajduje go powieszzonego.

– Powiesił się biedak? – Horgath próbuje uniknąć lekkiego tonu, ale jakoś nie może. Na kacu wszystko osiąga lekkość puchu, wydaje się irracjonalnie nieistotne i odległe jak mgławice. Białe mgławice.

– No, wisiał. Ale czy się powiesił? Mieszkanie miał splądrowane, oznaki pobicia, ktoś nad nim trochę popracował. Nie ty?

– Nie.

– Tak tylko pytam. Niebawem sprawdzimy odciski palców, chłopaki z laboratorium mówią, że jest ich trochę. Z drugiej strony, jeśli miało to być upozorowanie samobójstwa, to chyba najbardziej nieudolne, jakie widziałem...

Nobody wstaje ciężko i rusza w stronę drzwi. Przed wyjściem, nie odwracając się, rzuca:

– Mam nadzieję, że twoich odcisków tam nie będzie, Steffen.

– Jos?

– Tak?

– Pamiętasz oczywiście w jakich okolicznościach wyrzucili mnie z pracy? Wiesz, że nie byłem żadnym pieprzonym dilerem. Kto mi podrzucił to gówno?

Przez chwilę patrzą na siebie bez słowa. Nobody odwraca się, ale znów zatrzymuje go głos Hogartha:

– Druga ulica w prawo. Sklep całodobowy.

Wychodzi.

Steffen otwiera lodówkę i wyjmuje piwo.

Próbuje wejść do środka. Rozgląda się dyskretnie – czy nie ma gdzieś poukrywanych kamer monitorujących; teraz to gówno poutykane jest wszędzie. Samoobszerwująca się rzeczywistość. Kamera skierowana na kamerę. Optymistycznie zakłada, że nie ma, każdym razem na pierwszy

rzut oka nic na to nie wskazuje. Wkłada rękawiczki. Szybko instaluje dekoder przy elektronicznym zamku – pozostałości po dawnym wyposażeniu policyjnym. Na drzwiach tabliczka – „Dr Peter Nagy – onkolog specjalista”. Byleby sąsiedzi... Horgath zdobył ten adres od Jajogłowego, policyjnego informatyka. Stare długi. Musi jeszcze dorwać Jurgena Stilla, dawnego kapusia. Koniecznie musi.

Dekoder wyraźnie się męczy – sprzęt starej generacji, tymczasem komplikacja szyfrów rośnie wykładniczo. Wydaje z siebie elektroniczne szумы oraz zawodzenia.

Nie zawodzi jednak. Drzwi otwierają się z dźwiękiem odmykanej hermetycznie zamkniętej puszkii. Steffen wślizguje się do mieszkania. Pierwsze, co go uderza to zapach – szpitalny, ale jakby nie do końca. Lekarze noszą ze sobą te aseptyczne wonie jak kwiaty w butonierce. Są nierozłączni – zapachy i lekarze. Czasem wydaje się, że to lekarze podążają za własnymi woniami. Ale ten smród tutaj wydaje się oryginalny. Znać nieudolne usiłowania rozcieńczające – jakieś środki zapachowe, kwietne wonie, wywary z pokrzyw. Wszystko to pożenione z zapachem dominującym daje efekt dziwaczny.

Steffen rozpoczyna lustrację od lodówki – to taki stary jego nawyk z policyjnych czasów. Lodówka opowiada o człowieku – zwykły mawiać sentencjonalnie. Gdy ją otwiera z wnętrza bije biały, przenikliwy brzask, mroźny blask, sączący się w przestrzeń kuchni, jakby rozświetlający cząsteczki powietrza. Przechylenie zaraża się tym światłem, dając lokalny efekt kuchennej zorzy. Horgath bada zawartość lodówki. Jest polska wódka, trochę konserw. W śmieciach znajduje jeszcze dwie puste butelki.

– Sposób na stres – mówi do siebie półgłosem.

Uznaje, że nie ma czasu na subtelności – dyżur Nagy’ego kończył się za pół godziny, czyli on sam będzie tu za godzinę, chyba, że ma limuzynę latającą.

Przetrzęsa gabinet i czyni to z mechaniczną zawziętością – metodycznie, dokładnie wytrzęsa zawartość szuflad czarnego biurka. Tam odnajduje płyty. Odpala komputer – wrzuca jedną z nich; patrzy jednym okiem na film, strącając w tym samym czasie książki z półek. Strząsa je jak szmaty, z niektórych wypadają jakieś kartki, z innych banknoty. Wypadają też blankiety chorobowe i zdjęcia rentgenowskie – bez nazwisk. Dopiero

po jakimś czasie uświadamia sobie, co jest na filmie. Zamiera i patrzy na śmierć.

– Skurwysyn... – cedzi przez zęby. Wie już, że obejrzy wszystkie, w poszukiwaniu tego jednego.

Słyszcy kroki rezonujące na klatce schodowej. Po chwili ktoś staje przed drzwiami wejściowymi. Dyżur zakończył się jednak wcześniej. Horgath wyłącza komputer, gasi światło i czeka. Mrok gęstnieje.

Fantomy reklamowe wydają się gęstnieć – koszmary w biały dzień. Im bliżej WYJŚCIA, tym ich więcej. Przed chwilą odezwało się do niego gigantyczne białe ucho: Słyszemy wasze prośby. Słyszemy wasze pragnienia.

Gadające ucho. Paradoks.

Steffen krąży wokół Szklanej Góry. Próbował dostać się do środka, ale zawsze kończyło się na sterylnym holu naszpikowanym kamerami. I na odźwiernym przypominającym żywego trupa, który beznamiętnie uświadamiał mu, że nie ma w tym budynku żadnego interesu.

Wciąż krąży, oszalały, z obłędem w oczach, jak poszukiwacz Świętego Graala, który dostrzegł kielich na wystawie w drogeryjnym sklepie. Ale z jakichś powodów nie może tam wejść – dzieli go od marzenia pancerna szyba i system alarmów.

Przechodzi obok taniej kafejki – jej okna wychodzą wprost na WYJŚCIE – co za widok! Kafejka nazywa się, nie wiedzieć czemu, „Przedmurze Chrześcijaństwa”. Być może właściciel oprotestował w ten sposób procedury odbywające się naprzeciw. Dawał odpór „cywilizacji śmierci”? Teraz nawet protesty opakowane są w folie i przewiązane kokardką. Wszystko ma wymiar handlowy, bunt można znakomicie sprzedać. Steffen zastanawia się przez chwilę, czy menu przypominają w knajpie biblie. Czy firmowa kawa nosi nazwę Korona Cierniowa albo jakoś podobnie. Nawet zamierza to sprawdzić, ale coś go powstrzymuje, szczególnie na granicy percepcji. Omiata wzrokiem przestrzeń, można by powiedzieć – słucha oczami. Wreszcie dostrzega przez szybę kafejki Monikę – siedzi przy stoliku z jakimś młodym, szczerowato wyglądającym mężczyzną. Oczywiście pali z tym swoim zwierzęcym wdziękiem. Rozmawiają o czymś, gwałtownie gestykulując.

Horgath zastanawia się przez moment, na czym właściwie polega owa „szczerowatość” jej rozmówcy. Dlaczego tak właśnie go sobie zdefiniował,

dookreślił, jakież to cechy o tym zdecydowały. To, że jest niski? Że wygląda na nieustannie czujnego, jakby naturalnym środowiskiem życia był mu skraj przepaści? Tak, był nieufny. Czy szczury bywają nieufne? To musiał być on...

Szczur.

Steffen wycofuje się dyskretnie, jak cień. Poczekaj aż wyjdą. Ten facet z opowieści Moniki bardzo go niepokoił. Trzeba się o nim czegoś dowiedzieć.

Obserwuje wyjście.

Steffen przypatruje się swojemu Wergiliuszowi – to określenie natychmiast przylgnęło do jego towarzysza jak druga skóra. Wie, że inaczej już nie będzie go nazywał. Na razie milczą. Wergiliusz sączy drinka utrzymanego w barwie zimnego błękitu. Horgath wymyśla nazwy dla napoju – Spokojna Śmierć, Błękitne Zejście, lecz szybko go to nudzi.

Wergiliusz jest mężczyzną tuż przed sześćdziesiątką, na pierwszy rzut oka. Zadbany, staromodnie ubrany, pod szyją apaszka, której kolorystyka koresponduje z barwą drinka. Wydaje się, że nic w tym człowieku nie jest przypadkowe – jakby scalał się z otoczeniem. Jest częścią knajpy – chodzącym elementem wystroju wnętrza. Gdy wychodzi na zewnątrz, staje się być może elementem elewacji.

– Co pan sądzi o tym lokalu? Mnie kojarzy się z odrealnionym obrazem, gdzie przedmioty tracą ostrość, rozplývają się, aż stają się tłem. To pejzaż składający się wyłącznie z tła, nie ma nic na pierwszym planie. A jeśli nawet coś jest, to zaciera się, traci kontury. Chciałbym kiedyś coś takiego namalować. Wie pan, trochę bawię się w malowanie... – Głos rozmówcy Steffena brzmi jak melorecytacja w rytm klimatycznej muzyki zespołu Zapach Śmierci.

– ...zmiany klimatyczne! – trajkocze gwiazdor pogody w holowizorze. Jego pogodny uśmiech kontrastuje z apokaliptycznymi przepowiedniami. – Temperatura 33,4 stopni Celsjusza...

Dziwne, zwykle podają w Fahrenheitach, pomyślał Steffen, nim wyłączył gadułę.

Leżą, milcząc. Steffen wpatrzony w sufit, po którym biegają bezładnie refleksy – to sygnały od miasta. Światła rzucane przez limuzyny latające, neony oznajmiające wiekopomność reklamowanego produktu. Znów

niewspółmierność – deklaracji i faktyczności: natychmiastowa przemijalność i obiecwana wieczność.

Monika ma zamknięte oczy, oddycha regularnie; chyba śpi. Jakiś czas temu powiedziała mu, że stanowi dla niej prawdziwe wyzwanie. Wziął to za dobrą monetę, za rodzaj komplementu.

Przed chwilą kochali się – ona być może nawet namiętnie, on – z lękiem. Najbardziej boi się tych chwil, gdy Monika przypomina mu Annę, nawet jakimś drobnym gestem albo frazą, uśmiechem, jękiem. Gdzieś na dnie świadomości obawia się, że z chwilą tego nagłego upodobnienia, tej interferencji losów, wszystko zacznie się od nowa, na mocy tajemnych determinacji – historia się powtórzy, a on znów będzie bezsilny. Choć wtedy wydawało mu się, że panuje nad sytuacją.

Niepokoi go to, co opowiadała Monika, kiedy się kochali. Mówiła o grach, niebezpiecznych grach, jakie uprawiała z pewnym młodym mężczyzną. Nie chciała zdradzić jego tożsamości i nie był to jeden z jej klientów. Gry polegały na inscenizacjach granicznych sytuacji – zrazu działało się to podług ustaleń, scenariuszy, które wspólnie układali. Był w tym wszystkim oczywisty podtekst seksualny, niesmaczne gierki sado-maso, trochę kontrolowanej przemocy. Steffen zastanawiał się, ile w jej opowieści jest prawdy, a ile fikcji, która miała ubarwić seks. Historia brała go, czuł, że dochodzi szybciej, niż powinien. A Monika – beznamiętnie (ta obojętność też go brała) – opowiadała dalej. Z czasem inscenizacje rozrastały się samoistnie, nabierały spontaniczności, niezbędnym okazał się element zaskoczenia. Gry przestawały być tylko grami, jakby ewoluowały, stapiały się w jedność z rzeczywistością, a wręcz rzeczywistość wypierały. Monika jęła bać się swojego partnera. Nazywała go „Szczurem”.

– Nie chodzi o to, że jest mały – mówiła. – I zachowuje się, jakby bezustannie węszył, czujny, w poszukiwaniu urojonych niebezpieczeństw. Chodź tak właśnie wygląda... – zaśmiała się krótko, ale nie było w tym śmiechu śladu wesołości. – On jest mistrzem dostosowania. Szczur. Jak z tej powieści Clavella – skrajne warunki byłyby mu rajem. Wtedy by się wybił, pokazał swoją przewagę nad resztą stawki. A tak...

– Czym się zajmuje? – zapytał wtedy Steffen i w tym samym momencie wytrysnął.

– Za wcześnie! – krzyknęła Monika.

– Za wcześniej na to – odzywa się wreszcie doktor Miller po dłuższej chwili gęstniejącego milczenia. - Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, czego właściwie żąda?

– Owszem. – Steffen jest zmęczony. Bardzo zmęczony.

– Pan chce się zobaczyć z prezesem Gordianem. – I znów, w głosie kolejnej osoby czuć coś na kształt respektu; właściwie jest to wzmożenie respektu do granic czci i metafizycznego lęku.

– Właśnie.

– Chwileczkę. – Miller gdzieś dzwoni i krótko referuje sytuację. Ale nie rozmawia z samym Bogiem, zbyt jest swobodny. To zdumiewa Horgatha jeszcze bardziej – nie ma bezpośredniego połączenia z Gordianem! Porozumiewa się z nim przez pośredników – to jak kręgi anielskie coraz bardziej zacieśniające się wokół Boga; zarazem odsiew niepotrzebnej informacji i zbędnych osobników pokroju Steffena.

Rzeczywiście, Miller przez chwilę czeka, jakby na odpowiedź. Rychło ją otrzymuje.

– Pan prezes pana przyjmie.

Steffen wyplątuje się z kabli i przyssawek. Idą białym korytarzem. Gdzieś, jakby z dali, dobiega ich stłumiona muzyka. Brzmi znajomo.

Znajomi zaczęli coraz rzadziej u nich bywać. Z Anną rzeczywiście było coraz gorzej, coraz bardziej oddalała się – jakby we wszystkich kierunkach jednocześnie; co oznaczało, że oddalała się od wszystkiego i wszystkich, najbardziej zaś od Steffena. Próbował uformować Annę, zrekonstruować ją, napełnić. Sprawić, by była normalna. Normalna, wedle jego definicji. Pragnął i nie pragnął, by stała się częścią jego rzeczywistości, by mógł ją zrozumieć, ustawić, nazwać. To rozchwianie napełniało go tępą rozpaczą. Zawsze chciał wiedzieć, gdzie i po co żyje. Miał naturalną tęsknotę za sensem i – jeśli go nie odnajdywał, to produkował. Być może nawet o tym nie wiedział, być może nawet by tego nie chciał. A może był to, jego zdaniem, jedyny możliwy sposób uratowania jej. Więc niemal jej nie opuszczał, stało się to możliwe tym bardziej po utracie pracy, nieustannie przekonywał ją o sensowności poszczególnych, nawet drobnych czynności. Walczył z tępą determinacją, z całą swą mocą. A ona była jak kruchy balonik napełniony helem pustki, wznoszący się z ogromną prędkością ku stratosferze własnych przeznaczeń – by go powstrzymać, trzeba ścisnąć, mocno, ze wszystkich sił. Tak mocno,

że aż pękał. I to były te dwie przeciwstawne siły, które ją niszczyły, każda na swój sposób: jego determinacja konstruktorska i jej naturalna skłonność destrukcyjna. Steffen nie wiedział, choć być może przeczuwał, że kocha Annę taką, jaka jest. I że, zmieniając, utraci ją. Ratując Annę, musiał przestać ją kochać. Kochając, musiał ją utracić. Może ona zdawała sobie z tego sprawę lepiej niż on?

Przypomniawszy sobie, jak Anna coraz mocniej popadała w otchłań – jakby zniknęła. Była i nie była zarazem. I to poczucie tępej rozpacz, kiedy za każdym razem, gdy wracał z pracy, widział ją coraz bardziej pogrążoną w sobie, nieobecna. Coraz bardziej zaniedbana, coraz bardziej oddalona. To poczucie bezsilności – nic nie mógł zrobić. Często wybuchał bez powodu, ale ona nawet nie zwracała na to uwagi. Była niczym niepodlewana roślina, niemal uschnięta, którą ktoś nagle zalał wodospadem. Może za bardzo chciał... I ta nieoczekiwana eksplozja radości, gdy nagle, któregoś dnia wszystko się odmieniło – Anna umalowała się, nawet zamówiła kolację. Od tego dnia była pełna energii, zadbana. Wykonywała wszelkie czynności wręcz z ostentacją; reagowała, wreszcie reagowała!, na jego sygnały. Cieszyło go to przez jakiś czas, ale na dnie euforii kiełkowało z wątplenie. Coś było nie tak. Jakaś sztuczność tkwiła w tym wszystkim. To jej nieustanne dbanie o wygląd, chwilami wręcz wykwił – to było takie do Anny niepodobne. Zawsze nosiła się raczej niedbale, nawet na przyjęcia potrafiła ubierać się w dzinsy, co trochę Steffena raziło. Teraz raziło go co innego. Jakby przeraził go rezultat własnych reform – Anna stała się kimś obcym, a zarazem kimś w nieuchwytny sposób znajomym. Tak, to też go niepokoiło. Znał i nie znał takiej Anny. Znał i nie znał.

Aż któregoś wieczoru – było to niemal rok przed jej śmiercią – wszystko zrozumiał. Jedli akurat kolację. Pamiętał, że rozmawiali o inscenizacji „Hamleta” Szekspira – Anna dostała propozycję współreżyserowania. Głównie przemawiała Anna; Steffena niezbyt interesował teatr, udawał, że słucha. Udawał, że je. Anna mówiła jakoś mechanicznie, bez dawnej pasji. Ten jej nienaganny strój, suknia wieczorowa, makijaż, dyskretnie piękny, podkreślający kruchość jej twarzy. To wszystko było nie tak. To nie była Anna.

Wtedy, pamiętał każdy szczegół, nagle wstała i – ciągle przemawiając – jęła zrzucać na ziemię wszystkie potrawy, wylewać wino. Steffen

obserwował ją, oniemiały. Spojrzała wtedy na niego. Jej oczy były martwe. Musisz być aktywny – powiedziała. Aktywny mimo wszystko. Nie myśl za dużo. Rób wszystko. I mówiła to takim tonem... Taki miała wyraz twarzy... Tak, znał ten ton, znał ten wyraz twarzy... Potem zaczęła się tarzać w tych wszystkich brudach, wieczorowa suknia była poplamiona. A ona beznamiętnie, wciąż mówiąc coś o aktywności, brukała się. Wtedy pojawił – ona grała. I to nie tylko w tej chwili – to była jedynie scena kulminacyjna. Grała, konsekwentnie, od wielu tygodni. Jej nagłe przeistoczenie było mistrzowską kreacją. A odgrywała rolę... Steffena – jego racjonalność, nienaganność, przynajmniej zewnętrzną, jego banalne odzywki podawane z całkowitą powagą. W tym zwierciadle dostrzegł nagle swą nicłość, ujrzał, jak ona go postrzegала – udręczona sobą musiała znosić jego prymitywne ratownicze zapędy. Wtedy zrozumiał, że do wykonania delikatnej operacji używał pługów swego zapału, cepów determinacji. I ranił ją jeszcze głębiej.

Ta jego nienaganność, ten strój i to brukanie się w pracy, w Dolinie. On przynosił Dolinę do domu, w sobie. Wtedy, przez krótki moment, znienawidził ją, lecz szybko zrozumiał, że tak naprawdę nienawidzi siebie. I miłość, tępa, pełna determinacji miłość, wcale w nim nie wygasła. Co gorsza, chyba się wzmogła.

Ich niechęć narasta. Witają się jak starzy nieznajomi. Barman – akurat tego dnia oddalony od swych katatonicznych norm - porusza się żwawo za kontuarem, łypie podejrzliwie na Horgatha i Stilla pogrążonych w niemiłej pogawędce.

– To gówno, Steffen. Firma jest nieprzenikalna jak śmierć. Chcesz się czegoś o nich dowiedzieć, musisz zdechnąć. Nie podoba mi się to. Słyszałeś oczywiście o Gordianie...

– To zdaje się prezes...

– Nie tylko. Także właściciel, jego rodzina kontroluje pięćdziesiąt pięć procent udziałów WYJŚCIA. Tajemnicza postać, jego ostatnie znane zdjęcie pochodzi sprzed niemal pół wieku. Miał wtedy dziesięć lat. Niewiele o nim wiadomo. Być może tajemnica jest ich strategią marketingową.

– Jak dostać się do WYJŚCIA?

– Mówiłem, jest jeden pewny sposób. Ich procedury są dość nieprzenikliwe. Jest taki nieprzyjemny typ, niejaki Schulz. Znamy się,

siedzieliśmy kiedyś w tym samym kiciu. To mnie dodatkowo zniechęca, glino. Nie siedziałem wówczas za cokolwiek konkretnego, miałem zlecenie...

– Przedłużałeś.

– Kablowałem. I nie patrz tak na mnie, bez takich jak ja bylibyście ślepcami we mgle...

– Zawsze podejrzewałem, że robisz to wszystko wiedziony obywatelskim poczuciem sprawiedliwości.

– Nie wkurwiał mnie. Przypominasz mi cały czas to stare gówno, które się do wszystkiego lepi. Do ciebie też przyłgnęło, Steffen. Nie zapominaj o tym. Fabrykowanie dowodów to niezły syf. Obaj trzymamy się za jaja. – Still schyla się, odkrywa nogawkę i wyjmuje ze skarpety papierosa. Zapala. Steffen przypomina sobie – miał taką ksywę – Skarpeta. Chomikował różne rzeczy w aresztach tego miasta. Siła przyzwyczajenia.

– Co z tym Schulzem?

– Skurwiel był bystry. Chyba mnie wtedy jakoś rozszyfrował. Musiałem się ewakuować, wiesz, zwolnienie warunkowe... Dziwny gość. Jakiś taki... nieprzejrzysty, choć może akurat nie jest to najlepsze słowo. Nikt nie potrafił do niego dotrzeć, zaprzyjaźnić się. Zawsze osobny, zawsze sam. To dziwne, ale miał specjalny status w więzieniu. Miałem na niego nie kablować. Jakiś układ, może sam donosił, ale uważam, że sprawa była dużo poważniejsza...

– Poważniejsza?

– Mógł być odchwaszczaczem. Wiesz, o co chodzi? Wynajmowano go, by likwidował w kiciu jakichś niewygodnych gnojników. Albo choć sprawiał, by nagle zaniemówili. Lubił zabawy z nożem, podobno. Jeszcze jedna rzecz, Steffen. Wiem o nim coś, co wie niewielu...

– No?

– Widzisz, on lubi chłopców. Młodych szczególnie. Raz widziałem scenę... On wie, że widziałem. Wtedy nie miało to dużego znaczenia. Ale teraz...

– Coś się zmieniło?

– Owszem, zmieniło. WYJŚCIE nie zatrudnia dewiantów seksualnych – pedałów, pedofilów. Ucierpiałby na tym wizerunek firmy. No i to jest jednak robota z ludźmi – nie może być jakichkolwiek podejrzeń o wykorzystywanie pacjentów... Rozumiesz, że moja wiedza może być dla

Schulza niewygodna... Przypuszczam, że zarabia w WYJŚCIU duuużę pieniędzy. Poza tym to legalna przykrywka – jest kryty. Po wyjściu z więzienia nagle zniknął, okazał się cudownym rezultatem programu resocjalizacyjnego WYJŚCIA – tam następnie zatrudniony. Podobno skończył, zaocznie, psychologię paliatywną – i stał się tak zwanym Opiekunem. Przeprowadza zagubione duszyczki na tamtą stronę. Wspomaga ich, że się tak wyrażę – duchowo. Zarazem nie stroni, głosi wieść, od dawnych przyzwyczajęń. Czasem jakiś rozgadany pracownik WYJŚCIA złamie nogę, ulegnie nieszczęśliwemu wypadkowi. Wiesz, jak to jest w Dolinie... Może uda mi się zdobyć zdjęcie. Aha, ten Gordian...

– Tak?

– Niektórzy nazywają go Małym Buddą. Nie wiem, z jakiego powodu. Może to bez znaczenia...

– Mam dla ciebie małą robotę, Jurgen.

– Pamiętasz, jak skończyła się ostatnia „mała robótka”?

– Ta jest naprawdę niewielka. Jest taka dziewczyna, która zadaje się z nieodpowiednim facetem. Nie wiem, jak się nazywa. Spotykają się codziennie w takiej śmiesznej knajpce, Przedmurze Chrześcijaństwa. Chcę, żebyś go namierzył, trochę poobserwował. I zdał mi relację. Stawka taka jak zawsze.

– Czasy się zmieniają, Steffen. Stawki też.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Horgath wychodzi w momencie, w którym barman puszcza „Requiem”. Jakaś drobna sugestia?

Ta muzyka wydaje się przenikać do jaźni, przesączać przez naturalne bariery, jest wszechogarniająca, choć jakże niewiele ma do ogarnięcia. Steffen wizualizuje ją sobie jako biel, sam nie wie, dlaczego. Przymyka oczy i widzi już tylko biel, coraz chłodniejszą biel. Głos jego sąsiada jest jak liźnięcia bieli łagodniejszej, rozpływającej się, umierającej. Mimo wszystko słucha – po to tu jest, by słuchać, badać, wyciągać wnioski.

– „Przejście” jest niczym wyspa...

Dopiero teraz dostrzega, że Wergiliusz jest głuchy – ma dyskretny aparat wbudowany w prawe ucho. Może dlatego zawsze ustawia się do Steffena lewym profilem.

– Nazywam ich... nas... ćmami...

Coś szamocze się na granicy wzroku. Gwałtowny ruch, pełen ekspresji. To ćma uderza w lampę ponad jego głową – jakby pasowała się z niemożliwym, jakby oto sięgnęła słońca, a te okazało się nędzną, zimną atrapą. Steffenowi zdaje się, że współodczuwa z owadem gigantyczne rozczarowanie – więc męka się nie kończy.

Czuje na sobie spojrzenie Moniki. Jest piękna. Stoi, oparta o framugę, jakby była posągiem wkomponowanym w banalne otoczenie przez rzeźbiarza geniusza. Steffen dopiero teraz zdaje sobie z tego sprawę – ona pasuje wszędzie, gdzie by się nie pojawiła, w jakiegokolwiek pozie, stroju, w cholernej piżamie choćby, otoczenie naginało się ku niej, dopasowywało, wypełniało estetyczne luki. Rozumie już, że nigdy jej nie pokocha, i to nie dlatego, że była dziwką; jest zbyt doskonała – a to braki decydują o miłości i nienawiści. Annę kochał i nienawidził za to samo. Moniki nie było za co.

– Wielu masz klientów? – pyta, żeby ją zranić, ot tak, bez powodu. Może, by zobaczyć jakąś żywszą jej reakcję. Jakiś ślad człowieczeństwa, kobiecości.

– Przestań... – Fuknęła jak kotka i poszła do pokoju zapalić papierosa.

Nagle Steffen czuje gigantyczną chęć porozmawiania z kimś, zaufania komuś. Zwierzeń. Nie dotyczy to wyłącznie Moniki, gdyby w tym pokoju hotelowym znalazł się ktokolwiek inny, pewnie doszłoby do podobnej rozmowy.

Więc mówi. Jego słowa są jak części układanki, jak łańcuchy przyczynowo-skutkowe, które skuwają jego umysł od lat. Jedno wynika z drugiego; ciąg zdarzeń poraża nieodpartą logiką. Opowiada o Annie, o jej zejściu w Wyjściu i o tym, co, jego zdaniem, ma z tym wszystkim wspólnego Przejście, o doktorze Nagym, o fikcyjnych diagnozach, o nekrofilmach, o podejrzaniach Nobody'ego. A ona słucha, wydaje się, że pożera tę opowieść (czy od opowieści można przytyć?).

Steffen patrzy na swój brzuch – czyżby przytył? Zapuścił się, jakby przyoblekł w całun Doliny. Zaniedbana broda, poobijana twarz, śmierzący oddech. Jakby sam stawał się Doliną. Miał wszystkiego dość, wszystko go bolało. Ale ten ból, ten cholerny ból pozwala zapomnieć o cierpieniu. Trzeba się ruszyć, trzeba zacząć działać. Anna, jej śmierć – tylko to go wciąż poruszało, był jak perpetuum mobile zasilane tajemnicą. Przeczuwał, że jej rozwiązanie oznacza zarazem jego koniec, ale już się z tym pogodził. Był to faustyczny wybór – coś za coś. Horgath płacił wszystkim. Czy

to była miłość czy coś innego? Pytanie – jak mogła to zrobić, mimo jego wysiłków konstrukcji ładu? Jak mogła złamać niepisaną umowę? To nie było normalne. Nie mogła tego zrobić. Nie sama. Ktoś jej w tym pomógł. Ktoś go ograbił. I zapłaci za to.

Jego determinacja okazała się wprost proporcjonalna do zmęczenia. Był na ostatniej prostej, ostatni hotel – dziura wypluta przez Boga do rynsztoku świata. Wschód Wschodniej Dzielnicy – jądro ciemności.

Wychodzi przed budynek – po drugiej stronie ulicy stoi budka telefoniczna; relikwiarz przeszłości. Wkłada kartę i wystukuje numer Stilla. Czeka dłuższą chwilę. Pada deszcz.

– Tak? – Still robi się coraz bardziej nerwowy.

– To ja.

– Miałeś, kurwa, dzwonić codziennie. Nie dzwoniłeś od trzech dni.

– Przecież mówiłeś, że to koniec. Miałem już w ogóle nie dzwonić.

Co słysząc?

– Werble, kurwa, słysząc. Trąby niebieskie. Koniec świata. Co słysząc!

Idiota. Pijany jesteś?

– Już nie. Na razie nie.

– Słuchaj uważnie. Namierzyłem metę kołosa. Tego szczura, Mizersky'ego. Mieszka przy Trzeciej ulicy – Still podaje adres.

– A co z dziewczyną? Co z Moniką?

– Ani śladu. Co cię ona obchodzi? Przecież to tylko dziwka.

– A ty jesteś tylko kapusiem.

– Słuchaj, Steffen, czegoś się dowiedziałem. Jest pewna możliwość wydobycia informacji z WYJŚCIA, ale...

– Jaka możliwość?

– Pewna... procedura. Potem ci powiem.

– Gdzie teraz jesteś?

– Na Trzeciej.

– Nic nie rób. Czekaj na mnie. Będę za pół godziny.

Wergiliusz snuje swą opowieść od co najmniej pół godziny, wydaje się, że tka ją ze słów. Opowiada o stałych bywalcach lokalu i o tych, którzy przemijają jak śmierć. Przez chwilę lustruje baczenie Steffena.

– A pan do której kategorii się zalicza?

– Ómy, powiada pan... Cóż takiego nadzwyczajnego w ómach?

– Hm... – Wergiliusz uśmiecha się wąsko, jakby oszczędzał na szerokości uśmiechów. – Ta analogia jest nawet dość trafna. A przyszła mi do głowy mimochodem. Nasze ćmy to stwory nocy, jak my wszyscy tutaj. Żyjemy ciemnością, oddychamy nią. Zresztą metafora jest szersza, mogłaby właściwie dotyczyć całej ludzkości. Ten pęd ku światłu, w sumie sprzeczny z ich naturą... Niech pan pomyśli, Steffen, to symbol śmierci. Białe, oślepiające, zimne światło. A zarazem coś na kształt celu, którego nigdy nie da się osiągnąć. Chyba, że ów osiągnięty byłby równoznaczny z końcem istnienia. Większość legend, opowieści jest skomponowana na podobnej zasadzie – bohaterowie szukają czegoś, co nie istnieje. Szczęścia, miłości, diabli wiedzą czego. Szekspir ładnie to ujął... zaraz, jak to było...

*Każda miłość ma początek w czasie
I doświadczenie poucza, że czas
Tłumi jej iskry i przygasza żary.
W centrum płomienia miłości jest zawsze
Coś jak zwęglony knot, co już nie płonie;
Nic, co jest dobre, nie jest dobre wiecznie,
Bo nadmiar dobra samo dobro dławi.[*]*

Milknie. Jakby na coś czekał. Ale nie trwa to długo.

– Co pana tu sprowadza? Czego pan szuka? Szczęścia? Miłości?

– Normalności? – Horgath już po chwili żałuje, że to powiedział. Daje się wciągać w te banalne tyrady, potwierdza te żalosalne roszczenia.

– Normalności? – prycha Wergiliusz. Wydaje się lekko zawiedziony. – Wszyscy w istocie szukamy pustki, oni również. To dość zabawne – szukamy tego, co nosimy w sobie – i dlatego nie możemy tego odnaleźć. To jest jak chwytywanie cienia. Wszyscy to w sobie mamy, ten szekspirowski wypalony knot, to jądro nieistnienia, ale nie wszyscy o tym wiedzą. Wszyscy poszukujemy... być może śmierci? Czymże jest ta pańska normalność? Pustka, wychłodzenie absolutne, entropia – oto norma wszechświata. Życie jest anomalią... Szukamy tego, co oznacza kres poszukiwań, bo jest końcem nas. To dość uroczy paradoks, nie sądzi pan?

– Nie... Chyba nie.

– Nie szkodzi, w końcu pan zrozumie. Nawet jeśli zrozumienie miałyby przyjść w chwili śmierci. – Śmieje się, jakby opowiedział właśnie

szczególnie udany dowcip. – Ale dość o tym. Proszę spojrzeć, są dziewczęta.

Mówi to takim tonem, jakby opowiadał o nastaniu pory dnia. Dopiero po jakimś czasie Horgath miał się dowiedzieć, że nadejście dziewczyn było tu rzeczywiste czymś nieuchronnym, a co za tym idzie – oczywistym.

Przy barze stoją trzy kobiety, najwyżej 25-letnie, piękne. Pojawiły się nagle, jakby wyłaniały się z półmroku. Anioły mroku – pomyślał potem Steffen. Lecz na głos wypowiada frazę brzmiącą nieco inaczej:

– Dziwki?

– Oczywiście. Jednak dość specyficzne.

I znów milczą. Ich rozmowa jest przetykana ciszą. Steffen obserwuje najbliższy obraz zalewający swą objętością najbliższą ścianę, zawłaszczający ją jak potop malarstwa. Jego wzrok przywykł już do półmroku i chciwie łowi szczegóły. Najpierw dostrzega szylt i krzywi się – tytułowanie obrazów nigdy mu się nie podobało – malarz bawiący się w suflera. ŁĄKA ŚMIERCI – głosi biały napis. I rzeczywiście, na płótnie widnieją łany białych kwiatów – ciągną się po horyzont, zlewają w jedno z niebem. Biel nieskończona. Steffen przypatruje się tytułowemu kwiatom – ich jądro stanowią, rzecz jasna, trupie czaszki. Fatalna dosłowność, a nawet dosadność. Widzi jednak, że i czaszki krzywią się w rytm jego wewnętrznych wykrzywień – jakby uśmiechały się z niewątpliwą ironią, kpiły sobie z niego. Przypatruje się płatkom, ich biel nie jest tak nieskazitelna, jakby nieco przybrudzona, przechodząca w blade odcienie różu. Są pomarszczone, jakby przywiędły jeszcze przed rozkwitnięciem. Dopiero po chwili Steffen dostrzega pewną regularność ich załamań i zmarszczeń – to ludzkie uszy, wędzące, jak wiadomo, naturalnie. Te uszy do złudzenia przypominają gadzet doktora Nagy’ego. Szuka wzrokiem nazwiska autora obrazu, podpisu, sygnatury – nic.

– Podoba się panu? – pyta Wergiliusz.

– Dziwka?

– Obraz.

– Niezbyt.

– Zwrócił pan uwagę na uszy? Uszy przytwierdzone do czaszek.

– Symbolika czaszek wydaje się oczywista.

– Ale uszu niekoniecznie.

– Słyszcząca śmierć? – Horgath nagle zdaje sobie sprawę z ułomności Wergiliusza i robi mu się nieswojo.

– W starożytności w uchu widziano siedzibę pamięci. Wie pan, że pociągnięcie za ucho, które aż do średniowiecza było rozpowszechnione przy aktach prawnych, uchodziło za apel do pamięci świadków, by nie zapomnieli określonych faktów. W szerszym kontekście można by uznać ucho za symbol pamięci rzeczy ważnych, ostatecznych. Memento mori. Memento mori.

Spojrzenie Steffena krzyżuje się ze spojrzeniem jednej z dziwek. Jest naprawdę piękna, wydaje się wkomponowana w otoczenie, jakby oddychała mrokiem.

Przebija wzrokiem mrok. Teraz widzi zarysy jego twarzy – mocno sklepiona szczęka, ostry nos. Rozgląda się wokół niespiesznie. Jak drapieżca pewien indolencji swej ofiary. Czyżby miał to być pan Schulz, wykwalifikowany Pomocnik i zarazem „cyngiel” Małego Buddy? Postanawia działać bezceremonialnie; nie ma już bowiem czasu. Przysiada się do faceta bez pytania. Ten spogląda na niego z chłodnym zainteresowaniem. Zapala papierosa, wtedy Horgath dostrzega na jego palcu ów koszmarny sygnet z pomarszczonym uchem. Obaj przez dłuższą chwilę milczą. Steffen docenia jego opanowanie. Wreszcie sam przerywa milczenie.

– Zna pan tę kobietę? – kładzie na blacie fotografię Anny.

– Ładna. Ale nie w moim typie.

– Słyszałem, że to pan ma kłopoty z kobietami. Dlaczego?

– Chyba jestem mało towarzyski. Może też niezbyt przystojny.

Do czego pan zmierza?

– A może ma pan... szczególne upodobania seksualne?

Jeśli go trafiło, nie daje tego po sobie poznać.

– Ciekawa hipoteza – mówi.

– Zna pan niejakiego Nagy’ego? Petera Nagy’ego? To lekarz.

– Pan prowadzi jakiś kącik towarzyski? Nasza Klasa? Nie mogę wykluczyć. Wie pan, dość często choruję na migdałki...

– Pan Schulz? Nie myślę się?

– Może pan by się pierwszy przedstawił? Mimo wszystko obowiązują pewne formy...

– Pan pracuje w WYJŚCIU? Zna pan pana Gordiana?

– Wyjściu... stąd? – I rzeczywiście wychodzi. Steffen podąża za nim.

– Nie ułatwia pan.

– Dobra. Wiem, kto ci nagadał tych głupstw. Still, więzienna gnida. Zapłaci za to. Ty też. – Gość nagle zmienia taktykę. Rozgląda się wokół – puste ulice, późny wieczór. Nagle błyska nóż. Steffen odruchowo wybija mu go z ręki kopniakiem.

Pierwszy uderza Steffen – krótki prawy sierp. Facet otrząsnął się tylko – jest potężnie zbudowany, jakby kuty w granicie. Trzyma Steffena na dystans. Horgath musi dystans skracać, jest nieco niższy. Po chwili sam inkasuje ciężki cios w szczękę – znów eksplozja jaskrawej bieli. Wreszcie – rzuca się na nogi rzekomego (bądź nie) Schulza. Przez chwilę turlają się po ziemi, walczą o uchwyt. W końcu zakłada mu dźwignię na nogę, ale czuje, że i na jego nogę założona jest dźwignia. Muszą wyglądać idiotycznie – leżąc tak, wzajemnie zablokowani. Jak walet. Walet pik – w tych ciemnościach.

– Gadaj! – mówi tamten.

– Gadaj! – odpowiada Stefen.

– Co wiesz o handlu filmami?

– Co wiesz o Annie?

– Kiedy spotkałeś Nagy’ego? Auuu!

– Co cię łączy z WYJŚCIEM? Ech!

– Gdzie jest Still?

– Co stało się z Moniką?

– Jaką Moniką?

Obaj naciskają coraz mocniej, ból staje się nie do zniesienia.

– Jak się nazywasz? – pytają równocześnie. I obu to rozśmiesza.

– Proponuję... remis – mówi tamten.

– Na cztery puszczaemy – odpowiada Stefen.

– Trzy-cztery!

Ale, rzecz jasna, nie puszczaają.

– Długo będziemy tak leżeć? – pyta tamten.

W końcu uwalniają się. Szybko zrywają się na nogi. Horgathowi został w dłoni but przeciwnika.

– Odpuść to sobie kolego – mówi nieznajomy.

Horgath nie odpuszcza. Jest jak pies gończy – gdyby nie tropił, to by nie istniał. Codziennie pojawia się w okolicach Przedmurza Chrześcijaństwa

i czeka. Ale Moniki nie ma. Nie ma też Szczura. Wydzwania do Stilla – ten monotonicznie powtarza jednolitą frazę – nic nowego. Dlaczego tak ci zależy na tej dziwce, Steffen? I tak dalej.

Daleko zabrnął. Dalej już się nie da. Stara się oddychać głęboko. Sięga po głębokie pokłady spokoju. Dotyka płaszcz na wysokości wewnętrznej kieszeni; papier szeleści uspokajająco. W teczce ma pełną dokumentację, zdjęcia rentgenowskie. Więc wchodzi do WYJŚCIA. Wciąż bawią go te semantyczne paradoksy. KLINIKA EUTANASTYCZNA – grzmi napis. Obrotowe drzwi ustępują niechętnie, jakby ostrzegając – nie wchodzić, bo nie wyjdiesz.

No tak. Dominuje tu biel. Steffen czuje chłód, choć w sumie jest dość ciepło. Recepcjonista wygląda niczym zombie po nie do końca udanej reinkarnacji. Mięśnie jego twarzy wydają się nie pracować – wszystko workowato wisi; tylko oczy żyją, rzucają baczne spojrzenia, lustrują.

Może był kiedyś pacjentem kliniki – myśli Horgath.

– Jestem umówiony – przemawia do recepcjonisty. – Steffen Horgath.

– Spóźnił się pan – nawet jego głos brzmi jakoś grobowo. – Pan Swift nie będzie zadowolony.

– Klient nasz pan. Wasz pan.

Odźwierny nie odpowiada. Wciska jakiś guzik i natychmiast traci zainteresowanie Steffenem, jakby ten w tej właśnie chwili przestał istnieć. I być może tak jest. Horgath ma przez moment dojmujące wrażenie wypełniającego się przeznaczenia – jakby wpadł w imadło losu. Koniec, kaplica. Trochę pochłodziło...

– Chłodno tu – mówi Steffen. Rzeczywiście, przechodzą go dreszcze.

– Trzydzieści dwa stopnie – odpowiada Wergiliusz.

– Słucham?

– Pan coś mówił?

– To pan... Nieważne. Czas na mnie.

Steffen wychodzi, odprowadzany spojrzeniem jednej z dziewczyn.

Kobieta okazuje się fantomem reklamowym – wykwitły znikąd w powietrzu błądzący kwiat. Jej ciało prześwituje – widać przez nie drzewo po drugiej stronie ulicy, przeładowany kosz na śmieci. Fantomy musiały prześwitywać – był to wymóg Federacji Konsumentów; inna konsystencja tworów sugerować by mogła ich realność; konwencjonalne formułki byłyby odbierane z nadmierną powagą.

Patrzy na Steffena z troską. „Jakby naprawdę mnie widziała” – przemyka mu przez myśl. Na wirtualnych choć ładnie sklepionych piersiach nosiła nie nosząc logo WYJŚCIA – pomarszczone białe ucho.

– To już trzecia... – mruknął do siebie Horgath. Częstotliwość występowania reklam oznaczała zbliżanie się do ich źródła. Tymczasem fantom mieli formułki o przyjemnej śmierci. Ma taki ciepły głos. „Umierać, nie żyć”, parafrazuje w myślach znane powiedzonko. Tymczasem nieistniejąca a istniejąca kobieta kreśli ręką w powietrzu okrąg, który przeistacza się wnet w czarną dziurę. Steffen aż się wzdryga, myśli bowiem, że za chwilę rozpocznie się monstualne ssanie – dziura wchłonie jego oraz pobliskie budynki, aż wreszcie zniweczy nawet światło. I stanie się ciemność. Ale nie, dziura jaśnieje niemrawo, banalizując swą tajemnicę. Okazuje się trójwymiarowym ekranem, na którym pojawia się postać jowialnego staruszka tryskającego humorem, a to z powodu umówionej daty śmierci.

– WYJŚCIE jest jedynym wyjściem – rzecze.

Następnie reklamuje się nowoczesną aparaturę – urządzenia mierzące przejawy jakże zniechęconego życia, farmaceutyki grające życiu na nosie – najwyraźniej w ten właśnie sposób WYJŚCIE wywiązuje się z umów sponsorskich.

Wreszcie pojawiają się dynamicznie zmontowane sceny umierania; postacie z zatartymi rysami twarzy (co ma sugerować autentyczność scen i niwelować wrażenie, iż są cyfrowo zmontowane) żegnają się z życiem. W tle tych scenek pobrzmiwa bicie dzwonów. „Komu bije dzwon?” – pyta tubalny głos spoza kadru. I sam sobie odpowiada: „Wszystkim”.

Asortyment usług okazuje się imponujący – od śmierci a’la Sokrates po samospalenie w politycznym, bądź jakimkolwiek innym proteście. W tym ostatnim przypadku firma zapewnia całkowite zabezpieczenie paliatywne – znieczulenie całkowite. Ukazany jest człowiek-pochodnia przechadzający się spokojnie pośród klombów. Wydaje się, że otaczające go płomienie wpasowują się kolorystycznie w otoczenie, jakby był kwiatem raz a dobrze rozkwitłym.

– Precz z... – Nie wiadomo, co go przedśmiertnie mierzi, ponieważ ostatnie słowa są ocenzurowane.

Steffen mija reklamę, ta – wyczulona na obecność klientów – dezaktywuje się poprzez rozpląnięcie. Widzi już monstualny budynek

WYJŚCIA. Z tej odległości wygląda jak szklana góra. To irracjonalne, ale wciąż czuje na sobie spojrzenie, którego nigdy być nie mogło.

Czuje na sobie czyjeś spojrzenie. Niemal fizycznie – jakby ktoś usiłował wwiercić się wzrokiem w jego plecy. Ogląda się za siebie. Był taki film – „Nie oglądaj się za siebie”. Dobry tytuł.

Obserwatorem okazuje się Nobody, wsparty niedbale o kosz na śmieci. Tym razem nie jest sam, towarzyszy mu dwóch tajniaków. Cholera – myśli Horgath – jak mnie namierzyli?

– Cześć, Josefie – rzadko używał pełnego imienia Nobody’ego. Zwykle, gdy się kłócili – ich stosunki nabierały wówczas cech ceremonialnej oficjalności.

– Dzień dobry, Steffenie.

Patrzą na siebie niechętnie. Obaj chcieliby znajdować się w tej chwili w innym miejscu i w innym towarzystwie. Najlepiej gdzieś daleko stąd.

– Obszukajcie go, chłopcy – mówi Nobody do tajniaków, nie patrząc na nich. Po chwili dodaje: – Dyskretnie.

Horgath rozgląda się dyskretnie. Ale prócz tej cholernej bieli i półtrupa w recepcji nie dostrzega żadnych istotnych szczegółów. Jakby ktoś wyprał te pomieszczenia z cech szczególnych, jakby znajdowali się na zabielonym płótnie, jeszcze przed odwzorowaniem właściwej wizji artysty. Samo tło, pomyślał Horgath. Tak, tylko tło.

– Czekamy na coś? – pyta recepcjonistę.

– Jest pan w tej chwili prześwietlany, na okoliczność ewentualnych przemyconych przedmiotów, broni, bomb i tym podobnych – cedzi rutynową formułkę zombie. – Pan rozumie, nasza instytucja miewa fundamentalnych przeciwników. Proszę się nie martwić, dawka promieniowania nie jest szkodliwa dla zdrowia.

Steffen czuje się jednak trochę nieswojo.

– W porządku. Proszę podążać za wskazówkami. I pod żadnym pozorem nie zbaczać z drogi.

Wskazówkami? Dopiero teraz dostrzega: na podłodze rozświetlają się strzałki. Podąża tym tropem. Jak w baśniach – nie zbaczaj z oznaczonej drogi, bo...

Wreszcie drzwi – rozsuwają się bezszelestnie.

– Pan Horgath, jak mniemam?

Jego teorie, domniemanie rozgałęziają, są jak rośliny prące ku światłu. Monika okazuje się świetnym ogrodnikiem, pochyla się nad każdym listkiem, troskliwie wzmagają jego podejrzliwość. Tak, WYJŚCIE łączy się z PRZEJŚCIEM. Zbieżność nazw nie jest przypadkiem ani dowcipem. PRZEJŚCIE to rodzaj sita, a zarazem pułapki – wabi ćmy, straceńców. To modny lokal, dekadencja młodzież garnie się tu, by przeżyć coś prawdziwego. Czy jest coś od śmierci prawdziwszego? Zarazem płoszy się jednostki witalne – wszystko reguluje specyfika knajpy...

– Muzyka! – Monika zapala, podniecona, papierosa.

– Co: muzyka?

– Muzyka wabi i płoszy. Słyszałam o takich specyficznych częstotliwościach, które działają na ściśle określone ośrodki mózgu... To selekcja...

– Być może... – Steffen nie jest do końca przekonany.

A za wszystkim kryje się biznes, oczywiście. Eutanastyczna firma WYJŚCIE produkuje sobie klientelę. Fikcyjne diagnozy doktora Nagy'ego legalizują przedsięwzięcie. Usługa nie jest tania, a zdarza się (Monika słyszała o tym w jakimś programie radiowym), że pacjenci, poddani praniu mózgu, zapisują firmom eutanastycznym całe majątki.

– Wystarczy sprawdzić przepływy gotówki – mówi Monika. Boże, jaka ona jest piękna. Spędzają ze sobą coraz więcej czasu i coraz rzadziej kończy się to w łóżku. Bezustannie rozmawiają, czasem każde coś mamrocze do siebie, snując obłądne teorie śledcze, rozgałęziając wątki przerzucają się ideami. Steffen wie, że zaczyna brakować mu oszczędności, a pieniądze, które zostawiła mu Anna już wykorzystał w innym celu. Niebawem nie będzie go stać na Monikę, ta chwila zbliżała się niepokojąco szybko.

Poza tym niepokoił się o dziewczynę – rozmawiała o tych sprawach ze zbyt wieloma ludźmi (tak mu relacjonowała) – przyjaciółmi i znajomymi z pracy – alfonsami, dilerami *etc.* I ten cholerny Szczur...

– No i filmy! – niemal krzyczy dziewczyna. – To tanastyczne porno. To przecież też biznes. Dodatkowe zarobki...

Przez jakiś czas milczą. Steffen przegląda materiały reklamowe WYJŚCIA. Wszędzie ten slogan – „Jedynie WYJŚCIE”. I logo – wszechsłyszające ucho. Czyta dokładnie procedury – diagnozy, konsylia, testy, rozmowy z tzw. Pomocnikiem, czyli wykwalifikowanym

psychologiem, a zarazem przyjacielem na zamówienie i diabli wiedzą kim jeszcze. Uniwersalna postać ten Pomocnik – myśli Steffen. Potem rozerwał ciszę:

– A ty... – mówi szeptem.

– Ja...?

– Jaka twoja rola w tym wszystkim, Moniko?

– Wie pan, moja rola jest niewielka. Jestem tylko pośrednikiem między klientami a pomocnikami. Jestem trybikiem ogromnej maszyny, drogi panie Hogarth...

– Horgath.

Swift okazuje się monstrualnym grubasem, opakowanym w workowaty błękitny garnitur. W momencie, gdy Steffen wchodzi do pokoju, opycha się eklerem. Z klapy garnituru wystaje rąbek jakiejś czekolady. Poci się obficie, mimo niezłej klimatyzacji, wydzielając z siebie przy tym odór skomplikowanego procesu wewnętrznej fermentacji, słodkawą rzecz jasną.

– Proszę wybaczyć – mówi przepraszająco, ale jego oczka, schowane w rozpadlinach oczodołów, pozostają chłodne. – Siła przyzwyczajenia. Ojciec był cukiernikiem. Przez całe dzieciństwo musiałem testować jego nowe wyroby, jego słodkie eksperymenty...

Wydaje się, że gdyby miał teraz pod ręką tate, wepchnąłby mu do gardła całą watę cukrową świata. Po chwili jednak wraca jego chłodna uprzejmość.

– Rozpatrzyliśmy pańskie podania, panie Hogarth. Bo, zdaje się, były trzy podania...

– Horgath. Owszem...

Swift patrzy na Steffena z wyrzutem – jego potwierdzenia są w tych okolicznościach niestosownością. On, Swift, jest perfekcjonistą, zawieszenie frazy nie jest, nie może być, wyrazem zagubienia czy też niepewności, tylko ozdobnikiem, figurą retoryczną.

– Tiaaa...

To miękkie „tia” (jest w nim coś śliskiego i lepkiego zarazem) najlepiej go określa, myśli sobie Horgath.

– Dwa pierwsze traktujemy odmownie; trzecie, warunkowo, pozytywnie.

– Te liczebniki niewiele mi mówią, panie Swift.

– Nie, nie możemy udostępnić danych dotyczących panny Anny Becker. Nie, nie udostępniamy tzw. przesłania, o ile panna Becker zdecydowała się takie zostawić. Tego typu prośby rozpatrywane są wyłącznie w wypadku sformułowania ich przez rodzinę klientki. Pan nie należy do bliższej ani nawet dalszej rodziny. Tak, rozpatrzmy pańską prośbę dotyczącą eutanazji, o ile pańskie... – zawahał się, lecz w końcu użył eufemizmu: – ... niedomagania zdrowotne znajdą swe potwierdzenie w diagnozie lekarskiej. Nie możemy pana traktować inaczej niż jakiegokolwiek innego klienta, choć kontekst wydaje nam się... nieco podejrzany, panie Hogarth.

– Horgath. Podejrzany?

Swift nerwowo rozpakowuje czekoladę; zdążyła się nieco roztopić. Widać, że ta rozmowa odbiega od rutynowych standardów; i to wybija pana Swifta z ustalonych rytmów. Jego chłodny uśmiech roztapia się wraz z czekoladą. Wykonuje zachęcające gesty z tabliczką w kierunku Steffena, ten jednak, ku uldze Swifta, odmawia.

– Widzi pan, pańskie zainteresowanie okolicznościami śmierci panny Becker nie mogło umknąć naszej uwadze. Szczerść pańskich samobójczych intencji może zostać poddana w wątpliwość, drogi panie Hogarth. Może próbuje pan skompromitować naszą instytucję? Może mści się pan na nas za nieodwracalność wyroków opatrzości?

Steffen ma ochotę zdusić ten worek słodkości. Nic jednak nie mówi i nie robi. Znów powraca uczucie porwania przez nurt zdarzeń – jakby wszystko było już ustalone, karty rozdane. Tymczasem tabliczka czekolady znika we wnętrzościach pana Swifta. Jego grube paluchy formują dość regularną kulkę z opakowania, po czym nieruchomieją beczynn timer – jest coś dramatycznego w tej nagłej bezradności narzędzi do penetracji łakoci. Swift mamrocze coś o standardowych procedurach, lecz bardziej pochłania go poszukiwanie – daremne, jak się miało okazać – kolejnych tabliczek czekolady. Przerzuca jakieś papiery w szufladzie, rzekomo w poszukiwaniu istotnych dokumentów, poci się jeszcze bardziej. Gdybyż mógł w sobie odkryć cudowne zdolności materializacji słodczy, gdyby tabliczki czekolady okazały się tabliczkami mnożenia!

– Tiaaa... – Swift jest wyraźnie rozdrażniony, chce szybko zakończyć rozmowę. – Ma pan wymagane dokumenty? Widzę, że pan ma. Proszę złożyć je na biurku.

Steffen kładzie na biurku teczkę z diagnozą Nagy'ego. Znajduje się tam nawet komplet zdjęć rentgenowskich z jego nazwiskiem.

– Teraz poddamy pana kilku testom psychologicznym. To standardowe procedury. Nie zajmie to więcej czasu niż dwie, może trzy godziny... A w przyszłym tygodniu, o ile wszystko okaże się w porządku, możemy chyba rozpocząć procedurę Przejścia. Ustalimy panu Pomocnika, odpowiadającego pańskiemu profilowi psychologicznemu... Cóż, to chyba wszystko, panie Hogarth.

– Chciałbym się spotkać z szefem – wypala nieoczekiwanie Steffen.

– Z sze... – grubas zakrztusił się. – Z szefem! Z jakim szefem? Ma pan na myśli pana prezesa? Pana... Gordiana?

Wymawia to nazwisko z czcią. Jakby wymawiał imię Boga.

– To absolutnie niemożliwe!

– Wydawało mi się to niemożliwe, Steffen – mówi Nobody. – Dopóki nie obejrzałem tego...

Wyjmuje z kieszeni płytę. Jedną z TYCH płyt.

Jest jak zgrana płyta – powtarzalny, nieodwracalny. Brnie przez rzeczywistość, jak przez gęstniejącą magmę. Ale nie ma już wyjścia, wszystko się dopełniło. Prawie wszystko. Jakby był bohaterem greckiej tragedii – nie ma opcji, alternatywy zostały obcięte, a wszystko zmierza ku nieszczęśliwym finałom. Ale wciąż działa – niczym automat wykonujący ściśle określoną czynność wbrew niesprzyjającym okolicznościom, nawet wbrew sobie.

Zaczepia znajome (z „pracy”) Moniki, pyta o jej zniknięcie. Niczego nie wiedząc, jedna, zwana Zmienną Jolą, mówi, że to już jej się wcześniej zdarzało – zniknęła na parę tygodni. Urlop – powiedziała. Ale Steffenowi zdawało się, że może to być urlop totalny, zwolnienie z życia. Nie mógł zawiadomić policji – Nobody natychmiast by go zamknął; pewnie już ustalili odciski palców z mieszkania Nagy'ego.

Stoi przy kontuarze w PRZEJŚCIU – ta knajpa jest jak punkt węzłowy zdarzeń jego życia. Obok Zmienna Jola popija drinka w towarzystwie jakiejś nieznanej mu „genetycznej” dziwki. Przed chwilą zmienna Jola próbowała poderwać Steffena. Konkurencja nie śpi. Badała go, jak entomolog nieznany nauce okaz owada. Brała go na spytki, wysuwała – niczym sondy – hipotezy go dotyczące. Jego obojętność wyraźnie ją poirytowała.

Ich słowa z trudem przebijają się do jego świadomości.

– Ten ostatni kompletnie ześwirował – mówi Jola. – Przebrał się za żołnierza armii napoleońskiej i kazał mi zgadywać, z jakiej jest formacji, wyobrazasz sobie? Musiałam szperać w necie. Oczywiście czas spędzony na szukaniu informacji wliczyłam w cenę...

Śmieją się.

– Jest! – mówi nagle ta druga.

– Kto? – pyta Zmienna Jola.

– Mówiłam ci o nim. Dziwny typ. Czasem tu bywa.

Horgathowi nie bardzo chce się przyjrzeć obiektowi ich westchnień. Sący leniwie piwo.

– Nie pamiętam.

– No, ten, którego żadna z dziewczyn nie wybiera. Nie można go wyczuć. Człowiek bez potrzeb.

– Jak to żadna? Zaraz zmienię ten stan rzeczy. – Znów chichoczą.

– Mówię ci! Upiorna Kaśka próbowała, ale ześliznęła się po nim.

– Jak Upiora nie dała rady, to nikt nie da.

– Chyba, że Monika...

– Ciii...

– Facet jest nieprzenikliwy. Jak ołów. Żadna nie może go rozszyfrować.

– To prawdziwe wyzwanie...

Nagle coś go tknęło. Jakies słowa niedawno usłyszane. Zaraz, zaraz... kto to... Still! O kim on tak... Schulz. Tak. Schulz. „Osobny”, „Nieprzystępny”. No i nieprzyjemny.

Rozgląda się – dostrzega barczystego mężczyznę po czterdziestce. Ostre rysy twarzy, twardo sklepiona szczęka. Rusza w stronę jego stolika. Czy ma jakiś plan? Plan... Jest trochę pijany.

Płyty chodnikowe wirują. Wraca do hotelu lekko zawiany. Nic wielkiego, parę piw. No i trochę zdenerwowany – pokłócili się z Moniką.

To była dziwna scena. Właściwie niewiele z niej rozumiał. Monika w ogóle zachowywała się dziś dziwnie; była wyraźnie podenerwowana. Najpierw ją dyskredytować jego cudowne teorie spiskowe. Potem nagle zmieniła się na twarzy, z tą swoją kameleonową łatwością. Nagle zaczęła przypominać Annę. Znała jej twarz tylko z fotografii, a tu nagle stoi przed nim Anna, nieco zalękniona, trochę podenerwowana, jak przed próbą w teatrze, gdy lękała się, czy dobrze wypadnie. Chodziła z kąta w kąt

i półgłosem powtarzała frazy. Monika zachowywała się podobnie – z kąta w kąt i coś szeptem, a szept ów narasta, staje się zrozumiałym. I to załamane kącika ust, oczy rozszerzone kontrolowanym przerażeniem... Steffen przestraszył się, jakby miał przed sobą inkarnację Anny.

– Mam raka – mówiła Monika. – Raka. Mam raka.

Na różne sposoby, jakby szukała klucza interpretacyjnego – jak najlepiej ów przekaz zabrzmi.

– Mam raka...

Wziął to za makabryczny żart. Wyrzucił ją z pokoju.

Ostatnio kłócili się wyłącznie o interpretacje – kto lepiej wykaże sieci zależności, kto opiszę rzeczywistość... prawdziwiej? Piękniej? Dla Steffena piękno oznaczało coś innego niż dla reszty ludzi. Piękno mieściło się w kategorii sensu, elegancji konstrukcji. Dlatego śledztwa, które prowadził jako glina były piękne. Nie zawsze skuteczne, ale piękne – zawsze. Piękno opiera się bowiem na proporcjach – reszta nie ma znaczenia. I z gówna można ulepić posąg.

No i Monika ściagała się z nim na piękno, na proporcjonalność roszczeń. Drażniło ich to i podniecało, odpychało i zarazem scalało – niemal w jedność.

Recepcjonista otwiera jedno oko, ale na widok Steffena znów zapada w łagodny letarg. Horgath pnie się po schodach. Jeszcze nim znalazł się na drugim piętrze, czuje, że coś jest nie tak. Właściwie nie ma żadnych sygnałów, nikt nie przestawił doniczki z więdnącym filodendronem, nie zagiął rogu dywanu. Po prostu coś wisi w powietrzu. Coś niepokojącego. Coś zaszło. Steffen jest już trzeźwy – kiedyś wszyscy mu zazdrościli tej umiejętności błyskawicznego trzeźwienia, szczególnie na służbie. Podchodzi powoli do drzwi swojego pokoju. Są wyłamane, numer – 302 – dynda na jednym gwoździu. Wchodzi, ostrożnie. Przemyka mu przez myśl, żeby wezwać wsparcie (tak zawsze myślał o policji), ale mimo wszystko nie decyduje się na to.

Pokój jest splądrowany. Nie wygląda dużo gorzej niż przedtem. Brakuje płyt. Ktoś je zabrał.

Znów płyty. Znów śmierć. Niby sięga po nie niechętnie, ale nic nie może go powstrzymać. Zobaczyć ją raz jeszcze. Tylko raz. Aż raz. I zrozumieć – dlaczego. Dlaczego.

Odpala. Znow ta intensywność bieli, wydaje się, że z każdą sekundą rosnąca. Znow jakiś człowiek przyszpilony do fotela. Za chwilę wypije koktajl, składający się głównie z pentobarbitalu sodu. Steffen wpatruje się intensywnie i znow – igła rozczarowania. To mężczyzna.

Ale coś jest nie tak. Wszystko wydaje się podobne, ale jednak w nieuchwytny sposób inne. Nagle rozumie – dźwięk. Słyszy dźwięki, każdy szelest dochodzący z Sali Bieli – tak nazywa w myślach to pomieszczenie. To tam mieszka Królowa Śniegu. To stamtąd rozprysły się na świat cały kryształ lodu – jeden z nich utkwiał w sercu Kaja. Drugi w sercu Anny.

O co cho... Biały, oślepiający błysk zrozumienia zlewa się w jedno z głosem spoza kadru:

– Poniżej trzydziestu stopni... Odczyty w normie.

Ów zarośnięty facet... to on, Steffen. Obserwuje własną śmierć! Jak to moż... Chce krzyczeć, ale nie może. Słyszy każdy dźwięk z filmu, a nie słyszy siebie – jakby zaczęła nagle działać brutalna, foniczna ekonomia – coś za coś...

Budzi się nagle. Jest w hotelu – wszędy porozrzucone płyty. No i puszki po piwie. Cholerny koszmar.

– Koszmarna muzyka – mówi Steffen.

Monika nie odpowiada.

Barmanka wychodzi z baru i zaczyna zwijać imitację perskiego dywanu.

– To oznacza, że mamy piątek. Godzina dwudziesta druga – odzywa się Monika.

– Nie rozumiem.

– Och, to takie małe tutejsze rytuały. W piątki o dwudziestej drugiej zaczynają się tańce. Więc zwija się dywan.

– Dziwne.

– Urocze.

A potem tańczą. Tańczą w rytm tej cholernej muzyki. Kiedyś Anna powiedziała, że śmierć jest romanssem, który trwa całe życie. Wtedy wydało mu się to bardzo banalne. Teraz jakby mniej.

Mniej. Cały czas mniej. Życie nie jest przyrostem, życie jest nieustanną stratą, powiększającą się wyrwą, dziurą, która wchłania swego nosiciela. Steffen zawsze coś tracił. Choć być może jego konstrukcja wzmagała

odczuwanie strat, umniejszając jednocześnie zyski. Tak zmontowani są pesymiści. Niemniej cały czas tak o sobie myślał – jak o Człowieku Braku albo o Człowieku Pustki. Stracił Annę, stracił też Monikę. I ciągle nie wiedział – dlaczego. Nie przyjmował do wiadomości, że czasem traci się coś ot, tak. Los, karma.

Coś chłodnego muska mu twarz. I znów. Czuje się dotknięty.

To śnieg. Miliony płatków wirują w powietrzu i dotykają wszystkiego. Nie pamiętał śniegu w Dolinie. Tu zawsze padał deszcz oblepiający grząską mokością.

Śnieg. Steffen nie może oderwać wzroku. Patrzy, jak biel nieustępliwie pochłania wszystko – pokrywa patyną jaskrawej przenikliwości. Może przykryje wreszcie wszystko – slumsy i wieżowce, śmietniska i przytuliska. Wszystko ujednolici, znormalizuje, nawet... temperaturę?

Ta biel, która tak ogarnia, tak zawłaszcza jakby była śmiercią. I przenika. Przypomina. Tak. Steffen wie. Już prawie wie wszystko.

Już prawie wie. Idą tym cholernie białym korytarzem aż docierają do windy. A w windzie jest oczywiście windziarz w białym uniformie – na piersi logo firmy, też białe.

– Które piętro? – pyta windziarz (Steffen nazywa go w myślach Charonem).

– Ostatnie – mówi Miller i ulatnia się, jakby zmienił stan skupienia.

– Niech pan wciśnie guzik. Zobaczymy, czy rzeczywiście jest pan zaproszony. Pańskie odciski palców musiały już zostać zeskanowane.

Więc wciska – ostatni od góry. Winda, jakby z ociąganiem, rusza.

Windziarz patrzy na Horgatha z większym zainteresowaniem.

Winda tymczasem śmiga w górę. Do nieba – myśli Steffen. Im wyżej, tym mocniej rozbrzmiewa muzyka zespołu „Zapach śmierci”.

Drzwi rozsuwają się z bezszelestnością.

I tak Horgath wstępuje do nieba.

Zastaje tam dwóch ludzi – obu zna.

Na obrotowym fotelu siedzi Wergiliusz. Obok stoi barczysty Pomocnik z dość charakterystycznym sygnetem na serdecznym palcu prawej dłoni.

Pomieszczenie na ostatnim piętrze błyszczało bielą boską, nieskazitelną – jakby zastosowano w WYJŚCIU stopniownalność doskonałości – im wyżej, tym bardziej pobielone.

– Jak ćmy do światła... – mówi uśmiechnięty Wergiliusz. – Jak ćmy do światła...

– Niestety, zgubiłem pańskiego buta – Steffen zwraca się do Pomocnika. Ten uśmiecha się wąsko (ostre, wyraziste rysy twarzy). Tak, jest w nim coś odpychającego. – Nie musiałeś zabijać tego biednego sukinsyna...

– Jestem szefem ochrony tej placówki. Zabijanie nie należy do mych obowiązków – Schulz uśmiecha się. Odpychająco.

– Zabiłeś Stilla. Wiem, że to ty.

– Panowie już się... poznali – wtrąca Wergiliusz-Gordian. – Pozwolę sobie jednak dopełnić formalności: pan Horgath, pan Schulz, wykwalifikowany Pomocnik, znakomity fachowiec. Pan Schulz oczywiście nikogo nie zabił. Dowody wskazują raczej na pana Mizersky'ego. Trochę interesowaliśmy się tym śledztwem. Pański przyjaciel, inspektor Nobody, podjął trop.

– A więc Wergiliusz okazał się Bogiem...

– Nie rozumiem... Wergiliusz? Ach, tak mnie pan nazywał? Trafnie, zważywszy na okoliczności...

– Proszę spocząć – mówi Schulz.

– Wieczny odpoczynek – intonuje Horgath.

– Brawo. Pan jest dowcipny.

Horgath siada. Przed sobą ma wiele monitorów – i rozlewające się po ekranach ludzkie mrowiska. Pragnie ich zapytać o Annę, o Monikę. Tak, o Monikę. Ale wciąż, z tą swoją barokowością frazy przemawia Gordian.

– Zaszły pewne... nieporozumienia.

– Łagodnie pan to ujął.

– Taaak. Otóż doszło do pewnych... wycieków. – Wyjmuje z szuflady jedną z płyt. TYCH płyt.

– Więc to wy je wykradliście...

– Pozwolę sobie zauważyć, że nigdy nie były pańską własnością. Przez jakiś czas dochodziły nas słuchy, że ktoś handluje sfilmowaną śmiercią. Myśleliśmy, że jest pan w to zamieszany. Stąd te... niepotrzebne w gruncie rzeczy incydenty. Baliśmy się, że może chodzić o kradzież filmów z przesłaniami nagrywanymi przez naszych... pacjentów tuż przed śmiercią. Było to mało prawdopodobne, zważywszy na nasz znakomity system zabezpieczeń. Okazało się, że wykradzono filmy z systemu

monitorującego – odpowiedzialnego technika już usunęliśmy. Najmował go pewien współpracujący z nami lekarz...

– Nagy – wtrąca Horgath.

– Znać byłego policjanta – z uznaniem mówi Gordian.

– Jego też „usunęliście”.

– Tak. Rozwiązaliśmy umowę o pracę. Wie pan, nasza firma ma pokoleniowe tradycje i renomę. Zaczynaliśmy jako skromne krematorium osiemdziesiąt lat temu...

Kłamstwa – myśli Steffen. – Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

– Przecież on nie żyje – mówi na głos.

– O to też mamy do niego pretensje – wtrąca Schulz. – Tyle lat współpracy i nie zdecydował się skorzystać z naszych usług.

– Schulz – łagodnie napomina go Gordian.

Schulz blednie.

Anna jest blada, niemal biała. Jak... jak śnieg? I znów igła przypomnienia – tak, wie już prawie wszystko. Przekleństwo pamięci. Jakby funkcjonował naraz w dwu czasach. Teraźniejszość jest przeszłością. Zawsze była. A raczej nigdy jej nie było. Wie, co za chwilę się wydarzy. Anna powie...

– Opowiem ci dowcip.

To do niej niepodobne. Jest jądrem smutku. Gdyby go wycisnąć, nic by nie zostało.

Wie, co będzie dalej. Ale nie może niczego zmienić, czemukolwiek przeciwdziałać. Jest jak widz, jest zamknięty w sobie samym. Zamknięty w sobie – w sensie dosłownym. A teraz Anna powie...

– Przychodzi baba do lekarza...

Za dwa dni wyjdzie z domu i już nigdy nie wróci.

– Wracając do tych kamer – peroruje pan Gordian – to są wszędzie. Monitorujące, przemysłowe... Są jak oczy Boga. Widzi pan te mrowie ludzików – każdy z nich jest osobny i zarazem wszyscy są tacy sami. Nienawidzą się i potrzebują wzajem. Schopenhauer porównał kiedyś ludzi do jeżozwierzy – kolce wymagają utrzymywania dystansu, ale w chłodne wieczory jeżozwierze muszą się do siebie zbliżyć, by uzyskać ciepło. Czują ból i ciepło bliskości – kochają się, nienawidząc zarazem. Oto galimatias, który nazywamy społeczeństwem.

– Pan naprawdę uważa się za Boga – mówi Steffen. – Kalekiego Boga.

– Ma pan na myśli moją głuchotę? To gen recesywny, kalectwo powtarza się co pokolenie. Oczywiście moglibyśmy to... wyprostować, że się tak wyrażę. Ale jest to taki znak firmowy naszego rodu. Coś w tym jest – kaleki bóg... – Gordian zagłębia się w myślach, ale na moment. – Jest coś symbolicznego w tym naszym kalectwie. Niech pan spojrzy za siebie. To oryginał...

Steffen obraca się i widzi ten sam obraz, co w Przejściu – czaszki z uszami. „Trochę bawię się w malowanie” – przypominają mu się dawno wypowiedziane słowa. Głuchy Bóg – przemyka mu przez myśl. A więc Bóg niesłyszący ludzi, ich modlitw, błagań. Tak, to dość symboliczne.

– To rodzaj przedstawienia. Wymóg naszego rodzaju działalności, tych wszystkich ostateczności... Ludzie muszą czuć pewien dystans. To teatr. Sądzi pan, że Bóg, o ile istnieje, nie stwarza pozorów? Tajemnica, drogi panie Steffenie. Ta-je-mni-ca. Źródło boskich sukcesów. Ale, jak pan wie, czasem zstępuję na padół łez. Bóg też wypuszczał sondy. Jedną z nich był Jezus Chrystus...

– Nazywają pana Małym Buddą. Jak Budda zstąpił pan pośród ludzi...

– Taaak. I dojrzał ich nędzę. Wyciągnąłem tylko odrobinę inne wnioski.

– Pan wierzy w istnienie Boga?

– Hm. Muszę się panu przyznać do pewnego... szczególnego eksperymentu...

Schulz chrząka znacząco, jest wyraźnie zniecierpliwiony. Gordian go ignoruje. Steffen jest wpatrzony w monitory. Myśli o Monice. Te myśli są jak szczepionka – uodparniają. Co się z nią stało? No właśnie – co? Kto ją zabił? I dlaczego? Myśl o jej śmierci trzyma go przy życiu.

Najstraszniejsze w tym wszystkim jest, że zna odpowiedź, tylko nie chce jej do siebie dopuścić; jest wszak zamknięty w skorupie swego ciała – to wszystko już miało miejsce, to wszystko już było! Lecz skuwa go łańcuch biegu rzeczy.

– Otóż zagrałem kiedyś w pokera z Bogiem – Gordian zawiesza głos, jakby czekał na reakcje wąskiej publiki.

Zdecydowanie jest w nim coś teatralnego – decyduje Steffen.

– Zasady były proste – rozdawałem po pięć kart Jemu i sobie. Bez dobierania, bez blefów. I sprawdzałem, kto ma silniejsze. Założyłem, że jeśli ja wygram większość partii, to On nie istnieje. Jeśli On...

– To pan nie istnieje – wtrąca Horgath.

Gordian śmieje się sucho.

– Jeśli wygrałby Bóg, potwierdzałoby to Jego istnienie. Taki mały Zakładzik Gordiana. Pan oczywiście słyszał o Zakładzie Pascala... I wie pan, jaki był wynik? Nie uwierzy pan. Przez całą noc rozegrałem w ten sposób sto pięćdziesiąt osiem partii. I wszystkie wygrałem. Wszystkie, rozumie pan?

– Czyli nie ma Go... – Steffen wciąż wpatruje się w ekrany monitorów.

– Ale to wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa! A nie oszukiwałem...

– Może to On oszukiwał.

Tym razem śmieją się obaj.

– Panie prezesie – znów wtrąca Schulz.

Śpieszy ci się – myśli Horgath. Wiem, dlaczego ci się śpieszy, draniu.

– Co? A tak. Będzie mi pana brakowało, Steffen. Chyba przychylimy się do pańskiej prośby. Nawet przyspieszymy procedury. Normalnie powinien pan odbyć szereg rozmów z panem Schulzem. Wie pan o życiu i śmierci. Takie tam, banały. Powiedzmy, że odbył pan te rozmowy fakultatywnie – ze mną...

– Co się stało z Anną Becker? – pyta Horgath. – Chcę wiedzieć, co się z nią stało. Nieważne, czy ją zabiliście, nic już wam nie zrobię. Chcę wiedzieć... - wypowiada to niemal błagalnie.

– Tak, czytaliśmy pańskie podanie – mówi spokojnie Gordian. – Niestety nie możemy spełnić pańskiej prośby.

– Nic nie rozumiesz, skurwielu. Ja muszę wiedzieć.

– Czymże jest prawda, panie Horgath? To tylko nasze pobożne życzenia...

Ta fraza Gordiana uwalnia coś w umyśle Horgatha, jakąś przekładnię sprężynkę. Ostatnie życzenie... Słowa umierającego Stilla. Może nie chodziło o jego ostatnie życzenie... Nie jego. Chwyta się tej ostatniej szansy jak tonący brzytwy.

– Ostatnie życzenie – wypowiada tę formułę jak zaklęcie.

Gordian jest wyraźnie zaskoczony, patrzy na Schulza przeciągle, ten ostatni błędnie.

– No i ma pan nieprzejrzystość naszych procedur! – po chwili powraca jednak nonszalancja – Skąd pan wie o tej procedurze? Aaa, tak. Jest pan policjantem. Choroby zawodowe. Nawiasem mówiąc, syndrom, który pana

dotyka nazywamy Nadczynnością Normalności. Tacy jak pan źle definiują normalność. Normą bowiem jest to, co nas otacza, to, co jest w przewodzie. Pan tęskni do jakichś constansów, podczas gdy standardem jest właśnie zmienność, a zmienność to brud i nieład. Pan chce wszystko ustalić, Steffen.

– Proszę mi oszczędzić tych wykładów. Ostatnie życzenie.

– Schulz!

I Schulz referuje, że koszt Ostatniego Życzenia nie może przekroczyć jednej dziesiątej sumy wpłaconej przez klienta. Że nie może dotyczyć życia lub zdrowia innych ludzi. Że czas wykonania Ostatniego Życzenia nie może przekraczać dwóch dni.

Steffen właściwie go nie słucha. Nagle coś przykuwa jego uwagę, jakiś szczegół na granicy percepcji.

Szczegółem, który od razu go uderzył był jej smutek. Gdyby nie była tak potwornie smutna, być może w ogóle nie zwróciłby na nią uwagi. Odebrał to jak zadanie do wykonania – Steffen, Kosiarz Smuty. Dopiero potem, po jej zniknięciu, po śmierci, zrozumiał, że ratując – niszczył ją. Że niwelując smutek, niwelował jej istotę. Że bez tego żalu, jej twarz byłaby bez wyrazu.

Jedna z kamer skierowana jest na tę knajpkę opodal – Przedmurze Chrześcijaństwa. Steffenowi wydaje się, że zobaczył tam... Sylwetkę? Znajoma, wiotka, dopasowana do otoczenia – jak część puzzle. Boi się ją odnaleźć na jednym z tych ekranów, ale wzrok poszukuje – wbrew woli. Wie, że to wszystko zmieni.

Jest. To ona. Na pewno ona. Stoi na przejściu i pali papierosa. Boże, jak ona pali. Jakby sam Bóg palił. Żyje. Nikt jej nie zabił. Porwanie było mistyfikacją. Ten biały rozbłysk wtedy, w aucie – to nie był strzał. Ona... ona zapalała papierosa. To była ich gra ze Szczurem. Kolejna gra... Po co jednak? Po co? Po co?

– Po co? – mówi na głos.

– W celu uniknięcia podejrzeń – odpowiada Schulz, jakby to pytanie było skierowane do niego. – Musimy filmować pańskie... zejście, ponieważ...

Ale Steffen go nie słucha. Rezonują mu pod czaszką dawno wypowiedziane zdania, skrawki słów – i znów wszystko układa się w całość, tym razem trudną do zniesienia.

„Jesteś dla mnie prawdziwym wyzwaniem” – to głos Moniki. „Absolutne kurewstwo”, „Całkowita empatia”, „Ich mimikra bywa doskonała” – to znów Wergiliusz, który okazał się Gordianem.

A więc Monika wpełzła w szczeliny jego oczekiwań. Maszynka do spełniania życzeń. Jak zwykle, idealnie dopasowana.

I misterne konstrukcje, spiskowości, racjonalizacje wałą się – jak kostki domina. Monika okazała się Pierwszym Poruszyćcielem ruiny jego mniemań. Co więc pozostało? Co istnieje naprawdę? Czy jest coś na dnie tej pustki?

– Zatem jakie jest pańskie Ostatnie Życzenie? – dociera do niego głos Boga. Nie, to tylko Gordian.

Właśnie. Ostatnia szansa na sens.

– Chciałbym usłyszeć przesłanie Anny Berger.

Gordian patrzy na niego z boskim uśmiechem. Uśmiech ów oznacza – tak, wiedziałem, że o to poprosisz, nie zawiodłeś moich oczekiwań.

– Chyba możemy spełnić prośbę pana Horgatha...

– Ale to byłby precedens...

– Nie przekraczający jednak naszych zasad.

– Zatem zgoda?

– Zgoda.

Opuszczają z Schulzem Niebo. Wygnanie z raju. Gordian patrzy za Steffenem ze smutkiem. Litością?

W windzie Schulz referuje mu metodykę śmierci. Jest chyba w jego głosie ulga. Można umrzeć w wannie, z lampką szampana w dłoni, przy dowolnej muzyce. Możliwe są różne wymyślności nieprzekraczające kosztów opłacalności procedury. Nazywa się to „śmiercią etykietalną”. Steffen czuje się jak w burdelu oferującym wymyślne usługi sado-maso. Wybiera najprostszą procedurę.

– Większość tak wybiera – mówi ze smutkiem Schulz. – Wie pan, od jakiegoś czasu próbujemy zalegalizować komory gazowe, ale to niełatwe. Oczywiście, zachowalibyśmy pełną aseptyczność, higieniczność, a także dyskrecję. Wprawdzie to dość kontrowersyjne, zważywszy na zaszłości historyczne... Mamy nieoczekiwanie dużo zamówień tego typu. W większości są to osoby pochodzenia niemieckiego. To chyba jakiś rodzaj ekspiacji, nie uważa pan?

– Czy to pan był... Pomocnikiem Anny? Rozmawiał pan z nią?

– Nie.

Wszystko na nie. Nic się nie zgadza, nic nie pasuje – aż niemożliwe. Trochę jak z tym pokerem. Wszystko tak niedopasowane, że aż pasuje.

Zjeżdżają do podziemnych poziomów budynku. Jednak piekło – myśli Horgath.

Podpisuje papiery. Nim wysłucha przesłania Anny, musi wypić swoją cykutę. Kojarzy mu się to z baśniowymi historiami – coś za coś, ekonomia istnienia. Cena. Zawsze jest jakaś cena. Tylko za co płaci tym razem?

Wypija. Smakuje jakoś tak malinowo.

Jest opleciony czujnikami badającymi reakcje jego organizmu – muszą wiedzieć, czy umarł wreszcie czy też jeszcze nie? Natychmiast uruchamiają monitor. Widzi twarz Anny. Smutną twarz. Patrzy w kamerę. Jest w lesie, pośród drzew. Choć pewnie to tylko holotapeta. Jej oczy. Jej oczy. Co powie? Teraz Steffen myśli sobie, że to nie on zmienił jej los, tylko ona – jego. Balonik pociągnął go w górę. Siła słabych.

Anna wciąż wpatruje się w kamerę – jakby patrzyła wprost na niego. Ile to trwa? Pół minuty, minutę. Stopniuje napięcie... Wtedy nadchodzi olśnienie – to jej ostatnia rola. Anna gra swą śmierć. Wszystko jest rodzajem oszustwa. Wreszcie odzywa się:

– Mam raka.

I koniec. Obraz powoli gaśnie. Wtedy przypomina sobie Monikę grającą przed nim Annę. I ta nieustannie powracająca fraza: „Mam raka, mam raka”. Już wie – Monika widziała film z Anną; nie z przesłaniem, lecz ów z kamer przemysłowych. Film, którego tak szukał, a miał go pod samym nosem. Monika grała grającą Annę. Annę, która ćwiczyła tekst przed swym śmiertelnym wyznaniem – jak w jakiejś marnej sztuce. Jest w tym coś niewymownie śmiesznego.

Więc Steffen śmieje się.

Czasy się schodzą – przeszłość staje się teraźniejszością. Przyszłości nie ma.

Biel. Biel. Biel.

– Czy zechce pan zostawić przesłanie?

Przesłanie. Tak. Ma jeszcze coś do powiedzenia.

– Jurgen Still został prawdopodobnie zamordowany przez pracownika WYJŚCIA Schulza.

Zna procedury. Procedura to tutaj słowo-klucz, to świętość, procedur się nie łamie. Każde przesłanie winno być nagrane i przechowywane w centralnej pamięci. Schulz zatem nagrywa, nie może przestać. Co sobie teraz myśli? Czy Horgath ma krewnych, którzy zechcą sięgnąć po nagranie? Znow procedure. Będą musieli je udostępnić. Szczęśliwie, nie ma. A sam jest już właściwie trupem. Ale czy Gordian nie zechce odsłuchać przesłania, wiedziony ciekawością? Przecież nie chodzi o to, że Schulz jest mordercą – o tym Gordian wiedział od dawna. Chodzi o coś zupełnie innego. O pewną... procedurę.

– Still wiedział, że Schulz jest homoseksualistą, co wyklucza możliwość zatrudnienia go w firmie WYJŚCIE. Prawdopodobnie to właśnie było przyczyną zabójstwa.

Schulz, błady jak trup, sprawdza odczyty.

– Trzydzieści sześć, sześć.

.....

[*] Fragment „Hamleta” Williama Szekspira w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

WIECZÓR TRZECH PSÓW

Nie dawajcie psom tego, co święte
(Ew. wg św. Mateusza)

Tego wieczoru myślenie nie przychodziło Dolsilwie łatwo.

– Być... żyć. Być... rzyć. Być... wyć – szukał gorączkowo dobrych rymów, lecz znajdował wyłącznie banalne. – Być albo nie być... Taaa, to dobre pytanie.

Cisnął wściekle gęsie pióro na ziemię i jął tratować buciorami; wcześniej, bezwiednie pozbawił narzędzie pracy puchu.. Przyczyną takich zachowań poety była męka twórcza, co przyprawia swe ofiary o gorączkę w oczach, niezborną i gwałtowną gestykulację oraz mamrotanie słów nie chcących w żaden sposób układać się w zdania.

Dolsilwa jak zawsze usiłował wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu.

Ale świat jakoś tego nie dostrzegał.

Nawet miejsce (a był to tani i podrzędny lupanar), w którym przyszło zatrzymać się poecie nie sprzyjało twórczym nastrojom. Święto Płodności zgromadziło w Barden nieprzebrane tłumy kupców i kupujących; gospody były przepełnione, a ceny przypominały wysokością górskie łańcuchy. Lupanar nie z takich gości się utrzymywał – noclegi były tu tanie.

Wystrój pomieszczenia przygnębiał Dolsilwę tanią wulgarnością – szczególnie już te różnokolorowe szmaty zwisające dosłownie zewsząd, co być może sprzyjało nastrojowi obyczajowej rozwiązłości, ale zarazem było manifestacją kiepskiego doprawdy smaku. Szmaty, poruszone nieustannym przeciągiem, rzucały na ściany płochliwe cienie, które nieustannie przed sobą umykały przyprawiając Dolsilwę o płasanie oczu. Natomiast z wysokości piętra nieprzerwanie dochodziły odgłosy intensywnie uprawianej miłości. Dźwięki zaskakiwały swą różnorodnością – ktoś charkotał jakby duszony, inny świergolił niczym osamotniony wróbel, często również dobywano z siebie jęki wyczerpania. Nakładał się na to płacz niemowlęcia, który Dolsilwa wziął zrazu za wyrefinowaną grę miłosną; potem jednak dowiedział się, że któraś z dziewczek urodziła

niedawno dziecko. I jeszcze ten przyprawiający o mdłości fetor spoconych ciał. Poeta był przekonany, że rzeczywistość sprzysięgła się przeciw jego przeczulonemu zmysłom, atakując je kakofonią dźwięków i potwornym bukietem zapachów.

Gdzieś na piętrze rozpętała się kłótnia – klient poróżnił się z personelem o metody przeliczania miłości na złoto. Dziewka twierdziła, że liczy się czas uprawy (pewien znany artysta nazwał kiedyś miłość fizyczną *gorzkimi żniwami*, zatem rolnicze porównania były jak najbardziej uprawnione), klient natomiast uparł się przy ilości stosunków jako przelicznika. Ponieważ do spełnienia nie doszło, nie chciał płacić, na co dziewczka jadowicie ripostowała, że klepsydra dwukrotnie była obracana i sugerowała niedwuznacznie impotencję niefortunnego kochanka. Spór ucięła Kolchinea, właścicielka lupanaru egzekwując od klienta połowę zapłaty, a dziewczkę strofując za deficyt zawodowych kwalifikacji. Kolchinea uchodziła kiedyś podobno za skończoną piękność. W pewnym wieku widać jednak, że piękno rzeczywiście nie jest kategorią nieskończoną. Poeta usiłował policzyć podbródki Kolchinei, jednak za każdym razem wychodziła mu inna ich liczba.

Aż nagle cały ten zgiełk i rwetes ucichł; nawet niemowlę umilkło. Często tak bywa w dzikich ostępach (bo w burdelach rzadziej), że pojawienie się drapieżcy niesie z sobą ciszę i bezruch. Dolsilwa rozejrzał się wokół w poszukiwaniu źródeł nagłego i niespodziewanego spokoju. Ujrzał trzy Psy schodzące z piętra. Jak rdza trawi metal na skutek wilgoci, tak Dolsilwie doskwierała ciekawość – skąd w Barden Psy w takiej obfitości? Pies był magiem, mędrce, królem poznania, badaczem pism starożytnych, alchemikiem i, powiadano, zabójcą. Nazwa cechu brała się z godła – zawsze był to pies, bez względu na krainę, bez względu na pochodzenie, na status społeczny mędrca. Pies miał znaczenie symboliczne – pozostawał w ścisłym związku ze śmiercią, był pośrednikiem między światem żywych i umarłych. Nazwa cechu kryła w sobie dwoistość – prosty lud odczuwał w stosunku do magów zabobonny niemal lęk, ale i pogardę. Nie był to bowiem lekki kawałek chleba; powiadano, że Psem mógł zostać ten jeno, kto za życia umarł; którego dusza kamieniem się stała, a sumienie – wspomnieniem. Wiadomo, że pies służy ludziom. Ale przecie nie wszystkim. Gadano, jakoby ubocznym zajęciem Psów było zwalczanie tajemnych a krwiożerczych stworów

grasujących po borach i gościńcach świata. Jednak prawdziwe ich cele pozostawały tajemnicą.

Wieść o pojawieniu się niemal w tym samym czasie trzech Psów z różnych stron świata rozniosła się po Barden lotem błyskawicy. Psa nie było tu od dziesięcioleci – świąteczny nastrój prysł; na domiar złego i niedobór dobrego dużo mówiło się o przepowiedni nadwornego astrologa księcia Sorma – oto w okolicy miał się jakoby narodzić Król królów, Pogromca Autorytetów, Łamacz Praw.

Pierwszy przybył Per kac – z zachodu. Jego droga nie była długa. Oficjalnym celem jego wizyty był Pożeracz Cieni grasujący jakoby po ciemnych zaułkach Barden. Istotnie, zaginięcia mieszkańców miasta dramatycznie się ostatnio nasiliły. Dolsilwa wyczytał kiedyś w *Bestiariuszu* niejakiego Grobesa, że Pożeracz Cieni *przód ma krokodyla, środek lwa, a tył hipopotama*, więcej w tym jednak bredni było niżli prawdy. Stwór żywić się miał cieniami istot żywych – „fakt” ów nastęczał jednak myślicielom wątpliwości co do natury jego metabolizmu; nie mogła to być wszak przemiana materii. O Pożeraczu Cieni napisano nawet rozprawy filozoficzne, jako o tym czynniku, co pozbawia przyczynę skutku. Czy może istnieć przyczyna bez skutku? – rozważano. Niektórzy odpowiadali na to pytanie twierdząco, odwracając tym samym porządek świata. W każdym razie istoty pozbawione cienia znikać miały w niebycie.

Per kac zabrał się do zagadnienia praktycznie. Przez dwa dni z rządu organizował szeroko zakrojone obławy. Podobno niektórzy uczestnicy nagonki widzieli Pożeracza, tajemnym jednak sposobem każdy inaczej go opisywał. Jeden widział krokodyla, inny lwa, jeszcze inny „coś na kształt hipopotama”. Dość, że trzeciego dnia potwora zagoniono do opuszczonego domostwa na peryferiach Barden. Per kac miał podobno dylemat, jak też monstrum uśmiercić: dostarczając mu nadmiaru cienia (na przykład w postaci fermy kur lub stada królików), by – z powodu własnej łapczywości, która obrosła legendami – zdechł z przeżarcia, czy też, co było sposobem wolniejszym, ale skuteczniejszym, odciąć go raczej od cieni? Wybrał sposób drugi. Wokół domu ustawiono strażę, a następnie zaślepiono wszelkie otwory, które mogły dostarczać światła. Pozbawiony cienia – potwór skonać miał z głodu.

W niejaki czas po Perkacu, tego samego dnia przybyli dwaj pozostali. Chormiel ze wschodu, gdzie rozciągały się nieskończone stopy i Zaarbalt

z odległej krainy Hongh. Teraz wszyscy trzej siedzieli przy jednym stole, popijając niespiesznie wino i rozprawiając o czymś w nieznanym Dolsilwie języku. Różnili się między sobą w nieomal każdym szczególe; inaczej się zachowywali, gestykulowali, inne też były ich upodobania smakowe. A jednak Dolsilwa nie miał wątpliwości: więcej ich z sobą łączyło niż braci syjamskich. Gdyby poeta znał historie ich żywotów, być może nie narzekałby na brak weny.

Nieoczekiwany przeciąg przyspieszył bieg cieni – w lupanarze pojawili się nowi goście. Wkrótce Dolsilwa ich ujrzał - czterech obwiesi spod ciemnej gwiazdy, każdy z obnażonym mieczem w dłoni.

– Najemnicy... – szepnął Dolsilwa i pomyślał, że robi się coraz ciekawiej.

Dwaj byli doświadczonymi wojownikami; pozostali mleko mieli pod nosem. Na widok magów siedzących przy stole, najemnicy stanęli jak wryci.

– Psy! – krzyknął najstarszy, wyraźnie zaskoczony, lecz bynajmniej nie przestraszony.

– Tfu! Na psa urok! – zawtórował mu jeden z młodszych.

Z góry pospiesznie schodziła do nich Kolchinea trzęsąc wszystkimi podbródkami, ilu by ich nie było.

– Nareszcie! – krzyknęła.

– Gdzie jest bachor? – zapytał najemnik.

– Na górze. Zaprowadzę – w oczach Kolchinei błysnęła chciwość. – Co za to dostanę?

– Pozbywasz się kłopotu, kobieto. Zresztą już się umówiliśmy. Cnob, idziesz z babą. Ty załatwisz sprawę. Kawalkado i Kandan zostają ze mną – komenderował stary.

– Z przyjemnością – rzekł ten nazywany Cnobem.

– Panowie z psiarni! – stary spojrzął na milczących mędrców. – Pozwólcie, że się przedstawię. Jam Jago o konicznym godle. Ja i... moi towarzysze broni mamy tu sprawę, która was nie dotyczy. Zatem spędźmy ten czas na miłej pogawędce. Myślę, że nasze...hm... rzemiosła dużo mają z sobą wspólnego...

Długo by tak pewnie gadał, gdyż odnajdował w tym niewątpliwą przyjemność, lecz rozwój wypadków go uciszył. Oto Pies Zaarbalt ryknął coś niezrozumiale i jął szarpać dłońmi brzuch z taką gwałtownością, jakby

zamierzył wyrwać z siebie wnętrzności. Po chwili zwałił się ciężko na podłogę i tam zwijał z bólu. Wywracał przy tym oczami, aż było widać białka, z ust obficie toczył pianę.

– Co, do diab... – zaczął Jago, ale znów nie skończył, bo inny Pies, Chormiel, wykonał błyskawiczny gest o skomplikowanej geometrii i wypowiedział słowa, które dla Dolsilwy brzmiały jak chrząkanie świni. Dość, że w izbie gwałtownie pojaśniało, a zdawało się, że blask ów z powietrza się bierze. Wszystkich obecnych, z wyjątkiem Chormiela rzecz jasna, oślepiło. Dolsilwa słyszał przekleństwa najemników, krzyki kobiety dochodzące z piętra, płacz dziecka i szybkie kroki na schodach – ktoś wchodził na górę.

WIARA

Kolodi mógł uważać się za szczęściarza – urodził się w rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec był najważniejszym człowiekiem w Rondrike – peryferyjnej osadzie położonej z dala od uczęszczanych szlaków handlowych. Raz w roku męscy potomkowie rodu mieli prawo, zaszczyt i obowiązek oglądać na własne oczy Horoda, władcę krainy Hongh, którego godłem był Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem. Horoda zwano powszechnie Bożym Namiestnikiem na tym łez padole, mniej powszechnie, ale również przyjęte było określenie „Dotknięty Przez Boski Palec”. Bezlitośnie tępieni opozycjoniści powiadali, że Bóg musiał stracić czucie w palcach, kiedy dotykał władcę Krainy Hongh.

Młody Kolodi nie lubił corocznych eskapad do Kerose, stolicy krainy. Miasto było potwornie ludne i zawsze sprawiało na młodzieńcu wrażenie zmęczonego, spoconego. Horod zaś, w końcu żywa legenda, okazał się opasłym knurem o rozwodnionym spojrzeniu zogniskowanym na nicości. Szczęściem ród Kolodich nie miał istotnego znaczenia w geopolityce Hongh, zatem czas oglądu władcy nie był długi. Znamienitsi poddani mieli obowiązek obserwowania Horoda cały jeden dzień w roku. A bywało, że i znaczną część nocy. Kolodi senior im zazdrościł; junior – współczuł; taka była różnica między ojcem i synem. Senior był przekonany, że możliwość oglądania władcy daje rodowi wysoką pozycję i splendor. Celem każdego kolejnego Kolodiego miało być przedłużanie nudnego widowiska. Senior,

dzięki licznym ranom i uszczerbkom na zdrowiu poniesionym w wojnach przeciw dzikim plemionom Widarian z północy dorzucił dziewiętnaście ziaren piasku w klepsydrze i był z tego powodu bardzo dumny, ponieważ w bieżącym stuleciu był to rekord.

Syn jego, jak najodleglejszy od podobnych ambicji, już jako dziecko odznaczał się niespożytą ciekawością świata. Opowiadano, że w kołysce niszczył licznie dostarczane mu zabawki, by osiąść tajemnicę ich przeznaczenia i działania. Gdy nieco podrośł, ciekawość gnała go w lesne ostępy, gdzie polował z łukiem, a następnie dokonywał na ofiarach sekcji zwłok, albowiem jęły interesować go zasady funkcjonowania organizmów żywych.

Zdarzyło się, że senior rodu umarł, a jego prawa oraz obowiązki przejął młody Kolodi. Był już wówczas młodzieńcem – co prawda niezwykle wysokim, ale odznaczającym się również chorobliwą niedowagą. Przypominał wyschły pień drzewa tuż przed ostatecznym połamaniem. Twarz miał pociągłą, ascetyczną w wyrazie. Życie uczuciowe Kolodiego nie było bogate. Śmierć ojca zupełnie go nie obeszała, myślał jeno o wykonaniu sekcji zwłok rodziciela, do czego – ze względu na tłum gapiów odwiedzających wystawione w zamkowych katakumbach zwłoki – nie doszło.

Wciąż zżerała go ciekawość świata. W towarzystwie Sekstara, człeka z gminu, którego, na wyrost, zwykł nazywać przyjacielem, odbywał wielodniowe wycieczki po bliższej i dalszej okolicy. Matka Kolodiego nie pochwałała ani tej przyjaźni, ani niezwyklej zainteresowań syna. Dawała Kolodiemu do zrozumienia, że nadszedł czas korzystnie się ożenić, by krzewić i rozprzestrzeniać ród. A nawet i niekorzystnie – byleby rozszerzać rodzinę i oderwać syna od głupstw.

W niecały rok po śmierci ojca Kolodi jął sposobić się do podróży na dwór władcy Krainy Hongh, by dopełnić wiadomego rytuału. Wybierał się niechętnie, a trafił chciał, że jego przyjaciela żywcem zżerała ochota ujrzenia władcy i zapoznania się z dworskimi obyczajami, które zdawały mu się szczytem wykwintu. Od słowa do słowa – zmówili się, że zmienią się miejscami. I tak Sekstar pojechał do stolicy, Kolodi zaś – na długie polowanie, bo zamierzał przyczynić się do śmierci pięknych saren – chciał z bliska, takiego bliska, że bliżej już się nie da, przyjrzeć się ich skocznym kończynom.

Obaj byli przekonani, że mistyfikacja się powiedzie. Łączyło ich bowiem pewne podobieństwo, nadto Kolodi pouczył Sekstara na temat arystokratycznych zachowań. Mimo to podmiana została wykryta. Sekstara, jako człeka niepowołanego do oglądania władcy krainy Hongh, skazano na wyklucie oczu i obcięcie dłoni. Po wstawiennictwie Kolodiego, który prosił o pozostawienie Sekstarowi oczu, karę złagodzano.

Pozostawiono dłonie.

Tymczasem ród Kolodich utracił równo trzydzieści ziaren piasku w klepsydrze. Obecnie było ich tylko sto i pięć.

– Dobrze, że twój ojciec tego nie doczekał – powiedziała matka Kolodiego.

Kolodi nic na to nie odparł.

Często odwiedzał swego oślepionego przyjaciela i opowiadał mu o ptakach – coraz mocniej zajmowało go zjawisko lotu. Sekstar za każdym razem pytał, dlaczego właściwie nie odjęto mu dłoni i nie pozostawiono oczu. Kolodi odpowiadał na to pytanie filozoficznie.

– Równie dobrze, mój przyjacielu – mówił – mógłbyś zastanawiać się, dlaczego słońce jaśniej świeci od księżyca...

No właśnie, dlaczego? – przemknęło przez myśl Kolodiemu; demon ciekawości znów wziął w posiadanie jego duszę, a zagadnienia astronomiczne pochłoneły rozum.

Sekstara nie zadowalały filozoficzne wykładnie jego losu. Bez przerwy narzekał na jakość życia ślepcy; brak kolorów był mu niemiły; brzęczenie muchy, na którym - wbrew jego woli - koncentrowały się pozostawione mu zmysły, powodowało biedaka o udrękę bezsenności.

Któregoś dnia Kolodi zabił Sekstara i z ciekawością obejrzał jego organy wewnętrzne. Kiedy zabijał, mówił szeptem, że to dla dobra wszystkich ludzi, a w jego oczach lśniły łzy, które przypominały drogocenne klejnoty. Kolodi należał do tego gatunku osobników, którzy zabijają, by jak najwięcej dowiedzieć się o życiu, czynią zło dla ogólnego dobra, wierzą w powszechne szczęście, siejąc wokół siebie nieszczęście.

Ku zgryzocie matki, Kolodi opuścił Kondrikę na zawsze. Była w nim niezachwiana wiara w doniosłość własnego przeznaczenia. I zdarzyło się, że napotkał po drodze starca, który rościł sobie pretensje do mądrości. Starzec był Psem.

– Widzę, panie, że pcha cię naprzód wielka determinacja. Musisz być człkiem gorzko doświadczonym przez życie... – rzekł starzec, gdy wieczorną porą zasiedli przy ognisku.

– Nie narzekam – odparł Kolodi z ujmującą prostotą.

– I to dostrzegam. Pan nie rozróżniasz dobra od zła i wyrzucasz to sobie, prawda?

Kolodi zastanowił się. Wyrzuty sumienia nie były plagą, z którą się zmagał. Dostrzegał jednak, że gdy – we własnym mniemaniu – czynił dobrze, inni ludzie zwykle fatalnie to odbierali. Chciał wiedzieć dlaczego, więc zapytał:

– Dlaczego?

– To proste: jedność przeciwieństw, mój panie! Pan wcale nie widzisz mniej od innych, jeno więcej. Dobro i zło to końce jednego drąga. Z tym jest jak z ogniem i mrozem: niby przeciwieństwa, a w swych ekstremach działają podobnie – skutki odmrożeń i poparzeń są jednakie, nieprawdaż? Dlatego ludzie dotknięci monstrualnym dobrem fiksują, jakby ich dotknęło zupełne zło.

Wywody starca zdumiały Kolodiego swą prostotą. Oto, do czego zawsze zmierzał – absolutna prostota, uniwersalizm zupełny podany na talerzu w trzech nieskomplikowanych zdaniach!

– Patrzysz na mnie, panie Kolodi – perrorował namiętnie starzec – i widzisz Psa. Czujesz zapewne coś na kształt lekkiej obawy i obrzydzenia wymieszanej z ciekawością. A ja ci, panie Kolodi, powiem, że wszyscy ludzie są psami. Tak, wszyscy, nie dziw się. Zwyczajny pies, a mam tu na myśli czworonoga, nie wie, dlaczego jego pan wymaga od niego szczekania na jednych ludzi i merdania ogonem na widok innych. Nie wiedzą, dlaczego mogą szczać wszędzie, jeno nie w domostwie właściciela. Nie mają pojęcia, po co muszą ścigać do upadłego inne stworzenia, a następnie – wbrew naturze – ich nie zjadać. W zamian dostają gnata i wątpliwą protekcję. Jednak sens praw, które muszą respektować jest dla nich tajemnicą. Respektują, lecz nie wiedzą, dlaczego. Podobnie sprawy się mają między Bogiem a ludźmi. Wszyscy ludzie są psami, panie Kolodi, ale tylko my mamy odwagę przyznać się do tego i jeszcze czasem potrafimy ugryźć Stwórcę w rękę, która podaje nam gnata! A teraz, panie Kolodi, powiedz, wierzysz mi?!

W Kolodim, gdzieś głęboko, gdzieś, gdzie nie sięgnęłaby żadna sekcja zwłok, było takie puste miejsce: miejsce na wiarę, Wszystko jedno, w co. Do tego miejsca odbył się wyścig – kto pierwszy, ten lepszy.

Pierwszy był Pies.

Kolodi Psem zatem został i przyjął imię Zaarbalt, co w psiej mowie oznacza *Wierzący Na Słowo*.

Nauka psiej profesji odbywała się w Akademii Psów mieszczącej się na wyspie Haanor, którą obmywały zewsząd wody słodkiego Jeziora Alzaa. Nauka długa była i żmudna, lecz umysł Zaarbalt, choć nieskomplikowanej był natury, okazał się chłonny. Szczególną uwagę, co oczywiste, poświęcał księgom anatomicznym. Nadto, wymagano od niego, by bacznie snom swym się przyglądał, albowiem uważano, że tajemny protektor Psów w snach właśnie najczęściej objawiał swą wolę – i to tylko wybranym. Nazywany był Władcą Snów albo – co wydało się Zaarbaltowi nonsensem – Tym, Który Nie Jest. Natura Władcy Snów była tajemnicą, pochodzenie – nieznane, cele – mgliste. Zaarbalt podejrzewał, że jest to postać legendarna, zatem po jakimś czasie przestał zwracać uwagę na sny, tym bardziej, że najczęściej nie śniło mu się nic, z wyjątkiem parujących człeczych wnętrzności.

Ponieważ młodzieniec wciąż przejawiał pewne altruistyczne skłonności (które wprawdzie nie dotyczyły żadnego konkretnego człowieka, lecz całej ludzkości), stary Pies zabrał go któregoś dnia na przejażdżkę łodzią po jeziorze. Dopłynęli do piaszczystego półwyspu nazywanego Półwyspem Żuka. Już w pierwszej chwili Zaarbalt zrozumiał, dlaczego tak a nie inaczej ochrzczono ów spłachetek lądu. Na piaszczystym brzegu roiło się od ogromnych żuków – były ich miliony, a może i więcej. Drgające punkty wyraźnie odcinające się od tła. Większość, na skutek oddziaływania silnych wiatrów, osypującego się piachu albo fal śmiało penetrujących ląd, leżała bezradnie na grzbietach. Wciąż poruszały odnóżami, wciąż – bardziej chyba instynktownie niż z jakąkolwiek celowością – próbowały zmienić niekorzystne położenie. Daremnie.

– Wyobraź sobie, Zaarbaltie – mówił stary Pies, którego uczniowie nazywali Psem Z Kulawą Nogą, ponieważ lekko utykał – że te nieszczęsne żuki to ludzie w opresji, wszystko jedno jakiej, dość, że w ostatecznym rozrachunku – śmiertelnej. Jak im pomożesz? Ilu ocalisz? Życia nie starczy ci nawet na ułamek. Na którym poprzestaniesz? Który będzie ostatnim

szczęśliwcem, a który nieszczęśnik pierwszym i niezasłużonym pechowcem?

Zaarbalt zrozumiał. Odtąd zawsze, gdy zobaczył jakiegoś żebraka przymierającego głodem albo dziewczkę bliższą dna niż sukcesu towarzyskiego, nie czynił nic. Za każdym bowiem razem przypominał sobie o żukach. I o daremności.

Kilka lat później, gdy Zaarbalt był już pełnoprawnym Psem, zdarzyło się pewnej nocy, że przyśniły mu się bynajmniej nie parujące wnętrzności. W tym śnie znajdował się na plaży, nawet wydawało mu się, że czuje na twarzy łagodną, ciepłą bryzę, która koła, balsamowała skórę. Rozejrzał się wokół i wtedy zobaczył żuki; były dosłownie wszędzie – jedna, rozedrgana masa. Niemal wszystkie poprzewracane były na grzbiety. Zaarbalt pochylił się nad jednym i jął obserwować beznadziejną pracę jego odnóż. Zaraz też zapragnął żuka rozplatać i pooglądać go od wewnątrz. Bo wewnątrz właśnie musiała się kryć tajemnica tej beznadziejnej dążności, tego pędu ku istnieniu, który wszyscy nazywają życiem. A jednak coś innego odwróciło uwagę Zaarbalt. Ujrzał w pewnym oddaleniu drobną figurę chłopca, który mógł mieć siedem, może osiem lat. Dziecko niespiesznie przechadzało się plażą, nie robiąc przy tym nic szczególnego. A jednak tam, gdzie przeszło, tam żuki nie były już bezradne. I to nie były żuki.

Byli to ludzie.

– Oto jest ten, którego w przyszłości będą nazywać Głosem Boga – Zaarbalt wyraźnie słyszał szept, nie widział jednak szepczącego.

– K...kim jesteś?

– Nazywają mnie różnie. Jak zwali, tak zwali. Musiałeś słyszeć o Głosie Boga? – szept zdawał się dochodzić zewsząd. Czyli znikąd.

– Stare przepowiednie. Syn Boga wcielony w człeczą skorupę...

– Dobrze, Zaarbaltie, odrobiłeś lekcję. Przyjdzie na świat niebawem, a stanie się to na terenie Cesarstwa Lechandryjskiego. Cesarz już wie i jest... hm... żywo zainteresowany jego śmiercią. Powiem ci dokładniej i musisz to zapamiętać. Opoдал miasta Barden, na Zamku Kaltern, dawnej posiadłości hrabiego Mortena. Zapamiętasz?

– Tak.

– Świetnie. On pokaże ci sens świata i przyczynę życia. Weźmiesz go pod opiekę, nauczysz, co sam umiesz. Ukształtujesz go na rasowego Psa.

Pozbaw go duszy, a zadbaj o rozum i świat będzie lepszy. Dużo lepszy...

Ale Zaarbalt miał swoje plany. Wciąż bardzo zajmowała go zasada funkcjonowania Wszechświata. Jeszcze w szkole wykonał skomplikowany model: maszynę, której rytm działania miał być zarazem rytmem świata. Jeden z praktyczniej myślących uczniów Akademii wykorzystał model Zaarbalt do konstrukcji pierwszego zegara.

Tymczasem Zaarbalt myślał o wnętrznościach – i to nie byle jakich, bowiem jego umysł bez reszty zajmowały Trzewia Bożego Syna.

Po co będę go o cokolwiek pytał, myślał Pies, Przecie jego wnętrzności muszą być modelem świata. Zrozumiem wszystko, gdy ujrzę jego serce.

Myśl ta pochłonięła Zaarbalt bez reszty, jakby nie myślą była, a przepaścią. Towarzyszyła mu podczas przygotowań do dalekiej podróży i podczas samej wędrówki do Cesarstwa Lechandryjskiego. W trakcie dwutygodniowej wzdłuż brzegów Morza Martwego żeglugi Psu zebrało się na wymioty – zmogła go choroba morska. Pogłębiło to jego irytację na niedoskonałość człeczkiej kondycji, miał za złe własnemu organizmowi taką oczywistą słabość. Usiłował umysłem zapanować nad reakcją wymiotną. Daremnie. Owe zmagania na krótki czas oddaliły go od myśli o Bożych wnętrznościach. Gdy zdał sobie z tego sprawę, opanował go jeszcze większy gniew; no bo jakże to – słabizna własnej kondycji oddalać go ma od myśli o Absolucie?!

Barden zaskoczyło Zaarbalt swą pokazową, jak mu się wydawało, żywotnością, wigorem. Wszystko działo się tu szybciej, w większym natężeniu niż w jego rodzinnych stronach; ludzie wydawali się żyć pełniej, radośniej. Lecz Zaarbalt myślał o nich wszystkich jak o żukach przewróconych na grzbiet. Ot, te żuki po prostu szybciej przebierają odnóżami, lecz daremna to aktywność.

Spotkanie w lupanarze (instytucje takie były w Krainie Hongh czymś nie do pomyślenia) z dwoma innymi Psami wywodzącymi się z innych części świata, innych kultur, innych Akademii wreszcie, zdumiało Zaarbalt, jednak nie doprowadziło jego umysłu do żadnych głębszych refleksji. Po prostu brakło miejsca, Pies bez reszty był pochłonięty jedną obłądną ideą.

Trzeciego dnia pobytu w Barden zebrali się wszyscy przy jednym stole, pili wino i gadali. O dziwo, choć pod każdym względem odlegli, zdawali się Zaarbaltowi bliżsi niż ktokolwiek inny – nawet jego matka, nawet

przyjaciel, którego zabił. Nie wsłuchiwał się uważnie w rozmowę, sam raczej milczał. Raz wznosił toast, chcąc wyrazić wdzięczność opatrności za tak interesujące spotkanie, ale zamiast „wdzięczności” wyszły mu „wnętrzości”, więc umilkł, zawstydzony. Tymczasem dwaj pozostali mówili coś o Pożeraczu Cienia, o cieniu świata, o jakowych Trzech Królach.

Zaarbalt czuł się bardzo źle i jego stan pogarszał się z każdą chwilą. Znów, jak na statku, nie potrafił siłą umysłu zapanować nad buntem organizmu. Jakby zapomniał, że umysł też jest jeno częścią organizmu.

– Ale to się zmieni – szeptał do siebie. – Już wkrótce się zmieni... Wszystko się zmieni...

Głęboko w to wierzył. Nawet wówczas, gdy upadł na podłogę tocząc z ust pianę i wywracając oczy aż po białka.

I z tą niczym niezachwianą wiarą umarł.

NADZIEJA

Wiele wskazywało na to, że losy Gerolda z miasta Menola są przesądzone. Od dziecięcych lat cichy, spokojny, skoncentrowany na własnym, nieco po prawdzie ubogim świecie wewnętrznym, zawsze na uboczu, nieco od swych rówieśników mniejszy, znacznie bardziej wyciszony. Podobno jeszcze w kołysce leżał nienaturalnie spokojnie, niczego się nie domagając, nawet pokarmu. W gruncie rzeczy Gerold wydawał się niezmienny jak głaz, ale z kamienną twardością nic wspólnego nie miał; wręcz przeciwnie – była w nim miękkość i miałkość, być może przesadzona z góry wyglądem zewnętrznym. Wystarczało Geroldowi jedno krótkie zerknięcie w zwierciadło, a choćby nawet i w kałużę i hardość natychmiast się w nim załamywała – a to na skutek łagodnych rysów twarzy, dziewczęcych niemal.

Pochodził Gerold z rodziny mieszczańskiej; ojciec był krawcem i wyglądało na to, że syn pójdzie w jego ślady. Chłopiec spędzał długie godziny pośród strojów i materiałów. Kiedy był pewny, że nikt go nie widzi, rozmawiał z nimi nawet. Miał wówczas wrażenie, że obcuje ze światem wykwintu i dobrych manier, że oto nagle stał się kimś lepszym i przekroczył ramy zakreślone nad jego życiem przez przeznaczenie.

Rodzice Gerolda trzebili w nim wszelkie ambicje nie licujące z jego pochodzeniem i pozycją społeczną. Byli przekonani, że czynią to dla jego dobra, oszczędzając mu niepotrzebnych rozczarowań i bólu. Nie wiedzieli, że cierpienia w żaden sposób nie da się wyminąć, a rzeczywistość bywa w swym bezosobowym okrucieństwie przezorna.

Gerold dorósł i – rzeczywiście – został krawcem. Dawało mu to okazję do mierzenia kobiet w tali i biuście. Często były to piękne arystokratki o atlasowej skórze i porcelanowej cerze, lecz młodego krawca zupełnie to nie poruszało – wydawało się, iż jego marzenia rzeczywiście zostały wytrzebione. Mimo to, w samotności, dobrze ukrywając swą tajemnicę, wciąż przemawiał do strojów.

A stroje mu odpowiadały.

Gerold dorosły okazał się niemal dokładną kopią Gerolda brzdąca. Ta sama łagodność rysów przekładająca się na łagodność obyczajów; ta sama nieśmiałość i małomówność. Był co prawda większy, lecz proporcje zupełnie się nie zmieniły – pod żadnym względem.

Ojciec i syn prosperowali niezłe, ich zakład przy ulicy Krzywe Koło rozrósł się o dodatkowe pomieszczenia. Ubierali się u nich arystokraci i bogaci kupcy. Wszystko zatem układało się dobrze – do czasu jednak.

Któregoś dnia w Menoli pojawił się niejaki Kerac, emigrant (podobno polityczny) z Krainy Hongh, a przy tym – jak się wkrótce okazało – krawiec. Z miejsca przystąpił do odzieżowej ofensywy i od razu z sukcesem. Jego oferta niosła z sobą egzotykę i oryginalność, dobór kolorów szokował, a już furorę zrobiły obszerne kołnierze i haftowany wzór godła władcy Krainy Hongh: Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem. Ojciec Gerolda zareagował natychmiast odważnym połączeniem żółcieni z fioletem, jeszcze obfitszymi kołnierzami, lepszą jakością materiałów oraz – w patriotycznym uniesieniu – haftowanym godłem cesarza Lechandrii: Kobieta Bez Włosów Łonowych. Ten ostatni akt krawieckiej desperacji władze miasta uznały za szarganie symboliki cesarstwa. Starego Gerolda niezwłocznie osadzono w lochu, gdzie umarł po upływie trzech tygodni na skutek fatalnych warunków sanitarnych.

Matka Gerolda doznała pomieszania zmysłów; nieustannie wydawało jej się, że widzi męża. Chętnie do niego przemawiała, co przed tragiczną śmiercią krawca zdarzało się rzadko. Natomiast syna zdawała się nie

dostrzegać – jakby to on właśnie umarł. Gerolda nawet to nie dziwiło; sam przecie zwykł rozmawiać z ubraniami.

Po śmierci ojca w Geroldzie zaszła, zrazu niedostrzegalna, zmiana – jakby nagle runęły tamy jego charakteru; prawdziwego, choć latami ukrywanego. Była to pierwsza z dwóch wielkich metamorfoz życiowych, jakie go czekały.

Któregoś dnia nałożył na siebie szczególnie elegancki strój, który odznaczał się również niepospolitą gadatliwością i, mrużąc coś pod nosem, udał się do zakładu znakomitego konkurenta. Kerac, powodowany pogardliwą ciekawością, przyjął Gerolda. Spodziewał się uniżoności, niepewnej propozycji połączenia sił, na co zamierzał oczywiście odpowiedzieć odmownie. Nic podobnego jednak nie nastąpiło. Gerold, znacznie od konkurenta niższy, wspiął się na palce i wymierzył Keracowi siarczasty policzek. Wyrzucono go kopniakami, ale był z siebie, chyba po raz pierwszy w życiu, dumny. Nic nie wskazywało na to, że zajście zmieni życie Gerolda na lepsze. Tak się jednak stało.

Świadkiem awantury była Meroni, posługaczka w zakładzie krawieckim Keroca. Kobieta niezbyt wielkiej urody, za to wielkiego serca. Czasem wydawało jej się, że przestrzenią swego serca może objąć świat cały, z jednym jednak wyjątkiem: nienawidziła szczerze Keraca. Człowiek ten – poprzez swą arogancję, oschłość i bezwzględność – krystalizował jakby całe zło rzeczywistości; był uosobieniem tego, czego Meroni nie potrafiła znieść.

I tak zaczęła się ich dziwna miłość. Oboje zrazu nie potrafili uwierzyć we własne szczęście. Szczególnie Gerold, który był przekonany, że jego los jest przesądzony. Nie brał pod uwagę potęgi pieczołowicie hodowanego przez Meroni uczucia; ta kobieta bez trudu mogłaby pokochać trędowatego, ostatniego potwora, gdyby dostrzegła w nim choć cień dobra. A w miłości charakteryzował ją wielki upór; niektórzy nazywają to wiernością. Z upływającym czasem Gerold przestał przejmować się własnymi niedostatkami, a nawet zaczął je uważać za atut. W tych stronach ludzie niechętnie dążyli do doskonałości w czymkolwiek, a to z obawy przed obrazą Stwórcy. Koła u wozów były nie do końca koliste, wieże zamków – strzeliste, a i ulice nazywano tak, by Bogu nie urągać: Krzywe Koło, Brudna Sadzawka albo Łysy Pagórek. Zatem nędza własnej kondycji wydała się w końcu krawcowi jak najbardziej na miejscu.

Meroni objęła swą monstrualną uczuciowością również matkę Gerolda, co nie było łatwe, albowiem staruszka przestała już dostrzegać kogokolwiek z wyjątkiem swego męża nieboszczyka. Gerold coraz rzadziej przemawiał do strojów, a te przestały mu odpowiadać.

Ślub był skromny; takie też miało być życie młodej pary. Więcej nie potrzebowali – tylko odrobiny wzajemnego ciepła, przy którym ich dusze i serca, niczym dłonie zgrabiałe od chłodu przy ogniu kominka, mogły wreszcie odtajać. Któregoś dnia Meroni powiedziała mężowi, że jest przy nadziei. I nadzieja zagościła w ich domu. Gerold natychmiast zabrał się za szycie ubranek dla dziecka; wkrótce urósł ich cały stos. Myślał tylko o jednym – że zapewni dziecku los lepszy, niż ten, który przypadł jemu w udziale; że nigdy nie będzie zabijał marzeń swojej latorośli.

I niech diabli porwą tradycje krawieckie!!!, myślał, szyjąc wciąż nowe ubranka.

Pewnego dnia zszedł do piwnicy w poszukiwaniu odpowiedniego materiału. Leżały tam całe bele płótna, aksamitów; w najróżniejsze wzory, we wszystkich możliwych kolorach. Poniewierały się również stare, zużyte lub wybrakowane stroje.

Nagle Gerold poczuł Obecność. Nie była to obecność kogoś konkretnego, ta Obecność nie potrzebowała materialnego ekwiwalentu. Gerold poczuł ją znacznie mocniej i pełniej niż wtedy, gdy rozmawiał ze strojami.

– Jest tu kto? – zapytał drżącym głosem.

– Jest. I nie jest – odparła ciemność. – Jest Nikt.

Stary surdut leżący w kącie jakby nagle napęczniał i jął opinać szybko formujący się kształt. A kształtem tym była ciemność, najczarniejsza z czarnych, gęsta jak zupa, niemal namacalna – jakby pochodziła z samego dna piekieł. Już po krótkiej chwili ciemność przybrała postać ludzką. Drżący płomień świecy trzymanej przez Gerolda nie mógł przeniknąć tej atramentowej czerni.

– Kim... czym jesteś? – zapytał Gerold.

– Milcz i słuchaj. Nie mam dużo czasu. Twój syn umrze podczas porodu. Twoja żona też umrze. Tak jest zapisane.

– Zapisane? Gdzie? Syn... Mój syn? Meroni...

– Tak postanowił Stwórca, lecz czas twej zemsty nadejdzie. Jeszcze się zobaczymy, Geroldzie.

Surdut, w jednej chwili sflaczały, opadł na ziemię, ciemności rozrzedziły się; po Obecności nie było nawet śladu.

Meroni była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy zaczęły się przedwczesne bóle. Gerold od razu przypomniał sobie, że ósemka uchodzi za liczbę fatalną – jako „odwrócona nieskończoność” oznacza przedwczesne zakończenie życia. Nie potrafił znieść spojrzeń swojej żony – było w nich nie tylko przerażenie; było też nieme pytanie – dlaczego? Meroni mniemała, że poprzez swe wszechogarniające dobro wykupiła sobie wreszcie dobry los. Myliła się.

Dopiero wtedy trwoga zagnała Gerolda do Boga. Modlił się gorączkowo, błagał, groził, obiecywał. Miał jednak wewnętrzne przecucie, które kielkowało, rosło, aż wydało gorzkie owoce: Cień nie mylił się, jego rodzina lada dzień umrze. Nadzieja umarła w Geroldzie.

Stało się dokładnie tak, jak było zapisane gdzieś bardzo, bardzo wysoko. Tak wysoko, że ludzie zbyt są krótkowzroczni, by odczytać własny los.

Trzy dni i trzy noce Gerold zajmował się głównie rwaniem na sztuki uszytych przez siebie strojów. Zaczął od ubranek dziecięcych. Cały czas milczał, a w jego oczach nie było łez. Trzeciego dnia nastąpiło drugie wielkie przeistoczenie Gerolda. Zszedł do piwnicy i starannie zapakował stary surdut – jedyny ocalały z odzieżowej rzezi. Potem zniknął i nikt więcej nie słyszał o nim w Menoli.

Tej samej nocy spłonął dom krawca Keroce wraz z właścicielem i jego rodziną. Nikt jakoś nie powiązał faktu zniknięcia jednego krawca ze śmiercią drugiego. Dość, że w Menoli przez długi czas panował deficyt krawców.

Jakiś czas po tragicznych wydarzeniach Gerold – już jako Pies – przybrał imię Perkac, co w psim języku tyle znaczy, co *Nadzieja Głupca*.

Mówi się, że Pies musi być duszy i sumienia pozbawion – taki wymóg fachu, takie kwalifikacje zawodowe. Perkac bił w tym względzie wszelkie rekordy. Okazał się Psem o nadzwyczaj zimnym i wyrachowanym intelekcie. Wydawało się nawet, że rysy jego twarzy – tak zawsze łagodne, tak zaokrąglone – wyostrzyły się; była w nich teraz ledwo skrywana drapieżność. Oczy Perkaca ściałał mróz zawziętości.

W swej celi w Akademii Psów, gdzie najpierw pobierał nauki, a następnie ich udzielał, powiesił Perkac na haku stary czarny surdut,

którego nigdy nie zakładał. Bardzo lubił, gdy w pomieszczeniu panował przynajmniej półmrok, a najlepiej już mrok. Jeśli nie pracował, potrafił całymi dniami przesiadywać samotnie w ciemnościach i wpatrywać się w surdut, jakby w oczekiwaniu na coś.

Renoma Psa Perkaca rosła; podobno sam Cesarz radził się go w delikatnych sprawach. Za taką właśnie uznać należy narodziny Detronizatora Cesarzy. Perkac uzyskał od władcy wszelkie prerogatywy w tej sprawie. Zresztą już od dawna zajmowały go badania nad starymi przepowiedniami mówiącymi o rychłym przyjściu na świat Syna Bożego, w innych wersjach nazywanego Głosem Boga.

Ochrypniesz... – często mówił do siebie Perkac. – Głos stracisz... Syn za syna!

Wreszcie zdarzyło się, że stary surdut znów wypełnił się Obecnością i Perkac został poinformowany o miejscu i czasie narodzin Głosu Boga.

Intrygę uknuł szybko i starannie. Nie chciał bowiem wywoływać niepotrzebnego zamieszania swym nagłym pojawieniem się w Barden. Za pośrednictwem zaufanych ludzi, wiernych poddanych Cesarza, rozpuścił po mieście plotkę o Pożeraczu Cieni. Kilku głupców postradało życie dla uwiarygodnienia historii. Całe zamieszanie sprawiło, że Pies przybył do Barden na usilne życzenie władz miasta. Po odegraniu komedii z nagonką i polowaniem, Perkac mógł wreszcie zająć się właściwym celem swojej wizyty. Pojawienie się dwóch innych Psów mocno skomplikowało sytuację; Perkac od razu domyślił się, że ma do czynienia z konkurencją. Od czasu historii z krawcem Keracem, Pies fatalnie znosił konkurencję.

Kiedy zatem pewnego wieczoru zasiedli razem przy stole, Perkac dosypał Psom dyskretnie trucizny do wina.

– Przyznaj jednakże, panie Perkac, że ostatniego Pożeracza Cieni, a wiem o tym, bom sprawdzał w kronikach miejskich, widziano w tych okolicach jakieś czterysta lat temu... – powiedział ten, który zwał się Chormielem.

Zaarbałt wychylił kielich, a Perkac skwapliwie dolał mu wina. Pies Zaarbałt wydawał się bez reszty pochłonięty jakąś doniosłą ideą; głównie bowiem milczał. Chormiel za to mówił za dwóch. Jednak ku zgryzocie Perkaca do tej pory nie tknął zatrutego wina. Jego uwaga o Pożeraczu Cienia niosła z sobą oczywisty podtekst – Chormiel wiedział, jaki był prawdziwy cel wizyty Perkaca w Barden; mało tego – zapewne cele wizyt

wszystkich Psów były identyczne. Czyż trzy Psy mogą się spotkać w jednym miejscu w tym samym czasie zupełnie przypadkowo?

– Taaaak – westchnął Per kac. – Ale, ale. Wiesz pan, panie Chormiel, cała ta historia z Pożeraczem przypomina mi pewną starą teorię o cieniu...

Chormiel wykazał uprzejme zainteresowanie, Zaarbalt wciąż milczał; Per kacowi wydawało się, że Pies z Krainy Hongh mocno pobladł.

– Otóż mędrzec powiedział kiedyś – kontynuował Per kac – jakoby świat nasz cieniem był jeno świata doskonalszego, a w każdym razie prawdziwszego. Stwórca całym swym światłem, łaską i chwałą obdarza tamten, prawdziwszy świat. Niezamierzonym (choć czy może być cokolwiek niezamierzonego w postępkach Boga?) efektem tego procesu jest cień prawdziwego świata rzucony na pustkę – i to ma być właśnie nasz świat. Mędrzec ów wyrokował, że nasza rzeczywistość jest jakby zaprzeczeniem albo odwróceniem rzeczywistości właściwej...

– A zatem w tamtym świecie nasze... – Chormiel zawahał się – ... oryginały mogłyby okazać się całkiem przyzwoitymi ludźmi...

Chormiel podniósł kielich do ust. Per kac wstrzymał oddech w napiętym oczekiwaniu i... nic. Chormiel odstawił naczynie, by mówić dalej:

– Może są jakimiś mędrkami, królami poznania... – urwał i niemal wwiercił się spojrzeniem w Per kaca. – Którzy przybyli złożyć hołd Bożemu Synowi.

Zapadła ciężka cisza.

– Cóż – przerwał ją Per kac – wznoszę toast za nasze... oryginały. Oby nie zeszyły na psy!

Zarechotali, napięcie opadło.

Na czole Zaarbalta perlił się zimny pot.

Chormiel wreszcie wychylił kielich.

Kielich goryczy, pomyślał z ulgą Per kac.

Dokładnie w tym momencie do lupanaru wpadli najemnicy z obnażonymi mieczami. Per kac od razu domyślił się, że musi chodzić o tego bachora, który niedawno przyszedł na świat z nieczystego łona jednej z dziewczek.

To sprawka tego głupca Sorma! – pomyślał z wściekłością Pies. Zaraz przyszła mu do głowy inna niewesoła myśl. Tak wielu potęgom, ludziom, cesarzom, księżom, Psom i nadprzyrodzonym Cieniom nie w smak było przyjście na świat Głosu Boga, że ich działania wzajem się niwelowały –

nieustannie wchodzili sobie w drogę. Być może to wszystko, a w tej liczbie i on, Per kac, było częścią Boskiego Planu? Myśl ta była P su tak nienawistna, że aż się zatrząsł.

Tymczasem najemnik, który zwał się Jago, figura dość po prawdzie szpetna, gadał coś o pokrewieństwie rzemiosła psiego i najemnego. Młodszy obwieś, Cnob, poszedł na górę wraz z Kolchineą. Ale właśnie zaczynało się krótkie, lecz bolesne umieranie Zaarbalt a. Widok był nieznośny – w umieraniu jest jednak coś intymnego. Per kac pomyślał, że każdy powinien umierać w samotności. Z utęsknieniem czekał również na zejście ze sceny Chormiela, ten jednak nieoczekiwanie posłużył się Magią Gestu i uczynił to z taką biegłością i szybkością, że Per kac nie zdążył zasłonić oczu. Był to Znak Zii, gest oślepiający – jego działanie nie miało skutków trwałych; więc Per kac cierpliwie czekał. Słyszał przekleństwa najemników, odgłosy tłuczonych naczyń; z góry dochodziły okrzyki kobiety, płacz niemowlęcia. Przez krótki moment Per kac zastanawiał się, po co właściwie Chormiel wtrącał się w robotę najemników? Zaraz jednak zrozumiał: Chormiel chyba nie do końca pozbył się sumienia. Per kac uznał, że to nadzwyczaj zabawne.

Po jakimś czasie wszyscy przejrzeni na oczy. Z piętra chwiejnie schodził Cnob; cały skąpany we własnej krwi. Jego twarz przecinała paskudna szrama.

– Dziewka... – powiedział. – Dziewka uciekła!

– Co z bachorem? – zapytał Jago.

– Zabrała go z sobą.

Jago zaklął szpetnie i rozejrzał się wokół. Opoдал poniewierał się trup Zaarbalt a. Chormiela nie było przy stole.

– Co z tym drugim Psem?

– Zimny – odrzekł Cnob.

– I bardzo dobrze. – Jago zerknął na Perkaca. – I co my z tobą zrobimy, mój pieski przyjacielu?

– Nie wchodźmy sobie w drogę – spokojnie odrzekł Per kac. Nie uważał się za biegłego w doraźnej Magii Gestów; najpewniej nie zdążyłby. Zatem postanowił pertraktować.

– Ja mówiłem o tym wcześniej – zauważył Jago. – Ale twój przyjaciel już wszedł nam w drogę...

– To nie był mój przyjaciel.

– Wszyscyście z jednej sfory. Jak i my zresztą...

– Mówmy otwarcie – Per kac był zaniepokojony. Sytuacja wymykała się spod kontroli, a tego nienawidził. – Chcecie dostać owego boskiego bachora, co przyszedł na świat gdzieś w okolicy i sądzicie, że uda wam się tego dokonać mieczkami, tak? Nie macie, panowie, bladego pojęcia z czym przyjdzie wam się mierzyć. To Syn Boga. Ja być może mam szansę, wy – na pewno nie.

– Mądrze prawi jak na Psa, co Kawalkado? – mruknął Jago. – Ale ty, Psie, nie jesteś bogiem, prawda?

– Mam nadzieję – odrzekł Per kac. Los, jak zawsze perfidny, chciał, by były to jego ostatnie słowa.

– Sprawdźmy – powiedział Jago i przebił psie serce.

MIŁOŚĆ

Daleko na wschodzie ciągną się stepy rozległe jak morza. Wszystko w tej krainie wydaje się większe, obszerniejsze, intensywniejsze niż gdziekolwiek indziej. W gorące, wilgotne lata komary tną tam niemiłosiernie; zimą mróz skuwa ziemię jakby była jego więźniem, amnestia następuje każdej wiosny. Jesienie bywają tu ponure jak dusza poety. Podczas gwałtownych burz niebo piorunuje glebę wszechwidzącymi spojrzeniami – marny robal nie umknie ze swoimi sprawami jego uwadze, a co dopiero ludzie i ich namiętności, które mają tu potworne przebiegi, a zakończenia nieoczekiwane.

W tych właśnie okolicach wzniesiono przed wiekami dwa zamki – jeden, o surowej architekturze, od początku należał do szlachejnych Korlholzów; drugi, urządony z większym przepychem i smakiem, do równie dobrze urodzonych Wenterów. Nienawiść dzieląca szlachejne rody sięga korzeniami czasów bardzo odległych i różnie powiada się o jej przyczynach. Jedną z nich mogłaby być charakterologiczna niezgodność; Korlholzowie wywodzili się z plemion koczowniczych, krew ich była gorąca i gęsta, wszelkie spory zwykli rozstrzygać ogniem oraz mieczem. Wenterowie inaczej – chlubili się cywilizowanymi praszczurami, wykształcenie odbierali staranne, bardzo lubili gadać o mroźnym błękitcie rodowej krwi. Korlholzowie nie pojmowali tej metafory; puszcza li wrogom

juchę w celach eksperymentalnych, oczekując po niej nietypowego ubarwienia i temperatury. Nieustannie dziwili się jej pospolitej czerwieni.

Powiadano także, lecz jest to najmniej prawdopodobna wersja, jakoby spór zaczął się od ptaszysk zdobiących rodowe godła i ich zdolności lotniczych. Godłem Korlholzów był Szpak Szpotawy, natomiast Wenterów – Biały Kruk Z Bielmem Na Oku. Oba rody najęły pono znawców tematu, lecz ekspertyzy okazały się zgoła odmienne i lotniczego sporu nigdy nie rozstrzygnięto polubownie.

Była i romantyczna wersja historii – mianowicie seniorzy znakomitych rodów zapalali jakoby zgubną namiętnością do jednej i tej samej kobiety. Rychło jeden drugiemu łeb strzaskał ze skutkiem śmiertelnym, lecz komu kto – historia milczy. Dość, że od tej pory chlubną tradycją rodów było pouczanie spadkobierców jeszcze w pacholęcym wieku, by unikały jak ognia wyższych uczuć, ze szczególnym uwzględnieniem miłości.

W bieżącym pokoleniu pojawił się równie znakomity powód do nienawiści, a także wzajemnej rzezi. Otóż los, ślepy jak ziarno dziobane przez kurę, chciał, by Korlholz, mimo licznych a mozolnych prób z kobietami o zróżnicowanym pochodzeniu społecznym, spłodził jedno dziecko, podczas gdy Wenter okazał się niespodziewanie jurny – pacholąt dochował się siedemnaściorga. Tak poważna dysproporcja w potomności, która zrazu wydawała się w oczywisty sposób działać na korzyść Wenterów i korlholzową krzywdę, miała jednak swe drugie dno. Jedynym dzieckiem Korlholza syn był, zatem spadkobierca, Wenterowi zaś ponurą jakąś serią, córki się jeno rodziły. W okolicy nazywano je *Siedemnastoma Mgnieniami Wiosny*, bo senior rodu płodził je, gdy na rzekach lód trzaskał. Wenter podejmował również próby jesienne, dla losu odwrócenia; lecz taki płodozmian nie przynosił oczekiwanych rezultatów. Kobiety w tych stronach nie więcej znaczyły niż podpis pod umową majątkową, a często nawet mniej. Wenterowi nic nie zostało, jeno starać się o znamienitych małżonków dla cór, a i nie wszystkich, bo siedemnaście ślubów z wystawnymi weseliskami zdziesiątkowałyby dobytek. Dla niektórych dziewcząt wyznaczył zatem zupełnie inne role. Wenter był przekonany, że czeka go starość gorzka jak żółć, albowiem krew jego rodu nadto się rozrzedzi, a może nawet zatraci swój błękit i niebezpiecznie się ociepli? Nocami senior fatalnie sypiał, bo nieustannie śniły mu się otaczające

go zewsząd legiony wnuczek, córek jego *Siedemnastu Mgnień*. O niczym tak nie marzył, jak o gwałtownej śmierci korlholzowego syna.

Pieczę nad młodym Korlholzem sprawował zaufany sługa rodziny, stary wojownik i wiarus, doświadczony przelewacz wenterowej krwi, Gardos godła Stonoga Bez Dwu Nóg. Miał za zadanie nauczyć młodzika trzech rzeczy, lecz dobrze wywiązał się z dwóch jeno. Do robienia mieczem junior, po przodkach, od razu wykazał nadzwyczajny talent i ochotę. Ale już kaligrafia zdała się chłopcu wyrefinowaną torturą, której poddawał się bardzo niechętnie. Gardos twardą miał rękę; zdarzało się, że chłopcu od razów puchły dłonie, a i krew ciurkiem puszczała się spod paznokci. W końcu naturalny opór został złamany, a młodzieniec jął kaligrafować z rzadkim kunsztem; nawet wydawało się, że większą uwagę przywiązywał do formalnej doskonałości w trudzie stawianych liter, niż do treści przekazu. Z czasem nabrało to charakteru łagodnej obsesji – Korlholz mniemał, że graficzna doskonałość i pięknota tożsama jest z prawdą treści i starczy za jakiegokolwiek dowody. To zadziwiające skrzywienie umysłu już w niedalekiej przyszłości zaważyć miało na życiu młodzieńca.

Jedynym wychowawczym zadaniem, któremu Gardos nijak nie potrafił sprostać było oduczenie chłopca miłości. Korlholz od wczesnego dzieciństwa odznaczał się monstrualną kochliwością; zrazu zakochiwał się bez wzajemności w drewnianych zabawkach, potem przeszedł na materię ożywioną, a komplikacja miłowanych organizmów postępowała wraz z wiekiem chłopca. Gardos pojęcia nie miał, jak się do rzeczy zabrać. Wprawdzie opowiadał podopiecznemu, że miłość do kobiet powoduje mężczyznę o pieczenie żołądka i łamanie w sercu, ale brzmiało to nieprzekonująco. Wreszcie doszedł do wniosku, że by oduczyć Korlholza miłości, wpierw trzeba by nauczyć go nienawiści; a tego wolał uniknąć, słusznie mniemając, że sam los będzie tu najlepszym nauczycielem. Być może nie potrafił stary Gardos uczyć chłopca bezmiłości, bo sam, skrycie, mimo pozorów oschłości, kochał go jak syna.

Był stary obyczaj, że raz do roku niesnaski wszelkie w niepamięć szły, a wrogowie, korzystając z prawa nietykalności, spotykali się na hucznej zabawie w mieście Kelnor. Przeciwnicy rzucali się sobie w ramiona, obiecując dozgonną przyjaźń. Lecz już następnego dnia próbowali zgon wroga przyspieszyć, a przyjaźń skrócić.

Zdarzyło się, że młody Korlholz skończył osiemnaście wiosen i tyleż jesieni, zatem mógł udać się po raz pierwszy w życiu na festyn. Oczywiście w towarzystwie Gardosa. Korlholz rozglądał się wokół w oszołomieniu, bowiem ludzi w takim nagromadzeniu jeszcze nie widział. Tu i ówdzie potworzyły się egzotyczne pary wczorajszych i jutrzejszych, ale nie dzisiejszych wrogów. W najlepszej komitywie wspominali kradzieże wzajemnych dobytków, nastawanie na cnotę żony bliźniego swego oraz krwawe mordy na inwentarzu szczególnie znieawidzonego sąsiada.

Zaczęły się tańce. Korlholz zagłębiał się w tłumie niczym w wodach nieznanego morza. Tuż za młodzikiem, w dyskretnym oddaleniu, posuwał się stary Gardos. Sługa sprężył się natychmiast do skoku, gdy ktoś wpadł niespodzianie na Korlholza z tanecznym impetem. Rozluźnił się jednak, bo niefortunna tancerką okazała się dziewczyna, która jakby mimochodem oślepiła młodzika swą urodą. Na jej widok i Gardos jęknął w duchu spodziewając się kłopotów z korlholzową kochliwością.

– Wybacz, panie – rzekła nieznajoma. Jej głos zdawał się mgliście coś obiecywać, choć właścicielki TAKICH głosów nigdy nikomu niczego nie obiecują.

– Wybaczę pod jednym warunkiem: zatańcz ze mną, pani.

Gardos rozważał przez moment poważnie ewentualność ogłuszenia młodzieńca i dostarczenia go z powrotem do zamku.

Ale na to było już o wiele za późno.

Młodzi zawirowali, choć Korlholz myślał, że to świat wiruje, posągowo unieruchamiając roztańczoną parę. Tak oto taniec, a nie czyjkolwiek geniusz astronomiczny, świat z posad wybił. Korlholz często mylił figury, tracił rytm, ale w jego ruchach nieposkromiony był żywioł, bo taką miał naturę. Nieznajoma tańczyła z nieomylnością śmierci, bezbłędnie jak Słońce, co zawsze wie, kiedy wzejść i zejść, choć czasem tę wszechwiedzę burzą chmury. Wyglądało, jakby dwa przeciwieństwa jęły niespodziewanie tańczyć, miast szukać nieuniknionej zwady. Ogień z mrozem. Rozkosz z bólem istnienia. Mrok żywy, bo wzrokiem nieprzebitym z blaskiem, który oślepia.

Kobieta z mężczyzną.

Nieznajoma mówiła za dużo, co kontrastowało z zaklętym milczeniem Korlholza, który w werbalnej powściągliwości z kamieniem mógł iść w zawody. Opowiadała o pewnym malarzu, którego obsesją była starość.

– Żebyś widział, panie, z jaką maestrią oddawał na płótnie drzącą poskręcanych artretyzmem dłoni albo fakturę zmarszczek na starczych obliczach. Malował wieczorami jeno, przy chybotliwym blasku świec. Mniemał bowiem, że wieczór jest śmierci zwiastunem...

Korlholz bardziej wsłuchiwał się w barwę jej głosu, niemal ją widział (łagodne pastele), natomiast sens przemowy mu umykał. Młodzikowi przytrafiła się zatem przygoda podobna tej z kaligrafią.

– ...obiecał, że mnie namaluje – gadała dziewczyna – ale za lat pięćdziesiąt. Powiedział tak, choć sam był już starcem. Jakby jego nie dotyczyły prawa przemijania, jakby stał ponad naturą, ponad śmiercią, bo był przecie portrecistą wieczorów żywota...

Ruszyli powoli ulicami wyludnionego miasta, zostawiając za sobą zgiełk zabawy i całą resztę świata, z wyjątkiem Gardosa rzecz jasna, który – ukryty w cieniu – podążał za nimi, jakby sam był cieniem.

Wreszcie nadszedł czas wyznań, bowiem Korlholz wyraźnie czuł, że chwila jeszcze, ledwie ziarno piasku, i serce z piersi mu wyskoczy, by samodzielnie przemierzać kontynenty w poszukiwaniu spełnienia.

– Kim jesteś, pani? – zapytał.

– Liściem – odparła – przez wiatr porwanym. Gwiazdą z nieba upadłą. Kołyską bez dziecięcia. Koroną bez głowy...

– Zatem?

– Kobieta? – zadrwiła.

– Bez imienia?

– Och, mam imię. Jam Weni z zacnego Wenterów rodu.

Korlholz poczuł, jak niebo na głowę mu spada kaskadą bardzo ciężkich gwiazd.

– Zacnego Wenterów rodu... – powtórzył bezwiednie. – Przekłętego Wenterów rodu!

– Dla... – nie dokończyła. – Nie... Ty nie możesz być...

– Mężczyzną?

– Korlholzem?! Nieszczęście! – krzyknęła i pobiegła w noc.

Powiadają, że nieszczęścia chodzą parami. Czasem są to pary ludzi.

Mijały miesiące, a w tym czasie Korlholz zmieniał się na gorsze. Zbladł, schudł, szerniał jakby – tak mocno trawiły go od wewnątrz sprzeczne uczucia. Nikt prócz Gardosa, co grobowo milczał, nie znał korlholzowej tajemnicy. Wreszcie stary sługa nie wytrzymał cierpień

młodego Korlholza; i zaofiarował prostodusznie i z głębi serca, że zamorduje Weni, a całą robotę zakończy odwieczny grabarz miłości – zapomnienie.

Wtedy Korlholz, tytanicznie wysiliwszy umysł, zadał Gardosowi pytanie, które miało mu towarzyszyć przez resztę życiorysu:

– Czy człek może się zmienić i siłą woli wykastrować z siebie istotę własnej natury?

Gardos nic na to nie odrzekł, ale zaraz pojął, że sprawa poważniejszą jest niż początkowo mniemał. Postanowił nie dopuścić do dalszej utraty wagi przez młodzieńca, ani do gwałtownego zapadania się jego błękitnych oczu w pogłębiające się wąwozy oczodołów, ni czernienia oblicza, co widowym jest znakiem podobnych procesów zachodzących w duszy. Zatem taki plan Gardos obmyślił: młodzik list miał napisać tajemny a miłosny, stary sługa natomiast wykorzysta dawną znajomość z piastunką wenterowych *Mgnień*; ta z kolei dostarczy pismo pięknej Weni. Jak postanowili, tak też uczynili.

Korlholz, w udręce ducha, pisał dwa dni i tyleż nocy, bardziej dbając o estetykę stawianych liter niż o treść listu. Zatem zdumiona Weni przeczytała, że umysł młodzika wygotuje się niczym kasza, a serce na przestrzał przebije piersi, by siłą miłosnego ciągu przedzierać się przez gleby i skały – aż na samo dno piekieł; mimo, że piekło dna nie ma. A duszy to Korlholz zgoła całkiem już nie posiada, bo wyparowała w wysokiej temperaturze miłości. Młodzieniec w słowach tyleż uprzejmych, co formułowanych ze wzgardą dla reguł gramatyki, obiecywał solennie, że jego organizm osiągnie niechybnie stan wyżej opisany, jeśli Weni nie wyrazi zgody na spotkanie.

Gardos zorganizował schadzkę w pewnej wynajętej w Kelnor norze. Miejsce okazało się obskurne, a nędza trwożliwie wyzierała tam z każdego kąta. Młodzi jednak tego nie widzieli, ponieważ w ogóle niczego nie widzieli, jeno siebie wzajem. Stąd liczne ich kontuzje powstałe wskutek zderzeń ze ścianami oraz sprzętami domowego użytku, a także pajęczyny wplątane we włosy.

Pierwsze spotkanie zaczęli od wyznania wzajemnej nienawiści, by już po chwili oddawać się zapamiętałe miłości. Spotykali się nieregularnie, by tropy mylić; często w przebraniu, zawsze incognito. Rychło stał się Korlholz wybitnym, bo jedynym znawcą geografii ciała Weni, a miał także

kartograficzne ambicje. Pracowicie kaligrafował w pamięci jej mapę, na którą nanosił cielesne zbocza, doliny i lasy, gdzie zapuszczał się z odwagą zdobywcy nowych lądów.

Lecz stało się, co stać się musiało – intryga wyszła na jaw. Zdarzyło się, że gościł na zamku Wenterów odległy ich krewny, figura nieciekawa i nieco szpotawa; niejaki Redrak. Powiadano, iż szpetota jego charakteru odbijała się piętnem na wyglądzie – i coś w tym było z prawdy. Redrak był prostym człkiem: jego dusza w całości składała się z potrzeb, a niektóre z nich urastały do rangi żądz. Żądze zaspokajać był zmuszony, bo inaczej niechybnie spłonąłby na wewnętrznym stosie samoudręki. Uroda Weni, czyli siódmego z siedemnastu *Mgnień* olśniła go natychmiast z potworną mocą. Redrak jął czesać się na bok i kwiaty zbierać po ogrodach, co było u niego oznaką chorobliwej fascynacji. Weni za nic miała jego konkury – przedziałek na nieforemnym łbie wyśmiała, prychała ze wzgardą na dobór kwiecica w bukietach, rzekomo niefortunnie kolorystycznie.

Redrak, poruszający się pod niesłychanym kątem nachylenia tułowia względem powierzchni ziemi – tak, że obserwatorom zdawało się, iż za chwilę opadnie na dłonie i pocznie galopować na czterech kończynach – był jedyną osobą zdumioną niepowodzeniem swych uwodzicielskich prób. Jął zatem śledzić poczynania Weni, a gdy odkrył jej tajemnicę, nie rzekł słowa staremu Wenterowi. Sam postanowił zastawić pułapkę, a Korlholza ubić. Czterech najętych przez Redraka zbirów zasadziło się na młodego kochanka, a każdy dla pewności ostrze miecza zanurzył w truciźnie. Nie wzięli w swych rachubach pod uwagę Gardosa, który krążył zaułkami wokół miejsca schadzek i na wszystko miał baczenie. Obwiesie zachowywali się nierozważnie – stary ujrzał ich cienie, usłyszał podniecone szepty. Zaraz też natarł na nich odważnie, jakby armią był w jednej osobie. Niegdyś uważano go za mistrza, lecz dobre lata miał za sobą. Dwóch wprawdzie położył od razu, z zaskoczenia; bruk zaczerwienił się w księżycowym blasku. Ale trzeci ciął paskudnie starego przez rękę. Gardos przerzucił miecz do lewej dłoni, którą władał z równą swobodą i rozplątał przeciwnikowi czaszkę. Z ostatnim fechtował czas jakiś, jakby ćwicząc pchnięcia i wypady, by wreszcie, z niewymuszoną gracją broń mu wyłuskać, a ostrze miecza do gardła przyłożyć.

– Mów kto, nędzniku, a życie daruję! – warknął Gardos.

– Redrak... – wycharczał najemnik.

– Życie twe Bogu darowuję. – Gardos przebił obwiesiowi gardło.

Gdy Korlholz, nieco zmęczony siłą żywionych uczuć, wyszedł na zewnątrz, by odetchnąć wieczornym powietrzem i sprawdzić, czy księżyc jest na swoim miejscu, ujrzał niecodzienny widok. Na bruku poniewierały się stygnące trupy, a środkiem tak utworzonego kręgu stał na drżących nogach Gardos ciężko opierający się na mieczu, na którego ostrzu zastygał szkarłat. Trucizna jeła już siać spustoszenie w woli życia starca, ciężko oddychał i tracił świadomość. Zdawało mu się, że znów jest młody i morduje Wenterów w rodowych wojnach, więc drapieżny uśmiech rozszerzył mu oblicze. Trzy ziarna piasku przed śmiercią odzyskał świadomość i wyszeptał imię Redraka.

Korlholz nie poddał się rozpaczy, mimo że kochał starca jak drugiego ojca. Zapalał za to nową namiętnością – zemsta paliła go wewnętrznym żarem. Była to natura skłonna do popadania w skrajności; stany pośrednie duszy miał za nic.

Redrak przezornie nie opuszczał murów wenterowego zamku. O dziwo, stary Wenter nie wyrzekł się córki, choć szesnaście miał innych.

Długo czekał młodzik na odpowiednią okazję i ta w końcu nadeszła. Na corocznym święcie ogólnej ugody pogodził Redraka z jego rosnącymi potrzebami, łamiąc tym samym starą tradycję nietykalności.

Nastał czas rzezi i niepokoju. Senior korlholzowego rodu zaniemógł nagle i zmarł. Wówczas jego syn, trawiony nienawiścią i niespełnioną miłością, poprowadził wojnę podjazdową z zaciekłością niespotykaną w poprzednich pokoleniach. Okolica wyludniała się w rosnącym tempie, zbrodnia zbrodnię goniła, łuny pożarów co noc raniły niebo, aż wydawało się, że pozostawią na nim trwałe blizny.

Któregoś jesienno-go dnia Korlholz otrzymał list tajemny, a jego autorką była Weni. Młodzieńca zdumiała pospolitość charakteru jej pisma, dopiero potem zainteresował się treścią. Okazało się, że Weni żyć nie potrafi z mordercą kuzyna, bo to nie uchodzi. Nie może również żyć bez Korlholza, zatem nie może żyć wcale.

Nastąpiła ożywiona wymiana korespondencji. Korlholzowi też źle się żyło bez Weni, więc postanowili zgodnie przedwcześnie zakończyć żywoty. Truciznę zorganizować miała Weni, zaś *wieczór ich żywotów* (Weni przypomniała metaforę śmierci starego malarza) dokona się w miejscu schadzek. Ustalili też datę.

Jednak w przeddzień tak dokładnie zaplanowanej śmierci wydarzyło się coś niespodziewanego. Korlholz otrzymał list, którego autorką nie była Weni. Ledwo złamał pieczęć i rozwinął rulon, zaraz ciemność stanęła mu przed oczami, a sam ledwo utrzymał się na nogach dotkniętych gwałtownym rezonansem – tak porażająca była doskonałość formalna pisma. Korlholz, choć znał się na rzeczy, nigdy nie widział porównywalnego arcydzieła kaligrafii, sztuki piśmienniczego w równie potwornym stężeniu, rafinady literniczych zawijasów o nieludzkiej wręcz opływowości.

Autor listu zwracał się do Korlholza z niecierpliwą pogardą, nazywając go *głupcem i ślepcem impregnowanym na oczywiste prawdy*. Ostrzegał przed wenterową córą, albowiem Weni miała być *bronią ostateczną* przeciw rodowi Korlholzów. Od dziecka po to ją jakoby chowano i szkolono, by młodzika zgubić. Jej nauczycielkami były autorytety pośród kurtyzan tego świata, znawczynie etykiety, miłosnej retoryki i płaczki, które uczyły Weni ronić łzy na zawołanie. W tym miejscu następowała wyraźna zmiana tonu listu i nieznany anonim po przyjacielsku radził (a jak zapewniał, *przyjaciół Korlholza cały jest Legion*), by młodzieniec podmienił fiołki z trucizną, a wówczas dopiero przekona się o prawdziwych intencjach kochanki: jeśli szczerze, oboje umrą szczęśliwie; jeśli nie – Korlholz pechowo przeżyje. Wszystkim nieszczęściom, jak utrzymywał nieznajomy, winna była miłość; przez miłość do Korlholza zginął Gardos, od miłości spór rodowy wziął swój początek; z powodu miłości do ojca wreszcie Weni posunęła się do straszliwej zdrady. *Powiadają, że Bóg jest miłością*, kończył swe miłosne wywody nieznany korespondent. Obiecał, że w następnym liście poda receptę na likwidację wszechświatowej miłości – ku ogólnemu pożytkowi, rzecz jasna. Na fundamentalne pytanie Korlholza o zmienność ludzkiej natury, anonim twierdzącą dał odpowiedź: *Człęk może się zmienić. Na tym pieskim świecie bywa to jego psim obowiązkiem*.

Podpisu nie było.

Korlholz zrazu nie chciał uwierzyć w epistolarnie insynuacje, lecz doskonałość zapisu siała w nim ziarno wątpliwości. Trapiony wyrzutami, co miały przerzuty i magicznie odradzały się w coraz to nowych postaciach, nieco spóźnił się na własną śmierć.

Weni już na niego czekała; jej podkrążone oczy obficie roniły łzy, ale Korlholz przypomniał sobie fragment z listu o płaczkach i wzdrygnął się

wewnętrznie. Dziewczyna podała mu fiołkę, sobie zatrzymując inną. W świadomości młodzika walczyły ze sobą zacięcie dwie skończone doskonałości: oślepiająca uroda Weni z obezwładniającą rafinadą formalną anonimowego pisma; opływowe kształty piersi kochanki z geometrią liter stawianych dłonią genialną i nieomylną. Wreszcie zdecydował. Z mocą przytulił do siebie ukochaną, aż zebra jej zatrzeszczały od serdeczności uścisku i, niby to na pożegnanie, pocałował ją z taką zapalczywością, że wytrącił jej z dłoni fiołkę; potem zręcznie podmienił naczynia.

Czuł się podle.

– Żegnaj – powiedziała Weni i wychyliła zawartość swej fiołki.

Czy w jej głosie był fałsz?

– Spotkamy się w lepszym świecie – rzekł Korlholz i wypił.

Jednak ich spotkanie zostało odłożone. Weni skoła w ramionach Korlholza; on zaś wciąż żył, choć wszystko w nim umierało. Najpierw miłość. Drugim trupem była młodość.

Od tej pory postanowił krew studzić, nikomu w drogę nie wchodzić, pilnować własnych spraw. Porzucił rodowe włości bez żalu i ruszył w świat.

Wenter triumfował, lecz triumf jego był krótki. Jego koszmarne sen ziścił się – córki płodziły wyłącznie dziewczynki, jakby ich łona obłożone były klątwą. Po dziewiątych takich urodzinach Wenter doznał pomieszania zmysłów; wkrótce umarł.

Korlholzowi tłukły się po łbie urywki z anonimowego listu: *pieski świat, psi obowiązek*. Potraktował to jak cenne wskazówki i Psem został. Przybrał imię Chormiel, co w psiej mowie znaczy *Kochanek Fortuny*. W naukach nie był zbyt biegły, wspaniale za to kaligrafował i wnet zatrudniono go do przepisywania ksiąg wiedzy tajemnej. Okazało się, że ma talent do posługiwania się Magią Gestu, gdzie nieodzowna jest zręczność dłoni.

Całymi latami czekał na obiecany list i doczekał się. Była w nim przybliżona data i miejsce narodzin Głosu Boga.

– Bóg jest miłością – szepnął do siebie Chormiel. – Trzeba zabić tę miłość.

Podróż trwała długo, lecz przybył do Barden na czas. Gdy na miejscu spotkał dwa inne Psy – Zaarbaltę i Perkacę – zrozumiał, że cel ich wizyty

tożsamy jest z jego zamiarami. Nie przeszkadzało mu to; wręcz przeciwnie – w końcu dobrze jest połączyć siły, by dokonać dzieła trzebieńia miłości.

W lupanarze, w którym – na skutek tłoku w gospodach – zatrzymali się wszyscy trzej, mieszkała dziewczka, która niedawno powiła syna. Na imię miała Kroni i urodą, a nawet gestykulacją i głosem (który niejasno coś obiecywał) bardzo przypominała Chormielowi Weni. Jego piękną Weni. Nie spodziewał się, że wspomnienia i dawne uczucia odżyją w nim z tak potworną siłą. Kroni, którą sterowała nieomylna intuicja, zwróciła się pomoc właśnie do niego. Pragnęła uciec z Barden; w mieście właśnie zaczęły się niepokoje; siepacze księcia Sorma masowo mordowali dopiero co narodzonych chłopców. W odpowiedzi dał jej garść srebrnych monet; ten gest zdawał się nie kłócić z wyznawaną przez niego zasadą nieingerencji.

Jednak pamiętnego wieczoru, gdy trzy Psy przy jednym zasiadły stole, by popijać wino i gadać w psiej mowie, Chormiel co jakiś czas wracał myślami do Kroni. Opoдал męczył się twórczo poeta Dolsilwa. Chormielowi starczał rzut oka na niechlujne liternictwo artysty, by zawyrokować o nędzy jego poezji. Rozmowa z podstępnyim Psem Perkacem (Zaarbalt wydawał się być nieobecny myślami i chory) zajmowała Chormiela częściowo, ponieważ nieustannie dręczył go stary dylemat o zmienności człeczej kondycji. Do niedawna sądził, że dylemat rozstrzygnięty; teraz nie miał takiej pewności. I kiedy do lupanaru, wraz z jesiennym chłodem wtargnęli najemnicy Sorma, Chormiel w jednej chwili rozstrzygnął dylemat.

Zaarbalt upadł nagle, tocząc z ust pianę – najpewniej otruty. Chormiel pojął, że Perkac ich podszedł, ze czasu zostało mu niewiele, a musiał – tak, musiał!!! – pomóc Kroni. Oślepił wszystkich obecnych gestem Zii, a potem pobiegł schodami na piętro, tropem młodego najemnika. Zaczynał odczuwać działanie trucizny, świat wirował mu przed oczami w takt niesłyszalnej muzyki. Zaarbalt usłyszał za to wołanie Kroni, a w jej głosie, jej obiecującym głosie był strach. I błaganie.

– Nie! – krzyczała. – Oszczędź!

Wówczas Pies ujrzał, choć wzrok mu się mącił, miecz wzniesiony do ciosu; wówczas rzucił się ostatkiem sił, resztą energii gasnącego w nim życia, by zasłonić dziewczkę własnym ciałem.

Nie poczuł nawet chłodu ostrza i nie zobaczył, jak Kroni sztyletem tnie najemnika w twarz; potem złapała niewielkie zawiniątko, które musiało być jej synkiem i zbiegła na dół – miała jeszcze trochę czasu. Chormiel nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że właśnie uratował życie chłopcu, który w przyszłości okaże się największym ze zdrajców. Ale czy świadomość tego faktu cokolwiek by zmieniła?

Pies dogorywając zastanawiał się, co też wykończy go wcześniej: krwi upływ czy jady trucizny? Potem przypomniał sobie opowieść Weni o owym malarzu, który wieczorami portretował śmierć.

Tak, pomyślał Chormiel, Wieczór to dobra pora na umieranie.

Tuż przed śmiercią ujrzał Weni, która przyszła wreszcie na umówione spotkanie.

Weni – szepnął. – Piękna, zdradziecka Weni.

Skonał, kochając.

Jeszcze kilka ziaren piasku i śmierć Perkaca zadana mieczem Jago dopełnić miała Wieczór Trzech Psów.

Kiedy najemnicy opuścili lupanar, Dolsilwa, nie zważając na psie trupy, jął ostrzyć nowe pióro. Niestety, wciąż cierpiał na niedostatek rymów.

I dobrych tematów.

JEDNA TRZYDZIESTA SZÓSTA

*O duszo moja, nie zmierzaj do
nieśmiertelnego życia, lecz aż
do końca zbadaj obszar możliwego.
(Pindar, „Epinika”)*

1.

To nie moje oczy – pomyślał Rozenkrontz.

Myśl była nedorzeczna, bo widział dobrze. Zbyt dobrze? Tak. Wszystko jawiło mu się wyostrzone, kontury rzeczy były jak miecze z daletańskiej stali, kolory jaskrawe niczym łgarstwa dziewczek prawiących klientom o dozgonnej miłości. Rozenkrontz zapragnął dotknąć tych dziwnych narzędzi oglądu świata, lecz zachcianka okazała się niewykonalna. Nie czuł swych dłoni, nie czuł ciała, nie dochodziły doń zapachy, nawet dźwięki, nie wprawiał w ruch członków! Jakby ktoś uwięził jego duszę w skorupie cudzego cielska. Bez możliwości apelacji.

Rozenkrontz chciał krzyknąć. Lecz nie mógł.

Dopiero teraz jął z uwagą przyglądać się otaczającej go rzeczywistości. Choć i tu napotkał trudności, bowiem nie mógł sterować szyją, ani naprowadzać wzroku na intrygujące go przedmioty. Kto inny wodził tym cielskiem; i wyglądało na to, że zamierza swą materialną manifestację na tym łez padole ukryć przed wzrokiem postronnych, przebiegał bowiem opłótkami w pozycji przygarbionej, z czujnym spojrzeniem rzucanym w różnych kierunkach świata – jakby zewsząd spodziewał się napaści. Rozenkrontz słyszał o takich dolegliwościach duszy – chory podejrzewał o spiski przeciw sobie wszystkich i wszystko, bywało, że nawet meblom przypisywał złośliwość martwych przedmiotów.

Że też musiałem się wpakować w cielsko jakiego przygłupa, przyszło mu na myśl.

Wpakować, ale jak? I w celu jakim? Myślenie nie prowadziło Rozenkrontza ku dobremu, postanowił zatem jeno patrzeć. Okolica nie była

mu znana; ot, zapuszczona osada, być może południowe rubieże Cesarstwa. Słońce właśnie wschodziło i podpalało niebo. Cielsko zarządzane przez nieznany Rozenkrontzowi umysł wyraźnie kierowało się ku jednemu z domostw. Ostrożnie podbiegł ku oknu i zajrzał. Rozenkrontz wyraźnie zarejestrował zmianę ostrości widzenia – przedmioty bliższe rozmyły się, natomiast dalsze – wyostrzyły. Gdy bywał – nagminnie przecie – we własnym ciele, takich zmian nie dostrzegał; wszystko przebiegało tam niepostrzeżenie.

Po chwili napierał ramieniem na drzwi. Dopiero teraz, przez mgnienie, Rozenkrontz dostrzegł, że nieznajomy dzierży w dłoniach narzędzia – jakby pałkę i jakowyś szpikulec. Zaniepokoiło go to – oto znalazł się w cielsku jednego z tych, których przez żywot swój bez wytchnienia tropił: złoczyńcy, oprycha, złodzieja! Albo i co jeszcze gorszego...

W izbie było ciasno i mroczno. Przybysz rozglądał się wokół, wyraźnie spięty, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Nagle ktoś zerwał się z łoża i ruszył w kierunku Rozenkrontza, a raczej ciała, w którym ów był uwięziony. Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie – doskok, krótki cios pałką i gospodarz wiotczeje jak wysychające źdźbło. Napastnik (Rozenkrontz przez chwilę zastanawiał się, czy nie będzie sądzony za współudział w zbrodni) podnosi bezwładne ciało. Przez chwilę waży w ręce ów szpikulec, przypatrując się narzędziu, jakby w zadumie. Rozenkrontz dostrzegł, że w dłoni zbrodniarza brak małego palca. Po chwili napastnik pochylił się nad nieprzytomnym mężczyzną i jednym płynnym ruchem wyłupał mu oko. Rozenkrontz zawył bezgłośnie. Niejedno w życiu widział i o niejednym słyszał, a jednak chciał odwrócić wzrok, chciał móc nie widzieć. Ale musiał patrzeć. Zaraz drugie oko podzieliło los pierwszego. Potem napastnik sięgnął do lewego ucha ofiary i wtedy...

Wtedy Rozenkrontz poczuł, jak jego więź z nieznającym ciałem słabnie. Po chwili zagłębił się w czymś na kształt wiru, a co wirem jednak nie było. To coś wysssało z niego świadomość. I wyekspediowało. Z powrotem.

2.

Obudził się z duszą na ramieniu; ktoś albo może coś gramoliło się w izbie obok tam i sam bez wdzięku, za to z akompaniamentem dźwięków

icie potwornych. Naczynia dramatycznie protestowały, ciecze (nieliczne przecie, o ile dobrze zapamiętał ostatnią noc) chlupotały. Rozenkrontz pomyślał, a myśli miał cięższe od młyńskich kamieni, że to musi być niewątpliwie niedźwiedź. Szybko się zreflektował – toż przecie mieszka w mieście. To widać. Słysząc. Niekiedy nawet czuć. Niedźwiedzie nie zapuszczają się na miejskie tereny z powodu szczątkowego instynktu przetrwania, co wciąż się w nich tli i nie pozwala na gatunkową hekatombę.

Druga myśl zaniepokoiła Rozenkrontza nieco bardziej niż pierwsza. Wymyślił mianowicie, że to nie niedźwiedź. Że może to być poeta Dolsilwa.

Po drodze do nawiedzanej izby w stratowanej wczorajszym pijaństwie głowie Rozenkrontza wylęgły się wspomnienia niedawnego snu. Zdumiewająca była jego realność. Ale znacznie bardziej zdumiewał sam fakt zaistnienia snu; Rozenkrontz nigdy do tej pory nie śnił. Ani razu. Przez całe życie.

To rzeczywiście był Dolsilwa; poruszał się z męczącą zwiewnością. Rozenkrontzowi zdawało się, że poeta wszędzie jest, wbrew wszelkim zasadom, szczelnie wypełniając swą wątłą postacią obszerne przecie pomieszczenie; innym znów razem, że Dolsilwy zgoła nigdzie nie ma, a ledwo widoczna obecność ma w sobie coś niematerialnego, zjawiskowego. Podobną energią wykazywał się artysta w trzech jeno razach – gdy o baby szło, poezję albo żarcie. Metodą żmudnej dedukcji Rozenkrontz wyeliminował dwie pierwsze ewentualności.

– Znów gadałeś przez sen – zagał Dolsilwa.

Nie widzieli się od trzech lat.

– Słuchałeś? – Rozenkrontz ziewnął rozdzierająco.

– Życie mi nie obrzydło.

– Co cię tu sprowadza?

– Muzy. Przeznaczenie. Bardeńskie dziewczki. Zważ, Rozenkrontzu, że wszystkie te kategorie mogą w istocie okazać się jedną.

– Źle się czuję, kiedy zaczynasz filozofować, Dolsilwa.

– Pusto tu u ciebie, Rozenkrontz – Dolsilwa przezornie zmienił temat, ale nie była to zmiana szczęśliwa. – Brudno. Żarcie podłe. Muzy cię nie odwiedzają. Nie ma kto sprzątać.

– Szkoda dziewczek. Jeszcze bym której śmierć przepowiedział...

– Albo że zbrzydnie.

– Tak. To by ją mogło zabić.

Dolsilwa roześmiał się, po czym oblizał z tłuszczu paluchy. Potem z namaszczeniem przyglądał rude wąsiska dość obrzydliwie prezentujące się na jego bladej facjacie.

– Dawniej nie miewałeś wąsów – zauważył przytomnie, choć późno gospodarz.

– Bo nie wiedziałem, że wzmagają natchnienie.

– Muzy? – domyślił się Rozenkrontz.

– Właśnie. Bez muz życie poważnie traci na wartości. A ja liczę na zyski. – Poetę ogarnęła nostalgia, lecz był to przejściowy stan ducha. – W Barden trochę się zmieniło. Na niekorzyść. Klimat...

– Tak. Te piekielne deszcze...

– Nie o tym mówię. Idzie mi o klimat... moralny. Barden zawsze było przychylnie dziwakom i innowiercom. A teraz...

– Cóż teraz? – zdziwił się Rozenkrontz. Nie pamiętał wprawdzie, by jego miasto rodzinne odznaczało się kiedykolwiek szczególną przychylnością dla kogokolwiek. Ale nie odznaczało się również szczególną nieprzychylnością.

– Ludzie się burzą, Rozenkrontz. Chodzą jakieś ploty o tych dziwakach, co sobie wycinają ozory, by zjednoczyć się z Bogiem Milczącym. To się może zakończyć rzezią...

– Jak zawsze przesadzasz.

– Może i masz rację. Wiesz co, Rozenkrontzu? Opowiem ci historię.

– Byłe nie tę o trzech Psach. Za każdym razem zmieniasz zakończenie. Bokiem już mi wychodzi.

– Psom też wyszło. Opowiem inną. Zakończenia jeszcze nie znam...

– Powiedz lepiej, że nie wymyśliłeś jeszcze zakończenia – poprawił poetę Rozenkrontz.

– To nie jest moja historia. Ktoś mi ją opowiedział. Może dziś jeszcze poznam zakończenie.

– Powiedz lepiej, z czego żyjesz. I nie licz na pożyczkę...

– Sława... – westchnął poeta i zerknął w dal niedosiężną, choć wzrok musiał mu się zatrzymać najdalej na stropie. – Znasz tę nową gospodę? Dziwna architektura, jakieś owale, łuki... Jakby żywcem z Hongh przeniesiona...

– Ta bez nazwy?

– I w tym rzecz, Rozenkrontzu. Właściciel o mnie słyszał i zaproponował, bym wymyślił nazwę. Bracie! Wikt, opierunek, niemało muz w różnym wieku, choć ich jakość to już sromota... Ale ja nie o tym. To chcesz usłyszeć historię czy nie?

– Nie.

NIEDOKOŃCZONA OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Jak wiesz, drogi Rozenkrontzu, nie było mnie w Barden od dawna, od czasu historii z Psami trzema, w którą nigdy nie chciałeś dać wiary. Com w tym czasie przeszedł, choćby na dworze księcia Yorsika, okrutnika, a przy tym bezbożnika, to zupełnie inna historia, której nie omieszkam ci opowiedzieć, jeśli opowieść podlejesz gorzałką. Albowiem opowieści nie podlewane schną i więdną, o czym wiedzą najlepsi poeci, a nawet trubadurzy. Ów Yorsik ziarno siał, lecz nie zbierał żniw i mniemał, że to gleba jałowa. Czekał potomka jak zmiłowania, boć za wszelką cenę pragnął zeń uczynić potwora na własne podobieństwo. To stała cecha potworów – chcą plenić swą potworność. Apostołowie dobrych uczynków nie mają takich inklinacyj, rzadko przedłużają swą szlachetność na kolejne pokolenia – dlatego więcej na świecie zła niż dobra. Tymczasem wina była po stronie ziarna. Stare legendy Północy głoszą, jakoby kobiecą bezpłodność dobrze leczy okładanie łona tartą marchwią w połączeniu z poetyckimi strofami sączonymi jak miód w ucho dziewczki głosem jak najbardziej aksamitnym. Takoż wyleczyłem nałożnicę księcia, choć nie głosu aksamitem, ani nawet poetyckim gaworzeniem. A i marchew niezbyt się przydała. Nadto przyczyniłem się do poprawy kondycji ludzkości, bowiem potomek księcia Yorika nie monstrum może się okazać, lecz pocziwcem o niemałych talentach. No nie krzyw pyska, Rozenkrontz, już wyzbywam się wszelakich dygresyj i natychmiast przechodzę do istoty opowieści. W Barden zatrzymałem się w nowej gospodzie, gdzie dostał propozycję, o której już wiesz. Aleć napotkałem tam pewnego ponuraka, z którego złoto sphywało

kaskadami, jakby był wodo..., a raczej złotospadem. Jakoś mi przyszło do łba, że go łącznie ogram w kości, czy inną hazardową grę. Rozumowanie proste było: jak człek ponury – znaczy, że go pech prześladowuje. Prawie się nie omyliłem, pech zaiste biedaka prześladował, jednakże innego, niżem mniemał, rodzaju. Dość, że ograł mnie w kości do cna, alem go chyba rozweselił chwilowo swym wrodzonym rezonem i dowcipem, bo przegraną darował, a nawet dzban wina postawił. Jąłem mu w podzięcie opowiadać historyje przedziwne a prawdziwe z różnych stron świata, lecz w zdumienie nijak nie potrafiłem go wprowadzić. Jego zainteresowanie też było krótkie – ot, ledwo kilka ziaren piachu w klepsydrze. Niby słuchał, ale zaraz popadał w melancholię czarną jak dusza Psa. Ni opowieść o trzyletnim chłopcu, co wiódł z mędrkami dysputy jak równy z równymi i który rzekł im, że ostatni będą pierwszymi, ni historia trzech Psów, ani nawet ta o cierpieniu hrabiego Mortena nie wybiły go z obojętności. Wyglądał na człeka, co sto życiorysów przeżył, a w każdym z nich – tysiąc awantur wartych pamięci. Poirytowany, wyzwąłem go, by stanął w imaginacyjne szranki i opowiedział historię od mych ciekawszą, a dobrze by było, że prawdziwą. Na to, z nagłym błyskiem w siwym oku, odrzekł, że opowie własny życiorys...

Rozenkrontz ziewnął z ostentacją, na co Dolsilwa zachnął się gniewnie, a policzki poczerwieniały mu z taką intensywnością, jakby za chwilę miała w poecie nastąpić wewnętrzna eksplozja. Nic jednak nie rzekł na Rozenkrontzową obojętność, jeno przeszedł do rzeczy. Czyli opowieści.

Człek ów wprawdzie młodo wyglądał, lecz oczy zdradzały doświadczenie, jakiego nie da się nabyć w nikłym żywocie. Znużenie biło z niego i to nawet wtedy, gdy obrzucał spojrzeniem obsługujące nas muzy, zwiewne niczym poetyckie strofy. Podczas gdy mnie chciało się przez te zmaterializowane w ciężkim powietrzu gospody istoty, nadprzyrodzonej bez dwu zdań proweniencji, gardłować z właściwym mi wyrafinowaniem frazy. I tu, Rozenkrontzu, dziwna rzecz – muzy wcale zgoła mnie nie dostrzegały. Wszystkie wgapiały się w mego nieznajomka, jakby

bóstwem był, a nie ponurakiem. Rysy miał wprawdzie ostre jak miecz, nos orli, brwi gęste, w płowych włosach dyskretne siwe kosmyki, co mu dodawało szyku. Wysoki, postawny jak wieża, gadał ze znużonym wykwintem; widać, że w szerokim świecie bywały.

Pomyślałem, że winien być poetą, skoro muzy tak mu się u stóp ścielą kobiercem wiecznych pożądań. Nieźle powiedziane, co Rozenkrontzu? Ale on był szlachetką jeno; godło Śledź Bez Łusek zapewne niewiele ci powie. Niby opowieść jak wiele innych – młody człek zaprzątnięty nedorzeczną myślą o uzdrawianiu świata, nie przyjmuje do wiadomości, że choroba jest nieuleczalna. Dopiero nieszczęśliwa miłość budzi w nim niechęć do uczuć wyższych, a także do wyżej zorganizowanych organizmów, szczególnie już ludzi. Dla mnie to śmieszne, lecz on musiał być przyzwyczajony do uległości muz. Kiedy jedna odmawia mu wdzięków, młodzian wietrzy w tym spisek wszechświatowych sił przeciw niemu skierowany. Zdrowe samolubstwo przeistacza się w beczucie zupełne. Szlachcic postanawia szerzyć zło, a w tym celu pragnie duszę diabłu sprzedać w zamian za korzyści doraźne. Dusza bowiem to pusty pieniądz, materia się liczy, to co dotykalne, a do żywego nie dotyka, to, co mierzalne, a nie przebiera miarki; to, co cielesne, bo dusza jest duszna. Moim skromnym zdaniem, można taki efekt osiągnąć i bez piekielnych interwencji, lecz nieznamy należał do rzadkiego gatunku ludzi o potwornych zachciankach, które wysiłkiem żelaznej woli realizowali bez umiaru i w całości...

Nieoczekiwany łomot przerwał Dolsilwie monolog – ku uldze Rozenkrontza ktoś dobijał się do drzwi.

– Kogo tam diabli niosą! – warknął Dolsilwa, zły, bo bardziej od samego siebie kochał tylko własną frazę.

Rozenkrontz otworzył.

Niespodziany gość okazał się roslym mężczyzną; oblicze skrywał w cieniu kaptura przytroczonego do płaszcza, czarnego jak noc. Wraz z obcym do izby wdarł się chłód późnej jesieni, jednak Dolsilwie zdało się,

że chłód nie aury jest atrybutem, lecz przybysza. Poeta wzdrygnął się i wyszedł bez pożegnania.

– Wina? – zagadnął Rozenkrontz.

– Chętnie – odparł gość i zdjął płaszcz. Zaiste, nosił się z czarna, aż do przesady, bo wszystko zdawało się w nim przynajmniej ciemne (*pewnie myśli też*, wysnuł refleksję Rozenkrontz). Natura nie oszczędziła mu czerni włosów, ni smagłości cery. Oczy – czarne – wydawały się głębokie jak piekło. Rozenkrontz złapał się na niedorzecznej myśli, że czerń karnacji nie była u przybysza przypadkiem. Że to wybór. W pełni świadomy wybór.

– Pan Rozenkrontz? Nie mylę się?

– Do usług. – Rozenkrontz dostrzegł, że płaszcz gościa jest suchy jak popioły Szarej Pustyni, choć od wielu dni padał deszcz. – Pieska pogoda...

– Zaiste, nie dla ludzi to aura – westchnął gość, po czym umoczył usta w winie, skrzywił się boleśnie, ale przełknął.

Rozenkrontz, zdumiony, spostrzegł, że płaszcz nieznajomego jest jednak mokry, a nawet wokół miejsca, w którym stał rosła aureola deszczówki. Na tym nie koniec fenomenów – kielich gościa był już pusty, choć Rozenkrontz dałby sobie łeb ściąć, że przybysz ledwo zamoczył usta.

– Co cię sprowadza w me skromne progi, panie? – pokazał krzesło; zasiedli.

– Twe talenta, panie Rozenkrontz. Progi skromne masz w istocie, aleś bogaty w zdolności. Głośno o nich w całym Cesarstwie.

– Zbytek łaski...

– Zbyteczna skromność.

– Mam kogoś odszukać? – domyślił się gospodarz.

– O, tak. – W głosie nieznajomego pobrzmiwała kpina. Nie było jednak jasne z czego lub kogo kpi. Rozenkrontz uznał, że obcy kpi z niego; chyba, że była to kpina ogólniejszego rodzaju – ze świata, stosunków międzyludzkich albo gatunków win spotykanych na terenie Cesarstwa Lechandryjskiego. – Masz pan rację, Rozenkrontz. Co do tego deszczu. Jestem w Barden od niedawna, ale słyszę, że niebo pluje tu wodą od tygodnia. Owe... niebiańskie plwociny mogą naruszyć domy, zalać piwnice, zniszczyć... gościńce. Powiadają, że kamienista droga z ulicy Górnej może się lada moment obsunąć...

– Przybyłeś tu, panie – przerwał Rozenkrontz niecierpliwie – uciąć sobie ze mną miłą pogawędkę.

– Bynajmniej, Rozenkrontz. Rozmowa nie będzie miła. Krew mnie tu przywiodła. Nadto ból i zębów zgrzytanie, że nie wspomnę o znoju. Ktoś zadaje ludziom bezprzykładnych cierpień. Pozbawia ich zmysłów, a nikt nie wie, dlaczego właściwie. Pragnąłbym, abyś dzięki swej legendarnej dociekliwości zrozumiał: dlaczego. No i, oczywista, kto. Najważniejsze zaś – kto za tym wszystkim się kryje. Sprawca bowiem narzędziem jest, niczym więcej, niczym mniej. Gdy ustalisz, czyja jest idea tej odrażającej zbrodni, masz to rozgłosić wszem i wobec. To moje specjalne życzenie, Rozenkrontz.

– Kim jesteś? – we łbie Rozenkrontza, jak refren w kiepskim wierszydle Dolsilwy, rezonowały słowa – pozbawia zmysłów, pozbawia zmysłów, pozbawia...

– Nikim ważnym. Stroskanym obywatelem. Niedługo w Barden pojawi się Sędzia zwabiony świeżą nowiną o zbrodniach. Cesarz bowiem równie mocno jak ja stroskany jest niewesołym losem swych poddanych. Pan wiesz, co to oznacza. Nie omylę się, jeśli powiem, że podzielasz mój brak wiary w skuteczność działania Sędziów. A szczególnie już jednego z nich...

– Kowenor... – szepnął Rozenkrontz.

– W pewnych kręgach zwany Kowenorem Krwawym. Choć bardziej znany jest pod mianem Kowenora Dziesiątnika, ponieważ dziesiątkuje populacje znajdujące się pod jego jurysdykcją. Panowie mieli, zdaje się, zwadę?

Rozenkrontz milczał.

Tajemny gość położył na stole zapieczętowany rulon.

– Tu znajdziesz pan znane szczegóły zbrodni. Niewiele tego, trzeba zatem będzie błysnąć inwencją, Rozenkrontz.

– Dlaczego mniemasz, cudzoziemcze, że dźwignę swój drogocenny tyłek, by wchodzić w drogę Kowenorowi, zwanemu Krwawym nie bez powodu?

Rozmówca Rozenkrontz uśmiechnął się zimno.

– Powody dwa są przynajmniej. Po pierwsze, wiesz, że Kowenor robi w Barden jatkę pośród ludzi najpewniej winnych Bogu ducha i niewiele więcej. A uczyni to, by w oczach miłościwie nam, a raczej wam panującego Cesarza uchodzić za człeka czynu. Taka jego natura. Natomiast pan, Rozenkrontz, jako człek z natury poczciwy, a kto wie czy nie szlachetny, nie dopuści do rozlewu krwi. Po drugie, posiadasz, drogi panie, kilka

organów o znacznie bardziej żywotnym znaczeniu niż dupa. I, jako człek rozsądny, musisz o nie dbać.

– Uważam się za człeka umiarkowanie zadbanego.

– „Umiarkowanie” to odpowiednie słowo. Ale nie rozmawiamy o higienie. Natura twego... talentu jest mi znana. Nie dziw się, Rozenkrontz, mam swoje źródła wiadomości. Dobrego. I złego.

– Nie wiem o czym mówisz, panie.

– Piętnaście lat temu po raz pierwszy i nie ostatni nie tyłeś zasnął, co raczej zapadł w rodzaj letargu, w otchłań bezświadomości, pustki. Jak zwał, tak zwał. Była to wszak twa jeno bezświadomość i twoja pustka. Kobiecie o imieniu Paola, z którą dzieliłeś łożę, przepowiedziałeś śmierć dziecka, o istnieniu którego wiedzieć wówczas nie mogłeś. Dziecko było w łonie kobiety. Twoje dziecko, Rozenkrontz. Kobieta, przerażona i niewiele pojmująca, odeszła w dal siną. I ty zrazu niewiele pojałeś. Dziecko rzeczywiście rozstało się z życiem tuż po tym, jak ujrzało świat i wtedy dopiero dowiedziałeś się o jego istnieniu. Gdy już istnieć przestało. Życie ludzkie to źdźbło trawy... – Rozenkrontz słuchał tego w milczeniu. Twarz tężała mu w wyrazie z trudem udanej obojętności. Gość tymczasem perorował, głosem swobodnym, bez cienia żalu czy smutku, który mógłby się przecie okazać fałszywym. – Pomyślałeś zapewne, gdy cię odeszły pierwsze cierpienia i rozpacz, że to przypadek, traf ślepy jak szczenię. Ale to nie był traf. Historia powtarzała się – za każdym razem we śnie przepowiadałeś nieszczęście i za każdym razem sprawdzało się co do joty. Nie wiesz jeno, czy w istocie przyszłość przepowiadasz, czy też ją... kreujesz? Twój przypadek, mimo niewątpliwego tragizmu, jest na swój sposób komiczny. Na jawie jesteś człekiem wprawnie posługującym się rozumem – niejedną w ten sposób rozwiązałeś zagadkę. Brzydzisz się za to bytami niematerialnymi, powątpiewasz w ich istnienie. No a metafizyka to bab bajanie. We śnie tymczasem jesteś sprawcą fenomenów nadprzyrodzonych, przepowiadasz prawdę z większą skutecznością, niżbyś to czynił z pomocą zmundnych dedukcyj. Siedzą na tobie okrakiem jakby dwie istoty – każda swym ciężarem ciągnie w inną stronę. Myślisz, że masz wybór?

– Nie wiem – szepnął Rozenkrontz.

– Teraz wyimaginuj sobie, panie Rozenkrontz, że nie okażę się człekiem dyskretnym, że rozpuszczę język i wszędy opowiem o twej tajemnicy...

Cesarz lechandryjski to pan zapobiegliwy, a ty byłbyś dla niego bronią, że tak powiem, obosieczną – albo wykorzystaliby twój dar, albo oddaliby cię w łapy różnych Kowenorów, oprawców bez litości...

– Zasób twojej wiedzy, panie, tak jest obszerny, że nie wiem doprawdy, po co ci me nędzne usługi.

– Me królestwo nie jest z lechandryjskiej ziemi. Nawet nie z Imperium Hongh, ni Zachodnich Ziem. Jest dalej. I bliżej, niżby się kto spodziewał. Nie jest w moim zwyczaju ingerować bezpośrednio w bieg spraw, a ktoś przecie musi naprawiać świat, prawda Rozenkrontz? – Gość uśmiechnął się kpiąco i wstał od stołu. Z jego postaci bił mroczny majestat i to nie tylko za sprawą ciemnej karnacji i takiejż kreacji. – A z ciebie, mój panie, zacny jest majster. No, ale mam w Barden do załatwienia jeszcze jedną sprawę, a czas goni...

Nim wyszedł, odwrócił się i rzekł:

– Jest zresztą trzeci powód, dla którego zajmiesz się mym zleceniem, Rozenkrontz.

Rzucił na stół mieszek ze srebrnymi monetami.

3.

Deszcz zacinał szpetnie – prosto w twarz. Im bliżej Barden, tym gorzej. *Pod każdym względem, pomyślał. Pod każdym względem.*

Miał przeczucie, że wszystko dopełni się w tym mieście na końcu świata; mieście, z którego pochodził, opodal którego umarła jego biedna matka.

Widoczność była coraz gorsza; z wolna zapadał zmierzch.

– Zdążymy przed nocą? – zapytał dowódca eskorty; jego wierzchowiec był przyzwyczajony do klimatu o mniejszej wilgotności.

– Zdążymy – odparł.

Spojrzał na dłoń, w której brakowało małego palca. Ta dłoń – była przypomnieniem.

4.

Dolsilwa klął szpetnie, bo nie lubił deszczu. Nauczył się tego na Zachodzie, gdzie przekleństwa miały charakter szczególny. Mianowicie mieszkańcy Ziemi Zachodnich przekleństwami zniechęcali bogów do wszelakich ingerencji w bieg spraw. Istoty znane ze swego nadprzyrodzenia miały zostawić ich samym sobie, nie karać, nie nagradzać. Nie pomagało oczywiście, lecz klęli jak nikt na całym świecie.

Dolsilwa uważał ich za ludzi niezwykle religijnych.

Poeta tolerował wilgoć w niewielkich dawkach, dozowaną wyłącznie wedle własnego przepisu i do użytku wewnętrznego. Deszcz nie spełniał żadnego z tych wymogów, zatem droga ku gospodarze bez nazwy wydawała się Dolsilwie szczególnie uciążliwa. Dla zabicia czasu, który był nieśmiertelny, układał w myślach poemat tragicomiczny luźno inspirowany losami Moratora (takie było miano ponurego sprzedawcy duszy). Szlachcica chętnie przerobiłby poeta na alchemika babrającego się w nieszlachetnych metalach w celu ich uszlachetnienia. By osiąść zakazaną wiedzę, zawiera pakt z diabłem. W tle miłosne ceregiele, bo to się nieźle sprzedaje; gmin zląkniony jest podniet mu niedostępnych i niezbyt zrozumiałych.

W bezimiennej gospodarze panoszyło się różnorodne towarzystwo – od obwiesiów po zubożałą szlachtę. Te dwie ludzkie kategorie dzieliło jedno – godło, które niektórzy mylą z godnością. Moratora jeszcze nie było, więc Dolsilwa zadowolił się piwem. Gospodarz patrzył na poetę chmurnie – chrzciny gospody okazały się kosztowne. Dolsilwa nawet myślał leniwie o nazwie, nic zadowalającego nie przychodziło mu jednak do głowy. Od jakiegoś czasu jego umysł był rzadko odwiedzany.

Gościom przygrywała eksperymentalna w doborze środków wyrazu kapela, sławna już na całą okolicę. Muzycy, miast na instrumentach, grali na własnych organizmach. Kakofonia czknięć, beknięć, kichnięć oraz pierdnięć okazywała się pozorna; melomani z zaskoczeniem odkrywali w tych dźwiękach znane kompozycje.

Kultura masowa, pomyślał Dolsilwa, nie bez wstrętu.

Przybycie Moratora zwiastowały liczne znaki i omeny. A nawet fenomeny. Żona gospodarza, dotąd dozująca wino z katowską precyzją, nieoczekiwanie jęła rozlewać cenny napitek na ziemię. Ktoś pośliznął się na tak powstałej kałuży i wybił kolekcję zdobionych dzbanów. Dalej poszło jak po sznurze wiodącym na stryczek – pewna pani upuściła udziec barani,

inna – miast w pieczeni – zagłębiła uzębiecie w ramieniu oblubieńca. Moratorowi towarzyszyły maślane spojrzenia wszystkich rezydujących w gospodzie muz.

Opis szlachcica z opowieści Dolsilwy był wierny; gdyby imć Rozenkrontz napotkał Moratora, zapewne by go rozpoznał. Nie mieli się jednak nigdy spotkać. Do opisu należy dodać jeszcze spojrzenie, znudzone wprawdzie, lecz śmiałe i, zda się, nieugięte. Morator wyglądał na człeka, który nigdy nie odwraca oczu.

Morator przysiadł się do Dolsilwy i bez zbędnych słów podjął przerwana onegdaj opowieść.

HISTORIA SZLACHETNIE URODZONEGO MORATORA, PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIEDZIANA, CHOĆ WCIAŻ NIE ZWIĘNCZONA FINAŁEM.

Dulea... Piękna i nieprzystępna jak warowny zamek. Piersi Dulei były jak wzgórza bronione przez zaciężne wojska jej niechęci do wszystkich młodzików świata. Jej oczy mroziły serca i członki, a nozdrza wdychały inne powietrze niż na przykład moje. Niż twoje, Dolsilwa, z całą pewnością. Powiadali, że jednego ma kochanka, któremu oddała serce i duszę czystą jak bryła lodu. Był to srogi starzec, najstarszy ze starych, starszy niż świat i od świata bodaj okrutniejszy. Widzę, że się domyślasz, Dolsilwa. Tak, o Boga szło. Byłem młodzieńcem nieprzywykłym do wszelakich oporów materii, choć Dulea kuta była w materiale szlachetnym. Wnet jąłem Bogu urągać, lecz był to jeno akt bezsiły – wszak spirytualnego bytu nijak na pojedynek wyzwać się nie da. Nie toleruję bezradności, zatem postanowiłem zło siać po świecie, by choć w taki, okrężny sposób Bogu dopiec. Ale najlepszy byłby sojusz z Nieprzyjacielem Jego. Kontakt szukałem rozpaczliwie, poddając się gusłom i zaklęciom, konferując z magami, a bywało, że nawet Psami. Wszystko na nic. Pomyślałem, że tak obnażona determinacja obniża mą wartość. Z diabłem jest jak z kobietą – usilnie zdobywana gardzi niespełnieniem. Wzgardzona – sama

*garnie się do łoża. Jak postanowiłem, tak uczyniłem; istotna
wszak była metoda. Wiedziałem, że nieliczni pomazańcy,
co szukają kontaktu ze Stworzycielem, umartwiają się, poddają
ostrej kuracji ascetycznej, która wyostża percepcję. Wymyśliłem,
że by z Niszczycielem wejść w komitywę, należy postępować
odwrotnie. Oddawałem się zatem rozpuście, lecz dla Sprawy,
swawoliłem dla Wyższej Konieczności, psułem dziewczęta nie dla
pustej przyjemności, pojedynkowałem się nie z zadziorności,
a majątek ojców przegrywałem w kości bynajmniej nie
z rozrzutności...*

Morator przerwał, by gardziel przepłukać. W jego głosie znać
było zmęczenie, jakby wszystkie wymienione czynności,
przyprawiające przecie gawieź o ekstazy, jego przyprawiały
o ból głowy jeno.

*Tak przez trzy lata, może nieco dłużej... Diabeł wreszcie
zjawił się, zwabiony bodaj mą żelazną konsekwencją w czynieniu
nierządu, oszustw i draństw na niebotyczną... a raczej piekielną
skalę. Lecz była w owym demonie jakaś tandeta, nadmiar efektu,
niepotrzebna ostentacja, która budziła mą niechęć. Od razu
pojąłem, że pośledni to diabeł, co w hierarchiach piekielnych
nisko się sytuuje. Już jego pojawienie się, któremu towarzyszyły
liczne fenomeny - błyski, siary smród, stukot kopyt – źle mnie
do czarta nastawiły. Prawił grzecznie, acz bez elegancji, której
można by oczekiwać po przedstawicielu handlowym organizacji
z takimi tradycjami. Zrazu wyraził podziw dla mych niecných
postępków i zaproponował układ – w zamian, oczywista, za duszę.
Ludziska nawracają się z wiekiem, rzekł, trzeba zawierać umowy
w odpowiednim momencie, gdy ochota podsycy jeszcze żar
pożądań.*

*Dusza. Zawsze mnie zdumiewała domniemana wartość tego
spłachetka bezmaterii, którego nawet nie da się ująć w palce...
Diabeł usiłował, niby to chytrze, nakreślić horyzont czasowy
mych niecnot i dokazywań, na których skuteczność otrzymałem
gwarancje. Pojąłem, że bydlę ofiarowuje mi towar, co już jest
w mym posiadaniu. Swawolić mogłem i bez piekielnych
przyzwoleń. Takoz omotałem gbura siecią zobowiązań, aneksów*

do umowy, odstępstw od reguł, jak uczył mnie tego nasz rodzinny buchalter, kiedy jeszcze mleko miał pod nosem. Na tym stanęło, że zemrę naturalną kolejną rzeczą, a do tej – oczywistej – cezury doznawać będę powodzenia we wszystkich mych niecotach. Musisz wiedzieć, Dolsilwa, że ma familia słynęła z nadzwyczajnej długowieczności, o czym diabeł pewnikiem nie miał zielonego pojęcia.

Tak zaczęła się plaga mych nieustannych sukcesów. Kobiety ulegały mi masowo, w kości wygrywałem z oszustami, bogactwa zalewały mnie kaskadą niezасłużonego dorobku. Ale nie o to mi przecie szło. Jam Bogu chciał dopiec, na drodze Mu stanąć. I wtedy, tak wtedy właśnie pomyślałem o Dulei. Pragnąłem wznowić konkury, pewien druzgocącego efektu. Oto silny i celny cios w dobre samopoczucie tego, co mieni się Kreatorem!

Kiedym ją ujrzał... Znów ogień jaki ogarnął me wnętrzości, a pożądanie niemal żywcem spaliło grzeszne cielsko. Cóż to była za kobieta... Te nędzne dziewczki, za którymi wodzisz swym smętym spojrzeniem, Dolsilwa, to jeno cienie, nic nadto...

Dolsilwa pomyślał: „Gdybyż wszystkie cienie potrafiły tak budzić i zaspokajać nasze uczucia.”

Odwiedziłem Duleę w jej rodzinnych włościach – dość ponurym zamczysku oplecionym zielskiem jak całunem śmierci. W takich miejscach ludziom przychodzić mogły do głów jeno samobójcze albo zbożne myśli – może w tym tkwiła tajemnica Dulei. Pani zamku była dla mnie uprzejma, lecz zarazem chłodniejsza od zamkowych lochów. Dulea, niestety, wciąż pławiła się w swej świętości, a ojciec jej załamywał ręce, że z Bogiem to ona potomstwa się nie dochowa, kto zatem włości przejmie? Jego lamentsy drażniły mnie swą nawracającą bezustannie powtarzalnością. Gotów był nawet, w głębokiej konfidencji, dopomóc mi w porwaniu własnej córy! Za nic miałem takie rady – Dulea musiała mnie pokochać, a od Boga – odwrócić! Byłem pewny swego – z kontraktem piekielnym w kieszeni, z nabytymi właściwościami łamania najtwardszych lodów niewieścich serc. To miało być łatwe zwycięstwo. Nic z tego

jednak. Znów chłód jej błękitnego spojrzenia wychłodził me żądze, a ja z niczym zostałem, czyniąc z siebie durnia. Takiego upokorzenia dawnom nie zaznał...

Pamiętam, jak wściekły wrzeszczałem w księżycową noc, wysyłałem wszystkie diabły do diabła! Gdyby tylko znał drogę do piekła, to wybrałbym się tam niezwłocznie, by sprać po pysku owego czarciego bękarta! Lecz i tym razem to piekło odnalazło mnie. Była to wizyta znamienitszego gościa; już nie ów kundli hochsztapler, ale diabeł z piekielną klasą, nawet sądziłem, że może to być Szatan we własnej osobie. Gość zapowiedział się grzecznie i stawił o wyznaczonej porze bez żadnych kuglarskich sztuk. Coś w jego wyglądzie budziło respekt, choć trudno powiedzieć co. Nosił się z czarna, bez przepychu, ale nie bez smaku. Jego głos pobrzmiwał nieustanną kpiną, jakby nie przywiązywał do niczego nadmiernego znaczenia, jakby świat zdawał mu się mizernym dowcipem. Rozumiałem go.

„Przybyłem renegocjować warunki umowy”, rzekł.

Czułem się dziwnie mały pod tym jego kpiącym spojrzeniem, co przewiercało mnie na wylot. Usiłowałem zachować rezon, głupca grałem – że niby umowa obustronnie jest korzystna, a raczej była, bo mi pewna białogłowa odmówiła wdzięków, o niewdzięczna!

„Od każdej reguły są wyjątki”, on na to. „Szlachetnie urodzoną Duleę trzeba do nich zaliczyć. To służebnica Przeciwnika. Glejt jest w jej posiadaniu, a sama o tym nie wie. Umowa zaś obustronnie korzystna bynajmniej nie była, bo głupiec ją z tobą zawarł. Jego przeceniłem, a ciebiem nie docenił. Naprawimy to, ma propozycja jest taka...”

Lecz nie zdążył Morator wyłuszczyć Dolsilwie propozycji demona, bo w gospodzie gruchnęła niespodziana wieść, jakoby do Barden zawitał Sędzia. Na niektórych bywalcach wiadomość uczyniła piorunujące wrażenie. Morator wprawdzie nie zaliczał się do tego grona, jednak urwał opowieść i wstał od stołu.

– Jeszcze się spotkamy – rzekł do wierszoklety na odchodnym.
I rzeczywiście.

5.

Rozenkrontz przez długi czas nie dotykał dokumentu, jeno wpatrywał się w papier, jakby pragnął przeniknąć treść bez łamania pieczęci.

Na pieczęci nie było żadnego godła ani znaku. Przez chwilę badał fakturę papieru – i tu bez nadzwyczajności. W końcu złamał pieczęć i przyjrzał się pismu. Wprawdzie nie znał się na kaligrafii, lecz pismo zdało mu się nieodległe od pełnej doskonałości, litery stawiała dłoń nieomylna; forma znaków była zwiewna i zarazem zamaszysta. Rozenkrontz uznał, że ma do czynienia z człkiem hardym i pełnym pogardy, a przy tym i umysłowo lotnym. To niezmiernie rzadkie połączenie.

Po tych wstępnych oględzinach, które przyniosły nikły rezultat, Rozenkrontz jął czytać. Zrazu pomyślał, że ma do czynienia z fragmentem jakiegoś teologicznego rękopisu, jakich przecie pełno na byle pchlim targu. Autor dokumentu pisał o nieznanym Rozenkrontzowi Zasadzie Zastępstwa, którą miał jakoby ustanowić sam Bóg na początku świata. Oto niektórzy ludzie, pozornie bezzasadnie cierpią, a los w swej gorzkiej szczodrobliwości doświadczeń im nie szczędzi. Jednak cierpienia „wybrańców” (Rozenkrontz uważał, że pobrzmiwa w tym określeniu ironia) w istocie bezsensowne nie są. *Ci, co cierpią i mimo to zachowują wiarę w Boże Miłosierdzie, pisał autor, biorą bowiem na siebie grzechy wielu innych.* Na tym w skrócie polegała właśnie Zasada Zastępstwa.

W drugiej części dokumentu autor zwracał się już bezpośrednio do Rozenkrontza. Następował tu dość szczegółowy opis makabrycznych zbrodni. W miarę czytania w Rozenkrontzu narastał wewnętrzny dreszcz, bowiem opisy dokładnie odtwarzały jego sen. Jedyny sen, jaki mu się kiedykolwiek przyśnił. Było w tym coś niewątpliwie szyderczego, bowiem wielu ludzi opowiadało mu swe sny; czasem były przerażające, lecz częściej piękne. Rozenkrontz czasem tęsknił za sennymi wizjami; czuł się w jakiś sposób wyzuty z przywilejów dostępnych nawet tym najbiedniejszym. No i doczekał się.

Siedem osób z wyłupanymi oczami i przekłutymi uszami. Szczegóły wskazywały na dużą konsekwencję i determinację sprawcy; choćby okoliczność, że musiał podróżować po terenie niemal całego Cesarstwa. Człek ów musiał być opętany jakąś niebywałą manią, która dawała mu moc

czynienia zła na znaczną skalę. A może w jego mniemaniu dobro czynił? Zło było mu środkiem wiodącym ku znakomitemu dobru?

Sposób kaleczenia ofiar musiał mieć jakieś znaczenie, lecz póki co – niewiele Rozenkrontzowi mówił. Tych biedaków zgoła nic ze sobą nie łączyło, poza okolicznościami zbrodni. Dlaczego ktoś pozbawia ludzi zmysłów; no a jeśli już poczyna sobie z nimi tak niedelikatnie, to czemu pozostawia ofiary przy życiu? Rytuał? Mania religijna? W Barden działał półoficjalnie Kościół Boga Milczącego, którego wyznawcy dobrowolnie wycinali sobie języki. Ale w przypadku tej zbrodni nie mogło być mowy o dobrowolności. Same ofiary nie wносиły do sprawy niczego. Nie wiedzieli, dlaczego akurat ich spotkało nieszczęście. Nie dostrzegli sprawcy, nie potrafili dać jego opisu.

I owa Zasada Zastępstwa. Czy cierpienia tych ludzi miały stanowić odkupienie win innych?

Przedostatni akapit tajemnego dokumentu poświęcony był wypadkowi dwojga ludzi, którzy jednak życie postradali. I tym razem nie oszczędzano na szczegółach; wyglądało na to, że dosłownie rozpękli się, eksplodowali pod wpływem nieznanymi wewnętrznych naprężeń. Mogło się zdawać, że ich śmierci nic nie łączy z okaleczeniami wszystkich pozostałych. A jednak związek bez wątplenia istniał. Tuż przed śmiercią ofiary przeczytały identyczne, zalakowane w czarnych kopertach listy. Cała dziewiątka dostała podobne pisma, ale siódemka okaleczonych przeczytać ich już nie mogła – z oczywistych przyczyn. Listy zaginęły w dziwacznych okolicznościach; nikt – poza dwoma zmasakrowanymi trupami – nie zapoznał się z ich treścią. Jakaż to treść?

Autor dokumentu nie wyraził na ten temat wiążącej opinii. Wyraził natomiast przypuszczenie, co do makabrycznej natury śmierci obu ofiar. *Przyjęło się domniemywać – pisał stylem lakonicznym, który pozostawał w kontraście z tragicznym przekazem – jakoby śmierć równie niezwykłą spowodować może oddzielenie się duszy od ciała – dokonane jeszcze za życia posiadacza obu tych złączonych atrybutów. Przypadki takie były opisywane w starożytnych manuskryptach alchemicznych. Dusza uwalnia się z okowów materialnego cielska, którego siły żywotne są naonczas znaczne, a więzy połączeń – silne. By uwolnić się, dusza rozrywa ciało na sztuki, co nie jest widokiem ładnym ni przyjemnym.*

– Zaiste – mruknął Rozenkrontz w kierunku ściany.

Dokument zwieńczony był sugestią, jakoby właśnie w Barden znajdowała się kolejna ofiara szaleńca, lecz tożsamość jej – to tajemnica. Autor doradzał Rozenkrontzowi rychłe spotkanie z Sędzią Kowenorem, który z *racji swych nadzwyczajnych kompetencji* (i w tym sformułowaniu wietrzył Rozenkrontz ironię) miał posiadać wiedzę innym niedostępną.

– Taaak... – westchnął Rozenkrontz.

Ściana milczała.

Równie dobrze mógłby niewczesny doradca proponować Rozenkrontzowi, by ten natychmiast udał się do najbliższego leprozorium i tam zaraził trędem.

Sprawa wyglądała na ponurą i na pierwszy rzut oka – trudną. Czekala go ciężka praca, lecz srebrniki obciążały mu po równi – kieszeń i poczucie zawodowej przyzwoitości.

Rozenkrontz jak ognia unikał spraw, w które choćby na odległe sposoby wmieszany był Bóg. Z drugiej strony nie miał pewności, czy istnieją takie sprawy, w których nie maczałyby swych Palców Stworzyciel. Stosunki Rozenkrontza z Bogiem były bardzo skomplikowane. Rozenkrontz, choć przekonany o istnieniu Tego Który Jest, nie miał jednak pewności co do Jego dobrych intencji. Nie wiedział jeszcze, że jego opinia na temat Boga nie jest najistotniejsza.

Ważna była opinia Boga na temat Rozenkrontza.

6.

Bardzo wysoki człowiek w czarnym płaszczu stał od dłuższego już czasu w głębokim cieniu. Ciemne zaułki ulicy Szczerbatej; liczne wyłomy w elewacjach budynków wydawały się potwierdzać jej nazwę. Krople deszczu, choć to niemożliwe, zdawały się z respektem omijać człeka w czerni. Ten wpatrywał się w tłum gromadzący się z wolna przed świątynią wyznawców Boga Milczącego. Zbliżała się pora corocznej uroczystości rzeźbienia języków wyznawców, którzy osiągnęli dojrzałość. Paradoksalnie, moment, który w każdej kulturze oznaczał inicjację, preludium życia dojrzałego, pełnego, możliwość wypowiedzenia się w ważnych sprawach dotyczących społeczności; w tym akurat wypadku oznaczał wieczyste zmilknięcie.

– A co się stanie, gdy wasz Bóg w końcu się odezwie? – szepną szyderczo nieznajomy.

Rosła w nim irytacja, jak zawsze, gdy ktoś spóźniał się na umówione spotkanie. Aż tu nagle coś huknęło i gruchnęło, w powietrzu rozszedł się ostry zapach siarki szybko przechodzący w gnilny odór, a nawet błysk przeszył i ugodził śmiertelnie cienie zaułków.

Oczekujący zmełł w ustach przekleństwo.

– Tandeciarz! – warknął.

Z niebytu wychynął osobnik nikczemnej postury. Jeden z wyznawców Boga Milczącego ujrzał fenomen i postradał przytomność. Inni wierni jęli go cucić, a ci co jeszcze mieli języki – wypytywać. Nic nie powiedział, od dawna pozbawiony daru wymowy.

– Wszystko gotowe, Mistrzu Kontekstów – rzekł przybyły. – Sądzisz, panie, że tym razem nam się nie wymiga?

– Jeszcze żaden mi się nie wywinał – odparł zimno ten w czerni. – Ale nie można nie doceniać rozmiarów oddziaływań chaosu ich przeklętych dusz.

– A ta druga sprawa, z tym... Rozenkrontzem? Pewny człek?

– Cała rzecz w tym, że niepewny. Na tym polega sztuka, głupcze. Gra nie przebiega w materii, choć ona naszym skrytym sprzymierzeńcem. Wszystko rozgrywa się w duszach i sumieniach tych biedaków. – Zamyślił się. – Czasem myślę, że cały nasz spryt, rozum, plany – wszystko to na nic.

– Jakże to, panie?! To defetyzm! Na Demona Implikacji! Wygrywamy! Każda przyczyna niesie skutek – oto woda na nasz młyn! Oto zasada rządząca tym światem!!!

– W mojej obecności głosu nie podnoś, psie. A nie pomyślałeś kiedy o tym, że możemy być częścią planu Przeciwnika? Że może zło jest przyprawą, bez której nie da się skonsumować tego bigosu? A jeśli jesteśmy kimś, a raczej czymś w rodzaju ścierwojadów? Zzeramy psujące się dusze, te metafizyczne ścierwa; i tym samym oczyszczamy, miast zanieczyszczać rzeczywistość?

– Ależ to herezje...

– Herezje! – zaśmiał się czarny. – Mniejsza. Wiesz, co czynić? I kiedy?

– Wiem, panie.

– Do dzieła.

7.

Rozenkrontz brnął po kostki w breji, deszcz wszystko rozmywał, zdawało się, że za chwilę zmyje z rzeczywistości wszelki sens, który polorem, wierzchnią warstwą był jeno, niczym więcej.

Czuł się coraz gorzej, choć kac demolujący organizm powinien już się kończyć. Wyglądało na to, że dusza za chwilę go opuści, rozsadzając mimochodem ciało. Rozenkrontz, by myśleć o czymkolwiek innym niż stan zdrowia, jął snuć subtelną refleksję na temat delikatnej równowagi utrzymywanej między ciałem a duszą. Jej rozchwianie wiodło do opłakanych skutków, głównie dla ciała. Materia okazywała się jednak ubogą siostrą bytu spirytualnego – na wszelkich rozchwianiach wychodziła kiepsko; ponosiła koszty rozvodu.

Rozenkrontz był przekonany, że ta równa ściana deszczu musiałaby się wydać Kowenorowi Dziesiętnikowi na swój sposób urzekająca. Tak, Sędzia wielbił rzeczy równe, dość dobrze ułożone, na boki nie odstające, ani – nie daj Bóg – w górę. W górę nigdy.

Sędziowie. Namiestnicy świeckiej władzy w sprawach ocierających się o metafizykę. Materialni uzurpatorzy w sferę ducha. Było ich, nie wiedzieć czemu, trzydziestu sześciu. Mówiono: Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych, ale określenie to niosło z sobą ironię. Odznaczali się znaczną autonomią działań, ich kompetencje były właściwie nieograniczone, bo pod metafizykę dało się podciągnąć każde zdarzenie. Ścigali odszczepieńców, równali dziwnowierców. Jeśli kto nie dawał się równać, emigrował w inne (zdaniem Sędziów – takie przekonanie ułatwiało pracę – lepsze) regiony rzeczywistości. Zazwyczaj łamano biedaków kołem, głównie w celu sponiewierania charakterów; łamanie gnatów było tu efektem ubocznym. Kowenor odznaczał się szczególnym okrucieństwem nawet pośród Sędziów, a Rozenkrontz zmierzał właśnie nierozsądnie do jaskini tego lwa.

Sędzia wraz ze swą świtą zatrzymał się w Zajeździe Lechandryjskim. Nazwa wzięła się pono z patriotycznych zapałów właściciela, który – taki już urok neofitów – był naturalizowanym obywatelem Cesarstwa. Z okien zwisały nasiąkłe deszczówką flagi z godłem Cesarza – Kobieta Bez Włosów Łonowych. Poza wspomnianym defektem kobieta z godła

odznaczała się jeszcze smętnym obliczem; miała to być bowiem w zamyśle matrona nie wzbudzająca pożądań. Wizerunki odmładzano jeno w przypadku wojen – na bitewnych sztandarach, by wojownikom krew się gotowała, a zapał szybko nie stygł. Statystyki wykazały, że im bardziej ponętne wdzięki widniały na sztandarach, tym bardziej rosła liczba odzysków flag rabowanych przez przeciwników.

Jak spod ziemi wyrosła przed nim męska postać. Rozenkrontz chciał obcego wyminąć, lecz ten z premedytacją stawał mu na drodze. Ulice Barden były o tej porze puste; deszcz wyludnił je jeszcze bardziej. Rozenkrontz jął ostrożnie się wycofywać, podejrzewając napaść w rabunkowych celach, ale jego plecy natrafiły na opór w postaci jakiegoś ostrego narzędzia, najpewniej sztyletu. Napastników było zatem przynajmniej dwóch. Fakt, że jeszcze nie postradał życia uznał Rozenkrontz za okoliczność wielce szczęśliwą.

– Nic nie mam – rzekł, by rozwiać nieporozumienia.

Napastnicy pominęli milczeniem jego deklarację majątkową. W ogóle się nie odzywali – jeden dał Rozenkrontzowi gestem do zrozumienia, by też milczał. Przez chwilę rozważał możliwość podniesienia rabanu; wszak w Zajeździe Lechandryjskim dość było zbirów Sędziego, których interwencja w tym jednym jedynym przypadku mogła okazać się zbawienna. Nie zdążyliby – ocenił. Pozostało poddać się woli owych milczków. Przesłonili mu oczy jakąś szmatą; pierwszy wziął Rozenkrontza pod ramię i jął wieść ku nieznanemu. Obecność drugiego, którego Rozenkrontz jeszcze nie zdołał ujrzeć, manifestowała się regularnym nakłuwaniem pleców.

Pomyślał, że chcą go zaciągnąć w jakie ustronne miejsce, by tam – w spokoju – zadźgać. Lecz wędrówka trwała za długo – w Barden roiło się wprost od ustronnych miejsc, pielgrzymki nie były niezbędne.

Weszli do jakiegoś wnętrza, Rozenkrontz nie czuł już bowiem bombardowania kropel deszczu. Pomieszczenie było wilgotne i chyba obszerne, ponieważ echo rezonowało w powietrzu. Jeśli schodzić w dół, a każdy krok był zwielokrotniony głuchym pogłosem – tak, że wydawało się, iż cały legion ludzi maszeruje po schodach, a nie skromne trio.

Schodzili długo; Rozenkrontzowi jęły chodzić po głowie myśli o tych wszystkich ludziach zaginionych w niewyjaśnionych okolicznościach i nigdy nie odnalezionych.

Gdzie oni mnie prowadzą? Do piekła? – myślał.

W końcu dotarli na miejsce; ktoś zdjął szmatę z oczu Rozenkrontza. Pomieszczenie oświetlała pochodnia, w jej blasku ujrzał kolejnego nieznanego.

– Cieszę się, że raczył pan przyjąć moje zaproszenie, Rozenkrontz – głos wyprany był z emocji, nie pobrzmiwało w nim żadne uczucie – ani ciekawość, ani złość, ani litość. Nic.

– Nie ośmieliłbym się odmówić – odrzekł z ironiczną kurtuazją Rozenkrontz. – Z kim mam przyjemność?

– Na pewno słyszał pan o mnie. Zwał mnie... Pustakiem.

Rozenkrontz słyszał. Ale nie wierzył. O Pustaku powiadano, że jest władcą podziemnego świata Barden, że macza palce w brudach, czerpiąc z tego korzyści materialne, choć z jakichś powodów nie lubił materii. Że widzi więcej niż inni, bo jego dusza uwalnia się z okowów ciała i swobodnie dogląda spraw Pustaka. Dlatego zwano go zresztą Pustakiem – bo zwykł paradować bez duszy; skąd miało płynąć jego niespotykane okrucieństwo. Rozum bezduszny człeka to pono najgorsza rzecz w świecie.

Powiadano wreszcie, że kto ujrzy Pustaka – niczego już więcej w życiu nie dojrzy.

– Sądziłem, że jesteś, panie, wymysłem prostego ludu, folklorem Barden. Prawdę mówiąc, nadal tak myślę – rzekł Rozenkrontz.

– Mniemasz, że jestem sprytnym rzezimieszkiem, co stworzył legendę Pustaka dla osiągnięcia posłuchu i zysku? – Ten wyprany z emocji głos jął wprawiać Rozenkrontza w irytację. – Chciałbym, by tak było...

Rozenkrontz pragnął ujrzeć twarz człowieka wypowiadającego słowa z taką beznamietnością; czy rysy jego oblicza znamionują owo zupełne bezczucie? Czy nie krzywią jej emocje? Nie zniekształca ból istnienia? Czy jest regularna jak bryła lodu?

Lecz ten, co zwał siebie Pustakiem krył twarz w cieniu.

– Nie pragnę cię do niczego przekonywać, panie Rozenkrontz. Nie ma znaczenia w co wierzysz. Chciałem cię zobaczyć. I być może coś ci powiedzieć...

– Od jakiegoś czasu brnę w gównie tajemnic. Tajemnic jest na świecie więcej niż normalnego życia. Rzygam tajemnicami, panie Pustaku.

– Od jakiegoś czasu nie jesteś panem swego losu, Rozenkrontz. Jesteś żaglowcem bez sternika, a dmie silny wiatr, wypełnia twe żagle pustką,

która gna cię ku przeznaczeniu. Ten wiatr to Kwizad, Wicher Przeznaczeń. Śmiertelnicy nie wiedzą o nim nic.

– O tym chciałeś mi powiedzieć?

– Nie. To była niezobowiązująca pogaduszka. Wiele nas łączy, Rozenkrontz. I twa dusza oddziela się czasem od ciała wędrując po bezdrożach przyszłości. Masz jednak to szczęście, że oszczędzono ci przy tym brzemienia świadomości... Mnie nie było to dane. Niewiele obchodzi mnie zło świata, Rozenkrontz. Ani dobro. Cały ten konflikt, co jest zarazem gwarantem równowagi. Anielskość mnie nudzi, diabelska przewrotność – śmiesz. Ja jestem stworzony do tego, by konstatować daremność, by dowodzić pustki. Wszelkie knowania i usiłowania do niczego nie prowadzą. Wiem, że odwiedził cię ten, którego imię Trzydzieści i Sześć. Ten, który uważa się za część owej siły, co pragnąc zło czynić, czyni dobro. Albo odwrotnie. Jego zamiary to zasłona w zasłonie. Nic nie jest takie na jakie wygląda. Wiem, że domyślasz się, kim jest, choć twój rozum stawia wciąż opory. Czas przełamać lody wątpliwości, Rozenkrontz. Świat jest piętrowy; w tej chwili przebywamy nie na dnie nawet, lecz w kloace. Czyściciel już przybył, ale robota jego – ciężka. I chyba daremna...

Rozenkrontz słuchał tego potoku słów wypowiedzianych równym, jednostajnym tempem – i niewiele z tego pojmował. Myślał, że ma do czynienia z szaleńcem, lecz coś mu podpowiadało, że mimo wszystko może być inaczej.

– Kwizad wieje tak jak wieje. Przywiedzie cię w odpowiednie miejsce w odpowiednim czasie. Ale wola człeczka istnieje, Rozenkrontz. I czas wyboru nadejdzie. Lecz i to nic mnie nie obchodzi. Chcę jeno, byś wiedział, że Sędzia Kowenor, którego niebawem odwiedzisz, nie przybył do Barden jedynie z powodu tych biedaków pozbawianych zmysłów. I on ma swoje cele. Cesarzowi wydaje się, że Kowenor jest jego narzędziem; Kowenor myśli to samo o Cesarzu. Obaj się mylą. Chcę, byś wiedział, że Kowenor przybył tu również po to, by dokonać rzezi pośród wyznawców Boga Milczącego. Albowiem Bóg nie może milczeć, skoro przemawia ustami Cesarza. Rozumiesz, Rozenkrontz? To szeroko krojony plan – nowa religia państwowa potwierdzająca boskość władcy niemiłościwie nam panującego. Miejska tłuszcza, która jak zwykle niczego nie pojmuje, jest

od jakiegoś czasu urabiana przez ludzi Kowenora. Narasta niechęć do Niemot, jak powiada się o sługach Milczącego Boga.

– Skoro nic cię nie obchodzi, człeku z duszą na ramieniu, to czemu troszczysz się o tych szaleńców wyzbytych języków?

– Dobrze mi służą. – Rozenkrontz spojrział na swych przewodników: więc stąd ich milczenie! – Niczego nie oczekują ani od Boga, ani ode mnie. Ich wiara jest pusta; ich samookaleczenia wiodą ku pustce. To dużo. Tak dużo, że prawie nic.

– Mam przeciwstawić się woli Cesarza? W jakiż sposób? Nie mam regimentów. Nie mam wpływów. Nie mam powodu.

– Wybierzesz, co wybierzesz. Audiencja skończona.

8.

To nie moja sprawa, nie moja sprawa, nie moja... powtarzał w myślach Rozenkrontz zakęcie chroniące go od odpowiedzialności. Mniemał, że nimb tajemnicy wokół Pustaka był sztuczką. Jak mógł oddzielać duszę od ciała, skoro wiezie to prostą drogą do miazgi? Z drugiej strony, świat nie dla wszystkich układał się podobnie. Skąd brali się szaleńcy i odmienicy? Skąd garby na plecach? Skąd na duszach zadry?

Dostrzegł śmieszność swego rozumowania: jeszcze niedawno nie dowierzał nowinkom z dostarczonego mu dokumentu; w owe eksplozje cielsk, z których łuskano dusze. Teraz wieść ta stanowiła dla niego argument zbijający rewelacje Pustaka.

Być może Pustak nie był wydrażonym człekiem, dla którego dusza stanowiła rodzaj gończego psa. Być może nie było w nim żadnych metafizycznych nadzwyczajności. Ale jego informacje mogły być prawdziwe; choć źródło ich – nieznanne.

Imię jego Trzydzieści i Sześć, przypomniał sobie Rozenkrontz słowa Pustaka. Targnięty przecuciem, wysypał na stół srebrniki ze sztosu nieznanego w czerni. Przeliczył – było ich trzydzieści.

I sześć.

Jeszcze ten dziwny sen. Jedyne sen w jego życiu. Jakże podobny i zarazem jak różny w swej naturze od dotychczasowych talentów Rozenkrontza. Jakby dwie siły zmagaly się o jego duszę – jedna objawiała

za pośrednictwem Rozenkrontza przyszłość, bez świadomości medium; druga objawiała mu pewne prawdy – jakby zostawiając mu prawo wyboru. Z jednej strony był manipulowaną kukłą; z drugiej – podmiotem w sprawie.

Trzeba było iść do Kowenora. Do Dziesiątnika.

Tym razem nikt nie przeszkodził mu w dotarciu do Zajazdu Lechandryjskiego. Strażnicy, dość ponure draby w barwach cesarskich, patrzyli na Rozenkrontza spode zakutych (w stal) łbów. Zapewne nie wyglądał na gościa, z którym Sędzia Kowenor chętnie uciąłby sobie pogawędkę. Szybciej nakazałby ścięcie głowy. Rozenkrontz miał takie nieprzyjemne uczucie, że wkrótce dostanie się w sękatę łapy tych wykonawców sprawiedliwych wyroków.

– Pan Rozenkrontz... – brzmiało to niczym ciężkie westchnienie. Głos zdawał się ciepły, nawet jowialny, lecz Rozenkrontza to nie zwiodło. Ujrzał rozmówcę i krew w nim stężała, znał go bowiem i z widzenia, i ze słyszenia. Był to kat sędziowski, zwany Toporem Kowenora. W swym fachu niedościgły, porównywany nieraz z legendą katowskiej profesji – Bezimiennym Oprawcą z Zamku Kaltern.

Nie wyglądał na kata; dość niski, wąły jak myśląca trzcina, o twarzy nienaturalnie wąskiej, jakby ściśniętej tuż po porodzie mocarną prawicą albo szczypcami akuszerki.

– Proszę za mną, panie Rozenkrontz. Sędzia będzie bardzo kontent z pańskich odwiedzin...

– A kat współczuje ofierze – rzekł Rozenkrontz.

Oprawca zaśmiał się sucho i brzmiało to jak ostrzenie jakiegoś narzędzia na kamieniu. Topora na przykład.

– Nie brak panu dowcipu, Rozenkrontz.

– Odczuwam za to braki innego rodzaju.

– Nie brak ci... głowy. Chciałem przez to rzec, że masz głowę na karku, panie.

– W pewnych okolicznościach to zaiste fortuna.

– Fortuna kołem się toczy. – Rozenkrontz odczytał to jako aluzję do łamania kołem gnatów.

– Zawsze podziwiałem twój kunszt, panie kacie.

– Och, jestem jeno narzędziem we wprawnych dłoniach Sędziego Kowenora...

– Cóż za skromność.

Tak gawędząc, mijali istną galerię portretów. Największy przedstawiał Cesarza, drugi co do wielkości – Kowenora Dziesiątnika, zwanego również Krwawym. Wreszcie dotarli do ascetycznie urządzonej izby zatopionej w dusznym półmroku. Raptem dwie świece rzucały w stęchłą przestrzeń rozchwianą światłość, dobywając z mroku nieliczne tu sprzęty. Rozenkrontz pomyślał, że Wszechświat w dniu stworzenia mógł wyglądać jak owa izba. Bóg, według tej naprędce skleconej „teorii” nie tyle stwarzał materię, co raczej oświetlał swym blaskiem, dobywając ją nie z pustki, a z wszechogarniającego Mroku.

Kowenor szczyił się swą powściągliwością w gromadzeniu dóbr. Ubóstwo, prócz specyficznie pojmowanej równości, było dlań cnotą naczelną; szczególnie już, jak zakpił sobie kiedyś nieostroźnie Rozenkrontz, ubóstwo wyobraźni.

Dopiero po dłuższej chwili Rozenkrontz dostrzegł Sędziego. Kowenor spoczywał na zgrzebnym krześle; z trudem udawało się stwierdzić, w którym miejscu człek się zaczyna, a w którym kończy mebel. Jakby tworzyli monstrualną hybrydę – powyginane mocą ciesielskiej woli krzesło i zgięte czasem ciało. A czas, jak to miał w zwyczaju, obszedł się z Sędzią okrutnie.

– Zostaw nas samych – rzekł Sędzia do kata. Rozenkrontz mógł się mylić, mogła to być gra kalekiego światła świec, lecz chyba jednak ujrzał na obliczu oprawcy zdumienie oraz frasunek, co objawiło się dalszym, niemożliwym już niemal zwężeniem twarzy. Trwało to krótko – ot, przesypały się dwa ziarna piachu w klepsydrze i już kata w izbie nie było.

– Myślałem – mówienie przychodziło Kowenorowi z pewnym trudem – że potrafię nakreślić granice już wszystkich fenomenów tego świata. Lecz twa bezczelność przekracza granice mego pojmowania.

– Są na świecie rzeczy, o których nie śniło się nawet Sędziom – odparł Rozenkrontz słynną frazą Dolsilwy, nieco przerobioną. W oryginale szło o poetów.

– Ale znam granice swej cierpliwości.

Nie darzyli się wzajemną sympatią. Ani zrozumieniem.

Przed laty prowadzili w Barden śledztwo; obaj w tej samej sprawie – tyle, że Kowenor z cesarskiego, a Rozenkrontz z prywatnego nadania. Szło o makabryczne mordy dokonywane w mieście i najbliższych jego okolicach. Ktoś łby ludziom ścinał i zostawiał, niczym drogowskazy,

na gościńcach. Różnice metodologiczne w działalności obu panów były przemożne. Rozenkrontz myśl silił i bieg jej nadawał ściśle określony (od ogółu do szczegółu); Kowenor natomiast wyrównywał, karczował. Sędzia rychło znalazł kozła ofiarnego – człeka najpewniej niespełna rozumu, opanowanego manią. Biedak był przekonany, że Stwórca wszystkie zmysły ma wyczulone bezgranicznie, a w tej liczbie również węch, który uczone księgi i wszelkie ortodoksje niesłusznie pomijały. Osobnik ów wywodził się z Dalekiego Zachodu, gdzie mieszkańcy Bogu w drogę nie wchodzą oczekując wzajemności. Postanowił zatem Bogu zniknąć z nosa, stać się doskonale niewyczuwalnym. Idea zaprowadziła go daleko – jął tarzać się w odchodach, posypywać ślady pieprzem. Kowenor skazał go na podstawie wątych poszlak. Rozenkrontz zaś udowodnił, że przynajmniej w czterech morderstwach skazaniec nie mógł brać udziału. Publicznie upokorzył Kowenora, co nie było szczytem umysłowego wyrafinowania. Rozenkrontz ustalił, że wszystkie ofiary w jakiś sposób powiązane były z osobą okrutnego hrabiego Mortena, pana na Zamku Kaltern, który zmarł przed laty w tajemnych okolicznościach. Korzenie tajemnicy wgłębione były w mroczną przeszłość. Najdziwniejsze w tym wszystkim było, że mordy zaiste ustały.

Milczenie przedłużało się nieznośnie, zdawało się, że tężeje, wręcz nabiera kształtów; aż Kowenor przeszył je śmiertelnym sztychem ostrza swego głosu:

– Po co tu przyszedłeś?

Rozenkrontz zrelacjonował wizytę dziwaka w czerni. Sędzia zrazu przysłuchiwał się bez uwagi, w jakimś roztargnieniu, jego myśli zdawały się krążyć w innych rejonach, z dala od tej zacienionej izby, od tak zniechęconej doczesności, od marności tego łoża padołu – obarczonego materią niczym garbem. W pewnej chwili jął jednak słuchać uważniej, może nawet chłonał opowieść Rozenkrontza. Dolsilwa powiedziałaby, że Kowenor nagina interpretacje, by przetrącić im kręgosłupy niewygodnych sensów. Albo jakoś tak, równie zawile. A kiedy usłyszał Sędzia o Zasadzie Zastępstwa, to niemal zadrżał i nawet na moment oderwał się od krzesła, przez co jął odlegle przypominać istotę ludzką. Gorączkowo przy tym szeptał, jakby spierając się wewnętrznie ze swą drugą – gorszą chyba jeszcze – połową. Wreszcie zapytał Rozenkrontza:

– Słyszałeś o Wemal Daw?

Rozenkrontz oczywiście nie słyszał. Był zdecydowanie najgorzej poinformowanym podmiotem w sprawie.

– To język starowereński. Niektórzy utrzymują, że to najstarsza mowa świata... Że to... Język Boga. Niemal zapomniany, Psy posługują się wersją zwulgaryzowaną. Zresztą, mniejsza. – Kowenor umilkł, zbierając rozproszone myśli. – Wemal Daw oznacza tyle, co „Filary Świata”. Pisał o nich Grobes, lecz była to relacja z drugiej ręki...

– Filary Świata?

Sędzia sięgnął po zakurzony foliał i jął cytować:

– Istnieje i zawsze istniało na świecie trzydziestu sześciu prawych ludzi, których zadaniem jest usprawiedliwianie świata przed Bogiem. Sami jednakże nic o tym nie wiedzą. Jeżeli jeden z nich umiera, jego miejsce natychmiast zajmuje kto inny; tak, by liczba zawsze się zgadzała. Jeśli jednak który dowie się o swej niezwyklej roli – umiera bez pozostawienia następców. Sami tego nie podejrzewając, są utajonymi filarami, na których spoczywa świat. Gdyby nie oni, Bóg unicestwiłby rodzaj ludzki. Tyle Grobes. Trzydzieści sześć to liczba tajemnicza. Symbolizuje związki między niebem i ziemią. Jest też symbolem całości, ponieważ stanowi sumę pierwszych czterech parzystych i pierwszych czterech nieparzystych liczb: 20+16. Powiada się też, że trzydzieści sześć jest również liczbą Bestii, która w taki oto sposób urąga Stworzycielowi. Jednak prawda o Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych jest bardziej skomplikowana. Jeśli bowiem któryś z... Filarów dowie się o swej niezwykłej kondycji, jego dusza natychmiast dobywa się przemocą z ciała, co bywa widokiem...

– ... nieprzyjemnym. Słyszałem. – A w myślach kołatało mu: *trzydzieści sześć, liczba Bestii...*

– Dwie są drogi wiodące do unicestwienia świata. Pierwsza taka: rodzaj człeczy spsieję do tego stopnia, że nie znajdzie się trzydziestu sześciu prawych. Druga zaś taka, że...

– ... ktoś ludzkości „życzliwy” powiadomi Wemal Daw o ich niebagatelnej roli we Wszechświecie – dokończył Rozenkrontz.

– Rozenkrontz – zaczął uroczyście Sędzia – na naszych oczach dopełniają się Proroctwa. Wemal Daw to nie legenda. To szczerą prawdą.

– A Zasada Zastępstwa? Co ma do tego Zasada Zastępstwa?

– Nie pojmujesz? Filary Świata nie mogą odznaczać się jeno sprawiedliwością. To by ich czyniło nieludzkimi. Ekonomia świata jest

okrutna; by usprawiedliwić grzechy innych konieczna jest wymienialna waluta czystego cierpienia. I tak aż do chwili, gdy odezwie się Głos Boga. Wtedy cały ciężar przypadnie Jemu w udziale.

Wszystko jęło się układać we łbie Rozenkrontza, jakby ktoś nagle rozniecił ogień w ciemnych zaułach jego umysłu. I stała się światłość.

W aktach okrucieństwa, owych zmysłowych kastracjach był ukryty zamysł. Zamysł wprawdzie obłądny, lecz obarczony wewnętrzną logiką. Nie ma nic bardziej wewnętrznie logicznego niż szaleństwo, za którym kryje się metoda. Sprawca okaleczeń musiał być z jakichś przyczyn przekonany, że ofiary są Filarami, co trzymają świat w ryzach. Pozbawiał ludzi zmysłów z niebywałą, żelazną precyzją, bo przecie zmysły dostarczają bodźców wraz z zabójczą wiedzą. A kto inny usiłował owych Wemał Daw zawiadomić o ich niezwykłości – i świat z istnienia wymazać. W dwóch razach mu się udało – dusze zawiadomionych rozmazały ciała po ścianach.

Sen, pomyślał Rozenkrontz, Mój jeden, jedyny sen.

– W jakim celu przybyłeś do Barden?

– Anonim – odrzekł enigmatycznie Kowenor. – Anonim do Cesarza, wyobrażasz sobie?

Rozenkrontz przyjrzał się uważnie Dziesiętnikowi. *Nie tylko po to tu przybyłeś, pomyślał, a głośno rzekł:*

– W czarnej kopercie?

- W czarnej kopercie. Ale nikogo po zapoznaniu się z treścią nie rozerwało na sztuki. Była tam wiadomość, że kolejna ofiara szaleńca znajduje się w Barden. Bliższych szczegółów nie było. Od jakiegoś czasu śledzimy te zbrodnie. Bez rezultatu. Nadszedł czas na rezultaty, Rozenkrontz.

Przez jakiś czas milczeli, po czym jakby coś nagle wstąpiło w Kowenora Krwawego. Jego oczy rozżarzył blask, który był mroczny; podniósł się z krzesła i jął spacerować tam i nazad z energią czerpaną nie wiedzieć skąd. I mówił, mówił tonem zaprawionym goryczą. Opowiedział Rozenkrontzowi koleje swego życia, jakby poczuł nagłą potrzebę spowiedzi przed tym, którego zawsze brał za wroga. Może właśnie dlatego, że uważał go za wroga? Za wroga, który już nie był groźny, który już był zneutralizowany? Rozenkrontz jął się obawiać, czy uda mu się opuścić Zajazd Lechandryjski w jednym kawałku.

Kowenor usprawiedliwiał swe krwawe usposobienie. Okazało się bowiem, że wykonywał dziejową misję i że był narzędziem Wysokich Potęg. Nadnaturalny charakter misji nie ulegał wątpliwości, bowiem wieść o zadaniu otrzymał młody podówczas Kowenor od swego ojca. Nie dość na tym – od nieżyjącego ojca. „Widziałeś ducha swego ojca?”, zapytał Rozenkrontz, nieco zdumiony. Ojca i nie ojca – brzmiała odpowiedź. Postać przyjęła wprawdzie kształty rodziciela Kowenorowego, by ukazać się o północy na murach zamkowych spowitych wilgotną ciemnością niczym pleśnią, ale – jak wyraził się Sędzia – nie forma była w tym przypadku istotna, lecz treść. Choć po prawdzie i forma nie pozostawała bez znaczenia, bo Kowenor szczerze nienawidził swego ojca, będąc mu jednocześnie bezgranicznie powolnym. Stosunki Kowenora z ojcem były bardzo skomplikowane; w dalekiej przyszłości schorzenie Sędziego miało dać nazwę całej rodzinie podobnych duchowych niedomogów (tzw. „Kompleks Kowenora”). W każdym razie Widmo głuchym głosem powiadomiło Sędziego o istnieniu Wemal Daw. Zadaniem Sędziego miało być wyszukiwanie potencjalnych Filarów Świata i mordowanie ich. „Mordowanie?!”, krzyknął Rozenkrontz, mocno wzburzony. Tak, właśnie, dla dobra Sprawy. Dla ratowania świata. Kowenor był jednak ślepy jak szczenię – nie znał tożsamości Wemal Daw. Zrazu próbował formuł matematycznych, wierzył bowiem, że Język Boga jest językiem matematyki („wemal daw” oznacza „filary świata”, lecz także... trzydzieści sześć). Zadanie go jednak przerosło, zatem szybko zmienił metodę. Filarami musieli być ludzie „dotknięci przez Boga”, nieszczęśliwi, cierpiący, może nawet obłąkani. Kowenor, w swym miłosierdziu, skracał zatem jeno ich ból, a zarazem mylił tropy Przeciwnikowi ludzkiego rodzaju – oto misja Sędziego. Liczył, że zgładził przynajmniej kilku z grona Wemal Daw, a na miejsce każdego zabitego – w nieświadomości, rzecz jasna – przychodził na świat nowy. Świat to podłe miejsce, opływa w nieustanne nikczemności, ale zawsze znajdzie się odpowiednia liczba ludzi wartych w Oczach Boga istnienia. Kowenor Dziesiątnik otoczył się bandą morderców i oprawców i karczował łany nieszczęśliwych w majestacie prawa. A wszystko to – dla dobra ludzkości. Ludzkości zaś pozostawi Kowenor Krwawy swe pamiętniki, gdzie wszystkie swe wiekopomne myśli i czyny zanotował; nie omieszka tam również zawrzeć spotkania z Rozenkrontzem. Pamiętniki

go wybielą w pamięci pokoleń, może nawet zapewnią mu nieśmiertelną sławę?

W Rozenkrontzu wzbierały mdłości – były jak przyływ oceanu żółci, nie do powstrzymania.

– Teraz już wiem, kogo karczować, Rozenkrontz – mówił Sędzia gorączkowo. – Znam tożsamość Wemal Daw. Wreszcie przejrzałem, naprawdę przejrzałem...

– Ale oni nic nie widzą. I nie słyszą. Po co ich zabijać?

– Ten oprawca... on popełnia błąd. Zabijać trzeba. To jedyny pewny sposób. Na ich miejsce przyjdą inni, nieświadomi, niczego nie pojmujący. Dam światu czas...

Rozenkrontz nie słuchał dalej. Wybiegł z izby, choć nogi pod nim drżały, jakby zasłyszane wieści poważnie podniosły ciężar jego ciała. Był już przy schodach, na wysokości portretu Cesarza z dumnie uniesioną głową, gdy kątem oka ujrzał kobiecą postać. Lecz nie opływowość jej kształtów, nie kibić, nie piersi przykuły uwagę Rozenkrontza.

Oczy.

Były pełne światła.

Myślał, że nigdy więcej nie ujrzy oczu tak rozświetlonych blaskiem nie rzucającym cieni.

Oczy kobiety, której bezwiednie przepowiedział śmierć jednego dziecka.

Jego kobiety.

– Paola – szepnął.

9.

– Smutna historia – rzekł Dolsilwa między jednym a drugim haustem wina. – I to...ep... w dwojakim znaczeniu, drogi Rozenkrontzu. Po pierwsze – nie wiem jak się z tego wyplączesz. Po drugie – z tego nijak nie da się wykroić poematu. I to jest najgorsze.

Siedzieli w gospodzie bez nazwy, a wszystko wokół nich jakby zastygło w oczekiwaniu. Poczucie tego nieokreślonego oczekiwania było namacalne, rzeźbiarz mógłby w nim ciosać kształty jak w granicie. Dolsilwa uważał, że atmosfera brała się z umysłowego fermentu w jego głowie; w ciasnej tej

przestrzeni wre ciężka ideowa praca nad nazwą gospody. Istne kamieniołomy myśli. Wszystko wokół zamarło i oczekuje wyników, bo materia cieniem jeno jest idej. Wszystkie istotne decyzje dotyczące kształtu doczesności zapadają „wyżej”. Na przykład w głowie poety Dolsilwy.

– Co ona u niego robiła? – Rozenkrontz operował tą frazą od dłuższego czasu; zmieniała się wyłącznie intonacja, osiągając subtelne odcienie cierpienia.

– A co mogła robić? Ech, te muzy. Rzadko one nadobne i zdojne. Prędzej obłudne i zgubne.

– Co ona u niego robiła?

Dolsilwa machnął ręką i jął przysłuchiwać się gorączkowej dyspucie czterech podchmielonych jegomościów. Dyskutowali o wyznawcach Milczącego Boga, czyli Niemotach. Jeden naśmiewał się z ich milczenia; pozostali przypisywali im liczne okropności, jakich bezjęzykowcy mieli się regularnie dopuszczać. Dolsilwa włączył się do rozmowy zasłyszana niegdyś frazą: Milczenie jest złotem. Ale spojrzeli na niego spode łbów, jakby dopuścił się niestosowności wymagającej regulacji w postaci upustu krwi. Dolsilwa powrócił zatem do swej ulubionej czynności – picia mianowicie.

Potem przysiadły się do nich jakieś dziewczki, bo poeta obiecał im nieśmiertelność w swych strofach, a one potraktowały obietnicę ze śmiertelną powagą.

Rozenkrontz, nawet z pewną regularnością, powtarzał:

– Co ona u niego robiła?

I w takim stanie właśnie zobaczyła ich pani Paola, oficjalna nałożnica Sędziego Kowenora, powiernica skrytych jego namiętności, gdy zajrzała do nienazwanej gospody w niewiadomym zrazu celu. Ujrzała ich pijanych, obarczonych towarzystwem kobiet podejrzanego konduity i nędznej kondycji. Dolsilwa przy tym był prawie uduszony, bo próbował oddychać biustem jednej z dziewczek, który – choć obfity – nie dorównywał zasobom atmosferycznym planety.

Lecz ona przypatrywała się Rozenkrontzowi – był taki, jakim go zapamiętała. Sprawiał wrażenie człeka wymiętego. Wymięty – to najlepsze określenie. Zgnieciony przez los, poturbowany przez życie. Jego twarz taka była – zarysowana nazbyt wyraziście; i jego sylwetka – zgięta okolicznościami. Pamiętała, że wzbudzał w niej kiedyś uczucia

macierzyńskie; pragnęła roztaczać nad nim opiekę, a on – kiedy to wyczuwał – zawsze straszliwie się złościł.

Pani Paola sprawiała wrażenie kobiety, która wewnętrznym spokojem potrafi gasić jak świece konflikty zbrojne oraz pomniejsze swary. Akurat w tej epoce nie było dużego zapotrzebowania na podobne usługi.

W żadnej nie było.

– Rozenkrontz – powiedziała, jakoś tak ciepło.

– Co ona u niego robiła? – rzekł Rozenkrontz (jakoś tak miękko) na jej widok.

10.

Rozenkrontz z trudem dochodził do siebie; zdawało mu się, że przy tym dochodzeniu pokonuje straszliwe odległości – jakby na piechotę do gwiazd się wybrał. Łeb wypełniały mu dialogi unoszących się wokół dusz lub aniołów, prowadzone najpewniej w Języku Boga.

Paola na początku nic nie mówiła, wędrowała jeno swym jasnym jak słońce spojrzeniem po tak dobrze jej znanej izbie.

– Kowenor zrobi w Barden krwawą jatkę – powiedziała w końcu.

Rozenkrontz pomyślał nagle, że nigdy nie potrafił zadbać należycie o swych bliskich, natomiast nadmiernie przejmował się losem ludzi, którzy w gruncie rzeczy nie powinni go obchodzić. Zawsze tak było i nie bardzo wiedział na czym polegało to przekleństwo.

– Wiem. Taki już jest ten Kowenor. Znasz go przecie. Nie usiedzi chwili bez jakiejś rzezi.

Spojrzała na niego surowo.

– Zmieniłeś się.

– Niestety, świat nie zmienił się wcale. Ostatnio dużo osób oczekuje ode mnie jakichś działań, które mogłyby zapobiec kataklizmom. Nie potrafię powstrzymać trzęsienia ziemi, Paolo. Nie gaszę huraganów. Taki już jestem. – Bardzo chciał ją zapytać, co, u diabła, robiła u tego rzeźnika. Ale nie uczynił tego. Uznał, że nie ma prawa.

– Kowenor pragnął, bym mu dała syna. Chciał przedłużyć siebie. Syn Kowenora mógłby jeno być takim samym potworem jak jego ojciec. Twój syn... nie byłby potworem.

Syn! krzyknął bezgłośnie Rozenkrontz.

– Nie. Na pewno nie. Przecie był też twoim synem.

– Zrób coś, Rozenkrontz. Ktoś musi coś zrobić – powiedziała i wyszła w deszcz.

Pragnęła wiele rzeczy wyjaśnić, opowiedzieć. Ale nie umiała. Przed jej oczami wciąż rozgrywała się ta scena; scena, która zakorzeniła się w pamięci na zawsze i nieustannie wydawała ponury plon.

Śpiący i nieśpiący zarazem Rozenkrontz. Potworne słowa wypowiedziane bez emocji, bez drżenia. O śmierci dziecka. Potem powiedział jej o czymś jeszcze.

Kiedyś, na samym początku ich znajomości, opowiadał jej o swym dzieciństwie, o matce. Gdy był bardzo mały, nie chciał zasypiać. Nie pamiętał tego, matka mu powiedziała. Organizm zmuszał go do zaśnięcia, a on bronił się, płakał, popadał w histerię. We śnie jest coś ze śmierci – może niektóre małe dzieci to wyczuwają. Tak. Sen to zapowiedź śmierci.

Nigdy nie osądziła Rozenkrontza surowo. Znała jego grube wady. Ale Rozenkrontz nie był potworem. Nie świadomie.

Tak. Nie przestała ciepło o nim myśleć, może nawet darzyła go jeszcze uczuciem. Ale zrozumiała, że nie potrafi już na niego patrzeć.

Rozenkrontz odprowadzał ją spojrzeniem. Chciał pobiec za nią, krzyknąć, zatrzymać. Lecz nie mógł.

Syn – powtarzał wciąż w myślach – syn.

11.

OPOWIEŚCI MORATORA CIĄG DALSZY

Spisaliśmy z czartem ostateczną umowę. Dulea miała mi być powolną, podobnie zresztą jak znakomita większość aspektów rzeczywistości. W zamian diabeł domagał się praw wyłączności do mej duszy. Nalegał przy tym na dołączenie do umowy aneksu brzmiącego tak nedorzecznie, że omal parsknął śmiechem. Umowę krwią mą błękitną podpisałem, jak to czasem bywa w bajędach ludu pracującego nadaremnie. Byłem – nomen omen – piekielnie ciekaw, jak się też czart do roboty weźmie; w jaki

sposób Duleę przychylnie do mnie nastawi. Diabeł (nie chciał zdradzić, jakie jego miano, bredził coś jeno o legionach i radził nauczyć się liczyć do trzydziestu sześciu) rzekł do mnie tak: „Tym, co odróżnia człeka od bydłęcia jest, nie licząc duszy, wolność jego wyborów, czyli wola, która jest przyczyną jego wzlotów i – częściej – upadków. Chcesz pannę zdobyć, musisz się woli na czas jakiś wyzbyć. Ja pokieruję materią twego cielska, zagram miłosne serenady na strunach głosowych, stopię serca jej lód żarem sztucznego ognia uczuć. Byś się woli wyrzekł, musisz taką wpierw wolę wyrazić. Niełatwo być lalkarzem człecznych członków. Ludzie to nie świnie, w które wniknąć i wyjść mogę w każdej chwili. Nawet w stado całe”.

Spojrzałem mu w oczy, które były otchłanią. Nie dało się z nich nic wyczytać. Ale umowa spisana, więc chyba nie kłamał. W końcu wyraziłem zgodę.

Kiedy wniknął we mnie duchem porzuciwszy pierwej w kącie skorupę własnej doczesności, wrażenie było straszne. Poczułem jego jaźń realnie, jakby nagle obłe i oślizłe cielsko owinęło mi się z jaszczurzą zwinnością wokół duszy! Przez krótką chwilę zalał mnie potokiem swych niewyobrażalnych wrażeń, od których omal nie doznałem pomieszania zmysłów. Może był to przypadek, lecz ja myślę, że nie...

Morator zbladł. Dłoń, zaciśnięta na nędznej imitacji pucharu, drżała; zaciskał mocniej – aż bieleły kości. Dolsilwa przypatrywał się scenie ze zdumieniem. Nie spodziewał się takich emocji po wyniosłym szlachetce.

– Czy ktoś z panów wie, gdzie jest szlachetna pani Paola? – młody człowiek w podróźnej pelerynie, przemoczony i utopiony w błocie usiłował przebić się przez gwar głosów. – To dziwne, lecz widziano, jak tu wchodziła.

Dolsilwa przywołał go gestem.

– Usiądź z nami, chłopcze. Napij się wina, posłuchaj zajmującej opowieści szlachetnie urodzonego Moratora. Odpocznij, bo widzę, żeś strudzony.

Przybysz był posłańcem, z ramienia zwisała mu skórzana sakwa.

– Obowiązki mi nie pozwalają, panie. Od trzech dni jadę śladem Sędziego Kowenora i pani Paoli. Wiozę list dla tej ostatniej. – Co powiedziawszy, posłaniec mocniej przycisnął do siebie sakwę.

– To co innego – rzekł Dolsilwa ujrzawszy wzbierającą w Moratorze niecierpliwość. – Obowiązkowość to cnota kardynalna. Dobrześ trafił, bo znam panią Paolę i wiem, gdzie możesz ją teraz znaleźć. Akurat odwiedza mego przyjaciela, niejakiego Rozenkrontza. Buda, którą zamieszkuje ów osobliwy osobnik znajdziesz przy ulicy Trzech Zwiędłych Wiązów.

– Dzięki, panie! – krzyknął młody posłaniec i tyle go widzieli. Morator podjął przerwany wątek.

Nie, nie był to przypadek. Ujrzałem albo poczułem... piekło! Trwało to nie dłużej niż mgnienie. I nie krócej niż wieczność. Wystarczyło, by zmrozić mnie na wieki wieków.

Piekło to śmiertelny mróz, Dolsilwa! Nie ogień trawi tam duszę, lecz zimno wszelkich braków, zło niespełnień, zastoju, bezradności, oczekiwań daremnych, bezruchu. Tęsknoty – sam nie wiesz za czym. Na duszy osadza się szron bezmyśli, o którym nie możesz przestać myśleć, beczucia z mocą odczuwanego...

Zamrożone dusze, Dolsilwa. Dusze są chyba pozbawione kształtu i fizycznych właściwości, ciężaru... Są tacy, co mówią, że dusza jest energią albo formą... A tam... tam zdawało mi się, że widzę właśnie zamrożone dusze. Każda zastała, ustalona w kształcie... Kształcie jak najbardziej odrażającym, być może wyrażającym najpełniej grzechy popełnione za życia...

Dolsilwa poczuł nagle, jak zalewają go fale wyśmienitych rymów, przyboje geniuszu. Czuł uniesienie, a dzika żądza tworzenia czegoś z niczego – czyli poezji z jego umysłu – brała go w swe posiadanie. Zerwał się z ławy i – zostawiwszy zdumionego szlachcica – podskoczył z nadprzyrodzonym wigorem do gospodarza.

– Wina, gospodarzu – rzekł. – Ta karczma... Rym się nazywa!

I już był z powrotem. W myślach układał poematy, a jednocześnie słuchał Moratora. Czuł, że może czynić równocześnie wszystko – dziewki chędożyć, układać wiersze, słuchać, gadać, pić wino, pojedynkować się

sztynchami ostrych wersów o muzy tego świata. Na wszystko znalazłby czas.

Czas, Dolsilwa. Zamrożony czas. Czas utracony. Tysiąclecia... szubrawiec! Dał mi posmakować piekła, bym wiedział, co tracę wraz z duszą. By życie smakowało gorzko, bym poczuł nicość doczesności, daremność i śmieszność tutejszych mych przewag...

Morator znów przerwał. Wydawał się być zmęczony, czy też może nawet udręczony? Dawna pewność spojrzenia zwiędła. Teraz jego oczy przepęlniała gorzka, bo spóźniona mądrość. A mądrość zawsze oznacza brak pewności czegokolwiek. Poza tym może, że niczego się nie wie.

I tak utraciłem panowanie nad własnym korpusem. Diabeł panował nade mną, a ja byłem świadkiem jeno. Nawiedzaliśmy Duleę; diabeł zdobywał jej przychylność mistrzowsko i stopniowo. Mówił dokładnie to, co niewiasta pragnęła usłyszeć. Nawet ja dostrzegalem teraz wyłomy w jej fortyfikacjach – pobożność Dulei była w istocie samolubstwem, a o świętość przyprawiała ją obawa przed światem. Tak naprawdę nie przejmowała się szczególnie losem biedaków, o których uwielbiała rozprawiać z tak nabożnym smutkiem i skupieniem. Czart, moimi usty, rozwodził się nad losem żebraków, snuł nawet odległe plany reform społecznych; do zbożnych czynów jednak nie dochodziło, bo nie mogło dojść. I tak, dyskutując namiętnie nad poprawianiem świata, znaleźli się pewnej upojnej nocy w łóżnicy. Wówczas czart oddał mi kontrolę nad ciałem. Posiadłem Duleę i natychmiast pojąłem, że me zwycięstwo jest zarazem najdotkliwszą klęską! Kochałem Duleę niedostępną i niezrozumiałą; Dulea w łóżnicy była jak najbardziej dostępna i zrozumiała, bo w mroku sypialni jest najjaśniej; mało tego – jej tajemnica okazała się banałem! I cóż mi z takiego triumfu nad Bogiem, skoro tak naprawdę triumfu żadnego nie było? Dulea jeno uzurpowała sobie prawa do miana Jego oblubienicy. Bóg, choć wszystkowiedzący, najpewniej nic o tym nie wiedział. Zdobyłem coś, co nie miało żadnego znaczenia...

– Wspominałeś, zdaje się, panie, coś o aneksie do umowy... – wtrącił Dolsilwa.

– To głupstwo. Nie ma o czym gadać. Skoro jednak nalegasz...

12.

Ulica Trzech Zwiędłych Wiązów. Kręcił się po okolicy od dłuższego czasu. Trzeba zakończyć tę sprawę. Uczynił co było w jego mocy. Nikt nie mógł wymagać więcej. Nawet Bóg. Był teraz śmiertelnie znużony. Nie, to złe określenie. Śmierć jest odpoczynkiem. Od jakiegoś czasu z trudem znosił napięcie, w jakim żył od lat. Brzemie było coraz cięższe, uwierało, niszczyło go. Jał postępować lekkomyślnie, z niepotrzebną brawurą, jakby podświadomie szukał śmierci. Misja. Misja trzymała go przy życiu. Ale śmierć wzywała.

Zacisnął dłoń na rękojeści topora. Przytroczone do pasa narzędzia – szpikulec i pałka – zdawały się ciężać bardziej niż zwykle.

Ciekawe, czego dziś użyję? – pomyślał z jakąś ponurą ironią.

Narzędzia. Sam też był jeno narzędziem. Nieco może bardziej wyrafinowanym.

– Policzę do dziesięciu i ruszam – szepnął w ciemność. Spojrzał na dłoń. – Do dziewięciu.

Jakiś czas temu domostwo Rozenkrontza opuściła pani Paola. Widział przez jasno oświetlone okno Rozenkrontza, przechadzającego się niecierpliwie po izbie. Rozenkrontz gadał do siebie.

Tak naprawdę Rozenkrontz nie gadał do siebie; przemawiał do Boga.

Bóg – jak zwykle – milczał.

Nie ma pewności, czy słuchał.

NIEWIELKA IMPROWIZACJA ROZENKRONCZA

Jeśli rzeczywiście jesteście wszechmocny i wszechwiedzący, to ja nie jestem wolny. Ani ja, ani nikt inny. Z góry przewidujesz nasz los; darzysz łaską albo nie. Jedni z nas trafią do Królestwa; inni – pogrążą się w otchłani. Bo Ty tak chcesz!

Jeśli jesteśmy wolni, jeśli decyduję za siebie, to Ty nie jesteś wszechmocny i niewiele o mnie wiesz. Nie znasz moich myśli i nie wiesz, co za chwilę uczynię. Więc co z Ciebie za Bóg?

Jeśli jesteś wszechmocny i wszechdobry, jak wielu powiada, to dlaczego mój syn nie żyje? Dlaczego pozwalasz komuś oślepić biedaków, których sam rzekomo wybrałeś na Filary Świata? Po co obdarowałeś mnie garbem ślepej wszechwiedzy?

Czy wycofałeś się ze swej wszechmocy i wszechwiedzy, by obdarować nas wolnością? Gorzki to dar. Nie wiedziałeś, jaki uczynimy z niego użytek? Czy rzeczywiście tak mało wiesz o własnym dziele? O ciemności, która w nas zalega? O złu nas trawiącym? O tym, że czego byśmy się nie tknęli, to zawsze przynosi więcej krzywdy niż pożytku; więcej krwi niż chleba? Czy to nasza wina? Czy Twoja?

A może Twe wycofanie się z wszechmocy jest równoznaczne z wycofaniem się z wszechdobroci?

Nie pragnę już niczego. Chcę nicości, Panie. Chcę umrzeć i szczerząc w niebycie. Ześlij mi bezczucie i... ciszę. Nie chcę nagrody ni kary. Spopiel mą duszę, tak, by nawet pamięć o mnie nie przetrwała...

I gadałby tak Rozenkrontz długo, czerpiąc napęd z rozżalanej duszy, lecz ktoś mu przerwał swym niespodzianym nadejściem. Nie kto inny to był, jeno posłaniec skierowany na ulicę trzech Zwiędłych Wiązów przez Dolsilwę.

– Pan Rozenkrontz? – zapytał młodzik.

– A kto pyta?

– Ten nie błądzi.

– Długie imię.

– Szukam pani Paoli. Mam dla niej ważne wieści.

– Co za wieści? – w Rozenkrontzu jął kiełkować, niejasny zrazu, niepokój. – I od kogo?

Posłaniec przycisnął sakwę do piersi.

– Pokaż choć kopertę.

– Nie mogę. Etyka zawodowa.

– Ho, ho. Wysokie rejestry. Napijesz się wina, chłopcze? Panna Paola nie zając, nie ucieknie. Wino nie kobieta – nie zaszkodzi.

– Chcesz mnie podejść, panie? Pismo zabrać? – Poślaniec z wolna wycofywał się ku wyjściu, lecz Rozenkrontz postępował za nim.

– Skąd te podejżenia? Ta... koperta. Czarna? Powiedz mi jeno, czy czarna.

– Tak. Czarna jak noc.

– Jak piekło. Wiesz, co dzieje się z pośłańcami dostarczającymi złe wieści? Nie oddasz tego listu.

– Czas już na mnie.

– Kto wysłał wiadomość?

– Nikt.

– Jak to: nikt? Ktoś przecie musiał...

– Nikt. Tak się przedstawił.

Czas zając się wreszcie kimś bliskim, przemknęła myśl przez ciężki łeb Rozenkrontza dokładnie w tym samym momencie, gdy rzucał się na pośłańca. Lecz ten był młodszy, szybszy, silniejszy. Rozenkrontz twardo wylądował na ziemi, lecz i młodzik nie uszedł daleko. Po chwili leżał obok Rozenkrontza, martwy, z paskudnie rozłupaną czaszką. Ktoś trzeci i zupełnie nieoczekiwany pojawił się w domostwie Rozenkrontza. Gospodarz ujrzał go w ostatnim błysku świadomości i nawet zdążył się zdziwić – był to Topór Kowenora.

– Nie dostarczysz już żadnej wiadomości – rzekł kat z wąskim uśmiechem na oszczędnych ustach.

Potem w umyśle Rozenkrontza zapadła na jakiś czas błogosławiona ciemność. Przyjął ją z wdzięcznością.

13.

– Zatem o co szło z tym aneksem, panie? – dopytywał się nachalnie, bardzo już pijany Dolsilwa.

Z zewnątrz dochodziły ich rytmiczne stukoty – pacholek przybijał szyld z nową nazwą gospody.

– Doprawdy nie ma o czym mleć ozorem, wierszokleto. Ot, diabeł może mi za życie wyrwać duszę w takim jeno wypadku – wystaw to sobie

Dolsilwa – gdy po drodze kocie łby się potoczą.

– Hm... – zdziwił się poeta. – I to wszystko?

– No, nie. Ale już te kocie łby są dziwne.

– Widywałem dziwniejsze zdarzenia. Podobno Bezimienny Kat z Kaltern ćwiczył na kurczakach. Dużo łbów kurzych walało się po gościńcach wokół zamku. No albo ten szaleniec, co przed laty umieszczał na gościńcach ludzkie czerepy. Ale, ale, były jeszcze jakie warunki?

– Jeden.

– Też taki głupi?

– Głupszy jeszcze...

14.

Rozenkrontz lekki był jak piórko. Jakby pozbył się wszelkich balastów. Podróżował po świecie tak szybko, że krajobrazy zlewały się w kolorowe smugi, a horyzonty nie nadążały z formowaniem się przed jego wzrokiem-niewzrokiem. Aż nagle znalazł się w punkcie wyjścia – to go zastanowiło. *Czyżby ziemia była okrągła?* – pomyślał i dopiero jawny absurd tego mniemania przywrócił go rzeczywistości. Ale rzeczywistość też nie wyglądała dobrze. Rozenkrontz spoczywał na podłodze, obok stygł trup doręczyciela złych wiadomości. Na ławie zaś siedział posepny Topór Kowenora i ciężko opierał się na narzędziu zbrodni, którym był oczywiście katowski topór. Oblicze miał dziś bardziej zwężone niż zwykle, co mogło być oznaką frasunku lub migreny. Rozenkrontz postawił na to pierwsze.

– Nie musiałeś go zabijać – Rozenkrontz spróbował wstać; wówczas świat znów objawił kulistość swego kształtu i gospodarz domu postanowił jeszcze trochę sobie poleżeć. – Nigdy nie zabijaj posłańca.

– Niczego nie pojmujesz, co, Rozenkrontz?

– Nie pojmuję? Czego mianowicie? – Wtedy zerknął na ręce kata i dostrzegł ubytek małego palca w prawej dłoni. – To ty?! Więc to ty... Dlaczego? Byłeś narzędziem, tak? Narzędziem Boga?

– Dlaczego tak mniemasz?

– Nietrudno się domyślić. Bóg ma tu gdzieś w okolicy chyba jakiś warsztat. Same narzędzia. I wszystkie do naprawy świata.

- Nie wiesz wszystkiego.
- Nie jestem Bogiem. I nie wiem, czy jestem ciekaw.
- A jednak ci powiem. Pamiętasz tamte zbrodnie przed laty w okolicach Barden? Te głowy ścinane i zostawiane na gościńcach... Widzę, że pamiętasz. Kowenor skazał owego biedaka, co próbował się wymknąć Boskiemu Powonieniu. A ty publicznie upokorzyłeś Sędziego.
- Po co mi o tym opowiadasz? – W Rozenkrontzu narastał niepokój, którego źródeł na razie nie dostrzegał.
- Racja była wtedy po twojej stronie, Rozenkrontz. To nie tamten biedak o pomieszanych zmysłach zabijał...

15.

- Mianowicie... – Morator jakby się odprężył, może wino zrobiło swoje, może wizja piekła wydała mu się w tym momencie bardzo odległą perspektywą? – Mianowicie czart może odebrać mi duszę w jednym jedynym miejscu...
- Jakim miejscu? – dopytywał się Dolsilwa.
- I w tym sęk. Takiego miejsca nie ma. Sprawdziłem.
- Gdzieś całkiem blisko miauknął przeciągle kot, aż obaj się wzdrygnęli, bo pomyśleli o tym samym – o kocich łbach toczących się po drogach i gościńcach świata.
- Nazywa się jakoś? – indagował poeta.
- Kto? Co?
- No, to miejsce.

16.

- Zatem i w tej zbrodni maczałeś swoje dziewięć palców. Ty pozbawiałeś czerepów tych wszystkich nieszczęśników... – Rozenkrontz był już zmęczony, bardzo zmęczony. – W jakim celu?
- To nie ma już znaczenia. Ważna jest misja...
- O, taaak. Trzeba świat ratować. A może rzeczywiście należałoby ten świat oddać do warsztatu, co Toporze Kowenora?

– Nie kpij, Rozenkrontz. Jak już mówiłem, nie wiesz wszystkiego. Może to, co teraz usłyszysz zmieni i ciebie, i świat wokół ciebie. – Kat podniósł się z ławy i jął przechadzać po izbie. Topór został na stole, co nie umknęło uwadze Rozenkrontza. – Dlaczego nie zapytasz, skąd znałem imiona owych... Filarów Świata?

17.

– Rym! Wyobrażasz sobie, Dolsilwa, Rym. Jeno kompletny głupek mógłby wymyślić taką nazwę dla jakiegokolwiek miejsca!!! – śmiał się gromko Morator.

Dolsilwa wytrzeźwiał.

18.

– Prawie mnie wtedy dostałeś, Rozenkrontz. Czułem na karku twój oddech. Więc postanowiłem cię zabić. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak blisko byłeś śmierci. Siedzieliście w karczmie z tym poetą... Dolsilwą i piliście na umór. On gadał o muzach, a ty... mamrotałeś coś o śledztwie, które niebawem zakończy się sukcesem. O śledztwie w mej sprawie. Byliśmy ostatnimi gośćmi – wy dwaj i ja. Karczmarz na moment gdzieś wyszedł, a poeta postradał przytomność. Podszedłem do ciebie... pamiętam to jak dziś... Już zamierzałem przeszyć cię sztyletem, gdy... Przemówiłeś drewnianym głosem natchnionego wróża. Nie, to nie było pijackie mamrotanie, wyrażałeś się jasno, a nawet dobitnie. Nie mogłem nie dać ci wiary...

– Nie – szepnął Rozenkrontz. – Nie...

– Roztoczyłeś wizję, która nadała sens memu życiu. Opowiedziałeś o Wemal Daw i o misji ratowania świata. Podałeś siedem imion, Rozenkrontz. Siedem. Najałem się do pracy u Kowenora, bo był to najprostszy sposób uniknięcia odpowiedzialności i zejścia z widoku. Kompetencje potwierdziłem łatwo. Jak wiesz, miałem pewne doświadczenie w ścinaniu głów... Kiedyś widziałem nawet Bezimiennego z Kaltern, zatem otarłem się o szczyt finezji...

– Nie...

19.

– Co ci, Dolsilwa? – Morator klepnął jowialnie poetę w plecy. – Życie przed nami, piekło daleko!

– Piekło... – Szlachcic aż wzdrygnął się na dźwięk tego głosu. Dolsilwa uniósł głowę i ujrzał mężczyznę, który nie tak dawno odwiedził Rozenkrontza przynosząc z sobą chłód. Nadal nosił się z czarna. I kpiąco uśmiechał. – Piekło, drogi Moratorze, jest we mnie.

– Czego chcesz?! Umowa! – krzyknął Morator. Jego pewność siebie gdzieś się ulotniła. W gospodzie zapadła cisza, wszyscy chłonęli niezwykłą scenę. A był to dopiero początek niezwykłości.

– Nasza umowa zostanie niebawem sfinalizowana.

– Żarty!

– W pracy nie żartuję.

20.

– A teraz poznałem tożsamość ósmej Sprawiedliwej. Kto by się spodziewał? Nałożnica Kowenora...

– Nie mów tak o niej.

– Moja misja nie jest zakończona.

– Nie zrobisz tego. Nie tym razem.

– Muszę. Przecie jestem Narzędziem Boga. – Kat odwrócił się do Rozenkrontza plecami, jakby go prowokował.

– Mylisz się. Musisz się mylić – szepnął Rozenkrontz. – Inaczej już nic nie ma sensu.

Sięgnął po topór spoczywający na stole. Czy to możliwe, że kat o nim zapomniał?

21.

– A Rym?! A kocie łby?! – Morator poderwał się z ławy.

– Jesteśmy... gdzie jesteśmy – nieznajomy uśmiechnął się do Dolsilwy.

– Co do kocich łbów... – Przymknął oczy i zastygł w teatralnej pozie; nagle rozwarł źrenice i pstryknął palcami. – Już!

Dokładnie w tym samym momencie przy wejściu do gospody „Rym” wrzawa wybuchła i podniósł się rwetes. „Lawina” krzyknął ktoś, „Kocie łby”, zawtórował kto inny. Okazało się, że padający od wielu dni deszcz naruszył okoliczne drogi, wypłukał zaprawę i wyłuskał z niej kamienie. Kocie łby potoczyły się z ulicy Górnej, a lawina poczyniła liczne szkody.

Jednak najbardziej poszkodowanym okazał się szlachetnie urodzony Morator.

22.

Rozenkrontz uderzył w plecy; topór uwiązał w ciele kata, a jego oczy zastygły w wyrazie... ulgi?

Przedwczesna to ulga. Nic się nie skończyło. Nigdy się nie kończy.

Kat czuje coś na kształt podmuchów wiatru, którego Rozenkrontz czuć nie może. To Kwizad, Wiatr Przeznaczeń, Wicher Losów. Jego wpływu doznać mogą jeno uwolnione od ciał dusze. Kwizad pokonuje czas i przestrzeń, a dusza kata – wraz z nim.

Topór Kowenora patrzy więc na siebie, tyle, że młodszego. Jest wątłym, może dziesięcioletnim chłopcem. Nosi dawno zapomniane imię – Sedar.

Dziedziniec Zamku Kaltern; wieża zwana Samotną wskazuje na niebo. Jesień. Chłodny wiatr pędzi ciemne chmury.

Nienaturalnie blady, wysoki mężczyzna o starannie wypielęgnowanych dłoniach trzyma chłopca za rękę. Dłonie chłopca wypielęgnowane nie są. Przed chwilą obcięto mu palec – poglądowa lekcja cierpienia.

To hrabia Morten.

Na dziedzińcu z maltretowana kobieta kładzie głowę pod topór, bo taki jest kaprys hrabiego. Wyraz jego filozofii życiowej.

„Zobacz, chłopcze – mówi Morten swym melodyjnym głosem – oto jest sens wszystkiego. Zapamiętaj – wszystko zaczyna się i kończy cierpieniem”. Chłopiec zapamiętuje tę lekcję. Zapamiętuje bardzo dobrze. Na całe życie.

Bezimienny Kat celebrytuje egzekucję. Mimo zdeformowanych członków porusza się z pewną gracją. Sedar rozpoznaje

w wycieńczonej kobiecie swą matkę. Wokół cieszą się, bo muszą, poddani Mortena; chłopiec obserwuje ich twarze i zapamiętuje każdy rys. Jeszcze się spotkamy, myśli. I rzeczywiście.

Sedar wewnątrz jest rozdarty – czuje rozpacz, ból pierwszej i nieostatniej straty. Ale również fascynację. Widowisko porusza w nim jakąś głęboko ukrytą strunę; strunę, na której w przyszłości grać będzie tylko jeden utwór – requiem. Teraz wchłania w siebie potężną dawkę cierpienia, by potem obdarowywać nim szczodrze ludzkość.

I kiedy mścił się po latach na wszystkich uczestnikach egzekucji, czuł jeno ulgę, bo ciężar zgromadzonego bólu był nie do zniesienia. Obcinał tym głupcom łby i zostawiał na gościńcach – niech się toczą, niech toczą się jak toczyła się głowa jego matki, jak toczy się świat cały.

To jeszcze nie koniec. Teraz widzi siebie kastrującego zmysły bliźnim. Ich oczy. Pełne zadziwiającego blasku. Jestem jak noc, mówi do siebie kat. Czymże byłoby słońce beze mnie?

Kwizad dmie mocniej. O wiele mocniej. Trzeba się spieszyć. Ale dokąd?

I ten chłód. Dlaczego tak zimno?

23.

Szlachetnie urodzony Morator o nieugiętym – dotąd – spojrzeniu najpierw zbladł, a dopiero potem rozpekł się z dziwnym mlaśnięciem jak przejrzały owoc.

Mieszkańcy Barden długo wspominali to wydarzenie, po latach obrosło legendą i mało kto już wierzył w tę historię, choć była przecie prawdziwa. Szczątki Moratora zbierano przez wiele dni, a odnajdywano je w nieoczekiwanych miejscach.

Tuż po śmierci Morator poczuł się lekki jak piórko. A w istocie był nawet jeszcze lżejszy. Wszystko widział teraz z niezwykłą wyrazistością; w jednej chwili pojął wiele rzeczy, cudownym wprost sposobem. Doczesnym swym szczątkom walającym się po gospodzie przyjrzał się

z pobłażaniem; tak mógłby przyglądać się pozostałościom po kokonie świeżo wykluty motyl.

Nagle jego uwagę przykuło hipnotyzujące światło; fascynujące, wabiące. Morator pomyślał, że to nic innego, jeno Boża Iluminacja. Bóg jest miłosierny, Bóg wybacza, nawet takim grzesznikom jak Morator.

Zatem ruszył, ufnie, lotem koszącym w stronę światłości, lecz naraz zrozumiał, że to jeno wąty blask kaganka wyolbrzymiony jego, czułymi teraz nad miarę, zmysłami-niezmysłami. Dusza Moratora zachowywała się niczym ćma; mimo, że nieporównywalnie wyżej stała w hierarchii bytów.

A potem coś jąło ją ciągnąć z siłą nieodpartą. Była jak źdźbło porwane nurtem wezbranej rzeki; wszystko już przesądzone. I poczuł Morator, a raczej dusza jego, strach, który był niczym ukłucie śmiertelnego chłodu.

Tak.

Chłodno.

Nieznane metafizyczne pływy ciągnęły Moratorową duszyczkę wprost w czarną otchłań, zda się – bez dna. Im bliżej tej otchłani zachłannej, tym bardziej przypomina oko. Czarne wprawdzie, ale jednak oko.

– Coś mi wpadło do oka – powiedział nieznajomy (którego niektórzy nazywali Trzydzieści i Sześć, a inni Legionem) do oniemiałego Dolsilwy. – Kto wie, może jeszcze się spotkamy? Jestem wielbicielem pańskiej poezji.

24.

Sędzia Kowenor postradał życie tego samego dnia, co jego Topór. Znalaziono go w izbie Zajazdu Lechandryjskiego, zespolonego w jedność z krzesłem, znieruchomiałego w groteskowej pozie, z – nomen omen – toporem wbitym w czaszkę. Sędziowska obstawa zasnęła; mniemano, że ktoś ich uśpił. Na wszelki wypadek skazano na ścięcie kucharza, lecz ten – szczęśliwie – umknął niesprawiedliwej sprawiedliwości. Podejrzenie padło na sędziowskiego kata, wskazywało na to choćby narzędzie zbrodni. No i fakt, że zniknął i słuch o nim zaginął.

Odnaleziono pamiętniki Sędziego, którego sprytnie dobrane i ogłoszone publicznie fragmenty kompromitowały go jako szaleńca judzącego do licznych pogromów na Bogu ducha winnych innowiercach. Kilka ostatnich stron pamiętnika ktoś usunął. Również w środku dokonano

cenzorskich zabiegów – plotki głosiły, że w miejscach, w których Kowenor przywoływał opinie samego Cesarza. Oczywiście rzekome opinie.

W każdym razie plotki na temat wyznawców Boga Milczącego na jakiś czas przycichły. Na jak długi jednak?

Przed wyjazdem z Barden Rozenkrontz udał się na miejski cmentarz, gdzie właśnie chowano doczesne szczątki Sędziego Kowenora. Nie było prawie nikogo.

Tylko Rozenkrontz.

I Paola.

– Co zamierzasz teraz uczynić? – zagadnął ją po pogrzebie.

– Słyszałam o chłopcu, który mądrzejszy jest od uczonych w piśmie. Pragnę go zobaczyć. I posłuchać. – Po chwili milczenia zapytała: - To ty go zabiłeś, prawda?

Nie czekając na słowa Rozenkrontza, odwróciła się i odeszła. Wciąż nie mogła na niego patrzeć. Choć to nie jego wina, że przewidział śmierć ich syna. Ani to, co przepowiedział chwilę później. Że Paola zostanie nałożnicą Sędziego Kowenora, po to, by chronić niewinnych. Cóż. Każdy jest łamany na kole własnego żywota.

Rozenkrontz chciał zapytać Paolę, czy to nie ona uśpiła przyboczną straż Kowenora. Uznał jednak, że to niemożliwe.

Przypomniały mu się słowa zleceniodawcy: *Najważniejsze – kto za tym wszystkim stoi. Kiedy ustalisz, czyja jest idea tej odrażającej zbrodni – rozgłoś to wszem i wobec.*

Uśmiechnął się gorzko. Bo sam nie wiedział – czy w transie przewidywał jeno to, co nieuchronne, czy też przewidywaniem swym nakręcał spiralę makabrycznych zdarzeń?

Zaraz nawiedziła go inna refleksja. Słowa Pustaka o demonie...

– Jego zamiary to zasłona w zasłonie... – szepnął. – Siła, która chcąc zło czynić, czyni dobro... Albo...

– Albo odwrotnie?!

A jeśli jemu wcale nie zależało na tym, by zgładzić Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych – myślał Rozenkrontz. – Jeśli chodziło o to jeno, by zmniejszyć ich liczbę? I to było moje zadanie – w odpowiednim momencie powstrzymać szaleńca. Dobro, które nie jest dobrem. Demonom nie zależy na unicestwieniu świata, jeno na psuciu go. Świat stał się przez to trochę gorszym miejscem. Ubyło dwóch Wemal Daw. Dwóch –

w Cesarstwie. A może gdzie indziej – więcej... Ilu ich teraz jest? Ilu usprawiedliwia świat przed Bogiem?

Zajrzał po raz ostatni do domu, spojrzął na panujący tu nieład. Brak kobiecej ręki. Nie omieszkał spalić czarnej koperty zaadresowanej do „Szlachetnie urodzonej Pani Paoli”.

Spakował, co niezbędne i udał się na bardenński rynek. Po drodze zauważył, że deszcz przestał padać. Niebo przetarło się, po bezkresnym błękicie leniwie wędrował ledwo jeden biały obłok. Rozenkrontz pomyślał, że może to Bóg wywiesił białą flagę, znak pokoju. Uznał to za dobry omen.

Mógł się oczywiście mylić.

Na bardenńskim rynku odnalazł studnię i wrzucił do czeluści trzydzieści pięć srebrników, bo zwykł zwracać długi.

Miał nadzieję, że nie będzie to oznaczało trzydziestu pięciu powrotów do Barden.

Jedną monetę zatrzymał.

Na tę jedną – zasłużył.

JĄDRO ŚWIATŁOŚCI

A światło świeci w ciemności
(Ewangelia według św. Jana)

1.

Arneb, cesarski doradca, dyskretnie przemykał (co przy jego tuszy było ekwilibrystyką) korytarzami zamku Gomoren, letniej siedziby Cesarza lechandryjskiego. Wszędy, na ścianach, kobiercach i dywanach królował motyw Kobiety Bez Włosów Łonowych, cesarskiego godła, w różnych aspektach i ujęciach. Wielu artystów z różnych epok eksponowało nieszczęsną postać na cesarskie zamówienie. Wielu o tym marzyło, bo takie zamówienie, bez względu na wartość artystyczną, bywało zamówieniem życia. Z pewnych powodów nazywano je „Złotym Kiczem”. Jeden wizerunek Bezwłosej Matrony wybijał się jakością artystyczną. Był to portret sprzed dwustu lat, nieznanego malarza; kobieta z obrazu odznaczała się tajemnym półuśmiechem, ni to ironicznym, ni rozmarzonym. Interpretacje znaczenia uśmiechu rychło wyrodziły się w nadinterpretacje.

Gdy wszedł do Komnaty Sekretów, wąskiego prostokąta o podwójnych ścianach nieprzepuszczających dźwięków, Cesarz już czekał. Siedział na jednym ze swych trzystu tronów, rozparty, z wydętym brzuchem znamionującym kłopoty z sytością. Zlustrował Arneba niechętnym spojrzeniem, cesarskie obowiązki były mu dziś nie w smak.

– Cóż mi dziś doradzisz, Arnebie? – ziewnął.

Arneb padł na kolana, a następnie doczołgał się do stóp cesarskich, by je ucałować. Taka czołobitność, dopuszczalna etykietą, choć nadmierna, oznaczała, że Arneb ma złe wieści do przekazania.

– Wasza Cesarska Mość, Słońce Lechandryjskiej Ziemi, Pogromco Niewiernych...

– Wystarczy. Nie każę cię ściąć. Co tam niedobrego?

– Nasi szpiedzy donoszą, że operacja „Cień Szczura” przynosi pożądane przez Waszą Cesarską Mość rezultaty...

Cesarz rozpromienił się.

– ... zaraza powoli rozprzestrzenia się w Barden. Zarazone szczury zostały przez naszych ludzi dostarczone.

– Kara Boska wreszcie dotknie tego aroganta Sorma Bezpiecznika – rzekł Cesarz, w uniesieniu. – A ponieważ wiadomo powszechnie, że w żyłach lechandryjskich cesarzy płynie krew boska, kara jest sprawiedliwa... Ludzi odpowiedzialnych za ów akt boskiej dywersji należy, tak jak to ustalaliśmy, bezwzględnie zabić. Mogli się zarazić, a nadto wiedzą o wiele za dużo. Czy już wykonałeś rozkaz?

Arneb skulił się w sobie.

– Zlikwidowano wszystkich... z jednym wyjątkiem, Wasza Cesarska Mość. Niejaki Golamir, zwany Podlewką, łotr bez serca...

– Lubimy takich... – mruknął Cesarz. – Lecz nie do tego stopnia, by ich utrzymywać przy życiu...

– Wymknął się, bo został wybrany do innej misji zleconej przez Waszą Cesarską Mość. Gołgoran go najął...

– Co?! – ryknął Cesarz.

– Wybacz, Najjaśniejszy. Wasza Cesarska Mość nakazała pozostawić Gołgoranowi całkowitą swobodę w doborze... współpracowników...

– Głupiec – wycedził chłodno Cesarz. – To naraża na szwank delikatną misję Gołgorana. Twe niedopatrzenie jest karygodne, Armebie, doradco mój. Ale, jako rzekłem, głowy nie stracisz...

2.

Gołgoran był wściekły, lecz nie pokazał tego po sobie. Zeskoczył z wierzchowca, pochylił się nad ziemią. Nabrał w dłonie piasku i jął przesypywać z jednej na drugą. Za każdym razem przesypywał mniej – piachu gdzieś ubywało.

Oto metafora życia – pomyślał, bo odebrał dość wszechstronne wykształcenie, które nigdy do niczego mu się nie przydało.

Weron podszedł do niego na trzęsących się nogach. Pozorny spokój Gołgorana nie zwiódł go; znali się od lat i nie byli zachwyceni swymi

znajomościami. Czasem los tak układa dzieje.

– Podlewka i Nowy wrócili... – rzekł Weron. – Oni...

- Jałowa ziemia – przerwał mu Gołgoran. – Nawożona padliną, podlewana krwią. Tu rodzi się śmierć jeno.

– Oni... Psia krew! Mamy dwa następne nawrócenia. Jeśli tak dalej... - Gołgoran podniósł się na nogi i otrząpał z kurzu.

– Wieszczą? – zapytał.

– Wieszczą. I wznoszą modły. Za nas.

Gołgoran ruszył, powoli, wzdłuż szpaleru jeźdźców, który topniał z dnia na dzień; zostało dwunastu ledwo. Będzie jeszcze mniej – wiedział o tym. Patrzył na twarze swych ludzi – otoczone szczecina, jakby szerniały. I oczy błyszczące obłędem. Niewiele im brakowało. Gdyby nie obiecane złoto...

– Jesteśmy blisko, panowie! – krzyknął Gołgoran, ale jego głos porwał wiatr i zaniósł w nieznane. – Złoto nasze!

– Wszyscy gardło dacie... – rzekł ktoś z końca szpaleru. Gołgoran znał ten głos.

– Wieszczysz, Podlewka – westchnął. – Niepotrzebnie ty wieszczysz... Fałszywe świadectwo dajesz...

Zobaczył ich – o dwa nieszczęścia więcej w i tak niezbyt szczęśliwej scenerii. Obaj wychudli, a oczy błyszczały im chyba bardziej niż reszcie. Rynsztunek walał się u stóp. Nowy bazgrał coś patykiem na piasku, ale dla Gołgorana równie dobrze mógłby pisać po wodzie. Twarz Nowego przecinała paskudna szrama niewiadomego pochodzenia. Pewnego dnia pojawił się wśród kompanów ze świeżą blizną na gębie i rzekł, że teraz jego oblicze wygląda jak nowe. Od tej pory jego prawdziwe imię poszło w zapomnienie. Gołgoran zastanawiał się – skąd, u licha, wzięło się miano Podlewki. Nie mógł sobie przypomnieć. A sam Podlewka wyglądał rzeczywiście paskudnie. Czuł się źle od kilku dni, trawiła go gorączka, rzygał. Chyba był chory.

– Zbierać rynsztunek i w drogę – rzekł Gołgoran ze spokojem, który mógł zmrozić ocean.

– Wszyscy dacie gardło – powtórzył Podlewka. – Z jednym wyjątkiem. Gołgoran żyć będzie. Lecz i on niedługo. Zbliża się mór. Śmierć Czarna...

– Skąd wiesz? – zapytał Weron.

Nowy milczał i zawzięcie rysował. Jakby się spieszył, jakby chciał zdążyć zanim...

– Anioł mi powiedział.

Gołgoran usłyszał za plecami szepty. Jego ludzie rozważali właśnie ze śmiertelną powagą możliwość istnienia aniołów. Brali tę ewentualność za całkiem prawdopodobną, choć jeszcze miesiąc temu parsknęliby śmiechem na podlewkowe rewelacje metafizyczne.

– Skoroście w jedną noc tyle rozumu zjedli... – Gołgoran powoli zbliżał się do nawróconych – powiedzcie mi: czy człek, co rodzi się pod czarną gwiazdą z duszą czarną jak noc bez gwiazd może się zmienić na lepsze?

– Człek wolną wolę ma. I wybiera – odparł Podlewka. Była to jego ostatnia kwestia wygłoszona za życia.

– Głupiec – warknął Gołgoran i ruchem szybszym niż myśl przebił Podlewkę mieczem. Nie przesypało się ziarno piasku w klepsydrze, a i Nowy padł trupem.

– Co z nich za prorocy! – krzyknął Gołgoran ocierając twarz z krwi przelanej. – Nie przewidzieli własnej śmierci!

Patrzył w oczy swym ludziom i oceniał – zaatakują czy nie? Jakby czytał w ich niezbyt skomplikowanych umysłach. Za i przeciw. Dziesięciu na jednego. Złoto do podziału. I śmierć wokół. Po stronie Gołgorana był jeszcze jeden atut – pochodzenie. W jego żyłach płynęła bowiem malandryjska krew; to zawsze budziło respekt. Dopóki bardziej od aniołów lękali się Gołgorana, miał szansę.

Opuścił wzrok, by za bardzo ich nie prowokować i wtedy ujrzał bazgroły Nowego. *Zabijesz nas, Gołgoran* – głosił napis. Obok widniał rysunek strzelistej wieży. Gołgoran wiedział, co to za wieża. Niektórzy nazywali ją Samotną. Starł bazgroły butem.

Do wczoraj Nowy był niepiśmienny.

3.

Niema kobieta spoglądała przez południowe okno Samotnej Wieży. Wydawało się, że wrzosowiska rozciągają się po sam horyzont, dając - swą znikomością przecie - pojęcie o nieskończoności. Kobieta wyobrażała sobie, że wrzosowiska to wcale nie wrzosowiska, a łagodnie pulsujące

morze. Słyszała, będąc dzieckiem, opowieści kupców z odległych stron świata o żeglugach po Morzu Martwym. Jej wyobraźnia, ukształtowana na widoku zamkowej studni na dziedzińcu, nie mogła sprostać takiemu nagromadzeniu wilgoci, do tego słonej.

Jakby Bóg uronił łzę, myślała.

Ogarniał ją smutek, więc zabawiła się w swą starą grę w wymyślanie imion. Kiedyś, gdy była mała, wymyślała sobie imiona, bo prawdziwego nigdy nie poznała. Imiona były stosowne do okazji. Imiona-schronienia, gdy była przestraszona; brzmiały tak wyniośle, że czuła, jakby cudownym zrządzeniem znalazła się na szczycie szklanej góry. Były też imionamarzenia, co więcej obiecywały niż dawały.

Za jej plecami spał czteroletni chłopiec, syn kobiety. Spał spokojnie. Matka bardzo się o niego martwiła, bowiem nie potrafiła nauczyć go mowy. Chłopiec milczał zakłęcie, prawie nigdy nie płakał; obawiała się, że jego nienaturalny spokój jest spokojem niemowy. Wiedziała, że będą musieli niedługo opuścić mury Kaltern, chłopiec powinien poznać innych ludzi, usłyszeć ich rozmowy. Bała się tej chwili, bo choć z zamkiem wiązały się jej najgorsze wspomnienia, to jednak przywykła do ciszy i zapleśniałych półmroków, do aury Kaltern. A przecież to w lochach zamczyska hrabia Morten i jego wierne narzędzie Bezimienny Kat pozbawili ją ongiś języka. Była wówczas mała, ot trzyletnia smarkula, co nic nie wie o świecie, lecz wnet dowiedziała się wiele. Ponura edukacja, najgorsza z możliwych, dawała wiedzę pewną, lecz gorzką jak piołun.

W chłopcu było coś dziwnego, czego jednak kobieta nie potrafiła nazwać ni określić. Ten spokój, stający się zwykle udziałem starców, a nie brzdąców, owa aura miłości, która zdawała się rozgrzewać do fundamentów Kaltern... A może ta stateczna ciekawość świata? Malec nie uczył się na błędach jak inne dzieci, jakby od razu wiedział wszystko o otaczającej go rzeczywistości. Z ciekawością spoglądał jeno w dal z okna Samotnej Wieży, jakby potrafił przeniknąć okiem horyzonty. Nigdy jednak nie patrzył przez północne okno. Tak. Przez północne – nigdy. Jego matka zastanawiała się nad fenomenem. Słyszała kiedyś o rozciągającej się jakoby na północ od Kaltern Pustyni Bestii, nazywanej też Szarą Pustynią. Ale skąd miałby wiedzieć o niej jej synek?

I zmęczenie wyzierające spod dziecięcego błękitu spojrzenia; skąd to u niego, na Boga?

Wiedziała, że jest niezwykły, lecz – jak każda matka – lękała się o jego losy. Niezwyčajnym ludziom zwykle pisane są dwa rodzaje przeznaczeń – albo narzucają swą wolę innym, albo umierają w nędzy i niezrozumieniu. Żaden z tych losów nie wydawał się kobiecie dobry dla jej syna.

Strach. Przez całe życie bała się; do niedawna o siebie, potem zaś o syna. Jak wszystko na świecie, strach ma swój zapach. Niema kobieta czuła go przez całe życie. Miała niezwykle wyczulone powonienie, jakby natura w ten oto sposób rekompensowała jej utratę zdolności porozumiewania się z bliźnimi. Wyczuwała uczucia innych ludzi, czuła zbliżający się deszcz na długo przed ulewą, wyczuwała nawet śmierć. Kiedy przed czterema laty nawiedził Kaltern rycerz Kwaidan, przeczuła, że przywiózł z sobą śmierć. Potem ją wywiózł, zebrawszy przedtem obfity plon. Kwaidan właściwie nie pachniał, jakby nie żywił żadnych uczuć. Albo smród śmierci zabijał w nim wszelakie inne wonie.

Śmierć ma zapach zgniło słodki. Łączy w sobie przeciwieństwa – spełnienie żywota i strach przed tym zwieńczeniem. Pewność śmierci i niepewność życia.

Jej syn pachniał miłością.

Kobieta nie wiedziała, jak można pachnieć miłością, nie wahała jej w życiu dużo. Coś jej jednak mówiło, że chłopiec pachnie miłością.

Patrzyła teraz przez północne okno. Krajobraz był podobny, kogo innego raziłby swą powtarzalnością, monotonią, lecz nie ją. Ona lubiła to, co znane i oczywiste, bo to przynosiło spokój, zabijało strach.

Ale nie tym razem.

Tym razem coś ją wyraźnie zaniepokoiło w znanym pozornie widoku. Nieznane w znanym. Na początku nie wiedziała o co chodzi. Jakiś szczegół, rys, drobna zamiana... Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała: krajobraz był subtelnie zamazany, jakby na dalsze elementy padał cień. Widok, jaki się przed nią rozciągał przypominał płótno pejzażysty, który nie dba o szczegóły dalszego planu obrazu. Skądinąd wiedziała, że TEN pejzażysta przecie dba o najdrobniejsze szczegóły.

Co to jest, myślała, mgła? Dym? Szara mgła... Szara... Pustynia?!

Wiatr dął z północy. I niósł z sobą tumany popiołów. Nie słyszała, by kiedykolwiek widziano w tych okolicach pustynne popioły. A więc prawdą było, że Pustynia Bestii nieustannie poszerza swe obszary. Być może kiedyś ogarnie świat cały. Jeszcze jeden powód, by opuścić Kaltern.

4.

Od jakiegoś czasu Kroni usiłowała wyłapać choć strzępy wyjątkowo interesującej rozmowy toczonej za ścianą. Najbardziej przeszkadzał jej w tym klient, kupiec bławatny Garbacz, o którym powiadano, że jest najbogatszym człkiem w Barden. Garbacz sapał na niej ciężko, nadto, jak miał to w zwyczaju, dokonywał półgłosem jakichś zawiłych obliczeń tyczących wiązanych transakcji, co zdawało się go podniecać daleko bardziej niż ciało leżącej pod nim dziewczki. Wreszcie doszło do spełnienia, co kupiec skwitował przeciągłym rżeniem. Kroni wywnioskowała, że spodziewany interes Garbacza zapowiada się znakomicie.

Ledwo kupiec wyszedł (sygnęwszy uprzednio srebrem), pozostawiając po sobie przemieszaną woń pachnideł i potu, a Kroni już przykładła kształtne uszko do ściany, by strzępy dialogu w całość zrozumiała złożyć. Dialogowała właścicielka lupanaru, Kolchinea o niezliczonych, jak powiadali złośliwcy, podbródkach, z jakimś bliżej nieznanym Kroni osobnikiem. Mężczyzna wyrażał się ze znaczną swobodą i pewnością siebie, jakby nawykł do wydawania poleceń. Dziewka płonęła z ciekawości – kto zacz, lecz płomień ten nieszybko miał być ugaszony.

– ... szaleństwo! – perorował nieznamy. – Cesarz, choć oczywiście oficjalnie za tym nie stoi, wysłał ekspedycję karną złożoną z obwiesi o duszach czarnych jak brud za paznokciami twych dziewczek, droga Kolchineo. Mają porwać albo zabić tego bachora o szczególnych właściwościach. To już trzecia taka wyprawa. Żadna nie zakończyła się sukcesem...

– Moje dziewczki, panie, słyną z wypielegnowanych paznokci – rzekła powściągliwie Kolchinea. – Nie wiem, co nadzwyczajnego może kryć się w jakimkolwiek bachorze. Widziałam ich trochę w swoim krótkim życiu, nie ma w nich nic poza odrobiną kości i krwi. Nie da się też pominąć kału występującego w dzieciach w nadmiarze i przewadze nad wymienionymi składnikami. Czasem wydaje się, że składają się jeno z krzyków. W naszej profesji dzieci szczególnie nie są pożądane, albowiem łamią kariery dobrze zapowiadających się...

– Dość, Kolchineo. Nie przybyłem tu, by wysłuchiwać lamentów. Chcę, byś oczy miała otwarte. Uszu na wieści też nie zamykaj. I ta wyprawa nie

zakończy się sukcesem, już moja w tym głowa...

– Nie pojmuję, mój panie. Przecie Cesarz pragnie śmierci bachora, jak i ty. Dlaczego zatem mu przeszkadzasz?

– Dążenia tego malowanego głupca na tronie nigdy nie były zbieżne z moimi, kobieto. Żaden z moich ludzi nie dotarł do Kaltern, mimo ponawianych prób. Jedni popełniali po drodze samobójstwa, inni postradali zmysły, jeszcze inni nawracali się, jeśli głosić proroctwa, na tyle dla mnie niewygodne, że musiałem kazać ich zabić. To nie do zniesienia!

Przez chwilę w komnacie obok panowała cisza, przerywana odgłosem nerwowych kroków, z czego Kroni wywnioskowała, iż mężczyzna musi się przechadzać.

– Co słytać w Barden? – przerwał milczenie nieznajomy.

– Interes podupada, panie. Od kiedy twoi ludzie wyróżnili tu niewiniątka...

– Nieznani sprawcy!

– Nieznani sprawcy – powtórzyła Kolchinea. – Otóż od tego czasu ludziska chędożą głównie w celach prokreacyjnych, jakby pragnęli nadrobić dotkliwie straty...

– Dość tych lamentów, głupia babo!

Kroni zamarła. Nikt, kto pragnął pozostać przy życiu nie odzywał się tak do Kolchinei. Tymczasem ta przełknęła obelgę gładko. Kim był ów mężczyzna, na Boga?! Kim?!

– Dawniej nie mówiłeś tak do mnie, panie.

– Było to kilka podbródków temu, Kolchineo. Jakie nastroje w mieście?

– Prorocy mnożą się jak króliki, nie brak też świętych mężów. Co dziwne, żaden nie żąda za usługi zapłaty...

– Taaak. To dziwne... – mężczyzna jakby się zamyślił. – A co z tą dziewczką i jej bachorem... wspominałaś coś o tym...

Kroni zastygła, niczym posąg odlany w srebrze jej klientów.

– Dziwna historia, panie. Kilka lat temu, bodaj dokładnie wtedy, gdy twoi... to jest nieznani sprawcy dokonywali tu mordów na dzieciach, jedna z mych dziewczynek, śliczna bestyjka i nie pozbawiona talentów, powiła, niestety, dziecko. Syna...

– Syna, powiadasz.

– Zniknęła nagle, przez dłuższy czas jej nie było. Niedawno wróciła do pracy, lecz chyba już bez bachora. Zatrudniłam ją.

– Jej imię?

– Kroni.

– Kroooniii! – dziewczka usłyszała wołanie, ktoś dobijał się do jej komnaty. – Masz klienta! Pospiesz się!

– Już idę! – krzyknęła Kroni i oderwała się od ściany. Usłyszała dość. Szybko doprowadziła się do jakiegoś takiego ładu i wyszła.

Tymczasem podsłuchiwanie jakby tylko na to czekali.

– Myślisz, że słuchała? – zapytał mężczyzna. Był średniego wzrostu, lecz mocnej budowy. Nosił się surowo, po żołniersku. Jego twarz znamionował żelazny upór; gdyby sądzić po pozorach, wąskie, zaciśnięte usta mogły, choć nie musiały świadczyć o okrucieństwie.

– Jestem tego pewna, mój... książę – odparła Kolchinea. – Ciekawość dziewczki to pierwszy stopień do piekła namiętności, która rychło zmienia się w rutynę. To nasza cecha zawodowa.

– Dobrze. Wywiedz się, gdzie ukryła chłopca. Może się okazać ważny w tej rozgrywce.

– Teraz na pewno tam pobiegnie. Kazałam ją śledzić.

– Nie zatraciłaś swej przebiegłości, Kolchineo.

– Książę mi pochlebia...

– Oddaję sprawiedliwość. Czas na mnie. Informuj mnie o tej dziewczce. Bachora chcę mieć żywego. Żegnaj.

Po wyjściu mężczyzny wyraz twarzy Kolchinei zmienił się gwałtownie, jakby w jej umyśle rozpętała się nawałnica sprzecznych namiętności. Zbladła, oblicze wykrzywił grymas wściekłości, spod grubej warstwy pudru wypełzła złośliwość, starsza niż świat. Widać było, jak wiele kosztowała ją dotychczasowa powściągliwość.

– Kilka podbródków temu... – syknęła wściekle. – Na twoim miejscu, mój książę, jęłabym się zastanawiać, czy doczekasz choć jednego jeszcze...

5.

Następnego dnia, ni z tego ni z owego, skamieniało dwóch, których Gołgoran nie znał; na wyprawę kaptował ich Weron. Stali, wpatrzeni w słoneczną koronę, nie mrużąc przy tym oczu, nie reagując na nic, ani nie

dając żadnych oznak życia. Na twarzach malował im się błogostan, jakby dostąpili szczęścia niczym nie rozrzedzonego, a wręcz diabło stężonego.

– Tego jeszcze nie było – mruknął Werten i splunął przez lewe ramię, by odpędzić uroki. Wszelkie usiłowania poruszenia tych żywych figur spełzły na niczym.

– Ludzie jęli szeptać na boku. Strach ogarniał ich jak jakiś żywioł, któremu nie da się postawić tamy. Gołgoran musiał to uciąć.

– Podzielić między siebie ekwipunek – rzekł z nienaturalnym spokojem.
– Konie rozkulbaczyć i luzem puścić. Jeszcze dzień drogi i zaczną się wrzosowiska. Potem pół dnia i Kaltern. I złoto. A coraz go więcej na łebka...

Niechętnie, ale zastosowali się do poleceń.

Wieczorem, gdy odpoczywali, Gołgoran spoglądał w gwiazdy, lecz nie przyszłość tam znalazł, a przeszłość. Jego malandryjskie przekleństwo. Krew przodków, co nie ręce plamiła, a los. Malandria zajmowała ongiś obszar południowo – wschodniego skrawka dzisiejszego Cesarstwa Lechandryjskiego. Była krainą ze wszystkich stron obleganą przez wrogów; trudno orzec – wina była po stronie obleganych czy oblegających. Zresztą w wojennym czasie trudno wyrokować o winach. Niewątpliwie okazali się Malandryjczycy wielkimi wojownikami, lecz zarazem nie wykazali się politycznym zmysłem. Ich chroniczna niezdolność do osiągnięcia jakichkolwiek kompromisów, brak zdolności współdziałania doprowadzić musiały do klęski. Nim lechandryjski Praszczur obecnego Cesarza wszystkich pogodził, Malandria została spustoszona, a mieszkańcy niemal wycięci w pień. Przedtem jednak wytworzył się pośród mieszkańców krainy szczególny kodeks moralny polegający na tym, że żaden Malandryjczyk nie mógł skrzywdzić innego ziomka, albowiem ludność stawała się najcenniejszym zasobem terenów nieszczęsnej krainy. Zasadę tę wpajano już najmniejszym pacholętom i to z taką mocą, że gdy dochodziło do – przypadkowego z reguły – mordu, winowajca natychmiast pozbawiał się życia. Prowadziło do sytuacji dziwnych i tragicznych opiewanych potem przez poetów tej miary, co Dolsilwa zwany (przez siebie) Wielkim. Ci, co hekatombę przetrwali, kultywowali stare zasady ze zdwojoną siłą. Malandryjczycy, trudniąc się z reguły najemnym wojowaniem, zasłynęli jako mordercy wytrawni i skuteczni. Jedyne, czego unikali, to siebie

wzajem. Gdy jeno mogli, wywiadywali się o pochodzenie potencjalnych ofiar, by nie trafić na swego.

Gołgoran pragnął zmyć z siebie odium klęski własnego ludu, dystansował się od korzeni i przeznaczenia. By to osiągnąć, jedno miał wyjście – zaprzeć się przeszłości; zostać notablem cesarskim. Tytuł arystokratyczny i godło, który Cesarz jeno, w swej nadzwyczajnej łaskawości, przyznać mógł, zmyłby ślady pochodzenia z jego życiorysu. I taka była cena Gołgorana, gdy Arneb, doradca Cesarza wynajmował go na tę wyprawę. Uznawano Gołgorana za być może największego z wojowników Cesarstwa (choć niektórzy wskazywali raczej na rycerza Kwaidana), zatem ustalona przez niego cena nie była kwestionowana.

Arneb, tłusty eunuch o sprytnych oczkach niknących w rozległych przestrzeniach oblicza przyjął Gołgorana w cesarskiej Komnacie Przyjęć, co samo w sobie było zaszczytem, o ile przyjmującym był Cesarz. Ale Cesarz nie brudził sobie rąk, od tego miał Arneba. Komnata kapiała złotem i klejnotami, na ścianie wisiała mapa Cesarstwa, granice inkrustowane były srebrem. Rzeki kapwały od złota.

– Wielki wojownik – rzekł Arneb na wstępie. Przez moment Gołgoran myślał, że mowa o nim, ale zobaczył, że doradca wpatruje się w portret Cesarza na siwym koniu.

– O tak.

– Przejdę od razu do rzeczy, Gołgoranie. Cesarz, za moim pośrednictwem, pragnie cię nająć do dobrze płatnej roboty.

– To dla mnie zaszczyt. Dlaczego jest aż tak dobrze płatna?

Arneb roześmiał się, dość obrzydliwie.

– Widzę, że polecono mi właściwego człeka! Dobrze płatna, bo ryzykowna. Wielu postradało zmysły albo życie, próbując tego dokonać. Nie wiem, co gorsze. Ja bym chyba wolał zachować życie kosztem zmysłów, a ty?

– Odwrotnie. Kogo trzeba zabić?

– Zabić albo porwać. Dziecko. Chłopca. Zamek Kaltern, opodal Barden, prowincja przebrzydłego Sorma, któremu odgryziono palec. A jeśli nie zdołasz go ubić ni porwać, to zdobądź choć kapkę jego krwi. Bo o krew głównie się rozchodzi.

- Tak dobrze jest chroniony?

– Trudno powiedzieć... Magowie cesarscy bredzą coś o jakowejś barierze... – Armeb był wyraźnie zakłopotany. Nie lubił rozprawiać o tematach, w których nie czuł się kompetentny. Nie było ich wiele. – Ale nie jest to barykada w sensie klasycznym, ani też nic materialnego... To magia jakaś... Podejmiesz się? Płacimy tobie i ludziom, których wybierzesz tyle złota, ile ważycie...

– Mnie na złocie nie zależy. Godła chcę.

Potem przez tysiąc ziaren piachu przeglądali Księgę Godeł. Gołgoran długo wahał się między Jaskółką Nieczyniącą Wiosny a Ślepym Sokołem. W końcu wybrał to pierwsze. Jakiś czas po rozmowie z Gołgoranem odnaleziono ciało zamordowanego Armeba. Zgodnie z obietnicą Cesarza, w jednym kawałku – został uduszony.

A teraz myślał, czy nie podjął się misji zbyt pochopnie. Nie dlatego, że była niebezpieczna - Armeb wspominał mu mimochodem o kilku zwieńczonych dramatem misjach - ale z tego powodu, że nie był pewien, czy tym sposobem zmyje z siebie odium złej krwi. Czy wystarczy uzyskać godło bez godności? Ale na takie myśli było już o wiele za późno. Na wiele rzeczy było w jego życiu za późno.

Nawet instynkt ostrzegł go za późno. Tak to jest, gdy wojownik trafia na zagrożenie, które nie jest poprzedzane jakimikolwiek oznakami niebezpieczeństwa. Do tej kategorii zjawisk niektórzy zaliczali małżeństwa. Gołgoranowi zdało się, że świat zafalował, jakby wypadł z formy, po czym niechętnie do niej powrócił, ale nie do końca. Wszystko wokół wyglądało jak przed momentem, a jednak w nieuchwytny sposób inaczej. Jego ludzie nadal siedzieli przy ognisku, lecz zarazem czuł, jakby byli oddaleni o tysiące dni drogi. Gołgoran wszystko wyraźniej postrzegał, a jednocześnie wszystko było odległe jak gwiazdy. Chciał podejść do ogniska i – rzeczywiście – ruszył, potem jął biec, szaleńczo, aż do rozerwania płuc, lecz nie zbliżył się do światła ani na jotę!

– Do mnie! – krzyknął. Głos niby rozszedł się w powietrzu, a nikt go nie usłyszał.

Szaleństwo! myślał, *Czy jestem martwy, czy jeno duchem bląkającym się bez celu?* Nawet jął rozglądać się wokół w poszukiwaniu własnego ciała, być może podstępnie strutego, albo choć przebitego ostrym narzędziem? Nic z tego. Uszczypnął się w policzek. Zabolało. Kto wie,

do czego doprowadziłyby Gołgorana dalsze eksperymenta; szczęśliwie przerwał je głos głęboko brzmiący i czysty jak łąza tenora.

– Żyjesz, Gołgoranie. Twój czas jeszcze nie nadszedł, ale nie wiem, czy to dobra, czy zła wieść.

Rozmówcą Gołgorana był młodzieniec, smukły, lecz niezbyt wysoki, o włosach jasnych, lecz nie za jasnych i wejrzeniu melancholijnym, ale nie smutnym.

– Gdzie... jesteśmy? – zapytał Gołgoran, osłupiały nieco.

– Poza czasem i poza przestrzenią, gdzie nic się nie dzieje i gdzie można spokojnie porozmawiać. Schowaj miecz, wojowniku. To nie jest broń na takiego zwierza jak ja.

– Kim jesteś? – Gołgoran nie posłuchał; dzierżył miecz w prawicy.

– Aniołem – odparł nieznajomy lekko i uśmiechnął się.

Gołgoran milczał. Wszystko w nim buntowało się przeciw temu co widział i słyszał, a z drugiej strony wiedział, że to prawda. Świat to dziwne miejsce.

– Znamy twe czyny, wojowniku. Twe serce jest okrutne, ale przeznaczenie – niejednoznaczne. Musisz się o czymś dowiedzieć...

– Dlaczego muszę?! Dlaczego twój pan nie zrobi porządku z takim nędznikiem jak ja? Dlaczego nie uporządkuje tej kloaki pod naszymi stopami? Po cóż mam się o czymkolwiek dowiadywać? Co to jest – jakaś gra w zgadywanki? Zabij mnie jeśli potrafisz i będzie wreszcie spokój!

– W tej chwili, Gołgoranie, nie byłoby to dla ciebie dobre rozwiązanie... Nie przenikam planów naszego Pana. My, aniołowie, jesteśmy jak nici łączące niebo z ziemią. Gdy ziemia oddala się od nieba, nici bardzo się napinają. Odczuwamy to boleśnie, cierpimy daleko bardziej niż ty, Gołgoranie, choć na własną, ludzką miarę cierpisz bardzo. Twe okrucieństwo jest miarą twego cierpienia. Wy, ludzie jesteście dziwnymi istotami. Gdy umieracie, błagacie Pana o życie. Gdy wysłuchuje waszych próśb, chcecie być bogaci. Kiedy już opływacie w dostatki, czujecie przemożny smutek jałowej egzystencji i popełniacie samobójstwa...

– Tyle wiesz. Podlewka i Nowy też sporo wiedzieli. Dlaczego nie wykorzystacie tej wiedzy...

Anioł roześmiał się gorzko.

– Za jasnowidzenie zawsze płaci się słono. Jak za wszystko – za miłość, za dobro, za zło. Waluta się zmienia, lecz cena zawsze pozostaje

wygórowana. Widzisz, gdy twoi kompani zyskali dar, natychmiast zrozumieli, że do niczego im się nie przyda. Bo uzyskali też gorzką wiedzę na wiele innych tematów, przestało im zależeć na dziewczkach, na złocie, na czymkolwiek innym, może nawet na własnym życiu. Zyskali inną perspektywę. To wszystko i nic zarazem. Tak jest ze wszystkim w doczesności. Na przykład z mądrością, która zwykle nierozdzielna jest ze zgrzybiałością...

– Czego chcesz ode mnie? – Gołgoran był zmęczony tym dialogiem, który nie zmieniał jego perspektywy, ani – jak mniemał – perspektyw na przyszłość.

– Niczego, Gołgoranie. Sam będziesz musiał wybierać, co jest dobrem, a co złem. Ja jestem tu po to jeno, by uświadomić ci... całokształt spraw. Twoi ludzie za moment zginą, a ich czarne dusze Kwizad zwieje tam, gdzie ich miejsce.

– Co?! – krzyknął Gołgoran i wtedy zobaczył, bo widział z tego miejsca lepiej niż kiedykolwiek przedtem, skradające się cienie.

– To ludzie księcia Sorma. Wielu ich stracił, kiedy przedzierali się przez Bariere. Ale ci, co się przedostali zaskoczą twych obwiesi. Nikt nie przeżyje, tak jak przewidział to Podlewka.

– Chcę tam być... – warknął Gołgoran. – Przepuść mnie...

– Musisz żyć. Wypuszczę cię. Ale nie teraz.

Obaj patrzyli na rzeź. Gołgoran zaciskał dłoń na mieczu. Nienawidził bezsilności. Anioł był smutny.

Dali się zaskoczyć. W normalnych okolicznościach było to niemożliwe, ale okoliczności bardzo oddaliły się od wszelkich norm. Byli zmęczeni i przestraszeni. Oni, nędznicy, których matką była bezwzględność, a siostrą okrucieństwo, teraz dali się zabijać... jakby z ulgą? Gołgoran krzyczał. Ale nikt go nie słyszał.

– Takie chwile oddalają niebo od ziemi, Gołgoranie.

– Więc uczynić coś!

– Nie mogę... – szepnął anioł, a w jego głosie brzmiał ból.

Wenter bronił się najdłużej. Doświadczony najemnik, nieraz przedstawiał się śmierci. Tym razem to ona przedstawiła się jemu.

– Zabij mnie... – rzekł zimno Gołgoran. – Zabij mnie, bo jeśli tego nie uczynisz, nic nie powstrzyma mnie przed zabiciem tego bachora...

– Nim go zabijesz, Gołgoranie, wiedz, że jego matka jest Malandryjką, choć sama nic o tym nie wie.

– Łzesz!

– Nie potrafię kłamać.

– To bardzo łatwe. Mógłbym cię nauczyć.

Anioł zniknął, a Gołgoran znalazł się sam, pośród trupów.

6.

Kroni podążała spieszenie, spoglądając za siebie, czy ją kto nie śledzi. Jednak ten, co szedł za nią zbyt wytrawnym był szpiegiem; nie dostrzegła go. Nawet gdyby dostrzegła, to i tak nie wzbudziłby jej podejrzeń, wyglądał bowiem na średniozamożnego kupca zainteresowanego wszystkim, jeno nie dziewczką zdążającą na spotkanie z synem.

Zrazu chciała iść do izby, w której od czasu do czasu pomieszkiwała, tej przy Ulicy Głębokiego Snu, lecz po chwili namysłu zrezygnowała i ruszyła prosto ku Zaułkowi Cudów. Budynkom, które mijala niewiele brakowało do tego, by nazwać je ruinami. Dzielnice Wschodnie Barden były siedliskiem ludności zdeklasowanej: napływowych biedaków, bankrutów i złoczyńców, w większości źle czyniących nie z powodu słabej woli czy niedobrej natury; oni grzeszyli, by żyć. Zresztą i inne dzielnice nie wyglądały dużo lepiej. Barden umierało, szlaki handlowe Cesarstwa jeły omijać miasto. Dużo mówiło się o sekretnej rywalizacji między Cesarzem a księciem Sormem Bez Palca. Rywalizacja ta nie odbijała się oczywiście na podmiotach sporu. Jak zawsze – cierpiały przedmioty, czyli ludzie.

Opodal dwóch proroków, od których ostatnio zaroilo się miasto, wiodło publiczny spór na temat ciemności i światła. Jeden obstawał przy wyższości światła, które rozprasza ciemność; drugi mówił, że bez ciemności nie byłoby światłości. Spór od retorycznych argumentów przeszedł do inwektyw, zwolennik jasności nazwał przeciwnika ciemniakiem, a ten odgryzł mu się mianem „oślepionego blaskiem kłamstwa”.

Nieco dalej człek tak umartwiony, że żadne zmartwienie nie mogło go dotknąć, zapowiadał świetlaną przyszłość ludzkości. Mówił o czasach, co nadejdą, kiedy to ludzie żreć będą owoce z drzew wiadomości dobrego

i złego, aż do przesyty, aż do sraczki słów i naukowego rzygania. Epokę tę zwał Oświeceniem.

Kroni nieustannie rozmyślała o rozmowie Kolchinei z owym nieznanym mężczyzną. Kim był? Z całą pewnością kimś znaczącym, skoro Kolchinea pozwalała mu tak sobą pomiatać. Na ile jednak znaczącym? Czy znów będą musieli uciekać? Kroni wołała w myślach swego protektora, ojca jej syna, Tego Którego Nie Ma, choć jest bardziej niż wielu innych, których znała. Ale od kilku lat nie odzywał się do niej, nawet w snach. Pamiętała jego słowa, słowa ze snu właśnie – *Zdrada rodzi zdradę. Będziesz musiała zdradzić naszego syna.*

Mogła zdradzić matkę, ojca (których nie znała), lecz syna? Źródło jej dumy, przedłużenie jej natury, jej piękna i wdzięku, jej przekłętego losu? Był wyznaczony do wielkich zadań. Jakże mogła go zdradzić?

Zaułek Cudów, tak a nie inaczej zwany ze względu na rezydującego tu ongiś legendarnego maga Galandiego. Mag, jak głosi legenda, uciążliwy był dla mieszkańców okolicy. Podpalał wodę w studni, sprawiał, że upierzenie domowego ptactwa osiągało ciężar ołowiu, a czasem wzniecał lokalne trąby powietrzne, by przewietrzyć mieszkanie. W końcu przodek księcia Sorma miał Galandiemu dyskretnie zasugerować, by ten zniknął bez śladu. Mag jakoby spełnił prośbę protektora na tyle skutecznie, że nikt więcej go nie zobaczył.

W powietrzu znać było jakieś napięcie. Nie tak dawno po mieście rozeszła się plotka o zarazie Czarnej Śmierci, która jęła zbierać ponure żniwo we wschodnich dzielnicach miasta. Jeśli to prawda, upał nie był okolicznością sprzyjającą. Kroni coraz bardziej upewniała się w przekonaniu, że należy opuścić Barden jak najszybciej.

Gdy wchodziła do mrocznej izby, zdawało jej się, jakby zstępowała do otchłani. Mrok zdawał się tu pochłaniać przedmioty z większą żarłocznością niż gdzie indziej.

Womisa, opiekunka jej syna, wypęzła z cienia tak nieoczekiwanie, że Kroni aż krzyknęła. Prezentowała się coraz gorzej, cienie pod oczami jakby zlewały się z cieniami izby, stawały się jednością. Womisa z wolna, lecz nieubłaganie przejmowała właściwości miejsca, w którym pracowała.

Oby nie, pomyślała Kroni.

– Powinnaś częściej tu wietrzyć, Womiso. I wpuść trochę światła...
Co robi Enrew?

Piastunka jakby wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia.

– Bawi się... – szepnęła. – Tak, bawi się... Wczoraj pytał o panią. Zapytał, co to znaczy kochać. I...

– I?

– I dlaczego pani kocha w nim jeno to, co jest panią?

– Co odpowiedziałaś?

– Ja... ja już nie potrafię z nim rozmawiać.

– Dobrze. Ja porozmawiam. – Kroni rzuciła Womisie srebrną monetę. Nie chciała mieć z nią żadnego kontaktu fizycznego, czuła odrazę.

Chłopiec zadawał dziwne pytania. Był mądry jak na swój wiek. Bardzo mądry. Do drugiego roku życia cechowała go zachłanna ciekawość świata. Wszystkie dzieci są ciekawe, lecz u Enrewa przekraczało to wyobraźnię. Wszystkiego dotykał (zmysł dotyku sprawiał mu szczególną rozkosz), smakował, nieustannie obserwował. Mowę opanował bardzo szybko, wydawać by się mogło, że po to jeno, by zasypywać wszystkich gradem pytań. Potem, gdy ukończył trzecią jesień żywota, nagle mu się odmieniło. Jakby popadł w odrętwienie, zatracił gdzieś swą nieokiełznaną aktywność, zagłębił się we własnym świecie. Gdyby nie to, że miał cztery lata można by go podejrzewać o pewną dojrzałość. Możliwe, że dziwaczność jego zachowania miała coś wspólnego z trybem życia, jaki stał się jego udziałem. Przebywanie w mrocznej izbie z na wpół obłąkaną kobietą, spacerowanie jeno późnymi wieczorami, brak kontaktu z innymi dziećmi – to wszystko musiało odcisnąć na nim piętno.

Z trudem wyłuskała go wzrokiem z ciemności. Siedział na podłodze, wpatrywał się w jakiś punkt w kącie izby, z taką intensywnością, jakby zależało od tego jego czteroletnie życie.

– Enrew – chciała, by jej głos był ciepły.

Zerwał się na nogi, przez chwilę wydawało się, że do niej podbiegnie, ale zdusił w sobie tę chęć.

– Witaj, matko.

„Matko” zabrzmiało bardzo, bardzo chłodno. Zignorowała to.

– W co tak się wpatrywałeś, synku?

– Czekam na ojca. Obiecał, że któregoś dnia do mnie przyjdzie.

Kroni nigdy nie opowiadała mu o ojcu. Nigdy.

– Rozmawiałeś z nim?

– W snach. Zawsze wychodzi z ciemności.

- Co jeszcze ci mówił?
- Nic.
- Być może będziemy musieli stąd wyjechać, Enrew.
- Tak? – udał zainteresowanie.
- O czym rozmawiałeś z Womisą?
- Wreszcie na nią spojrział. Miał smutne oczy. Cztery lata i smutne oczy.
- Dlaczego jestem inny, mamó?
- Podeszła do niego i przytuliła go.
- Nie jesteś. A jeśli nawet, to dlatego, że jesteś lepszy od innych.
- Ja nie chcę być lepszy... Mam sny... Straszne sny – wyczuła jego łzy.
- W tych snach... zdradzasz mnie.
- Poczuła nagły chłód. Ciarki przeszły jej po plecach.
- To niemożliwe, synu. Nigdy cię nie zdradzę.
- Szepty mówią inaczej.
- Szepty?! – Czy jej syn był szalony...
- Szepty. Dochodzą z różnych stron. Przemawiają do mnie.
- Wkrótce stąd wyjedziemy, synku. Pojedziemy na południe. Tam jest ciepło. Słonecznie. I nie będziesz musiał siedzieć w domu. Nie będzie żadnych szeptów... – Brzmiało to jak baśń. A baśnie nigdy się nie spełniają.
- Kiedy wychodziła, poczuła na policzkach łzy. Nie płakała od lat.

7.

Wrzosowiska. Gdzie okiem sięgnąć – tam wrzosa. A jednak Gołgoran przyjmował ową jednorodność krajobrazu z ulgą. Lepsze wrzosa niż rzeź. Lepsze wrzosa niż anioły. Lepsze wrzosa niż wspomnienia.

Spotkanie z aniołem nie zadziwiło go, ani nie zamgliło jego obrazu świata. Zawsze wierzył w istnienie Boga, co nie przeszkadzało mu w robieniu zła, co czyniło z Gołgorana figurę dość paradoksalną. Tak został stworzony – tłumaczył sobie. Zło było do czegoś Stwórcy potrzebne, w przeciwnym razie nigdy by nie zaistniało. Żli ludzie byli koniecznością. Nie było wyboru; Bóg nie obdarzył go Łaską. Nie miał o to nigdy pretensji. Tak być musi i basta. Przeznaczenie. Wola Boska. Zło było jak ciemność. Czym byłoby światło bez ciemności? Uśmiechnął się do swych myśli. Jego

imię – Gołgoran – oznaczało w malandryjskiej mowie tyle co „Ciemność w Jasności”. Nigdy nie zgłębił znaczenia swego miana.

Anioł zdawał się sugerować, że jest jeszcze przed Gołgoranem jakiś wybór, ale przecie sam się przyznał do niewiedzy i braku wglądu w Wyroki Pana. Cóż było czynić – trzeba zmierzać przed siebie, do celu, do Kaltern. Zatem zmierzał. Nie zastanawiał się nad tym, co uczyni na zamku. Zabije chłopca, czy weźmie go żywcem? Chodziło wszak o krew, o nic więcej. Kapkę krwi dziecięcej.

Tyle, że chłopiec był Malandryjczykiem.

Malandryjczyk. Gołgoran zaklął.

Samotną Wieżę widać było z daleka. Wznosiła się nad przekłętymi wrzosowiskami jak gigantyczny palec wskazujący niebo. Był niczym kierunkowskaz: oto droga, którą obrać należy.

8.

Kolchinei było zimno i nie wiedziała do końca, czy odpowiada za to temperatura katakumb, czy też raczej strach. Jej towarzysze milczeli, ale nie z braku uprzejmości, lecz z konieczności, albowiem dobrowolnie pozbawili się języków w swoim czasie. Wyznawcy Milczącego Boga też postanowili życie spędzić w milczeniu. Kolchinea zastanawiała się, gdy była nieco młodsza, czy akt językowej kastracji był wyrazem uwielbienia dla milkliwego Stwórcy, czy może raczej buntu, prowokacji, wyzwania? Oczywiście nie rozstrzygnęła tej wątpliwości.

Była jedną z nielicznych, a być może nawet jedyną, której podczas wędrówki przez katakumby nie zakrywano oczu. Poczytywała to sobie za zaszczyt. Bo też nie byle kto ją przyjmował, a sam Pustak Bezduzchnik, pan katakumb, władca świata podziemnego Barden. Taka audiencja więcej dla niej ważyła niż spotkanie z Cesarzem.

Szło jej się ciężko, z racji nadwagi, co jakiś czas przystawała dla nabrania oddechu. Wówczas rozglądała się wokół, chcąc rozeznaczyć się w okolicy, rozpoznać jakieś szczegóły. Bezskutecznie, wszystkie zaułki wyglądały podobnie; oszczędna, surowa architektura podziemi nie miała cieszyć niczyjego wzroku, raczej już odwrotnie – wprawiać w rozpacz.

Nadto niewiele widziała w kapryśnym świetle pochodni niesionej przez jednego z przewodników.

Bezduśnik czekał na nią. Oblicze, jak zwykle, chował w głębokim cieniu. Dawniej Kolchinea podejrzewała, że może to być jakaś znana w Barden persona zachowująca, ze zrozumiałych powodów, anonimowość. Teraz nie wykluczała tej hipotezy, lecz mocno w nią powątpiewała.

– Moja piękna Kolchinea, najwierniejsza z przyjaciółek – rzekł na powitanie Pustak głosem doskonale pozbawionym barwy. Kolchinea potrafiła czytać w ludzkich głosach, wyczuwać w nich fałsz, obłudę, czy – o wiele rzadziej – wielkoduszność. Z głosu pana podziemi nie potrafiła wyczytać nic.

– Byłam piękna, panie. Lecz dwadzieścia lat temu.

– Piękno nie zależy od czasu, moja droga. Ja potrafię w ludziach dostrzec to, co opiera się czasowi. Na przykład ostre piękno twego bezkompromisowego okrucieństwa. Nie zmieniłaś się wcale, Kolchineo.

Nie była pewna, czy ma to odczytać jako komplement.

– Książę Sorm podjął pewne działania, panie. Interesuje cię to?

– Niezbyt. Ale opowiadaj.

Zrelacjonowała treść rozmowy z księciem. Pustak milczał chwilę.

– Głupiec – rzekł w końcu. – Podjął grę, której nie rozumie. I którą przegra. Nie zmartwi cię to chyba, Kolchineo? Byłaś, zdaje się, jego kochanką...

– Kilka... podbródków temu...

– To dobrze, bo klęska jego wydaje się nieunikniona. Zapewne niewiele pojmujesz z tego, co się wokół dzieje? Wydarzenia nabierają rozpędu i rozmachu. Zdawać by się mogło, że Barden i okolice to dziura, gdzie diabeł mówi dobranoc, a anioł dzień dobry, a jednak to, co tu się dzieje za jakiś czas wstrząśnie światem całym. Trudno dać w to wiarę, ale tak będzie. Wyjaśnię ci co sam wiem. Widzisz, moja droga, to dziecko, o którym wspominał Sorm, to, co przyszło na świat w Kaltern, jest Boskim Nasieniem. To Zbawca świata, Obrońca słabych i zapomnianych, ostatnich, którzy winni być pierwszymi, a nie bywają. Kim jest w istocie, sam nie wiem. Co z sobą przyniesie – trudno orzec. Może dobro, a może koniec świata. Dla mnie jedno i drugie jest nie do przyjęcia, zatem raczej stanę w opozycji... – Pustak podniósł się z krzesła bodaj, Kolchinea nie widziała dobrze, w każdym razie jął się przechadzać, jego kroki ciężko rezonowały

w wilgotnej pustce. – Widzisz, lubię umiarkowane klimaty. Lubię też, gdy nie oślepią mnie ani palące słońce, ani też bezdenna ciemność. Bo efekt tego taki sam. W każdym razie, teraz ów Namiestnik Boga jest jeszcze dzieckiem. Powiadają o nim niestworzone rzeczy – że gadał z mędrcami i zapędził ich w kozi róg. Ale to nieprawda, siedzi w Kaltern. Znajduje się tam w czymś na kształt ochronnego kokonu; cesarscy magowie nazywają kokon Barierą, bo liczne ekspedycje karne mające za zadanie zgładzić go, kończą się spektakularnymi porażkami. Nie potrafię dokładnie zdefiniować tego fenomenu; to jakby... energia dobra, światłość, która poraża słabe i złe umysły. Skutki oddziaływania owej... strefy, której jądrem jest Kaltern stają się odczuwalne już i w Barden. Kwiaty zła nie kwitną tak pięknie jak niegdyś, pewnie to zauważyłaś... jakieś nawrócenia, proroctwa, bezinteresowne zachowania. Źle się to odbija na naszych interesach, lecz nie martw się za mocno. Przewiduję rychłe zakończenie tych metafizycznych brewerii. On nie może wiecznie przebywać pod ochronką, nie po to tu przybył. A z czym przybył – rychło zobaczymy. Dostrzegam tyle możliwych rozgałęzień przyszłości...

– A rola Sorma w tym wszystkim? I Cesarza?

– Ha. Banał. Żądza władzy. I wieczności. Chcą wykorzystać dzieciaka. Przedtem myśleli jeno o jego śmierci, teraz doszedł nowy element. Wiesz, że Cesarz jest bezpłodny... Istnieje taki stary obyczaj, rzadko kultywowany. Jeśli linia dynastyczna trwa, to wcale nie jest kultywowany. W każdym razie, jeśli cesarz umiera bezpotomnie, jego następca powinien dokonać symbolicznego obrządku – musi wypić odrobinę cesarskiej krwi, bo nie jest to krew zwykła, lecz jucha pomazańca. Ten akt zapewnia krwistą kontynuację. Jeśli potomstwo jest, to boska krew jest przekazywana naturalnym sposobem. Oczywiście, w cesarskiej krwi nie ma nic boskiego, to bajęda dla maluczkich. Lecz Cesarz pragnie odwrócić obrządek...

– Nie rozumiem...

– To on wypije krew. Krew Boga, droga Kolchineo. To ma go uczynić nieśmiertelnym, wówczas potomstwo do niczego nie będzie mu już potrzebne...

– A Sorm...

– A księżę Sorm ma dokładnie taki sam pomysł na życie...

9.

Kiedy Gołgoran przekraczał zamkową bramę, zwrócił uwagę na ciszę. Cisza zawsze oddalona jest od doskonałości, lecz w tych okolicach nie była to duża odległość. Spod kopyt jego rumaka uciekły wystraszone kury przechadzające się po dziedzińcu. Incydent ten natychmiast zmącił ciszę i przywrócił rzeczywistości właściwe proporcje.

Wojownik zastanawiał się, co czynić, a czego nie czynić. I czy bardziej czynić niż oddać się bezczynności, w nadziei, że rzeczy same pójdą właściwym torem.

– Malandryjczycy – rzekł na głos. – Bracia i siostry w przekleństwie...

Czuł, że jest obserwowany. Czekał przez jakiś czas na reakcję mieszkańców Kaltern. Ale się nie doczekał.

Niema kobieta wyczuła krew na długo przed przybyciem obcego. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej obezwładniający był smród. Miał krew na rękach. Dużo przelanej krwi.

Był ogromnym mężczyzną, wyglądał jak góra poruszająca się wbrew prawom natury i przywiązaniu do ziemi. Zarazem poruszał się lekko i szybko, co było jawnym dysonansem. We włosy wplątały mu się już nitki siwizny, a twarz przecinała mapa czasu, lecz znać po nim było wciąż niepokromioną siłę. Kobieta pomyślała, że jest to człek, który nie chodzi z życiem na kompromisy. I do niedawna rzeczywiście tak było.

Nie obawiała się go, bo nie wyczuła w murach Kaltern zapachu śmierci.

Gołgoran wybrał sobie na tymczasowe lokum lochy, sam nie wiedział dlaczego. Może z powodu chłodu. Albo półmroku rozchwianego światłem pochodni.

Przez jakiś czas przyglądał się nagromadzonym tu machinom tortur. Miał dwojake uczucia; z jednej strony fascynował go geniusz konstruktorski i niewątpliwa znajomość anatomii oraz człeczego cierpienia autora projektów takich urządzeń. Z drugiej – uważał tortury za barbarzyństwo. Sam zadawał śmierć ze znaczną częstotliwością, ale zawsze szybko. Doszedł do daleko idącego wniosku, że ofiary winne są mu wdzięczność za pośpiech zadawanej jego ręką śmierci.

Nie odzywali się do siebie, jeno obserwowali skrycie z dala. Po jakimś czasie Gołgoran pojął, że kobieta jest niema, a chłopiec nie uczony

w mowie. Gospodyni na Kaltern karmiła kury i gołgoranowego konia. Zostawiała również pożywienie dla gościa przed wejściem do lochów. Tymczasem przybysz miotał się po lochach jak wilk w klatce, bowiem sprzeczności toczyły w nim monstrualną batalię. Krzyczał, kłął, gadał z sobą, wcielając się w różne strony sporu. Najczęściej padającymi słowami były: kapka krwi, przekłęci Malandryjczycy, godło, godność.

Czwartej nocy bardzo już bliski był obłądu, więc musiał jakoś przemóc swe decyzyjne rozchwianie. Przerwał więc wewnętrzny dialog, który był monologiem i rzekł:

– Napnę trochę bardziej nici między niebem a ziemią.

Ciemność wokół jakby zgęstniała.

Wyobraził sobie, że anioły umykają w popłochu z okolicy. Jak gołębie. Albo kury.

Oboje spali w Samotnej Wieży, tej co wskazywała odpowiedni kierunek. Gołgoran piął się po krętych schodach w górę, lecz im bardziej się piął, tym bardziej mu się zdawało, że oddala się od nieba. Wreszcie dotarł. Ich sen był spokojny i cichy.

– To niedobre czasy na spokojne sny... – szepnął Gołgoran i dobył miecza.

– Bacz, by światło, które jest w tobie nie okazało się ciemnością – powiedział chłopiec przez sen.

Gołgoran zmartwiał. To, że mały przemówił było już samo w sobie niezwykle. To, że nawiązał frazą do imienia Gołgorana, które nie mogło być mu znane pachniało cudem. Jednak o wiele dziwniejsze było, że wypowiedział te słowa w martwym języku.

W malandryjskim mianowicie.

10.

Enrew przysłuchiwał się podniesionym głosom. Womisa protestowała słabo, inny kobiecy głos, brzmiący zdecydowanie, łamał te opory.

– Ale moja pani...

– Twoja pani nie jest moją panią.

– Ale...

Dalsze opory stłumił dźwięk przesypywanych monet. Za dużo ich się nie przesypało. Lecz wystarczyło.

Ktoś wszedł do izby, drewniana podłoga skrzypiała pod ciężarem.

– Jesteś tu, chłopcze? – tym razem głos brzmiał łagodniej. – Dlaczego tu tak ciemno, u diaska. Nic nie widzę.

Enrew siedział pod stołem. Chciał, by jego mama tu była. Bardzo chciał.

Ktoś ciężko rozsiadł się na ławie.

– Nie jesteś ciekaw kim jestem, mały? – zapytała nieznajoma. – Ciekawość aż cię pali, co? A wystarczy na mnie zerknąć...

Enrew zerknął.

– Ładny chłopiec... Jak ci na imię?

Kobieta była stara. Enrew nigdy nie widział tak starej kobiety. Musiała mieć ze sto lat. Enrew umiał już liczyć do stu. Była tłusta i brzydka. I miała tyle podbródków, ile lat.

– Enrew.

– Enrew. Pewnie coś to znaczy w jakimś tam języku. Takie teraz czasy, że wszystkie imiona coś znaczą... Musisz się do mnie przyzwyczaić, drogi Enrewie. Bo od tej pory będziesz mieszkał u mnie. Będzie ci lepiej niż u matki.

– Nie.

Nie był to krzyk, ani płacz, ani dziecięcy protest. Było to stanowcze zaprzeczenie, męska niezgoda na los. Kolchinea spojrzała na chłopca z uznaniem.

– Twoja mama tak naprawdę cię nie chce, drogie dziecko. Ona kocha siebie jeno, musiałeś to zauważyć, bystry z ciebie dzieciak.

– Kłamiesz!

Łzy pociekły mu po policzkach; był przecież dzieckiem.

– Chcesz się przekonać?

Skinął głową.

– Dobrze. Schowaj się i czekaj. Czego byś nie usłyszał, milcz. Rozumiesz?

– Tak.

Sorm Bez Palca wściekle przechadzał się po marmurowej posiadce. Witraże z okien Pałacu Na Wodzie rzucały na księcia różnokolorowe refleksy. Opodal stały starodawne zbroje, jeszcze z czasów bitwy pod Kaldos, gdzie ród Sormów wsławił się męstwem. To po tej bitwie Cesarz obdarował Sormów tytułem książęcym i włościami znacznymi, lecz peryferyjnymi. Potomkowie Cesarza żałowali potem tej decyzji.

Pałac Na Wodzie wznosił się na wyspie na środku jeziora Geret opodal Barden. Była to ulubiona rezydencja Sorma. Urządzony był z iście honghijskim przepychem, wszystko tu spływało drogocnością, mnogość te wszystkie błyskotki popopolitowała. Nawet rzygacze w kształcie smoczych łbów wieńczące pałacowe rynny wykonane były ze złota. Nagromadzenie dzieł sztuki rabowanych w licznych wojennych wyprawach sprawiało wrażenie chaosu; jedno do drugich nie pasowały, zdawało się, że rzeźby zaraz ożyją i rzucają się do walki, jak miało to miejsce z kulturami, które je wydały. Zderzenie cywilizacji rezonowało kakofonią pod murami Pałacu Na Wodzie.

– Czy te wiadomości są pewne? – zapytał stojącego przed nim posłańca.

– Niestety tak, panie. Czarna Śmierć...

– Akurat teraz!

Odprawił posłańca niecierpliwym gestem.

– I co teraz, Wozeku?

Zapytany nie odpowiedział od razu. Był starym człowiekiem, książęcym doradcą. Doradzał jeszcze ojcu obecnego księcia. I choć powiadano, że nie znosił serdecznie młodszego, choć nie tak już znowu młodego pana, to służył mu wiernie.

– Pałac Na Wodzie to dobre miejsce, by przetrwać zarazę - rzekł. - Spiżarnie są pełne. Odizolujmy się od świata, nikogo nie przepuszczajmy, aż do zimy. Zimą zaraza wygaśnie...

– Nie o to idzie, stary. Zaraza zarazą. Gramy o nieśmiertelność i to nie duszy, a ciała! Podzielę się z tobą i tym, jak wszystkim innym. Ale jak to teraz przeprowadzić? Co robić, skoro szaleje Czarna Śmierć?!

– Ciężko będzie zrealizować twe plany, panie, w tak niesprzyjających okolicznościach...

– Tyle to i ja wiem. Nasi ludzie wrócili?

– Hm... – stary wyglądał na wyraźnie zakłopotanego. – I tak i nie, panie.

- Ubili cesarskich obwiesi?
- Nie wszystkich. Jeden się ostał... Gołgoran.
- Gołgoran. Słyszałem o nim. Nawet go niegdyś poznałem... Toż to wielki wojownik... Jak?
- Większość naszych ludzi w drodze powrotnej opadły wyrzuty sumienia tak gwałtowne, że jęli masowo się zabijać. Dotarł jeden, co zdał relację spowiadając się podstawionemu przez nas fałszywemu duchownemu jakiejś podrzędnej religii... Inaczej nie wyznałby prawdy...
- Sprytnie, Wozeku, całkiem sprytnie...
- Dostali wszystkich, jeno nie Gołgorana. Ten jakoby zniknął, we mgle się rozpułnął...
- Chcę porozmawiać z tym, co przetrwał – rzekł książę.
- Obawiam się, że to niemożliwe. Wczoraj, tuż po spowiedzi, powiesił się.

– Piekło i szatani!!!

Przez dłuższy czas milczał. Wozek siedział w bogato zdobionym fotelu, zgarbiony, zwiotczały, opuszczony przez siły, zdradzony przez witalność.

– Zrobimy tak, Wozeku. Wzmóc patrole. Strach przed zarazą ma wielkie oczy, ale zaślepimy je blaskiem srebra. Podwoić... nie, potroić żołd. Tym, któryzypojmają owego Gołgorana obiecuję specjalną nagrodę. Może mu się udać. Pamiętam go pod Farsalos. To diabeł, a nie człek...

– Radzę, książę, wstrzymać się z działaniami do zimy...

– Nie mam czasu, by czekać zimy, starcze!

– Co się ze mną stało, na Boga – rzekł nagle Wozek zmienionym głosem. – Byłem kiedyś dobrym człowiekiem. Jak mój ojciec i dziad. A teraz doradzam barbarzyńcy... I nie podpowiadam mu, jak ratować ludzi, za których odpowiada, bo dziwnym losu zrządzeniem jest ich panem. Mówię mu jeno, by czekał zimy, bo to mu życie przedłuży... Widziałeś kiedyś, panie, jak ludzie umierają na Czarną Śmierć? Widziałeś te cierpienia, które nie mają sensu? Umierasz i nawet nie zastanawiasz się, z jakiego powodu, bo za bardzo boli, by myśleć...

Książę słuchał tej przemowy z rosnącym zdumieniem.

– Widzę, że i ciebie dopadła zaraza. Jakże inna jednak od Czarnej Śmierci... Trąd duszy, który mąci rozsądek. Nie rozumiesz, głupcze? To wpływ Bariery, nic innego. Chcesz im pomóc? Znaj mą łaskawość. Zezwalam. Pozbywam się starego doradcy – głos księcia pobrzmiwał

patosem podszytym sarkazmem. – Zostaję sam, bezbronny wobec knowań wrogów. Idź, starcze. Droga wolna!

12.

Nie można otrzymać wyraźniejszego znaku: chłopiec był Malandryczykiem. Gdyby był jeno diabłem albo aniołem, ręka nie zadrżałaby Gołgoranowi. Był Malandryczykiem. Malandryczykiem, jak diabli! Ale był też kimś więcej. Czy te bajki mają w sobie ziarno prawdy? Czy to istotnie namiestnik Boga? Jego krew... Po co Cesarzowi ta krew?

Tak oto Jaskółka Nieczyńska Wiosny odfrunęła z gołgoranowego godła.

Gołgoran powiedział kobiecie, że jej syn potrafi mówić, ale ta spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wtedy opowiedział jej wszystko, a jej niedowierzanie rosło i rosło, aż zapadło się pod własnym ciężarem i uwierzyła. Opowieść Gołgorana była niezwykła, lecz spójna. Gdy rzekł o krwi niewinnej, zadrżała i potrząsnęła głową. Uspokoił ją; już wiedział, że nie wypełni misji.

– Czy twój syn jest Bogiem? – zapytał.

W jej oczach wyczytał ból. Zrozumiał – niełatwo być matką Boga. Pewnie jeszcze trudniej jest być Bogiem. Spojrzał na chłopca – zwykły dzieciak, może zbyt spokojny, i te oczy tak smutne, jakby cztery lata nie dzieliły go od narodzin, lecz od śmierci. Ale przecie dzieciak!

– Za dużo na twojej głowie, chłopcze – rzekł Gołgoran. – Nawet jeśli naprawdę jesteś Bogiem... współczuję ci.

I jął zbierać się do drogi.

– Walandiera – powiedział nagle chłopiec.

– Mówiłem, że mówi – mruknął Gołgoran. Spojrzał na kobietę i dostrzegł, jak na jej twarzy malują się mieszane uczucia – radości, niedowierzania, strachu. Żaden malarz nie dobrałby tak komponentów, chcąc zostać zrozumianym przez tak zwaną masową publiczność.

– Gdybyś nie wiedziała, przemówił oczywiście po malandryjsku. To, co rzekł oznacza mniej więcej tyle, co: Matka Cierpienia...

Kobieta zrozumiała – chłopiec wypowiedział jej imię. Piękne, ale smutne. Dostojne, lecz wcale nie niedostępne. Czowała, że to jej prawdziwe

imię, że chłopiec go nie wymyślił.

– Czas na mnie – Gołgoran z trudem wsiadł na konia. Jakaś boleść go toczyła; nie czuł się za dobrze.

Dopiero wtedy Walandiera wyczuła mdlący, zgniło słodki zapach. Chciała zatrzymać Gołgorana, ale nie mogła. Musiałaby krzyknąć. Los był zapisany.

– Żegnaj, Rewne! – zawołał jeszcze do chłopca i tyle go widzieli.

Rewne oznacza po malandryjsku „Gaduła”. Było to tylko jedno z wielu imion, jakie w przyszłości miały być przypisywane temu, którego zapowiadano jako Głos Boga. Lecz było pierwsze, a matka od tej pory zawsze tak właśnie nazywała go w myślach.

13.

Kroni miała złe przeczucia. Womisa nie przywitała jej swym upiornym wyglądem. W domu panowała cisza, lecz ktoś tu był. Zapach ciężkich pachnideł zdawał się wyciskać powietrze z obu izb. Woń o takich komponentach nie była Kroni obca. Nie mogła się mylić. Więc nim weszła do izby, powiedziała:

– Nie przypominam sobie, bym cię tu zapraszała, miła Kolchineo.

– Dla ciebie, drogie dziecko, zawsze pani Kolchineo – odparła stara.

– W pracy jeno.

Kroni rozejrzała się po izbie. Chłopca nie było.

– Osobom starszym i zasługującym na wyrazy admiracji szacunek winno się okazywać w każdych okolicznościach...

– Gdzie chłopiec?

– Niepotrzebnie go przede mną ukrywałaś. Słynę z miłości do dzieci...

– Gdzie chłopiec? – powtórzyła Kroni.

– Na spacerze z tą nieudacznicą.

– W mieście panuje zaraza.

– Złego lichu nie bierze.

– Czego chcesz?

– Zapałałam miłością do tego rozkosznego brzdąca... Ty niewiele możesz mu zapewnić.

– Postradałaś rozum, stara wiedźmo!

– Nigdy nie myślałam jaśniej, Kroni. Dla niego to wstęp do wielkiej kariery. Jest niewątpliwie uzdolniony. Istnieje dodatkowy argument. Ty go nie kochasz. Miłość nie ma do ciebie dostępu, bo to oznaczałoby utratę kontroli nad życiem. Nigdy byś sobie na to nie pozwoliła... – akurat te, nieistotne z jej punktu widzenia kwestie, wypowiadała Kolchinea pod adresem chłopca. Musiał to usłyszeć.

– Nie mów mi jeno, że ty jesteś zdolna do miłości!

– Nie wydawaj pochopnych sądów, dziewczko – rzekła Kolchinea zimno.

– Ja przynajmniej bywałam zdolna do gwałtownych uczuć. Nienawiść to rodzaj miłości. Módl się, bym ciebie aby nie pokochała. Dość jednak o meandrach naszych ścieżek życia uczuciowego, bo poplątane to drogi. Istny labirynt. Wracając do sedna rozmowy, nie zapominaj o tym zbrodniarzu Sormie. On chce zabić twe dziecko, a ja do tego nie dopuszczę.

Sorm, pomyślała Kroni, *A więc to był księżę Sorm!*

Gorączkowo zastanawiała się – zabić starą i próbować ucieczki, wyrwać się poza kordon żołdaków księcia otaczających miasto. Ale jak? Cały czas kołatały jej się w głowie słowa Tego, Którego Nie Ma: *zdrada rodzi zdradę*. A jeśli tak będzie lepiej dla Enrewa? Jeśli to właśnie jest przełomowy moment w jego życiu? Wstęp do wielkości...

Kolchinea o mnogich podbródkach obserwowała wewnętrzną walkę Kroni, jak patrzy się na daremne usiłowania ucieczki owadów zamkniętych w słoju.

– To byłaby zdrada... – szepnęła Kroni.

– Mówienie o zdradzie w naszej profesji to niestosowność.

– Zapewnisz mu wykształcenie? – zapytała dziewczka drżącym głosem. Zdawało jej się, że słyszy jęk rozpacz, ale zaraz odezwała się czujna Kolchinea:

– Wszechstronne. Sama nauczę go wielu pożytecznych umiejętności. Nie masz wyjścia, Kroni. Masz tu trochę srebrników. Będą ci potrzebne, by przekupić strażników z kordonu. I na nowy początek. W tym mieście nie masz już czego szukać.

– Nie chcę srebrników...

– Ależ chcesz, moja droga. Chcesz...

– Bądź dla niego dobra.

– Przelicz. Powinno być piętnaście.

– Czy będę kiedyś mogła...

– Nie, nigdy. Teraz jesteśmy kwita.

14.

Gołgoran ledwo trzymał się w siodle; opadła go gorączka, a z nią – majaki i wątpliwości. Coś mu mówiło, by zawrócić, zabić, jednak zdobyć godło godności kosztem. Jakieś szepty bez twarzy, myśli bez głów. Głosy bez ust.

– Zawrócić, zawrócić, zawrócić...

– Zabić, zabić, zabić...

Osadził wierzchowca i zawrócił. Krew krwią zmyć. Zabić, zabić, zabić. Zabić?

15.

Wozek czekał na nich w lupanarze.

Dziewki były wystraszone. Przyszłość rysowała się w ciemnych barwach. Jeśli kto jeszcze myślał o uprawianiu miłości, to byłaby to uprawa na ugorach. Zaraza rozwijała się szybko, a upał jej sprzyjał. Co i rusz słyhać było wozy z charakterystycznym dźwiękiem dzwonka – tak zbierano po domostwach trupy, by je potem palić w odosobnionych miejscach. Co dziwne, ci, którzy zbierali zwłoki, sami zwykle nie ulegali zarazie, jakby strzegła ich moc jakowejś opatrności. Niektórzy żarli czosnek, który miał jakoby cudowne właściwości i strzegł od moru. Rychło wszelkie zapasy czosnku wyczerpały się; główka osiągnęła zawrotną cenę trzech srebrników, na co stać było niewielu. Nierzadko też żony zbieraczy zwłok zajmowały się pielęgnacją zapowietrzonych, co było zajęciem niemal beznadziejnym, lecz ktoś musiał to robić. Kobiety myły głowy octem, skrapiały też octem czepki, tak, by stale były wilgotne. Jeśli fetor chorych zbyt był nieznośny, zasłaniały twarze chustami moczonymi oczywiście w occie.

Był to straszny czas. Jak zwykle mór najbardziej plenił się w dzielnicach nędzy, ale właśnie biedacy zachowywali się z największą odwagą. Jedni powiadali, że odwaga dyktowana była szlachetnością serc, inni, że rozpaczą jeno. Z tej rozpacz i determinacji brali się

za najniebezpieczniejsze zajęcia; pilnowali domostw, których mieszkańców zaatakował mór, by nie wychodzili na ulice i nie roznosili zarazy, zbierali zmarłych. Rozeszła się fama, jakoby zaraza była Gniewem Boga; a najobfitsze żniwo zbierała pośród tych o czarnych sercach. Być może przyczyniła się do owych pogłosek śmierć Garbacza, bławatnego kupca, uchodzącego za okrutnika i liczykrupę. W chwili śmierci krzyknął podobno:

– Zainwestujcie w czosnek!

Statystyki potwierdzały te pogłoski, lecz z jednego tylko powodu – ludzi złych więcej jest niż dobrych. Dlatego ginie ich więcej.

Kolchinea zawiesiła działalność burdelu na czas nieokreślony. Wiedziała, nieomylnie, że czas lupanarów jeszcze nadejdzie. Po śmierci zawsze nachodzi ludzi ochota na życie i zaczyna się okres radosnego chędożenia.

Spojrzała na byłego doradcę Sorma, który był teraz jej doradcą.

– Ruszamy? – zapytała.

– Ruszamy.

To Wozek powiedział jej o prawdopodobnych właściwościach chłopca. Istniała przepowiednia, że wraz z przyjściem na świat legendarnego Głosu Boga, narodzi się również dziecko będące jego przeciwieństwem, antytezą. Wiele wskazywało na to, że idzie tu o Enrewa właśnie. W jego towarzystwie mieli szansę dotrzeć do Kaltern bez jakichś gwałtownych zmian światopoglądowych, nawróceń czy innych niepożądanych fenomenów. Enrew miał rozpraszać tę obezwładniającą energię dobra promieniującą z Jądra Światłości. Coś w tym było na rzeczy. Od jakiegoś czasu Kolchineę jęły bowiem męczyć wątpliwości natury moralnej. Nie na tyle mocne, by spowodować nawrócenie; nie, jej wściekłość zbyt była zapiekła, zbyt pierwotna i dobrze ukorzeniona. Były jednak dokuczliwe jak owady. Obecność chłopca zdawała się je jednak rozpraszać. *Co za ulga*, myślała Kolchinea, bo dobre myśli pierzchały z jej głowy.

Przekupili strażę i wyjechali z Barden. Wozeka wiodła do Kaltern nadzieja na cudowne panaceum – lekarstwo na człeczą niedolę i śmierć ważone z Boskiej Krwi. Kolchinea myślała jeno o własnej nieśmiertelności. Enrew zaś obsesyjnie wracał do sumy, za jaką został sprzedany. Nie znał się na handlu, lecz wydawała mu się niska. „Piętnaście srebrników, piętnaście srebrników” – powtarzał nieustannie.

Nie ujechali daleko. Wozek pierwszy spostrzegł wojownika siedzącego przy ognisku. Im bardziej się do niego zbliżali, tym wyraźniej widzieli ogrom tego człeka.

– To najemnik cesarski – szepnął Wozek, bo znał Gołgorana z opisów.

Gołgoran wciąż siedział, oparty na mieczu i trząsł się w gorączce.

– Widzę, że zmierzacie do Kaltern – rzekł. – Zawróćcie. Zabiłem Boga, a jego matkę poćwiartowałem. Nie ma czego szukać w Kaltern. Wracajcie i głóście to wszem i wobec, tak, by wszyscy wiedzieli.

– Zdobyłeś jego krew? – zapytał z nadzieją Wozek. – Tą krwią można by uratować wiele ludzkich istnień...

– Przecie widzisz, że nie zdobył, głupcze – mruknęła Kolchinea. – Czarna Śmierć go toczy. Niewiele zostało mu czasu. Kto wie, może bredzi?

Wówczas przysła jej do głowy nowa myśl.

– Wiesz, że to z rozkazu Sorma wyrznięto w pień twoich ludzi? – zapytała.

Przed oczami Gołgorana znów stanęła scena śmierci. Nie tęsknił za tymi obwiesiami, których wiódł ku klęsce, ale nienawidził poczucia bezsiły.

– Jeszcze możesz się zemścić, Gołgoranie. Muszę cię jeno zdradzić...

16.

Czterech mężczyzn siedziało przy stole w opustoszałym lupanarze. Popijali wino, lecz oszczędnymi haustami; czekała ich bowiem poważna robota. Było ich czterech, bo Sorm lubił tę liczbę. Stworzył elitarne, świetnie wyszkolone grupy do specjalnych poruczeń – wszystkie czteroosobowe. Czterech to dość do mokrej roboty. Czterech łatwo ubić, gdy za dużo wiedzą. *Czwórkami do piekła szli*, zwykł mawiać w przypiływie dobrego nastroju.

Jeden, najmłodszy, o imieniu Holdar trzymał przy nosie chustę nasączoną octem, co powodowało wybuchy wesołości u jego kamratów. Odszczekiwał, że to najnowszy wynalazek sztuki medycznej – ocet powstrzymywać miażdżkodliwe wapory, a także i śmierć czarną, czy białą, wszystko jedno.

Najstarszemu, temu o twarzy posiekanej jak mielone mięso, nie zamykały się z kolei usta. Gadał nieustannie i o wszystkim. Reszta towarzystwa nie protestowała, przyzwyczajona widać. Wołali go Malador.

Ale przywódcą nieformalnej grupy był Kindar, człek w średnim wieku, noszący się z wysiloną elegancją i wypowiadający się z niejakim afektem. Najwyraźniej był aspirantem do wyższych sfer, deklasującym się jednak na wstępie i na własne życzenie.

– Na pewno przyjdzie? – zapytał ten czwarty, Zerwer, który do tej pory nie powiedział nic. I nic już więcej nie miał powiedzieć.

– Kolchinea rzekła, że na pewno – odparł Kindar.

– Żywcem go? Czy raczej... – Malador zawiesił głos.

– Raczej – powiedział przywódca.

– To mi przypomina... – zaczął Malador kolejną opowieść, lecz przerwał mu młokos.

– Dlaczego ty tyle gadasz?

– Widzisz, Holdarze... – westchnął ciężko stary – gdybyś widział tyle co ja... Też byś gadał, albo strugał patyki, albo wachał ocet, albo czynił cokolwiek, byle coś robić. I nie pamiętać. Nie myśleć. Lepiej gadać... Pojmujesz?

– Lepiej gadać... – powtórzył żółtodziób.

Stary wstał od stołu i jął się przechadzać. Gadał coś do siebie. Szeptem.

– Malador za dużo krwi widział – odezwał się Kindar. – Zerwer też zresztą. Jeden gada, drugi milczy. Każdy ma jakąś metodę na czerwień egzystencji.

Do lupanaru wszedł mężczyzna wielki jak góra i rozmowa urwała się. Zaiste był ogromny; wydawało się, że w pomieszczeniu wszystko zmałało i straciło na znaczeniu, jakby rzeczywistość przyrównała się do przybysza i zaraz skurczyła, zawstydzona swą nikłością i bylejakością. Ledwo trzymał się na nogach, gorączka wyraźnie go toczyła, twarz błyszczała od potu, wzrok miał jednak wciąż przytomny.

– Nie z panami byłem tu umówiony – stwierdził.

– Pan Gołgoran, jak mniemam? – zapytał Kindar i dał kompanom znak, bo znał odpowiedź.

Malador zachodził Gołgorana z lewej, a Holdar z prawej strony. Mieli go odciąć od wyjścia.

– Pan mnie zna? – Gołgoran położył dłoń na rękojeści miecza.

– Słyszałem o tobie.

W tym momencie zaatakowali, jednocześnie z trzech stron. Atak, zdawać by się mogło, nie do odparcia. Gołgoran jednak jakimś cudem uniknął ciosu Maladora, sztych w głowę Kindara sparował i zdołał wyprowadzić kontrę, która dosięgła pachwiny Holdara. Zerwer, który uchodził w tym towarzystwie za najlepszego rębajłę pokiwał z uznaniem głową, lecz nic nie powiedział. Malador oczywiście gadał nieustannie, a młodzik upuścił chusteczkę i wpatrywał się w rosnącą plamę krwi pod stopami.

Teraz Zerwer zaatakował; przez kilka ziaren piachu fechtowali z wielką szybkością, jeno stał rzucała refleksy na twarze pięciu mężczyzn. Gdy Gołgoran odparł Zerwera, Kindar cisnął sztyletem; ostrze otarło się o policzek Gołgorana i utkwilo w ścianie. Ogromny wojownik ciężko dyszał. Widać było, że nie ma już sił.

– Myślisz, że będę żył? – zapytał młodzik Maladora.

– Będiesz. Nie wiem jeno, jak długo.

Znów natarli, tym razem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Gołgoran leżał w kałuży krwi. Zerwer próbował coś powiedzieć, lecz nie zdołał, z ust dobyła mu się krew miast słów; miał podcięte gardło. Zaraz zresztą padł na wznak i już się nie ruszył.

Gołgoran żył jeszcze, gdy pochylił się nad nim Kindar.

– Gdzie to masz? – zapytał.

Wojownik uśmiechnął się i splunął Kindarowi w twarz, wydając nań tym samym wyrok śmierci w zawieszeniu.

– Cesarskie ścierwo! Przeszukać go! – krzyknął przywódca.

Malador szybko znalazł to, czego szukał. Nie zwrócił uwagi na niewielkie nacięcie na kciuku Gołgorana, który miał przecie wiele poważniejszych nacięć, i to te oddalały wojownika od życia.

Gołgoran nie czuł, jak Malador go przeszukuje. Umierał i myślał o czym innym. Zastanawiał się, czy jego śmierć przybliży czy też raczej oddali ziemię od nieba. Kiedy umiera drań, to może aniołowie się radują?

Pałac Na Wodzie zimą nazywany Pałacem Na Lodzie rychło stał się wyspą w morzu śmierci. Wieści napływające do Sorma nie były pocieszające, Czarna Śmierć zebrała obfite żniwo. Sorm Bez Palca krążył po pałacowych komnatach i zastanawiał się – kim, u diabła, będzie rządził, gdy zakończy się epidemia? Nadzieja na krwistą obietnicę powoli w nim obumierała, lecz nie ustawał w wysiłku, bardziej pchany inercją swej mrocznej duszy niż realnymi przesłankami. Czy Gołgoran przeniknął tajemną Bariere? A jeśli tak, to kim jest teraz? Czy wykonał cesarskie polecenie? Zdobył krew niewinną?

Sorm przemieniał się w gigantycznego pająka, który tka czułą sieć. Jej centrum było w pałacu, lecz nici sięgały daleko, książę czekał jeno choćby drgnienia jednej z nich. I rzeczywiście, jedna zadrgała. Gdy przyszły wieści od Kolchinei, nie potrafił uwierzyć w swe szczęście.

– Niewiara czyni cuda! – krzyknął.

Natychmiast zorganizował nieliczną grupę obwiesi, najemników, których poinstruował czego mają szukać przy trupie Gołgorana. Nie powiedział im, że mają go zabić, rzekł, by przeszukali trupa. Im mniej ludzi wie, tym lepiej. Najlepiej, by nie wiedział nikt, lecz stany idealne rzadko trafiają się rzeczywistości.

Powróciło dwóch, a jeden z nich – poważnie ranny. Przywódcę grupy dopadła ta kurwa, Śmierć Czarna, lecz nie zmartwiło to Sorma, bo właśnie przywódcy obiecał najwyższą zapłatę.

– Obsypię was złotem! – zawołał do nich z oddali, bowiem wolał trzymać się od obwiesi na odległość. – Czy... macie... to?

Malador skłonił się i wyjął z sakwy małą buteleczkę wypełnioną czerwonym płynem. Młody Holdar ślaniał się na nogach; blady był jak trup. Musiał utracić wiele krwi.

– Jesteście pewni, że miał to przy sobie?

– Tak, panie.

Buteleczkę zabrał Baldir, dowódca pałacowej straży.

Gdy wyszli, Sorm rzekł do Baldira:

– Zabij ich.

Baldir bez słowa skinął głową.

Im mniej ludzi wie, tym lepiej. Idealny stan rzeczywistości... Trzeba by coś zrobić z tym Baldirem. Jakaś dyskretna trucizna w winie wypitym za sukces.

Przyjrzał się buteleczce. Jest. Krew Boga. Nareszcie. Świat był jego. Rzeczywistość miała swą wielką szansę, by nagiąć się do ideału.

Wychylił zawartość jednym haustem. Smakowało jak krew. Nie czuł żadnych sensacji, ni uniesień.

– Trzeba czekać – szepnął.

Czekał cztery dni.

18.

Powiadano, że nawet wtedy, gdy na jego ciele pojawiły się broczące wrzody, niechybna oznaka rychłej śmierci, Sorm wciąż myślał o nieśmiertelności. Gadał, że to bolesny wstęp do przemiany w nadczłeka. Mówił coś o szpetnym kokonie doczesności, z którego wyzwoli się motyl wiecznej witalności. W malignie widział siebie na uroczystości koronacyjnej, a królestwem jego miał być świat cały.

Na uroczystym spaleniu zwłok książęcych widziano Kolchineę. Ktoś podobno słyszał, jakoby nad grobem księcia cedziła coś o podbródkach z mściwą satysfakcją. Towarzyszył jej mały chłopiec.

Książę był jedną z ostatnich ofiar zarazy. Upały zelzały; dziwaczny sojusz słonecznego blasku i mroku Czarnej Śmierci zakończył się, co uznano za cud. Pośród wtajemniczonych rozniosła się wieść, jakoby metafizyczna Bariera runęła, co zdawało się potwierdzać wersję o śmierci tego, którego zwali Głosem Boga.

Zatem świat, ruszony z posad, zdawał się wracać do właściwych proporcji. Nikczemność pleniła się z dawną intensywnością, odruchy szlachetności powróciły do swej stałej częstotliwości, mocno zbliżonej do zera. Kwiaty Zła zakwitły, jak przewidział Bezduśnik. Większość cieszyła się z tego stanu rzeczy.

Jednak nie wszyscy dali wiarę w śmierć Pomazańca. Zaraz wysłano ekspedycję do Kaltern, lecz nikogo tam już nie było.

Ciał nie odnaleziono.

DRUGA PRZEPOWIEDNIA

(Komedia deterministyczna)

Motto: *Nieszczęście w szczęściu*
(Powiedzenie ludowe)

Grimaldi beknął solidnie, aż po izbie rozeszło się głucho echo. Dolsilwa uśmiechnął się do swoich myśli, bo wyglądały lepiej niż współbiesiadnicy.

- Znów się zadumał, psia kurwa! – warknął Seimari.
- Dziel się myślami, Dolsilwa – zawtórował Grimaldi.
- To by się skończyło bankructwem wyobraźni... – mruknął poeta.

Dolsilwa poznał ich wczoraj – kartografowie cesarscy. Krasnolud, elf i widmo – tak nazywał ich w myślach. Krasnoludem i elfem mianował kartografów, których wzrost dzielił, choć w innych sprawach wydawali się zgodni. Grimaldi żartował, że takie rozmiary są wymogiem zawodu – dobry kartograf winien poruszać się z nosem tuż przy ziemi, by poznać każdą jej piędź; Seimari odmiennego był zdania: „zawód kartografa wymaga dystansu” – mawiał sentencjonalnie. Zapuscili się w odległe ostępy, by uściślić mapy mniej znanych prowincji Cesarstwa. Zatem uściślali, a następnie się upijali, z pewną regularnością, jakby uprawiali jakiś rodzaj rytuału. Dzięki takim rytuałom Dolsilwa chętnie stałby się człowiekiem religijnym, zatem postanowił im towarzyszyć. Grimaldi i Seimari gadali za trzech, przy czym ulubionym powiedzonkiem tego ostatniego było „psia kurwa”. Gdy mu Dolsilwa zwrócił uwagę, że „suka” byłoby krócej (jeśli na czymkolwiek poeta oszczędzał, to były to czasem słowa), „elf” zadumał się wprawdzie, lecz nie zmienił przyzwyczajień. Trzeci natomiast, zwany przez poetę widmem, milczał. Dolsilwa dowiedział się jeno, że miano jego – Regrac, i że jest Jończykiem. Widmowość jego postaci przekładała się na obojętność wobec wspólnych wszystkim śmiertelnikom namiętności; nie zdradzał ochoty absolutnie na nic, do tego stopnia, że chwilami Dolsilwa miał wątpliwości co do jego istnienia. I to właśnie Regrac miał być przewodnikiem po tajemnej krainie, z której wyrosły ongiś jego korzenie. Po Joanii. Coś łączyło „elfa” i „widmo”, jakiś rys nieuchwytny; Dolsilwa nie wiedział jednak, w czym ta łączność tkwi.

Od kilku godzin siedzieli przy okrągłym stole w karczmie z widokiem na wznoszony właśnie szafot. Na ścianie wisiała kiepskiej próby podróba słynnego obrazu Greubla Starszego „Taniec pod szubienicą”, jak najbardziej tu na miejscu. Zdawało się, że głucho dźwięki roboty ciesielskiej wyznaczają rytm rozmów i toastów. Szafot z obrazu wydawał się lustrzanym odbiciem tego zza okna. Dolsilwa pomyślał, że sztuka wyprzedza rzeczywistość, wizerunek jakby domagał się swego spełnienia w rzeczywistości, co na jego oczach zachodziło.

Właśnie ze względu na atrakcje możliwych powiesznień lub wycięć co cenniejszych narzędzi, ceny były karczmie słone, lecz kartografowie nie narzekali na brak monet ze szlachetnego kruszcu. Był to zresztą jedyny przejaw szlachetności w tym przybytku zbytku sąsiadującym z obszarem zimnych tchnień śmierci. Grimaldi, ten o posturze krasnoluda, który miał skłonność do filozoficznych roztrząsań, gadał coś o prawdzie życiowej tkwiącej jak ćwiek w fakcie takiego, a nie innego usytuowania karczmy.

– Ktoś to dobrze wymyślił – prawił. – Zabawa i śmierć, uśpiona świadomość obok wyostrojonej świadomości braków w naszym istnieniu. Nicość i wieczność.

– Zatem jesteś, panie, Jończykiem – rzekł do widmowego Regraca Dolsilwa, nieco już zniecierpliwiony wywodami krasnoluda. – Taaak... Joania. Coś mi mówi ta nazwa. Mój przyjaciel miał tam sprawę. Rozenkrontz...

– Opowiadaj, wierszokleto! – krzyknął Seimari.

– Gadaj, gadaj.

Dolsilwę nie trzeba było namawiać. Zebrał się w sobie, jakby przed wysiłkiem grożącym wyczerpaniem sił witalnych, przepłukał gardło winem, po czym zagłębił się. Jedni mówili, że zgłębiał w takich chwilach pokłady pamięci; inni – że raczej wyobraźni.

– Gdyby Rozenkrontz nie postanowił ujrzeć na własne oczy słynnego Targowiska Próżności... – zaczął.

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Gdyby Rozenkrontz nie postanowił ujrzeć na własne oczy słynnego Targowiska Próżności, wszystko potoczyłoby się inaczej – może lepiej,

a może gorzej.

Targowisko w mieście Kolar zwano tak, a nie inaczej, ponieważ fałszerze sprzedawali tam szlacheckie godła, wraz z genialnie podrobionymi dokumentami mającymi potwierdzać wiarygodność rodowodu. Za odpowiednią cenę można było uzyskać certyfikat nieodzownego krwi błękitu – i stąd właśnie dokumenty zwano „błękitkami”. Nadto, za dodatkową opłatą, oferta obejmowała również genealogiczne drzewa, lub – w zależności od bujności rozgałęzień – krzewy i drapaki. Sporządzenie takowych do łatwych nie należało; trzeba się było wykazać zmyślnością i wyobraźnią; nadto proceder wiązał się z ryzykiem – wykryte fałszerstwo kosztowało oszusta dłonie. W razie recydywy obcinano głowę, lecz do tego nie dochodziło prawie nigdy – z powodu braku rąk do pracy.

Ale nawet obecność Rozenkrontza na rzeczonym Targowisku, o ściśle określonej porze i w ściśle określonym miejscu, nie wystarczyłaby jeszcze, by wydarzenia jęły biec tak, a nie inaczej. Nieodzownym warunkiem był jeszcze jego charakter; a raczej jeden rys: ciekawość, która – po zbyt już długiej głodówce – wyżarła w nim zdrowy rozsądek. To ciekawość zesłała Rozenkrontza na południe, z dala od przeklętego miasta Barden; to ciekawość kazała mu udać się na Targ, tak jakby nigdy w życiu nie widział ludzkiej pychy i apetytu na czcze zaszczyty. To ciekawość wreszcie sprawiła, że wmieszał się w nieswoje sprawy, choć od dawna wiedział, że to jedyna rzecz, której doprawdy czynić nie powinien.

I kiedy ujrzał tego człeka z obłędem w oczach, w białej szacie unurzanej w błocie, zataczającego się pod niewyobrażalnym, acz i niewidzialnym ciężarem, od razu pojął, że to nie żaden człowiek, a los nadszedł w niewłasnej osobie. Nie mógł tego wiedzieć, a wiedział; była to jedna z tych rzadkich chwil, które darują nam nagłą znajomość rzeczy, oczywiście zawsze w nieodpowiednim miejscu i w złym czasie.

Rozenkrontz przyjrzał się mężczyźnie. Biała szata bywa dowodem niewinności; ulubiona barwa rzekomych dziewic oraz oskarżonych, pragnących wywrzeć dobre wrażenie na sądzie. Ale w obcym wszystko zdawało się blade i wiotkie, i jakby nietrwałe, za chwilę mógł rozwiać się w powietrzu, nie wywołując w Rozenkrontzu zdumienia. Biała szata przylgnęła do niego jak dodatkowa, druga warstwa skóry. Pasowała jak ulał.

Zachowywał się dziwnie, potykał, zataczał, przewracał kosze z owocami (wszak nie tylko próżnością tu handlowano), jakby nie dostrzegał materialnego aspektu rzeczywistości, jakby żeglował po oceanach własnej imaginacji, a było stamtąd daleko do wszystkiego.

Zresztą nie tylko Rozenkrontz zwrócił uwagę na odmieńca; już wszyscy obserwowali go z jawną wrogością.

– Jończyk – parł szept przez zastawę powietrza – Jończyk, Jończyk...

– Jończyk – powtórzył Rozenkrontz, mimo woli przyłączając się do powszechnego szmeru informacji. Nic mu ta nazwa nie mówiła.

Tymczasem szept przestał być szeptem; przeistoczył się w gwar. Rozenkrontzowi nie spodobała się jego mroczna barwa. Przebijała z niej nienawiść, żądza odwetu za zaznane lub niezaznane krzywdy. Paletę tych emocjonalnych kolorów mieszał wytrawny malarz – strach przed obcym.

Zawsze ktoś musi być pierwszy – w kierunku odmieńca poleciało jakieś warzywo. Po chwili szybowały inne; Jończyk nie zwracał na to uwagi.

Rozenkrontz wiedział, że pierwszy kamień jest kwestią kilku pospiesznie przesypanych ziaren piasku. A gdy za ukamienowanego trupa odpowiada tłum, to nie odpowiada nikt. Poczucie błogiej bezkarności okupione momentem porannego niesmaku – oto marzenie bogatych ciałem.

Chciał krzyknąć, zareagować, powstrzymać, ale nie bardzo wiedział jak. Co miał powiedzieć? Kto czuje się bez winy, niechaj pierwszy rzuci pomidorem? Przecie już ciskali. I wówczas go olśniło: miał drzeć gębę, szepnąć do najbliższego z rzucających:

– Zielony Motyl...

Gdyby piorun strzelił w zgromadzenie, wrażenie byłoby daleko mniejsze. Szept niósł się jak fala przyboju, ogarniał rzesze niczym zaraza, przekazywany z ust do ust. Zielony Motyl to było godło-legenda; niepodrabialne, ze względu na unikalność doboru barwników, czerpanych ze skałek wapiennych Laudanii (tak zwana „zielen laudańska”), dawno temu wyeksploatowanych rabunkowo. I choć owadzie godło nie mogło świadczyć dobrze o statusie społecznym posiadacza, to jednak unikalność była w tym wypadku wartością samą w sobie. Podrobić Zielonego Motyla – to było wyzwanie! Zatem rosła ciekawość tłumu, wprost proporcjonalnie do niknącego zainteresowania Jończykiem. Rozenkrontz najwyraźniej osiągnął zamierzony skutek, choć ten czy ów splunął jeszcze za dziwakiem. Aż ciekawość stała się jakby jednym, monstrualnym organizmem, który

zarastał błyskawicznie przestrzeń wokół Rozenkrontza, istny żyjący krąg żądz wiedzy. Zewsząd napierały nań członki ciekawości – czyjś łokieć wbił się w jego splot słoneczny, aż mu dech zaparło, a wszystko to z powodu głębokiego, wręcz penetrującego zainteresowania. Jął się zastanawiać, czy dobrze uczynił, lecz teraz wyboru już nie miał.

– Kto? Gdzie? Widziałeś? – Pytania sypały się jak kamienie.

Rozenkrontz machnął ręką w kierunku wschodnim, bo nie mógł mówić. Tłum zrzedniał gwałtownie, wszyscy rzucili się ku wschodowi, nie wiedzieć czemu.

W tym momencie, nagle i nieoczekiwanie dla siebie samego, Rozenkrontz wpadł w trans wieszcy, co mu się – niestety – zdarzało coraz częściej. Niegdyś wieszczył podczas snu jeno, co kazało mu unikać towarzystwa dziewczek. Od jakiegoś czasu częstotliwość transów nasilała się; dusza oddzielała się od cielska i wędrowała po niepojętych szlakach. A Rozenkrontz, głosem – jak to był określił niegdyś jego przyjaciel, wybitny poeta Dolsilwa – drewnianym, głosił proroctwa tym, co znajdowali się akurat w zasięgu. Dawniej mniemał, że dobór ofiar wróżb kwestią jest przypadku, teraz nie był tego taki pewien. Gdy ocknął się z metafizycznego odrętwienia, Jończyk spoglądał na niego z jawnym przestachem – wreszcie na cokolwiek zwrócił uwagę.

– Co ci rzekłem? – zapytał Rozenkrontz, bo nie mógł pamiętać wypowiedzianych słów.

Jończyk nie odrzekł nic, jeno ruszył – na południe. A Rozenkrontz, chcąc nie chcąc, za nim. Z poczucia odpowiedzialności; wszak poraził Jończyka darem, który sam uznawał za przekleństwo.

I jeszcze z czystej ciekawości...

Tu Dolsilwa zwilżył gardło, pociągając wina z dzbana, i zapatrzył się przez chwilę w „Taniec pod szubienicą”. Topornie namalowani wieśniacy tańczyli na tle wysokiego szafotu, a w tle rozciągała się dolina, piękna, lecz w domyśle jeno, wrażenie psuła podła jakość użytych farb, przez co barwy nabrały mglistości. W dolnym rogu obrazu jakiś chłopiec zwyczajnie sobie srał, przykucnięty pod krzakiem. Z powodu tego chłopka poeta zmieniłby tytuł obrazu.

Tymczasem rzemieślnicy za oknem kończyli zbijać szubienicę. Ciekawe dla kogo? – pomyślał Dolsilwa, ale porzucił te daremne rozważania. Realność rzucała wyzwanie jego opowieści – gdy będą już wieszac tego

nieszczęśnika, kto zechce słuchać opowieści? Trzeba się spieszyć. I rzeczywiście – jął opowiadać szybciej.

Szli obok siebie w milczeniu. Rozenkrontz chciał, by Jończyk odezwał się pierwszy; czego pragnął Jończyk – trudno orzec. Gdyby znał Rozenkrontz treść własnej wróżby – łatwiej byłoby zrozumieć całą sytuację. Tymczasem oddał się obserwacji Jończyka; rychło też dostrzegł zdumiewające szczegóły zachowania dziwaka, lecz o nic nie pytał. Zdał się na wrażenia. Przede wszystkim wydawało się, że rzeczywistość stawia Jończykowi skrycie opór. Wszystko z rąk mu leciało, nieustannie się potykał; przedmioty z natury niegroźne nabierały w jego obecności cech niepokojących. Lecz biedak zupełnie się tym nie przejmował, jakby skrytobójczość, którą nieoczekiwanie przejawiał świat, nie miała żadnego znaczenia.

Miasto dawno zostawili za sobą, z czego Rozenkrontz był zadowolony, bo miłośnicy zielonych motyli musieli już wiedzieć o mistyfikacji. Zastanawiał się nad skalą ich gniewu – czy dostarczy im napędu do pościgów? Jeśli tak – szanse na skuteczną ucieczkę były żadne; nie mieli wierzchowców, Jończyk nadto wydawał się być niezorientowany w naturze dotykających go opresji. W ogóle niewiele rzeczy go frapowało; co jakiś czas zerkał w niebo, jakby tam szukał drogowskazów i – co ciekawe – chyba znajdował.

Przemierzali wraz łąki i knieje; łąki rzadziej, coraz częściej za to knieje. Nie odzywali się do siebie – Rozenkrontz nie był przekonany, czy Jończyk w ogóle rejestruje jego obecność. Ten ostatni z rzadka żarł jakieś korzonki i owoce leśnego runa – był to jedyny sygnał materialnej kondycji dziwnego człeka.

Wreszcie jęło to nużyć Rozenkrontza – ów rytm przebrzydły, milczenie i domysły, które nijak nie zamieniały się w pewność. Najbardziej w tym wszystkim dziwiła go własna postawa – dlaczego angażuje się w te niewygodne sytuacje, ryzykuje, idzie za odmieńcem? Z poczucia odpowiedzialności? Przecie nie odpowiadał za swe prekognicje.

I kiedy trzeciej nocy zerwał się na równe nogi, bo znów przyśniły mu się zielone motyle duszące go błoniastymi skrzydełkami i wyśpiewujące jedwabistymi głosy tren żałobny (a były ich miriady), powziął niewzruszone postanowienie zakończenia przygody. Cóż z tego jednak,

skoro już następnego ranka Jończyk, jakby odgadując determinację Rozenkrontza, odezwał się wreszcie.

– Przewidziała to.

Rozenkrontz zamarł, bał się poruszyć, jakby piskliwy głos Jończyka był płochliwym, zielonym motylem.

– Kto? – zapytał wreszcie.

– Ona. Niug.

Niczego więcej nie wyciągnął z towarzysza wędrówki, lecz tego dnia, a i następnego też, nie opuścił go, oczekując kolejnych odzywek.

Ciągle parli na południe; drogi stawały się coraz gorsze, błotniste; widomy znak, że osiągnęli rubież Cesarstwa.

– Jesteś Jończykiem? – zapytał Rozenkrontz piątego albo szóstego dnia; powoli tracił rachubę.

Towarzysz wędrówki oczywiście zmilczał; i Rozenkrontz tracił już nadzieję na komunikację werbalną, przedwcześnie jednak, bo późnym wieczorem, gdy siedzieli przy ognisku, Jończyk wygłosił przemowę.

Blask rzucany przez ogień podkreślał bladość oblicza; nawet głos cienki jak skrzydła motyla potwierdzał pośrednio wiotkość postaci dziwoląga.

– Owszem – rzekł Jończyk. – Jestem Jończykiem.

I jął snuć zadziwiającą pod każdym względem opowieść o Goronarze, synu czcigodnego ojca o tym samym, oczywiście, imieniu.

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Goronar, syn czcigodnego ojca o tym samym, rzecz jasna, imieniu, które znaczyło w joańskiej mowie tyle co „Korzeń Drzewa”, zerkał na Halari, żonę swą; w jego spojrzeniu miłość mieszała się z nienawiścią i niechęcią. Zupa jego uczuć była ciężkostrawna. Halari pięknie się poruszała, nawet piorąc gacie wyglądała jak rzeźba kuta w marmurze obdarowana łaską mobilności. Nadto głosem anielskim intonowała pieśni dziękczynne, jakby miała za co dziękować Panu. Nawet oddawała się Goronarowi ze śpiewem na ustach, co zamieniało ich miłość w rodzaj rytuału. Była to alchemiczna umiejętność niektórych kobiet – zamiana ołowiu trywialności w złoto wzniosłości. Kłopot w tym, że mężczyzn wzniosłości męczyły, a trywialności cieszyły.

Odnaczała się rzadkimi przymiotami ducha – była wierna jak stado psów, i mieściło się w niej więcej miłości niż w burdelu. Oczy miała jak gwiazdy, żar ich blasku spopieliał duszę Goronara, szczególnie gdy tak patrzył na nią z nienawiścią, która wiele miała wspólnego z miłością.

Bo nie była Joanką, szlachetną duchem.

Bo nie mogła dać mu dzieci.

Jej łono było pustynią popiołów. I nawet nie wiedział, czy powinien ją za to nienawidzić, czy raczej błogosławić. Bo – z jednej strony – on BYŁ Jończykiem. I *holonai*, czyli wyznaczonym do świętości. Jego przodkowie rozmawiali z aniołami. A niektórym w snach sam Bóg objawiał swą wolę! *Holonaimuszą* być płodni – w słowa mądrości i owoce łona. Z drugiej strony – ojcostwo to w tych czasach jednak wielkie brzemię.

– Przepowiednia... – mruknął ciężko. Halari odwróciła się gwałtownie, a w jej oczach błysnęła nadzieja – mąż, jej Goronar, ten, który Odpowiadał Niepytany, odezwał się do niej! Po chwili blask nadziei przygasł, ale nie zgasł całkiem. Nigdy całkiem nie gasł. Przecie kiedyś było inaczej. I może znów będzie.

Jakże pragnął kochać bez nienawiści, patrzeć w oczy Halari, jak spogląda się w gwiazdy – ich przeświecający wszystko blask.

Pomodlił się w duchu, przepraszając Pana za grzeszne myśli.

A potem ruszył na obchód.

Ludzie witali go z szacunkiem, ale ich spojrzenia uciekały. Osada umiera, a on, *holonai* z dziada pradziada, z rodu Gadatliwych i Niepytających, nie potrafi temu zapobiec. Nie potrafi rozmówić się z Milczącym. Może Milczący już go nie słucha? To wszystko przez żonę, przebrzydłą niewierną. Niektórzy nazywali ją „wierzącą inaczej”, a inaczej zawsze znaczy „gorzej”. Takie były ich myśli, lecz nie słowa. Nie mogli wypowiadać pragnień; nie tu, nie w Joanii.

Zatem pochylali głowę na przywitanie i pożegnanie; głębokość skłonów była różna, kiedyś rejestrowałby je w pamięci, wszak nie przed nim pochylali, a przed instancją, którą reprezentował. Czy jeszcze reprezentował?

Cisza. Aż dźwięczała w uszach. Dzieci było coraz mniej – to dlatego. A jak już były, to udzielała im się cisza, jak choroba dziecięca, jak zaraza. I jeno szum modlitw, jednostajny szum modlitw. Tłó.

Tylko Walkar, kowal, mącił w sadzawce ciszy. Dźwięk młota rozchodził się w zastałym powietrzu niby kręgami, jakby powietrze miało gęstość wody. Ludzie lubili ten dźwięk. Przypominał stare, dobre czasy.

Goronar zajrzał do kuźni; w twarz uderzyło gorąco; spocone oblicze Walkara i błyszczące w półmroku białka oczu. Walkar nigdy nie odwracał wzroku. Był jedynym człowiekiem, z którym Goronar mógł swobodnie porozmawiać. Gdyby nie to, że był *holonai*, uznaliby Walkara za swego przyjaciela.

– Witaj, *holonai* – rzekł kowal, a w jego głosie nie było szacunku.

– Witaj. Wiesz już? – Goronar czuł się zmęczony. Był ranek, dzień piąty, a on czuł się zmęczony. Kowal nigdy nie zwracał się do niego *holonai*. Zły znak.

– Tak. Potwierdziło się.

– Taaak – pociemniało mu przed oczami. Zdobył się jednak jeszcze na to, by wyksztusić: – To dla nas wszystkich wielka radość...

– Wielka radość – powtórzył kowal. – Żartujesz?

– Nie.

– Może i masz rację. To wielka radość. Będę miał dziecko. Może nawet syna.

– Tak. Szczęściarz z ciebie.

Wymieniali słowa jak towary o wielkiej wartości – oszczędnie.

– Kiedy to się skończy? – zapytał Walkar po dłuższym milczeniu.

– Nie wiem. Może nigdy.

– Jest coraz gorzej, *holonai*. Porozmawiaj z Nim.

– Gorzej już być nie może. Nie można zdemolować ruiny...

Trzy dni wcześniej zasadzili się obaj na nieuchwytnego mordercę, Walkar nie był jeszcze wówczas pewien, czy zostanie ojcem. Wydawało się, że myśl o nienarodzonym potomku i konsekwencjach wynikłych z tego faktu bardziej go zajmuje, niż obława na bezwzględnego zbrodniarza.

Była noc. Gwiazdy błyszczały na niebie jak oczy Halari; Goronar nie potrafił przestać o niej myśleć, pozbyć się jej obrazu z pamięci. Halari – jego udręka. I ekstaza.

Zasadzili się z kowalem opodal domostwa Sinioza, świeżo upieczonego ojca. Oczywiście, nie mieli pewności, czy to on będzie celem. Ale zachodziło uzasadnione podejrzenie. W wielkiej konfidencji omówili wcześniej sprawę z Siniozem – jego rodzina przeniosła się na kilka nocy

do sąsiadów z obrzeża osady; ojciec rodziny przechadzał się demonstracyjnie po domostwie. Był przynętą.

Nad ranem kowal przysnął. Po jakimś czasie *holonai* obudził go.

– Chodźmy do Sinioza, robi się zimno. Dziś nic z tego.

– Może zapolował gdzie indziej – mruknął kowal.

Długo stukali do drzwi, ale nikt nie otwierał. Weszli i ujrzeni to, czego się obawiali – trup. Jak zawsze – poderżnięte gardło, twarzą ku ziemi. Krew zasilą Matkę-Ziemię, tak zabijano zwierzęta w ofierze.

Dolsilwa urwał i poczekał na dzwony ciszy. Cieśle za oknem zakończyli robotę – szubienica wystrzeliła w niebo. Po ściśle określonym czasie, gdy nieistniejące dudnienie wydawało się nie do zniesienia, podjął opowieść, przechodząc z powrotem do osoby Rozenkrontza:

Podczas przemowy Jończyk dwukrotnie oparzył sobie stopy. Rozenkrontzowi zdawało się, że ogień – niczym żywa istota – złośliwie kąsa członki mówcy. Wpisywało się to w widoczną tendencję nieprzychylności świata ożywionego i nieożywionego wobec rozmówcy; tak, że nawet przestawało to Rozenkrontza dziwić. Jończyk także nie wykazywał żadnego zaskoczenia. Cierpiał ze spokojem, a może nawet z pewną pogodą usposobienia. „Łaskocze mnie” – rzekł o ogniu, jakby pieszczotliwie.

Rozenkrontz nic nie zrozumiał z opowieści o owym *holonai*. Jak miała się historia do Jończyka, dlaczego urwał ją nagle. I skąd tyle wiedział o stanach wewnętrznych tego Goronara; jakby był nim po prostu. A może właśnie tak brzmiała odpowiedź – Jończyk BYŁ Goronarem. Rozenkrontz zapytał o to, w odpowiedzi Jończyk przedstawił się wreszcie – nazywał się Horonar, co tłumaczyło się – „Pień Drzewa”.

Wyjaśniło się natomiast, kimże jest owa „ona”, Niug, co posiadała dar przewidywania. Jończyk rzekł, iż wyprawę podjął z jednego powodu – wieszczka przepowiedziała mu śmiertelne niebezpieczeństwo. „Wybawcę spotkasz w drodze” – rzekła. I spotkał Rozenkrontza, który uratował mu życie na Targowisku Próżności. Z drugiej strony, gdyby nie wyruszył, niebezpieczeństwo by go nie dopadło i ratunek nie byłby konieczny. Zafrasowały Horonara owe zależności między determinantami życiorysu. Wszak sam fakt przepowiedni jest rodzajem ingerencji, zmieniającej bieg spraw. Rozenkrontz uśmiechał się z wyższością – on podobne przemyślenia

miał za sobą; i wiedział, że odpowiedzi na te wątpliwości oczywiście nie ma.

Drogi były coraz gorsze; wszędy pleniła się roślinność, bujniejsza niż Rozenkrontz gdziekolwiek i kiedykolwiek w życiu widział; korzenie drzew kpiły sobie z równych nawierzchni. Rozenkrontz nigdy tak dobitnie nie przekonał się o nikłości ludzkich prób okiełznania natury, albo choć jej lekkiego wyrównania. Jończyk tymczasem potykał się o wszystko i był nieustannie kąsany przez komary; jakby owady lęły się w pobliskich moczarach z większą intensywnością na sam jego widok. Normalny człek skłębny na jego miejscu podstawy urządzenia świata; on tymczasem kierował się na południe ze wzrokiem utkwionym w niedocieczonej dali.

Dopiero wieczorem podjął opowieść, przerywaną co chwila na skutek nagłej inwazji gąsienic, próbujących masowo wpełznąć w jego organizm przez rozchylane przy przemowie usta. Łagodnie brał je w dwa palce i kładł na ziemi; a te znów, z jakąś zaciekłością, która nie miała nic wspólnego z chęcią przeżycia, pełzły po jego ciele – w górę, jakby do obiecanego przez hochsztaplera raj. Rozenkrontz zrazu nie mógł na to patrzeć; jednak po jakimś czasie przywykł; nawet jęło go to bawić w jakiś melancholijny sposób.

Seimari spał pod stołem, Grimaldi zaś wydawał się bliski omdlenia. Dolsilwa snuł już opowieść dość długo; zdawało się, że zajmuje ona jeno tego wiotkiego Jończyka, Regraca. Kiedy poeta kolejny raz przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, a tym bardziej wina, okazało się jednak, że i Grimaldi słuchał z uwagą.

– Co przepowiedział Jończykowi Rozenkrontz? – zapytał.

– Znam tę historię od mego przyjaciela, Rozenkrontza – odrzekł Dolsilwa. – A on sam pozbawion jest świadomości znaczenia swych przepowiedni. Nie wiem. Zdradzę wam jednak pewną tajemnicę – po to tu jestem, by się dowiedzieć.

– Jakże to? – zdumiał się cesarski kartograf.

– Rozenkrontz, tuż po zrelacjonowaniu historii wpadł w trans i rzekł mi, że jeśli chcę poznać ciąg dalszy opowieści, muszę się udać w ściśle określone miejsce, w ściśle określonym czasie.

– To zdumiewające – odezwał się nieoczekiwanie Regrac, aż obaj: Grimaldi i Dolsilwa, spojrzeli na Jończyka zdziwieni, bo do tej pory zasłynął milczeniem – że wszystkie te przechadzające się po świecie media

wypowiadają się z taką mglistością, nieprawdaz? Przecie mógł powiedzieć wprost, miast kluczyć i mnożyć dodatkowe warunki poznania prawdy. Po co musiał pan Dolsilwa pokonywać te ogromne przestrzenie, by tu przybyć, bo „odpowiednie miejsce i czas” to tu i teraz, zgadłem?

– I owszem, panie Regrac – Dolsilwa wychylił dzban z winem. – Kiedyś myśleliśmy nad tym z Rozenkrontzem – wszak nie ma w tych prekognicjach umiaru, ni ekonomii. Być może moja obecność tu jest do czegoś potrzebna, a ochota na zaspokojenie ciekawości jest przynętą, by mnie tu zwabić? I nie pytaj mnie, panie, komum potrzebny, i do czego, bo może i nikomu, i do niczego; może tak właśnie musi się dopełnić przeznaczenie. To nie jest tak, że Rozenkrontz... czy owa Niug panują nad przeznaczeniem. Relacje są chyba odwrotne. Oni są narzędziami, ogniwami łańcucha przyczyn i skutków niedocieczonych...

Przez chwilę milczeli, aż ciszę przerwał Regrac.

– Teraz ja – rzekł – opowiem wam historię, panowie. Będzie to opowieść o ojcu i synu. Rzecz jasna, działa się w Joanii; wkroczyliście bowiem w rejony, gdzie wszystkie ważne opowieści zakorzenione są w Joanii, dziwnej krainie dotkniętej Milczeniem Pana bardziej niż jakikolwiek rejon świata. Nie zawsze tak było...

Jończyk westchnął, jakby przytłaczał go ciężar wspomnień. Zmrużył oczy, by przebić się przez mgłę niepamięci, i jął snuć opowieść.

– Było to...

OPOWIEŚĆ REGRACA

Było to bez mała czterdzieści lat temu, gdy Joania uchodziła wprawdzie za część Cesarstwa Lechandryjskiego, ale było to sankcjonowane jeno formalnym edyktem cesarskim. Ziemie były płodne, ale nie w rolne płody; jeśli już rodziły, to roślinne bękarty, czyli chwasty, wzmagające bujność i różnorodność otoczenia. Joania nie miała wówczas również żadnego znaczenia strategicznego, ot, splachetek ziemi pamiętany przez Boga. Jakość dróg, od zawsze zła, skutecznie izolowała krainę od pozostałych prowincji cesarskich. Izolację tę wzmagало przekonanie mieszkańców o wyjątkowości tej ziemi – to tu miał, ich zdaniem, stąpać Pan, tuż po stworzeniu świata, a ślady Jego Stóp to joańskie wąwozy i jeziora. Jego

szaty ocierały się o tutejszą roślinność; stąd żywość barw i rozpiętość pnączy. Wyjątkowość uosabiała instytucja *holonai*, czyli Boskiego Tłumacza, Obcującego z Aniołami, Odpowiadającego Bez Pytania. On to interpretował Wolę Boga Milczącego, a jednak w snach *holonai* - Rozgadanego. Niektórzy z wybrańców (instytucja miała charakter dziedziczny) utrzymywali, jakoby odwiedzali ich, bynajmniej nie w snach, Aniołowie. Lud tutejszy wierzył *holonai*, przymierze z Bogiem zdawało się faktem, w osadzie, jedynej w okolicy, życie było błogostanem wręcz nienaturalnym. Ludzie z zewnątrz, którzy nawiedzali z rzadka Joanię, mówili, że wyczuwali tu aurę dziecięctwa, i stąd miały się brać błogości i życzliwości powszechne. Jest tak bowiem, że pamiętamy z wczesnego dzieciństwa zapachy, barwy i smaki bardziej niż konkretne rzeczy; i że tęsknimy do tej nieokreślonej przecie aury przez całe życie, a najbardziej na starość chyba. To jest nasz raj, nasza tęsknica. Może dlatego wieczniemy czego złąknieni – tej nieosiągalności, bo przeszłości, kiedy to intensywność wszystkiego przesycza nam zmysły. Nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego w osadzie czuje się szczęśliwy, ale tak właśnie było. Nieliczni podróżnicy, co zapuszczali się w joańskie rejony, nie potrafili jednak zabawić tu długo, szczęście rozsadzało im dusze; nieprzywykli – umykali szlochając. Mechanizm działał, niestety, w obie strony. Joańczycy nie mogli dłuższy czas przebywać poza oazą szczęścia. Stanowiło to poważną przeszkodę w handlu; stąd wynikła konieczność, by zbadać zasięg oddziaływania błogostanu. Gdy wytyczyli ścisłe granice – obszar szczęścia miał dwanaście tysięcy kroków średnicy i był nieregularnym okręgiem – na obrzeżach zasiedlono eksperymentalnie kilka rodzin. Szczęście działało tam wprawdzie, ale jakby słabiej. Był to rodzaj hartowania – dzieci wychowane na obrzeżach, tak zwani „półszczęśnicy”, nabierały odporności na ponure aury; gdy dorastały, trudniły się kontaktami handlowymi z resztą prowincji Cesarstwa.

I to tu właśnie zdarzyło się pewnej nocy Zwiastowanie nieszczęścia, które mogło się okazać szczęściem, ale nie musiało. Owóz do jednego z domostw zawitał znużony wędrowiec, była późna noc, nawet gwiazdy wydawały się śpiące. Gospodarz powitał gościa jak należy – jego żona sporządziła skromny posiłek, postawiła też na stole wino z zeszłego roku, kiedy to słońce dopisywało. Od razu spostrzegli, że obcy nie jest Joańczykiem, za jasne miał na to włosy, a twarz pogrążoną w cierpieniu, jak

w głębokim cieniu. Cierpienie rzadkim było w Joanii gościem, zatem gospodarz zaciekawiał się wielce; obcowanie z taką mentalną obcością rozszerzało wszak horyzonty. Żona poszła do płaczącego dziecka; niedawno narodzonego syna, przedmiotu rodzicielskiej dumy. Zostali sami.

Smukły, lecz niezbyt wysoki, obcy nosił się z surowością wędrowca, któremu intensywność podróży wybiła z głowy tęsknoty za elegancją czy wykwintem. Zaiste, wyglądał jakby regularnie przebywał odległości nie do przebycia.

Ich rozmowa nie była długa; mówił głównie przybysz, głosem przepelnionym zmęczeniem; gospodarz natomiast z każdym wypowiedzianym słowem bladł coraz mocniej, aż udało mu się osiągnąć niemal biel oblicza.

Mowa była o starej przepowiedni, tak starej, że wręcz stała się baśnią, w którą nikt w Joanii nie dawał tak do końca wiary. Powiadano, że któregoś dnia Milczący ześle na padół łez Syna, by ten – swą męką i śmiercią – okupił grzechy ludzkości. Nim jednak do tego dojdzie, jeden z Joańczyków, Umiłowanego Rodu Pana, będzie musiał ofiarować swego Pierworodnego. Syn za syna, ofiara za ofiarę.

– Idzie o twego syna – rzekł przybysz ze smutkiem w głosie. – Czas nadszedł. Wypełnij Ofiarę, a ludy tego świata dostąpią zbawienia...

– Łzesz! – krzyknął gospodarz i byłby się porwał na życie obcego, gdyby nie uświęcone wiekowym zwyczajem Prawo Gościnności. – Wiesz, ile czasu czekałem na syna?!

– Masz pięć lat, ani chwili dłużej. Naciesz się nim, darz go miłością, ukaz czym jest świat...

– Kim jesteś, że ośmielasz się żądać od ojca śmierci jego jedyne syna?!

– Posłańcem złego i dobrego. Ja jeno przekazuję Wolę tego, który jest Wolą i Prawem. Tego, co Zło przekuwa w Dobro. Tak będzie z ofiarą twego syna.

– Dlaczego mam ci dać wiarę?

– Bo poza wiarą niewiele wam zostało.

– Jest jeszcze miłość...

– Tak. Jest i miłość. Chcesz dowodu, to masz. – Położył dłoń na blacie stołu. Kiedy ją odjął, został wypalony ślad. – Ile razy zwątpisz, tyle razy spójrz na ten znak.

Potem wstał, podziękował za gościnę i wyszedł.

Gospodarz siedział jak skamieniały.

Dolsilwie podobała się opowieść Regraca, toteż zachnął się, gdy została przerwana odgłosem tłuczonego dzbana. Mimo, że Jończyk niemal się nie ruszał, wytłukł w trakcie opowieści cztery dzbany, w tym dwa do połowy pełne, co było jawnym już marnotrawstwem. Nawet, jeśli na pocieszenie uznać, że były do połowy puste. Wydawało się, że niszczy zastawy samym oddechem, a gdyby tak było, mógłby z powodzeniem występować na jarmarkach. Ilekroć coś stłukł, tyle też razy uśmiechał się przepraszająco.

– Może powinniśmy czerpać rozkosz wprost z beczek – zasugerował łagodnie Dolsilwa. – Kim był ów wędrowiec? Skąd te jego nadzwyczajne moce?

– Mogę ci jeno rzec, panie, kim nie był z pewnością. Nie był człowiekiem.

Dolsilwa zadumał się. Czuł, że historia Jończyka i ta, którą sam opowiadał, powtarzając opowieść Horonara, są komplementarne, uzupełniają się jakoś, współgrają.

– Pozwól, panie Regrac, że teraz ja podejmę swoją opowieść. Będziemy nasze historie przeplatać, co urozmaici wieczór. Na czym to ja skończyłem... Ach tak. Gąsienice. Lazły na Horonara, jakby był Liściem Obiecanym. On tymczasem kontynuował opowieść o *holonai* Goronarze...

OPOWIEŚĆ DOLSIWLY

Niezrażony nadmiarem robactwa, Jończyk opowiadał dalej. Rozenkrontz słuchał, urzeczony, i zarazem usiłował rozgryźć znaczenie tej opowieści.

– Joania od dawna już nie była wyspą szczęścia pośród oceanu nieprawości i okrucieństwa...

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Joania od dawna nie była już wyspą szczęścia wśród bezmiaru braku szczęścia, *holonai* Goronar wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Przekleństwo dotknęło osadę przed trzydziestu pięciu z górą laty. Wszystko zaczęło się łagodnie; stopniowo w osadzie gasło szczęście. Wyglądało to niczym powolna, ale nieuchronna zmiana klimatu. Niepostrzeżenie środek lata przeobraził się w zaczątki jesiennego trądu, a ludzie jęli domyślać się zimy. Aura szczęśliwości gasła nieustannie; i niemal nikt nie wiedział – dlaczego. Religijność w osadzie wzrosła jeszcze, choć zarazem częściej trafiali się odszczepieńcy, co z Bogiem wiedli wewnętrzne spory, manifestujące się zewnętrzną pogardą dla doskonałości Stworzenia. Sprzeciw jednak też rodzajem jest wiary, bywa, że tym żarliwszej, im potężniejsza niechęć do obiektu kultu. Wszak jeśli się nienawidzi Boga, to nie sposób w Niego nie wierzyć; wiara taka gorętsza bywa od letniej akceptacji. Masowo jęły powstawać miejscowe teodycee – tłumaczące maluczkim nagłą niechęć Pana oraz skąd to całe zło w świecie; przez pewien czas teologów w osadzie więcej było niż rzemieślników. Potem i ten zapal zamarł, ustąpił miejsca skostniałej obyczajowości. Modlitwy nie niosły zadośćuczynienia; starego *holonai* ktoś zabił, jego synokrył się hańbą, biorąc za żonę niewierną – wszystko zmierzało ku upadkowi.

Wnet objawiły się inne fenomena – w osadzie rodziło się coraz mniej dzieci, znachorzy nie potrafili temu zaradzić. Mogło się zdawać, że skoro tak opada stężenie błogostanu w Joanii, to ludziom łatwiej przyjdzie żyć poza jej granicami – nic jednak błędniejszego nad takie mniemanie. Okazało się, że spadek szczęścia w Joanii wprost jest proporcjonalny do przybojów nieszczęścia w innych częściach świata; oczywiście dla Jończyków jeno. Emigranci rychło wracali z tułaczki; tak ich pech gnał, a zarazem wzrastająca niechęć mieszkańców innych krain. Dawniej w oczy kłuło nieznośne szczęście Jończyków; teraz obawą napawał ich pech niesłychany – zawsze znajdzie się dobry powód do wstrętu. Dość, że najwytrwalsi z uciekinierów wytrzymywali najwyżej rok poza granicami osady; potem zjawiali się z obłędem w oczach, owrzodzeni, dotknięci usterkami fizycznej lub innej natury. Najczęściej innej. Niektórzy wcale nie wracali, lecz nie z powodu odnalezionego szczęścia, a raczej dotknięci ostatecznością – pech ich wybijał ponad miarę istnienia – ginęli w nędznych zazwyczaj okolicznościach.

Do tych klęsk jeszcze jedna doszła. Owóz poza kręgiem szczęśliwości żyła stara kobieta, Niug, Prawdę Postrzegająca, Nici Żywotów Splatająca. Powiadano, że stara jest jak czas, że widziała początek świata i pewnie

ujrzy jego koniec. *Holonai* Goronar nie wierzył tym wieściom, lecz w niewierze swej był odosobniony. Wieszcza rzadko przepowiadała przyszłość, kiedy jednak to już czyniła, odgadywała prawdę za każdym razem. Zdarzyło się przed laty, że ruszyła do jej sadyby delegacja złożona z mieszkańców osady; wyprawa – niedaleka po prawdzie – odbyła się bez wiedzy *holonai*, bo wszyscy wiedzieli, że by jej nie poparł, a może i obłożyłby uczestników jakąś klątwą. Wprawdzie utracił znaczną część mocy i autorytetu, ale Jończycy słynęli z tego, że dmuchali na soople lodu. Dość, że dotarli, pomimo doskwierającego poczucia braku szczęścia; było to jeszcze w czasach, gdy błogostany w osadzie były wciąż mocno odczuwane. Zrazu Niug nie chciała z nimi gadać, jakby wystawiając na próbę ich determinację, czarna rozpacz bowiem zalewała pokłady ich witalności z każdą jałową chwilą. Wreszcie pozwoliła zadać sobie jedno jedyne pytanie, co też uczynili. Pytanie było oczywiste – dlaczego Joania przestała być krainą w szczęście opływającą? Niug odprawiła stosowne rytuały; poświęcając życie czarnego kota. Powiadali, że za każdą wróżbę żywot postradać musiał jakiś żywy organizm – taka już była surowa ekonomia prekognicji; a może i zarazem jeden z powodów niechęci Niug do wróżb. Co ciekawe, koty garnęły się do niej stadami, a w Joanii trudno było uświadczyc choć jednego. Znaczący temat prawili o kociej niechęci do infantylności błogostanu.

Odpowiedź zaskoczyła Jończyków...

Jończyk wypluł ścierwo jakiegoś owada; bez niechęci, a może i ze współczuciem.

I kiedy wydawało się, że podjęcie przerwany tok opowieści, zmiłkł nagle, jakby mu się nagle wyklął we wnętrzościach motyl, jakby misja jednej z gąsienic zakończyła się sukcesem; osiągnęła raj, Jelito Obiecane, i tam przeszła przeistoczenie.

– No i? Jaka była odpowiedź?! – krzyknął Rozenkrontz. – Co im Niug rzekła?

Horonar nic nie powiedział, zasnął z otwartymi oczami.

Dolsilwa, którego jedynym naturalnym bogactwem były spore pokłady złośliwości, wprawdzie wciąż rabunkowo eksploatowane, lecz chyba niezmierzone, przerwał opowieść z premedytacją, oczekując żywszych emocji po swym rozmówcy. Przerwanie historii w momencie kulminacyjnym było jednym z chwytów literackich, jakie Dolsilwa

stosował w swych licznych utworach – chciał w Regracu wywołać ciekawość, albo choć cień zniecierpliwienia – nic z tego. Tak go to zdumiało, że sam popadł w zniecierpliwienie; kto antraktami wojuje, ten od antraktów ginie, niestety.

Tymczasem kartograf Grimaldi nieoczekiwanie doszedł do siebie i jął się przysłuchiwać opowieściom. Jako, że był właśnie w swym upojeniu na etapie błógiego rozrzewnienia, toczył obficie łyzy, które w specyficznym oświetleniu izby (blask wypalonych świec połączony z krwistością wschodzącego słońca, przefiltrowanego dodatkowo przez dziurawe zasłony na oknach – barwy sinej) miały kolor srebrzysty. Wyglądało, jakby srebrem łąkał, co nadawało gorzkim żalom wymiar, nadmiernej i niestosownej być może, ale jednak wzniosłości.

– Tyle bólu, tyle cierpienia... – łąkał kartograf cesarski. Zaraz jednak doszedł do siebie i postanowił raczej wino spijać niż łyzy. – A czy zastanawiali się panowie kiedy, dlaczego niemal wszystkie znane religie mówią o doskonałości i harmonii świata, podczas gdy uczestnikom rzeczywistości zdaje się, że raczej taplają się w gównie, niż przechadzają po wonnych ogrodach? Dlaczego świadectwo naszych zmysłów pozostaje w takiej sprzeczności z przesłaniem metafizycznym?

– No? – zachęcił go Dolsilwa, zerkając odruchowo na srającego bohatera obrazu Greubla Starszego

– Psia kurwa – jęknął przez sen Seimari.

– Kartograf jeno może kompetentnie odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Istotą naszej profesji jest uogólnianie szczegółów, umniejszanie połaci powierzchni, by je zawrzeć na mapie. Wyobrażam sobie, że świat musi wyglądać z ogromnej odległości, albo też wysokości tak właśnie, jak na naszych mapach...

– Co z tego?

– Na mapach świat jest uporządkowany; wygląda harmonijnie. Cóż tam mapy zresztą! Przyjrzyjcie się łąkom. Gdy je widać z dala – są jak zielone kobierce; jednolite, jakby tkane na krosnach. Z bliska – chaos różnorodności. Każdy przedmiot ujrany z odpowiedniej bliskości, traci swą doskonałość, gładkość, na każdym zobaczysz jakieś szpary, pęknięcia, załamania; stopień doskonałości odwrotnie jest proporcjonalny do odległości...

– Zgoda, panie Grimaldi, ale do czego waść zmierzasz, bom zgubił wątek, a coś mi mówi, że doszło w twej przemowie wręcz do metafory jakiejś – mówiąc to, Dolsilwa obserwował pająka, który jął rozsnuwać swą sieć w rzadkim zaroście Jończyka.

– Tak sobie wyobrażam Boga – rzekł Grimaldi ze smutkiem – jak kartograf kartografa. Z boskiej dali świat wygląda jednolicie i wspaniale być może. Gdy zaś przyjdzie na nim żyć, wygląda jak wygląda. Może byłoby lepiej, gdyby Bóg poprzehadzał się trochę po swych włościach...

– Może właśnie teraz się przechadza... – mruknął Jończyk.

Zamilkli na chwilę, każdy zatopiony w myślach; jeden Seimari wydawał się zatopiony w czym innym niż myśl.

– Panie Regrac – Dolsilwa wciąż wpatrywał się jak urzeczony w pająka.
– Czas na pańską opowieść.

Regrac od razu przeszedł do rzeczy.

– Od okrutnej przepowiedni minęło wyznaczonych pięć lat...

OPOWIEŚĆ REGRACA

Od wygłoszenia okrutnej przepowiedni minęło pięć wyznaczonych lat. Nie było to dużo. Początkowo świeżo upieczony ojciec starał się jak mógł, by dziecko było szczęśliwe, o co w Joanii nietrudno. Zarazem sam tracił wewnętrzny spokój, cierpienie wygrywało w nim z powszechnym błogostanem; z czasem jął to cierpienie pielęgnować, dzięki czemu uodpornił się na szczęście. Bo i z czegoż radować się, gdy trzeba uśmiercić własnego syna, choćby i dla szczęścia rzeszy całej? Pokazał synkowi co mógł, nawet wyprawiał się z nim poza okrąg szczęścia; a wyprawy te były coraz dłuższe. Jął, o dziwo, delektować się aromatem cierpienia; zrozumiał, że świat bez bólu i zła byłby niepełny, niedoskonały, kaleki. A może sam siebie oszukiwał jeno?

Syn nie pojmował ojca; lękał się go nawet instynktownie. Wędrówki poza bezpieczny obręb błogostanu sprawiały mu ból, cierpienie nie było żadnym dopełnieniem, lecz przykrością naruszającą bezpieczny obszar jego dzieciństwa. Opierał się jak mógł. Niewiele mógł.

Matka chłopca umarła, gdy miał trzy lata; nikt nie wiedział z jakiego powodu. Umierała jednak z motylą lekkością, uśmiechała się, pełna

wewnętrznej ufności w nieśmiertelność. Tak umierało się w Joanii – lekko i jakby z przyjemnością. Niektórzy powiadali, że umierało się od tej przyjemności właśnie. Jej mężowi ta śmiertelna radość wydała się upiorna. Pewnie jeszcze trzy lata temu myślałby o tym inaczej. Cierpienie jest jak załamanie światła w pryzmacie; człek zyskuje nową perspektywę, wszystko widzi inaczej.

Aż nadszedł dzień, w którym musiała wypełnić się Przepowiednia. Ojciec bez słowa zabrał syna; przedtem długo ostrzył nóż ofiarny, lecz tak, by nikt tego nie widział. Nóż powinien być ostry, żeby skrócić czas skracania cierpienia.

Szli długo, na wschód, w kierunku Góry Amarat, porosłej czasem jak mchem. Niegdyś, jeszcze przed odkryciem przez Jończyków rejonu błogostanu, składano tam w ofierze zwierzęta, by przebłagać sprawiedliwą surowość Pana.

Słońce zachodziło już, gdy dotarli do Góry Amarat. Blask obejmował niezbyt czule wszystko w zasięgu wzroku, góra wyglądała tak, jakby ktoś z wielką pieczołowitością zalał ją krwią, lecz wschodnie jeno stoki. Już na szczycie, ojciec przerwał milczenie i wypowiedział kilka gorzkich słów o charakterze egzystencjalnym.

Jakiś czas temu obudziła go mucha, brzęczenie owada odstręczało sen; przez chwilę pragnął go rozgnieść. Ale powstrzymał się w ostatniej chwili; ten moment wahania, krótki przecie jak mgnienie, i ów nieoczekiwany akt łaski, bynajmniej nie podyktowany żadną dobrocią, lecz raczej kaprysem, odmienił go straszliwie. Zrozumiał, że przedłużenie egzystencji owada nie winno być dla muchy powodem do radości, a raczej do smutku. Kaprys istoty wyższego rzędu może odmienić życie na lepsze lub na gorsze – to nie było pocieszające.

Potem zaś opowiedział synowi historię przepowiedni oraz wizyty tajemnego gościa przed pięciu laty. Chciał, jeden Bóg wie jak bardzo, by chłopiec spróbował ucieczki, a on chyba by go nie gonił. Pragnął odegnąć od siebie decyzję o śmierci i życiu. Ale syn nie pojął ojca; był zmęczony, bardzo zmęczony. Nawet, gdy ujrzał ostrze noża, nie pomyślał, że grozi mu śmierć. Dopiero po latach zrozumie znaczenie ojcowskiej opowieści.

Ojciec wznosił nóż ofiarny, by z mocą zatopić ostrze w krwi niewinnej, by spełnić Ofiarę i dopełnić Przepowiedni. Ale nie mógł. Nie potrafił.

To z jego winy dotknęło Jończyków przekleństwo. To z jego winy Syn Boga nie narodził się z plemienia Jończyków. Bezmiar jego winy przepełniłyby oceany świata.

O dziwo, czuł i nie czuł się winny. Ten nastrój rozchwiania miał go nie opuścić aż do śmierci. Jakby pozbył się z duszy ciężkiego kamienia odpowiedzialności, bo nie zabił syna, ale zarazem poczucie winy natychmiast wtaczało nowy głaz, bo zawiódł swój lud. I tak bez przerwy.

Szczęście jęło z wolna opuszczać Joanię – obserwował zjawisko z uwagą badacza. Któregoś dnia przekonał sam siebie, że mimo wszystko obdarował Jończyków, poprzez swe zaniechanie, wiedzą na temat zła i cierpienia, dość gorzką wprawdzie, lecz cenną. Tego samego dnia umarł, zamordowany.

Seimari ocknął się wreszcie ze swym stałym przekleństwem na ustach. Tym razem antrakt zapadł w dobrym momencie, jakby nad opowieścią Regraca czuwał jakiś wytrawny scenarzysta, los na przykład.

– Kto go zamordował? – zapytał Dolsilwa.

Regrac uśmiechnął się jeno, płosząc pająka.

– A teraz ja wam coś opowiem, mili moi kompani od dzbana – rzekł Seimari nieoczekiwanie, a na dodatek nieoczekiwanie trzeźwym głosem. Zdumiał tym wszystkich, łącznie z Grimaldim. Dolsilwie nawet przemknęło przez myśl, że pseudoelf nie spał wcale, a udawał. – Było to... żeby was, panowie, psia kurwa, nie oszukał... jakieś dwadzieścia lat temu... Mój stary przyjaciel, Menioza, co tu kryć, cesarski prokurator, otrzymał dziwne zadanie. Chyba najdziwniejsze w jego karierze...

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

Było to najdziwniejsze z zadań Siedemnastego Prokuratora Cesarstwa, Meniozy, choć zrazu nic na to nie wskazywało. Wprawdzie wezwanie przed oblicze Armeba, cesarskiego Trzeciego Doradcy nie należało do procedur rutynowych, tym niemniej nie zwiastowało jeszcze jakichkolwiek nadzwyczajności.

Armeb przyjął Meniozę w przytulnej komnacie obwieszanej gobelinami, przedstawiającymi platoniczną miłość poddanych do Cesarza. Postać władcy wyszywana była złotą nicią; i promieniowała blaskiem;

podczas gdy poddani ginęli w tle. Od czasu do czasu, gdzieś tam przewijała się postać Armeba, skromnie obramowana srebrną nicią; nachylał się nad uchem pana swego i prawdopodobnie podszeptował mu projekty reform korzystnych dla skarbu Cesarstwa Lechandryjskiego. Armeb, choć eunuch, był ambitny i wciąż jeszcze młody, na korytarzach cesarskich rezydencji szeptano o rychłym awansie na stanowisko Drugiego, a może i Pierwszego Doradcy.

Menioza też myślał o przyszłości z zachłannością. Pasowali do siebie. Cesarski doradca nieomylnie wyczuwał takie potencjalne alianse; szukał zaufanych ludzi. I znajdował.

– Prokurator Menioza – rzekł Armeb na powitanie, z nutą zadowolenia w głosie. – Wina?

Menioza odmówił powściągliwym, lecz stanowczym gestem.

– Dyscyplina... – westchnął Armeb i nalał sobie trunku. Pod szatami rysowały mu się niemal kobiece krągłości; zapowiedź otyłości; pod tym względem jego przyszłość wydawała się oczywista. – Słyszysz z dyscypliny, panie. Również umysłowej. Kiedyś rozwiązywałem łamigłówek. Moglibyśmy się zmierzyć.

– Jestem zwolennikiem używania umysłu w sprawach przynoszących pożytek. – Menioza szarżował, ale z pełną świadomością. Najważniejsza jest maska. Odpowiednia maska może uczynić z chama pana, a nawet Cesarza. Tej ostatniej myśli trochę się przestraszył; na jego stanowisku nie wypada być wywrotowcem, choćby nawet tylko w ciasnych przestrzeniach łba.

– Widzę, Menioza, że to, co o panu mówią jest prawdą. Surowy, praktyczny, uzdolniony pod każdym względem. To zastanawiające, gdy człek tak ściśle przylega do przypisywanego mu przez bliźnich wizerunku... – Armeb obserwował Meniozę z chłodną uwagą. – Zwykle są w nas jakieś nadmiary lub niedomiary. Wystajemy z owej formy, którą nam narzucają, wylewamy się z niej, co zresztą nas czyni ludźmi właśnie. Pan natomiast, siedemnasty prokuratorze, przylegasz do wizerunku z niezwykłą ścisłością. Może to oznaczać albo ograniczenie umysłu, albo coś odwrotnego... Ha, zaryzykuję. Powierzę ci delikatną sprawę, pozornie nieistotną, ale być może jednak ważną. Sam pan zdecydujesz... na miejscu. W wypadku sukcesu wróżę awans na Szesnastego, a może i Piętnastego Prokuratora. W nieodległej zaś przyszłości...

Arneb zawiesił głos i obaj jakby się rozmarzyli.

Zaraz jednak otrząsnęli się z błogości, co mąci umysł i przeszli do rzeczy. Arneb opowiedział Meniozie o dziwnych przypadkach morderstw dokonywanych w odległej prowincji Cesarstwa – Joanii. Prokurator nigdy o niej nie słyszał, co samo w sobie zaskakujące nie było; włości Cesarstwa były rozległe. Mieszkańcy przekonani byli o swej odrębności od innych plemion ludzkich, co też nie było zjawiskiem rzadkim. A jednak niezwykłość ich polegała na tym, że mogli – obstając przy swej nadmiarowości – nie mijać się prawdą. Stwierdzenie to zastanowiło Meniozę – mesjanistyczne zapędy różnych ludów nie były niczym nadzwyczajnym; Cesarz – jak dobry ogrodnik, co nie lekce sobie waży solidnego ukorzenia roślin – nawet wykorzystywał te głębokie przekonania do swych bezkrwawych podbojów; obwołując się półbogiem, a nawet pewnym nakładem środków nabierając cudownych cech zwiastowanych w przepowiedniach. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z rzeczywistością; wręcz przeciwnie – oddalało się od niej wprost proporcjonalnie do wzrostu żarliwości podobnych wierzeń.

Menioza dał wyraz swym wątpliwościom.

– Taaak – westchnął Arneb – to tajemnicza sprawa. Ale wszystko wskazuje na to, że coś dziwnego dzieje się na tych ziemiach. Próbowaliśmy zjawisko badać, lecz ześlizgujemy się po panującym tam błogostanie. Ludzie wariują, niektórzy żądają nadzwyczajnych opłat za pracę w ciężkich warunkach. Szczęście to mordercza siła, panie prokuratorze...

Arneb dalej snuł opowieść, nawet z pewnym narracyjnym talentem, w odpowiednich momentach modelując głos, co uplastyczało relację. Otóż w joańskiej osadzie, niewielkiej, liczącej może pięć tysięcy dusz doszło do serii zabójstw. O sprawie poinformowano władze poufnie i anonimowo. Prokuratura w mieście Kolar niechętnie wysłała do Joanii śledczego, niejakiego Karmaba, wraz z kilkoma ludźmi. Po siedmiu dniach obstawa śledczego wróciła w ponurych nastrojach graniczących z samodestrukcją. Izolowano ich na wszelki wypadek, by zaraza szczęścia w nieszczęściu (lub odwrotnie) nie pleniła się pośród społeczeństwa. Śledczy, człek stawiający obowiązek służbowy nad zdrowym rozsądkiem, został.

– Wytrzymał miesiąc – Arneb nalał sobie wina i pytająco spojrzał na prokuratora; ten znów odmówił. – To bardzo dobry rezultat, o czym

jeszcze wówczas nie wiedzieliśmy. Jego notatki są znakomitym materiałem badawczym. Oto one...

Arneb rzucił na stół kilka wypełnionych nerwowym pismem kart.

– Co się z nim stało? – zapytał Menioza.

– Powiesił się. Z nadmiaru szczęścia.

– Chyba jednak się napiję.

Śledztwo Siedemnastego Prokuratora Meniozy miało dwa cele (w tym momencie Arneb zniżył głos, choć podwójne ściany komnaty uniemożliwiały praktycznie podsłuch): pierwszym, mniej istotnym i fasadowym było odkrycie tożsamości zabójcy; drugim, o wiele ważniejszym – przeniknięcie natury szczęścia otulającego Joanię szczelnym kokonem. Arneb dysponował już sporym materiałem badawczym; nadto najemnicy porwali dwóch chłopców, Jończyków, z których jeden rychło skonał, a drugi wciąż żył jeszcze; i poddawany był badaniom od lat pięciu.

– Był tak zwanym „półszczęśnikiem”, wychowywanym na obrzeżach błogostanu, zatem uodpornionym na nasz wraży los – powiedział Trzeci Doradca. – Poznasz go. Pomoże ci. Masz dwadzieścia dni na przygotowania. Zapoznaj się z dokumentacją, porozmawiaj z „półszczęśnikiem”. Potem – w drogę, przysły Pierwszy Prokuratorze!

Seimari przerwał opowieść nagle, idąc za przykładem pozostałych mówców.

– Ciekawa historia... – mruknął łaskawie Dolsilwa.

Pozostali pokiwali głowami.

– Chyba moja kolej... – rzekł poeta.

– Niekoniecznie – odezwał się Grimaldi, od jakiegoś czasu uważnie śledzący tok wszystkich opowieści. – Przecie wiemy już, co Niug powiedziała Jończykom. Regrac o tym prawił. Musiała powiedzieć – chyba, że była hochsztaplerką – że za nieszczęście odpowiada niedokonana ofiara z żywota pierworodnego...

– Niug nie była hochsztaplerką. A to była Pierwsza Przepowiednia – odparł Dolsilwa.

– Czy to znaczy... – Grimaldi zachłysnął się. – To znaczy... że jest i druga?

Poeta uśmiechnął się jeno i podjął opowieść.

– Następnego ranka Rozenkrontz dostrzegł jakąś, nieuchwytną zrazu, zmianę w zachowaniu towarzysza podróży...

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Następnego ranka Rozenkrontz spostrzegł zmianę w zachowaniu Jończyka. Jakby dawna pewność niepewności istnienia, aleć zawsze jakaś pewność, ustąpiła miejsca lekkiemu zaniepokojeniu. Poza tym coś jeszcze zmieniło się w Horonarze; Rozenkrontz obserwował go ukradkiem i gorączkowo myślał, w czym rzecz. Dopiero po jakimś czasie pojął: pech Jończyka zanikał. Stąpił z większą swobodą, przyroda już nie atakowała go swymi zasobami. A jednak. Jednak niepokój narastał. Wzrok Horonara nie tkwił już w wieczności; rozrzucił nerwowe spojrzenia po doczesności, a jej stan nie wydawał mu się chyba zadowolający.

Przerwę w wędrówce zarządził wcześniej niż zwykle. Nim podjął opowieść, rzekł:

– Joania coraz bliżej...

Nie zabrzmiało to jak pieśń tęsknoty.

– Pierwsza odpowiedź Niug... – zaczął Horonar wreszcie.

– Pierwsza odpowiedź? – zdumiał się Rozenkrontz.

– Tak. Niug wiedziała, że są dwa pytania, nim zrozumieli to Jończycy. Zatem pierwsza odpowiedź Niug...

OPOWIEŚĆ JOAŃCZYKA

Pierwsza odpowiedź Niug zdumiała Jończyków tak bardzo, że na moment zapomnieli o cierpieniu. Wieszczka przypomniała im starą przepowiednię, przekazywaną przez długie pokolenia – o koniecznej Ofierze z pierworodnego syna, którego krew ojciec miał przelać. Ofiara miała oznaczać zarazem Przymierze z Milczącym.

– Ofiara nie została dokonana – rzekła Niug. – Dlatego szczęście zanika w Joanii.

– Jak? Kto? Dlaczego? – przekrzykiwali się Jończycy.

– Złe pytania. Nadto nie znam na nie odpowiedzi.

Niug dalej grzebała we wnętrzościach czarnego kota.

– Gdybyś wiedział, jaki zaszczyt cię spotka – i tak zdechłbyś z wrażenia – powiedziała pojednawczym tonem, chyba do kociego truchła. – Taaak.

Jest wyjście; można zatrzymać proces. Ale coś mi mówi, że źle wykorzystacie moją przepowiednię.

Oczywiście, nie przejęli się przestrogą, choć powinni.

– Nie zginął syn – rzekła Niug – zatem ojciec musi być ofiarowany.

Nie pojęli przepowiedni, pytali o dane biograficzne domniemanej ofiary; ale Niug, straciwszy cierpliwość, poszczuła ich pozostałymi przy życiu kotami.

Od tamtej, brzemiennej w skutki chwili minęło kilka lat. Wieść o przepowiedni Niug dotarła jednak do uszu *holonai*, nie mogło być inaczej. Prekognicja starej wieszczki wzbudziła konsternację; interpretacje mnożyły się jak króliki – należy zdać się na Sąd Boży – losować pośród ojców, a wylosowanego stracić? Jakoś nie mogli się zdecydować, tym bardziej, że *holonai* Goronar zdyskredytował wróżbę.

Wreszcie ktoś zinterpretował przepowiednię Niug po swojemu i jął mordować ojców rodzin. Rozpoczął od starego *holonai*, który już właściwie za życia nie żył, nie zajmowały go sprawy osady, zobojętniał i sposepniał. Nieznany sprawca mordował z rozważą, najpierw znaczniejszych obywateli osady, jakby mniemał, że jeno ofiara z bogatego życiorysu może odwrócić zły los. Zapewne brał siebie tajemny morderca za bohatera, czynił to wszak dla dobra innych, a raczej dla ich szczęścia. Cóż z tego jednak, skoro żadna z licznych ofiar nie okazała się tą właściwą? Szczęście czeźło i czeźło. W osadzie rodziło się coraz mniej dzieci, nie tylko z powodu wyschniętych łożn miejscowych kobiet; także mężczyźni z mniejszą ochotą brali się za chędożenie, które mogło okazać się w skutkach równie życiodajne, co i śmiertelne. Zrazu ojcowie jęli masowo emigrować, lecz dobrowolne wygnanie gorsze się okazywało od nagłej śmierci w osadzie – klęski ich dopadały i zarazy. Niektórzy popełniali samobójstwa. Inni – po prostu czekali na śmierć.

Jeno młody *holonai* Goronar i kowal Walkar nie poddawali się łatwo – prowadzili śledztwo, zastawiali na zabójcę pułapki, ale ten – jakby obdarzon szóstym zmysłem lub wiedzą tajemną – wymykał się z łatwością i mordował, mordował, mordował...

To Walkar wpadł na pomysł, by zawiadomić odpowiednie władze; Goronar opierał się, lecz wreszcie musiał ulec. Wysłali anonimowy donos do prokuratury w mieście Kolar. Nie minęło dużo czasu, gdy w Joanii pojawił się śledczy Karmab, wraz ze świtą. Figura dość szpetna, sztywny,

niczym zamrożony budył, surowy w obyczajach, oszczędny w słowach. Twarz miał upstrzoną szczegółami, w takiej liczbie, że miast pomagać, przeszkadzały w zapamiętaniu rysów.

Aura powszechnej w tej okolicy życzliwości, choć zmniejszała się sukcesywnie, to jednak wciąż działała na słabe dusze. Ale śledczego nie od razu złamała; czego nie da się powiedzieć o jego ludziach; ci nie wytrzymali – uciekli, zaraz na drugi dzień, ze łzami wzruszenia, piersią targaną szlochem, z łaską miłosierdzia dla wszystkich w oczach. Karmab wziął się na sposób – obozował poza zasięgiem szczęścia; czynił krótkie wypadki do osady, by zlustrować miejsca zbrodni i porozmawiać ze świadkami. Jończycy traktowali go z jawną nieufnością; jeszcze kilka lat temu nie byliby zdolni do jej okazywania, a tym bardziej odczuwania, ale wszystko się zmieniało. Na gorsze...

Horonar przerwał opowieść, co tym razem nie zdziwiło Rozenkrontza: ciężko byłoby ją kontynuować z ostrzem sztyletu na gardle. Sam też poczuł chłód stali gdzieś w okolicach grdyki. Chłód zapowiadający wieczyste zimno. Ucieszył się z jednego powodu – pech Jończyka skończył się, mieli zatem szansę na przeżycie.

– Co z nimi zrobimy, Herm? – zapytał głos z ciemności.

Przynajmniej trzech – pomyślał Rozenkrontz.

– Nie wiem – Hermem okazał się ten przy Jończyku. – Ale chyba coś wymyślimy.

Zarechotali.

– Najpewniej zakpiliście z nas, sucze syny – rzekł spokojnym głosem Herm. Jego spokój nie udzielał się Rozenkrontzowi. – I gdybyśmy byli pewni, że tak jest, nie ścigalibyśmy was. Machnęlibyśmy ręką. Sęk w tym, że jest mała szansa na to, że w waszym gadaniu źdźbło prawdy było... Dlatego tu jesteśmy.

Rozenkrontz pojął – byli to poszukiwacze Zielonego Motyla; gorączkowo zastanawiał się nad strategią negocjacji, ale nie zdążył ich podjąć, bo nagle zdrętwiał, zeszywniał, wyrócił oczami, tak, że białka zaświeciły w ciemnościach; i jął wieszczyć...

Dolsilwa westchnął ciężko.

– Co im rzekł Rozenkrontz? Zapewne i tego nie wiesz? – zapytał Grimaldi.

– To wiem akurat. Historia rozeszła się po okolicy szerokim echem, nawet legendą obrosła. Wszystkim przepowiedział straszną śmierć. Potraktowali go poważnie, tym bardziej, że jeden z nich próbował Rozenkrontza uciszyć, gardło poderznąć. Ostrze pękło, bo Rozenkrontz, gdy przepowiada, kamienieje, w dosłownym tego słowa znaczeniu. To nadało jego słowom dodatkowej powagi. I choć nieszczęsnych napastników było trzech, ulotnili się, jakby byli parą... – Dolsilwa uśmiechnął się, zadowolony z gry słów.

– A przepowiednia? Sprawdziła się?

– Tak – Dolsilwa skrzywił się. – I nie pytajcie mnie o więcej. Wolelibyście nie wiedzieć... W każdym razie, gdy na drugi dzień Rozenkrontz otrząsnął się z niemocy, był sam. Jończyk go opuścił i nigdy więcej się nie spotkali. Ruszył za nim, lecz po drodze napotkał samotną chatę, wokół której kręciły się koty. Była to, jasna rzecz, chata wieszczki, owej Niug. Wiedźma od razu wyczuła w nim wróża; trafił swój na swą, choć natury ich talentów skrajnie się różniły, zarówno co do metody, jak i pochodzenia chyba. Jeny skutek bywał jednaki. Chętnie udzieliła mu rady, sięgając po nią głęboko, bo we wnętrzości kocie. Rzekła, by udał się na północ, jak najdalej od Joanii; tam pozna dalszy ciąg historii Jończyka. Hm... – poeta zamyślił się. – Może i rację masz, panie Grimaldi. Dystans nieodzowny jest do poznania prawdy. Im dalej od przedmiotu zainteresowań, tym wyraźniej widzisz go w całej złożoności, obok innych aspektów rzeczywistości. Coś w tym jest... Dość na tym, że Niug chytrze postanowiła wykorzystać obecność Rozenkrontza i poznać własną przyszłość. Powszechnie bowiem wiadomo, że obdarzeni łaską, czy też przekleństwem wróżenia, nie mogą sami sobie przepowiadać losu. Społa mego przyjaciela ziołami, które winny wywoływać trans wieszczki. Lecz nic tym sposobem nie wskórała. Wtedy wpadła na istic szatańską ideę. Postanowiła sprawdzić, co przepowiedziałby jej Rozenkrontz, gdyby wpadł w trans. Nie badała zatem bezpośrednio swego losu, lecz pośrednio jeno. Nie była zachwycona odpowiedzią, którą wyczytała w kocich bebechach. Powiedziała Rozenkrontzowi na pożegnanie, że czas nieszczęsnych istot, które wiedzą więcej niż powinny, kończy się. Nadchodzą czasy chaosu, wolności i nieoznaczoności, czasy wolnych wyborów, kiedy niczego już nie da się przewidzieć. Ją to martwiło, mego przyjaciela natomiast – ucieszyło. I to już koniec mojej opowieści.

Regrac milczał, więc pajak powrócił.

– Za to moja jeszcze nie zwieńczona – rzekł Seimari i przeciągnął się, aż mu w kościach zachrupało. – Siedemnasty Prokurator Cesarstwa Menioza...

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

Siedemnasty Prokurator Cesarstwa Menioza długo zastanawiał się nad posłyszanyymi od Armeba rewelacjami. Po co Cesarzowi szczęście? – myślał. Szczęście poddanych, to dla władcy największa z możliwych klęsk; i to pod każdym względem. Szczęście pozbawia łaknienia, jest stanem pełni, a państwo musi być procesem, nieustannym stawaniem się. Idealny poddany musi czegoś pragnąć, najlepiej zaś tego, co może uzyskać jedynie z łaski władcy. Najczęściej nie zyskuje nic – tym gorliwiej służy, bo naiwna wiara w nieuchwytnie spełnienie (wszak zwykle nie wiemy, o co nam chodzi) podsyca żarliwość wykonawcy pańskiej woli. Oczywiście – od czasu do czasu, z rzadka, spełnienie następuje, by wiarę ciżby w łaskawość zasilić, dobra jednak należy dozować z umiarem. Zainteresowanie Cesarza jest zatem usprawiedliwione – Joania to realne zagrożenie dla systemu. Zagrożenie, którego naturę należy zgłębić, a następnie zniszczyć. Obowiązkiem dobrego władcy jest utrzymywanie społeczeństwa w poczuciu umiarkowanego nieszczęścia i takiegoż niedosytu.

Chyba, że pragnął Cesarz receptury na szczęście – ot, choćby po to, by nim wrogów razić. Gdyby na przykład w takim Imperium Hongh nagle wybuchła epidemia błogostanu i powszechnego altruizmu – podbój byłby nie tylko możliwy, lecz nieuchronny. Cesarzowi potrzebna mogła być filozoficzna broń masowego rażenia.

Menioza rozpoczął przygotowania do śledztwa od trzech podstawowych lektur: relacji z badań terenów wokół Joanii i w Joanii samej, wyciągu z filozoficznych traktatów dotyczących zagadnienia szczęścia (wyboru dokonał zapewne Armeb) oraz swoistego pamiętnika śledczego Karmaba, nieświętej już pamięci. W przerwie między kolejnymi lekturami niespodzianie nawiedzały go dziewczki z cesarskiego lupanaru, podobno najlepsze w swym fachu na świecie. Menioza uznał, że w stwierdzeniu nie

ma dużej przesady, a nawet jeśli jest, to on i tak nigdy w żaden sposób tego nie zweryfikuje, bo lepsze mu się nie trafią. Doprowadzały go do ekstazy na wiele różnych sposobów, po czym nagle, zwykle w najmniej po temu odpowiednim momencie (choć żaden nie byłby dobry), strażnicy zamkowi odrywali go od tych rozkoszy, by poddać prokuratora umiarkowanym torturom. Nie rozciągano go, aby urzędowego ciała nie uszkodzić, ale chłóście, i owszem, poddawano dość często. Potem zaś troskliwie opatrywano i maszczono rany.

Arneb orzekł, że takie wahadło nastrojów zahartuje Meniozę przed czekającym go zadaniem, lecz prokurator wyczuł w tonie doradcy ledwo uchwytną ironię. Podobne zabiegi stosowano podczas posiłków, serwując naprzemiennie już to frykasy zapewniające niebo, ale jeno w gębie, już to zmuszając Meniozę do spożywania breji w nieokreślonym kolorze, ale o ściśle określonym absmaku.

Lektura raportów nie poszerzyła zbytnio wiedzy prokuratora. Podawano rozmiary obszaru błogostanu; dokładnie określono liczbę mieszkańców, opisano szatę roślinną (nic niezwykłego, poza bujnym rozrostem, który tłumaczono znaczną wilgotnością tamtejszych gleb). Pobrane próbki wody badali najznamienitsi alchemicy Cesarstwa Lechandryjskiego – z mizernym skutkiem. Owszem, odznaczała się czystością, ale nie wchodziła w gwałtowne reakcje ze znanymi metalami. Kilku ochotników skazanych na śmierć próbowało wody, jak również produktów spożywczych ze strefy szczęścia – nie spowodowało to żadnych zmian w ich zachowaniu. Dopiero, gdy – ku zdumieniu miejscowych – rozkazano im osiedlić się w Joanii, po kilku dniach błagali o śmierć rychłą, byleby już tam nie mieszkać.

Hipoteza o jakichś nieznanym gazach rozweselających, dobywających się z trzewi ziemi w tamtejszych okolicach też upadła, bo nie tłumaczyła ścisłości i niezmienności wytyczonego obszaru szczęścia.

Wreszcie pogodzono się z myślą, że być może w starej joańskiej legendzie o Bogu przechadzającym się u zarania dziejów po tamtych okolicach, jest źdźbło prawdy; Menioza uznał to za wyraz rozpaczki wywołanej umysłową indolencją badaczy. Natychmiast najęto odpowiednich specjalistów – magów i Psy wszelkiej maści. Aleć ci nawet zbliżyć się nie mogli do Joanii – tak ich mentalnie paraliżowało dobro stamtąd bijące.

Prawdę mówiąc, Menioza nie miał zielonego pojęcia, w jaki sposób mógłby zbliżyć się do jakiegokolwiek pewnej wiedzy na temat natury szczęścia joańskiego. Wziął się zatem z ochotą za lekturę filozofów. Rychło jednak przekonał się, że i tu pewności nie zyska, a raczej utwierdzi się w niepewności, czyli wiedzy o rozmiarach własnej niewiedzy.

Oto znany filozof starożytny, Lejos z Pejso, kazał śmiertelnikom szczęścia w wiedzy właśnie poszukiwać, albowiem utożsamiał on z jakichś powodów dobro z mądrością. Jeśli kto źle się prowadził, oznaczało to, że wiedzy pozbawion o dobru i szczęściu. Lejos przeciwnikiem był kary śmierci, bo dobry nauczyciel (tu siebie miał na myśli) może każdego, nawet twardego jak głaz zbrodniarza nauczyć dobra. Skontrował natychmiast Lejosa jego własny uczeń, Karton z Maloka, który wypowiedział słynne zdanie: *Miłuję nauczyciela swego, lecz bardziej jeszcze Prawdę kocham*. Po śmierci swego mistrza, Karton zdemolował myśl etyczną nauczyciela. Owóż Karton uznawał, że szczęście można osiągnąć tylko i wyłącznie poprzez zidiocenie całkowite. *Ten jest wesół – pisał filozof – kto prawdy gorzkiej nie dostrzega. Ten szczęśliw, kto oczy na rzeczywistość zamyka. Zmienić świat na lepszy i szczęśliwszy w jednej chwili niepodobna; łatwiej namaścić spojrzenie swe miodem jakiejś głupoty*. Menioza musiał przyznać, że coś w tym było na rzeczy – łatwiej jest bowiem znosić opory rzeczywistości poprzez niedostrzeganie ich, niż poprzez zmianę niekorzystnych stosunków rzeczy.

Szczęście, zdaniem Kartona, polegało na doznawaniu przyjemności, a nieszczęście na doznawaniu cierpienia.

*Odkrywcz*e – westchnął w duchu Menioza. I czytał dalej.

Istnieje, w opinii Kartona wewnętrzna radość życia, do której potrzeba jeno braku cierpienia. Lecz są także przyjemności powodowane przyczynami zewnętrznymi, zależne od okoliczności, a wynikające z zaspokajania potrzeb. Te drugie filozof miał w pogardzie, albowiem zaspokajane potrzeby mnożą się jak króliki. Jeno całkowity brak jakichkolwiek łaknień (przy jednoczesnym braku cierpienia) jest stanem idealnym; a stan taki osiągnąć może albo mędrzec (temu ciężko), albo też głupiec kompletny (z łatwością).

Były też pisma przedstawicieli szkoły filozoficznej leżyzmu. Leżycy wierzyli w nieuchronność losu i dostrzegali nikłość człeka wobec ogromu Wszechświata, co dawało im asumpt do dość pesymistycznych przemyśleń

na temat kondycji ludzkiej. Postawa leżycka była bierna, czyli leżąca właśnie; człek według jej wskazań winien ustosunkować się do rzeczywistości obojętnie – wszystko przyjmować z jednaką wzdargą, już to ukłony losu, już to kopniaki. Tylko obojętność zapewniała szczęście. Ale cóż to za szczęście? *Patrząc na każdy przedmiot, przedstawiaj go sobie jako ulegający rozkładowi, zmianie, jakby zgniliznie i rozpadnięciu się w pół, albo jak na rzecz przeznaczoną z urodzenia na śmierć* – pisał jeden z przedstawicieli leżyków, a drugi wtórował mu z ironią: *Albo tu żyjesz i już się do życia przyzwyczaiłeś, albo sam się wynosisz na tamten świat i tego chciałeś; albo umierasz i służbę swą odbyłeś. Poza tym nic. Bądź więc dobrej myśli.*

Menioza przedzierał się przez filozoficzny bełkot z rosnącą niecierpliwością; były koncepcje szczęścia, jako życia zgodnego z naturą, choć definicje częściej natury liczne były niczym gwiazdy na nieboskłonie. Były koncepcje religijne, których głosiciele z pewną jednostajnością opowiadali się za niweczeniem doczesnych rozkoszy i zapowiadali pośmiertne kolektywne roztopy duszy ludzkiej w Absolucie. Szczęście doczesne okazywało się nietrwałe, albowiem doczesność miała charakter przemijający z definicji samej. I tak dalej, i tak dalej. Rozważania te ani o krok nie zbliżały Meniozy do prawdy o joańskich przypadkach. Zatem porzucił naukowe mądrości i jał wreszcie czytać pamiętnik Karmaba.

PAMIĘTNIK KARMABA

Sam już nie wiem – awans to, czy regres mej służby? Śledztwo prestiżowe, lecz klęska wydaje się nieuchronną. Joania – słowo-przekleństwo z lat mego dzieciństwa. Lęk i niezrozumienie. Obcość. Muszę wyzbyć się bagażu tych doświadczeń, by podejść do dochodzenia z nieodzowną obiektywnością.

Ludzie, których mi przydzielono to miernoty; odnoszę wrażenie, że wyznaczono ich na zatracenie. Tu pojawia się pytanie – a jeśli i mnie? A jeśli idzie o to, by moja kariera załamała się, albo jeszcze lepiej – ja sam mam zginąć marnie i bez wieści? Dość tych roztrząsań.

Fatalna jakość dróg, napiszę o tym w raporcie.

Przez kilka dni nie prowadziłem zapisów. Dotarliśmy do granic rzekomego błogostanu (jakoś nie mogę dać wiary wieściom, coś się we mnie wzdraga przed tą myślą, może to wszystko wymysł, sztuczka kuglarska?). Rozbiliśmy obozowisko, po czym wydałem rozkaz przekroczenia granicy dwóm moim ludziom. Polecenie wykonali niechętnie, z dyscypliną u nich niedobrze.

Podszedłem do tego metodycznie – kazałem im, na uwięzi, zagłębiać się w obszar i co jakiś czas przystawać, my tymczasem popuszczaliśmy sznura. Śledziliśmy ich reakcje. Zrazu nic się nie działo; gadali coś o lawendowych zapachach, choć my nie czuliśmy tych wspaniałości. Nagle jeden z nich jął płakać, ronił łzy nietajonego wzruszenia. Natychmiast go ściągnęliśmy. Doszedł do siebie dość szybko, ale nie potrafił odpowiedzieć na pytanie – co go tak rozrzewniło.

Drugi wytrzymał dłużej; był to łotr spod ciemnej gwiazdy, o czym wiedziałem od jego przełożonych. Nawrócił się na drogę prawa pod naciskiem konieczności, typowy neofita, żarliwy, lecz chwiejny w poczuciu sprawiedliwości; w głębi serca – zatwardziały kryminalista. Kiedy się jednak złamał, pod naporem gwałtownych uczuć, miało to charakter głębszy i trwalszy niż u pierwszego. Gdy go ściągaliśmy, szarpał się jak oszalały i krzyczał, że pragnie być poetą. Może w tym tkwi tajemnica tego miejsca (bo już w tajemne właściwości obszaru nie wątpiłem), że wyzwala i potęguje w człeku jego ukryte pragnienia; owe niewydeptane ścieżki alternatywnych życiorysów? Nie wiem. Obwieś nie doszedł do siebie nawet na drugi dzień. Błędny wzrok, trzęsące się dłonie. Kontynuujemy próby. Jutro ja wejdę.

Stało się – zostałem sam. W nocy wszyscy uciekli; został jeno niedoszły poeta, aleć z niego żadnego pożytku. Cały czas rymuje i pragnie wrócić do oazy ekstazy, jak rzecz. Gdy pytam o naturę tych ekstaz, odpowiada, że sam muszę się przekonać. Niech się stanie. Przywiązałem się do solidnego pnia i zagłębiając się w obszar nieznanego. Co ciekawe – wciąż nie widać tubylców, a jeno oznaki ich obecności – opuszczone domostwa. Należą bodaj do „półszczęśników” – tak nazwano w przedstawionych mi raportach tych Jończyków, co utrzymują kontakt z zewnętrżnością dla nich siemiężną.

Ciężko było, szczęściem w tym nieszczęściu, że wola ma hartowana jak stal. Zagłębiłem się jakieś dwadzieścia metrów, zaiste najpierw reaguje

zmysł węchu, nie wiedzieć czemu. Zapachy dzieciństwa, które natychmiast człeka rozbijają. Potem chyba wszystkie zmysły rejestrują otoczenie z większą intensywnością – barwy wyostrzają się, dźwięki nabierają głębi. Zaczynasz zdawać sobie sprawę z ubóstwa dotychczasowej egzystencji. Nadmiar przeradza się w przesyt i gotowyś wyc z powodu ekstazy, która staje się bólem. Błogość przeradzająca się w cierpienie, cierpienie, za którym będziesz już tęsknił do końca. Jedność przeciwieństw, stapianie się skrajności. Wierzę, że można się do tych nadmiarów przyzwyczać, a następnie odzwyczać.

Czytam, com napisał dotąd i wiem, że nie oddaje to niczego. Słowa nie wystarczą.

Stopniowo zapuszczam się coraz głębiej, ale przywyknąć wciąż trudno. Sukcesem jest, że zachowuję świadomość; że potrafię rejestrować fakty, a nawet racjonalnie działać w strefie błogości. Napotkałem tuziemców, wiotkie postaci, jakby rodem ze snu. Traktują mnie z niechęcią, lecz bez ciekawości. Rozmawia się z nimi trudno, zbywają mnie półsłówkami. Jeno tutejszy holonai, zwany Goronarem, ktoś w rodzaju kapłana, autorytet moralny, gada chętnie. Z mglistych aluzji wywiedziałem się, że to on, wspólnie z tutejszym kowalem donieśli o zbrodniach. Ale oficjalnie nic o donosie oczywiście nie wie. Dzieli się chętnie informacjami, opisuje życie osady – zdumiewające poczucie pełni. Co jakiś czas ukradkowo osuszam łzy, co – nieproszone – cisną się na oczy.

Zaobserwowałem dziwny rodzaj aktywności tutejszych mieszkańców – oni wszyscy mówią do siebie szeptem lub półgłosem. Przez jakiś czas tego nie słyszałem, ale ów szept masowy tworzy rodzaj akustycznego tła nierozdzielnie złączonego z okolicą. Gdy zapytałem o to Goronara, uśmiechnął się smutno. Okazało się, że Jończycy przemawiają do Boga, modlą się, zagadują Go. Podobno kiedyś odpowiadał.

Dokonałem ekshumacji zwłok kilku ofiar. Zdumiewające uczucie; odór ciał, widok gnijących tkanek napawa mnie optymizmem. Cieszę się jak dziecko, gmerając w tej zepsutej maszynierii cielesnej, jakbym poszukiwał czegoś, czego tam już nie ma, a może i nigdy nie było – duszy nieśmiertelnej? Sensu istnienia, co kończy się tak nonsensownie? Dość! Dostrzegam u siebie wzrastające skłonności do snucia refleksji, nie mających nic wspólnego ze sprawą.

Wszystkim ofiarom podcięto gardła jakimś ostrym narzędziem, najpewniej nożem ofiarnym. Dlaczego nożem ofiarnym? Świadczyć może o tym sposób ułożenia ciał (znany mi z opisów holonai Goronara) – twarzą ku ziemi, by krew spływała do trzewi ziemskich, gdy dusza ulatuje ku niebiosom: tak składano ofiary – zwykle zwierzęce, aleć nie zawsze – u różnych ludów. Ofiarami są wyłącznie mężczyźni, ojcowie dzieciom – i to jeno ich łączy.

Gdy zapytałem o tę zbieżność okoliczności, Goronar zbladł i zaprosił mnie do swego domostwa. Dom urządzony z surowością zaiste kapłańską lub urzędniczą (sam nie znoszę obnosić się ze swą – nikłą przecie – zamożnością). Dwie izby, bez żadnych zdobień na ścianach, bez obrazów ni rzeźb. Usługiwała nam żona holonai, kobieta wielkiej urody, wpatrzona w małżonka z czcią, jakby za chwilę miał wzlecieć żywcem do nieba. Nie ma wzajemności w tym jednostronnym szacunku; Goronar traktuje ją z trudnym do pojęcia chłodem. A ja nagle zrozumiałem, że mógłbym zakochać się bez pamięci w tej biednej istocie i znów poczułem rozpacz wzbierającą mi w gardle. Wiedziałem, że czas mego pobytu w błogostanie dobiega końca, że zaraz muszę stąd uciekać, bo zginę marnie, z uśmiechem na ustach. Ale czekałem na odpowiedź holonai. Czekałem i cierpiałem, zachwycony.

Goronar opowiedział mi o dwóch przepowiedniach niejakiej Niug – pierwsza tyczyła ofiarowania syna przez ojca. Do ofiary jakoby nie doszło, przeto, by Boga przebłagać, należało zabić ojca. Kłopot w tym, że nie bardzo było wiadomo, o którego ojca idzie, stąd ta rzeź. Morderca metodycznie wziął się do roboty, mniemając, że czyni to dla dobra ogółu; taki altruizm w przemocy często był spotykany, bo cel świątły i czysty uświęca nikczemność metod. Nikczemność to brud za paznokciami cudownie wypielęgnowanej dłoni dzierzżącej miecz Sprawiedliwości (a w tym wypadku nóż).

Wysłuchawszy cierpliwie relacji, nagle wstałem od stołu, na tyle gwałtownie (bom czuł, że zaraz zacznę na kolanach błagać o rękę żony mego gospodarza, albo też uczynię coś gorszego jeszcze), że wylałem wino. Wtedy spostrzegłem, że napój o nieporównywalnym z niczym smaku zbiera się w czarnym zagłębieniu o kształcie dłoni, jakby wypalonym w blacie stołu. Nie zdążyłem o to zapytać – wybiegłem jak szalony, by zdążyć przed... sam nie wiem przed czym.

Kiedym już dotarł do opuszczonego obozu, wycieńczony bardziej emocjami niż biegiem, z ulgą oddałem się biczowaniu. Oto kotwica cierpienia trzymająca mnie u brzegów rzeczywistości.

Śpiewamy z poetą Pieśń Radości. Coś nam rozsadza piersi – uniesienie, które nie ma w sobie pychy, żal, w którym nie ma złości, miłość i Bóg wie co jeszcze! Jończycy patrzą na nas ze strachem; nasza radość wydaje im się przesadna? Niestosowna?

Kwiaty tu przesycone są barwami tak intensywnymi, że aż mi wypala oczy. Powietrze obejmuje mnie czule, wiatr pieści skórę. Rozkosz, która już nie jest rozkoszą. Uciec stąd. Ale po co. Tam, na zewnątrz, nie ma nic. Nigdy nie było, lecz my przywykliśmy do tej pustki. Nie mogę już. Poeta, który był łotrem, czołga się po ziemi i charczy pieśń dziękczynną. Jak tu pięknie. Jak pięknie.

Chyba nie powinienem prowadzić zapisków w strefie radości.

Wczoraj, kiedy dawaliśmy z owym poetycznym i patetycznym obwiesiem przedstawienie, ktoś zamordował kowala. Jak zwykle – poderżnięte gardło, twarz ku ziemi. Jego żona rozpaczła tak bardzo, że poroniła.

Powinienem odwiedzić tę wieszczkę, Niug. Ona za tym wszystkim stoi, od niej bierze początek łańcuch zdarzeń. Ale jakoś dziwnie wszystko to przestaje mnie z wolna obchodzić. Trupy, śledztwo – wszystko to już za horyzontem mej ciekawości. Co innego mnie teraz zajmuje. Czytam te zapiski i jakby kto inny je sporządził, obca mi osoba. Obcość tak dojmująca, że aż pragnę zniszczyć wspomnienie o sobie. Nie czynię tego. Piszę dalej.

W nocy przyszedł poeta. Wychudł straszliwie, lecz twarz jego nabrała szlachetnych kontrastów, wyostrzyła się. W oczach – ból, usta spękane, ale wąskie i wyznaczone do cedzenia Prawdy.

– Zabij mnie – wycedził.

Nic więcej nie powiedział, a i ja przyjąłem to z milczącym zrozumieniem. Tak być musi. Kto jak kto, ale on wiedział, czego chce, a co może; no i co mu wyznaczone.

Podciąłem mu gardło i zostawiłem na skraju Obszaru. Twarzą w proch.

Kiedy jestem Tam, pragnę spokoju nicości, kiedy tu – chcę wrócić Tam. Dziwne to wszystko.

Podobno holonai zniknął. Ludzie powiadają, jakoby widziano go opodal chaty Niug, co było niepojęte – wszyscy wiedzieli o ich wzajemnej niechęci.

Dziś ja udałem się do Niug. Nie, nie po to, by śledztwo prowadzić. To już za mną. Po to, by ją zapytać. Kto może mi dać odpowiedź, jeśli nie ona? Ta odpowiedź mnie ukoi, albo zniszczy. Już teraz wiem – żyłem po to, by zadać pytanie. Cała reszta nieważna.

Niug jest stara, Jończycy powiadają, że stara jak świat, a może i jeszcze starsza. Jej oblicze – niczym spękana od suszy ziemia. Patrzy na mnie jak na robaka, którego mogłaby rozgnieść, ale nie czyni tego.

Już chcę zadać pytanie, już otwieram usta, by dobyć z nich kwintesencję wątpliwości tego świata, gdy uprzedza mnie głosem przesyconym niechęcią:

– Koty uciekły. Wiesz, chłopcze, co to oznacza?

Chciałem zaprotestować, że już nie jestem chłopcem, że dawno osiągnąłem wiek męski (jakie to dziecinne!), a potem dopiero powiedzieć, że nie wiem, co oznacza migracja kotów. Nie zdążyłem jednak, bo znów odezwała się pierwsza.

– Oznacza to, że nie ma odpowiedzi na pytanie, które chciałeś zadać.

*

Na tym kończyły się zapiski śledczego Karmaba.

Seimari przerwał, by zwilżyć gardło. Dolsilwie zdało się, że kartograf i Jończyk patrzą na siebie z rosnącą niechęcią, by nie powiedzieć – wrogością. Napięcie narosło wokół biesiadników dałoby się kroić jak tort albo gardło.

– Te opowieści... – mruknął Grimaldi. – One... na siebie zachodzą, pokrywają się i uzupełniają...

– Nic w tym dziwnego, panowie. Świat to jedna wielka Opowieść składająca się z miriadów innych, mniejszych, na które składają się jeszcze inne – powiedział Regrac, niepewnym i drżącym głosem. – Z tego poplątania z pomieszaniem żyje nasz przyjaciel, Dolsilwa.

– A jednak to szczególne, że opowiadamy sobie być może jedną i tę samą opowieść... – Dolsilwa zawiesił głos.

– Wypalona dłoń – Grimaldi spojrział na Regraca. – Przecie to z pańskiej historii! Ten nieznamy, z zaświatów chyba, co zarządził Ofiarowanie. A to by znaczyło...

– To oznacza, że Ofiara tyczyła rodu *holonai* – wtrącił poeta. – Ale to było oczywiste od początku. Od kogo Bóg mógł żądać tak wiele, jeśli nie

od tych najobficiej w wiarę wyposażonych? Albo uchodzących za takich...
Wiedziałaś o tym, panie Regrac, prawda?

Jończyk zbladł bardziej niż zwykle i nic nie rzekł.

– Pozwólcie, psia kurwa, że zwięcę opowieść – odezwał się Seimari.

– Lękam się jej zakończenia – westchnął, nieco teatralnie, Dolsilwa.

– Prokurator Menioza długo nie mógł się otrząsnąć po lekturze pamiętnika Karmaba...

OPOWIEŚĆ SEIMARIEGO

Menioza długo dochodził do siebie po ponurej lekturze pamiętnika. Teraz dopiero zrozumiał, że zadanie, którego się podjął, może przerastać jego możliwości. Jął przemyśliwać, w jaki sposób wycofać się dyskretnie z przedsięwzięcia; trzeźwo jednak ocenił, że takiej ewentualności nie ma. By otrząsnąć się z wrażenia, przez jakiś czas zastanawiał się cynicznie: po której stronie Karmab popełnił samobójstwo? Skłonił go do tego nadmiar czy raczej niedobór błogości? Rozmyślania te terapeutyczny miały charakter i niosły dobry skutek – Menioza kontynuował pracę.

Postanowił porozmawiać z owym nieszczęsnym „półszczęśnikiem”, porwanym za młodu przez cesarskich najemników. Po lekturze listy zabiegów, jakim został poddany, spodziewał się prokurator spotkania z człeczym strzępem. Widok Jończyka mile go zaskoczył. Tortury przetykane dobroczynnością zahartowały młodzieńca tak, że niemal wyglądał kwitnąco (mimo wiotkości i bladeści charakterystycznej dla jego rasy); nadto jakaś zaciętość kwitła w kącikach jego zaciśniętych ust. Na wszelkie zewnętrzne pomyślności i przeszkody reagował (tak wynikało z raportów) z jednaką wzdargą. Pech, dotykający ekstremalnie jego współplemieńców z chwilą opuszczenia terytorium Joanii, jego akurat dotyczył w nikłym stopniu; właściwie nie wiadomo z jakiego powodu – może dlatego, że emigrował (nie z własnej woli) w tak młodym wieku? A może właśnie szło o brak woli opuszczenia błogich rejonów? Dwa razy – wyjąwszy czas początkowego szoku, tuż po porwaniu – zdołano go wybić z tej niewzruszoności. Raz, gdy poinformowano, że rodzina nie rozpacza po zaginięciu syna (co nie było do końca prawdą: rozpacz – jak to zwykle w Joanii – szybko ustąpiła miejsca ukojeniu); po raz drugi natomiast, gdy

okazało się, że jego ojciec jest kolejną ofiarą serii zabójstw. Nie chciał w to uwierzyć, aż służby specjalne w głębokiej – jak to one – konfidencji, pofatygowały się po głowę rodzica, by zaprezentować ją synowi. Menioza skrzywił się na taką teatralność efektów. Oto jak hoduje się nieprzejednanych wrogów Cesarstwa.

Rozmowa nie trwała długo i niewiele wniosła. Jończyk bez ustanku kłął, nieudolnie i dość jednostajnie; prawdę mówiąc, było to jedno jedyne przekleństwo, dość rzadko, nawet w potocznej mowie, spotykane. Nadto powtarzał, że pomści śmierć ojca. Na pytania Meniozy odpowiadał wprawdzie, ale widać było, że nie pojmuje wyjątkowości swej kondycji.

Prokuratorowi nie pozostało nic innego, jeno udać się w pomyślne rejony. Ruszył tuż przed wyznaczonym przez Armeba terminem, wraz z kilkoma świetnie wyposażonymi ludźmi. Duszę miał na ramieniu.

Los chciał, że nim dotarł do Joanii, natknął się na samotną chatę zamieszkaną przez starą kobietę i stado kotów. Od razu domyślił się w niej Niug, owej wieszczki, co wydawała się sprężyną zdarzeń. Długo z nią rozmawiał, Niug wypatroszyła kota i odpowiedziała na pytania Meniozy. Była w nastroju fatalistycznym, jakby spodziewała się najgorszego i nie mogła zapobiec wyrokowi losu.

Menioza dowiedział się, że w zapanował w Joanii odpływ szczęścia, co wydało mu się informacją cenną, choć nie od razu wiedział dlaczego. Nadto Niug przepowiedziała mu, że nigdy nie dotrze do Joanii, co przeraziło Siedemnastego Prokuratora Cesarstwa. Gdy próbował uściślić przepowiednię, nic nie zyskał. Rozkazał więc swym ludziom, by zamordowali Niug, co uczynili ze skwapliwością, bo obawiali się dalszych wróżb, które tym razem mogły ich dotyczyć. Prokurator odniósł wrażenie, że stara kobieta zna swój los.

Menioza gorączkowo zastanawiał się, co go też czeka – śmierć, trwałe kalectwo? Dumał tak i dumał, rozpacz żarła go od wewnątrz, nie potrafił znaleźć wyjścia z sytuacji. Z jakiego właściwie powodu nie dotrze do tej przeklętej Joanii?! Wreszcie wpadł na pomysł porażający swą prostotą. Nie dotrze, bo zawróci. Szczęście opada, zatem przestaje być palącym problemem dla Cesarza. Morderca nikogo tak naprawdę nie interesował, a im mniej Jończyków, tym lepiej. Gdyby jednak Armeb nalegał na sprawiedliwe winnych karanie, to miał jeszcze prokurator broń tajną w zanadrzu, w postaci owego półszczęsnika, co kipiał nienawiścią.

Odpowiednio nim pokierować, nastawić, dać narzędzia w postaci plenipotencji, zakamuflować w jakiejś urzędowej funkcji, co pozwala wędrować niepostrzeżenie po wszystkich prowincjach Cesarstwa, a uczyni wszystko, by mordercę swego ojca pojmać, a nawet z istnienia wymazać.

Jak postanowił, tak też i uczynił.

Seimari zamilkł i wszyscy zrozumieli, że to już koniec historii. Wschodzące słońce rozjaśniło izbę, ale sytuacji już nie bardzo. Dolsilwa zarzynał ciszę w swoim stylu, ziewając rozdzierająco. Potem zapytał Seimarięgo:

– To przekleństwo... – zaczął niewinnie – to, którego nadużywał ów „półszczęśnik”, jak właściwie brzmiało? I jakąż to urzędnicza funkcja pozwala dyskretnie przemierzać prowincje Cesarstwa Lechandryjskiego?

Seimari uśmiechnął się, a w kącikach jego zaciśniętych ust wciąż pięknie kwitła zawziętość. Nie spuszczał wzroku z Regraca.

– Taak... – mruknął Dolsilwa, zadowolony z braku odpowiedzi, którą od razu uznał za odpowiedź. – Goronar oznacza po joańsku „Korzeń Drzewa”, Horonar – to „Pień Drzewa”... Ciekaw jestem... co oznacza imię Regrac?

– Gałązka – odezwał się Seimari. – Ja też mam zagadkę, panowie: dla kogo cieśle zbili szafot?

Coś błysnęło w blasku wschodzącego słońca – od razu krwawo. Poeta spostrzegł nóż w dłoni Seimarięgo.

– Nie próbuj uciekać! – krzyknął kartograf do Joańczyka. Ten zbłądł jeszcze bardziej, aż otarł się o przezroczyście karnacji.

– Czeka! – wstrzymał Seimarięgo Dolsilwa. – Bo wciąż ciekawość mnie żre. On nie chce uciec... prawda, Goronar? Horonar? Regrac? Rozgałęziająca się opowieść... Nawet dowcipnie... Ty też pragniesz to zakończyć. Czas dojrzał. Może nawet jest już za późno. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Co przepowiedział ci Rozenkrontz, kiedyście się spotkali na Targowisku Próżności? Nie daje mi to spokoju. Ostatnia gałązka Drzewa Wiadomości...

– Skamieniał... – powiedział Joańczyk. – Dwa razy to widziałem i więcej nie chcę. Wyrzekł jedno zdanie: Wracaj do domu, tam zyskasz odpowiedź. Nie posłuchałbym, ale przepowiedni Rozenkrontza nie da się ignorować...

Dolsilwa wzdrygnął się: wiedział coś o tym.

– Tyle jeno? – zdziwił się Grimaldi.

– Aż tyle... – westchnął Regrac, a raczej Goronar. – Aż tyle... Więc ruszyłem na południe. Do Joanii, do domu. Wiesz, co tam zastałem, Dolsilwa?

– Domyślam się.

– Za to ja niczego już nie pojmuję – mruknął Grimaldi.

Seimari wciąż wpatrywał się z nienawiścią w Jończyka. Ale ciekawość na razie i w nim wzięła górę.

Poeta zauważył, że pajak umknął z joańskiej brody, jakby spodziewając się kataklizmów. Instynkt przetrwania.

– Moja żona... – rzekł Jończyk – moja piękna Halari... To prawdziwy cud. Dar. Urodziła syna, choć była bezpłodna. Mojego syna.

OPOWIEŚĆ DOLSILWY

Rozenkrontz ukrył twarz w dłoniach. Od dłuższego czasu słuchał opowieści Dolsilwy, poety, przyjaciela swego. Spotkali się, rzecz jasna, na północy Cesarstwa, w mieście Lies.

– Potem – mówił dalej Dolsilwa – nastąpiła krwawa komedia omyłek. Seimari cisnął nagle nożem, lecz o włos chybił. Krzyknął coś o pechu, był przecie Jończykiem, półszczęśnikiem jeno. Nóż utkwił w ramieniu Grimaldiego, ten zemdłał. Bodaj tylko on – mnie nie licząc – był przy tym stole sobą, czyli cesarskim kartografem, nikogo nie udawał, przekłety krasnolud. Tymczasem Regrac zerwał się do ucieczki. Wiedział o swej porażce, wiedział, że w przepowiedni, zarówno pierwszej, jak i drugiej, o niego szło, wiedział, że, pozostając przy życiu, przedłuży przekleństwo swego ludu, a jednak pragnienie życia było w nim tak silne! Ale to on okazał się prawdziwym pechowcem, marnie zginął. Potknął się o coś, sam nie wiem... może to była nawet moja noga... Fatalnie łeb strzaskał. Upadł jakoś dziwnie. Twarzą ku ziemi. Dusza ku niebu, krew w glebę. Ale jego dusza chyba też – w glebę. I to koniec, Rozenkrontz. Teraz wiesz już wszystko.

Rozenkrontz podparł dłońmi głowę, ale tak mu ciążyła od kłębiących się myśli, że przydałoby się solidniejsze rusztowanie.

– Biedny głupiec. Zagmatwane to wszystko. Gdyby ojciec go poświęcił, nie doszłoby do tych wszystkich mordów, których syn potem dokonywał w majestacie niepotrzebnej i daremnej misji. Z drugiej strony – rozważał na głos Rozenkrontz – gdyby był dobrym człkiem, nie zabiłby tych wszystkich ojców rodzin, swego przyjaciela... Tego... kowala. Zatem ta Ofiara, której nie wypełnił stary *holonai* miałaby sens. Miałaby, prawda Dolsilwa? Miała... Musiała mieć. Bóg słusznie żądał śmierci jego syna, który stał się potworem? On widzi więcej... Właściwie widzi wszystko. Słusznie? Odpowiedz, na litość boską!

– Może Bóg powstrzymałby jego ojca w ostatniej chwili? – odparł poeta bez przekonania. – Zesłałby jakiegoś anioła o gorejących dłoniach. Może to miała być próba. Gdyby ojciec Goronarawyszedł z niej zwycięsko, jego syn byłby wychowywany w błogostanie, otoczony miłością. Byłby kimś innym. Kimś lepszym...

– Jego śmierć powstrzymała joańską klątwę, prawda?

– Tak. Ale szczęścia nie przywróciła. Joania jest teraz pod tym względem taką samą pustynią, jak cała reszta świata.

– Wiesz, Dolsilwa, jedna rzecz spokoju mi nie daje.

– Jedna tylko?

– No dobrze, jedna z wielu, ale może i najważniejsza. Pytanie.

– Jakie znów pytanie?

– Pytanie, które śledczy Karmab chciał zadać owej wieszczce...

– Niug?

– Właśnie, Niug. Jak sądzisz Dolsilwa, o co chciał zapytać? Na jakie pytanie nie ma odpowiedzi? No, na jakie?